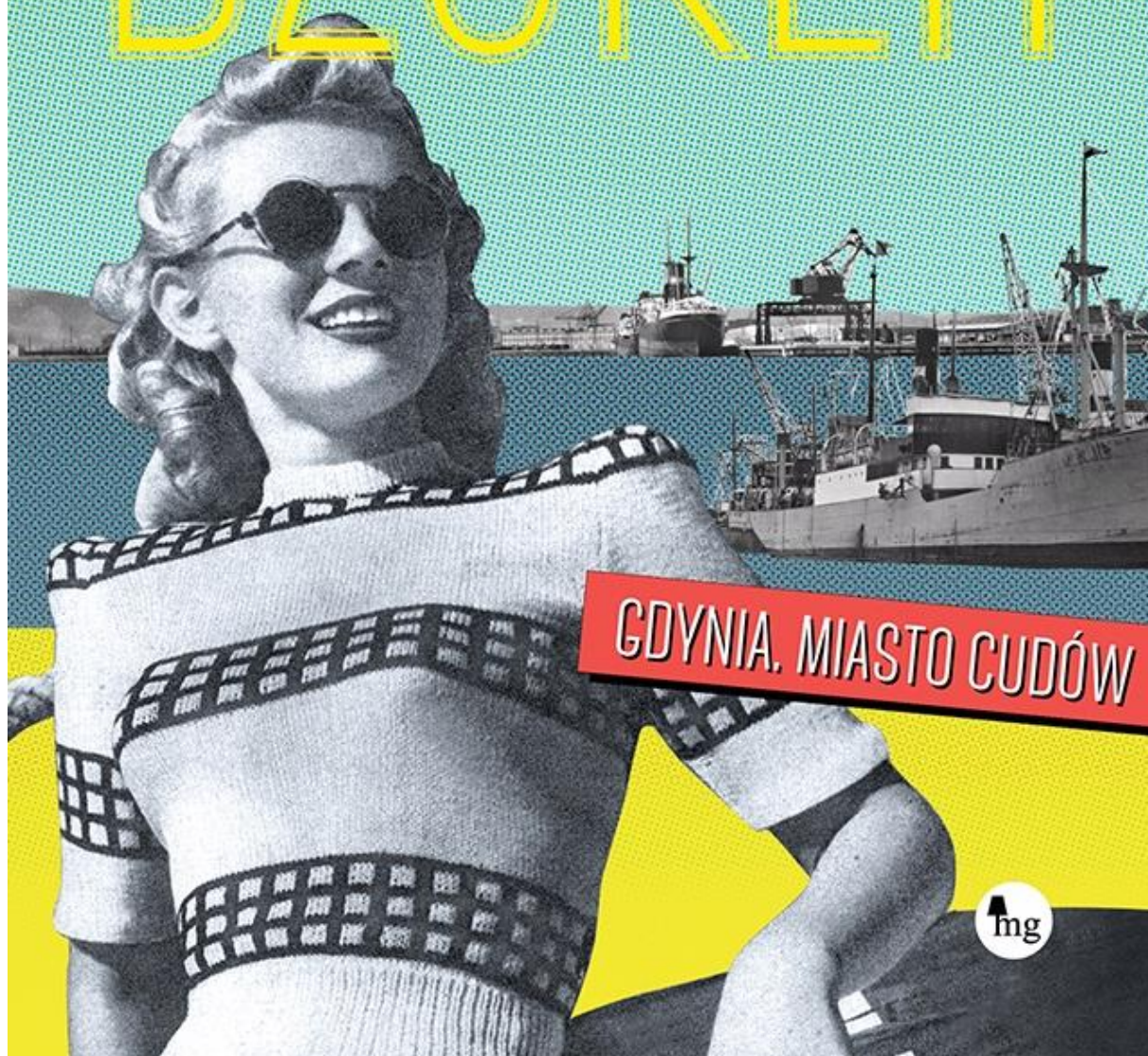


MICHAŁ PIĘDZIEWICZ

# DZOKER



GDYNIA, MIASTO CUDÓW

img

MICHAŁ PIEDZIEWICZ  
DZOKER





*Dawna wieś, a dzisiaj skrzyżowanie ulic: Świętojańskiej i 10 Lutego.*

## OD AUTORA

Próbując odtworzyć Gdynię z dawnych lat, korzystałem z wielu źródeł. Nie sposób nie wymienić książek i artykułów Małgorzaty Sokołowskiej, wydawnictw Sławomira Kitowskiego i Aleksandry Tarkowskiej, publikacji Edwarda Obertyńskiego i Kazimierza Małkowskiego.

*Życie przestępcze przedwojennej* Polski opisała Monika Piątkowska – znaleźć tam można między innymi opis afery związanej z budową gmachu gdyńskiej poczty.

W Internecie znakomity blog prowadzi Michał Sikora ([www.gdyniawktorejzyje.blogspot.com](http://www.gdyniawktorejzyje.blogspot.com)), świetnym wprowadzeniem do historii miasta jest opisywana przez Marka Zielińskiego *Historia miasta na starej pocztówce* ([www.naszagdynia.com](http://www.naszagdynia.com)). Zajrzeć warto również na stronę [www.modernizmgdyni.pl](http://www.modernizmgdyni.pl).

Niezwykłe kompendium wiedzy o Polsce 1929 roku znaleźć można na stronie [www.laurahuta.blogspot.com](http://www.laurahuta.blogspot.com).

Prócz prac wymienionych autorów korzystałem oczywiście z archiwów przedwojennej prasy, Naczelnego Archiwum Cyfrowego i wielu innych źródeł, których wszystkich w dobie Internetu wymienić nie sposób.

Imiona dwojga głównych bohaterów nie są oczywiście przypadkowe. W tej kwestii (polemiczny) dług zaciągnąłem u Stanisławy Fleszarowej-Muskat, autorki opowiadającej o Gdyni w trylogii *Tak trzymać*.

W przypadku części ówczesnych nazw własnych starałem się uchwycić sposób, w jaki zmieniało się ich użycie. I tak zanim do Sopotu jeżdżono do Zoppot, a później do Sopot. Bywano też przy Święto Jańskiej, nim ta stała się Świętojańską. Podobnie na PeWuCe zamiast prozaicznych rzemiosła, ubezpieczeń czy handlu odwiedzano pawilony Rzemiosła, Ubezpieczeń i Handlu.

Za pomoc chciałbym podziękować Michałowi Rusakowi, Rzecznikowi Prasowemu Komendanta Miejskiego Policji w Gdyni.

Za wsparcie dziękuję żonie Kasi Uczarczyk, rodzicom – Elżbiecie i Henrykowi Piedziewiczom (ze Wzgórza!), Grzegorzowi Rapucie oraz Bolesławowi Dobrowolskiemu.

Gdynia zasługuje na słowa uznania. Niniejszym próbuję dołożyć kilka swoich.

## PROLOG

Oto do czego doszło! W ławkach blisko sceny dostrzegła Adama Grabskiego. Obok niego – Kota. Za ich plecami – pana Jana. No, może nie siedzieli w pierwszych rzędach, tego by jeszcze brakowało. Lecz blisko, podczas gdy jej, której jeszcze niedawno najbardziej by na tym zależało, udało się zająć miejsce w jednym z rzędów ustawionych wobec estrady bokiem. No i na dodatek nie ma wśród nich, z nimi, z nią – Krzysztofa!

Lato roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego było słoneczne, wręcz upalne. Na szczęście teraz, pod wieczór, lekki wiatr przynosił znad morza orzeźwienie. Zamyślona Łucja już tylko odruchowo wachlowała się programem.

Siedmioletni Franciszek usiadł obok matki. Lecz prędko znudził się bezruchem i pobiegł w stronę podwyższenia ze sceną, a obróciwszy się następnie ku pierwszym rzędom widzów, zaczął z bliska przyglądać się mundurom, szablom i połyskującym w promieniach wysoko stojącego słońca odznaczeniom. Wciąż go ciekawiły – w mieście i kraju od dawna pełnym wojska.

Publiczności brakować nie mogło. Nie przy okazji takiego wydarzenia. Na przekór zmęczeniu duszną atmosferą wynikającą z kolejnych zarządzeń władz, a dotyczących przygotowań do spodziewanej, niełatwej obrony miasta.

Ponownie, który to już raz, zajrzała do scenariusza opóźniającej się uroczystości. Za chwilę powinna huknąć miejska orkiestra symfoniczna, po tym nastąpi powitanie gościa, dalej przemówienie – prezesa komitetu Funduszu Obrony Morskiej, pana inżyniera W. Gierdziejewskiego – po nim hymn i... I to, na co niegdyś tak bardzo by czekała: pieśni i arie. Moniuszki oraz pana Feliksa Nowowiejskiego. Zaś w części drugiej: jej ulubionych Włochów.

Mówiono, że wielki Kiepura, prócz koncertem, zainteresowany był w mieście parcelami. Na Kamiennej Górze lub dalej – na Wzgórzu Focha. Ponoć planował zbudować tu drugą Patrię. Właśnie w Gdyni!

– Cóż to dla niego wystąpić o kredyt i otrzymać go!? Znaleźć współnika. O, Krzysztof byłby świetnym współnikiem!

I ona – rzecz jasna. Od dawna w Kiepurze zakochana.

– Kredyt, współnicy, budowa... – a co słowo, to Krzysztof, wspomnienie chwil jego skupienia, zamyśleń, po męsku podejmowanych decyzji, spokoju i stanowczości. Aż przygryzła wargi, biegnąc spojrzeniem hen, w stronę morza. Z trudem opanowała drżenie podbródka, pochylając się znów ku rozkołysanym w rękę literom:

„Uprasza się społeczeństwo Gdyni o zachowanie ciszy i powagi w czasie trwania koncertu”.

Jeszcze by tego brakowało, żeby ktoś obraził Mistrza!

Czytała dalej:

„Na koncercie obecni będą sprawozdawcy z największych dzienników polskich, angielskich i francuskich”.

Doskonale! Wyobraziła ich sobie: zmierzających w stronę placu Grunwaldzkiego ulicą 10 Lutego. Zachwyconych – jakże by nie – białą, lśniąca potęgą miasta, w którym stanąć mogły dumne transatlantyki budynków Zakładu Ubezpieczeń Społecznych oraz Funduszu Emerytalnego Pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego. Podziwiających klasyczną harmonię banków, matematyczną masywność poczty (a w zasadzie to jej poczty – od dwóch lat jeszcze większej niż kiedyś) i zachwyconych nowoczesnością zalewanych światłem kamienic. Albo stojących u progu skweru Kościuszki, by spod daszku opromienionej dłoni objąć wzrokiem nie tylko kolejne szklane domy, zalesioną górę ponad dachem kościoła, lecz przede wszystkim – i z największym uznaniem – wybiegające w morze moło Południowe. Mogliby też – owi zagraniczni korespondenci – zapuścić wzrok w tunel Świętojańskiej – by zobaczyć, jak niewiele brakuje jej do najwspanialszych ulic ich Paryżów czy Londynów (zresztą: czy brakuje czegokolwiek? – zawahała się... niby czego miałyby brakować?). Lub skierować się w stronę przeciwną i przez plac Kaszubski dotrzeć spojrzeniem do portu: rozumnie mechanicznego (niczym organizm z powieści dziejących się w dalekiej przyszłości), tętniącego swym z pozoru chaotycznym, a jednak doskonale uporządkowanym życiem.



*Budynek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Na parterze Cafe Bałtyk.*

„I jakże to tak?” – zastanowiła się, ponownie zmieniając kierunek biegu myśli: „Wszystko to miałyby lec w gruzach?”. Choćby z tego powodu wybuch wojny wydał jej się naraz absurdalnie niemożliwy.

Zresztą: „wygramy” – przypomniała sobie słowa z radia i gazet, solenne zapewnienia urzędników, ministrów i wojskowych. Owszem, wiele, choć po cichu, mówiło się o potędze niemieckiego przemysłu; a opowiadali zwłaszcza ci, którym dane było odwiedzić miasta na niemieckim Zachodzie (bo nie mogło oczywiście chodzić o Gdańsk – Łucja tylko wzruszyła ramionami; ten jest, owszem, wiekowy i spatynowany, lecz jakże zagracony! gdzież mu do lśniącej nowością Gdyni!). Ale i Polska nie w kij dmuchał, lotników mamy wybitnych, żołnierzy najdzielniejszych, a co więcej: mamy sojuszników. Przyczajonych za Renem Francuzów i gotowych na skok przez kanał Anglików!

Rozejrzała się wokół niepewnie. Niepotrzebnie! Anusia i Antoś już przecież w domu – odprowadzeni przez Michasię. W domu o krok ledwie stąd, w sercu miasta, nie przy samej głównej ulicy, ale jednak – w kamienicy, co się zowie.

Poszukała wzrokiem Franciszka. Choć zwykle ostrożny, z reguły oglądający się nieustannie w stronę matki, teraz spostrzegł Kota i podreptał ku niemu. Pomachała im z oddali, gdy jednocześnie spojrzeli w jej stronę. Wtedy zauważył ją i Adam. I pan Jan. Adam nawet wstał, chcąc podejść, lecz skoro pierwszy pospieszył Konstanty, Grabski zrezygnował.

– Łucjo, zapraszam do nas. Miejsce się znajdzie, ten i ów z wielką chęcią ustąpi! – w drapieźnym grymasie wykrzywił wargi Kot.

Odmówiła grzecznie.

– Być może nie wytrwam do końca – powiedziała.

Zrozumiał.

Dawniej zrobiłaby wiele, by móc usiąść na wprost Mistrza.

Kot zawahał się, jakby nie wiedział, czy powinien nalegać, czy odejść.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Bądź spokojny – uśmiechnęła się. Ostatnie wydarzenia wiele ich do siebie zbliżyły. Już nie czuła się przy nim nieswojo, już nie przerażał jej dziki błysk jego oczu.

Wrócił na swoje miejsce.

– Kiedyż wreszcie zaczną grać?! – zniecierpliwiła się.

Owszem, mogłaby skorzystać z zaproszenia Konstantego, usiąść obok niego, wśród notabli, kupców i urzędników. Porządnych – zmarszczyła nos – obywateli...

W tej właśnie chwili Franciszek znalazł się u boku matki. Ziewał. Jakże podobny do Krzysztofa! Z jego czołem, oczyma, opadającymi w dół kącikami ust.

Wreszcie. Nastrojona orkiestra ucichła przed burzą. Sprężona. Skupiona na chybotliwym koniuszku batuty. Aż nagle uniosła zebranych w górę, rozkołysała leniwą falą, rozmarzyła.

Krzysztof. Zimowe wakacje w Krynicy, jego nieporadność na deskach w Zakopanem... Albo ów nocny rejs do Sopot! Spotkanie krótko po świętach – w roku... dwudziestym... dziewiątym, chyba tak?

– Tak jest, w dwudziestym dziewiątym! – mógłby przytaknąć, skwapliwie jak zawsze, Adam Grabski.

Mógłby i chciałby. Lecz nie musiał. Pamiętała doskonale. Każdy moment tamtego lata, kiedy wszystko się zaczęło.





CZERWIEC

1929

## ROZDZIAŁ 1

### Granica

Do granicy dotarli dobrze po północy. W czerwcu trudno przedsięwziąć wyprawę, której sprzymierzeńcem jest zmrok.

Wilczyński wyłączył silnik. Otaczała ich ściana mrocznych, masywnych pni, w górze ani drgnął baldachim zatrzymujących światło koron, a nisko przy ziemi krzaki jałowca, wylaniające się nieregularnie z ciemności po obu stronach przecinki, zdawały się postaciami pograniczników: przyczajonych, zastygłych i oczekujących na sygnał do świetnie zaplanowanej przeciwko szmuglerom akcji.

– Strachy na lachy – uspokajał sam siebie Wilczyński.

Przez jakiś czas nie działo się nic. Wreszcie w oddali błysnęły reflektory, niczym ślepia leśnego drapieźnika.

– Powoli ruszamy – zakomenderował towarzysz Krzysztofa.

Niespodziewanie motor zakrzuszył się, lecz ostatecznie nie odmówił posłuszeństwa.

– Ręce ci drżą? Mówili, że jesteś dobry.

Bo był, prowadził od lat, żeby tylko w takich okolicznościach.

Trzasnęła gałąź – pod kołami. Z przodu, niczym ich własne, choć zniekształcone odbicie, wyłoniła się furgonetka Niemców.

– Stój!

Ci z naprzeciwka również stanęli.

Partner Krzysztofa wyskoczył w miękką, gęstą trawę, podobnie jeden z tamtych. Przywitali się krótkim uściskiem dłoni i bez zwłoki ruszyli ku tyłowi wysłużonej tatry. Jej szofer za nimi. Na pewien czas zniknęli z pola widzenia Wilczyńskiego, lecz uspokoiły go odgłosy – przytłumione słowa, urywany śmiech, rozdzierające skrzywienie podważanych desek. „Przywieźli skrzynie, jak i my” – domyślił się. A kiedy znowu wychynęli zza wysokiej budy ciężarówki – teraz już w pięciu – pomyślał jeszcze, że z całego grona tylko on jeden nie ma broni.

Przywołany krótkim, stanowczym gestem, dołączył do towarzystwa. Teraz odchylali wieka pak przywiezionych z Polski. Wymieniali zadowolone spojrzenia, poklepując się wzajemnie. Partner Krzysztofa i najważniejszy spośród Prusaków zapalili. Wilczyński pomagał przy przeładunku.

Wszystko odbywało się niemal bez słów. Tylko szofer tatry, kołysząc ciężkim, ogromnym brzuszyskiem, sapał i przeklinał. Pozostali drwili z niego. Krzysztof wycierał spocone dłonie, przypatrując się wesołkom spode łba.

W końcu wybrzmiało zdawkowe pożegnanie, klaskanie zamykanych kabin.

– Ruszaj! – padła komenda.

Wrzucił wsteczny bieg, sunęli powoli. Na wąskiej ścieżynie nie daliby rady zawrócić, a w lusterku ciemniała noc. Dlatego: – Prowadź! – tym razem Krzysztof wydał polecenie. Jego towarzysz stanął w wysokim progu szoferki i oparty o ramę wpółotwartych drzwiczek, patrzył w stronę, w którą sunęli.

– Dobra jest, śmiało! Miałeś pietra? Dalej, dalej! Stój! Teraz kręć w prawo, w prawo!

Manewrując kierownicą, Krzysztof poczuł, jak auto zapada się na moment, lecz zaraz ponownie łapie mocny grunt i wspina zadem ponad niewielki uskok.

– Jeszcze metr, śmiało, dość!

Nareszcie mogli ruszyć przed siebie.

– Będziemy wracać tą samą drogą?

Bez odpowiedzi.

Gdy wąską przecinką dotarli do szerszego przejazdu, z krzaków wychynął ford. Kilka godzin wcześniej wspólnie wyjechali z Wejherowa, w pewnym odstępie minęli Luzino, zatrzymali się przy położonym na odludziu gospodarstwie, zrzucili niepotrzebny już węgiel, załadowali przeznaczone dla Niemców skrzynie, zagłębili się w las, aż wreszcie ciemny kształt forda rozpląnął się, zniknął – przy kolejnym, trzecim lub czwartym, rozwidleniu ścieżek. „Obstawa” – na pół drwiąco pomyślał Krzysztof, mając w pamięci poważne oblicza, a zwłaszcza rozepchane kanciasto – i znacząco! – kieszenie kurtek pasażerów forda (był wśród nich także Kot, który, sądząc po minie, świetnie się bawił). „Pilnowali, by nikt przypadkowo zabłąkany w noc nie podążył naszym śladem... I oby to nie był jedyny środek ostrożności, oby odpowiednie służby zostały odpowiednio – bawił się słowem, smakował je, oblizując przy okazji usta – odpowiednio poinformowane, by tej nocy akurat tego fragmentu lasu i tych konkretnych aut pieczołowicie nie zauważać”.

Rzeczywiście, musiało tak być. Jechali ze sporą pewnością siebie. Najpierw klucząc duktami, później przejeżdżając przez wsie.

Gdzieś się zatrzymali, potem, przy kolejnej stodole, zostawili skrzynie i ponownie nabrali węgla.

– Co to za miejsce? – zapytał Krzysztof Kota.

– Nie musi tego wiedzieć! – wyprzedził odpowiedź jeden z kompanów. Konstanty bezradnie rozłożył ręce.

Furgonetka odjechała pierwsza. Wilczyńskiemu tym razem kazano usiąść w fordzie. Milczeli. Koło piątej minęli Chylonię, Grabówek i dotarli do gdyńskiego dworca. Tu również nie porozmawiali.

– Serwus – rzucił Kot i poczłapał w górę. Krzysztof ruszył w stronę jarzącego się w oddali morza. Przeciął rozległy plac Dworcowy – gdzie miotły aż furczały i kręciło się stanowczo zbyt wielu policjantów. („Czyżby znów wizyta ministra Kwiatkowskiego?” – pomyślał półprzytomnie). W stronę portu, jak co dzień, niestrudzone konie ciągnęły wóz za wozem. Jeszcze kilkaset, potem

kilkadziesiąt kroków. Spać!

## ROZDZIAŁ 2

### Z pompą!

Miała wówczas dwadzieścia dwa lata. Mimo to właśnie ona została wybrana.

– Pani Łucjo, pani nadaje się najpiękniej! – zachwycił się naczelnik.

Dlatego teraz czekała – na niewielkim podeście, otoczona wianuszkami koleżanek, z pulchną poduszką w dłoniach. Na poduszce spoczywały nożyce.

Dostojni goście mieli przybyć pociągiem i w dworcowej restauracji o dziewiątej spożyć śniadanie. Dostojni goście, czyli: Minister Poczty i Telegrafów z Warszawy, Dyrektor Poczty i Telegrafów z Bydgoszczy oraz inni dyrektorzy i naczelnicy wydziałów. Nie licząc całej masy pomocników niższego szczebla, niczym giermków i służby.

Którzy to goście witani być mieli na dworcu z – *nomen omen* – kolei przez: Wojewodę Pomorskiego, Zastępcę Komisarza Generalnego Rzeczypospolitej w Gdańsku, Starostę Grodzkiego, Dyrektora Urzędu Morskiego, Prezesa Dyrekcji PKP, Dowódcę Garnizonu, konsula Francji (bo czemu nie?) i – na samym końcu – przez naczelników otwieranego urzędu. Krótka mowa: *crème de la crème* spotkać miał sam kwiat; aż dziw, że o duchownych jakby zapomniano.

Śniadanie notabli próbował podejrzeć Adam Grabski. Owszem, „Dziennik Gdyński” na uroczystość wysłał wszystkich swoich asów, swe najlepsze pióra, lecz któż zabroni stażysty otrzeć się o wydarzenia tak wspaniałej rangi? Niech się uczy, niech zbiera myśli i słowa.

Podano śledzia w gęstej śmietanowej oprawie, jajka, wędliny, masło, bułeczki i chleb. Podano też wódkę. I kawę.

Grabski przełykał ślinę. Ale jednocześnie układał zdania, jakimi opisać by mógł – gdyby nie było to zadanie dla prawdziwych dziennikarzy – wjazd dostojnego pociągu na gdyńskie perony.

A był to „wjazd podniosły” (tak myślał), „świadczący o uznaniu dla dokonań rodzącego się miasta” (jasna sprawa), i „wjazd przywożący równocześnie poparcie dla starań setek, a może i tysięcy” (tak jest, dobrze będzie podkreślić: „a może i tysięcy”) „ludzkich działań splatających się... – zawahał się – ...splatających się w dzieło...” Aż przygryzł ołówek. „Splatających się w dzieło hołdu oddanego Polsce i Marszałkowi!”

Zmiał kartkę i wyrzucił ją.

Tymczasem strażnicy przepędzali tłum z holu dworca. I na nic tłumaczenia jednego z drugim, że jedzie do Zoppot, czeka na skład w stronę Bydgoszczy, mamusię odprowadza na pociąg do Tczewa. Grabskiego też wypchnięto, i dobrze, bo dzięki temu zobaczył, z jak wielkim animuszem ci, których przepędzono, gnali teraz na złamanie karku, by wbić się w ciżbę zaglądną przez okna do wnętrza dworcowej restauracji. Głód obcowania z dostojnością był, widać, w narodzie

wielki; lecz można też było sobie wyobrazić, z jak wielkim trudem przychodzi urzędnicze przelykanie, gdy ów naród tak nachalnie wpatruje się w każdy kęs! Cóż, służba nie družba.

A Łucja czekała. U stóp nowej poczty, która właśnie dziś doczekać się miała uroczystego otwarcia. Była to budowla majestatyczna, ogromna, jakiej w Gdyni jeszcze nie widziano. Z zewnątrz z pozoru niedostępna, niczym starożytny zamek, ze zwartą zabudową murów, przeredzianą równo odmierzonymi sekwencjami okien. Z wielką bramą pośrodku – wysoką niczym na potrzeby greckich gigantów. I z masywną wieżą od zachodu, zwieńczoną na dwie strony nowoczesnymi, bo pozbawionymi wszelkich ozdobników, zegarami.

Mówiono, że to najnowocześniejszy urząd w kraju. Czyli bardziej niż te w Grudziądzu, Toruniu, Stryju czy Krakowie, Warszawie, a nawet we Lwowie. Odtąd wiadomości nie miały tu czekać ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Elektroniczna rozdzielnia – brzmiało to dumnie, pachniało prawdziwie nowoczesnym, dwudziestym wszak stuleciem! Podobnie jak działająca od kilku tygodni automatyczna centrala telefoniczna: koniec z kręceniem korbką, sygnał, gdy tylko podniesiesz słuchawkę, jak dżin z butelki, natychmiast pojawiał się sam!

Z drugiej strony: ileż było do tej pory narzekań – na to, że dawna poczta w Gdyni skazywała obywateli na dalekie i momentami niebezpieczne wędrówki za tory, za Szosę Gdańską, pod Budapeszt, pod las. Krążyło nawet złośliwe powiedzenie o pielgrzymowaniu na pocztową górę. Łucja dobrze poznała humory i pretensje owych pielgrzymów: zasapanych, zżymających się, a niekiedy solidnie przestraszonych (z drugiej strony zadowolenie biedoty, która właśnie za torami i na górce mieszkała, a więc na pocztę miała blisko, nikogo specjalnie nie obchodziło). Nie przypadkiem tereny za szosą zaliczało się do bardzo dzikiego zachodu miasta, gdzie zgodnie z opowieściami mieszkańców terytoriów cywilizowanych zdarzały się – choć nie co dzień – napady, rabunek i gwałt.

Lecz wreszcie koniec z tym, koniec z pielgrzymowaniem. Niech nastanie postęp i niech się święci nowa poczta w Gdyni!

Tymczasem i tu, na 10 Lutego, powstało zbiegowisko. Raz, że każdy czasem lubi popatrzeć na ministrów. Dwa, że w młodym mieście tłok potrafił powstawać z niczego. I na nic zdały się apele rządowych instytucji: obywatele, nie ściągajcie do Gdyni, gdyż plotki o czekającej na was rzekomo pracy nijak się mają do rzeczywistości; po prostu na nic! Obywatele ściągali, a że zajęcia znaleźć nie mogli, więc szwendali się, rozglądali i nudzili (przynajmniej do czasu, gdy na dobre nie dopadał ich głód; wtedy albo uciekali na powrót na południe, albo też do głów przychodziły im nie zawsze rozsądne pomysły).

Krzysztof stał wraz z innymi. Po ledwie dwóch, może trzech godzinach snu obudził go codzienny jazgot dzielnicy portowej, a zwłaszcza tłukąca się za ścianą Gierszewska. I choć może spróbowałby jeszcze poprzewracać się z boku na bok, to

nagła myśl, by domagać się od Kota wyjaśnień, prędko postawiła go na nogi. Popędził zatem i już dawno by go tu nie było, gdyby nie ten jeden jedyny rzut oka na stojących na podeście urzędników. Oto dostrzegł wśród nich Łucję, zawahał się i przystanął. A potem ruszył stanowczo w głąb zbiorowiska, by po chwili energicznego lawirowania stanąć możliwie jak najbliżej. Wpatrzony.

Wtem jakiś cwaniak w czapce z krótkim daszkiem trącił go w bok.

– Minister, panie szanowny, szkoda, że nie ten, co to z taką ochotą budował!

Koledzy cwaniaka zarechotali.

– Szacunku, młody człowieku – zasapał gniewnie w odpowiedzi jegomość znad zawiązanej ciasno i wyraźnie pijącej go muchy.

– Patrzcie, jeszcze go broni! – cwaniak tylko na to czekał. Miał wielką ochotę znaleźć się w centrum wydarzeń, zabłysnąć, brylować. – Pan szanowny może z takim interesy robił?

Koleżkowie posłusznie złapali się za brzuchy. Tak się śmiali!

A chodziło, oczywiście, o poprzedniego ministra – Miedzińskiego. Odwołanego ze stanowiska ledwie kilka tygodni wcześniej.

– Pan znasz oczywiście sprawę, panie szanowny, kto by nie znał? – mężczyzna w kaszkiecie ponownie trącił Wilczyńskiego, zawiedziony wyraźnie tym, iż sapiący i domagający się szacunku – choć nie wiadomo właściwie dla kogo – starszy pan wycofywał się już teraz, posyłając wzrokiem ostatnie i z każdym oddalającym go od cwaniaka krokiem, coraz bardziej wyraziste gromy.

– Panie szanowny, mówią, że więcej ten gmach kosztował niż opera w mieście Paryżu; tak czy nie?

Tak mówili źli ludzie, Krzysztof ani myślał zaprzeczać.

– Budżet przekroczony dziesięciokrotnie!

– A ile cementu nakradli? – odwrócił się z nienacka niziutki człowieczek ze szramą na policzku i w kurtce charakterystycznej dla dokerów portowych. – Wiem, bo widziałem, robiłem wtedy na kolei.

– I żelaza!

– I drewna!

Tak było.

– A mimo to, przyznajmy, budynek piękny! – mogli się tylko śmiać. By zaraz podchwycić wątek budowanych równolegle z pocztą dyrektorskich willi w Orłowie, a potem przeklinać bezsilnie akcjonariuszy spółek i spółeczek, którzy jako przyjaciele budowniczych z takim trudem, bo bez śladu doświadczenia i bez odrobiny wymaganych umiejętności, a za to z wielkim szczęściem do wygrywania przetargów, zarobili w Gdyni na bułeczkę z kawiozem.

– Zaufany ministra to budował, Ruszczewski, dyrektor.

– A na kontach tysiące!

– Setki tysięcy!



- Działki – mówią – i tu, i tam!
- Parcele, kamienice!
- No niechżeż ich diabli wezmą!

Wilczyński narastającemu podnieceniu nie ulegał. Patrzył za to na Łucję: w białej bluzce zwieńczonej kunsztowną granatową koronką, z kasztanowymi włosami spiętymi tuż nad delikatnymi krągłościami uszu, z oczyma... No właśnie: czy były zielone? A może jednak piwne? Stał blisko, lecz nie potrafił rozstrzygnąć.

– Na szczęście go odwołali... – to znów o szczerym ministrze–budowniczym.

– Że niby za to? – wykrzyknął cwaniak w kaszkiecie, wskazując na gmach.

– A nie?

– Panie, nie bądź pan dziecko! Widocznie innym w machlojkach przeszkadzał, to i go wreszcie usunęli.

– Taki jeden ich wsypał – znów wtrącił świetnie poinformowany człowieczek z blizną. – Machajski, inżynier.

Spojrzeni zainteresowani.

– Widząc szachrajstwa, ten Machajski do ministerstwa pojechał ze skargą. Znaczy do ministra Miedzińskiego donieść na Ruszczewskiego. A nie wiedział, że to koledzy są – opowiadający z przejęcia aż przełknął ślinę. — No to minister myśli, dobra nasza, i – uważajcie panowie – na kontrol w sprawie Ruszczewskiego przysyła – uważajcie panowie, powtarzam – samego imię Ruszczewskiego! Znaczy, żeby Ruszczewski sam siebie skontrolował, niepokalana lelija!

Tym razem zaśmiali się wszyscy. Krzysztof razem z nimi.

– Ale on się uparł, ten Machajski, i wreszcie dopiął swego. Może posiedzą jeden z drugim, może będą musieli oddawać?

Spluwali pod nogi, kręcąc głowami. Za to Łucja strasznie się czerwieniła. Ze wstydu i gniewu. Bo wszystko słyszała. I zła była, że akurat teraz, w tak uroczystym dniu, muszą o tym mówić. Ale i wstydziła się – nie tylko jako pocztówka – za wszelkie przewiny oszustów. Szkodzących Polsce i Gdyni.

Krzysztof czujnie wyłowił jej rzucane co rusz nerwowe spojrzenia. Zrozumiał. Skinął cwaniakowi głową i uciekając z łoży szyderców, przesunął się o kilka kroków w lewo.

Teraz widział ją nawet lepiej: z falującą piersią i, od czasu do czasu, oblizującą bezwiednie usta.

Aż wreszcie zakurzyło się u wylotu ulicy. To ministrowie, dyrektorzy i dziennikarze, spożywszy, co mieli spożyć – ku chwale Ojczyzny – zmierzali wreszcie do celu swej wędrówki.

Adam Grabski znacznie wyprzedził powolną kolumnę. Po pierwsze, mógł w ten sposób zająć korzystną pozycję, by jak najlepiej zrelacjonować euforyczną reakcję obywateli na widok przedstawicieli władz. Po drugie, spodziewał się

zobaczyć Łucję.

Miał szczęście: oto stała w stadku przypominającym przestraszone kuropatwy (co zanotował w myślach, nie sięgając po notes). Jakże piękna tego dnia! Wtem! Niesforny kosmyk wymknął się spod uścisku spinki, a Łucja dogoniła go błyskawicznym ruchem. Grabski stał jak urzeczony. Dostrzegł też owo spojrzenie, rzucane co rusz w tłum. Chciał, by i jego wypatrzyła, by się może zdziwiła jego widokiem, nawet lekko wyduła obrażone usta, lecz ostatecznie uśmiechnęła przyjaźnie. Wyobrażał to sobie doskonale.

Łucja zaś przyzwyczajona była do natarczywych męskich spojrzeń. Nie były niczym wyjątkowym w Gdyni zaludnionej przez nieprzebrane rzesze w większości samotnych poszukiwaczy złota. A jednak: wzrok tego mężczyzny wręcz ją przeszywał. Petent? Czyżby nie-najuprzejmiej-obsłużony petent? Wyglądał w każdym razie na wielkiego zbója. Jednego z tych, których nachalne spojrzenia tylko w filmach – takie zresztą lubiła: z czarnymi charakterami – można było traktować lekce.

Nieco zgarbiony, na co zawsze patrzyła z niechęcią, w skórzanej kurtce i z mroczną twarzą, spowitą cieniem rzucanym przez nazbyt na jej gust szerokie rondo kapelusza. Poprawiła kołnierzyk, a on z jej gestu nie uronił ni krzty. Miała ochotę zgromić go wzrokiem. Lecz o dziwo, zamiast tego, zapytała koleżankę Goeszke: czy karty pocztowe nadawać się będzie z tego samego okienka co przekazy? Zdumiona Goeszke wytrzeszczyła oczy – wszak tyle razy było już o tym mówione!

Adam Grabski przecesał dłonią nieco przerzedzone jasne włosy. Swoją drogą śniadanie mistrzów przeciągnęło się i słońce stało wysoko; pożałował braku kapelusza.

A tamten wciąż się wpatrywał!

Na szczęście raz-dwa mogła o nim zapomnieć. Oto minister i dyrektorzy stanęli wreszcie u schodów gmachu, wysłuchali powitalnych słów naczelnika Gronka i teraz nadeszła jej, Łucji, długo wyczekiwana chwila. Zarumieniła się, wbrew wcześniejszym obawom nie wywróciła się (bo niby dlaczego?), dygnęła i – „dzień dobry” – błysnęła tekstem spoza scenariusza. Zalśniły nożyce, wstęga opadła i koniec. Koniec uroczystości plenerowych, proszę czekać, pani Łucjo, na telefon od impresario z wytwórni filmowej Sfinks, a tymczasem magnaci niech wkroczą, znudzeni, do środka.

– Prasa! Jestem przedstawicielem prasy! – wciskał się za nimi Grabski.

Wewnątrz pałeczkę przejął proboszcz Turzyński. A jednak! Wcześniej go nie było, teraz się jednak odnalazł. Świecił z zapalem i nader wprawną ręką (trzeba albowiem pamiętać, że niewiele było w mieście budynków, których opiece Wszechmogącego nie polecał właśnie on, szczęśliwy szef duszpasterzy nadbałtyckich terenów misyjnych – w tym względzie kontynuował dzieło

Krzyżaków – lub, inaczej mówiąc, środkowoeuropejskiego eldorado, gdzie tak wiele wciąż powstawało do ochrzczenia).

Po balecie księdza przemówił minister:

– Ileż myśli tłoczy się do głowy, gdy wypowiadamy, zdawałoby się, niewiele mówiącą nazwę: Gdynia. Przez szereg bowiem wieków Gdynia była istotnie niewiele mówiącym słowem...

O, retoryczna doskonałości! Brawo!

– ...była to wieś nad morzem, wioszczyna, a wielkie rzesze Polaków nawet nie słyszały o tej Gdyni...

Obok Grabskiego ktoś ziewnął. To jeden z członków świąty rządowej delegacji – jechali wszak z Warszawy bardzo długo: przez Bydgoszcz i przez noc.

– ...dotąd wydatkowano... Spójrzmy, co wykonano... Wykonano bardzo dużo, a wykonamy znacznie więcej... Gdy uwierzymy... Bo bez morza Polska istnieć nie może, albowiem to morze jest jej płucami, którymi oddycha wolną pierśią, poprzez morze ku dalszym i najdalszym narodom. Gdynia jest i będzie po wsze czasy naszą, bo tak chcemy, jako wolny naród, jako wielki trzydziestomilionowy naród.

Znów brawa. W pełni zasłużone. Bite ministrowi, ale i samym sobie. Swej trzydziestomilionowej wielkości.

– My, poczciarze, nie pozostaliśmy w tyle!

Aplauz! Jeszcze większy!

– Zbudowaliśmy tu wielki piękny gmach w potężnym polskim porcie.

(I ani słowa – rzecz jasna – o szanownym poprzedniku).

– Każdy Polak mieszkający w Gdyni, każdy urzędnik tu pracujący, musi pamiętać, że stoi na bardzo ważnym posterunku, broniącym potęgi Polski, posterunku wysuniętym, na który zwracają się oczy całego świata...

Łucji szczerze podobały się usłyszane słowa. Tak jest, czuła się dumna i wyróżniona. Wierzyła, że wespół z koleżankami i kolegami tworzą prężny, młody i wspaniale służący ojczyźnie organizm. A wszystko w niespełna dziesięć lat od chwil, gdy barbarzyńskie hordy plądrowały ziemię na wschód od Wisły i Bugu. Czego efekty widziała wszak na własne, niewinne do pewnej chwili, oczy.

– Pod twoją opiekę, dyrektorze okręgu, oddaję ten piękny gmach, opiekuj się nim i pouczaj podwładnych... – dudniło w wysokiej sali, odbijało od marmurów, tańczyło wśród kryształowych sopli żyrandoli.

– Pod twoją opiekę... – powtarzała odruchowym szeptem Łucja.

Grabski nie notował, nie słuchał nawet. Wpatrywał się w lśniące oczy Łucji i czuł – wyraźnie, w uniesieniu – że jej szczęście jest również jego szczęściem.

## ROZDZIAŁ 3

### Budapeszt

Wzniosłe szczegóły pocztowej uroczystości przestały Krzysztofa interesować w tej samej chwili, gdy Łucja zniknęła mu z oczu. Ani myślał zwiedzać urzędu od środka. Minawszy tory i Szosę Gdańską, wspinał się wkrótce zboczem Budapesztu. Szczęśliwie dawno nie padało. I choć krok po kroku w powietrze wzbijał się kurz, za to nie trzeba było brnąć przez oblepiające buty błoto lub omijać spływających chaotycznymi strumieniami potoków.

Budapeszt to były budy. Klecone byle jak i z byle czego, z kawałków blachy, papy, kradzionych desek, resztek przywleczonych z portu skrzyń, a na koniec – z rzadka – z cegieł. Bez planu i bez fanaberii trzymania się wytyczonych (bo niby przez kogo?) ulic. Skoro nawet poniżej, wokół Starowiejskiej, 10 Lutego czy Świętojańskiej nie ukończono jeszcze sieci sanitarnej i wodociągowej, trudno było marzyć o nich tu, pod lasem. A i tak ci, którym udało się postawić swe domostwa w Budapeszcie, mogli się czuć szczęśliwi. Owszem, mniej od mieszkańców leżącego tuż przy porcie Pekinu. Lecz w porównaniu z tymi z chyłońskiego Meksyku, Wzgórza Bernarda na Grabówku czy położonych jeszcze dalej osiedli na Obłuzu, Oksywiu czy w Małym Kacku – mieli raj. Bliziotko, z widokiem na morze. O, zwłaszcza nim lubili się karmić!

U Kota, w dość wysoko położonym punkcie osiedla, było tak: w centrum niewielka budowla ceglana (gdyż Kot sroce spod ogona nie wypadł). Z drzwiami, oknem, pokryta lekko opadającym (luksus – że opadającym!) dachem. Tam mieściła się kuchnia, królestwo Starej. Od kuchni na obie strony odchodziły nieco niższe, przykryte papą dobudówki. Lewa, mniejsza, służyła za sypialnię Starym. Prawa, większa i wychodząca o dobry metr poza linię wyznaczoną przez front pozostałych budowli – Kotu, Hance i dzieciakom. Od tej pory ciągi zabudowań – na jednym i drugim końcu – łamały się w stronę furki, tworząc niezgrabną, lecz wymuszoną kształtem działki podkowę. I tak od strony starych przykleiła się do całości niewielka drewniana komórka na węgiel. Do niej wyższy od poprzedniczki, chwiejący się przy silniejszym wietrze, warsztat Starego. Na koniec – budka na króle. No i jeszcze rusztowanie – niekształtne i niezgrabne, przytrzymujące stertę mających wyraźną tendencję do rozsypywania się desek.

Po stronie Kota i Hanki ekspansja zatrzymała się na chwilę. Być może nawet na dłuższą, na zawsze. W efekcie lewe ramię podkowy zamykał jedynie (albo: aż!) fundament i kilka pierwszych rzędów cegieł. W zamiśle Kotu marzyły się salony, pokoje dla Władka i Włodka. Lecz jakby zabrakło mu energii, odcięło prąd (swoją drogą: żart szczególnie okrutny w tej pozbawionej elektryczności okolicy), jakby inne myśli, rozległe plany zawładnęły wolą lub czasem projektanta i budowniczego w jednym. Mimo to do cegieł i tak udało się doczepić lokum dla ostatniego

niewymienionego do tej pory lokatora posesji. Kot nazwał go Czaplinem. Bo nie dość, że czarny był ten Czaplin i z białym gorsetem, to jeszcze powłóczył tylną łapą i choć na pierwszy rzut oka budził wesołość, szczekając radośnie, to po chwili zastanowienia napawał obserwatora pełnym melancholii smutkiem.

I jeszcze nieco na uboczu służbę wartowniczą pełniła wieża sławojki, a od frontu, tuż przy ścieżce zastygł przyniesiony nie wiedzieć przez kogo olbrzymi głaz.

– Prawdziwy pałac – powtarzał Krzysztof (w głazie dopatrując się symbolicznego grobowca nieznanego protoplastów rodu Kotkowskich), co Kot za każdym razem uściślał: „Jak w Nieświeżu”. Bo i niewiele do pałacu Radziwiłłów brakowało: ot, frontowej galerii (jej rolę spełniać musiał na razie rozchwiany upojnie płot), ewentualnie barokowej bramy z dzwonnica – o ile komuś nie wystarczała ryjąca w ziemi obłuzowaną deską furtka.

Z Kotem powitali się zdawkowym „czółem”, nad wysuszoną dłonią Starej pochylił się za to z namaszczeniem. Hankę cmoknął w policzek. Chłopcy krzyczeli na widok „wujka”, a ten wyjął z kieszeni odliczone na równe porcje cytrynowe cukierki. Był tu lubiany. Stara powtarzała nawet z żalem, że skończą się te regularne wizyty, gdy tylko myśli Krzysztofa omota jakaś ślicznotka. „Nie może być, nigdy!” – oponował. I zawsze chwalił to, co ugotowała. „Z biedy wszystko, ot co, nie ma nad czym dziwować” – odpowiadała, mimo wszystko zadowolona.

Tego dnia bez zbędnych słów zabrali się do pracy. Jak zostało to już powiedziane, warsztat Starego trzymał się ledwo, ledwo, należało go wzmocnić.

Zakasawszy rękawy, przebierali w stercie uzbieranych nie wiadomo gdzie i kiedy dech, desek i deseczek, przymierzali je do ścian, przycinali, gdy było to konieczne, a potem przybijali z namaszczeniem wzdłuż i w poprzek ścianek szopy. Ponieważ przestraszone króle kuliły się w klatkach, zawołani przez Konstantego chłopcy wynieśli je na splechetek trawy przy płocie. Wtedy oczywiście z podniecenia oszalał Czaplin, Stara pokrzykiwała na wszystkich przez otwarte szeroko okno, a Hanka, przewracając teatralnie oczyma i łapiąc się za głowę, uciekła do sąsiadki. Chwilę jeszcze trwało, nim mogli porozmawiać.

– Co to właściwie było, Kostek?

Przyjaciół wruszył ramionami. Mówić nie mógł, przytrzymując wargami łebki gwoździ. Lecz Krzysztof nalegał:

– Mówiłeś, że pojedziemy do Zoppot, do Wolnego Miasta.

– Zmiana planów.

– To zauważyłem, Kocie, to zauważyłem.

Dzieckiem nie był. Swoje wiedział, bo wiele widział, a jeszcze więcej przeżył. Tu, potem w Rydze i wzdłuż wybrzeża Bałtyku. A jednak to, co wydarzyło się poprzedniej nocy, nie dawało mu spokoju. Zgodził się, dał wynająć, ufając Kotu, lecz potem zdziwił. Graniczne randki w świetle księżycy to, jak kraj długi

i szeroki, rola mrówek. To one i tylko one zbliżają się do granic – przytłoczone baniakami, obciążone workami i skrzyniami – one drżą, kryją się, przemykają, ryzykują. By docierać (lub nie!) na drugą stronę, by przenikać z bagażem bogactw świata całego do wiejskich dziupli, stodoł, ziemianek czy piwnic, w nich zostawiać towar, odbierać mizerną zapłatę i znikać w braku znaczenia dla świata. Dystrybucja towarów, o, to rzecz zupełnie inna. Z dziupli – do sklepów przy najpiękniejszych ulicach najwspanialszych miast. Z łap na wpół dzikich, wiejskich hurtowników, w pulchne paluchy prawdziwie grubych ryb. Ryzyko małe, wysiłek niewielki – i tego się właśnie Krzysztof spodziewał. Tymczasem najpierw długo czekali w Chyloni, potem zamiast na południe ruszyli w stronę przeciwną, by wreszcie, kręcąc i klucząc, dotrzeć do samej granicy. Co niosło za sobą naprawdę spore ryzyko!

– To chłystki, gówniarze – po dłuższej chwili odezwał się Kot. – Pewien ważniak żeni się. Jego chłopcy chcą być mili. Ale to pętaki. Potrzebowali kierowcy.

Krzysztof pocierał palcem nos.

– Czy dobrze rozumiem: pętaki na co dzień pracują dla ważniaka, kontrolując jego przygraniczne interesy, lecz teraz postanowiły zrobić coś za jego plecami?

– Zależy im na niespodziance. Zresztą nie ukradli jego towaru, a zamówili inną partię. Widzisz różnicę?

Krzysztof, owszem, widział ją i doceniał, lecz mimo to zmarszczył czoło:

– Sęk w tym, żeby ważniak nie uznał naszej wycieczki za nazbyt wielką samowolę i próbę wydeptywania własnych ścieżek.

– To chłystki, mówiłem ci.

Wilczyński przypomniał sobie ich groźne miny i również groźnie wypchane kieszenie.

– Mieli broń?

– Jakżeby nie? – zdumiał się Konstanty. – Choć wątpię, by potrafili się nią posługiwać – wyszczerzył kły, wielce z siebie zadowolony.

– Nie boisz się takich jak oni, co?

– A ty?

Krzysztof również się nie bał.

Kotkowski z Wilczyńskim. W kabarecie mogliby występować, pan Tuwim by mógł o nich pisać. Flip i Flap, Szczepcio i Tońcio. Nie w kabarecie się jednak poznali i długo by o tym mówić.

– Nie warto w ten sposób ryzykować, Kocie – podsumował Krzysztof.

– Pamiętam, wciąż mi o tym przypominasz.

Swoją drogą, myślał, że chodziło o eter – tak łąpczywie pożądanym przez wielu; rozrabiali ów eter w kawie lub chłęptali bezpośrednio, kropla po kropli,

starannie odmierzając dawki szczęścia.

– Jedwabie, koronki, może biżuteria... – wyliczał jednak Kot. – W drugą stronę: kawa, kakao, przyprawy. Byle co.

Jeszcze jedna decha, jeszcze kilka gwoździ. Wreszcie – szopa zdawała się ani drgnąć.

– Oby szczęśliwy żonkoś nie zechciał mieć pretensji – podsumował Wilczyński. A gdy już chciał się żegnać, Stara załamała ręce: – Zostań, specjalnie dla ciebie przygotowałam... – prosiła. – Kostja, powiedzże coś!

Długo nie dał się namawiać. Usiedli na kamieniu.

– Twoje dwieście złotych.

Za jedną noc – fortuna.

– Nie warto, Kocie, nie tędy droga! – powtórzył Krzysztof i teraz zabrzmiało to fałszywie.

Patrzyli w stronę dalekiego morza. Na redzie statków nie brakowało, kolejny, obciążony do granic wytrzymałości, sunął leniwie na południowy wschód, by wkrótce obrócić się ku północy. Znad nabrzeża węglowego w górę wzbijał się rytmicznie chwiejny tuman – niczym dym z marynarskiej fajeczki.

– Trudno uwierzyć.

– Słucham? – nie zrozumiał Krzysztof.

– To nasze dzieło. Również nasze. Port, miasto.

– Oczywiście – mrugnął porozumiewawczo Wilczyński. Kot przeciągnął się, zagwizdał *La Palomę*.

Nadchodził Stary, wspinając się wzgórzem. Wnukowie wybiegli dziadkowi naprzeciw, ten mocno ścisnął dłoń Krzysztofa. Gdy Kot włożył mu do ręki „parę złotych na tytoń”, Stary obruszył się:

– Myślisz, że co, że ja w porcie nic nie robię, nie zarabiam?

Kot tłumaczył:

– Zarabiasz i matce oddajesz. A to tak, wiesz, między nami, ojciec...

Stary aż węża podkręcił i rzucił okiem na Krzysztofa, czy ten aby dostrzegł – i docenił – jak wspaniałym zięciem jest Konstanty. Po czym zwinął banknot do kieszeni.

– Zapalmy!

Zapalili.

– Na razie pomorskie. Następne rarytasy kupię.

Prosta sprawa, niby o grosz więcej za sztukę, lecz kto bogatemu zabroni.

– Grandprix ojciec kup, madeny albo aristony!

– Rarytasy – powtórzył stary. – Mówią, że pięćset złotych będą płacić, jak kto natrafi na gilzę z podobizną Marszałka.

– Pięćset złotych?

– Tak mówią.

- Może i tak.
- Spróbować w każdym razie nie zaszkodzi.
- Trudno się było nie zgodzić.
- Jak szopa? – zapytał ojciec syna.
- Będzie? – Kot spojrział na Krzysztofa.
- Powinna być.
- To i dobrze. Dziękuję.
- Drobnostka, proszę pana.

Palili.

Przy obiedzie, rzeczywiście wspaniałym, bo Kostek, wykorzystując solidny dopływ gotówki, już o świcie zdążył wyprawić Hankę na targ (stąd na stole znalazł się ożywczy chłodnik, a po nim pieczeń z młodymi ziemniakami), Starą wzięło na wspomnienia.

- Razem przyjechali...
- Nie razem, matka, bo osobno! Tutaj się dopiero poznaliśmy.
- Tyś poznał Hankę, Krzysztofowi szczęście nie dopisało.
- Niestety.
- Razem poszliście na morze...

A obwieszczała wszystko tak, jakby nikt z obecnych nie znał opowiadanej po raz nie wiedzieć który, a przede wszystkim ich własnej, historii.

- Gdzieście to byli?
- Gdzieśmy nie byli, droga pani! Byliśmy w Finlandii, Estonii, Szwecji, również w Danii, w Niemczech, w Anglii nawet.
- A czemuś ty dłużej został?
- Kostek miał do kogo wracać. Ja? Cóż...
- Angielki szukał! – huknął pełną pierśią Stary. – Bo Niemki aby nie, a?

Pośmiali się, pożartowali. Po kieliszku wypili. Baczewskiego, „Górskiej”, z szarotką na etykietce. Aż się jej Krzysztof przyjrzał dokładnie.

- Nie obrażaj mnie, przyjacielu! – zaperzył się Kostek. – Prawdziwa! Zrobiło się późno.

– Jeździsz w niedzielę? – zapytał Stary.

– Ach, żeby tak i Kostek stałą pracę znalazł!

– Jeżdżę – odparł Krzysztof. – A z Kostkiem wkrótce coś wymyślimy, znajdziemy mu stałe zajęcie.

– Tęgie głowy, nie może być inaczej!

– A nie wstąpiłbyś aby na parafię? – Stara aż złożyła ręce. – Intencję Hanka napisała, za prababki duszę, a mnie daleko.

Cóż robić, choć z parafią nie było mu po drodze – ucałował ręce i poszedł. Pogwizdując. Z nadzieją, wartą wizyty w parafii, że gdzieś tam – właściwie nie wiadomo gdzie – nad ich głowami nie zbierają się chmury. Za wejście w drogę



komu nie trzeba. Mimo że w prezencie i z najlepszymi życzeniami.



*Budynek poczty, w tle dawny Dom Kuracyjny.*

## ROZDZIAŁ 4

### Grzesznica

Jakże długi to był dzień!

Po zakończeniu uroczystości, po toastach w zaciszu gabinetów i po tym, jak goście udali się zwiedzać port, znów jeść, słuchać wiwatów i przemawiać, urząd rozpoczął swe normalne życie. Jak w Madrycie, w porównaniu z klitką przy Warszawskiej.

Petenci, trzeba przyznać, umieli się dostosować. W progi gmachu wstępowali jeszcze z impetem, przepychając się często i nie ustępując w drzwiach, lecz potem ulegali powadze i potędze miejsca: jedni otwierali usta, inni unosili głowy, stawali bezradni, kręcili się wkoło lub przestępowali z nogi na nogę. Zaskoczeni światłem lejącym się z przeszklonego sufitu, strzelistością kolumn i szerokością lad. Aż pracownicy pęcznieli z dumy w swych obszernych boksach. Wiadomo, oni byli tu gospodarzami, czuć się mogli u siebie, mieli to miejsce oswojone – co prędko dawało się poznać w stanowczych komendach ponagleń („śmiało, proszę do okienka!”), pouczeń („telegrafy przyjmujemy w innym dziale!”) i uwag na poły prywatnych, a wymienianych teatralnym szeptem pomiędzy stanowiskami, gdy klient mozolił się nad drukiem, dajmy na to, przekazu („Tym na dworze – nie zazdroścę! Gorąc taki... A tu chłód! Prawda, Łucjo, zgodzisz się?”).

Onieśmielony interesant to interesant najlepszy. Kropka.

I tylko Łucja przeżywała zawód. Oto prysnąć miało jak bańka mydlana ciche dziewczęce marzenie: otrzymać stanowisko. „Kierowniczka zmiany” – myślała. Chociażby! Lub wręcz nawet na piętrze, wśród innych zwolnionych z kontaktu z petentami, a zajmujących się sprawami wyższej wagi...

Wszak tyle musiano przyjąć nowych osób. W starej placówce pracowała ich garstka, teraz rąk potrzeba było więcej – może nawet tyle, ile w Komisariacie Rządu, tyle co na kolei, portu jedynie nie licząc; no, ale port, wiadomo, oczko w głowie, kolej to kolej, a po nich już tylko poczta. I tak powinno być!

Tymczasem najpierw wyprzedziła Łucję koleżanka Goeszke. Już na kilka tygodni przed otwarciem nowego gmachu niemal w nim zamieszkała, zyskując bezwzględną przewagę w umiejętności poruszania się w labiryncie – dosłownym i nie tylko – urzędu. Nie odstępując kierownika na krok. Aż się Łucji zdarzyło z tego wszystkiego zapłakać! O nie, nie z zazdrości o przełożonego, całkiem przystojnego, zwłaszcza w jasnym garniturze, w którym pokazywać zaczął się w maju; ale też niemłodego... Więc nie, nie z zazdrości! Lecz kto to widział, by męzatka tak nachalnie zabiegała o względy, tak łapczywie wstawiała nogę w drzwi – ryzykując obmowę w zamian za przyszły prestiż i dochody. Łucja by sobie na to nigdy nie pozwoliła!

Z drugiej strony nieobecność naczelnika (oraz koleżanki Goeszke) na pocztowej górcie miała i swoje zalety. W ten sposób Łucja – z dwuletnim wszak stażem – sprawowała tam *de facto* obowiązki kierownictwa. Ile się nasłuchiwała, ile nadenerwowała, to jej. Niemniej: furda trudy, gdy spodziewać się można było nagrody!

Ale nic z tego. Mijały godziny. I nic.

– Głupia! – besztiała sama siebie, nie przestając uśmiechać się do klientów. Tylko usta jej drżały w kącikach i niejedną pomyślał, że przepiękna panienka za chwilę się rozpłacze.

Swoją drogą jakby wszyscy się zmówili. I ci, co budowali, robotnicy z rusztowań kamienic i portu, i ci, co budowami zarządzali – z biur oraz inspektoratów, a wreszcie i ci, którzy o wszystkim decydowali – przedsiębiorcy, inwestorzy, wysocy urzędnicy. Oraz ich kochanki, żony, gospodynie i matki. Wszyscy, dosłownie wszyscy chcieli dziś wysłać: a to pozdrowienia, a to telegramy, powiadomienia, życzenia, przesyłki, paczki i pieniądze.

Aha! Ta Goeszke również niczego sobie nie wychodziła! Plotka wręcz taka dotarła do Łucji, iż sprawą całą zainteresowała się żona naczelnika – uruchomiona wysłanym pocztą, chi, chi, anonimem. Zaś wszelkie stanowiska przeznaczone okazały się dla panów, przybyszów z dyrekcji bydgoskiej, z Tczewa lub Wejherowa. Ot, i wszystko. Próżny kobiecy trud. Czowała się zawiedziona i zła.

Ale gdy wyszła wreszcie na ulicę – wysłuchawszy uprzednio relacji z wizyty ministra w porcie i w Orłowie (gdzie wkrótce otwarta zostać miała kolejna pocztowa placówka) – zapomnieć musiała o przeżytych radościach i troskach. Bo oto stał. On, zbój! Ten sam, który tak nachalnie przypatrywał się jej w trakcie porannych uroczystości. Nonszalancko oparty o karoserię, niby niezainteresowany niczym – albo nikim, rozmawiał z kierowcą autodorożki. W jednej chwili przypomniała sobie te rozwodnione jasne oczy. Niezainteresowany! Dobre sobie! Korciło ją, by jakoś się zachować. Nie wiedziała jak. Podejść, wziąć tę właśnie autodorożkę? Lub tylko przejść tuż obok, rzucając wyzywające spojrzenie? No nie, na pewno nie wyzywające! Najlepiej zatem uciec. Spojrzała w lewo – w stronę Święto Jańskiej. Szmat drogi. Na szczęście ludzi całkiem sporo. Dobrze zatem będzie trzymać się głównej ulicy, na niej nic nie może się zdarzyć. Najgorzej zaś stać w miejscu, jak teraz, bo jeszcze Zbój pomyśli sobie, że to specjalnie! Ech, czemuż nie opuściła gmachu w towarzystwie? Po co było tak się spieszyć, gdy inni pieczołowicie wypełniali dokumenty, porządkowali szuflady, powoli układali ołówki, ekierki i liniuszki?

Ruszyła w upatrzonym wcześniej kierunku. Oczywiście nie biegiem, by nie zwracać na siebie uwagi. Za to szybkim krokiem. Omal nie potykając się o własne nogi i zdzierając czubki pantofli, gdy uderzała nimi o trotuar.

Zaś Krzysztof nie mógł się uwolnić:

– Buick to jest, panie, auto! – perorował kierowca autodorożki. – Albo, weźmy, dodge! A toto... – miał na myśli swojego chevroleta – w Warszawie montowane. Daj pan spokój.

– Nowy model ponoć jest?

– Szóstka, panie. Pięćdziesiąt koni. I na raty można. Ale, ba, dziesięć tysięcy, panie!

Wszystko jasne, Krzysztof przypomniał sobie nader często powtarzane ogłoszenia montowni warsztatów Elibor, przedstawiciela General Motors: „Chevrolet 6. Zamknięty samochód, w cenie wozu otwartego!”. Albo: „Wytworna elegancja i wygoda, próbna przejażdżka dostępna dla każdego!”.

– Buick, panie, to jest auto – powtarzał taksówkarz. – Nic to, jadę. Pod dworcem stanę.

Wilczyński uchylił kapelusza, trzasnęły drzwi, silnik nabrał cichaczem mocy.

– Do widzenia panie Kurek, dziękuję.

– Pamiętaj, co powiedziałem: nie idź do Szemiotów, idź do Brunona Czappa, on ma latem więcej aut, dopiero na zimę będzie wyprzedawał.

Znali się jeszcze z dawnych czasów. Wtedy Kurek handlował w Pekinie czym popadło i Krzysztof nie pamiętał, by zdradził się umiejętnością prowadzenia samochodu. Ba, kto wtedy o tym myślał – gdy aut było w Gdyni ledwie kilka. Za to teraz dawny sąsiad jeździł. Właśnie u braci Szemiotów, potentatów autodorożkowej branży.

– Z twoim doświadczeniem – mówił chwilę wcześniej Krzysztofowi – weźmie cię każdy. Ale też chętnych – spluwał – nie brakuje. Każdy jeden myśli, że podoła. Panie, na taksówkę trzeba mieć charakter. Ty masz – akcentował i szmatką, nie patrząc na Krzysztofa, przecierał kierownicę. – Przemyśl, jak rozmawiać, bo to trzeba umieć, i przyjdź. Przyjdziesz?

– Pójdę – zdecydował Krzysztof. I ruszyli, każdy w swoją stronę.

Łucja obejrzała się przez ramię. Zbój śledził ją! O matko!

Minęła dopiero rusztowania przy wykańczanych murach banku.

„Muszę dojść do skrzyżowania – myślała nerwowo – skręcić przy domu Plichtów, przejść pomiędzy gospodarstwem Skwierczów a kościołem i...” – Do pokonania wciąż pozostawał kawał drogi. Zbyt wiele – w drodze ku dostojnej Riwierze, pnącej się zygzakami ulicy Sienkiewicza, a wreszcie domowi pani Ewy na Kamiennej Górze. Gdzie ludzi zwykle mało i dziko – o ile nie natrafi się na grupę, mającą ochotę na wieczór w Hotelu Kaszubskim.

Wezwać więc dorożkę? Policjanta?

A jeśli on, ten Zbój, będzie śledzić ją do samego końca? Odkryje, gdzie mieszka?

„Co z tego? – próbowała bagatelizować. – Bo i czegoż on w ogóle mógł

chcieć?”

A chciał – gdyż szedł jej tropem. I tak jak Łucja prawie już biegła, tak on, zdawało się, przyspieszał.

Zakręt. Teraz jeszcze prędeej!

Ktoś, potrącony, krzyknął. W odruchu chciała się go uczepić, poskarżyć, prosić o pomoc; pospieszyła jednak dalej. W ostatniej chwili znajdując schronienie: parafia! Oto widziała już przed sobą niewysoką, kształtną i proporcjonalną wieżę. Parafia!

W wąskim wejściu wyhamowała. Półmrok. W ciszy jedynie szept. Jego źródło zdradzała stula przewieszona przez drzwiczki konfesjonału.

Klęknąć w ławce? Modlić się? Lecz jeśli on będzie miał czelność wejść do świątyni?

Stała przy konfesjonale.

Wtem! Ciche stukanie, ciężkie westchnienie rozgrzeszonej i jej wezwanie Pana Boga nadaremno, gdy kolana z tak wielkim trudem dźwigały umęczone wyznaniem win ciało.

A jednocześnie on, Zbój, wyłonił się z przedsionka w poświacie zachodzącego słońca. Promienie jakby go oblały, omiotły, rozświetlonego, jarzącego się.

Nie było czasu do namysłu. Przyklękła pospiesznie, kątem oka obserwując nawę.

– Milczysz, moje dziecię – rozpoznała głos proboszcza.

Rzeczywiście. Zdenerwowana nie potrafiła wykrztusić ani słowa..

A tamten ruszył ku ołtarzowi, przystanął w połowie nawy przed zastygłą w pokucie kobieciną, przerwał jej skupienie i rozmawiali chwilę. Gdy skończyli, zawahał się, obracał, rozglądał i dopiero wtedy skierował do wyjścia.

– Córko, czy chcesz wyznać grzechy?

Niby jakie? Nie miała niczego do wyznania. Przecież winien owej niepoprzedzonej nawet rachunkiem sumienia spowiedzi był ów Zbój, bezczelny prześladowca; nie zaś ona – daleka od występku, choćby myślą, nie mówiąc o słowie czy uczynku. Z drugiej strony: jak to? uciec przed konfesjonałem?

Po dłuższej chwili niepewnie, zatrzymując się w progu, wyjrzała za próg kościoła. Wokół nikogo, nie licząc ciągniętego przez wątle szkapę wozu czy mijającej kościół grupy robotników o zaciętych twarzach.

Zerknęła w prawo, za róg – nie było go.

Przeskoczyła w lewo. Również i tu mogła odetchnąć.

Młody wikariusz przyglądał się jej z zaciekawieniem. Wyobraziła sobie siebie w jego oczach: kicającą niczym wiewiórka i zamierającą w czujnym oczekiwaniu, gotowości, by natychmiast uciekać. „Co się ze mną dzieje?”

Na szczęście Zbój znikł! Tyle dobrego. Czystego sumienia nie licząc.



## ROZDZIAŁ 5

### Groch z kapustą

Wezwany na rozmowę do Bolesława Kielbratowskiego, Grabski musiał się gęsto tłumaczyć. Co i tak stanowiło postęp wobec dni wcześniejszych, gdy Kielbratowski, choć przyjął do wiadomości ponowną obecność Grabskiego w zakładzie, to jakby go nie zauważał; ledwie tolerował, lekceważył.

– Kolega odbywa karę. Kwarantannę – komentowali wesoło redaktorzy i drukarze. Dając jednocześnie nadzieję, że gniew naczelnego minie.

Grabski tyle miał wcześniej szczęścia! Najpierw, gdy po pierwszych nocach przespanych w betonowych rurach gdzieś na uboczu budowy portu znalazł cudem kąt w baraku zamieszkałym na Grabówku przez innych Wielkopolan (połączyły ich zatem nazwy – Śrem, Szamotuły, Jarocin – i połączyła legenda powstania – gdy tamci, ciut starsi od Adama, wyprężali piersi, opowiadając o bohaterskim rozbrajaniu podstarzałych żandarmów z prowincjonalnych komisariatów). Tyle miał szczęścia: zanim na dobre poznał, co to głód i poniewierka, wyłowiony wzrokiem brygadzysty, dołączyć mógł do grupy mającej przetaczać dziesiątki, setki, ba, tysiące beczek śledzi. No i wreszcie: tyle szczęścia – gdy los zetknął go z redaktorem.

Było to zimą, tą niezwykłą zimą, którą nawet tutejsi nazwali zimą stulecia, z ponad dwudziestoma stopniami mrozu dzień po dniu, przez kolejne tygodnie, gdy jedni ślizgali się na motorach po zamarzniętej zatoce lub cieszyli sanna na stokach Kamiennej Góry, podczas gdy pozostali – Grabski wśród nich – walczyli o każde wiaderko węgla; niektórzy wręcz dosłownie: ograbiając zwalniające w Kacku pociągi, napadając na nie, a wreszcie łupiąc siebie nawzajem. Wtedy właśnie poznał Łucję, przez co porzucił myśl, by wrócić, skąd przybył, pod ciepły dach nominalnie matczynego, a utrzymanego pod coraz to bardziej uwierającym obcasem ojczyzna domu i wtedy też znalazł się pewnego dnia na dworcu kolejowym, aby po wyczerpującym marszu z Orłowa (aż tam szukał pracy, zwolniony z portu) wypić szklankę gorącej herbaty.

– Ależ dlaczego mam iść właśnie do Białej Floty?

– A dlaczego by nie! – denerwował się pięćdziesięcioletni na oko, korpulentny i łysiejący jegomość, wbijając podenerwowane spojrzenie w zmarszczone czoło tyczkowego rozmówcy.

– Wszystkie rejsy w sezonie obsadzone, publika wali drzwiami i oknami – na cóż im ogłoszenia?

– Pełna obsada nie ma nic do rzeczy! Wszędzie się, proszę ja Karłowicza, dyrektor Rummel ogłasza, przez foldery, broszury, plakaty, tylko nie u nas; i co Karłowicz na to?

A Karłowicz – nic. Prócz zupełnie nietrafionych prób:

– Ależ Żegluga reklamuje swoje rejsy zagraniczne, a pan redaktor raczy...

– Jak wróć – zasapał zmęczony oporem podwładnego redaktor – mam widzieć w naszej gazecie ogłoszenie reklamowe Białej Floty. Ażeby nie tracić czasu – obrócił nadgarstek, spojrzął na zegarek i porównał jego wskazanie z godziną podawaną przez zegar dworcowy – żeby nie tracić czasu, zastanówmy się, w jaki sposób dyrektora przekonać.

Palce zabębniły po blacie. Redaktor oddychał ciężko. Karłowicz – przeciwnie, niemal zamarł.

– Dalej, dalej, mój Karłowiczu. Niechże Karłowicz coś wymyśli... Co mamy? Mamy statek „Gdynia”, którym raczył pływać prezydent Mościcki, mamy „Jadwigę”, co kołysała, że tak powiem, Marszałka, mamy „Wandę”, na cześć jego córki, i mamy „Hankę”, tym razem na cześć latorośli ministra Kwiatkowskiego... Co jeszcze mamy?

Karłowicz nie wiedział.

– Mamy rejsy tymiż właśnie statkami na Hel, do Jastarni, do Orłowa, mamy wycieczki po porcie... Tanio, przyjemnie i co z tego?

No właśnie, co z tego? Karłowicz wyraźnie nie miał dobrego dnia. Sądził zapewne, że gdyby właściciele przedsiębiorstwa mającego tak wielkie atuty chcieli się ogłaszać, to robiliby to już dawno. Czegóż więc redaktor od niego wymagał?

– Czy panowie pozwolą wtrącić się do rozmowy?

Spojrzeli na Grabskiego zdumieni.

– Przepraszam za śmiałość, lecz wydaje mi się, iż w temacie, który panowie poruszają, należałoby zwrócić uwagę zarządców Floty... – mówił szybko, wiedziony impulsem, tak by nie mieli czasu i ochoty przerwać mu, usadzić go w miejscu i odebrać mu szansy, którą intuicyjnie przeczuwał – ...zwrócić zatem uwagę na znaczenie kooperacji, że tak powiem, z mieszkańcami miasta. A więc do nich przemówić, nawiązać komitywę, bo my, gdynianie, doświadczeni marynarze – choćby nie było w tym zbyt wiele prawdy – musimy trzymać się razem, a gdy w odwiedzin przybędą do nas goście, pamiętajmy, by kierować ich, owych gości, z głębi lądu, nie gdzie indziej, lecz na nasze – i wasze, bo gdyńskie – pokłady! Tak jest, koniecznie, bez dwóch zdań. Nigdzie indziej – tylko na pokłady!

Gdy skończył, zamarł. Ogarnęła go panika. Że napłótł za wszystkie czasy, że sensu w tym, co mówił, nie było za grosz, a wpatrujący się w niego mężczyźni posuną się za moment do słów – lub może nawet czynów – grubiańskich.

– Czy Karłowicz to słyszał?

Karłowiczowi oczy zaszyły mgłą niechęci.

– Bujdy, bajeczki, zmyślenia – cedził Kiełbratowski słowo po słowie – których tak bardzo nam trzeba! Karłowiczu, zaprosz tego młodego i cośkolwiek niegrzecznego – bo się wtrąca do rozmów nieznanym – człowieka...

– Grabski, nazywam się Adam Grabski...



– Krewny ministra? Mniejsza z tym, choć dobrze się kojarzy. Karłowiczu, zaprosz pana Grabskiego na spotkanie ze mną, gdy tylko wrócę z Grudziądza. Pan uczy się? Czym się zajmuje?

– Aktualnie niczym, dorywczo – tu i ówdzie...

– Nie uczy się pan?

– Przerwałem – skłamał. – Lecz na pewno na uniwersytet wrócę, tyle że najpierw bardzo pragnąłem poznać Gdynię...

– Dobre sobie – roześmiał się redaktor. – Latem powinien pan poznawać, nie zaś w czas tak okrutnej zimy... No, niech pan zatem przyjdzie, ze mną pan nie zginie.

I nie zginął. Co prawda zrazu, porwany euforią, widział się z miejsca w roli nowego, jeszcze lepszego Wańkowicza (tyle, że opisującego nie daleki, amerykański Meksyk, lecz ten dużo bardziej egzotyczny – Gdynię) i dlatego wkrótce zmarkotniał: oto okazało się, iż zdaniem naczelnego wszyscy w jego wydawnictwie, zanim dostąpią zaszczytu dotykania czułych niczym klawisze fortepianu maszyn do pisania, są zobowiązani swoje przepracować w drukarni. Ostatecznie zwyciężyć musiała jednak radość – i to z nią, a także z obiecaną sobie cierpliwością, pokorą, ale i wielką ciekawością, wkroczył w ów świat nerwowych reporterów, flegmatycznych korektorów, a przede wszystkim rzeczowych drukarzy i obsługiwanych przez nich urządzeń.

Przyglądał się zatem linotypistom wystukującym teksty, których kolejne wersy maszyna wybijała w miękkim metalu; przyglądał matrycom stron i próbnym wydrukami; przyglądał pracom zecerów – gdy łamali kolumny i z wysiłkiem szaradzystów dopasowywali doń ręcznie składane tytuły i zdjęcia. A wszystko w hałasie, harmidrze, wśród pokrzykiwań, w zamęcie potęgowanym przez dziennikarzy – zabieganych i pracujących nad tekstami do kolejnych wydań, a jednocześnie wprowadzających ostatecznie uzupełnienia do artykułów już gotowych do druku.

Szybko się uczył. Przy maszynach, adiustacji, a wreszcie przy korekcie. I wtedy, niestety, rzucił wszystko w jeden wieczór i wyjechał. Tak właśnie było.

A teraz musiał się tłumaczyć.

– Pan ma mi coś do powiedzenia, panie Grabski?

– Sprawy rodzinne – skłamał. Strasznie się czuł, niehonorowo.

– Aaa... Pogrzeby, chrzciny?

– Stryjenka...

– Współczuję, lecz...

– Chrzciny... – Adam z trudem przełknął ślinę, wikłając się coraz bardziej. – Chrzciny od strony stryjenki...

– Tygodniami trwające? Tygodniami? W dodatku niespodziewane? Bez żadnej zapowiedzi?

Rzeczywiście. Grabskiego nie było przez niemal pięć tygodni, a opuścił Gdynię bez słowa.

– Gdyż zostałem... – wymamrotał – gdyż zostałem na wystawie krajowej...

Ach, jak bardzo liczył na to, że swym wyznaniem zainteresuje redaktora, a jednocześnie ostatecznie się usprawiedliwi. Mówił prawdę: istotnie zdecydował się zobaczyć wystawę, licząc, iż pomoże mu to w rozpoczęciu kariery literata.

– Przygotowałem pewne... reportaże – kontynuował, gdy redaktor milczał – interesujące spostrzeżenia, wszak wystawa krajowa to oczko... to nasza duma, cała Polska, odrodzona...

Redaktor ani mrugnął.

– Wróciła koza do woza – zasapał wreszcie po długim milczeniu, nie kryjąc jednakże satysfakcji. – I co teraz?

– Ja chętnie pokażę, poddam ocenie, chciałbym tylko móc skorzystać z maszyny do pisania...

– Później – uciał Kiełbratowski. – Możesz przychodzić. Po godzinach robić, co chcesz. Daj takiemu palec, a prosić będzie o rękę! – zachichotał, rozbawiony dwuznacznością swych słów.

Grabski zaś jeszcze raz przeprosił, jeszcze raz podziękował i wyszedł z gabinetu szczęśliwy. Mógł robić, co chciał – a więc pisać!

Zaczął od razu, jeszcze tego samego wieczoru.

Niestety, pierwsze zdania, akapity, tak pięknie nakreślone wcześniej w grubym brulionie, szły teraz jak po grudzie. Choć tyle się chciało wykrzyczeć, wyśpiewać – o pięknie i energii PeWuKi. Wreszcie wygnał go stróż:

– Panie Grabski, niech pan idzie odpocząć, cały dzień tu pana widzę! Pan coś jadł?

Nie jadł. Nie pił. Wykręcił posłusznie kartkę z maszyny, spakował skórzaną teczkę. Dostał ją od matki, gdy mimo wszystko zdecydował o ponownym wyjeździe do Gdyni.

– Będiesz wyglądał poważniej – wyraziła nadzieję. – Jak na redaktora przystało.

– Gdzie pan pójdiesz? – zainteresował się cieć.

– Na dworzec...? – ni to oznajmił, ni zapytał Grabski.

– A pewnie, że nie do Piątka, Starogdyńskiej czy Skwiercza! – stróż wykrzywił ironicznie usta; bo gdzie gołodupcowi do Hotelu Centralnego?

– Przez dworzec po drodze mam... – wyjaśnił Grabski i przełknął ślinę.

Poszedł. Lecz zamiast Święto Jańską, a potem 10 Lutego, obszedł kamienicę i ruszył skrótem przez pola. Świeże wspomnienie rozkwitłego ostatnimi laty Poznania aż kazało uśmiechnąć się na myśl, że oto idzie przez miasto. Szumnie powiedziane, gdy wokół trawy i zboża, hen, aż po tory i Szosę Gdańską. A jeśli kamienice, to pojedyncze – nie było mowy o ciągach, o chłodnych, wysokich

miejskich wąwozach; „nim powstaną – pomyślał – minąć mogą lata!”

Na dworcu – co za pech! – koledzy. Podchmieleni, więc tym bardziej przyjaźni. I koniecznie chcący wiedzieć, jak skończyła się rozmowa Grabskiego z redaktorem.

– Musimy to oblać! – wykrzyknęli, gdy im się z widocznym na twarzy przejęciem wypowiadał.

Zecerzy Kujawa i Podsiadło, linotypista Mastalerz. Ten ostatni z mocną już tendencją, by chwiać się i gubić.

– Kurewstwa ile!

Bo i rzeczywiście dziewczynek w tej okolicy nigdy nie brakowało. Wysłużonych weteranek, ale i zabiedzonych na oko piętnastolatek, dzieci jeszcze, o mrocznym spojrzeniu podkolorowanych oczu.

– Dziedzicu, prezesie, masz ochotę poznać Gdynię z najpiękniejszej strony?

– Dzidziuś, zabawimy się?

– Chodźmy stąd! – zdecydował Adam. – Chodźmy... napić się... – Nie wiedział gdzie, byle nie tu. Śmiali się z niego, że naprawdę dzidziuś. Jednak ruszyli posłusznie w dół Starowiejskiej.

Ta jeszcze niedawno była ledwo ubitą wiejską drogą, wijącą się wśród chałup. Dziś, panie, ulica: wyprostowana, wybrukowana. Niemy świadek pierwszych wieści o mającym powstać porcie, pierwszych rozmów o tym, jak wzrosnąć muszą z tej okazji ceny ubogiej ojcowizny, pierwszych fortun i pierwszych karier miejscowych gburów, o których wcześniej nawet ci z Chyloni – nie mówiąc o paniskach z Oksywia – mówili: szare kluski! Że niby tylko na nie, szare ziemniaczane kluski, miało być gdynian stać. Ha, może i tak było – na lichej ziemi, właściwie piasku. Tyle że dziś, po zaledwie kilku latach, dawne gnojce, dawne srojce mieli już samochody, restauracje, hotele, przedsiębiorstwa. Mieli na własność – żeby było jasne. I jak tu nie myśleć o przewrotności losu, jak nie zacząć się zastanawiać nad efektywnością modlitw do Pani ze Swarzewa?

I właśnie z tego wszystkiego pokpiwał Mastalerz, gdy mijali Dwór Kaszubski – restaurację, co się zowie, a więc przynajmniej tego wieczoru nie dla nich – za nim hotel, i gdy wreszcie w oddali Rynku zamajaczył dąb.

– Piątek? – zabelkotał Podsiadło.

– Piątek – zdecydowali. Grabski westchnął. *Dancing every night! Balet do ósmej rano.* – Piątek wrażeń zawsze obiecywał moc.

Trzasnęły drzwi. Krzysztof czujnie zlustrował wchodzących. Rozpoznał jednego z nich – swego sąsiada Tolka Bruzdę ze stacji pomp. Tymczasem gospodarz stawiał przed nim na stole talerz.

– Groch z kapustą à la Marszałek! – pochwalił się znajomością żartu, który sztafeta kolejnych opowiadających zdążyła przynieść z rozpolitykowanych knajp Warszawy.

– Dziękuję, panie Bonk.

– Groch z kapustą – powtórzył restaurator. – Jak w tej przemowie Marszałka do senatorów, pan wie, panie Wilczyński?

Krzysztof orientował się mgliście. Chodziło o przepychanki Piłsudskiego z parlamentem (che, che, cóż to za parlament, który daje sobie ubliżać – drwiła ulica), lecz nie te z kwietnia, związane z prowokacyjnym z punktu widzenia opozycji powołaniem rządu pułkowników, lecz wcześniejsze, zdaje się; to wszystko myliło się i plątało w chaosie prędko zmieniających się gabinetów, gdzie te szklane domy, panie Żeromski, jakże mają wyrosnąć, gdy burdel w miejscu fundamentów? W każdym razie Marszałek raczył był zarzucić autorom ówczesnych poprawek budżetowych – w senacie, bo na sejm się obraził – chaos i niekonsekwencję. Groch z kapustą. Aż Warszawa zaczęła się śmiać.

– Jakieś mały, istoty zafajdane... O posłach tak powiedział! Wesołe budżety, mówił. Uwierzysz pan?

Krzysztof milczał, wpatrując się w twarz Bonka. Czy ten krytykował metody i słowa Marszałka? Czy też podrygi opozycji? Wilczyńskiemu było wszystko jedno, „ale Bonk – pomyślał – z działań sanacji powinien być zadowolony”; wszak skorzystał mógł z uchwalonej zimą pożyczki dla inwalidów – dotyczyła otwierania lokali takich jak ten: z kilkoma stolikami otaczającymi łukiem umocniony w kącie sali szynkwas, z niewielką kuchnią na zapleczu.

Niewyrażające emocji, ani tym bardziej chęci kontynuowania tematu, spojrzenie Wilczyńskiego zmieszało gospodarza.

– Dopisać do rachunku?

– Dzisiaj zapłacę. Proszę podsumować wszystko.

Po chwili smakował tłuste kawałki mięsa, kwaskową nutę zeszłorocznych jabłek i słodycz duszonej cebuli. O postnym grochu mógł tego wieczoru zapomnieć – podratowany eskapadą ku granicy. W samą porę, nie na długo miało już starczyć tallińskich, ryskich oszczędności. Furda, pomyśli się o tym jutro!

– Nie ma jak świeże ogóreczki, panie Bonk, czerwiec to miesiąc szczególny – pochwalił, gdy tamten dostawiał po brzegi wypełniony kufel. Restaurator rozpromienił się.

– Mam sposoby na mizerię – mrugnął. – Na mizerię, coś z niczego, pan rozumie, panie Wilczyński?

Rozumiał, przyjaznym skinieniem potwierdził zawiązaną wokół żartu komitywę. A gdy gospodarz odszedł, zanurzył usta w gęstej pianie. Puckie, a smakowało. Zwykle za nim nie przepadał. Lubił piwo braci Stobbe z Nowego Dworu lub Artusa z Danzig-Langfuhr. Lecz najbardziej, o tak, okocimskie! Wiadomo, dawne czasy.

Zapalił. Wokół rozmawiano.

– Warsztaty mają powiększać.

– Już nie ino dla kutrów?

– Prawdziwa stocznia ma być. Z dokiem pływającym. Inżynier Noe za to odpowiadać ma.

Noe! Cóż za nazwisko dla dyrektora przedsiębiorstwa budującego statki!

– I Dom Zdrojowy będzie święcony. Za Kamienną Górą.

– A na niej – drugi kościół, bazylika. Żeby aż z Helu było ją widać.

Nic ciekawego. Nic w rzeczy samej nowego. Ciągle tu coś planowano, rozbudowywano, święcono.

Wesołe budżety – przypomniał sobie słowa Bonka. Wesołe budżety, czyli jak to dokładnie określił Piłsudski: budżety „na sute libacje z dziewczynami z publicznych domów, robione dla panów posłów przez panów ministrów”. Jednego Marszałkowi odmówić nie było można: mianowicie stylu.

Bruzda oderwał się od kontuaru.

– Panie Krzysztof, można?

– Ależ proszę! – wskazał wolne krzesła.

– Staszek Starosta – przedstawił się kompan Bruzdy.

– Też z wodociągów – uzupełnił kompan.

Usiedli, pogadali. O tym, że się wciąż kopie i będzie kopać więcej. Że powstaje wielka oczyszczalnia przy moło Rybackim oraz zbiornik wodny wysoko, hen, w lesie, ponad Budapesztem. I że na to wszystko pójda rury, kilometry rur, kamionkowych, betonowych, w rzeczy samej kilometry, dziesiątki kilometrów...

Krzysztof aż oczy zmrużył, wyobrażając sobie prezesów wytwarzających owe rury przedsiębiorstw: jak obrastają w tłuszcz i dobra wszelakie. W porcelanowe zastawy i radia – wizję miał szczegółową, nie wiedzieć czemu dokładnie taką; a piwo pił ledwie drugie.

W kącie sali zaszumiało. To gospodarz skupić się musiał na łysiejącym cherlaku w drelichowej kurtce, który podjadłszy i popiwszy, odkrył nagle swą nędzę.

– Nie znam cię człowieku, na rachunek nie dam! – protestował gniewnie Bonk. Jednak gadał dziad do obrazu – robotnik już tylko niezrozumiale bełkotał.

– Patrzcie, za kielicha zapłacił, za nóżki zapłacił, za pierwsze piwo zapłacił...

Roześmieli się – przy jednym czy drugim stoliku.

– Panie Bonk, ładnie dałeś się pan nabrać.

– A żebyście ludzie wiedzieli! I co z tobą zrobić, człowieku? Zastaw daj.

Marzenie ściętej głowy. Bonk ściszył głos, rozpoczął pertraktacje. Pozostali wrócili nad swoje kieliszki i kufle.

– No i wreszcie mamy kaes. Klub sportowy! Futbolowy!

Bruzda wzruszył ramionami.

– Staszek z Galicji jest – rzekł, jakby miało to tłumaczyć entuzjazm kolegi.

– Nie z Galicji, bo to nazwa zaborcza. Z Małopolski!

Tym Krzysztof mógłby się zainteresować (tak pomyślał), przyznać do lat spędzonych w Krakowie, zawiązać wspólnotę wspomnień. Lecz tymczasem Bonk tarmosił do drzwi ogołoczonego z gotówki, a jednak najedzonego i bardzo z siebie chyba zadowolonego klienta.

– Panie Bonk, należy spragnionemu na drugą nóżkę! – śmiano się.

Szast-prast, załatwione, wracając za kontuar, Bonk dostojnie zadarł głowę.

Wtem! Znów huknęły drzwi! Jak wybuch granatu, smrodliwej petardy.

– U Piątka awantura! – krzyczeli. – Szwedzi z Finami przeciwko naszym!

– Ależ panowie, spokojniej, co to za trzaskanie! Ja nie Piątek – u mnie awantur nie było i nie będzie!

Zatem ciszej, lecz mimo wszystko dwóch z nowo przybyłych relacjonowało chaotycznie szczegóły bijatyki. Chwilę trwało, nim wreszcie usiedli. Tych dwóch rozkrzyczanych oraz jeszcze dwóch – rozglądających się niepewnie po zadymionej sali.

Józef Piątek miał renomę. Bonk potentatowi mógł tylko zazdrościć: przestronnej sali, podestu dla orkiestry, o wiele dłuższego szynkwasu i wydajniejszej kuchni. Ale i werwy oraz krzepy, którą także chwalić się mógł konkurent – jemu bitki pasowały, zwiększały wręcz powodzenie lokalu, zwłaszcza że ostateczną ostoją powracającego po chwilach sztormu ładu był on sam – krewki, gdy wymagała tego sytuacja, właściciel. A Bonk? Z przestrzelonym biodrem?

– Gównno, nie będzie tego ani tamtego!

Znów spojrzeli w jego stronę. Cóż to za przedziwny napad melancholii uderzył gospodarza, skoro zdecydował się zaprezentować im – co prawda w wersji okolicznościowo-skróconej – swą dobrze znaną stałym bywalcom dewizę: u niego, u Bonka, nie będzie ani radia, ani gramofonu. Ani, ani. Nie ma mowy. Niech sobie Piątek ma orkiestrę, niech ma Szwedów, Finów, mordobicia (o artykułach w prasie nie wspominając). Z tego wszystkiego nic dobrego na dłuższy czas być nie może. Prawda?

Kraęłe paluszki zadudniły o blat. By zaraz uderzyć weń – raz i drugi – zaciśnięte w pięść.

– Co podać? – zapytał wręcz agresywnie, przez chwilę ponury.

Nowi chcieli wódki, a najmłodszy z nich lemoniady. Bonkiem zatrzęsło.

– Dla nas również, panie Bonk! – Krzysztof podniósł głowę i dłoń. – Trzy piwa i ćwiartkę żytniówki.

– A to co za święto? – burknął do siebie Bonk i także na Krzysztofa spojrzął spode łba.

A święta żadnego nie było. Ot, ochota. Więc dalej, od nowa: o tym, co było, będzie, co ma być. O obrosłych w legendy dawnych burdach u Piątka i o panienkach, które u niego występowały.

Aż wreszcie myśli zaczęły wirować leniwie, kłębić się, mieszać i rozplýwać. Na wzór jęzorów dymu, wydmuchiwanym ponad głowy i tańczącym wokół zwisającej spod sufitu żarówki.

– Fordanserki! – przy kolejnej ćwiartce uczepił się słowa Staszek.

– Zwykle kurwiszcza... – precyzował Bruzda spod zroszonych potem zakoli. – Kurwiszcza, mówię ci!

– Girlasssski... z Łodzi. Tak czy nie? Ale ja cię Toleczku szanuję! Ja ci poem, że cię tak szanuje...

Już wcześniej musieli wypić sporo. Na pewno więcej od Wilczyńskiego. Dlatego zostawił ich samych sobie, pochylonych jeden ku drugiemu nad zalany blatem, a sam odchylił się od stołu i całym ciężarem rozleniwionego ciała opadł na oparcie krzesła. Zmrużył oczy, znów zapalił. Po chwili wyławiać zaczął słowa, a potem całe zdania padające przy stoliku obok.

– Adam, nie mów wciąż o tej wystawie! Wystawa, cóż wystawa! Wielki pokaz arogancji! – zaperzał się z jeden z tych, co to wrzeszczeli przed chwilą o bitwie ze Szwedami.

– Przesadasz – odpowiedział mu ten od lemoniady. Błady był, jakiś taki miękki, rozmemłany, z wyraźnie zaznaczonym przedziałkiem i grzywką opadającą na bok. Koszulę chował pod kamizelką w prążki, a z jej kieszonki wystawał złamany, wyszczerbiony ołówek.

– Pamiętasz, mówiłem tobie, Adam: pierwszy statek, który zawinął do Gdyni, „Kentucky” z Francji – i miało być wielkie święto, pierwszy statek w nieistniejącym dotąd porcie! – to był statek po emigrantów. Rozumiesz? Uciekinierów! Dlaczego uciekali, powiedz mi? Dlaczego wciąż uciekają? Całe rodziny, wielodzietne rodziny? A w planach jest budowa nowego, drugiego etapu emigracyjnego. Na to rząd stać? Na tworzenie instytucji dla lepszego, sprawniejszego wysyłania obywateli precz?

– W ten sposób – kontynuował coraz bardziej rozpalony linotypista Mastalerz – w ten sposób nasze okno na świat jest oknem, przez które się wyskakuje, jak w panice, w popłochu, w trakcie pożaru. Czy tak ma być? Powiedz!

– Oczywiście nie powinno – łagodnie zgodził się Grabski. – Lecz przecież...

– Zawsze jakieś: lecz przecież. Obietnice, prawda? Wizje lepszego jutra. Ech!

– Zrozum – Grabski wciągnął głęboko powietrze i aż się zakrztusił od dymu. Wiedział, że musi znaleźć odpowiedź. – Zrozum: wszystko wymaga czasu. Polska jest młoda, teraz ty zrozum, pamiętaj. Nie da się wszystkiego zbudować od razu. Po niewoli, po rozczłonkowaniu...

– Gównu powstanie! Etap emigracyjny powstanie, nie domy, nie mieszkania dla robotników. A jest to dziś rzecz najważniejsza! Robotnicy: bez dachu nad głową, bez pracy, bez możliwości sprowadzenia do siebie lub założenia rodziny.

Widziałeś, przecież widziałeś: te kilkunastoletnie, najtańsze chustkowe gotowe oddawać się za złotówkę!

Tego typu rozmów Wilczyński słyszał wiele. Lecz mimo to zastanawiał się, w którym kierunku podąży coraz bardziej czerwony na twarzy krzykacz. Czy apelował będzie o poświęcenie, o pochylenie nad losem ubogich, o wspólne – z tym od lemoniady – wędrówki po przytułkach, by tam znajdować zabiedzone dzieci i uczyć je składania liter? Czy jednak załopocze czerwonym sztandarem, by gromko agitować za rewolucją? Nie czekać, dać po łbie i odebrać bogatym? Sęk w tym, że w kraju posierpniowego inwalidy wojennego Bonka wizja rewolucji rodem znaną z Wołgi czy Moskwy niewielu mogła się podobać.

Tymczasem obudził się Staszek Starosta:

– Ale gdzie żeś chłopie mieszkał, poedz, w tym Krakowie...?

Bruzda mu widocznie musiał powiedzieć, śliniąc się, o przeszłości Wilczyńskiego.

– Gdzie żeś, poedz...?

– Na obrzeżach Piasku. Ale przed Czarną Wsią. Tam gdzie dawny nasyp kolejowy.

– Aha, aha – zabełkotał Starosta z wyrazem bezradności na twarzy. Jednocześnie spróbował wyjąć coś z kieszeni wyświechtanej marynarki, to coś stawiało opór, zrezygnował, upychał na powrót.

– Raz, poem ci, w Podgórzu byłem – czknał. – Kraków przez rzekę widziałem. Ale się nie zgadało... Poem ci... jak to się, panie... nazywasz... Nie podobało się mi. Idziemy?

Jeszcze przed chwilą przyklejeni do blatu, krzesel, do siebie, teraz znienacka i z werwą zaczęli wstawać, unosić się i opadać, tym razem Krzysztofa zapewniając o darzonym go szacunku. Uściski dłoni mieli mocne i stanowcze; wszak i wielka słabość musi mieć granice, których mężczyzna przekroczyć nie powinien.

Krzysztof zęgnął ich uśmiechem. Podobali mu się – nachyleni ku sobie, by zaraz zatoczyć się wspólnie pod ścianę, bezwładni, a jednak pracy niestrudzenie ku drzwiom. Oto użyli na miarę możliwości! I niechaj prowadzą ich bogowie i dają moc każdego dnia następnego!

Zaś linotypista swoje:

– Adam – przekonywał. – Demokrata czy liberał, choć sam jeszcze o tym nie wie, nie ma wyjścia – prędzej lub później stworzyć musi oczy i uznać jedyną i niepodważalną słuszność...

Zatem marksizm. Zapomnijcie ubodzy o kapucynie Albercie. Marksizm. Jakże uwodzicielska myśl. Zrodzona z biedy – a któż choćby przez chwilę nie czuje się ubogi? – a skierowana przeciw prezesom grubasom (co w sumie Wilczyńskiemu podobało się) i obiecująca raj: wolności, równości, godności i braterstwa. Tu i teraz, za życia, nie w niebiesiech, lecz w dobrze sobie znanej



Polsce i dobrze znanej Gdyni. Wystarczy przeorać wszystko, tych z góry strącić, tych z dołu wywyższyć, niektórych ogołocić, innym sprawiedliwie napełnić talerze.

„Za proste to – pomyślał, tak dziś, jak i wielokrotnie wcześniej – zbyt łatwo przyswajalne, nachalnie nieodparte”.

W dodatku uodpornione na wszelką krytykę – w czym przypominało mu katolicyzm – tak iż nawet świadectwa tych, co poznali Sowiety (a Kot poznał i nie chciał opowiadać; „Horror, horror!” – powtarzał jedynie), próbowano zbyć słowami o konieczności etapu i wiórach, gdy rąbie się drwa.

„W prawdach tego rodzaju najbardziej przeraża pośpiech” – dumął Krzysztof, wznosząc samotnie kieliszek. Lecz kto to powiedział i przy jakiej okazji – nie potrafił sobie przypomnieć.

I wtedy zaczęło się na dobre:

– Panie Bonk, nie spodziewałem się, że przyjmujesz pan agentów bolszewickich.

Sarkazm. I cisza. I skonsternowane spojrzenia – w stronę milczącego do tej pory dryblas z końca sali, spod drzwi do wychodka. Mastalerz urwał w połowie zdanie o siedmiuset każdego miesiąca przybywających do Gdyni desperatach, Bonk przerzucał wzrok znad jednego stolika nad drugi. Na najbardziej zaniepokojonego wyglądał Grabski.

– Ależ jacy bolszewicy, proszę pana!

– Panowie, po cóż takie słowa i takie tematy? – pospieszył Bonk. Lecz dryblas już wstawał, nie zważając na to, że za rękaw ciągnie go w dół równie zwalisty i podpity towarzysz.

– Sowietci, kurwa ich mać, socjaliści.

– Panowie, bo wezwę stójkowego!

– Nie jesteśmy zwolennikami Sowietów, proszę pana...

– Bolszewicka agentura, komuniści!

– ...zaręczam!

Niespodziewanie dryblas usiadł. Obliczył być może szanse, swoje z kolegą przeciw tamtym czterem.

– Za mordy brać, panie Bonk, niedobrze mówię?

– Dobrze, dobrze...

– Kosmopolityczne zdegenerowanie, element obcy, narodził fałszywie rozumianego postępu – tamten wciąż wypluwał z siebie słowa, a Krzysztof domyślał się ich dalszego ciągu: „działania na szkodę, zaprzędania wrogom, konieczności odparcia – w imię samoobrony”. A wszystko – tego również był pewien – w oprawie potężnych jak zaciśnięta pięść przysłówków: bezwzględnie, stanowczo, niezłomnie... Czyli, że za mordy trzeba brać, co jakże syntetycznie i bezpretensjonalnie wyłożył przed momentem awanturujący się dryblas.

– W ten sposób najłatwiej: słowami jak pałką pozbywać się problemów –

rezon odzyskał tymczasem Mastalerz.

– Inteligenckie wynaturzenie!

– Mamy jednakowoż demokrację...

– Gdy konieczna jest siła, duma i przywrócenie tej, no! – dryblas zaciął się. –

Godności!

Znienacka odezwał się zegar. Wybijając kwadrans przed północą.

Krzysztof pomyślał nagle, że świetnie się bawi:

– O to, to – mówił sobie. „Siła! I siłą przywracanie godności!” – Chciało mu się śmiać.

– Tylko naród... Tylko naród zjednoczony wokół najświętszej wiary katolickiej...

– Bez tego nie byłoby zwycięstw, prawda? Pod Grunwaldem, Wiedniem i Warszawą?

I znów cisza. Znów zdziwione spojrzenia.

– Panie Krzysztof, jeszcze pan... – jęknął Bonk. Za to dryblas podchwycił, ucieszony:

– Tak jest: nie byłoby cudu nad Wisłą!

– Ciekawe – wzniosł kieliszek Wilczyński – ciekawe tylko, gdzie to bywała wasza Najświętsza Panienska, gdy regularnie braliśmy po dupach?

Dryblasa zważyło. Jego partner spoglądał mrocznie spod ciężkich powiek. Mastalerz roześmiał się głośno.

– Panie Krzysztof, daj pan spokój! – szynkarzowi opadły ręce.

– Przepraszam, poniosło mnie, rachunek!

Gdy Bonk podliczał w ciszy, masywny kolega o stalowym spojrzeniu trącił dryblasa. Wychodząc, rzucili na bar kilka monet, reszty nie chcieli.

– Panie Krzysztof, pan uważa – skinął za nimi gospodarz. Bo i Wilczyński zamierzał opuścić lokal.

Jednak nie wypadało mu zmienić decyzji.

– Idę – mrugnął. – Nie w takich się bywało opałach.

Bonk odprowadził go do drzwi. Rozejrzał się. W krótkiej uliczce nie było już nikogo.

– Z Bogiem. Nie iść z panem?

– A skąd! Niech pan pilnuje interesu.

Wystarczyło dojść do rogu, skręcić w lewo, zostawić za plecami basen rybacki, ponownie się obrócić, potem jeszcze raz i już – stanąć u furtki baraku Gierszewskiej.

Skądś dobiegły dźwięki *La Palomy* wyduszane z rozklekotanej harmonii. Dzikie śmiechy. Uliczkę bez nazwy przeciął kot. W nocy wszystkie są czarne. Zwłaszcza w Pekinie, chińskiej dzielnicy, ponoć była tu kiedyś palarnia opium (tyle że nikt nie widział nikogo, kto by znał takiego, co to ją osobiście odwiedził).

I wtedy dryblas stanął Wilczyńskiemu na drodze. Ten odruchowo naprężył barki, ale nie zwolnił, próbując wyminąć przeciwnika.

– Odsuń się czło...

Nie dokończył. Uderzony drągiem od tyłu. Poniżej kolan – więc runął na nie i zaraz zachłysnął się krwią z rozbijanych kolejnymi razami warg. Na koniec cios w plecy – znów drągiem czy łomem – na szczęście poniżej głowy.

– Nie zabijaj! – syknął dryblas. W oddali zadudniły kroki.

– Chodu!

Z czołem w błocie, wciąż klęcząc, jęczał wściekle.

– Nic się panu nie stało?

Spojrzał. W twarz tego młodego od lemoniady. Jego kompani dreptali nerwowo.

– Nic się nie stało – wycharczał. Co z akcentem na „nic” brzmieć miało sarkastycznie; czy zabrzmiało – Bóg jeden wiedział.

Grabski dotykał jego pleców i barku.

– Nie połamali pana?

Podnosił się z trudem. Bolało wszystko – łydki i kolana, żebra, kark, głowa. S pluwał krwią, ale z zębami, na szczęście, wszystko zdawało się w porządku.

– Dokąd pan pójdzie?

Wskazał dłonią kierunek. Zabrakło mu raptem kilkunastu metrów.

– Da pan sobie radę?

– Szczerze dziękuję za troskę – zawahał się. – Oraz pomoc.

I dopiero teraz zabrzmiało to niczym prawdziwe podziękowanie. Zawstydzony swym wcześniejszym cynizmem, teraz podawał wybawcom dłoń, co rusz z głośnym sykiem wciągając powietrze.

– Unikajcie panowie polityki – spróbował zażartować.

Odeszli w stronę Portowej, oglądając się wciąż w jego stronę.

Na szczęście nie stracił pieniędzy.

O reszcie pomyśleć trzeba było na chłodno.

## ROZDZIAŁ 6

### Kierowca

Niedziela taką jak ta łatwo się było zachłysnąć. Z okna pokoju spojrzała w stronę morza: migotało srebrzyście, radośnie, było błyskotką, milionami paciorków podwieszonych niewidzialnymi nićmi do zastygłych mięciutkich obłoków. Łucja, choć u pani Ewy na Kamiennej Górze mieszkała od lat, wciąż potrafiła się zdumieć, widzieć jasno, w zachwyceniu tę grę kolorów i światła.

W oddali półwysep: wyraźny tak, że aż chciało się rozpoznawać – mimo odległości – łodzie kołyszące się w przystaniach Helu i Jastarni, tamtejszych gospodarzy w drodze do kościołów, a nawet tony barw najdrobniejszych kwiatów w przydomowych ogródkach. Po zatoce sunął żagiel, bliżej, i wysoko lewitowały mewy. Od drewnianego molo pasażerskiego odbijała, przed sezonem wypełniona ledwie do połowy, „Wanda” lub „Jadwiga”, skrzył się piasek zamkniętej szerokimi ramionami łazienek plaży Zakładów Kąpielowych, spacerowano.

– Ach, jak chce się żyć! – wykrzyknęła.

Jeszcze rzut oka w lustro, poprawienie wstążki u kapelusza, ostatnia krytyczna ocena szerokiego granatowego paska – na szczęście bronił się doskonale na tle sukienki w wesołe grochy – i zaraz stopy zadudniły o drewniane schody, po chwili zamykała furtkę.

Kamienna Góra z dawna była letniskiem, Łucja pierwszy raz widziała ją jeszcze przed wielką wojną, kiedy to podczas wycieczki z Zoppot tatko zastanowił się, czy by aby następnym razem nie przywieźć rodziny do mniej zatłoczonej, a przez to przyjemniejszej od kurortu wioski. Minęło osiem lat – w tym czasie przeżyli kolejne wojny, bo i tę z bolszewikami – nim ponownie stanęli u stóp wzniesienia. Za to już w Polsce. I od razu w drodze do willi pani Ewy, cóż za szczęście im wtedy dopisało, jakże trafny okazał się wybór kwatery! Wracali do niej nie raz, aż wreszcie nie w sezonie, a za to wczesną jesienią do drzwi zapukała wystraszona Łucja. Szukając pokoju na dłużej, po przygodzie na dworcu... Mniejsza z tym, może jeszcze nadarzy się okazja, by i o tamtych dniach opowiedzieć.

Gdy mijała Hotel Kaszubski, jeden z gości golił się w otwartym oknie (na szczęście widziała jedynie z daleka, jak wstrzymał dziarski rytuał namydlania, by odprowadzić ją łakomym wzrokiem). Przed kioskiem Wedla pytlował z kolei niewielki sejmik służących, pomocy domowych, wysłanych tu z zadaniem kupienia „słodkiego” na deser. Otwarto też wreszcie, co za niespodzianka, letnią kawiarnię Warszawską.

„Doskonale” – pomyślała Łucja, właśnie tu planując popołudniowe co nieco.

Dalej muszla koncertowa, przed nią ślicznie uformowany plac, starannie przystrzyżona trawa, jasne alejki. Niżej Riwiera – gdzie korty, najpyszniejsze fajfy,

najbardziej upojne dansingi. Okolice ta, hotele, restauracje, kawiarnie, była niczym małe Zoppoty, małe wycinek Łazurowego Wybrzeża, tudzież tak chętnie odwiedzana przez Marszałka adriatyckiego Abacją, inaczej Opatiją.

Jako rozkwitającą dziewczę Łucja nie bywała na dansingach, o nie, tatko by na to nigdy nie pozwolił. Nie grywała też w tenisa. Mniejsza z tym, że nie umiała. Po prostu tego wszystkiego, tego wokół, radosnego i żywotnego, jeszcze wtedy nie było. Powstało nagle, wyrosło niczym świeże kwiaty. Ach, jakże byłoby miło, gdyby zgodziła się przyjechać mamunia i gdyby udało się przekonać tatkę – by przestał obrażać się na Gdynię, co odebrała mu córkę... Żeby przyjechali i na własne oczy przekonali się, jak wspaniale rozkwitła dawna wioska!

A jeszcze plaża, łazienki, Casino. To ostatnie z wielką salą balową i kinem Morskie Oko (ech, kiedyż wreszcie do Gdyni dotrą filmy dźwiękowe? mówią, że nie sposób nie osłupieć, gdy ulubiony aktor odzywa się naraz innym od wyobrażonego głosem!). I jeszcze za Casinem: dawny, przedwojenny Dom Kuracyjny. Otoczony niewielkim parkiem i nader nieciekawą sławą.

Łucja tymczasem skręciła w stronę miasta. Nie chciała się spóźnić, a zbyt długo krążyła o poranku pomiędzy szafą a lustrem, ledwie zdążając wypić szklankę mleka i zjeść bułeczkę z miodem. A wszystko, choć w biegu, to i w zachwycie, który kradł chwile, aż te obrosły w minuty; w efekcie autobus mógł odejść!

Przypieszyła. Przez moment – ale tylko przez moment! – wspominając bliźniaczy niemal pęd sprzed dwóch dni, gdy gonił ją Zbój. Zresztą: czy rzeczywiście gonił?

Nieważne. Od kawalerów nie mogła się opędzić. Aż się nieraz z tego jej powodzenia zaśmiewała przyjaźnie pani Ewa (za to pani Maria opowieści o kolejnych mniej lub bardziej cichych adoratorach przyjmowała zwykle z nutą niepokoju).

Pani Ewa Miklaszewska, gdańszczanka, córka przemysłowca, a żona porucznika marynarki, była drobną, lecz energiczną trzydziestokilkuletnią blondynką. Dla osoby towarzyskiej, spragnionej i ciekawej ludzi willa w Kamieńcu Pomorskim (bo tak brzmieć miała nazwa Kamiennej Góry, gdy zakładano tu lotnisko) była żywiołem, któremu poświęcała się z niespożytą energią, energią i radością przy tym zeń czerpiąc. Łucja była dla niej już niemal członkinią rodziny, stałym wszak, całorocznym mieszkańcem Orlego Gniazda (podczas gdy inne pokoje wynajmowano przede wszystkim latem).

Z kolei Maria Król, matka pana Jana, była osobą blisko sześćdziesięcioletnią, a staruszką z wyboru. Nosiła się czarno (choć o swym wdowieństwie nie mówiła wiele), wokół głowy opinała długie, gęste, siwe warkocz i ani myślała odmładzać się strojem czy farbować. Wyjątek czyniła tylko dla sznura drobnusieńkich pereł – prezentu od syna.

Łucja spędzała u niej w Orłowie każdą niedzielę. Na życzenie staruszki, ale

i na prośbę pana Jana.

Straszny to człowiek. Na własne oczy widziała, do czego bywa zdolny. Jednocześnie tak wiele mu zawdzięczała. A długi należy spłacać – powiadał tatko.

Wizyta u pani Marii nie mogła wyglądać inaczej: najpierw drugie śniadanie serwowane bezszelestnie przez służącą. Świeżo mielona kawa, gęsta śmietanka, powidła. W trakcie: opowieści Łucji o Gdyni, o poczcie, plotki. Później wyprawa (autem, a niekiedy... rykszą!) do Kolibek – wzdłuż majątku Krukowskich, a dawniej Sobieskich, tak jest, tego Sobieskiego, na mszę do Józefa, przed ufundowany przez królową Marysienkę cudowny obraz Matki Boskiej Piaseckiej. Tam ukłony, pozdrowienia, niedzielne wymiany zdań.

Obiad odbywał się niekiedy w towarzystwie sąsiadów, po nim następował seans z lekturą (zwłaszcza gazet) lub długie rozmowy o panu Janie – o jego sukcesach, zdobyczach, nigdy o przeszłości. Od czasu do czasu, zależnie od pogody, scenerię tychże rozmów – i to Łucja lubiła najbardziej – stanowiło orłowskie molo, taras Domu Kuracyjnego, wylegujące się na piasku łodzie, schnące sieci i jednostajny, powolny ruch fal. Po południu Łucja wracała do Gdyni.

I tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Spóźnione śniadania z widokiem na morze, poczta, wieczory z panią Ewą, niedziele z panią Marią. Przetykane chwilami tęsknoty: za mamunią, tatkiem, siostrami, Wyszkwem.

To jakby im opowiadała teraz, po raz nie wiadomo który, o pani Ewie, o pani Marii, skracając w ten sposób długą drogę. Aż wreszcie dotarła na Rynek Kaszubski. Wybrukowany, to mu się należało jako najstarszemu centrum miasta, z domem sióstr miłosierdzia i szpitalem, z magazynem Piotra Ferdynusa i wznoszoną strzeliście w niebo czteropiętrową kamienicą Scheibów.

Minęła dawny magistrat, a wciąż siedzibę policji. Przecinała plac. Pod wiatą jeszcze czekał autobus Szandracha i Czarnowskiego.

– Uff – ucieszyła się. Zdaży!

W tym samym czasie sprzedający bilety Krzysztof Wilczyński z narastającą irytacją znosił spojrzenia pasażerów. Przyglądali się jego spuchniętej wardze i siniakowi wokół prawego oka. Pudrował owe rany od świtu, pudrował w przerwach pomiędzy kursami. Nie przestawały rzucać się w oczy. Na szczęście nikomu nie starczało śmiałości, by o nie pytać lub je komentować.

Był na siebie zły. Za godziny, które wymknęły się spod kontroli, za szczeniacką chęć popisania się, wtrącenia trzech groszy w nie swoją sprawę. Ludzi głupich, podjudzanych przez pismaków, a przez to skłonnych do politycznych awantur, nie brakowało i nigdy braknąć nie mogło – ale czy on, na bogów, musiał się dać sprowokować?

– Jakież to jeszcze chciałem być zabawny! Przemądrzały! Nie wprost ich zażywając, lecz ironicznie, sarkastycznie: a dlaczegóż to was nie strzegła Matka Boska, gdy przegrywaliście powstania i bitwy, gdy wrogowie rznąli całe miasta

i brali w niewolę kobiety? Albo: dlaczego tak ochoczo fałszujecie historię, dlaczego wciąż nią manipulujecie – by zawsze wyszło na wasze? Skąd ta namiętność do fałszu – czyżby po królowej, z pochodzenia Żydówce? Nic dziwnego, że wzięli mnie za bolszewika.

Zamyślony ponuro, spojrzął przez szybę w wylot Świętojańskiej. Wtem! Jasna plama zamigotała na tle przykurzonego bruku. Ależ tak, to ona – rozpoznał. A więc doczekał się. Szlag by tylko trafił głowę obitą w takiej chwili!

Gdy dostrzegł w jej oczach strach, tym bardziej przeklinał swe pijaństwo. Płaciła złotówką, wydał dwadzieścia groszy. Mówił cicho, ona wcale nie głośniej. Usiadła w drugim rzędzie po prawej stronie kabiny; co za szczęście, że ponad wymogi ustawy właściciele wyposażyli kabinę w lusterko pozwalające kierowcy przyglądać się wewnątrz kabiny.

Wierciła się niesłychanie. Nie potrafiła usiedzieć w miejscu! A to spoglądała nerwowo na Krzysztofa, to uciekała wzrokiem w bok. Dopiero po chwili, w okolicach figurki, dostrzegła lusterko – i odbijające się w nim oczy kierowcy. Zmieszała się wtedy strasznie, unosząc torebkę, szukając w niej czegoś. Że też się do niej przyczepił, Zbój! Wyglądał strasznie. Ale i... śmiesznie!

– Naprawdę się mnie boi – zmartwił się Krzysztof. Cóż, przykra rzecz, zasłużył sobie na to. Lecz z tym większą złością pomyślał o nieznanym się na żartach dryblasie i jego ponurym kompanie. Ejże, czy zwykła pijacka kłótnia musiała się skończyć aż tak?

Łucja tymczasem opanowała się. Teraz w lusterko spoglądała wręcz zaczepnie. Prócz tego zaś, świadoma, że jest obserwowana, mrużyła oczy i uśmiechała się nieco pogardliwie i wyniośle.

Krzysztof, o ile myślał o niej ostatnimi dniami, były to myśli pełne wątpliwości. „Cóż w niej widziałem, co też dostrzegłem?” We wspomnieniu jej twarzyczka wydawała się, owszem, miłusia, ale też banalna; figura – zgrabna, bez dwóch zdań, lecz przy tym żadne чудо. Wyobrażał ją sobie w tańcu i w uścisku, od wyobrażeń z wielką ochotą przeszedłby do czynów, ale... Ale, no właśnie: cóż w niej właściwie było pociągającego?

Teraz wiedział, widział: delikatność rysów, błysk w oku, skrępowanie zdradzające eleganckie maniery i tętniący cichutko pod skórą ognisty temperament.

Nagle szarpnęło, wyrwało z rąk kierownicę. Ktoś krzyknął. Hamując, spojrzął przestraszony: na szczęście choć musiała chwycić się oparcia ławki z pierwszego rzędu, to opanowała rozkołysanie ciała (i również poszukała jego wzroku); ważne, że nic się jej nie stało – a przecież inna z pasażerek upadła, podnosząc się teraz z trudem.

– To prawdopodobnie opona, proszę państwa. Co spowoduje pewne opóźnienie.

Protestowali. Nie pierwszy raz w jednym tylko tygodniu – mówili – takie

zdarzenie! Przypadek to czy karygodny brak starań o komfort klienteli?

Krzysztof, nie zwlekając, wziął się do wymiany koła. Musiał unieść ciężką burtę za pomocą lewara, potem zdjąć oponę wraz z obręczą i w zamian zainstalować zapasową. Trwało to dłuższą chwilę, zwłaszcza siłowanie się z zapieczonymi śrubami.

– Musi konkurencja z Poznania, a? – szepnął zza ramienia Wilczyńskiego jeden z pasażerów, przyglądając się dwóm wielkim gwoździom wbitym po łby w uszkodzoną oponę. – Musi we wrześnie mają swoją linię otwierać. W porozumieniu z Komisariatem Rządu. Słyszał, a?

Krzysztof, owszem, słyszał. Lecz do koncepcji wilniuka podszedł mimo wszystko sceptycznie.

– Panji, a co szkodzi psu bratom psuć zawczasu markę konkurencji?

– Myśli pan?

– Pan wiesz swoji, ja swoji. Tak, tak...

Z odwrotu zwolennika teorii spiskowych skorzystał natychmiast kolejny z pasażerów:

– Odszkodowania będą, mogą żądać! Mogą, będą, nie uważasz pan?

– Nie moja rzecz... – odpowiedział Krzysztof, mocując się z oporną materią i przeciągając spółgłoski.

– Ciężko? Idzie?

– Ciężko, sam pan przecież widzisz!

– Ale puściło! No widzisz pan... Odszkodowań mogą żądać. Za spóźnienie i niebezpieczeństwo.

– Przecież nie moja wina.

– Tak się jednakowoż złożyło, szanowny panie, iż masz pan szczęście spotkać na swej – *par excellence* – drodze przedstawiciela Prudential plc, czołowej firmy ubezpieczeniowej rodem z – proszę uważać – kolebki przedsięwzięć reasekuracyjnych, czyli Wielkiej Brytanii. W ofercie swej...

– Panie, nie przeszkadzaj! Niech skończę, jak matkę kocham!

Urażony przedstawiciel szacownego Prudential plc zamilkł. Zadarł podbródek i prychnął. Widać, iż pożałował zniżenia się do poziomu kierowcy. Wilczyński z kolei postanowił, że udusi każdego, kto jeszcze przerwie mu pracę.

– A ja wiem, że to nie pana wina...

Uniósł głowę. I zaraz się uśmiechnął. Z bliska jego jasne, rozwodnione spojrzenie w oprawie bladej cery miało w sobie coś niepokojącego. „Chłodnego, jakby nieludzkiego” – pomyślała. A przecież spojrzał na nią przyjaźnie i podziękował za wsparcie.

– Więc... pan jest kierowcą...

– Niedzielnym, droga pani. Zasadniczo niedzielnym, w inne dni tylko niekiedy koledzy proszą mnie o zastępstwo. Pani zaś tą trasą jeździ częściej?



– Właśnie w niedzielę – wyszeptwała. W lot zrozumiał przyczynę tego jej zmieszania i ochoczo podchwycił grę:

– Zatem mamy ze sobą coś wspólnego!

– Panie kierowco, niechże się pan nie guzdrze, na litość boską! Spóźnienie narasta, nie każdy na nie może sobie pozwolić; jak pan!

O, mocne to były słowa! Przez ułamek sekundy we wzroku Wilczyńskiego błysnęła groźba. Grubasek w meloniku również musiał ją dostrzec, gdyż zmieszał się i pospiesznie pokonywał schodki wiodące do kabiny.

A Łucję zaciekawiło: w jaki sposób odpowie kierowca? Jako Zbój – zwłaszcza taki z podbitym okiem – mógłby na przykład na gościńcu – którym była niewątpliwie Szosa Gdańska – znieważać rywala na oczach dam, obrabować go, a na koniec uciec w las i wieść odtąd żywot przydrożnego pirata – pełen przygód i dalszego bezprawia. Lecz mógłby też schylić głowę i zacząć przeproszać obrażonego pasażera – co bardzo byłoby zrozumiałe w czasach i w mieście, gdzie tak trudno o stały zarobek. Więc jaka będzie: owa odpowiedź Zbója?

– Ależ toto pofukuje... – mrugnął. – Myślałby kto, że wielki z niego...

– Fukiewicz! – podrzuciła.

– Fukiewicz! Cha, cha! Pięknie to pani ujęła! Proszę państwa, proszę wsiadać! – zawołał. – Czy pani się bardzo spóźni?

– Nic a nic.

– Pani jest bardzo miła.

W Orłowie ponownie wyskoczył zza kółka. Niby to podać dłoń pewnej matronie w welonie. Tyle że Łucja, wysiadając jako druga, również skorzystała ze wsparcia. Uścisk miał i mocny, i delikatny zarazem.

Przypomniał się jej film: *Pewien Młody Człowiek* (o matko, cóż za myśl: wszak zgodnie z tym, co pisano na afiszach, był to „dramat erotyczny mężczyzny, który uwodził każdą kobietę”!). Jakże zawadiacko uśmiechał się w nim Ramon Novarro! Za to ten tutaj, Zbój, miał w uśmiechu... „Rodzaj smutku – pomyślała. – Otchłań – dodała. – Miałam rację, że Zbój” – upewniła się, ucieszoną własną przenikliwością. Tyle że strachu już teraz nie czuła nic a nic!



*Dom kuracyjny w Orłowie.*

## ROZDZIAŁ 7

Na słodkie!

W drodze powrotnej nie mieli okazji rozmawiać. Tłok.

Tylko:

– Piękny miała pani dzień, zdaje się – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Nad Zoppotami za to już zagrzmiało. Od strony Gdańska.

Wysiąść postanowiła mimo wszystko wcześniej. Nie jechać zatem na Rynek Kaszubski, a pożegnać się przy kościele. Zbyt wiele mogłoby albowiem wyniknąć z ewentualnej dłuższej rozmowy na przystanku końcowym. Nie, nie, ona nie z takich, niech się dzieje, co chce, lecz we właściwym sobie rytmie!

– Do zobaczenia – obniżyła głos.

– W niedzielę – zgodził się. I jeszcze krzyknął: – Fukiewicz!

Obróciła się i znów błysnęła pięknym uśmiechem.

Czuła się lekko. W dodatku pan Jan miał się ożenić! Zanosilo się na to od dłuższego czasu, interesy wyгнаły go do Bydgoszczy, zamieszkał tam, poznał panią Alicję, córkę wysokiego urzędnika dyrekcji magistrali kolejowej mającej jeszcze silniejszą nicią łączyć śląski węgiel z Gdynią. Ślub planowano w sierpniu, w bydgoskiej katedrze Świętych Marcina i Mikołaja.

– Pojedziesz ze mną, moje dziecko – zdecydowała pani Maria.

– Ależ...

Na nic protesty.

– Jemu będzie miło.

Tego Łucja nie była wcale pewna. Niemniej wiedziała, że zadowolenie syna jest dla staruszki wartością najważniejszą, zatem wszelki opór na niewiele się zda.

Nie wiedzieć kiedy, niesiona niczym na skrzydłach, znalazła się już przed Riwierą. Gdzie auta, mnóstwo aut, a zwłaszcza kabrioletów. Riwiera Łucję onieśmiałała. Zdawała jej się miejscem dla odważnych, pewnych siebie, wręcz bezczelnych, a na pewno świetnie sytuowanych. W ich towarzystwie czułaby się niepewnie – uważała. Co innego z mężem... Och, co za myśl? Dlaczego pomyślała o mężu?

Grabski tymczasem o Łucji zapomniał. Owszem, do stolika Warszawskiej zaciągnęła go myśl, iż spotka dziewczynę... Lecz teraz z innymi wojował już myślami, wciąż od nowa próbując układać zgrabne zdania i czując, że wszystko na marne.

Pierwszą wersję opowieści o cudach PeWuKi naczelny był już poznał. Czytając, marszczył brwi, posapywał i pohukiwał, od czasu do czasu łypiąc na Adama spod obwisłej powieki:

– Panie Grabski – zabrał się wreszcie za entuzjastyczną wedle oczekiwań

autora recenzję. – Dobrze, dobrze, nie mówię, że źle... Skróci się, znacznie skróci, powstanie notka. Rzecz jasna, daliśmy już relację z Targów, lecz notka nie zawadzi. Od naszego korespondenta! W dziale informacji krajowych.

Notka? Grabski załamał się. Wszak napisał był reportaż! Pełen blasków i zachwyków, czymże jest notka wobec reportażu? Jak w niej dotknąć sedna omawianych zdarzeń, jak poczuć ich atmosferę, jak doświadczyć energii?

– Panie Grabski. Niech pan próbuje, ja pana nie mam sumienia zniechęcać. Przypominam jednakowoż, że pan masz talent do ogłoszeń. Nie zaprzepaść go pan, ja pana potrzebuję!

Wyszedł, dziękując, lecz obrażony. Nasz korespondent? Talent do ogłoszeń? Dobre sobie! Ta zniewaga krwi wymaga!

„Pies z kulawą nogą  
(i tu zręczny rysownik zaprezentuje zabawnego kundla inwalidę)  
nie zainteresuje się ogłoszeniem Szanownego Pana Prezesa  
(i tu rysownik skreśli z kolei smutnego i potencjalnie przegranego prezesa),

jeżeli nie da go Pan do napisania prawdziwemu mistrzowi w swoim fachu!

Zapytania kierować w suterenie.

Stanowczo nie mylić z Re-da-kcją!”

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się. – Bo też co innego zostaje mi prócz śmiechu? – wykrzywił usta, szklanym wzrokiem wpatrując się w morze.

Kiedy przed laty setnie się bawił, przeglądając archiwizowane przez ojca primaaprilisowe numery „Kuriera Polskiego” (ich autorami byli panowie Tuwim i Słonimski), w życiu nie pomyślałby, że przypadnie mu poznać smak tak dotkliwej klęski: pisz pan ogłoszenia!

„Ważne dla p.p. Autorów!

Księgarnia nakładowa p.f. «Kuryluk i Rogalik»

wyda chętnie córkę za mąż”

– Jakby z myślą o mnie pisanie! – gotów był lać srebrne grochy łez do wystygłej dawno kawy.

Albo:

„Dramat komiczny w trzech aktach:

żona, która

nie zdradziła męża!”

Albo:

„Fryzjer damski Emilio:

czesze wszędzie!”

Czy to śmieszne? Ba, przepyszne! Lecz WYŁĄCZNIE w formie dowcipu! Tymczasem... tymczasem... Co? – oto miałby, na żądanie redaktora, dać się skazać na wieczne pisanie ogłoszeń, pisanie ich dzień po dniu, aż do żalostnej

śmierci w połowie starczą ręką napisanego zdania...?!

„Pot  
wągry  
pryszczę  
są zgubą twego czaru i wdzięku.  
Dlatego radzimy używać...”  
Żalodne, doprawdy!

I co czynić? Zrezygnować hardo? Odmówić kategorycznie i zażądać publikacji reportażu, bo inaczej... No, co? Powrót do Warki? Do może i chcącego dobrze, lecz gburowatego ojczyma? Niestety, kolegom, którzy osiedli w Poznaniu, nie wiodło się wcale lepiej niż jemu tu nad morzem. Ech, życie...

– I niech jeszcze dureń linotypista – delektował się własną złośliwością (lecz dlaczego pomyślał właśnie o linotypiście?) – niech jeszcze dureń źle ułoży czcionki, korekta niech to przegapi i masz:

„Praktyczne kostki rosołowe  
Maggi  
stosuj  
(stół, rodzinka, uśmiechnięty mąż i ona – z chochlą nad wazą)  
by co dzień godna podziwu  
była  
twoja  
...upa!”

Aż prychnął, ubawiony, jednakowoż jednocześnie uderzając rytmicznie łyżeczką o krawędź spodka.

– Kawa dziś wyjątkowo niesmaczna – uznał. Cukier nie krzepił, ciastko zdawało się suche, a i kelnerka nieruchawa.

Wtem!

– Łucjo! – wykrzyknął. – Panno Łucjo!

A ona, wbiegając do kawiarni – i w myślach nie mogąc się zdecydować: na eklera czy napoleonkę – wpadła wprost na stolik Grabskiego.

– Pan tutaj?

(A niby dlaczego nie?)

– Pani mnie poznała?!

(A co, miałyby zapomnieć?)

– Jakże się cieszę na pani widok, gdy miałem taki nieprzyjemny dzień...

Zmarszczyła brwi:

– Pan zniknął, panie Adamie. Pana nie było. Ja się martwiłam.

– Martwiła się pani?

Rzeczywiście. Bo najpierw kino, spacer, kawiarnie... Nagle – nic! Tylko karta pocztowa po kilkunastu długich dniach.

– Ja... – pocierał czoło. – Ja nie powinienem był... Kierowałem się impulsem, panno Łucjo, wyjechałem, bo uwierzyłem, że wysokiej klasy literacka relacja z Wystawy Krajowej w Poznaniu przekona pana Kiełbratowskiego, który wreszcie pozwoli mi zostać dziennikarzem. Dlatego też wyjechałem, korzystając z nagle nadarzającej się okazji darmowego transportu. Ale proszę: usiądźmy, nie stójmy.

Zgodziła się – łaskawie.

– Czy udało się panu zrealizować zamiar? – zapytała po chwili.

Cóż było robić: pokrótce, lecz uczciwie, streścił swe niedole. Roześmiała się, gdy relacjonował swą ostatnią rozmowę z redaktorem. Czy aby nie szyderczo? – nastawił wyczulone ucho.

– Panie Adamie – starannie dobierała słowa. – W panu jest tak wiele entuzjazmu, tak wiele zapału i podziwu dla świata... Niech się pan nie zraża, ja pana proszę.

Poczuł się Syzyfem, Prometeuszem. Cierpiał, lecz miało to sens!

– Ależ skąd, panno Łucjo! – zawołał. – Mnie tak łatwo zniechęcić się nie da! O niczym innym wszak nie myślę prócz tego, jak pokonywać przeszkody. Gdyż czasem konieczny jest krok wstecz, aby wkrótce...

Promieniał. A i jej było miło w roli pocieszycielki.

– Nie mówmy zatem dłużej o sprawach niemiłych. Niech opowie mi pan o Wystawie. Tak niewiele zdążyłam przeczytać.

– Oczywiście, lecz jeżeli pani preferuje czytać, to ja chętnie...

– Później, teraz proszę mówić!

Zatem mówił:

O swoim pierwszym wrażeniu: zagubienia. Wśród ponad stu specjalnie na tę okazję zaprojektowanych oraz wybudowanych pawilonów i hal, wśród przepastnych tłumów, w morzu najwyższej jakości wrażeń estetycznych oraz intelektualnych, jakie zapewniały ekspozycje niemal półtora tysiąca wystawców. Alejkami wytyczonymi wzdłuż i w poprzek soczyscie zielonych trawników wędrować można było bez końca. Zadzierać głowy – bo co pawilon, to bardziej interesujący.

Prezydent Mościcki, otwierając wystawę w asyście szwadronu 15. Pułku Ułanów i tuż przed wypuszczeniem w niego śnieżnobiałego gołębia, powiedział: „Powszechna Wystawa Krajowa nie tylko powinna dać pełny obraz dzisiejszej twórczości całego narodu, ale i podnieść do tem większego jej rozwoju na przyszłość”.

Rzeczpospolita miała się więc chwalić. Naprężyć muskuły i wypiąć dumnie pierś. PeWuKa 1929 była pieśnią, peanem na cześć sił witalnych odrodzonego państwa. Szczytowym osiągnięciem pokolenia. Imprezą, do której przygotowania, samo jej trwanie, a wreszcie po niej wspomnienie stanowić miały mit – dawać

radość i ugruntować tutaj też wzmocnić poczucie wartości. Niby tylko igrzyska, lecz jakże mocno unoszące w niebo!

Kto nie był na PeWuCe – nie istniał, wiadomo, nowoczesność wymaga włączenia się w nurt. Więc był i pawilon Przemysłu Drzewnego, Przemysłu Ziemiaczanego, Przemysłu Likierowego i Koniakowego, Pracy Kobiet, Handlu oraz Ubezpieczeń, Melioracji Rolnych, Ministerstwa Komunikacji i każdego innego, miasta Lwów, miasta Gdańsk, innych poważnych miast, Mleczarstwa i jajczarstwa, Uzdrowisk, banków, komunikacji, przemysłu szklanego i muzycznego, miała swój pawilon Polonia, miało łowiectwo, włókniarze, przedstawiciele monopoli państwowych, sztuka i nauka, rząd jako taki, Goplana, Wedel i Browar Żywiecki, Pudliszki, Kujawska Wytwórnia Win, Mortkowicz, Gebethner i Wolf, Nasza Księgarnia, Giesche SA z Katowic, Spółka Akcyjna Wielkich Pieców i Zakładów Ostrowieckich, H. Cegielski, Solvay, Pierwsza Fabryka Lokomotyw, Drukarnia W.L. Anczyca i Spółki, Gerlach, Pe-Pe-Ge z Grudziądza, Warszawska Fabryka Guzików, Widzewska Manufaktura, Syrena Rekord, Ćmielów, Ząbkowice i Wielkie Hajduki. Jednym słowem: wszyscy! Inaczej się tego ująć nie da.

No i niech sobie jeszcze panna Łucja wyobrazi: że od pawilonu do pawilonu przejeżdża się tam fikuśnym, lecz jakże sprawnym elektrycznym wózkiem. Że wszędzie telefony, telegrafy, a nawet radiografy – na potrzeby przesyłania dokumentów. I banki, kantory, restauracje, pokazy filmów oraz sztuczne ognie! Nie zapominając o palmiarni, gdzie wczuć można się w nastrój panujący w tropikalnym lesie, są jeszcze zapierające dech Akwarium Pawilonu Rybackiego, arena na czterystu widzów, pałac sztuki, dansing, kabaret, a wreszcie... Wreszcie wesołe miasteczko! W nim zaś kolejka górską i zjeżdżalnia wodna, najprawdziwszy wodospad, wioska... proszę uważać!... murzyńska, a także... cóż, powiem, bo taka prawda: Najpiękniejsze Kobiety Świata, które oglądać można za opłatą i nie całkiem, za przeproszeniem, ubrane („No co też pan, panie Adamie!”).

Sto milionów wydano – lecz warto było!

Weźmy pawilon przemysłu wódczanego: ni to chiński, ni japoński, z czterema wieżami, których opisać wręcz nie sposób, bo ani to kieliszki ustawione w piramidę jeden na drugim, ani teleskopowe lunety wyciągnięte do granic możliwości – ot, wieże, wesoły żart, grunt, że z daleka rzucający się w oczy.

Wspaniały jest także pawilon domu mody Bogusława Herse. Proszę sobie wyobrazić: owalny, przeszklony, rześcicie oświetlony, gdzie sukience na ciele wystawionego w witrynie manekina, garsonce czy kapelusikowi przyglądać się można z każdej możliwej strony, to stanowczo nie sklep znanego nam dotąd typu, o nie, lecz nadchodząca w rzeczy samej przyszłość! I taka powinna być Gdynia: miasto nowoczesnych kształtów, delikatnych konstrukcji, szkła i neonów!

– A wreszcie, panno Łucjo, weźmy pawilon Ministerstwa Poczty

i Telegrafów. Moim zdaniem, nie ukrywam, zdecydowanie najbardziej udany!

– Naprawdę? – aż uniosła brwi, ucieszona, z drugiej zaś strony zaniepokojona: czy on tego aby nie mówi specjalnie?

– Ależ tak, panno Łucjo! Oto jeden prostopadłościan leży, drugi mniejszy – na nim, a obok wysoko wyrasta w górę kolejny – tym razem postawiony pionowo, z tym, że jego częścią jest jeszcze cylindryczna, w połowie weń zatopiona, bogato oszklona wieżyczka. Ja nieudolnie być może o tym mówię, a chcę tylko powiedzieć, że jest to gra form – niezrównana, proporcje doskonałe, zaś pomysł na urząd w każdym mieście, wojewódzkim czy powiatowym, wyborny!

– Ciekawszy niż nasz gdyński? – wznoszony widelczyk zastygł w połowie drogi.

– Ależ... – zawahał się. – Bardzo podobny! Układ okien, otwarcie na światło... Bardzo podobny!

Z niepokojem obserwował jej twarz. Czy udało mu się wybrnąć?

– Chciałbym, żeby pojechała tam pani, zobaczyła – jak wspaniale potrafimy urządzić się we własnym kraju. Czy pojechałaby pani ze mną?

Więc teraz ona mogła opowiedzieć. O swym zapracowaniu i rychłej nadziei na awans.

– Gratuluję! Gorąco gratuluję, panno Łucjo. A czy ja pani nie zanudziłem?

– Skąd! Broń Boże!

– Swoją drogą, na pewno słyszała pani o tym, że zbiory w tym roku zapowiadają się marnie, więc truskawkami należy się cieszyć bez umiaru, gdyż z innymi owocami...

Ugryzł się w język, lecz za późno!

Bo przecież za nic nie chciał uczynić aluzji do trzeciej pochłanianej i czwartej zamówionej porcji biszkoptu z galaretką.

– Panno Łucjo, ja miałem na myśli zimę. Która wymroziła... Przecież wymroziła...

O, szczęśliwa intuicjo! Wspomnieć o zimie nie było źle. Oto oboje jak na zawołanie uciekli myślami od problemów przemysłu owocowo-cukierniczego (o ile taki istniał – co należałoby sprawdzić na PeWuCe), myśląc za to o niedawnej sannie na pobliskim stoku, o tamtym wieczorze u Piątka i o prezencikach, które wymienili – bez powodu – mniej więcej w połowie lutego.

Łucja zarumieniła się.

– Wróciłem... – ośmielił się zerknąć jej prosto w oczy.

Na szczęście do niczego wtedy, zimą, nie doszło. Ani w słowach, ani w uczynkach.

– Cieszę się – odparła. A jego raz dwa porwał entuzjazm:

– Panno Łucjo, a jakie ma pani plany na lato? Czy nie zechciałaby pani pójść ze mną do Zoppot? Mówiąc: pójść, dokładnie to mam na myśli. Wybrać się



brzegiem, przez Orłowo, przekroczyć rzeczkę Kaczą i Swelinę, potem zaś granicę i dotrzeć aż do Grand Hotelu, wciąż drogą ściśle nadmorską?

– Czy to aby bezpieczne?

– Och, myślę, że mogą zdarzyć się momenty, gdy zagrozi nam zamoczenie nóg, niemniej niczego gorszego nie powinna się pani spodziewać. Więc zgodzi się pani?

– Zobaczymy.

– Zobaczymy?

– Pan uciekł, znikł, panu należy się kara.

Zaiste: dałby się pokroić!

– Powinienem nalegać?

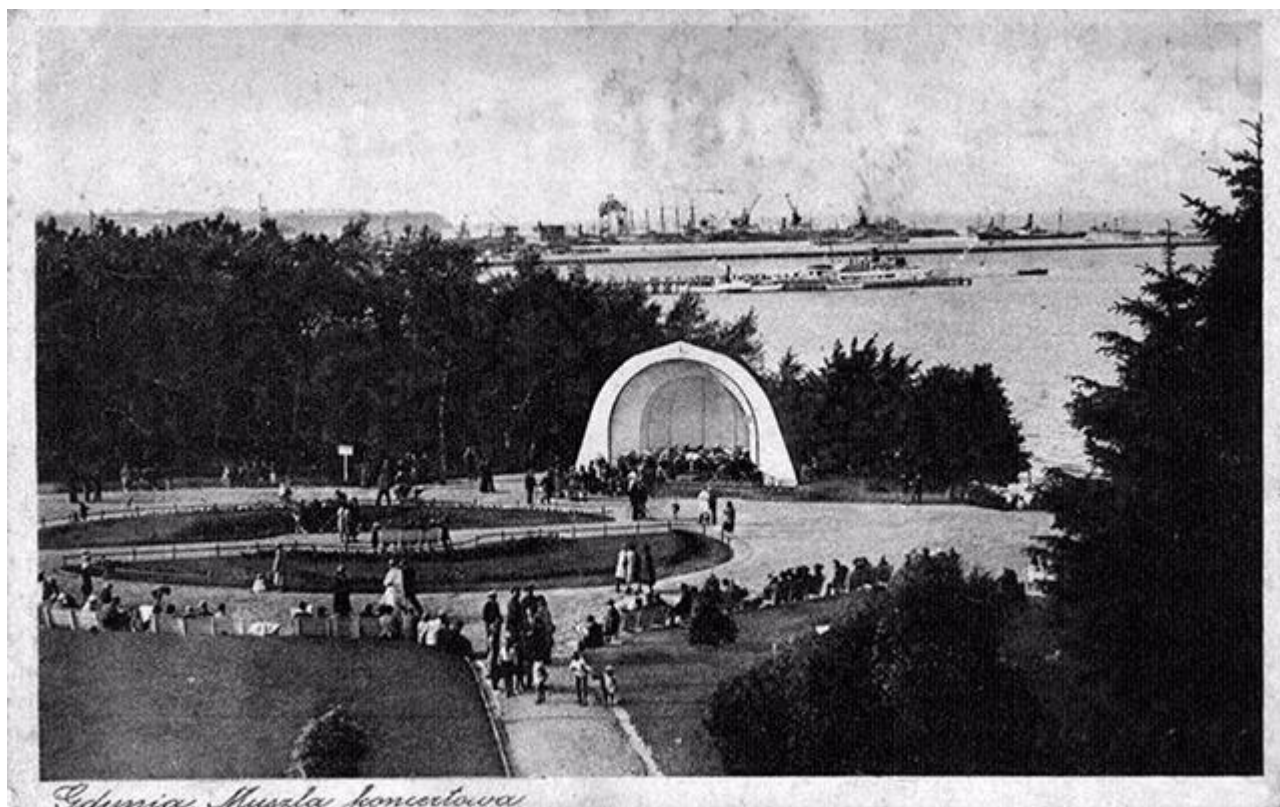
– Powinien pan czekać.

Nie potrafił!

– Albo obierzmy, panno Łucjo, jeszcze inny kierunek – lasy na zachodzie. Nimi dotrzemy do prawdziwie kaszubskich wiosek, a tam...

– Panu się strasznie gdzieś spieszy, panie Adamie – upomniała go po raz kolejny. Żartobliwie, lecz stanowczo.

– Tak, pani powiedziała, abym czekał. Zatem w jednej chwili zamieniam się w greckiego filozofa stoika. Milczę, przyglądam się i czekam... Jednak do Zoppot wybrać musimy się koniecznie!



*Muszla koncertowa na Kamiennej Górze.*

## ROZDZIAŁ 8

### Przekaz

Mimo bębniącego wściekle deszczu stukanie palców o szybę usłyszał i rozpoznał wyraźnie.

– Kostek – domyślił się.

Znów bolała go głowa. Znów miał za sobą noc zalaną wódką i piwem. Konstanty wszedł tymczasem do baraku i od razu napatoczył się na Gierszewską.

– Wypity – zdradziła wiedźma.

– A nie obity aby? – wesoło dopytywał Kot.

– Bardziej już nie.

– To postępowanie, pani gospodyni, postępowanie!

– Zbiesił się, pije – gderała i miała rację.

– Już ja mu przemówię, pani Gierszewska!

Słyszał wszystko, jak to w baraku. Z fasadą z ledwie pobielonych desek, płaskim dachem, korytarzami przecinającymi budynek w poprzek i wzdłuż, kuchnią i pokojem Gierszewskich oraz innymi, które wynajmowała. Wiatr hulał w szczelinach okien, pompa była za rogiem, wygodka na drugim krańcu posesji.

Podobny charakter – ubogi i prowizoryczny – miała kwatery Krzysztofa. Stało w niej łóżko zbite z belek i desek, miednica na metalowym stojaku, nad którą wisiało lustro, a obok ręcznik na gwoździu. Prężył się też dumnie wieszak – prawdziwy, jak w hotelach czy mieszczańskich domach, a przywleczony przez Krzysztofa nie wiadomo, kiedy i skąd – a pod oknem zamarł ciężko stół z szufladą. Trzepotała firanka. I pelargonie, nie mogąc się zdecydować: zdechnąć czy też rozkwitać? Na nachkastliku – kolejnym niespodziewanym elemencie wyposażenia – leżało kilka książek.

Poprzedni wieczór zaczął Wilczyński w kinie od *Spelunki* z Igo Symem: „dramatu z za kulis ludzi upadłych”... Nic dziwnego, że reszta potoczyła się jakby sama z siebie, niczym lawina uruchomiona obsunięciem niewielkiego kamyczka, i nic dziwnego, że dziś marzyć potrafił tylko o tym, by zadziałała tabletki kowalskiny. – Inaczej łeb mi pęknie – mamrotał.

Kotkowski wszedł i usiadł na jedynym krześle, bez słowa przypatrując się porannej mordędze przyjaciela.

Metalowy kubek, łyk wody, wyjście z miednicą, powrót z miednicą, chlapanie, sapanie, narzucenie koszuli, kromka chleba, zaschnięta kaszanka krojona na zimne nieapetyczne plastry. Częstowany Kot odmówił bez trudu.

– To ci się nie nudzi? – zapytał wreszcie.

Zamiast odpowiedzi – zdziwione spojrzenie przekrwionych oczu.

– Pamiętam, że planowałeś wygodne mieszczańskie życie.

Machnięcie ręki.

– Jest robota.

Cisza. Posapywanie.

– Taka sama? – wreszcie jakieś słowa. Skrzypiące w zaschniętym gardle. Konstanty potwierdził.

– Dziękuję, nie interesuje mnie to – odpowiedział, żując Wilczyński. – Nie będę się włóczył nocami po lesie...

– Masz coś lepszego na oku?

– Mam.

– Powiedz!

Powiedział. Że do Czappa się wybiera.

Posiedzieli, pomilczeli.

– A ty, co?

– Pokręcę się przy porcie.

– Leje.

– To wrócę do domu.

– Do domu! – westchnął Krzysztof. I rozejrzał się wokół siebie. – Masz rację, Kostek, rozpuściłem się...

– Jak dziadowski bicz, bracie. A mieliśmy, pamiętasz, zbudować kamienicę!

– Zbudujemy.

– Pojedź z nami. Pojedziesz? Tym razem, obiecuję, to na pewno będzie Zoppot. Bezpieczna robota, chociaż w nocy.

– Nie namówisz mnie, Kostek.

– Powiedz: dlaczego?

Krzysztof wzruszył ramionami.

– Nie namówisz – nie nudź więcej!

Gdy wychodzili, wciąż padało.

– Jednak się pokręcę – powtórzył Kotkowski. By jak co dzień obejść i Kolonię Rybacką, i port, a wreszcie rozległe przestrzenie wokół powstających basenów wewnętrznych. Szeroką pętlą zahaczał wtedy o Grabówkę, o Chylonię. Przypatrywał się wszystkiemu, z napotkanymi kolegami wypalał leniwe kolejne papierosy. Lubił wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Lecz słuchaj – na odchodnym przypomniał sobie, że i po to przyszedł dziś do przyjaciela – ci, którzy urządzili cię, powiesz o nich coś więcej?

– Z wyglądu do nikogo niepodobni. – Wilczyński uśmiechnął się krzywo. – Cześć! – wyciągnął dłoń.

– Zastanów się.

– Już to zrobiłem, zaręczam.

Ruszyli w przeciwne strony.

Doszedłszy do Portowej, Krzysztof skręcił w stronę Rynku. I tam go zobaczył – jak na zawołanie – do nikogo niepodobnego dryblasa. W drzwiach

Domu Towarowego Piotra Ferdynusa. Kiedy tamten znikł w środku magazynu, Wilczyński bez zastanowienia ruszył jego śladem.

Bałtycki Dom Towarowy był przykładem klęski. W zamyśle siedmiopiętrowy, jakiego świat nie widział, po zdiagnozowaniu – już w trakcie budowy – niebezpiecznych wód podskórnych, nie wyrósł ponad trzecią kondygnację. Klęska zatem, porażka, a miało być światowo, po amerykańsku – siedem pięter! Lecz niech inni przeżywają tego typu tragedie. Dom funkcjonował wszak doskonale. Wewnątrz nie brakowało niczego: futer, koronek, obuwia skózanego, gumowego, muszek, krawatów, garnków, bławatów, parasoli, talerzy i metalowych misek, pościeli, igieł, guzików czy czajników. Dryblasza zainteresowały spinki i mankiety. Krzysztof przyglądał mu się z bezpiecznej odległości. Chciałby, owszem, stanąć za plecami tamtego i wycedzić parę słów; uznał jednak, że lepiej poczekać.

Po wyjściu ze sklepu młodzieniec niemal pobiegł w stronę Świętojańskiej. Przy dawnym magistracie skręcił. Wszedł do budynku.

– Policjant? – zdumiał się Wilczyński. – Może kapuś? – Tak czy inaczej, wchodzić za dryblasem do komisariatu ani myślał. Wciąż padało. Rozejrzał się. Schronienia w tej okolicy szukać mógł jedynie w kaplicy Szarytek. Lub w Centralnym – u Skwierczów!

W próg hotelu wkroczył dziarsko, ponaglany siekącymi strugami, i w nim się zatrzymał. Energicznie strącił krople z kapelusza i z ramion, obrócił się, oparł o framugę.

– Policjant... Jeżeli to policjant... – zastanawiał się, nie potrafiąc jednakże (przeklęty pijacki łbie!) wyciągnąć jakichkolwiek wniosków. – W każdym razie policjant.

Dostrzegłszy w drzwiach intruza, wnet zjawił się portier.

– Tu nie poczekalnia!

– Bądź pan człowiekiem! – Wilczyński wskazał na kałuże rozbijane drobnymi, gęstymi kroplami i zmierzył rozmówcę wzrokiem; nie trwało to długo – od stóp po łysinę.

– Nic, panie, nie poradzę. Tu nie poczekalnia!

– Leje – wycedził Krzysztof, w usta ostentacyjnie wkładając zapałkę i odwracając głowę.

– Wejdź pan do restauracji i zamów chociaż piwo.

Piwo? Hm, zabrzmiało to zachęcająco! A i ton portiera się zmienił. Już nie burczał, a prosił. Inna rozmowa.

– Piwo, mówisz pan?

– Haberbusch i Schiele.

W hotelowej restauracji goście zajadali przy trzech czy czterech stolikach przedpołudniowe salcesony, szynki, żurki, omlety, befsztyki. Wilczyńskiemu

zakręciło się w głowie. Od widoków, ale i zapachu. Po niby upojnej (Jadłem coś? Jadłem! Jadłem... – nie był pewien), a okupionej torturą nocy.

– Piwo – obstalował bez zwłoki. – I wątróbkę! Albo nie! Nie mogę czekać. Co będzie tak raz-raz, panie starszy? Niech będą parówki. Byle prędko!

Swoją drogą, u Bonka, w lokalu III kategorii, obiady jadało się za złotych jeden i siedemdziesiąt pięć groszy. W Casinie czy Słupskim – już za dwa pięćdziesiąt. Zaś tu, w Centralnym – w kategorii pierwszej – za całe trzy złote. Porządek dzięki temu był – w głowach i portfelach, choć różnicy w jakości serwowanych frykasów nie zawsze dawało się odczuć.

Usiadł przy oknie. Wielkiego sensu to nie miało. Śledzony dryblas mógł oto bowiem z komisariatu pójść w stronę morza, mógł też podążyć Świętojańską. W obu tych przypadkach Krzysztof miałby niewielkie szanse, by go zauważyć.

„Chyba że wróci w stronę Portowej lub wybierze się Starowiejską. Wtedy będzie to dla mnie znak” – uznał.

– Habermusch i Schiele – zaprezentował tymczasem kelner. Rozkosz! Chłodna, orzeźwiająca, gorzkawa radość. Warszawski browar wielkością konkurował z okocimskim i żywieckim. Czy smakiem również? W tej chwili Krzysztof oceniał go bardzo wysoko.

– Zapłacę od razu.

– Złoty dwadzieścia.

Aż zakrztusił się! Cóż, hotel...

Czekał, obserwując ulicę. Kelner co i rusz to pojawiał się na sali, to znikał w drzwiach wiodących do kuchni, jego ruch wzmagął kołysanie powietrza, a Krzysztofa dochodziły falami uchwytnie przez moment zapachy czy to flaczków, czy odpowiednio przyduszonej cebulki. Czekał.

Wreszcie: kielbaski zaparowały, mocny chrzan zawiercił w nosie. Krzysztof wbił widelec w napięty apetycznie flak, kroił, wsłuchując się z rozkoszą w dźwięk przecinanej skórki, uniósł kęs do ust i nagle – niech to wszystko szlag jasny trafi! – dryblas maszerował Starowiejską!

Ugryzł raz, drugi, prędko, zachłysnął się chrzaniem, wlał w żołądek piwo. Ale porcję zostawił ledwie napoczętą i wybiegł zły, wściekły, „zapłacisz mi za to, parówki dopisuję ci do rachunku!” – wygrażał w myślach dryblasowi. Którego dogonić mógł bez trudu. Na szczęście opamiętał się. Zmierzali w stronę dworca. „Co dalej? – zastanawiał się. – Pojedziemy? Do Zoppot? Wejherowa?”

Poświęcił śniadanie. Czy poświęci zaplanowane ważne spotkanie, czy tak łatwo zapomni o porannym postanowieniu zostania wreszcie szanowanym obywatelem? W imię czego? Do tej pory wiedzieć chciał jedynie, komu wystawić ów – dobre słowo – rachunek. Lecz dalej – co?

Tamten dotarł tymczasem do bramy budynku magistratu. Rozejrzał się, uchylił komuś kapelusza. Po czym wkroczył w ową bramę śmiałym krokiem,

a Krzysztof – tym razem bez wahania – za nim.

I niemal upadł, odbity od brzuszyska portiera niczym piłka tenisowa od fachowo naprężonej rakiety.

– Co dziś z wami, cieciami! – chciał krzyknąć. Tamten w ostatniej chwili nie pozwolił mu upaść.

– Najmocniej pana przepraszam – tłumaczył. – Pan do kogo, można wiedzieć?

Olśnienie!

– Do dyrektora Dziubińskiego, wszedł tu właśnie przede mną!

– Kto?

– Dziubiński, dyrektor – upierał się Wilczyński. – Młody, wysoki!

– Ten, ów? – cieć wskazywał w czeluść urzędu, z bijącym z oczu niedowierzaniem.

– Więc może nie dyrektor? – Krzysztof odgrywał swą wymyśloną rolę z zaangażowaniem godnym wielkiego Osterwy (miał przyjemność podziwiać go swego czasu na scenie w Krakowie).

– Panie, nie referent nawet, bo za młody. Zwykły Małecki, urzędnik.

– Nie dyrektor? Ach, co za szkoda, wygląda na to, że dałem się oszukać!

Portier zatrzęsł brzuchem, rozbawiony cudzą naiwnością.

– Trzeba uważać, szanowny panie. Ale czy ten ów, czyżby przedstawiał się panu jako dyrektor?

– Tak mówił! – zaperzył się Krzysztof. – Jak Pana Boga kocham!

Portier z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To ci chłystek!

– W rzeczy samej. Do widzenia panu!

Odchodził zadowolony.

– Zwykły Małecki – powtarzał. Podniósł głowę, spojrział w niebo.

„Przestało padać...” – pomyślała Łucja w tym samym niemal momencie. Patrzyła z okna na pierwszym piętrze. Miała tu już swoje biurko. Na razie jeszcze krążyła – na dole przyuczając dziewczynę, która przyszła na jej miejsce, na górze zaś ucząc się skomplikowanych procedur. Niemniej jednak! Awans!

Wszystko odbyło się nagle, niespodziewanie Łucja została wezwana, trochę się przestraszyła, naczelnicy byli poważni, w uznaniu pracowitości – mówili – doceniając sumienność – podkreślali...

– Niechże panna Łucja na siebie uważa! – krzyczeli koledzy, gdy biegała po schodach wte i wewte.

– Istna torpeda, nie dziewczyna!

Nagle! Zbój – w holu głównym! Niedzielny kierowca! W pierwszej chwili serce zabiło jej mocniej; lecz pojawiła się i wątpliwość: przecież umówili się na niedzielę; oto następny, któremu zanadto się spieszyło!

Zbój wpłacał, zdaje się. O ile nie był to jedynie pretekst. Bo zaraz rozejrzał się, zaglądał w kolejne okienka. Lucja cofnęła się w głąb korytarza.

Kiedy z powrotem zajrzała na salę, nie było go już. Podeszła do swej uczennicy:

– Pokaż, sprawdzę, czy wszystko poprawnie wypełnione.

Lekko drżały jej ręce, gdy czytała: Krzysztof Wilczyński. Do Krakowa sto złotych wysyłał. Na ręce Joanny Sobieraj.

A Krzysztof oto już stał z powrotem przy okienku. Gdyż zapomniał był kapelusza.

Zaczerwieniła się okrutnie (i nie potrzebowała lustra, czuła to).

– To pani... – ni to zapytał, ni stwierdził.

– Ja tylko... – nie wiedziała, co powiedzieć. Na pewno domyślił się, co trzymała w ręku.

– Do zobaczenia w niedzielę – uśmiechnął się. – Pogodę zamówiłem wyborną!



## ROZDZIAŁ 9

### Ki czort?

Po udanej rozmowie z Czappem wstąpił do Bonka na jednego. Przede wszystkim zjeść, lecz może i spotkać zwykłego Małeckiego?

Bonk, cmokając co rusz i złorzecząc, wysłuchał historii pobicia. Urzędasa – twierdził – widział tamtego dnia po raz pierwszy i ostatni. Krzysztof zamówił mielonego z buraczkami. I piwo – ale jedno – co wyraźnie zaznaczył.

Chciał pomyśleć o przyszłości. Nie udało się.

– Dzień dobry. Czy pan mnie poznaje?

Uniósł głowę.

– Pan...? Ach, tak, poznaję. Stały bywalec, jak widzę.

– Grabski, Adam Grabski. W rzeczy samej jestem w tym miejscu po raz drugi.

Nie odchodził, nie siadał, stał.

– Proszę usiąść – zaproponował Krzysztof, aczkolwiek bez wielkiego entuzjazmu. Nie miał ochoty celebrować wdzięczności, a czegoż innego mógł oczekiwać młody człowiek?

– Miałem nadzieję, że nie ucierpiał pan bardzo – powiedział ten.

– Jak widać. Poza tym wszystko w porządku.

– Panu niewiele zabrakło, aby dotrzeć wtedy do mieszkania, prawda? Ja szedłem, proszę sobie wyobrazić, samotnie aż na Grabówek.

– Czy mogę panu zaproponować piwo? W takim razie wódkę?

Stało na słodkiej – Krzysztof skrzywił się – wiśniówce.

Grabski rozgadał się. O upiorach pojawiających się dawniej na bagnach, gdzie teraz wykopywano portowe baseny. O widywanym tam czarnym psie, ziejącym z pyska diabelskim ogniem. Oraz o jeźdźcu w kapeluszu, który nocami niby to przywoływał ku sobie zbłąkanych, w rzeczywistości wiodąc ich ku topieli (podobnie zresztą jak babina z wielkim naręczem chrustu – ją także można było ponoć spotkać w przybrzeżnej, nocnej scenerii).

– Ki czort? – zastanawiał się, słuchając Krzysztof. Bo co go te bajdurzenia mogły obchodzić?

– Właśnie odbywam rozmowy z miejscowymi – wyjaśniał jak na zawołanie Grabski. – Miejscowymi z dziada pradziada. Zbieram materiały, wie pan, dziennikarskie. A pan nietutejszy, prawda? Niepotrzebnie pytam. W tak młodym mieście trudno być tutejszym.

(„Wręcz przeciwnie – uważał Krzysztof; jego zdaniem właśnie w Gdyni łatwo było znaleźć miejsce i prędko zostać – w tłumie kolejnych przybyszów – tutejszym).

– Ja pana niepotrzebnie zagaduję – sploszył się młodzieniec, dostrzegając

wreszcie nieobecne spojrzenie Wilczyńskiego. – Przepraszam bardzo, pójdę już.

Żegnali się bez czułości, Krzysztof co prawda ponownie podziękował, lecz kontynuować pogawędkę wyraźnie nie miał zamiaru.

– Fiksum-dyrdum – podsumował, gdy Grabski opuścił lokal.

Wrócił do ulubionych, solidnie przysmażonych buraczków.

Zaraz! – zerwał się. Przecież ten... Drabski? Grabowski? Przecież mógłby złożyć zeznania potwierdzające wyczyny zwykłego Małeckiego! Które to zeznania przedstawić można by Małeckiemu i?...

Odsunął talerz, wybiegł (drugi już raz dzisiejszego dnia, więc było to jak refren powtarzanej w kółko melodii, jak popularne w rozmowach pensjonarek *déjà vu*). Za późno, młody człowiek zdążył zanurzyć się w labirynt uliczek, wyparować gdzieś pomiędzy rzędami porozwieszanych po praniu prześcieradeł.

W niedzielę nie usiadł za kierownicą autobusu. Ani w kolejną, ani w żadną z następnych. Lato rozlało się nad miastem, zrobiło się gwarno i kolorowo.

– I jakby czegoś żał... – wzdychała Łucja.

Grabski na próżno starał się zgadywać: czegoż to?

Zaś Krzysztof marzył. A jakże: o kamienicy!



GRUDZIEŃ

1929

## ROZDZIAŁ 10

### U siebie

Po kolei:

Z wyprawą Adam czekał. Bo wciąż było za gorąco albo spodziewano się burz. A nie chciał Łucji narażać. Docierali więc jedynie – a i to nie drogą nadmorską, lecz przez Kamienną Górę – do plaży na wprost dopiero co otwartego Domu Zdrojowego.

Wiadomo, ta najbardziej prestiżowa plaża Zakładów Kąpielowych miała dwie wady: po pierwsze, zbliżał się ku niej port. Ba, powstała nawet myśl, by skwer Kościuszki, zamiast o drewniany pomost, przedłużyć o długie, szerokie nabrzeże – jak te w porcie. Czyli o molo Południowe! (Tylko czy można – i czy warto – aż tak ingerować w dobrze znane, oswojone i przyjazne otoczenie?) Po drugie, za wejście na plażę zakładów trzeba było płacić. Owszem, w zamian otrzymywało się dostęp do przebieralni, bufetu i prasy, do zanurzonych w morzu ślizgawek, huśtawek i karuzeli, do wygodnych koszy; ale jednak – nie za darmo. Po sąsiedzku kusiała plaża u podnóża Riwiery. Piękna i zadbana. Lecz tam z kolei tłok, hałas, letnicy, sprzedawcy lodów i lemoniady, więc hałas, więc tłok, letnicy, coraz więcej letników, hałas, dąsy, kłótnie, tłok... Nic dziwnego, że gdyńska, t u t e j s z a już młodzież szukała dla siebie miejsca osobnego, wyjątkowego, dostępnego jedynie wtajemniczonym. Na pewien czas znajdując: a skoro nie pod Kamienną Górą, to u podnóża Wzgórza Focha. O tak, tam wypadało bywać.

Słońce, fale, piasek, spojrzenia i gesty, gonitwy w rozbryzgiwanej wodzie, zabawy piłką. No i kostiumy, a pod nimi ciała. Od których widoku mogło się kręcić w głowach.

Łucja sprawiła sobie następujący: obcisły, kawowy, w ciemniejsze romby, akcentujący talię, z wcięciami na plecach; do tego czepek – by chronił włosy przed morską solą – oraz lekką, zwiewną, nieco jaśniejszą tunikę. Wyglądała naprawdę dobrze. Panowie się za nią oglądali, widziała. I dlatego też starała się zachować umiar, ograniczając plażowanie do rozsądnych granic. Zresztą opalała się prędko i ładnie. Podczas gdy Adam na czerwono i do bólu. Chi, chi!

Prócz tego chodzili do kina. Czyli teatru – jak mawiano – dla głuchoniemych. Łucja preferowała mniejszą, lecz najstarszą w mieście Czarodziejkę – naprzeciw dostojnego, wielkomiejskiego (tak sądziła) Banku Polskiego. Z kolei Adam wolał nowoczesne Morskie Oko w budynku Casina: z dziesiątkami lamp, tysiącami złotych gwiazd na suficie, ale przede wszystkim z sześćdziesięcioma miejscami na balkonie.

O filmy także się spierali. Adamowi podobały się na przykład *Skrzydła*, w których przystojny, owszem, Gary Cooper wojował pod niebem z lotnikami

niemieckimi.

– Od tego roku, Łucjo – zapowiadał podniecony przed seansem – Amerykańska Akademia Sztuki Filmowej przyznaje nagrody dla najlepszych filmów świata! I za taki właśnie uznała *Skrzydła!*

Wzruszała ramionami. Cóż to za Akademia, która nie potrafiła docenić wzruszającej *Kokietki*? A była to opowieść o pięknej Normie zakochanej w przystojnym Michaelu, lecz co z tego, że z wzajemnością, skoro na drodze szczęścia młodych stawał nienawidzący dziewczyny ojciec chłopaka?! Czyż nie brzmiało to tragicznie?

Prócz tego owej długiej, trzeszczącej liśćmi jesieni obejrzeni – co Grabski skrupulatnie zanotował w kalendarzu – western *W Starej Arizonie*, ponurego (bo polskiego i o cierpieniach artysty) *Mocnego człowieka* oraz przepysznie zabawne *Pół żartem, pół serio*. Wreszcie: *Pod banderą miłości*. Tym ostatnim filmem zachwycili się szczególnie, nie mogło być inaczej, wszak na ekranie Gdynia! Oto Andrzej, pasażer na gapę, ratuje córkę komandora, kiedy ta wpada do morza. Co więcej: gdy kobieta szpieg wykrada komandorowi dokumenty wagi państwowej, Andrzej rusza za nią w pogoń motorówką, dogania i... – doprawdy trudno nie uронić łzy – ...rozpoznaje w niej zaginioną dawno siostrę!

Łucja do bólu zaciskała palce, gdy córka komandora tonęła. Adam kołysał się za to w fotelu, niczym łódka na fali, chcąc schwytać zdrajczynię–złodziejkę.

I jedynie ze *Szlaku hańby* uciekła zapłakana, nie chcąc oglądać Bogu ducha winnego Grabskiego przez następnych kilka dni. A była to opowieść o zbrodniczej szajce nakłaniającej naiwne dziewczyny do emigracji do Brazylii, by tam zmuszać je do nierzą... Dość! Ani myśleć o tym nie chciała, wracać do wspomnień, jakże złych!

Zresztą odbył się i zapowiadany od tygodni ślub pana Jana. Nadspodziewanie prędko, bo w sierpniu (a miało być po kolei!). Więc znów wiele się działo, i znów bardzo chaotycznie. Co zapamiętała? Najpierw długie namysły nad wyborem prezentu (gdyż panią Marię niełatwo było zadowolić), potem gorączkę pakowania kufrów i walizek, wreszcie podróż przysłanym z południa autem. I piękną panią Alicję – wysoką, a jeszcze w butach na obcasie – i zdystansowany uśmiech pana młodego, widok placu Wolności z ogromnego mieszkania nowożeńców oraz pobliski, monumentalny wodotrysk *Potop* (z dramatycznie ułożonymi na wysokiej skale figurami uratowanych z kataklizmu, ale i ze zmarłą z wyczerpania matką z dzieciątkiem na ręku; cóż za okrutne okropieństwo!). Dalej: uroczystości w katedrze – gdy biskup długo i wylewnie dziękował młodemu za nader hojne dary – wynikłe ze wzruszenia zasłabnięcie pani Marii, obecność wielu osobistości (dyrektorów, naczelników, prałatów i pułkowników), a wreszcie noc: z bulionem z orzechami, *foie gras* z figą i sałatką z gruszek, z *purée* z kasztanów, z combrem jelenim... Ach, kto by to wszystko

spamiętał!

Tańczono z początku dostojnie. Walca. Dopiero, gdy zrobiło się późno, przechodząc do lokalnych wersji quickstepa czy charlestona.

Pan Jan wciąż mógł się podobać. Oto kształtna głowa – jakby wykuta z granitu – rysy twarzy niczym u Marka Aureliusza w gimnazjalnych podręcznikach, silne barki, wyprostowana postawa (przy niezbyt imponującym wzroście). I nie tylko z powodu wczesnej siwizny nie mówiono na owego ledwie czterdziestoletniego mężczyznę inaczej niż: pan Jan. Biła od niego siła, dostojność, władczość. Zresztą i Marszałka wierni legioniści nazywali Dziadkiem, gdy miał nie więcej jak czterdzieści siedem wiosen. Są tacy, którym po prostu szacunek się należy, ot co!

Czy pani Marii podobały się uroczystości, czy podobała się jej synowa, czy cieszyła się szczęściem syna – Łucja nie potrafiła rozstrzygnąć. Pozornie tak, tak pani Maria twierdziła. A jednak zdarzało się Łucji dostrzec na twarzy staruszki i niezadowolenie, i niepokój – gdy pan Jan tańczył z innymi kobietami, a pani Alicja zostawała przy stole sama, zapatrzona w siebie, w nieskończoność, nieobecny wzrokiem. Albo w dzień lub dwa po uroczystościach, kiedy to pani domu cieszyła się na kameralny obiad we własnej jadalni, na co małżonek zareagował szorstko, wręcz nieelegancko, na oczach osób trzecich, żądając wyjścia do hotelu. Później – i wciąż w obecności świadków – całował co prawda rękę, przeproszał, zacierał jak mógł fatalne wrażenie. Lecz i postawił na swoim, bo obiad zjedli Pod Orłem (oraz w towarzystwie prędko podpitych urzędników z ministerstwa).

I może właśnie dlatego w limuzynie wiozącej je do Gdyni pani Maria zapytała: „Myślisz, Łucjo, że mój syn jest szczęśliwy?”. Łucja chciała potwierdzić: ależ tak, ależ z pewnością szczęśliwy, bo oświadczyły, bo sakrament, bo... (noc poślubna – czyżby i o niej odważyła się pomyśleć?). Lecz nim zdążyła otworzyć usta, pani Maria prędko zmieniła temat.

W urzędzie dni mijały w sposób niezauważalny. Szybko przyzwyczała się do pracy na piętrze i polubiła podchodzić do okna, by z wysokości spoglądać na wciąż niewybrukowaną ulicę, na wozy ciągnięte z mazołem przez umęczone konie, na dorożki, autodorożki, na pobliski targ, a za nim na pola ciągnące się hen, po figurkę świętego Jana, i dalej, do niewidocznego Orłowa. Po owych polach krążyli z kolei miernicy, potem miejscowi chłopcy sprzedawcy w towarzystwie potencjalnych kupców, wreszcie znów miernicy, a na koniec nowi właściciele. Wtedy na wydzielonych już działkach pojawiali się robotnicy, furmanki, piasek, drewno, tłuczeń... Świętojańska rosła w oczach – co z wysokiego piętra urzędu widać było najlepiej.

– Znów pani buja w obłokach, panno Łucjo! – gdy tak stawała zapatrzona w dal, koledzy nigdy nie wytrzymali długo, nie potrafili nie żartować, nie umieli

nie flirtować. Bo i życie towarzyskie w ogromnym, gęsto zaludnionym gmachu toczyło się rytmem oczywistym dla tego typu miejsc. Z pączkami, pączusiami, serniczkami, z komplementami i aluzjami, z plotką – jakżeby nie! – z dwuznacznymi uśmieszkami i wiecznie powracającym pomysłem zorganizowania wieczorku. Do niczego jednakowoż nie dochodziło!

– Chciałyby, a boją się – mówili między sobą panowie: Zbyszek Jaźwiński, Jan Kotula, Marian Kurylewicz, a wszyscy kawalerowie (tyle że nie zaprzysięgli i w głębi duszy doceniający cnotliwość koleżanek).

– Ech, ach, och! – wzdychały z kolei panny: Dzidzia Smażewska, Tolcia Wencel, Czesia Wienehaupt; a każda na swój sposób i każda z innego powodu.

A Łucja? Czy wzdychała wraz z nimi?

Jaźwiński – blondyn, lecz z wczesnymi zakolami; Kotula – sepleniący; Kurylewicz – z już w młodym wieku mocno zarysowanym brzuszkiem. Co oczywiście nie miało żadnego znaczenia, ale... Dość powiedzieć, iż o wiele częściej, niż wymagała tego sytuacja, zbiegała poziom niżej, by stając w progu korytarza, przyglądać się płynnej masie petentów. Szukać wzrokiem. Kogo? Mniejsza z tym. A we wrześniu odbyła się wyprawa.

Adam czekał przy plaży. Pogoda dopisała, lecz mimo to zeszła z Góry w gumowcach PePeGe i z lekką parasolką na ramieniu. Dźwignął plecak z wiktuałami i ruszyli – spod Riwiery ścieżką starosty Staniszewskiego (którego to staraniem skończono umacniać nasyp biegnący wzdłuż plaży). – Ale i wcześniej była to droga – opowiadał Grabski – żony i córki rybaków nosiły tędy na plecach kosze ze śledziami do Zoppot i Oliwy. Chciał w ten sposób Łucję zdopingować. Niepotrzebnie, jak na razie szło się jej wspaniale.

Za dobrze obojgu znaną plażą Domu Zdrojowego zaczynały się trudności, a dla Łucji tereny dziewicze. I gdybyż tylko nie ten piasek! To żaden trud iść po nim boso sto czy dwieście metrów. Lecz co innego w ramach wyprawy i co innego w gumowcach! Zwłaszcza że jak raz rozkołysały się fale, woda rozbijała się o kamienie, pryskając silnie w górę, więc i nie sposób było się trzymać twardszego, przybrzeżnego gruntu.

– Ależ znój – wysapała koniec końców. – Co jest za tą górą? – wskazała na olbrzymią, wrzynającą się w morze i zasłaniającą dalszą drogę skarpe.

– To klif – poprawił. – Taka góra to klif.

– Ale czy za nim już Orłowo? – syknęła, ani myśląc o braniu terminologicznych lekcji.

– Obawiam się, że nie... – wymamrotał w niepewnej odpowiedzi.

Człapali zatem, krok za krokiem, za klifem w dal rozlała się płytka zatoka, Orłowa – ani widu. Do tego zaś te przekłete gałęzie i głązy, konary i kamienie... – Naprawdę nie idzie iść – powtarzała. W tej sytuacji o dotarciu do Zoppot – co optymistycznie zakładał Grabski – ciężko było marzyć.



– Świetnie nam idzie – powiedziała mimo to, gdy usiedli na zrzuconym ze skarpy na brzeg, a potem wytrawionym do białości przez fale słonej wody pniu.

– Tak jest! – ucieszył się. – Zoppot naprawdę już niedaleko!

Tylko się skrzywiła, gryząc jajko i popijając herbatą. Bardzo jej było do twarzy w wełnianej marynarce i chłopięcej czapce z daszkiem.

– Zatem chodźmy – westchnęła wreszcie ciężko.

Znów urósł przed nimi klif, znów zrobiło się wąsko i znów trzeba było skakać z kamienia na kamień. Adam wytyczał szlak, badając stabilność głazów, a Łucja, podążając jego śladem, co rusz wspierała się na ramionach chłopaka lub wpadała w jego objęcia. Czuł wtedy jej oddech, zapach włosów, gibkość talii. Wyprawa – jego zdaniem – trwać mogła w nieskończoność. Niestety: wreszcie z za zakrętu wyłoniło się orłowskie moło. I jeszcze dalej – sopockie.

– Strasznie daleko! – wykrzyknęła.

– Być może więc dzisiejszą wyprawę zakończymy w Orłowie? – zaproponował wbrew sobie.

Nie potrafiła się nie zgodzić:

– Bardzośmy wiele dzisiaj przeszli, panie Adamie, bardzo!

A gdy już usiedli – na słodkim – w restauracji Domu Zdrojowego, dodała (wzmacniając znaczenie słów szerokim kołem zatoczonym w powietrzu ręką):

– Nie byłam na to wszystko przygotowana.

– Może następnym razem spróbujemy dojść dalej...

– Ależ tak, oczywiście. Wiosną. Prawda?

Tym razem westchnął już jak parowóz. Zaś ona, nieznacznym ruchem języka oblizując usta z resztek kremu, pomyślała, iż skoro są w Orłowie i skoro jest niedziela, więc może za kierownicę autobusu powróci po tygodniach przerwy...

Mniejsza z tym. Bo na koniec najważniejsze! W listopadzie otrzymała wreszcie mieszkanie! Tak jest, mieszkanie, maleńkie mieszkanie, w najbliższym sąsiedztwie urzędu. Wchodziło się doń na piętro chłodną klatką schodową. Przedpokój. Po lewej niewielka łazienka – a sieć wodociągowa i kanalizacyjna miały ruszyć po Nowym Roku – z lustrem i żeliwną wanną. Po prawej: pokój; jasny, po południu rozświetlany zachodzącym słońcem i pięknie pachnący dębowym parkietem. Wreszcie, na wprost: kuchnia. Z miejscem na stół, ze zlewem i zabudowaną wnęką pod oknem. I tak jak i pokój, i jak łazienka – z kaloryferem! Chciało się krzyknąć z radości!

Lecz wyprowadzić się od pani Ewy jednak było żal! Płakały, tuliły się, obiecywały odwiedzać. Płakała też mała Wanda, porucznik gratulował. Za to Antoni, gimnazjalista, na wieść o szczęściu lokatorki, z początku tylko burknął coś niezrozumiale, a wieczorem milczał w trakcie kolacji ze wzrokiem wbitym w pusty talerz. Za to gdy kilka dni później nieuchronnie doszło do przeprowadzki, w chwili pożegnania spróbował objąć i przycisnąć Łucję ku sobie, a zamiast cmoknięcia

w policzek ustami poszukiwał ust. Tak się przynajmniej speszonej Łucji zdawało. A czy porucznik lub pani Ewa zauważyli cokolwiek?

U siebie długo nie mogła zasnąć. A to wstawiała i zapalała światło, by przestawiać w nieskończoność jedno jedyne krzesło wokół okrągłego stolika; a to znów kładła się na tapczanie... by ponownie się unieść i po omacku – sprawdzając, czy już to potrafi – przejść do kuchni, niby to napić się wody. Kuchenny stół zbili na Grabówku koledzy Adama. Prócz tego marzył jej się kredens, a do pokoju przeszklona witryna; o, i jeszcze lekka szafa!

Będąc z powrotem w łóżku, przewracała się z boku na bok w świetle księżycowego blasku i wciąż miała oczy szeroko otwarte. Myśląc o tym, co było, co jest i co będzie.

Jednego z pierwszych tak przyjemnie samotnych dni zniecka ją najechali. Najpierw Mikłaszewscy: z czerwonym imbrykiem, niebieskimi garnkami, z kolorową narzutą na tapczan, miękkim fotelem i palmą w wielkiej donicy. Zaraz po nich pani Maria, której szofer dźwigał skrzynię z zastawą na sześć osób i kompletem pościeli. Wreszcie Adam – z pustymi, niestety, rękoma, co bardzo go zawstydziło. A i Łucja nie miała czym gości przyjąć... Na szczęście humory mieli wszyscy wspaniałe, szofer raz dwa skoczył do Grzegorzewskiego, porucznik otworzył szampana, nie każdy jeszcze miał na czym usiąść, więc panowie stali, a wszyscy żartowali, wspominając dawne czasy. Swe pierwsze tygodnie i lata nad morzem.

Nazajutrz przyszedł list – od mamuni: „Łucjo, skarbie, w tym roku nie musisz się martwić podróżą do Wyszkowa. To my przyjedziemy do Ciebie, przekonałam tatkę. Aczkolwiek nie w smak mu informacja o Twoim mieszkaniu, boi się, iż na dobre zostaniesz z dala od nas...”.

Rozpłakała się, czytając.

Ba, lecz na czym gości położyć? Czym nakarmić?

– Czyżbym naprawdę pomyślała o rodzicach: goście? – zdążyła się jeszcze zdziwić. A potem prędko wzięła w garść.

## ROZDZIAŁ 11

### Egzamin

Na sportowy garnitur wydał był fortunę. Zaopatrzył się w Bławatach i Konfekcji u Sternfelda na Portowej (pod hasłem: Mały zysk, wielki obrót!). Tuż obok regularnie korzystał z pralni Blask. Lecz mimo to dobrze się prezentować, mieszkając w baraku na Grabówku, było wielką sztuką. Od pewnego momentu poświęcać musiał tej kwestii niemal cały wolny czas. Nie wracał do lektur, nie marzył o lepszych czasach z oczyma wbitymi w sufit, lecz chuchał i dmuchał na ubogą garderobę, a przede wszystkim prasował – dbając pieczołowicie o żar w duszy żelazka.

I wszystko na marne, gdy tak trudno było nie zachlapać nogawek. Oraz trzewików. W błotach, w mazi rozmiękczonej setkami maszerujących do portu stóp. A przecież musiał wyglądać. Musiał! Coraz częściej spotykając się z prezesami, dyrektorami lub co najmniej kierownikami. Należało to obecnie do jego obowiązków.

Redaktorowi Kielbratowskiemu pomysłów nie brakowało. Nie dość, że wydawał gazetę, to i pocztówki, kalendarze, przewodniki. W których aż prosiło się o zręcznie formułowane ogłoszenia. Skoro zaś nie każdy z prezesów czy dyrektorów miał głowę, by pamiętać o zyskach, jakie przynosiła reklama, należało im o tym uprzejmie przypominać. Wzbudzać trwożną myśl – i to właśnie było zadaniem Adama – iż niezamieszczanie regularnych ogłoszeń jest niczym wypuszczanie z rąk złotego ptaka.

Wciąż jeszcze, gdy wstępował w przepastne hole, Grabskiemu drżały nogi i zasychało w gardle. Z trudem znajdował sposoby, by przebijać się przez grube kordony portierów i osiadłe za biurkami zastępy sekretarek. Prędko też poszedł po rozum do głowy i swe wizyty anonsował telefonicznie, nieraz przedstawiając się jako dziennikarz i w ten sposób kamuflując handlowy charakter wizyt.

A jednak: po tygodniach upadków i wzlotów na poziomie drobnych sklepikarzy i rzemieślników przyszły wreszcie sukcesy. A to udane pertraktacje z Towarzystwem Komunikacji Autobusowej (niedawno współzałożonym przez miasto i konkurującym z przedsiębiorstwem Szandracha i Czarnowskiego), a to z American Scentic Lines (obsługującym pierwsze stałe morskie połączenie pomiędzy Gdynią a Nowym Jorkiem). Wreszcie – i był to sukces najmniej spodziewany – dowiedziawszy się przypadkiem o powstającej na Kamiennej Górze lecznicy doktorów Bobkowskiego i Mikicińskiego, idealnie od razu wyczuł pismo nosem i tak przez kilka tygodni urabiał inwestorów, by ci zdecydowali się na ogłoszenia nie u konkurencji, lecz wyłącznie w „Dzienniku”.

Klienci doceniali jego pomysłowość. Na przykład, gdy pisząc o Domu Konfekcyjnym Kraśkiewicza, dodawał znacząco: „Zwiedzanie składów bez

przymusu kupna!”. Albo o hotelu Continental: „bez szumnej reklamy poleca się kuchnię znaną ze swej dobroci”... Nic dziwnego, że wkrótce szło już z górki: „Panie Adamie to, panie Adamie tanto, proszę to dla nas jak najpiękniej sformułować, proszę dopilnować odpowiedniej wielkości i kształtu czcionki... Ja mam, prezes ma – odmieniali klienci na wszystkie sposoby, niczym w elementarzu – my (z partnerami) mamy, oni (dyrektorzy) mają do pana wielką prośbę i jeszcze większe, zaręczamy, zaufanie”. I gdyby tylko jesienią mniej padało, gdyby zimą mniej sypało, gdyby łatwiej było zadbać o ten nieszczęsny wygląd!

Z czasem przeniósł się właściwie do biura. W nim prasował i w nim się przebierał. Z niecierpliwością przyglądając się postępom budowy bloków Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych. Zapisał się albowiem prędko, regularnie płacił składki, liczył na to, że podobnie jak Łucji, tak i jemu uda się wreszcie wprowadzić do choćby najmniejszych, ciasnych, lecz własnych czterech ścian. Zgodnych z urzędniczymi wytycznymi: ekonomicznych i wygodnych, dwu lub trzypokojowych, nie licząc kuchni i pokoiku dla służby („Naprawdę? – bujał w obłokach. – Z pokojem dla służby?”). Osiedla budowano naprzeciw figurki świętego Jana, u północno-zachodniego podnóża Wzgórza Focha, inne tam, skąd od Szosy Gdańskiej odchodziła droga na cmentarz i Witomino, jeszcze następne przy alei Kasyna, tuż za powstającym równolegle budynkiem Komisariatu Rządu. Więc może wiosną... – łudził się, może latem... – miał nadzieję, a najpóźniej przed kolejną Wigilią! – cieszył się. Byle tylko upragnione mieszkanie otrzymać.

Na razie miała je Łucja. I miała mieć gości – więc potrzebowała pomocy.

– To ci dopiero egzamin! – żartował w duchu, przekraczając 10 Lutego krok za domem Plichtów. – Absolutnie nieporównywalny z wizytą u choćby najpotężniejszego prezesa!

Z zamyślenia wyrwała go jęcząca wściekle trąbka. Kierowca autodorożki wychylił głowę zza szyby:

– Życie panu niemiłe?!

Grabski rozpoznał go od razu. I choć w pierwszej chwili miał na końcu języka równie ostrą odpowiedź – by usadzić nieostrożnego szofera – to powstrzymał się i odpowiedział spokojnie:

– Ależ przepraszam. To pan?! Czy jedzie pan aby na dworzec? Gdyż będę potrzebował wziąć kurs – spojrział na omegę (a co, będąc służbowo w Gdańsku, wydał parę guldenów!) – lecz dopiero za godzinę.

– Może być. Dokąd pojedziemy?

– Och, to zaledwie kilkaset metrów...

Wilczyński skrzywił się. Wiadomo, odbierając podróźnych spod dworca, jak każdy kierowca liczył na większy zarobek. Na jazdę co najmniej do Orłowa, albo na Oksywie.

– Że będę – obiecać nie mogę...

Grabski rozumiał, uśmiechając się niemal przepraszająco.

Pod urzędem czekał na Łucję dłuższą chwilę, co rusz zerkając na kremowy cyferblat. Spóźnienie im nie groziło, Łucja zaplanowała stawienie się na peronie na długo przed przyjazdem składu; ale ten cyferblat! Z błyszczącą dwunastką, misternymi łezkami godzin, z niemal niezauważalnymi srebrnymi śladami minut.

W końcu sfrunęła ze schodów i pospieszyli w górę ulicy.

Rok wcześniej o tej porze: istne pandemonium! Potężne mrozy sprawiały, iż zamarzały smary w maźnicach, koła ślizgały się po szynach, zamiast toczyć, pociągi nie wyjeżdżały na trasy, a jeśli już, to utykały w kilkumetrowych zaspach. Spóźnienia osiągały rozmiary horrendalne!

Tym razem zima krygowała się. Śniegi zdarzyły się co prawda i w listopadzie, i na początku grudnia, lecz wkrótce topniały, by tylko od czasu do czasu poproszyć nader nieśmiało. Mimo to na peronie czekali w niewielkim mrozie. Zmierzchało.

Wreszcie dało się usłyszeć przeciągły gwizd, w oddali buchnęła siwa chmura i odtąd trwało ledwie chwilę, nim skład wtoczył się na dworzec w żelaznym łoskocie. Łucja krzyknęła, podskoczyła i pobiegła, goniąc mijające ją wagony. Przejęty Grabski podążył za nią. Potem stanął na uboczu, mnąc czapkę w dłoniach.

Piski, uściski, całusy. Czułe pomrukiwania tatki. Walizki. Jedna, druga, trzecia, piąta. Adam przywołał chłopaka do pomocy.

– A pan, to kto? – zauważył go wreszcie Sobieraj.

– To mój... – z ramion mamuni wyskoczyła Łucja i... zawahała się... – Przyjaciel – szepnęła.

Nic dziwnego, iż mamunia spojrzała czujnie. Takż samo tatko. Tego się nie spodziewali. Albo inaczej: spodziewali, a mimo to pozwolili się zaskoczyć.

– Poprosiłam o pomoc – tłumaczyła dziewczyna, niewiele więcej znajdując w tym momencie słów.

Cóż robić, chwycili za walizki, lecz i z pomocą peronowego omal nie starczyło rąk.

– Czy to daleko? – zapytał rzeczowo tatko.

– Ależ tuż-tuż! – wyszczebiotała Łucja. – Przy dawnej drodze, pamiętacie, a dziś ulicy Starowiejskiej.

– Mimo to proponuję skorzystać z autodorożki – objuczony Grabski z trudem dobywał głosu.

Posuwali się z wolna. Przodem Łucja z mamunią pod ramię, w środku sapiący tragarze, zaś w uważnej ariergardzie pan Sobieraj.

„Przyjaciel?” – zastanawiało się przy tym każde z nich (i nawet uśmiechający się ironicznie przypadkowy chłopak), próbując odczytać znaczenie słowa, które tak nieostrożnie wymknęło się Łucji.

Przed dworcem Grabski rozejrzał się w poszukiwaniu Wilczyńskiego.

– Powinien tu być mój znajomy – zapowiedział optymistycznie.

Powinien, ale go nie było. Tato rzucił Grabskiemu sceptyczne spojrzenie i głęboko westchnął („przyjacieli!” – pohukując w duchu).

– Skoro to blisko, pójdźmy – dostrzegłszy minę męża, łagodziła sytuację pani Sobieraj („przyjacieli?” – zastanawiała się – to przecież nie musi niczego znaczyć”).

A jednak: z walizkami o spacerze nie mogło być mowy.

– Dokąd szanowni państwo sobie życzą? – zapytał pierwszy z brzegu kierowca. I tylko prychnął, usłyszawszy odpowiedź. A po nim drugi i kolejny.

– Prosiłem znajomego – powtórzył Grabski, rozglądając się bezradnie.

Wreszcie, gdy tłum przyjezdnych zdążył się rozproszyć po odchodzących od placu ulicach, jeden z kierowców ulitował się. Szczęście, bo z nieba sypnęło. Śniegiem i tnącym deszczem. Walizki na dachu mocowali dłużej, niż trwałyby ewentualny marsz.

Na miejscu Grabski pomknął z walizkami – a przynajmniej się starał – po schodach na górę, panie ruszyły za nim, tato na ulicy pilnował reszty dobytku. Gdy Adam obrócił, wspinali się już razem.

– Wysoko? – w połowie drogi zapytał pan Sobieraj. Chmurnie i jakby do Adama mając pretensje o usytuowanie mieszkania córki.

Grabski starał się uśmiechać.

Stękali obaj jeszcze chwilę.

– Stefan, zobacz, jakie piękne mieszkanie! – usłyszeli wreszcie, jak zachwycała się mamunia.

– A pan nie zostanie z nami na herbatę?

O tym nie mogło być mowy – w tak intymnych okolicznościach. Ukłonił się, zaproponował pomoc, „gdyby tylko jej państwo w Gdyni potrzebowali”. Mamunia udawała zawiedzioną, tato nawet nie próbował.

Schodząc, długo wciskał w miękkie rękawiczki swe spocone dłonie, mimochodem zauważył, iż nogawki znów ma ubrudzone, a przede wszystkim czuł, jak mocno bije mu serce. „Furda, prezesi i ich sekretarki... – myślał, mając ochotę roześmiać się w głos. – Przed żadną się tak nie denerwowałem! A egzamin...? – zastanawiał się już na ulicy. – Do poprawki, mam nadzieję, oby do poprawki!”

## ROZDZIAŁ 12

### Zaproszenie

Choć tyle miała do pokazania, skupiła się na drobiazgu:

– O, a tu w przyszłości radio postawię – na stoliku...

Rodzice zdążyli usiąść, właściwie przycupnąć na skraju tapczanu, rozejrzeć się nieśmiało. Łucja zagotowała wodę w czajniku i podgrzewała własnej roboty, debiutancki bigos. Wypytywali: o pensję i o czynsz. Łucja z kolei o zdrowie: sióstr, szwagrów i gromadki siostrzeńców.

– Myślą o tobie, nie bój się. Wspominają, kiedy to byłaś ostatnim razem... – aluzyjnie powiedziała mamunia.

– Przyjadę! Na Wielkanoc przyjadę! – odkrzyknęła z kuchni, krojąc chleb na grube pajdy.

– A ten... kawaler? W każdym razie grzeczny...

– To kolega, znajomy – zarumieniła się, celowo degradując niedawnego przyjaciela.

– Ile ma lat, można wiedzieć?

– Tyle co i ja.

– Pracuje?

Opowiedziała – o redakcji i ogłoszeniach.

– Grzeczny – powtórzyła mamunia, niejako upewniając się w wydanym raz sądzie. Chwycili za widelce. I przyznawali, że tu, w Gdyni, rzeczywiście wszystko inaczej; wszystko! Ale i w Wyszowie zmiany: syn sąsiada Pałki się ożenił, wikary nowy jest, ciotunia pozdrawia.

Aż tatko nie wytrzymał:

– Ale na bigos to mi to wcale, córuś, nie wygląda! Ha, ha! Prawda, duszko?

– Niestety, córeczko. Nauczę cię – przez te kilka dni. A kawaler stąd?

Ależ jaki kawaler! – upokorzona kucharka omal nie tupnęła nogą.

– Z Wielkopolski – wybąkała po chwili, patrząc z przerażeniem, jak niemrawo dłubią w talerzach.

Zerwała się:

– Wędlin nakroję, śledzie mam! Nie jedzcie tego!

– Otruć się, nie otrujemy. Wyrzucać nie będziemy – zawyrokował tatko.

– Nie martw się, córuś, ile zdążę, to nauczę! – uspokajała mamunia.

A jednak: uciekła do kuchni. Byle się nie rozplakać.

– Znakiem tego do swoich na święta pojedzie?

– Kto, tatko?

– Pan Adam – podpowiedziała mamunia.

– Nie pojedzie. Tu zostanie („Ależ się uczepili!”).

– Tu? Gdzie?

– Z kolegami mieszka, w barakach. Tu bardzo ciężko o dobre mieszkanie!

– A tak ładnie pomagał. Grzeczny.

– Nie ma nad czym deliberować: zaprosić wypada i trzeba.

Jak to: zaprosić? Adama? Na wigilię?

– Ależ ja nawet nie wiem, gdzie go szukać!

– Nie wiesz? – ojciec uniósł brwi.

A przecież nie kłamała: zwykle to Adam przychodził do niej. Najpierw pod dom pani Ewy, później pod gmach urzędu. Ona zaś na Grabówku nigdy nie była. Ani w redakcji „Dziennika”. Owszem, wszystkim wiadomo, która to kamienica – bo jedna jedyna wśród pól, ale...

– Że też sama o tym nie pomyślałaś, żeby zaprosić – strofowała łagodnie mamunia. – Lecz może niepotrzebnie się wtrącamy?

– Nie w tym rzecz – Łucja opanowała się, wruszyła ramionami. – Ja chciałam ten czas z wami...

– Zrobisz, córuś, jak uważasz, ale... wypada! – mamunia zawiesiła głos, spojrzała na męża, a ten skinął nieznacznie w geście poparcia dla jej słów.

Chcąc nie chcąc, nazajutrz Łucja szukała Grabskiego w „Dzienniku”, skąd skierowano ją do drukarni w podwórzu i dopiero stamtąd do niewielkiego pokoiku przyklejonego do wypełnionej maszynami hali.

Na jej widok Adam uniósł się z za biurka. Miała szeroko otwarte oczy i przejętą minę.

– Stało się coś? – starał się przekrzyczeć hałasem dobiegającym z za drzwi.

– Adam... Mamunia i tatko...

Zdecydowanym gestem sięgnął po płaszcz.

– Adam! Mamunia i tatko... zapraszają cię na wigilię.

– Dokąd? – oniemiał.

– Jak to dokąd? – zdenerwowała się. – Do mnie!

– A ty?

– Co: ja?

– Czy ty mnie również zapraszasz?

– Przecież wiesz...

Właśnie się dowiedział.

– Ale czy to wypada?

O, nie! Jeszcze tego brakowało, żeby się zaczął krygować, zastanawiać! Zwłaszcza po tym jak wymusił owo dziwaczne – tak czuła – być może tylko przedwczesne, a być może zupełnie nieprawdziwe „przecież wiesz”.

– Zechcesz, to przyjdiesz. Byle przed pierwszą gwiazdką!

Drzwiami trzasnęła niechcący. Lecz, co tu kryć: trzasnęła.

– Nie ma co, piękne zaproszenie! – Grabskiemu aż zadźwięczało w uszach.

A gdy wyszedł z za biurka i mijał stanowiska drukarzy, ci uśmiechali się i mrugali



porozumiewawczo. Miała dziewczyna temperament!

## ROZDZIAŁ 13

### Uciekinier

Od końca czerwca jeździł u Brunona Czappa. Ten co roku z nastaniem sezonu inwestował w samochodową flotę i woził letników spod gdyńskiego dworca czy to do Karwi, czy do Jastrzębiej Góry. Krzysztof wkrótce polubił tę trasę: najpierw przez Rumię, Redę, wesoły kawałek lasu przed Rekowem, potem, za Puckiem, wzdłuż zatoki. Tam krzyki podnieconych widokiem morza pasażerów – zwłaszcza dzieci – nabierały intensywności i niekiedy stawać musiał na poboczu, by mogli zejść nad zarośnięty sztywnym sitowiem brzeg i mimo gęstwiny próbować zamoczyć nogi. Nieliczni widzowie tego typu fanaberii, miejscowi, a więc z morzem obyci, z daleka wskazywali ich sobie palcami i wykrzywiali usta w uśmiechu.

Dalej: Wielka Wieś–Hallerowo (kolejne na polskim wybrzeżu połączenie dawnej rybackiej wsi i młodej – założonej przez oficera generała Hallera, podpułkownika Bagińskiego – osady wypoczynkowej i portu), skąd dalsza trasa wiodła wzdłuż stromej skarpy. W Rozewiu mijano jeszcze wyrastającą ponad powykrzywiane sosny latarnię morską i wkrótce docierało do celu.

W letniskach miał Wilczyński przykazane starać się o pasażerów jadących w przeciwnym kierunku, a więc wracających z wyczasów na południe. Nie doczekawszy się ich, zostawał niekiedy na noc w wynajmowanych przez Czappa chałupach. Lecz bywało, że wracał sam. Wtedy na szerokiej szosie rozpędzał się do granic możliwości, i śpiewał, a jakże, pieśń hallerczyków: „Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny narodzię. Odpoczniemy po swej pracy w ojczystej zagrodzie”.

„Gdzie jest ta moja zagroda?” – zdarzało mu się pomyśleć. Bo czy u ojca pod dalekim Rozwadowem? Przecież nie w Krakowie... I nie w kabinach kolejnych frachtowców, choć te przez pewien czas zwykł był traktować jak dom. No i nie w baraku u Gierszewskiej. Więc gdzie?

Raz czy drugi szukał Łucji. A gdy nie znalazł w pocztowym okienku, wsiadł do autobusu i pojechał do Orłowa. Tam odczekał kilka godzin, wałęsając się od klifu prawie po samą granicę, by po południu ponownie zjawić się na przystanku. Na nic. Wrócił zatem na pocztę, by zapytać młodą urzędniczkę: o panią, panią, tę, która pracowała tu wcześniej.

– Panna Łucja?! – odgadła dziewczyna (a i on się ucieszył, poznawszy imię poszukiwanej i słysząc o jej paniństwie). – Ależ w dalszym ciągu pracuje, tyle w dyrekcji, na piętrze – celowała palcem w sufit ślicznotka zza kontuaru. – Czy ją zawołać? Czy coś przekazać?

Nie potrafił się zdecydować, podziękował. Wkrótce zaś wciągnęły go inne ważne sprawy.

Gdyż po sezonie Czapp zwijał żagle. Nie interesowało go jesienno-zimowe

kursowanie po zabłoconych dzielnicach miasta. Pozbywał się zatem aut, w pierwszym rzędzie, raczej z grzeczności, oferując je zwalnianym kierowcom.

A miał kilka chevroletów szóstek, montowanych, wiadomo, na własną rękę na bazie oryginalnego podwozia (w ten sposób zamiast dziesięciu tysięcy wydawało się znacznie mniej; kto nie głupi, ten tak robił). Były to auta wygodne, przestronne, sześć cylindrów i pięćdziesiąt koni, pożerające zaledwie jedenaście litrów paliwa na sto, hulaj dusza, kilometrów.

Miał też essexy super six. Najpewniej zachęcony reklamą, w której udział wziąć raczyła pierwsza, wybrana w styczniu, tak zwana miss Polonia, panna Władysława Kostakówna (swoja drogą, ślicznotka ta, oceniona w Polsce przez szacowne jury jedynie na podstawie zdjęć, wkrótce własną osobą wybrała się do Paryża, by zachwycić i tamtejszych sędziów, i cieszyć się w efekcie tytułem tak zwanej Pierwszej Wicemiss Europy!). Te hudson-essexy składano w Gdańsku – zgodnie z najwyższymi standardami ustanowionymi w Detroit – w budynkach dawnych warsztatów artyleryjskich. Ale i w tym wypadku odebrać można było samą ramę, silnik i nadwozie (te ostatnie, zresztą, najmniej potrzebne) i złożyć je w całość albo w Danziger Automobil Werke, albo, jak też czynił Czapp, w sopockiej Danziger Karosserienfabrik.

Nie mając z początku żadnego innego na dalsze zarobkowanie pomysłu, Krzysztof oddał się rachunkom: złotówka za pierwszy kilometr, sześćdziesiąt groszy za każdy następny... Lecz ile będzie owych kilometrów? Przybywało, owszem, mieszkańców, przedsiębiorstw, fabryk, biur, rozrastały się dzielnice. Lecz przybywało i autodorożek. Jeszcze niedawno nie było ich w mieście nawet dwudziestu; dziś – konkurowało grubo ponad trzydzieści! Z drugiej strony: napiwki, kursy specjalne i nocne. Zarobić by się dało! Problem z kolei w garażowaniu – by auta nie zniszczyć i by nie kusić wandalów. Za dobre, bezpieczne miejsce też trzeba by zapłacić...

Zresztą, wszystko marność, próżny matematyczny trud, bo i tak nie miał tych kilku niezbędnych na początek tysięcy.

– Wezmę na pożyczkę, będę jeździł i spłacał – bez wielkiej wiary w perswazyjną moc swych słów, spróbował przekonać Czappa. Lecz nie o to chodziło doświadczonemu przedsiębiorcy: by nie mieć auta i nie mieć też za nie pieniędzy.

Wtedy gruchnęła wieść, że sam Ford będzie montował w Gdyni! Swym doskonale taśmowym sposobem – Krzysztof czytał o nim w entuzjastycznie nastawionej prasie – a więc z pewnością taniej. Miejsca na choćby największy zakład w mieście z pewnością nie brakowało, lecz kiedy miałyby ruszyć produkcja?

Jeszcze innym rozwiązaniem kusiała General Motors Acceptance Corporation. Chevrolet w osiemnastu ratach – byle na dzień dobry wydać trzy

tysiączki.

– Lubię cię, Krzysztof – powiedział Czapp na koniec tamtej rozmowy. – Wszystko, co mogę zrobić, to rozpuścić wieść, że jedynym kierowcą, którego pragnąłbym zatrzymać, gdybym zatrzymywał wozy, jesteś ty. Może w ten sposób zainteresujesz Szemiotów?

Krzysztof jeździł niemal od dziecka. Najpierw u ojca, zarządcy skrawka majątku rodziny Resseguier z Niska. Później w Krakowie – gdzie tak długo dochodził do siebie po trafieniu zabłąkaną kulą, aż wreszcie doskonale zapoznany z tamtejszą służbą zdrowia, usiadł za kierownicą ambulansu. Jako kierowca sanitarki wziął zresztą udział w słynnym rajdzie na Kijów – z początku w te pędy i z pieśnią zwycięstwa na ustach, za to z powrotem na łeb na szyję i z armią konną na karku. Na szczęście do Krakowa udało mu się wrócić (i do Joanny, ma się rozumieć) – by znów jeździć... Aż się wszystko na dobre poplątało, szkoda słów, dość, że z mistrza kierowcy stał się wilkiem morskim. Jak widać – do czasu!

Cwane zabiegi Czappa zrobiły swoje – Szemiotowie Wilczyńskiego przyjęli. Więc stał od tej pory a to pod dworcem, a to pod domem Sióstr Miłosierdzia, pod pomnikiem Sienkiewicza na Kamiennej Górze, na Portowej albo przy Riwierze. Wszędzie tam, gdzie pozwalało miasto. Nie licząc krótszych przystanków przed najlepszymi lokalami. Z ich właścicielami – a zwłaszcza z bracią kelnerską – warto się było dogadać, porozumieć. Bo jednak nie wszystkie drogi prowadzą do karczmy Rzym, więc jeśli chcesz restauratorze, by nadziani goście spoczęli pod twą akurat lipą, ustalmy warunki współpracy – nic prostszego!

Wulgarniejszych sposobów zwiększania dochodów Krzysztof unikał. Ze względów honorowych. Nie był więc z tych, co to, gdy klient wstępował na jednego, przykazując wszak czekać, znikali za rogiem, podnosili przednie koło i rozkręcali obręcz taksometru. Niby nic, niby pijanemu pasażerowi pieniądze same wypadały z rąk, ale...

Trzeba było za to uważać na przeróżnych cwaniaków. Nieraz i porządnie ubranych. Zamawiali tacy kurs, najlepiej pod targ lub równie zatłoczony dworzec, i próbowali zniknąć w tłumie. Dla takich nie było litości (i nie bez przyjemności dla prędko skrzykiwanej szoferskiej kompanii). W czym Krzysztof starał się nie uczestniczyć, jak i w ogóle we wszelkiego rodzaju awanturach.



*Miasto i port z lotu ptaka. Początek lat trzydziestych.*

A jednak, pewnego listopadowego już dnia, idąc wzdłuż chaszczki przylegających do portu, dał się sprowokować rozpaczliwym krzykiem. W tych krzakach różne rzeczy się działy, latem tam i spano, i się kochano – przy wtórce rzewnych melodii wygrywanych na akordeonach w knajpach pobliskiego Pekinu. Krzykami w zasadzie nie warto było sobie zawracać głowy. Lecz tym razem głos błagający o pomoc był głosem dziecka. Niewiele myśląc, rozejrzał się, jak raz w dłoń trafiła wyszczerbiona deska, chwycił ją i zanurzył się w gęstwinę wytrzebioną ścieżką. Oto trzech kilkunastoletnich młodzieniaszków pastwiło się nad czwartym, wyraźnie najmniejszym. I tak jeden ciągnął go, leżącego, za włosy, włóczył po wydeptanej ziemi, drugi zaś kopał wściekle po plecach. Trzeci obrócił się na widok nadbiegającego nieznajomego i w ręku miał nóż, a w oczach hardy, bezczelny znak zapytania. Krzysztof zgasił go w sekundę – potężnym zamachem. Na szczęście dla siebie tamten zdążył uskoczyć, upadł jednak na plecy i wypuścił nóż. Pozostali również się wycofali. Stali za chwilę w trójkę w półkolu – najeżeni, lecz chyba i przestraszeni. Mały, z rozbitym nosem, schował się za Wilczyńskim.

– Zmykać, żulio – zagroził ten.

– Bo co?

– Policję zawołam.

Prychnął jeden z drugim.

– Panie, co się pan wtrącasz? To nasz kolega. Brat.

– Nieprawda!

– Idź, skąd ja przybiegłem – rozkazał pobitemu Krzysztof. I zaraz sam poszedł śladem chłopaka, lecz tyłem, nie spuszczając tamtych z oczu. Nie spróbowali zaatakować.

Na uliczkach Pekinu zapytał chłopaka:

– Skąd jesteś? Gdzie rodzice?

Mały nie odpowiadał.

– Jesteś włóczęgą? Masz gdzie spać?

– Znajdziemy cię, obrońco uciśnionych! – wołali tymczasem gówniarze.

Mimo wszystko Krzysztof nie chciał, by dowiedzieli się, gdzie mieszka. Więc znów się odwrócił i poszedł w ich stronę. Wciąż z dechą w rękę. I nagle rozpędził się, zaczął biec, wręcz urósł, wznosząc w górę broń. Nie wytrzymali, uciekli.

– Żebym was więcej...!

Już u Gierszewskiej zapytał:

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Nie kłam. Dwanaście?

– Szesnaście.

Mów tu z takim.

– Co tu robisz? Skąd jesteś?

– Z Łodzi. Tam nie wrócę.

– Miałeś na bilet?

– Ucieknę statkiem – chłopcu błysnęły oczy. – Mieli mnie zaprowadzić – teraz z kolei prawie się rozpłakał.

– I zdążyli zabrać pieniądze, a gdy się o nie upomniałeś, wzięli cię w obroty – domyślił się Krzysztof. – Ech, no i co ja z tobą zrobię?

Od gospodyni pożyczył połówkę. Przez kilka dni karmił chłopaka i kupił mu ciepłe buty.

– Wracaj do swoich – namawiał cały czas. – Dam na pociąg. Nie wrócisz? Chcesz tu zostać? Może i mógłbyś się przyuczyć w jakimś warsztacie... Albo na kelnera?

– Ucieknę na morze – upierał się tamten.

– Uciekaj, myślisz, że to łatwo?

Aż wreszcie Witold znikł.

– Gdzie mały? – zapytał Krzysztof Gierszewską, wróciwszy do baraku po

robocie.

– Był... Nie ma?

Zaniepokojony Wilczyński przeszukał skrytki w podłodze pokoju. Pieniądze na szczęście nie zginęły. A jednak, coraz bardziej sobą zaskoczony, poczuł żal.

Poza wszystkim pojechał z Kotem raz i drugi. Za każdym razem twierdząc, że to ostatnia chryja, w jakiej bierze udział. Lecz choć narzekał na źle przygotowane przedsięwzięcia, to z drugiej strony lubił, jak pęczniały mu w dłoni zwitki banknotów.

Wreszcie nadeszły święta. Ten już dla niego od lat, co tu kryć, najmniej przyjemny czas.

## ROZDZIAŁ 14

### Bóg się rodzi...

– Czy ja państwa nie zanudzam? – po raz nie wiedzieć który tego wieczoru upewniał się Adam Grabski.

Bo opowiadał długo. O porcie i o mieście. A co chciał nakreślić, to taką mozaikę szczegółów, by wyłonił się z niej zachwycający obraz całości.

– Ależ skąd, proszę kontynuować – odpowiedział pan Sobieraj z niekłamany zainteresowaniem.

Była już mowa o tym, co widoczne. O falochronach awanportu. O tym, jak powstawały i powstają: o kontrolowanym przez nurków zatapianiu żelbetowych skrzyń, kesonów, wypełnianych z kolei bagrowanym u wylotu rzeczki Chylonki torfem. Tam zresztą, skąd torf ów zabierano, rozwijał się port wewnętrzny – z oddanym niedawno pierwszym basenem i nabrzeżami: Pilotowym i Polskim. A to dopiero początek, plany były rozległe, wielkie, zgodnie z wizją inżyniera Wendy basenów powstać miało bowiem siedem (nie licząc portu wojennego), jakichże to wymaga kredytów, jakich nakładów! Ale spokojnie, powoli, po kolei, nawet Kraków nie od razu zbudowano.

– Przypominam – wtrącił w pewnej chwili tatko, zwracając uwagę żony i córki – iż jeszcze cztery lata temu przemyślano oddanie Gdyni i Gdańska Niemcom. W zamian za port w Kłajpedzie i całą Litwę dla Polski!

Grabski potwierdził. Tym skwapliwiej, by prędko móc mówić dalej. O wywrotnicy! A więc o tym, jak inżynierowie Korzon i Hołowiński udali się byli do Duisburga, gdzie zamiast tradycyjnych portowych żurawi zaproponowano im właśnie wywrotnicę. Ot, igraszkę, zabawkę blaszaną, która niczym piórko chwyta wielki, dwudziestotonowy wagon, obraca nim jak tancerz wiotką baletnicą – tyle że na wysokości dziewięciu metrów – by jak dziecko piasek z wiaderka przesypać węgiel wprost do ładowni okrętu.

– Gdzie możemy obejrzeć owo cudo przy pracy? – zapytali gdyńscy budowniczcy.

– Nigdzie. To prototyp – odparł sprzedawca.

– Nikt, ani w Hamburgu, ani w Antwerpii czy Rotterdamie...?

– Tak jest, do tej pory nikt jeszcze się nie zdecydował. Na panów odwagę liczę!

Panowie zaryzykowali.

– A wcześniej – podkreślał przejęty Grabski, jak gdyby sam doświadczył tego, o czym mówi – nosiło się ów węgiel w koszach przez całe długie molo, w pyle, w chmurze, wreszcie po wąskiej kładce na stromą burtę... Z jakimże wysiłkiem!

– Ale to jeszcze nic! – przeplukał usta herbatą. – To jeszcze nic!



A łuszczarnia? Łuszczarnia ryżu? Piękna, sześciopiętrowa, na pewno państwo zauważyli z oddali ów charakterystyczny budynek w czerwono-białe pasy... To właśnie łuszczarnia. Proszę sobie wyobrazić, że cały proces obsługuje zaledwie garstka osób. A w tym czasie ziarno ryżu przesypywane jest przez kolejne kondygnacje w dół, piętro po piętrze, przy udziale wielu maszyn, by wreszcie wyłuskane, wymuskane, wpadać do handlowego worka. I tak: wagon na godzinę! Pięćset ton na dobę... Ale to jeszcze nic! – zapalał się narrator. – To jeszcze nic, proszę pana – kontynuował, gdy panie znikwały w kuchni, chcąc uzupełnić zawartość salaterek. – Bo już wkrótce powstanie równie wielka i równie nowoczesna olejarnia! Czy pan wie, że przerób stu sześćdziesięciu tysięcy ton nasion powinien pozwolić zaspokoić apetyty całego kraju?

– A jeszcze weźmy chłodnię, także w budowie. Wysoką na pięć kondygnacji, to będzie jeden z największych tego typu budynków w Europie! Pojemność dwunastu tysięcy ton! Chłodzonych amoniakiem.

– Proszę przekazać – pani Sobieraj wykorzystywała coraz częściej zdarzające się chwile, gdy zaaferowany Grabski tracił oddech i głos. Gryzł, łykał, kontynuował:

– W przypadku miasta, proszę sobie wyobrazić, również wszystko doskonale przemyślano. Pięter ma być co najwyżej sześć, kamienice – co ważne! – bez oficyn, tych mrocznych zagrybionych studni, jak w starych – że tak powiem – miastach, za to wiele zieleni. I szerokie arterie. Przy liczebności ludności około stu dwudziestu tysięcy.

– Gdzie? – znów nie wytrzymała mamunia. Jakby zapominając, że mowa nie o dzisiejszej Starowiejskiej, krótkiej Święto Jańskiej czy nawet 10 Lutego.

– Ach, pan mówi o przyszłości... – poprawiła się. – Niech pan sobie nie przeszkadza...

– Ale czy ja państwa nie zanudzam?

Jako się rzekło, tatko nie narzekał.

– Ostatnia rzecz, jaką powiem, będzie o kolei. Skoro mówiliśmy o porcie. Otóż aby obsłużyć nabrzeże węglowe, łuszczarnię, olejarnię, chłodnię i inne magazyny, ułożono ponad trzydzieści kilometrów torów (nie biorąc pod uwagę odnóg wiodących do prywatnych przedsiębiorstw), równolegle powstaje wielka parowozownia, warsztaty i stacja wodna. Owe tory rozchodzą się zrazu na boki, pęcznieją, rozlewają się, by u wejścia na nabrzeże węglowe znów się zbiec, jak włosy splecione w koński ogon, jak wiecheć traw w dłoni, by do nabrzeża dojść już, siłą rzeczy, jedną wąską nitką. Proszę państwa, Gdynia rozwija się wspaniale! Wspaniale!

Łucja uniosła głowę. Skończył? Kto go wie... W każdym razie wykorzystując przedłużającą się przerwę, tatko ośmielił się zanucić:

– Gdy się Chrystus rodzi...

Mimo zapachów niesionych z kuchni to choinka pachniała najpiękniej. Tak jak powinno być. Ustrojona świeczkami, jabłkami, zwisającymi na nitkach orzechami. Przyniósł ją Adam z lasów Grabówka, wstąpiwszy najpierw i zapytawszy o pozwolenie na miły gest. Czym bardzo ucieszył mamunię.

Wcześniej, gdy Łucja na wiele godzin znikwała w urzędzie, rodzice zwiedzali gdyńskie sklepy.

– Wszystkie trzy – śmiał się pan Sobieraj. Nieprawda, było ich dużo więcej! Bazar Gdański Pawłowskiej, konfekcja Anflinkowej, bławaty Kalksteina (obrusy, bez obrusów ani rusz!), Dom Ferdynusa i wiele już innych. Choćby skład Lucjana Hundsdroffa: w nim naczynia, szkło, porcelana. By jakoś tę wigilię urządzić!

Spali na rozkładanych wojskowych łóżkach, gnieździli się, mijali z trudem w niewielkim przedpokoju, a mimo to mieszkanie podobało się Łucji bardziej nawet niż w pierwsze dni po przeprowadzce. Wypełnione nie duchami, które przywoływała wcześniej nie raz mocą stęsknionej wyobraźni, lecz ludźmi z krwi i kości.

Śniadania jedli w kuchni, rzecz niebywała, nie tak się to odbywało w Wyszkowie i nie tak w bodaj całym cywilizowanym świecie, żeby w kuchni jadać, przesiadywać.

– Szczęście, że nie w łazience – komentował tatko.

Aż wreszcie buch, piece w ruch, a właściwie to rozgrzana do czerwoności elektryczna kuchenka AEG (oczywiście z nowoczesnym piekarnikiem). Na niej dochodziła powoli kapusta z grzybami, biały barszcz na kwasie spod tejże kapusty, gotowały się kluski z makiem i ziemniaczane rwaki. Obok tężały karpie w zalewie, śmietanie, galarecie, kusiła lśniąco kutia (szczególnie smakował w niej tatko, wdzięczny żonie za uzupełnienie przed laty mazowieckiej diety tym prawdziwym przysmakiem wschodu), no i wreszcie kompot z suszu.

– Czy aby wszystko dostaniemy, córuś? – powątpiewała z początku mamunia, jeszcze przed wyprawą na pobliski targ. – Tutejsi też chyba coś jedzą?

Owszem, jedli: zupę owocową z kluskami (też coś!), śledzie smażone z ziemniakami, śledzie na tysiąc innych sposobów, smażone grzyby i ciasto drożdżowe, a wszystko popijali miętą. Barbarzyński jadłospis, barbarzyńskie tereny. Więc czy będzie można kupić to, bez czego wigilia nie ma prawa się udać?

– A iluż tu, duszko, w rzeczy samej miejscowych? – uspokajał pan Sobieraj. – Rozrzedzeni, rozpuszczeni w napływie Galileuszy, Prusaków i Moskali, takich jak Łucja, jak my. Chodźmy czym prędzej, by zdążyć kupić świeże.

No i szli (z tym że mamunia nieco zachmurzona, bo nie lubiła, gdy mąż o Bogu ducha winnych mieszkańcach Kongresówki mówił pogardliwie: Moskale).

Gdy podano do stołu, opłatek w rękach Grabskiego drżał, życzenia wybrzmiały zachowawczo („niechże się panu spełni, młody człowieku, to, czego pan sobie życzy”), Adam dukał w odpowiedzi, Łucja się rumieniła, a tatko zerkał

ciekawie (niby, udając, że nie!).

– U pana w domu, co się, przepraszam, podaje? – musiała mimo wszystko wiedzieć mamunia.

– Zupę owocową (minus!), kluski z makiem (plus!), karpia, owszem, lecz pieczonego, śledzie zapiekane, kapustę z grochem, susz...

– To może panu nasze nie zasmakuje?

– Ależ skąd! Barrr...

– Co ma panu nie smakować? Toż to wigilijne, jak raz!

– Janusz, u pana inna tradycja.

– Ale mnie napra...

– Lulajże Je... zu-u-niu...

Na szczęście podchwycili. Łucja zaintonowała, oni podchwycili.

Później obdarowali się nawzajem: jej kupił wodę Japoński Biały Bez – doprawdy zniewalającą, jej rodzicom album *Gdynia i morze polskie*, czyli „osiem kompozycji barwnych w oprawie słów Stefana Żeromskiego”. Oni jemu pióro Watermana – „ostatni wyraz doskonałości!”.

– ...in excelsis Deo... – śpiewali z kolei teraz, naśladując radujące się anioły, gdy Grabski skończył swe długie opowieści. A mieli co wychwalać, mieli za co dziękować. Wszyscy razem i każdy z osobna.

– Jednakowoż – chwilę zadumy przerwał wkrótce tatko: – Jednakowoż kryzys, mówią. Krach na giełdzie w Ameryce.

– Miejmy nadzieję, iż to jedynie zawahanie.

– A jeżeli nie? Bezrobocie będzie, mówią, wielka bieda. Nawet w tej waszej Gdyni.

– Tej? – posmutniała Łucja.

– Waszej? – radośnie zdziwił się Adam.

– Przy tak wielkim tempie wzrostu wytwórczości – perorował po chwili – wyższym, przypominam, niżli w Stanach Zjednoczonych, Czechosłowacji czy w Niemczech, powinniśmy kryzys przetrwać. Kapitału zagranicznego mnóstwo, inwestorów nie brakuje, więc...

– Wiem, co mówię: u nas, co prawda, ot, głównie spółdzielnie, rzemiosło, handlujące żydostwo. Lecz z Warszawy słuchy dochodzą, że kryzys będzie! – tatko aż uderzył pięścią w stół. Grabski speszył się.

– Cóż, nie jestem ekspertem, ekonomistą – wybąkał zmieszany.

– *A propos!* – z niezawodnym instynktem ratowała sytuację mamunia: – Nie jest pan aby spokrewniony z premierem Władysławem Grabskim?

Często go o to pytano. O powinowactwo z byłym szefem gabinetu i autorem reformy walutowej. Odpowiedź miał zatem przygotowaną i wielokrotnie sprawdzoną:

– Ani z Władysławem, ani nawet – podkreślał żartobliwie – ani nawet ze

Stanisławem!

Czyli bratem premiera, też ministrem.

Niestety, tym razem nikt nie zaśmiał się w odpowiedzi.

– Choć i pan premier, i ja... – postanowił dodać mimo wszystko – urodziliśmy się siódmego lipca. Podobnie jak i japoński cesarz Shirakawa!

(– Szkoda – westchnęła pani Sobieraj; – Co też mama! – wyrwało się Łucji).

– Złodziejstwo zahamował. Machinacje. I biedę. Drogie panie, poprosimy o ciasto. I kawę, prawda? Oraz kroplę Kantorowicza.

– Janusz, post!

– Duszko, post postem, a przed pasterką trzeba się rozgrzać, pokrzepić.

I jakkolwiek dyskusyjna była owa potrzeba rozgrzania się, zanim jeszcze zdążyło się zmarznąć, tatko nie spodziewał się dłuższej dyskusji.

– Odrobinę, zaznaczam. Lecz stanowczo!

Życzenie męża było rozkazem. A że w kuchni czekał wyjęty niedawno z pieca makowiec, panie opuściły pokój.

– Łucjo... – już w kuchni uniosła brwi mamunia. Lecz urwała. Tak się jakoś bowiem złożyło, iż w ciągu tych kilku wspólnie spędzonych dni nie rozmawiały wiele. Owszem, o siostrach, siostrzenicach i siostrzeńcach, o kuzynach i o ślubach, o pierwszych zębach, otrzymanych posiadach, o chorobach i pogrzebach. A to właściwie tyle co nic – i nie takim jak trzeba tonem.

– Łucjo – zaczęła jeszcze raz. – Dobrze ci tu?

– W Gdyni, mówią – grzmiał tymczasem pan Sobieraj – karty rozdaje sanacja. Stanowiska wszelakie, przywileje. Tak jest? Prawda li to?

– Dobrze ci tu, Łucjo?

A makowiec, niestety, się nie udał. Kleił się do noża, rozpadał. Łucja podniosła niepewny wzrok.

– Czy jesteś, córuś, szczęśliwa?

– Żydów zaś wielu? Rządzić aby nie próbują?

– Ach, mamuniu! – załkała wreszcie i padły sobie w ramiona. – Jestem, mamuniu, jestem! Żebyś wiedziała, że jestem!

Zaś mamunia... taka maleńka!

– Nie płacz, Łucjo!

– Nie płaczę.

– No to nie płacz!

Obie pociągały nosami.

– Śmiało, młody człowieku, proszę pytać, skoro pan zaczął...

– Pan został wtedy w Wyszakowie, prawda? Kiedy przyszli bolszewicy?

Jeszcze spojrzę w wiszące nad zlewem lustro.

– Ależ my jesteśmy do siebie podobne!

– Nie wiedziałaś tego?

- Wiedziałam. Zawsze.
  - Przyszli jak po swoje, głupich mamili, kradli, niszczyli, a czego nie mogli wziąć, to – za przeproszeniem – zasrali. Dosłownie, wiem, co mówię!
  - Chodźmy, panowie czekają.
  - Przez sklep jakby tornado przeszło. Dzicz azjatycka... Był strach. Było przerażenie. Żonę z córkami wcześniej odesłałem, sam musiałem... Opowiadam panu, duszko, o Sowietach w naszych skromnych progach.
  - Januszu, wiesz, że nie pozwalałam wracać do tego tematu!
  - Pan nalegał.
  - Najmocniej przepraszam, rzeczywiście zapytałem...
  - Abyśmy się tylko na pasterkę nie spóźnili – ucięła.
  - Jeszcze czas. Dwa kwadransy – błysnął omegą Adam. I spojrzał na Łucję: promieniała, jej oczy błyszczały w świetle bijącym od świeczek na choince. Pan Sobieraj ponownie napełnił kieliszki.
  - Niech nam pan zatem opowie o planach swej nadmorskiej wyprawy.
- Dwa razy Grabskiemu nie trzeba było powtarzać.
- A potem, gdy już szli, pan Sobieraj chwycił młodzieńca za łokieć i wrócił do porzuconego tematu:
- Najważniejsze, iż przeczekaliśmy. Uciekali sami, za przeproszeniem, posrani. Komitety, komisarze, zdrajcy, łachudry! Dzierżyński, Marchlewski, psubraty. Ale strach był, oj, po prawdzie to przyznam, że był...

## ROZDZIAŁ 15

### Moc truchleje

Nie poszli na Święto Jańską, lecz w górę ulicy, by skrócić tuż za Czarodziejką. Na dawną działkę Willmów, gdzie od wiosny zdążył się wspiąć niewysoko jasny barak kościoła Najświętszego Serca.

– Powstała nam tu największa parafia w całej diecezji – z dumą wyjaśniał Grabski. – Stąd niezbędna stała się druga świątynia.

Dotarli do niej w ostatnim momencie, by jeszcze wcisnąć się do środka i nie musieć tężeć na mrozie. Tłum pokasływał, szurał, szemrał. Wreszcie zadrżały dzwonki, wzbił się głos, najpierw pojedynczy, fałszujący, kogucikowaty, lecz zaraz potem potężny, z wielu piersi, grzmiący i niski:

– Bóg się ro-o-dzi...

– ...moc truchleje – splunął w tym samym czasie w płytką warstwę śniegu jeden z towarzyszy Wilczyńskiego. Czemu inni wtórowali czkającym, nerwowym śmiechem. Szło zaś o to, że w noc taką jak ta, gdy anieli grają, bydłeta klękają, a klechy cuda ogłaszają, również policyjne baranki ulegają silnym wzruszeniom, przez co łatwiej powinno być przewieźć to i owo z zagranicznego Zoppot do spragnionej markowych, a jednocześnie tanich trunków Gdyni. Ba, całkiem łatwo! – przekonywali się. I tylko Krzysztof nie był tego pewien.

– Ej, filozof, znów rozmyślasz?

Jego szczęście, że potrafił się przydać. Co udowodnił jesienią, gdy wyładowaną po brzegi ciężarówkę otoczyły znienacka błota tak wielkie, iż wydawało się, że nie ma siły, która by ją wyciągnęła z bagna. A Wilczyński radę dał. Zachmurzony, wściekły, gotujący się wewnątrz, ale też precyzyjny w każdym ruchu i ostatecznie bezbłędny. Zaś potem, kiedy przyszło do pieniędzy, po prostu je wziął, nie komentował, nie żartował ani się nie uśmiechnął. Kot wie, gdzie mnie znaleźć – powiedział, i cześć, i czołem, już go nie było, znikł. Zaufaj takiemu, co to niewiele o nim wiesz! Ma szczęście, że bez niego ani rusz – powtarzali Konstantemu.

Sporo jeździł dla nich po mieście: to tu, to tam, nie zatrzymując się, a zwłaszcza unikając zatrzymania przez kogokolwiek. Co w sumie nie niosło żadnego niemal ryzyka, a wiązało się z opłatami przewyższającymi stawki za zwykły kurs. Nad tego typu przejażdżkami zupełnie się nie zastanawiał, brał je z marszu, zapamiętując wszakże adresy, pod które dostarczał czy to dźwięczące z cicha, czy całkowicie nieme skrzynki. Na wszelki wypadek.

Wtedy, jesienią, przesadzili. Ostatni zajazd na Litwie – zżymał się później, a Kot unikał jego spojrzenia. Otóż napadli na pociąg! Obyło się co prawda bez gonięcia składu na rozpędzonych rumakach i ostrzeliwania go z rewolwerów, takie rzeczy tylko w kinie, zaś w rzeczywistości wyglądało to znacznie mniej

widowiskowo: na torze stanęła barykada, wokół płonęły ogniska, a już kilkaset metrów wcześniej, przebrany za kolejarza członek bandy dawał maszyniście znak, by ten zwolnił, zatrzymał się, nie rozbijał o zostawione na torach żelastwo. Gdy pociąg posłusznie stanął, wnet dwóch czy trzech skoczyło na stopnie lokomotywy, twarze mieli obwiązane, cierpiąc jawnie na ból zębów, spojrzenia groźne, a słowa żołnierskie. Maszynista zmarł, za to stawiał się jego pomocnik, więc musiał paść uderzony kolbą, po czym zbierał się znacznie mniej żwawo. W tym czasie oni zrywali plomby wagonów (doskonale wiedząc których), rozbijali łomami zamki, wdzierali się do środka. Po kawę, herbatę, kakao i korzenie.

Warto było? Warto, sądząc po pliku banknotów, jaki przytulił pod kurtką. Krzywiąc się później w rozmowie z Kotem i narzekając: na rozmiar przedsięwzięcia, ilość zaangażowanych osób, teatralną błazenadę pistoletów i karabinów, a w sumie na fatalną organizację. Gdy nie brakło niepotrzebego pytlowania, gadania, wypytywania (a skąd się tu, bracie, w Gdyni wzięłeś, a gdzie mieszkasz, a żonę masz? – jakby naprawdę musieli zbyt wiele o sobie wiedzieć), głośnych śmiechów i fanfaronady. Czego to nie dokonał jeden z drugim, jakim to nie okazał się kowbojem z amerykańskich obrazów i jakże wspaniałe wróciły wspomnienia: z wcześniejszych gdyńskich lat, gdy podobnie urządzanych napadów było znacznie, panie, więcej, więcej fantazji w narodzie, więcej przygód, nie to co, panie, dziś. Świat dziadzieje, schodzi na psy! I stąd Krzysztofowy: „ostatni zajazd na Litwie”, z tych właśnie pokrzykiwań i podniecenia – podczas gdy spod podszewki wyzierała głupota.

A jednak ponownie dał się namówić: w tę właśnie noc, gdy truchleć ma moc, ha, ha, ha, świetny żart – powtarzać go mogli bez końca.

– Gratuluję pomysłu – szydził Wilczyński, dowiedziawszy się, że tym razem chodzi o Wolne Miasto, o Zoppot, a dokładnie o ten jego północno-zachodni skrawek, gdzie granica ułożyła się zygzakami na podobieństwo bastionów wokół barokowych twierdz i gdzie na końcu biegnącej w las Taubenwasserweg, na skrzyżowaniu z dawniej często uczęszczaną drogą z Kacka do Oliwy, mieściła się restauracja Grosser Stern.

A co, a jak, prężyli się! Plan w swoim stylu układając w możliwie najbardziej skomplikowany sposób.

Do leśniczówki Gołębiewo zbliżyli się od zachodu. Jeszcze w lesie stanęli na chwilę, dwóch zostało w jednym z aut, szóstka ugniotła się w drugim. Wbrew przejrzystej wcześniej nocy teraz sypnęło. Zawirowały płatki.

Sunęli wolno, by nie hałasować. Wciąż ani szczeknięcia – na szczęście – ale i też tej nocy można się było spodziewać, iż bestie przemówią raczej ludzkim niż swym codziennym głosem. Ha, ha!

– Innej drogi nie ma? Z leśniczym nie można się było dogadać? – pytał szeptem Wilczyński.

– Leśniczy dogadany. Tyle że nie na dzisiaj – odpowiedział jeden z pasażerów.

– Zamknij się, nie jego sprawa!

„Nie moja. Pewnie, że nie moja” – pomyślał Krzysztof. Rozumiejąc jednakowoż w lot, iż panowie szlachta ponownie przedsięwzięli coś na własną rękę i nie wtajemniczając tego kogoś, co to zwykle dogadany musiał być z leśniczym.

W mijanej chałupie – jasność. Uroczysta, wiadomo, z gospodarzami w odświętnych strojach, nad bogato zastawionym stołem. Za to oni w aucie jak w konserwowej puszcze. Pocili się. Z nerwów – przede wszystkim. Bo ciemne deski przytulonej do budynków mieszkalnych stodoły mijać mieli o ledwie kilka kroków.

– Psa nie mają? – znów zapytał Krzysztof.

– Nasze szczęście, co nie?

– Cholera, ugotujemy się w tym aucie!

Ktoś parsknął, stłumił śmiech.

– Oby nie było goręcej! – zachichotali odprężeni, minawszy najtrudniejszy fragment. Lecz nim znowu zniknęli w lesie, toczyli się jeszcze długą aleją wzdłuż drzew. W innych okolicznościach byliby z leśniczówki doskonale widoczni. Na szczęście sypało. Cicha noc!

Zaraz granica, gęsty las, wąż, nieco w dół, powoli. Wreszcie ona – porzucona panna, ciężarówka pozostawiona w głuszy przez kompanów z Wolnego Miasta (Polaków – usłyszał raz i drugi, widać było to ważne). Jakby ten, który ją w to miejsce przyprowadził, musiał się nagle oddalić, jakby o niej zapomniał. Może podązał do owej głośnej Grosse Stern, a minawszy ją w mroku, za późno zorientował się w pomyłce i z jakiegoś powodu właściwą drogę postanowił odnaleźć pieszo? A może jedynie udawał – tak, tak właśnie musiało być! – iż jedzie do leśnej knajpy, zyskując w ten sposób alibi na wypadek zatrzymania? W każdym razie przy wozie nikogo.

– Też wymyślili – sarknął coraz bardziej poirytowany Krzysztof. Jego kompani odkręcali tymczasem gdańskie tablice rejestracyjne ciężarówki, by zaraz zamontować polskie, skradzione gdzieś w Tczewie lub Bydgoszczy. Wreszcie zasiadł za kierownicą. Ruszył wolno, ociężale, śnieg rozmiękczał trakt, a ładunek skrzyń wypełnionych wolnoćłowymi koniakami, likierami i luksusowymi wódkami wgniatał koła w podłoże.

Silnik zawył raz i drugi. Złowieszczo, potępieńczo, niepotrzebnie i niebezpiecznie. Zbeształ sam siebie. Ani spostrzegli, gdy zadymka tak prędko jak przyszła, tak i ustała. Skrzynie zaterkotały na wybojach. Rozdzwoniły się butle. Krzysztof zwolnił. Postanowił ciągnąć na wyższym biegu – lecz wolno; na ryzykownej granicy zachłyśnięcia się maszyny.

Wracali tą samą drogą, więc znów: wyjazd z lasu, długa aleja wśród drzew, w oddali zarys mrocznej stodoły. Bliżej, coraz bliżej. Blaski wigilijnej kolacji –



tym razem mijane z prawej strony. I już mieli się przesunąć, już zniknąć – w ciszy i nieświadomości świątecznych biesiadników – gdy wtem! Huknęło. Raz, drugi! I błysnęło wściekłym blaskiem, i wnet auto pilotujące ciężarówkę jakby podskoczyło, uniosło się na mgnienie oka i zaraz stanęło w poprzek drogi.

Wilczyński nie czekał. Bo grzmotnęło ponownie, odbiło echem po lesie, i przebiwszy plandekę, zagruchotało na deskach skrzyń.

Więc nie czekał. Zredukował bieg, zakręcił z rozmachem kierownicą, nacisnął pedał gazu i wyminał chevroleta szalonym, zwinnym manewrem.

„Zasadzka” – zarejestrował strzępek myśli.

Znów huknęło, znów strzeliło. Aż się kompan Wilczyńskiego w szoferce pochylił, skulił na kolana. Trafiony?!

Nie było czasu myśleć. Obstawa! Gdzie obstawa? Ów samochód pozostawiony wcześniej wśród drzew na wypadek takich właśnie tarapatów?

Lecz nie było go! Znikł!

A strzały – znów! – jeden, drugi. I wszystkie z oddali, wciąż z oddali, nikt nie biegł, nikt się nie zbliżał, nie zaciskała się pętla obławy, więc do przodu – instynktownie reagował Wilczyński – byle prędko.

Z tyłu wrzaski:

– Stójcie, zaczekajcie!

To wołał ten z paki, co jechał wśród skrzyń:

– Zaczekajcie!

Krzysztof zwolnił, niemal stanął. Znów huk i świst! Dźwięczne smagnięcie po blasze szoferki. Na szczęście na pakę już się gramolili ci z unieruchomionego na początku strzelaniny chevroleta.

– Ruszaj! – zapiał któryś.

– Kot, jesteś?

– Wszyscy są, jedź!

– Kot?! – powtórzył Wilczyński.

Huk, świst.

– Jestem – dosłyszał mimo hałasu.

Teraz już mógł wbić nogę w podłogę. Ruszyli z kopyta, a i strzały zdaje się ustały.

A więc już? Udało się?

Pędzili.

– Ktoś zdradził – syknął.

Ale kto?

Cicha noc...

– Posterunki w powiecie zapewne wszystkie na nogach... – kalkulował.

Cicha noc... Gnali przez nią z łoskotem.

A w tym samym niemal czasie Adam Grabski – cicha noc – nucił,

maszerując na Grabówkę wśród sobie podobnych – święta noc – oblany światłem i promieniujący szczęściem. Po pasterce, w trakcie której stał obok Łucji, niczym mąż obok żony, a tuż obok – w tej samej ławce („naszej ławce!” – ośmielił się nawet pomarzyć o tabliczce z własnym nazwiskiem) – stali również – ekhm, ekhm – a co? czemu nie? – przyszli teściowie. Piękna noc!

I zarazem wciąż jak ze złego snu! Bo szosa z Wysokiej do Osowy – a dalej do Chwaszczyna – nie mogła być dobrym wyborem. Wszędzie posterunki! Więc krótko po tym, jak na nią wjechał – wiedziony impulsem jak najszybszego umknięcia z Gołębiewa – znów skręcił. Bez zapowiedzi.

– Co robisz? – usłyszał. To się odezwał ten z siedzenia obok, jeszcze chwilę temu skulony. Ze strachu, widać, nie z bólu.

– Prowadź bocznymi! – warknął w odpowiedzi Wilczyński.

– Ja? – zdziwił się kompan.

– Stąd jesteś, nie tak?

– Ja?

Można się było wściec. Pewien był, że w kabinie u jego boku posadzono dobrze znającego okolice przewodnika! Lecz oto, wjeżdżając w las, zdani byli na szczęście, na loterię rozwidlających się ścieżek, a w każdej takiej loterii, jak wiadomo, na jeden los szczęśliwy przypada większość ślepych, kończących się w grzęzawiskach lub nieprzeniknionych chaszczach.

– Hej, wy tam z tyłu, kto zna tutejsze drogi?

Nie odpowiadali.

– Któryś jest stąd? – krzyknął.

– Nikt – zabrzmiała w końcu niepewna odpowiedź.

Krzysztof zaśmiał się, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Kot? – tknęło go po chwili. – Kot, co z tobą?

– Jest, ale...

– Co?

– Musi zemdlął.

– Ranny? – przyhamował.

– Jedź, jedź, nic mu nie jest, jedź!

– Trafiony?

Długa cisza.

– W udo.

– Krwawi? Stanę, byłem sanitariuszem.

– Wszystko w porządku, jedź!

Więc jechał, cicha noc, przy wtórze wrzasku butelek i wśród gonitwy myśli. Cicha noc, jego mać!

A Kot? Kot szedł, cicha noc, kulejąc. Na rękach miał plamy krwi – mimo że zmywał ją świeżym śniegiem – w głowie szum, bez szaliczka, bez czapeczki, Bóg

wie gdzie, w ciemnym lesie, klnąc jak szewc. Nie czekali... Nie zaczekali! Owszem, z początku strzelali, zapewne leśniczy z synem, szwagrem, zięciem czy pociotkiem, ot, usłyszawszy hałasy, przestraszyli się, wybiegli przed chałupę i strzelali, strzelali, chevrolet zgrzytnął, stanął, Kot, nie myśląc, skoczył w bok, dalej strzelano, więc z początku nie oglądał się na towarzyszy, patrzył tylko, gdzie jakie krzaki, strzał, strzał, jeszcze jeden, padł, przywarował, próbował ochłonać; a ledwie odważył się unieść głowę, gdy nagle – patrzy – tamci wskakują, ciężarówka odjeżdża, ej, ejże, co jest grane, strzał, strzał... Lepiej się było nie wychylać! Ale i leżeć niepewnie, więc zerwał się i biegł – ale nie, nie za autem, nie ma głupich (strzał!), lecz czym prędzej w gęsty las! Biegł ile w płucach tchu, poza psem na szczęście nikt go nie gonił, mniejsza o psa, grunt, że na owczarku się skończyło (choć doskoczyło, głupie bydło, zupełnie zniecka!), i dopiero spory kawał dalej zwolnił, zatrzymał się, oparł o drzewo. Z trudem łapiąc powietrze. Mniejsza o psa, otarł krew, rewolwer schował do kieszeni. Rozejrzał się, nasłuchiwał. Cicha noc, jego mać! Wkrótce las przerzedzał się, dalej pola, w dali zarysowany na tle mrocznego nieba kolejowy nasyp. Jego się trzymać, nim podążyć – jedyne wyjście. Cicha noc, jego mać – szedł zatem, klnąc.

– Skurwysyny, gdzie Kot? – ryczał z kolei Wilczyński, gdy cudem dotarli tam, gdzie mieli dotrzeć. – Który w jego imieniu ośmielił się powiedzieć: jestem?

Stali w szeregu, niczym zastęp skautów, głowy mieli spuszczone, a miny nietęgę.

Najpierw chciał wracać: ale dokąd, jak? Wypytywał więc: kto widział Konstantego ostatni? Gonił za nami, biegł? Czy mógł zostać postrzelony? Czy sam miał przy sobie broń?

Nie potrafili powiedzieć.

– Któryś zdradził – wycedził na koniec. – I my się z Konstantym dowiemy kto. Teraz bierzcie się za skrzynie!

Później chciało mu się śmiać: bo słuchali bez szemrania, wielcy panowie gangsterzy.

Ale wtedy... Wtedy jeszcze nie wiedział, co z Kotem.

A Kot?

No, szedł, cicha noc, jego mać. Znów sypało – tym razem już na dobre.

## ROZDZIAŁ 16

### Szczęśliwy znalazca

Autodorożkę tatko umówił dzień wcześniej. Wróciwszy z porannego spaceru, oznajmił, iż morze tego dnia spokojne – swoją drogą, z dnia na dzień coraz bardziej mu się w Gdyni podobało – a następnie, po owym zwięzłym komunikacie meteorologicznym, dodał, żeby się nie martwić, bo przewóz osób i bagaży zamówiony.

Nazajutrz na godzinę i kwadrans przed odjazdem składu wstał od stołu, podziękował córuchnie za wszystko, pięknie się tu, przyznam, urządziłaś, lecz na nas czas. Dość tego miłego, walizki spakowane, skoro i pan Adam już jest, by pomóc, nie ma na co czekać. Bo i szofer nie będzie.

– To pan? – zdziwił się pierwszy.

– I pan! – odparł, rozpoznając go, drugi.

Wspólnie mocowali na dachu auta bagaże.

– Będzie tego więcej – mrugnął porozumiewawczo młodzieniec.

– Damy radę – chełpliwie odparł Wilczyński.

I wtedy z ciemności bramy wyłoniła się Łucja.

Wyprostował się, uśmiechnął. Odpowiedziała tym samym. Mrużąc oczy, jakby przypominając sobie, skąd zna tę twarz... Może naprawdę zapomniała?

– Adamie, pamiętaj, walizek będzie pięć i duży kosz – mówiła do Grabskiego, patrząc na Krzysztofa.

– Pamiętam, Łucjo, oczywiście.

– Pan uważa... – zawiesiła głos. – Pan uważa, że pomieścimy się wszyscy?

– Łucjo, przecież pan wozi podróżnych nie od dziś, a poza tym dworzec tak blisko, że można obrócić co najmniej dwa razy.

Spojrzała pytająco.

– Tak, potwierdzam, droga pani. Każde słowo. Dwa razy.

– W takim razie sprowadzę rodziców. Adamie, pójdiesz ze mną?

Adam poszedł, a jakże, ochoczo. Zaś Wilczyński pomyślał: „Ki diabeł, narzeczony?”.

Z Kotem potoczyło się tak: gdy tylko Krzysztof dotarł do Gdyni – rowerem! z Koleczkowa! w dzień Bożego Narodzenia! (musiał przy tym udawać, że nie dostrzega pogardliwych splunień lub też wariackich kół kręconych na czołach tych, których mijał) – a więc gdy tylko dotarł do miasta, natychmiast ruszył w stronę Budapesztu. Owszem, rozglądając się czujnie, obserwując. Lecz jednak bez wahania – raz kozie śmierć, jeżeli policjanci czekają z kolejną zasadzką, niech się dzieje, co chce. I dopiero przed furtką wstrząsnęła nim myśl, że Kota nie zastanie. Bo niby dlaczego miało być inaczej? Skąd miałby się wziąć?

Zapukał, otworzono mu, ze środka buchnęło gorącem, zapachami, wyczuł

słodki powiew czerniny. („Krew! – przemknęło mu przez myśl. – Zły omen!”)

– Wujek, wujek!

– Krzysztof? Już się bałam, że o nas zapomniałeś.

– Wesołych świąt! – Hanka pocałowała go w policzek.

– Wesołych! – wyjąkał, przelykając ślinę.

Spoglądała, milcząca. Nie wiedział, co oznacza ten wzrok.

– Kostek jest?

– Przyszedł rano.

– Przyszedł? – ucieszył się.

– A co ty, Krzysztof, rowerem? – tubalnie zaśmiał się stary.

– Myślę o wzięciu udziału w letnim Wyścigu Dokoła Polski – zażartował.

– Wujek, masz coś dla nas?

– Chłopcy!

A zły wujek nie miał.

– Dawajcie drania do mnie! – wydarł się tymczasem Kot z głębi apartamentów.

Krzysztof poszedł ku niemu niepewnie.

Przyjaciel rozlewał się zaś wśród skotłowanej pościeli. Z czerwonym nosem, zażawiony.

– Nie zaczekaliście na mnie... – wycedził.

Wilczyński przygryzł wargę.

– Nie zaczekaliście na Kostka... – powtórzył leżący. I wnet wybuchnął: – Kataru dostałem, zapalenia płuc – prychnął niby śmiechem, lecz zaraz wściekle się rozkaszał. – Kurwa jego-mość, po torach się wlekle! Tyle godzin! Wyobraź sobie mnie na owych torach i wyobraź sobie miny dróżników!

– Kostek, powiedzieli mi, że jesteś. Że wskoczyłeś.

– Tak powiedzieli? – Kotkowski zmrużył oczy.

Relacji Krzysztofa wysłuchał niby to w roztargnieniu, co rusz ugniatając poduszkę i wygładzając pierzynę.

– Który to krzyknął, że ja niby jestem? Który? – tylko to chciał wiedzieć dokładnie. – A to łajzy, kundy portowe, już ja się z nimi policzę! – ponownie ni to się śmiał, ni kaszał.

Zaś Krzysztof nie wierzył, niestety, by na śmiechu miało się skończyć. Odpuść, jako i my odpuszczamy... O nie, to nie leżało w naturze Konstantego.

Lecz mniejsza o przeszłe czy też przyszłe troski – oto bowiem z mroków klatki schodowej wyłoniły się w końcu panie; za nimi zaś tatko. Sytuacja raz-dwa zrobiła się niezręczna.

– Ach, drogi panie Adamie... – załamywała ręce pani Sobieraj.

Bo rzeczywiście: w aucie zmieścili się wszyscy, i wszystkie walizki – prócz ostatniej. A także oprócz... Grabskiego.

– Ależ mnie nic wielkiego się nie stanie... – bagatelizował młodzieniec, gotów bez wahania ruszyć pieszo.

Więc i oni ruszyli, a gdy dotarli na miejsce i gdy już dobiegł zasapany Grabski, Wilczyński zaoferował dalszą pomoc. Ramię w ramię chwycili walizy.

– Panowie szoferzy zawsze tak ochoczo towarzyszycie podróżnym? – zapytała Łucja. Zmrużył oczy, zaskoczony śmiałą zaczepką.

– Ma pani rację: nigdy!

Na peronie zostać z nimi nie mógł. Nie wypadło. Za to w aucie znalazł klucze. Pęk, spięty wstążeczką.

„Nie za wiele tego szczęścia w ostatnich dniach?” – pomyślał.

Jeszcze chwila: gdy ruszyły ciężko koła, jeszcze machanie, okrzyki, ostatnie pozdrowienia. W oczach Łucji kręciły się łzy.

Niestety, Grabski po odjeździe składu spieszył się do biura. Znów musiał biec, biedaczyna. Łucja wracała zaś samotnie i z opuszczoną głową. Sama jedna w tej Gdyni, kiedyż znów zobaczy mamunię i tatka?

Krzysztof czekał pod kamienicą.

– Droga pani, przepraszam, iż narzucam się, lecz... – pokazał stalowy pęk.

– Matko! – krzyknęła – to moje!

– Miałem szczęście, że znalazłem.

W pierwszej chwili jakby nie usłyszała tego, co powiedział. Przyjęła ogrzane jego dłonią żelazo. Wreszcie dotarło: że to on miał szczęście. Tylko czy dobrze rozumiała?

– Pan zamienił pojazd na mniejszy... – szybko wrócił jej refleks.

– A pani opuściła okienko.

No proszę, co nieco o sobie wiedzieli.

– W Gdyni nietrudno się koniec końców znaleźć – z trudem kontynuował rwaną rozmowę.

– Jak widać – odparła. („Znaleźć? – pomyślała przy tym. – Żeby znaleźć, trzeba szukać!”)

Milczeli skrępowani.

– Wkrótce zacznę pracę – wskazała nieodległy urząd.

Dłużej nie miał na co czekać. Sprężył się, spiął, zaryzykował:

– Czy pani pozwoli zaprosić się do kawiarni?

I już, już – widział – miała odpowiedź na końcu języka – i z radością domyślił się jaką – lecz nagle zmieniła zdanie:

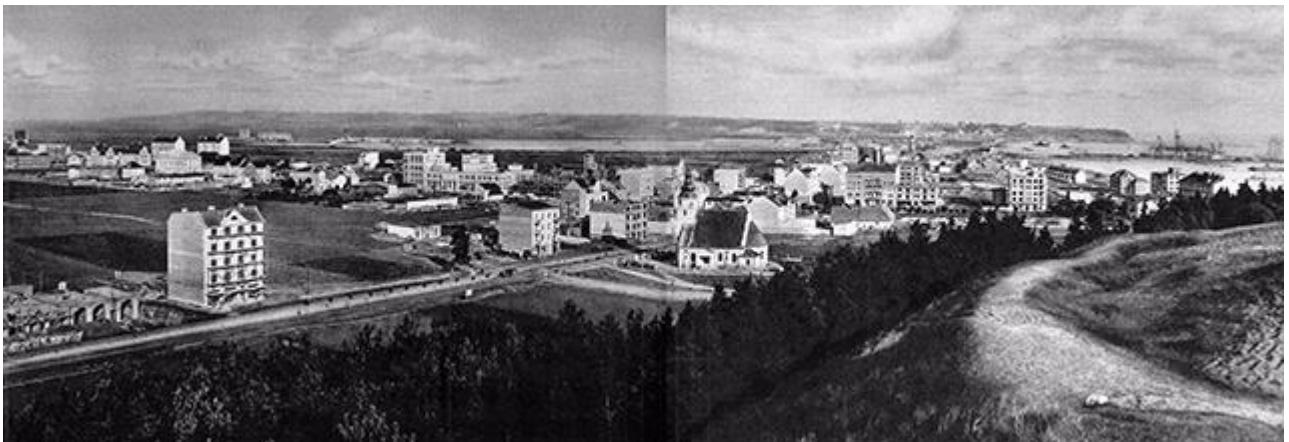
– A gdybym ja miała narzeczonego?

„Musiałbym go przegonić!” – pomyślał i odczytała to w jego oczach.

Podobała mu się, bestyjka, i to jeszcze jak!



*Zmieniający się, coraz bardziej zabudowany Budapeszt.*



*Dzisiejsze śródmieście oglądane z Kamiennej Góry w roku 1928.*





## ROZDZIAŁ 17

### W lustrze

Przyglądał się sobie krytycznie. Bo choć w biurze miejsca było mało, to dało się zmieścić i lustro. Pożyczył je. Wysokie jak się patrzy!

Na szczęście wszystko leżało jak ulał. Owszem, może i strój, jaki obstałował, nie miał charakteru balowego, lecz słusznie uważano: huczne zabawy w noc sylwestrową nie należały do polskiej, angielskiej czy francuskiej, słowem: zachodnioeuropejskiej tradycji. Tak bawiono się na wschodzie (albo w półświatku). Ludzie na poziomie tę noc spędzali w gronie rodziny czy przyjaciół, kameralnie i po domowemu. Na lekko – powiedzmy żartobliwie – bo co najmniej do północy przedłużających się fajfach, przy zakąskach, szemrzącej w tle muzyce z gramofonu lub radia, a wreszcie, czemu nie, przy bridżu.

Frak zatem odpadał. Zresztą, gdzie frak – w Gdyni? To dobre w Warszawie – na balach u ministrów czy ambasadorów; albo w Łańcucie – u Potockich! Podobnie smoking – wdzierający się bezczelnie do restauracji i kabaretów, a będący wszak strojem dziennym. – Mundur – ironizował. – Mundur rozwiązałyby wszelkie dylematy...

Odszedł od lustra na dwa kroki, potem znów się doń przybliżył. Mimo wszystko niepewny: czy aby jednak nie wygląda zbyt formalnie?

Czarne oksfordy (a przyznać trzeba, że do końca wahał się nad wersją czarno-białą; zabrakło mu jednak śmiałości!), sztuczkowe spodnie, żółta kamizelka – by ująć całości powagi – wreszcie biała koszula i srebrzysty krawat. Brakowało tylko żakietu, czyż nie? Zdecydował się jednak na marynarkę. W Gdańsku powiedziano mu, że styl ów, z marynarką właśnie zamiast krępującego żakietu, zaszczerpił światu były kanclerz i minister Gustav Stresemann, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, a jednocześnie zaciekły wróg dostępu Polski do morza. Wtedy Grabski się wzdrygnął, gotów był zrezygnować z wybranej kompozycji, ale że polakożerca zmarł był właśnie w październiku, a nienawistna mu Gdynia kwitła, więc jednak wybaczył łaskawie mało, jak widać, skutecznemu berlińczykowi.

Stańto zatem na stresemannie. Do czego niezbędna była pożyczka, jedna i druga podróż dla przymiarki, wreszcie ostatnia: by odebrać zamówione rzeczy.

Cóż to za miasto! Wiadomo, nie tak strzeliste i prostopadłokształtne, jak powinna wyglądać metropolia nowych czasów – a jej wyobrażenie miał doskonałe i wynikało ono z połączenia tego, co widział na PeWuCe, z możliwościami, jakie stwarzała Gdynia – ale jednak! Gdańsk. Osadzony w historii, nabrzmiały kamienicami, z ich wykuszami i balkonami. Poza tym skupiony na byciu miastem, w dodatku miastem portowym, toczony przez to życie, przez harmider, hałasy. Tu ciężarówka, tam wóz konny, pchana z mozołem dwukółka, auta, mimo wszystko więcej aut, toczony beczki z piwem, noszone skrzynie z kawą, ruch, ciągły ruch,

potęgowany przez dźwięczące śpiewnie tramwaje. Czuł się jak w Poznaniu, a nawet jeszcze bardziej. Te szyldy, markizy, wystawy!

Po kolei: z dworca wychodził na Stadtgraben, mijał Continental – zadzierając wysoko głowę, a jednocześnie lawirując wśród przechodniów, tragarzy i wózków – potem zanurzał się w Elisabethkirchengasse i skracając w ten sposób drogę, dochodził na Holzmarkt, Targ Drzewny. Ten szczególnie mógł zachwycać: wielkimi szklanymi witrynami magazynów i restauracji. Byle nie zwracać uwagi na antypolski Pomnik Wdzięczności (choć wśród upamiętnionych bojowników o zjednoczenie Rzeszy znaleźć można było nazwiska i polskie, i kaszubskie).

Dalej szedł Świętego Ducha, w końcu druga w lewo, podwórce. Zakład Horsta Butza. W nim owe oksfordy, szyte na miarę. Przymierzył i zachwycił się: delikatnością skóry, starannością wykończenia, niezrównaną giętkością podeszwy.

– Będziesz pięknie tanzen! – pęczniał z dumy rzemieślnik. Grabski podziękował – a właściwie: zapłacił i podziękował (o wydanej fortunie nie sposób nie wspomnieć) – po czym uniesiony (choć oczywiście jeszcze w starych, znoszonych niby to oficerkach) popędził Szeroką, by rzucić okiem na Motławę.

Do Langfuhr pojechać chciał tramwajem – w szpalerze otulonych śniegiem potężnych lip Grosse Allee – jednak wbiegając z powrotem na Stadtgraben, nieomal zderzył się z panią Miklaszewską.

– Ależ to pan Adam! – usłyszał ją, zanim rozpoznał. – Pan Adam, gość naszego jutrzejszego fajfu, narzeczony Łucji! – tłumaczyła mężowi.

Nim zaskoczony, zdążył zaprotestować, ciekawym głosem odezwał się porucznik, na co z kolei z lekkim opóźnieniem odpowiedział żołnierz-kierowca:

– Ma się znaczyć: w koperczaki chodzi, hi, hi!

– Ha-ha, ha-ha!

I cóż za zbieg okoliczności: państwo wsiadali właśnie do auta, by podobnie jak Grabski jechać w stronę Gdyni.

– Ja muszę dodatkowo zatrzymać się w Langfuhr... – tłumaczył, zaproszony do samochodu. – Lecz chętnie skorzystam z możliwości...

– A narzeczonym, niestety, nie jestem – dodał po chwili, sadowiac się na kanapie.

– Hi, hi, hi! – ucieszył się Miklaszewski.

– Ha-ha, ha-ha! – zadudnił tubalnie podwładny.

Aleję przelecieli w mgnieniu oka.

– My także się w Langfuhr zatrzymajmy – zadysponowała pani Ewa.

– Ależ rybeńko, obowiązki czekają...

– Nalegam, Stefan, przecież wiesz, iż od dawna planowałam przejść Hauptstrasse, zobaczyć, co nowego. A pan, panie Adamie, jeżeli tylko zdąży przed naszym odjazdem, może oczywiście liczyć na miejsce.

W stronę Jaśkowej Doliny pognał w te pędy. Marynarka leżała świetnie,

tylko spodnie przymierzał dłużej.

– Poprawiać? – zapytał wreszcie krawiec.

Grabski wahał się.

– Migiem się uwinę!

Zatem zaczekał – w kalesonach – przycupnąwszy na krześle. A z manekinów chyliły się ku niemu naszpikowane igłami torsy: arystokratów, oficerów, a nawet – dostrzegł – duchowieństwa.

Krawiec koniecznie chciał politykować, rozmawiać o buncie na opływającym świat niemieckim krążowniku „Emden”.

– Z niemi porządek trzeba zrobić, panie drogi... Komunisty, wszędzie te komunisty!

Grabski ani myślał podtrzymywać tematu, bez słowa przyglądając się kolekcji nożyc, wstęgom poskręcanych metrów, a wreszcie płachtom wykrojów – porozkładanych w każdym wolnym miejscu niczym mapy w kajucie nawigatora. W zakładzie panował półmrok, a prócz tego bałagan wręcz idealny, istny karnawał nadmiaru: materiałów, skrawków, guzików, nici, a wreszcie stert, pudeł, pudełek i skrzyń. Szczęśliwie krawiec odnajdywał się w tym wszystkim doskonale.

I znów trzeba było płacić... W zamian, dzięki Bogu, wychodząc z poczuciem, że już wkrótce świat będzie mu leżał u stóp.

Czekali czy nie czekali – zastał ich w miejscu, w którym się pożegnali. Chyba jednak czekali, bo szeregowy zdawał się znudzony i zmarznięty, porucznik niezadowolony, a i pani Ewa pozwoliła sobie na niejaką przyganę w głosie, mówiąc: – Jest pan nareszcie.

A przecież prosił – by o nim nie myśleli.

– Ho, ho, poważne zakupy! – zapiszczał porucznik.

– Ha-ha, ha-ha!

– Pozwoli pan zapytać, czy to aby na jutrzejszy wieczór?

– Między innymi, łaskawa pani.

– Hi, hi, hi, Ewuś, widzę, że i nam wypadnie mocniej się postarać. Lecz cóż wymyślić w ostatniej chwili?!

– Ha-ha, ha-ha!

– Hi, hi, hi! Będzie bibka na sto dwa!

– Ha-ha, ha-ha!

– Ależ Stefan, ja ciebie tyle razy prosiłam, ty się tak nie zaśmiewaj, bo ty się przeziębiasz.

– Gazu! – porucznik zdawał się nie słyszeć ostatnich słów żony. Bo śmiał się wciąż i „gazu!” – żądał, gdy zbliżali się ku przedmieściom.

– Panie Adamie – z powodu narastającego huku pani Ewa nachyliła się ku Grabskiemu (pachnąc, swoją drogą, oszałamiająco) – czy widział pan już obraz *Grzeszna miłość*? Pytam, wiedząc, iż wraz z Łucją nie opuszczacie kinowych

premier.

– Tego filmu nie widziałem – odchrząknawszy, odpowiedział Grabski.

– Ponoć jest to historia młodego człowieka, który nie potrafi wybrać pomiędzy dwiema kobietami. Historia sama w sobie, jakich wiele. Lecz rzecz dzieje się na niebotycznych wyżynach tatrzańskich. Myślę, że to interesujące, a pan?

Bywają pytania, na które trudno odpowiedzieć: bo owszem, wyżyny tatrzańskie Adama interesowały; ale czy też historia owego młodzieńca i jego nader trudnego wyboru?

Więc tylko bąknął w odpowiedzi, niewyraźnie, niezrozumiale.

– Stefan, zwolnijmy, ja ciebie proszę.

– Rybeńko, ależ dopiero nabieramy właściwego pędu, hi, hi, hi!

– Ha-ha, ha-ha!

– Stefan, ja żądam!

Zwolnili. Stanowczo. Pani Ewa mimo to ciskała wzrokiem pioruny, szukając zrozumienia u młodzieńca, aż ten zanurzył się głęboko w fotel.

Wnet potoczyła się dyskusja: o tym, jak powinno się jeździć w towarzystwie pań, i o tym, jak mechanizacja wyzwala najdziksze instynkta. To znaczy: perorowała zasadniczo pani Miklaszewska, zaś porucznik bronił się nieśmiało. Speszony Grabski uciekł wzrokiem za okno. Wizja jutrzejszego fajfu – do północy, albo jeszcze dłużej – wydała mu się nieoczekiwanie nader mało kusząca.

– Ech, gdyby tak mieć auto i szofera – westchnął. Rzeczywiście byłoby łatwiej: choćby nie ubrudzić oksfordów, wspinając się nazajutrz na Kamienną Górę; ale i później – w nienagannym stanie docierać na spotkania z prezesami. Na myśl przyszedł mu znajomy kierowca autodorożki: ciekawe, jak wiele trzeba by takiemu płacić?

– Panie Adamie, panie Adamie...!

Obrócił głowę, zaskoczony. Pani Ewa o coś go właśnie zapytała. Nie wiedział, niestety, w czym rzecz.

– Zakochany, będzie ślub! Hi, hi, hi! – porucznikowi raz-dwa wrócił świetny humor.

– Ha-ha, ha-ha, ha-ha!

– Hi, hi, hi...

Jechali. Pani Ewa zerkała co rusz: z ciekawością i z sympatią. Grabski czuł, że się czerwieni.

## ROZDZIAŁ 18

### Uszczęśliwiony

Dom Kuracyjny, dawny Kurhaus, leżący na idealnym przedłużeniu ulicy 10 Lutego, był jednym z najstarszych budynków w mieście. A nawet w całej okolicy – należałoby powiedzieć, bo Kurhaus pamiętał rzeczywiście stare czasy. Wzniesiony na samym początku wieku, miał przynieść sławę i bogactwo swym zapatrzonym w sukces Zoppot budowniczym. Nic z tego. Przyniósł plajtę. Lecz wciąż stał – więc wnet spróbowali kolejni, przejmując podupadłe przedsiębiorstwo. A po nich jeszcze następni – co też nie chcieli dostrzegać fatum wiszącego nad Domem, a woleli czuć się skazani na sukces: bo morze, bo plaża, bo powietrze! I nic, wciąż nic, znudzona kuchnia, w której para szła w gwizdek, puste pokoje i równie pusta kasa. Raz do roku odbywał się w Kurhausie Sedan Tag – gdy zwożeni nie tylko z Pomorza weterani zwycięstwa króla Prus nad Napoleonem III pili do utraty przytomności, do wyrzygania, wspominając, *meine kameraden*, dawne wojny i podboje francuskich sypialni (lub – w wersji uboższej, lecz chyba bliższej prawdy – wymoszczonych sianem stodół). Poza tym – jako się rzekło – nic.

Mijały lata, zmieniał się świat; ten szeroki – na politycznych mapach – i ów na wyciągnięcie ręki. A fatum, jak zawisło, tak nie chciało dać się przegnać i nawet wiatr od morza niewiele w tej kwestii potrafił wskórać.

Wreszcie Bączkowski wziął całość w dzierżawę – od Towarzystwa imienia świętego Andrzeja Boboli – i znów z bagażem ambicji i nadziei, jakie pobudzać musiało w przedsiębiorczej duszy tak potencjalnie urokliwe miejsce.

Zaczęło się zapewne jak zwykle: z przytupem, ą, ę, bułkę przez bibułkę, potrawy świeże i apetyczne, obsługa sprężona i pełna entuzjazmu, pokoje zadbane, a w parku zawsze ptaków śpiew!

Lecz potem... z roku na rok, sezon po sezonie: kurz, coraz więcej kurzu, coraz też głośniejsze skrzypienie nieoliwionych zawiasów, przypalone garnki, co się przewróciło, to niech leży, szkoda sił, by podnosić, goście też już bowiem nie z tych, co to by dbali o bułkę przez bibułkę. Piwa! O, byleby piwo było – i miłość! Płatna, ma się rozumieć, wszak wokół miasto, w nim tysiące robotników, wszak port – i hordy spragnionych morskich wilków.

Protesty się zaczęły (wraz z krzepnięciem nowych mieszczan i rozwojem parafii): żeby to gniazdo rozpusty zlikwidować. Na szczęście wciąż miał niezmordowany Bączkowski poparcie księdza senatora Bolta (a był to człowiek może i powolny, lecz w razie konieczności niezwykle skuteczny) – prezesa wspomnianego Towarzystwa – i nie ma, że boli, Dom mimo sprzeciwów trwał. W kształcie niezmiennym niemal od zarania.

Wysoki parter, piętérko i jeszcze poddasze. Mur pruski, część centralna nieco wyższa, dach na planie krzyża – z czterema szczytami na cztery strony

świata. Od strony morza na piętrze taras – otoczony drewnianą balustradą – niżej zacieniona latem, a oszklona zimą weranda. Przed nią pozostałość po dawnym nasypie, z czasem ledwie widocznym, a w miejsce wcześniejszego ogrodu gęsto zadrzewiony park prowadzący do morza i na molo.

Tak to wziął Bączkowski, nieco tylko przebudowując. Doklejając mianowicie do ściany na lewym skrzydle (idąc od strony miasta) pion z toaletami. I miało to wymiar pewnego symbolu: gdy wulgarna nowoczesność zakłóciła dawną harmonię. Tyle że gościom nowego typu architektoniczny skandal w żaden sposób nie przeszkadzał.

Koniec końców na parterze rozsiadła się restauracja, a po drugiej stronie przecinającego Dom na przestrzał korytarza kuchnia i zagracony gabinet właściciela. Wyżej pokoje, domena Afrodyty, bogini miłości. A wszystko nie tylko tej sylwestrowej nocy rozświetlone, rozkrzyczane i buchające żarem.

Co jak co, ale frajda to Krzysztof miał. I nie wahał się go użyć. Z Bączkowskim przywitali się krótko i równie prędko rozliczyli. Za przywiezione przed południem trunki, te spod Gołębiewa. Wnet pojawiły się ślicznotki, wśród nich Pola i Lola, bliźniaczki. A nie pomyślałbyś! Gdyż jakkolwiek w peruczkach rzeczywiście wyglądały podobnie, to już bez nich – absolutnie nie.

– Bo my jesteśmy bliźniaczki–dwojaczki – zwykły krzyczeć jedna przez drugą.

– Bo my się urodziłyśmy w tej samej chwili...

– ...lecz nie z jednej komórki!

– Na całym świecie jest ledwie kilka takich przypadków, w „Kurjerze” o nas pisali!

– O was? Naprawdę?

– Mają nas zaprosić na kongres do Paryża!

– Albo Pernambuco!

– Takie jesteśmy wyjątkowe!

– Ale to chyba widać, prawda?

Zmyślały jak na zawołanie. Co Wilczyński bardzo lubił.

– Pola to Ela, a Lola to Hela? – upewniał się niekiedy, raczej dla śmiechu niż z potrzeby wiedzy.

– Skąd! Wszystko pomyliłeś – Lola to Hela, a Pola to Ela – odpowiadały, wskazując prędko i jednocześnie raz na siebie, raz na tę drugą, nijak za tym nie można było nadążyć, a tym bardziej się połapać. Istna kołomyja!

– Bo my jesteśmy z Kołomyi – wyznawały i smutniały; niby to z tęsknoty za rodzinnym miastem.

– Zaraz, zaraz! Nie dalej jak wczoraj słyszałem, że Pola – czyli Hela – jest z Warszawy; zaś ty, Elu – czyli Polu – z Kalisza?!

– To może jeszcze powiesz, że wcale nie jesteśmy bliźniaczkami, tak? –

zadziornie brały się pod boki.

– Mówiłaś... Albo nie ty, tylko ty... Przysięgałaś: że jesteś dwa lata starsza.

Czy raczej młodsza?

– Ja mówiłam?

– Lola.

– Ja?

– A nie?

– Przecież ja nie jestem Lola! Kręcisz, Krzysztof, nie pamiętasz i zmyślasz!

– Nie pij tyle, Krzysztof!

– Ustatkuj się i najlepiej ożeń. Zawraca taki w głowach porządny dziewczynom i tyle go widzą – ciągle gdzieś znikasz, jeździsz...

– Macie rację, będę się żenił. Przekonajcie mnie tylko z którą!

Czyniły to nader chętnie. A im bardziej, tym trudniej było mu się zdecydować.

– Co tam macie, co kryjecie? – zapytał teraz, gdy podeszły do lady.

Wcześniej na dobry wieczór zamówiwszy haberbuscha.

Pokazać nie chciały.

– Niespodzianka, będziemy czytać.

– Zrobi się wesoło, Krzysztof, uśmiejesz się do łez.

– W takim razie poczekam.

O, teraz to one chciały – od początku nie o to przecież szło.

– Będziemy czytać odezwę na styczeń miesiąc trzeźwości.

– Chcesz posłuchać?

Chciał.

– Obywatele – zaczęła patetycznie Pola. – Obywatele! Raz tylko w roku, ale tym dobitniej i tym serdeczniej zwracamy się do was w sprawie nader ważnej...

---- Czyż nie widzicie – kontynuowała Lola – czyż nie widzicie, jak pijaństwo panoszy się we wszystkich stanach i rozbija szczęście rodzinne?

– Krzysztof, słuchaj, to do ciebie!

– Osądźcie sami: czy naród nasz nie dopuszcza się niepojętego szaleństwa, marnując rocznie miliard złotych na napoje wysokokowe, gdy równocześnie nędza mieszkaniowa i bezrobocie przyprawiają o niewypowiedziane straty moralne i materialne?

– Niechaj każdy obywatel polski zacznie od siebie! Nie przynaglajmy innych do picia, zarzućmy barbarzyńskie zwyczaje pijackie!

– Wstępujemy do organizacji przeciwalkoholowych, a co najmniej popierajmy swym groszem ich szlachetne...

Grały pięknie, nie ma co. Lepiej jeszcze niż Smosarska w *Trędownatej*. Mimo to Krzysztof ziewnął.

– Ale co to, Krzysztof, tobie się nie podoba?

– Bardzo, kwiatuszki, lecz muszę się odświeżyć. Zaczekajcie tu na mnie, migiem się uwinę.

– A może będziemy się kąpać wspólnie?

– Innym razem – roześmiał się.

– Przyjdiesz we fraku?

– Ma się rozumieć.

– To idź, czekamy!

Poszedł, a właściwie pobiegł, w progu obracając się i drobiąc jeszcze kilka prędkich kroków, jak gdyby na wzór charlestona. Bardzo to dziewczęta rozbawiło.

Ciepła woda może i coraz mniej bywała i w kraju, i w Gdyni nie wiedzieć jak wielkim luksusem; lecz niekoniecznie dla mieszkańców dzielnic takich jak Pekin. Ci wciąż skazani byli na pompę, miednicę i rozgrzaną węglem kuchnię, od czasu do czasu ruszając za tory, pod Budapeszt, do miejskiej łaźni. Krzysztof chodził zaś do Bączkowskiego. Z ludźmi trzeba umieć żyć.

Tego wieczoru namydlił się starannie, a potem długo lał gorącą wodę. Ech, drobna przyjemności! „A własna kamienica – pomyślał, przypominając sobie zniecka, iż oto kończy się kolejny rok – wciąż daleko!”

Gdy ponownie zszedł do restauracji, sala zdążyła się zapełnić już w połowie. Bączkowski tej nocy (jak i żadnej innej) nie wystawiał zaproszeń, nie sprzedawał biletów i nie rezerwował miejsc. Był otwarty na wszelkie niespokojne duchy, „byłe pragnienia mieli wielkie” – mówił.

Spocony pianista walił w klawiaturę, wpatrzony jak w obrazek w stojący na ramie pianina kufel. Obok stał i patefon, lecz ponoć szlag go trafił – tę informację Krzysztof złowił, zbiegając po schodach – akurat w taki wieczór!

Panienki przy barze wdzięczyły się do Szwedów. Albo Niemców. Albo Litwinów. Polę i Lolę otoczyło szczególnie gęste kółko adoratorów.

– Jak leci? – zagaił, przepchawszy się do szynkwasu.

– Jako tako! – żartowały.

– Jako tako?

– Po japońsku, Krzysztof, rozumiesz?

Łotysze – albo Duńczycy, kto ich tam wie – przyglądali mu się spode łbów.

– Strasznie postawni kawalerowie – zauważył. – A wy to tak z każdym potraficie się dogadać. I po japońsku, i po estońsku. Chodźmy! – zdecydował i nie zważając na zacieśniający się krąg marynarzy, pociągnął dziewczęta za sobą.

Myślały, że od razu pójdą na górę. Lecz Krzysztof zapukał do drzwi dyrektora. I nie czekając na zaproszenie – któż by je w ogólnym hałasie usłyszał – wkroczył do zadymionego środka.

Bączkowski już to uniósł dłonie w zapraszającym geście, ale zaraz nieco się skrzywił na widok pańienek; im zasadniczo nie wolno było tu wchodzić. Krzysztof, nie zważając na nic, rozwalił się na kanapie.



– Czołem! – powitał Kota. – Serwus! – skinął innym.

– Wódkę, proszę! Lodowatą!

Smakował ją wkrótce z wielką przyjemnością i dopiero za drugim zbliżeniem do ust wlał zawartość kieliszka w przelyk.

– Panie Wilczyński, koniak polecam, Martella, sam pan wie! – porozumiewawczo wykrzyknął Bączkowski.

– Lej pan Szwedom, nie będę pana na koszt narażał.

– A może Baczewskiego: bernardine imperiale, antique? Lub Kantorowicza – curacao blanc? – Bączkowski wyraźnie się popisywał. Dając zebrany do zrozumienia, iż nie dość, że wymienianie trunki posiada, to jeszcze – wskazując na Krzysztofa – ma je z najlepszego źródła.

– Pan to mi chcesz koniecznie życie osłodzić – uciął Wilczyński. – A ja wcale nie narzekam! – co mówiąc, objął Polę i Lolę, a te wtuliły się w niego z dwu stron.

– Może gimlet, panie Wilczyński? – tym razem proponował kelner; a i błysnął srebrnym termosem.

– Dobrze jest! – Krzysztof wzniosł w górę kieliszek, nie chcąc tłumaczyć, że dżinu nie znosi. – Zdrowie gospodarza!

Wypili. I pili jeszcze dłuższą chwilę, zaciągając się papierosami. Rozmawiali o dalekich ziemiach (ech, jakże sprzyjała nostalgii sylwestrowa noc!), o tym, kto skąd i dlaczego się w Gdyni znalazł (najczęściej zmyślając, albo nawet kłamiąc, a każdy miał ku temu swoje powody), i o tym, że stan ludności przekroczył już w mieście trzydzieści tysięcy.

– W jednym tylko miesiącu – Bączkowski podparł się wydobytą z szuflady biurka gazetą – z Małopolski przybyły pięćdziesiąt dwie osoby, z Kresów siedemdziesiąt, z Poznańskiego osiemset sześćdziesiąt siedem, a z Woły...

– *Et cetera, et cetera!* – przy wtórze gromkiego śmiechu przerwał tę litanię Wilczyński, wiedząc, że skrupulat Bączkowski gotów jest im przeczytać choćby i książkę telefoniczną.

A jeszcze omówić trzeba było formowanie nowego rządu – więc znów błysnęły zapalniczki, znów napełniły się kieliszki.

– Nudzimy się – szepnęła Pola. – Zatańczymy?

– Prawda, tańczmy! – zarządził Krzysztof, zrywając się z kanapy. Jeszcze chwycił zroszony kieliszek – zdrowie pań! – krzyknął i dziarskim ruchem przechyliwszy w tył głowę, poczuł w sobie moc. Do tańca, prócz niego, nikt się jednak nie kwapił. „Pies z wami” – pomyślał. – Jestem szczęśliwy, bo uszczęśliwiony – wymamrotał do uszka Loli, wyprowadzając bliźniaczki z biura.

Nikt nie tańczył tak jak Lola. Tudzież Pola? Jak szalone wywijały nóżkami, czerwone plamy pantofli niczym niewielkie piłeczki odbijały się od desek podłogi, podczas gdy wyprostowane wzdłuż tułowia ręce podrygiwały jak... Zastanowił

się. – Wędkarskie spławiki! – nadeszło olśnienie. – Tej nocy mogę wszystko – uznał po chwili jasno i w zachwyceniu. – Jestem szczęśliwy, bo uszczęśliwiony – powtarzał bon mot zapamiętany z którejś z wizyt w Czarodziejce.

Północ nadeszła nie wiedzieć kiedy. Pobiegli na górę, na taras. Kelner już czekał z tacą pełną szkła. Na dole umilkła muzyka.

– Czy to już? Nowy Rok? – dopytywała się Pola.

– Może być, że już – łaskawie zgodził się chwiejący się na nogach Kot.

– Dzisiaj, widzę, folgujesz? – zapytał przyjaciela Wilczyński. Konstanty uśmiechnął się błogo.

Spojrzeli w stronę morza. Jakby stamtąd, z bezkresu i nieskończoności miało przyjść potwierdzenie: oto nadszedł Nowy Rok. Nic, cisza. Wtem! Zaryczały jedna za drugą syreny zgromadzonych w porcie statków. Wzniesli toast.

– Krzysztofie, życzę tobie... – zaczęła poważnie Ela.

– Życzymy ci... – poprawiła Hela.

– Dziewczęta, to ja wam życzę...

– Cicho! Daj skończyć!

– Żebyś był szczęśliwy...

– Jeszcze bardziej...

– W tym Nowym Roku, bardziej niżli w starym...

Och, jak pięknie były przejęte. I nieco zawstydzone. A on pomyślał o Łucji.

– Ech, dziewczęta, może i będę. Może i będę... Szczęśliwy!

Zaniepokoiły się.

– Naprawdę?

– Co naprawdę? – zdziwił się. Bo przecież przez chwilę się rozmarzył.

– Będziesz bardziej szczęśliwy?

– Ty kogoś masz, Krzysztof?

– Ach, skąd, nie mam.

– Lecz chciałbyś... – posmutniały. – Myślisz o kimś, my widzimy...

– Ptaszeta – na szczęście znów wtrącił się Kot, któremu wiatr coraz mocniej dawał się we znaki. – Skończcie ćwierkać i spijać sobie z dzióbeków! Napijmy się – za ten Nowy Rok.

A jednak: bliźniaczkom odechciało się tańczyć.

– Zaduch, tłok – wymawiały się. Chcąc nie chcąc i Krzysztof opadł na kanapę.

– Bigosu pan zjedz, panie Kotkowski – zatroszczył się tymczasem Bączkowski o Kota. – A po bigosie proponuję starkę.

Docenili to, a jakże! A potem zanurzyli się: w zimne mięsa, wędzone węgorki i zylc (na sposób kaszubski wzmacniany głowizną, by nadać nóżkom smaku i jeszcze bardziej zawieszistej konsystencji).

– Dziewczęta, co jest z wami? Jak się czujecie, jako tako? – począł

dopytywać się Krzysztof.

Lecz one tylko wzruszały ramionami.

– Udobrucham ja was, udobrucham... – zamruczał, podobnego rodzaju dąsami nie przejmując się wiele. Zresztą i miał ochotę, by działało się jak najwięcej, więc ich opór sprawiał mu przyjemność.

I wtedy otworzyły się drzwi...

– Małeckiego... nie ma? – zabełkotał pijany głos.

– Nie ma! – wrzasnął gospodarz. – Małecki przy szynkwasio, a ty mi tu włazisz, łachudro, jak do chlewu!

Krzysztof uniósł głowę, po czym powolnym ruchem odstawił kieliszek.

– W takim razie pójdę sam – mrugnął do panienek, pomyślałszy chwilę.

Z góry dochodziły śmiechy, kelnerzy objęli się o ściany, pianista ledwo zipsiał. Za to przy barze – Małecki jak malowany! Zaślinionymi wargami obejmował właśnie krawędź kufla. Lecz nie bardzo na szczęście ululany, bo jaka by to wtedy była z nim rozmowa. Spojrzał nawet na Wilczyńskiego, nie rozpoznał.

– Pan mnie sobie nie przypominasz? – zdziwił się Krzysztof.

– Nie sądzę – wzruszył ramionami dryblas.

– Ciekawe...

– Mianowicie: dlaczego ciekawe?

– Powinien mnie pan pamiętać. Lub zapamiętać na przyszłość, skoro muszę się przypominać.

Małecki pochylił się ku niemu:

– Pan mnie straszy?

– Panu się wydaje...

A wtedy kompan Małeckiego – ten sam zresztą co i pół roku temu – wspiał się ku uchu kolegi. Twarz Małeckiego wykrzywiła się w szyderyczym olśnieniu.

Powinien był dostać w pysk. A jednak Krzysztof potrafił się opanować.

– Ależ się zdziwią w magistracie – cedził – iż takiego dziarskiego mają tam u siebie zucha. Ale wyleją, z pewnością wyleją, przeczytawszy zeznania świadków i bolesną opinię doktora. Wyleją czy nie? – nagle zbliżył twarz do twarzy rozmówcy. Uprzednio, kątem oka, spostrzegłszy za plecami Kota.

– To ten? – rzeczowo zapytał Konstanty. I nie czekając na odpowiedź, krzyknął coś w sobie tylko znanym języku – aż niedobitki Szwedów spojrzwały w jego stronę – po czym ruszył ku schodom sprężystym krokiem.

Partner dryblas nie wiedzieć kiedy zdążył nałożyć kapelusz. Trącił towarzysza: Chodu!

Wybiegli, Krzysztof za nimi. Zadudniły kroki – to z piętra nadciągał Kot z posiłkami. Lecz na werandzie Wilczyński wstrzymał pościg.

– Grunt, żeby wiedział, że musi się bać – powiedział.

Konstanty z chłopakami mimo wszystko okrążyli dom.

Pojawił się też Bączkowski:

– Panowie, nie róbcie, błagam, awantur! To urzędnicy. A ja już mam z nimi na pieńku!

– Tego człowieka masz pan w kieszeni – uspokoił go Krzysztof. – Tylko zwróć się pan do mnie w razie potrzeby.

Bączkowski spojrział, zrozumiał, o nic więcej nie pytał.

I tylko Kot żałował straconej okazji do bitki.

– Mógłby się przestać bać – znów tłumaczył Wilczyński. – A lepszy jest taki, co się boi. Zresztą bawmy się, bawmy! Co za wspaniała noc!

## ROZDZIAŁ 19

Panie Janie, pora wstać!

Kilka dni później w Bydgoszczy prezes Król wszedł na zebranie zarządu i nie oddawszy nikomu ukłonów, bez żadnych wstępów huknął pięścią w stół! Aż się poderwali z krzesel, aż zatrzęśli z przestachu. Sekretarz Krzepicki także inaczej sobie wyobrażał rozpoczęcie zebrania. Strasznie albowiem tego dnia ubawiło go ogłoszenie w jednej z gdyńskich gazet (a prenumerowali wszystkie, chcąc z różnych źródeł wiedzieć, co w tamtejszej trawie piszczy). Ogłoszenie brzmiało mianowicie tak:

„Zgubiono teczkę  
z pięcioma tysiącami dolarów!  
Uczciwy znalazca  
zechce zapewne zatrzymać  
teczkę i pieniądze,  
byleby tylko zwrócił bilety  
na film  
*Kobieta Która Grzechu Pragnie*  
w kinie Morskie Oko!”

Krzepicki lubił na różne sposoby zabawiać pana Jana (a ten rewanzował się podwładnemu korzystną o nim opinią: „Krzepicki? Bystry. Ba, cwaniak, kuty na cztery nogi. Skończy w piekle, bez dwóch zdań”). Dziś o niczym takim nie mogło być mowy.

– Wszyscy won, Krzepicki zostaje! – ryknął pan Jan. Po czym zostawszy z sekretarzem sam na sam, rzucił się wściekle po gabinecie:

– Dość samowoli. Dość przymykania oczu. Do trzech razy sztuka. Ostrzegałem, prosiłem, grożąc dopiero na końcu, wyczerpawszy inne metody. Nie poskutkowało. Krzepicki, powiedzże mi, dlaczego ty nie wiesz o wszystkim najprędzej? Dlaczego ja się nie dowiaduję o tem od ciebie?

Krzepicki zrozumiał w lot: chodziło o kolejny wybryk wymykających się spod kontroli pana Jana szalonych, jak widać, gdyńskich chłystków, gówniarzy, rozbójników od siedmiu boleści.

– Musimy, Krzepisiu, przedsięwziąć stanowcze kroki – uspokoił się wreszcie pan Jan i zmienił ton na rzeczowy. Naradzali się dłuższą chwilę. Na koniec sekretarz zapytał:

– Teraz, zaraz, natychmiast?  
– Niech się tym zajmie Stan, gdy tylko powróci z Borysławia.  
– Stan Kopecky? – upewniał się Krzepicki.  
– A znamy innego Stana niż Kopecky’ego? – znów wybuchnął przedsiębiorca.

Na brak problemów pan Jan narzekać nie mógł nigdy. Ot, los potentata! Mniejsza o żonę, choć raczej nie była w jego typie (pan Jan był jednakowoż człowiekiem religijnym i święty sakrament traktował poważnie; ewentualne zaś cienie, jakie na blask jego nieśmiertelnej duszy rzucić mogło nie najlepsze traktowanie małżonki, starał się rozproszyć, ubogacając posługę lokalnych kapłanów złotem haftowanych ornatów). Mniejsza zatem o żonę, zwłaszcza że teść się nader udał (bo na odpowiednio wysokim stanowisku). Ale ta Gdynia! Ciągle ta Gdynia!

Wracał do niej myślą z mieszanymi uczuciami. Z niepokojem o dawne i wciąż jeszcze prowadzone interesy oraz z oczywistym sentymentem.

Bo cóż to za miasto! Przewodniczącym pierwszej rady miejskiej, w roku dwudziestym szóstym, został Skwiercz – restaurator; jego zastępcą – Grzegorzewski – szynkarz jak i tamten! Że z tego wszystkiego udało się wyrosnąć miastu, a nie wesołemu miasteczku – cud to, nic więcej! Choć tak niewiele brakowało...

Magistrat wybrany przez rzezoną radę działał nader niemrawo. Wokół morze pieniędzy, a w urzędzie cicho sza, zabawa w chowanego, niech gorącymi kartoflami zajmują się radni. Radnym było w to graj! Budowało się, hej, budowało! Rządowe były projekty oraz inwestycje, lecz siły zięcia i szwagra, w interesie teścia i stryja, bez prowadzenia ksiąg, bez rejestrowania zakupów, nie myśląc o planowaniu wydatków czy przestrzeganiu umów i przepisów, hej, jakoś to będzie, wiatr od morza, szklane domy. Już jesienią roku dwudziestego siódmego lustrator z ramienia Ministra Spraw Wewnętrznych postulował wzięcie się za burmistrza, który rządzić pozwalał panom radnym. Kilka miesięcy później do sprawy wrócił wojewoda z Torunia i wreszcie w październiku dwudziestego ósmego najpierw rozwiązano radę, a zaraz potem zawieszono magistrat. I co? I nic, brak dowodów, wszystko się tak jakoś samo – okazywało się – działo, samo się budowało, samo podpisywało i płaciło, gdzie zatem pieniążki, tysiące, miliony – za przepłacone drewno, za stal, żelazo i cegły? Umorzenie, pieczętka, umorzenie za umorzeniem, niech puchną teczki, niech kurz fałuje w archiwach.

Pan Jan wszystko to widział. Z bardzo, bardzo bliska. I niespecjalnie mu teraz zależało, by aparat państwa nagle zaczął funkcjonować: drażnić, pytać, wyjaśniać. (Czy to coś zmieni – można wręcz było wzdychać filozoficznie – prócz tego, że złamie kilka żywotów? Koniec końców: miasto się przecież pobudowało. A że ten i ów zarobił? Cóż w tym złego?). Tymczasem nie dalej jak kilka tygodni temu aresztowano: eksburmistrza Krauzego, inżyniera Frankowskiego, technika miejskiego Janickiego i kontrolera Balickiego. Za systematyczne nadużycia przy dostawie kostki brukowej i cementu. Zła to była kostka? – mógłby zapytać pan Jan, a wiedział, że nie, nie była. Była dobra, może nawet najlepsza, za jakoś trzeba płacić. Zresztą nie doszło do przestępstwa – twierdzili prawnicy pana Jana –

dowodów śledczy nijak nie znajdują, rzecz rozejdzie się po kościach, a zakończy odszkodowaniami dla fałszywie posądzonych i pochopnie aresztowanych.

– I oby tak było! Oby tak było – przekonywał owych prawników pan Jan.

Ech, złote to były czasy – na początku! Miał nosa, sprowadzając z Kłajpedy motorówkę i poznając pewnego rzutkiego łotewskiego kapitana, z którym w trzy miesiące przewieźli do objętej prohibicją Finlandii kilka tysięcy beczek spirytusu, zarobiwszy na tym dziesiątki tysięcy dolarów, a pan Jan odkuł się tym samym za naftowe porażki na Podkarpaciu. Długo by o tym mówić, książkę można by napisać.

Lecz cóż, w pewnej chwili, niestety, stała się Gdynia dla pana Jana i za mała, i zbyt duża. Zbyt duża mianowicie do skontrolowania, a chciał kontrolować wszystko. Przemyt na wielką skalę i niestrudzoną pracę mrówek, chciał wykorzystywać szanse, jakie otwierało zapotrzebowanie na materiały budowlane, i chciał być częścią handlu – cukrem, węglem, mydłem i powidłem – byle tylko ów handel był rentowny bardziej niżli w sytuacji, gdyby odbywał się w zgodzie z wszystkimi przepisami (czyli, jak to się z niewiarą mówi, uczciwie). Z drugiej zaś strony stała się Gdynia za mała. Bo ci, którzy coś znaczyli, znali się aż za dobrze, widywali zbyt często, wiedzieli o sobie za wiele. To dlatego pan Jan postanowił się z Gdyni wycofać. Ruszyć na południe – z gotówką i wartościowymi papierami – do Polski centralnej, tam go jeszcze nie znali, tam mógł nałożyć frak i nikt nie powinien się zacząć zastanawiać, czy aby na pewno ów frak dobrze na nim leży (w dodatku z dziada pradziada). Padło na Bydgoszcz.

Umówmy się: nieprzypadkowo. Magnesem przyciągającym pana Jana z nieodpartą siłą stała się bowiem magistrala węglowa. Z mającym właśnie powstać odcinkiem z Herbów Nowych do Inowrocławia, z otaczającą Bydgoszcz obwodnicą, a wreszcie z planową trasą przez Kościerzynę do Gdyni. Byle tylko ominąć Gdańsk, to była dla Polski kwestia życia lub śmierci (zaś w takich przypadkach, jak wiadomo, kosztów się nie liczy).

Jakież to było wyzwanie, jakaż inwestycja! Prawdziwa żyła złota. Ku chwale ojczyzny, ale i pełnych, ma się rozumieć, poświęcenia budowniczych.

Nic dziwnego, iż pan Jan pragnął się przyłączyć. Chciał mianowicie dostarczać podkłady kolejowe. I chciał być przy tym niezbędnym: to znaczy najpierw otrzymać wyłączną w miarę możliwości zgodę rządu na wsparte dotacjami skupywanie drewna, potem zaś to drewno rządowi odsprzedawać. (Byle tylko bez nazbyt wnikliwych kontroli i bez dopuszczenia do głosu mogącej chcieć zbijać ceny konkurencji). Słowem, gra toczyła się o koncesje i zezwolenia, a rolę boisk i tak zwanych matchów spełniały polowania z urzędnikami ministerialnymi, pijatyki z najwyższej szarzy kolejarzami, a wreszcie poufne i dalece nieoficjalne umowy z właścicielami tartaków (by mogli bez bólu głowy pozbywać się towaru, ale i żeby pan Jan co nieco z państwowych dotacji przyszczędził). Ku szczęściu

i dobrobytowi kolejnych pokoleń!

(Ech, żeby jeszcze pani Alicja była bardziej w jego typie...)

Z Kunickim z białostockiego nie raz żartowali, spotykając się w Warszawie, mocno – bywało – podpici, że... cicho sza, panie Janie, ani mru-mru, Leoś, tajemnica i szlus, oficjalna umowa to jedno, ważna ta nieoficjalna, żeby nikt nie wywęszył, a już nie daj Bóg, panie Janie, gryzipiórki, bo to zanim się połapią – kto, co, jak i z kim – to wszystko pokiełbaszą, nazmyślają, panie Janie, niby o nas napiszą, a zupełnie się pan nie rozpoznasz! Leoś, co ty mi z gryzipiórkami, ty się martw, żeby prokurator nie węszył! Panie Janie kochany, mnie pan przekonałeś, urzędników w ministerstwie, to nie przekonasz prokuratora?

Podsumowując: budowanie magistrali było nie dość, że patriotyczne, nie dość, że dochodowe i nie dość, że w pewnej mierze legalne, to jeszcze bardzo zajmujące. Tymczasem uwagę pana Jana co rusz odwracała Gdynia. I nie był to wcale uwodzicielski, kuszący syreni śpiew, a raczej nawracająca natarczywie pijacka czkawka. A że z drugiej strony żal było mu wypuszczać z rąk wszystko, co z tak wielkim trudem zbudował, oddawać łajby w obce ręce, na poniewierkę, na ruinę (swoją drogą, u kogoś innego zachłanność tego typu można by nazwać chciwością; w przypadku pana Jana – w czym utwierdzał go spowiednik – nie mogło być o niej mowy; wszak jego mrówcza praca owocowała jakże zbawienną troską o materialny wymiar Kościoła), skoro więc żal było interesy gdyńskie porzucać, coś z tą czkawką należało uczynić. Opanować. Zwalczyć raz na zawsze lub nauczyć się z nią żyć.

– Prezenty weselne – mówił teraz, uspokoivszy się całkowicie – zrozumiałem i wybaczyłem. Ów napad na pociąg – co za idioty taką rzecz potrafiły wymyślić?! Teraz słyszę: wcinają się jedni drugim, leśniczy głupieje, nie wie: pilnować, nie pilnować; no ludzie! Gdzie tu logika, gdzie porządek?!

– Choćby procent powinni płacić... – wtrącił Krzepicki, lecz zaraz przerwał, dostrzegłszy, iż pan Jan nie ma ochoty tracić czasu na mówienie o rzeczach oczywistych.

– Powtarzam: kiedy Kopecky wróci z Borysławia, natychmiast ślij go do Gdyni. A potem... – pan Jan zamyślił się. – Potem konieczny będzie ktoś na miejscu. Zaufany i zdolny utrzymać porządek.

– Tylko kto? – zapytał sekretarz.

Odpowiedzi póki co nie usłyszał.





*Rozgałęzienia kolejowe w porcie.*



MARZEC

1930

## ROZDZIAŁ 20

### Złapał Kozak Tatarzyna

Pod koniec lutego wydarzenia nabrały tempa. Po krótkich mrozach temperatura wzrosła, sypało, ale i prędko topniało, miękka breja utrudniała chodzenie, a zza doskonale szarych chmur przez wiele dni nie przebijały się choćby pojedyncze promienie. Ci, którzy z rodzinnych stron znali prawdziwe zimy, narzekali na nieokreślony, nieprzyjemny nadmorski klimat. Ciężko było o uśmiechy, apatię przerywały głównie wybuchy złości. Nawet karnawałowe bale dla tych, którzy mogli sobie pozwolić, by o balowaniu myśleć, wypadały nadzwyczaj niemrawo.

Jeździło się również z trudem. Ale i więcej niż zwykle – autodorożki, przyznać trzeba, miały w te dni powodzenie. Krzysztof zatem nie narzekał.

Do rzeczy: najpierw Kot pobił jednego z drugim. Za to, że nie zaczekali, wtedy, pod Gołębiwem. Sprawiedliwość w jego wydaniu bywała nierychliwa, lecz jednak nieuchronna.

Stało się to gdzieś na Grabówku, a może w Chyloni, ciemną nocą, przy wtórze tłumionych krzyków i z chłodną satysfakcją. Do tego typu aktywności Kotkowski używał kastetu. Krzysztofowi opowiedział zaś o wszystkim w zasadzie przypadkiem. Gdy najpierw wymknęło mu się słowo, Wilczyński je podchwycił, Kot mimo wszystko spróbował zmienić temat i dopiero przyciśnięty zrelacjonował, co się odbyło i jak. Bez podniecenia, bez satysfakcji, tonem urzędnika, tudzież wychowawcy, który mógłby, i owszem, darować przewinę, bo osobiście niczego kara mu nie dała, lecz wiedział, iż niepodjęcie działań byłoby wysoce niepedagogiczne, mogąc źle wpłynąć na postawę winowajców w przyszłości.

– A ja? Co ze mną? – pytał Krzysztof. – Ja również wtedy odjechałem.

– Ciebie oszukali, a ja tobie wierzę.

Dobre i to. Mimo łączącej ich przyjaźni, na śmierć i życie, szaleństwo, które niekiedy dostrzegał w Kotkowskim, nie było czymś, co zupełnie można było lekceważyć.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłeś – spojrzał czujnie.

– Nie jestem mordercą – błysnął zębami Kot i spojrzał na Wilczyńskiego wyzywająco. Co ten zrozumiał należycie: tematu nie warto było kontynuować. Do tamtej nocy sprzed lat, która to noc na zawsze ich połączyła, Krzysztof wracać nie chciał. O czym Konstanty doskonale wiedział.

Swoją drogą, w ostatnim czasie, pod niebagatelnym wpływem Łucji, Wilczyński postanowił zmienić się, usatkwować. Nie było to łatwe, brzmiało dość

zabawnie w biedzie i chaosie chińskiej dzielnicy, niemniej zaprzestał wizyt w Kurhausie i rzadziej odwiedzał Bonka. Znalazł sobie lepszą przystań – pod ogłoszeniem: „W. Bednarski, Gdynia, Świętojańska, poleca pierwszorzędną kuchnię domową oraz bufet”. A *propos* zaś Pekinu – i o tym pomyślał raz i drugi, by rozejrzeć się za sublokatorskim pokojem w murowanych czterech ścianach. Z łazienką i bieżącą wodą. Sęk w tym, że chętnych na luksusy stanowczo nie brakowało.

Z Łucją spotykali się głównie w kawiarni Hotelu Kaszubskiego (Towarzystwie *rendez-vous* całej elity Gdyni – reklamował ów lokal Grabski; gdyby tylko wiedział komu!). W towarzystwie dziewczyny czuł się świetnie. Wypijali kawę, zjadali ciastka, po nich następne, rozmawiali. Jemu łagodniał głos, lecz wciąż starczało ironii, ona zaś śmiała się, gdy błaznował lub wyszeptował żartobliwe uwagi na temat innych kawiarnianych gości.

Co dalej? – zastanawiał się. Spacerować? W lutym?

Zdarzało się, że czekał na nią pod urzędem.

– Cóż za zbieg okoliczności! – wykrzykiwał wtedy patetycznie, a ona znów się śmiała, w przypadek absolutnie nie wierząc. – Odprowadzę panią, czy mogę?

Odprowadzał. Niby tuż za róg, lecz zwykle zataczając wielkie koło, przez skwer Kościuszki, Rynek Kaszubski, plac Dworcowy i tak dalej, jak najdalej, byle trwało to możliwie najdłużej. Dość prędko zaczęli się sobie zwierzać. O nie, nie z rzeczy najważniejszych; lecz z tego, co w pracy, z tęsknoty za rodziną (tu Krzysztof nieco koloryzował), z drobnych codziennych spraw.

Lecz w rzeczy samej: co dalej? Tańczyć? Wymawiała się chronicznym bólem kostki. Zjeść obiad w Riwierze? – nie wiedzieć czemu, strasznie się rumieniła. – Oświadczyć się, brachu – podpowiadał złośliwie Kot.

Pewnego dnia, gdy właśnie pod Riwierą czekał był na klientów, z szarości zmierzchu wyłonił się jeszcze ciemniejszy kształt, a po nim dłoń stukająca w szybkę. Bączkowski.

– Panie Krzysztofie, drugi dzień za panem chodzę. Ratuj, panie Krzysztofie kochany, bo jak pan nie uratujesz, to już nie wiem kto!

Rzecz była w ponawianych co i rusz skargach na zanedo rozrywkową i zbyt jawnie nieobyczajną działalność Domu Kuracyjnego.

– Na nic wsparcie księdza senatora (który zresztą aktualnie senatorem nie jest), bo wiadomo, ksiądz to endecja, prezydent miasta Bilek zaś sanacja, o porozumieniu nie może być zatem mowy – tłumaczył płaczkliwie Bączkowski – a wywłaszczyć chcą. Co mnie po odszkodowaniu i pieniądzach na budowę czego nowego, jak mnie dobrze z tym, co mam? Dziewczęta osowiałe, panie Wilczyński, klienci nie w humorze. A pan czemu z dawna nie bywasz?

– Lecz co ja mogę? – zbył ostatnie pytanie Krzysztof. By w tejże chwili przypomnieć sobie wydarzenia noworocznej nocy, a zwłaszcza awanturkę

z magistrackim urzędnikiem. – Proszę do środka, panie Bączkowski, nie stójże pan na deszczu.

Bączkowski gramolił się niezdarnie. Przedyskutowali wszystko. Ustalili cenę. Krzysztof niczego nie obiecywał.

A jednak: dzień czy dwa później zamiast pod urzędem, stanął pod magistratem. Nie czekał długo.

– Panie urzędniku – zawołał. – Panie urzędniku!

Tamten obejrzał się i zrobił wielkie oczy. Łypnął też w prawo i w lewo, jakby szukając pomocy czy też świadków.

– Pan się nie boi, panie Małecki, czy to ja mianowicie ludzi po nocach napadam? Musimy porozmawiać.

– Na jaki temat? – koniecznie chciał wiedzieć Małecki.

– Dowie się pan, gdy porozmawiamy. Logiczne! – zaśmiał się Wilczyński, a dryblas znów rozejrzał się na boki, po czym bezradnie wznosił dłoń, chcąc wskazać odległy kierunek, cel, do którego zmierza; wiadomo: żona czeka, dziatki, a tato nie wraca ranki i wieczory, bo napadł go straszny zbój (swoją drogą, Krzysztof cieszył się jak dziecko, gdy usłyszał od Łucji opowieść o sobie jako zbrojcu).

– Żeby po pijanemu bronić drągiem czci Najświętszej Pani, to miałeś pan odwagę, zaś aby przeprosić, jako żywo nie pamiętam – zirytował się Wilczyński. – Ale ja nie o tym, panie Małecki, porozmawiajmy, niech będzie u Grzegorzewskiego. Ja zapraszam. He?

Chcąc nie chcąc, urzędnik zgodził się. Uspokoila go zwłaszcza propozycja rozmowy w Starogdyńskiej, a więc krok ledwie od miejsca, w którym stali, i w przybytku, gdzie zawsze pełno było podobnych jemu klerków, prócz tego zaś przedsiębiorców, a i proboszcz niekiedy zachodził.

Z trudem znaleźli wolny stolik. Raz-dwa pojawił się kelner.

– Będziemy coś pić, panie Małecki, jeść? Prosimy zimnych mięs, może być pasztet, sardynki. I dwa piwa, czyż nie? – zaproponował Wilczyński. – Pan jesteście żonaty? – zapytał też od razu i od niechcienia. Nieufny Małecki potwierdził.

– A dzieci to pan masz?

Cisza. I z lekka drżący głos:

– Doprawdy, szanowny panie...

– Nieważne, panie Małecki, nieważne – Krzysztof zdążył już chwycić za sztućce. – Podobnież chińską dzielnicę zamierzacie zlikwidować?

Małecki chrząknął.

– Ja tylko pytam, panie Małecki, chcę wiedzieć...

– Owszem, port się rozbudowuje... – zaczął niepewnie urzędnik. – A tam mnóstwo nielegalnych, bójki... – i aż zakaszłał, przytykając pięść do ust, zrozumiawszy po niewczasie, że oto on sam w podobnej awanturze uczestniczył,

w dodatku w awanturze o jakże nieprzyjemnym dla siedzącego przed nim mężczyzny skutku. Krzysztof nie reagował.

– W krzakach za Portową regularne bitwy... Ze Szwedami, z Finami...

– Będziecie zatem likwidować owo siedlisko zła... – niedbale podsumował Wilczyński. – Aktualnie zaś mieszkam tam, i co dalej? – zapytuje.

– Na Witominie przygotowane zostaną działki, dogodne kredyty udostępnione...

– Ejże, aż na Witominie?

– Nie leży to w mojej gestii i doprawdy nie rozumiem, cóż mogę...

– A w zamian szklane domy: ulice, biurowce, magazyny? – upewniał się Krzysztof.

– Proszę pana... – zdenerwował się Małecki. – Powtarzam: to wszystko nie leży w zakresie moich kompetencji, ja w tej sprawie niczego...

– Przejdźmy więc do rzeczy – znów przerwał mu Wilczyński, przeżuważając, a jednocześnie celując widelcem w pierś rozmówcy. – Coście się tak, niechaj mi pan powie, coście się tak uczepili tego Domu Kuracyjnego?

– To również nie leży w moim zakresie... – na dobre zaperzył się Małecki.

– Niech pan nie opowiada, panie Małecki. Za coś pan pensję bierzesz! – tym razem Krzysztof nie zamierzał dać się zbyć. – Pan jesteś mi coś winien, a ja świadków mam i opinię lekarza... – zaakcentował surowo. Po czym zamówił kolejne marcowe, by dokładnie wypytać o szczegóły planowanej ponoć eksmisji. O procedury. O terminy ewentualnych decyzji. Na szczęście wychodziło na to, iż Bączkowski niepotrzebnie panikował. Ostateczne rozstrzygnięcia nie miały zapaść prędko.

„To się nawet dobrze składa – myślał Wilczyński – nie będę musiał za niego umierać. Ale niech myśli, że jest mym dłużnikiem...”

Poza wszystkim pouczył urzędnika:

– Spowalniaj pan, jak się tylko da. Dotrzyj do owych listów czy skarg i zniszcz je pan z łaski swojej. Dajcie człowiekowi życie!

Ciągnąć pogawędkę nie było sensu. Obrażony Małecki burczał, unosząc się znad stołu, Wilczyński płacił szerokim gestem.

Gdy wyszli na ulicę, z mroku doskoczył Kot:

– Szukałem cię, Krzysztof! Tamci dwaj, co to wiesz, mieli, rozumiesz, wypadek!

O, nie brzmiało to najlepiej.

– Wypadek? Poważny?

– Śmiertelny.

– Nie teraz – widząc rzadko spotykane zdenerwowanie przyjaciela, Krzysztof skinął, wskazując na Małeckiego.

– Może być z tego sprawa – mimo to wymknęło się Konstantemu.

Tuż obok zapiszczały hamulce. Z auta wyskoczyło trzech.

– Pan Konstanty Kotkowski? – chcieli potwierdzenia.

Kot napiął barki, zacisnął pięści.

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem podwójnego morderstwa.

– To nie ja, dobrze wiecie! – syknął. Lecz oni nie patyczkowali się, wykręcili mu ramiona i skuli za plecami dłonie.

Chwilę tę Krzysztof wykorzystał, by prędko przemówić do Małeckiego:

– Zapomniałem dodać, iż pan Bączkowski sownie zapłaci.

Zaskoczony wydarzeniem, stojący do tej pory niczym sparaliżowany dryblas, obrócił twarz do Wilczyńskiego. Ten zaś nie był pewien: czy urzędnik zrozumiał propozycję niewtrącania się do nie swoich spraw?

– Panowie kim są? – zainteresowali się tymczasem tajniacy.

– Jestem urzędnikiem magistratu – wydukał Małecki. – A z tym panem – wskazał na Kota – nie mam nic wspólnego.

– O drogę pytał – skwapliwie dopowiedział Krzysztof. – My rozmawialiśmy, a on o drogę zapytał.

– Drogę? Dokąd? – nie dowierzał tajniak.

– Na Rynek Kaszubski – rzucił przytomnie Małecki.

– Do sklepu Ferdynusa – z ulgą dodał Wilczyński.

– Panowie pojedą z nami – mimo wszystko zdecydował policjant.

Pojedą! Dobrze sobie: to Kot pojechał. Zaś Krzysztofa i Małeckiego prowadzono w asyście stójkowych. Wnet otoczyła ich gawiedź. W jej towarzystwie dotarli na komisariat.

Przesłuchanie nie trwało długo. Krzysztof konsekwentnie wypierał się znajomości z Kotem, powtarzał bajeczkę o domu towarowym i liczył na to, iż Małecki zachowa się podobnie. Choć, prawdę mówiąc, mogło się zdarzyć zgoła inaczej: tamten, przestraszony, mógł skwapliwie opowiedzieć o tych kilku słowach zamienionych przez Krzysztofa z Kotem, a jeszcze pewnie i oskarżyć Wilczyńskiego o szantażowanie... Owszem, pogrążając i siebie – lecz czego to człowiek nie zrobi w nerwach?

Wyszedszy z komisariatu, Krzysztof odetchnął zrazu, po czym rozejrzał się wokół, wypatrując postaci urzędnika, wreszcie sprężył się i ruszył w stronę Budapesztu. Nim jednak zdążyć zrobić kilkadziesiąt kroków, usłyszał goniącego go Małeckiego.

– Co jest? – warknął.

– Spokojnie – złośliwie wykrzywił usta Małecki. – O ile zapamiętałem, powiedział pan, że Bączkowski zapłaci... Czy tak? Czy dobrze zrozumiałem?

„Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma” – pomyślał Wilczyński.

Na głos zaś powiedział: – Pan zdaje się zapominać, że grozi panu sprawa o pobicie.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.



– Z drugiej strony pana kolega – urzędnik oblizał wargi – cośkolwiek zbyt wiele wie o zamordowanych. Zresztą i pan... zdaje się... W dodatku wyparł się pan znajomości. Czyż to aby nie podejrzanę?

Krzysztof myślał krótką chwilę.

– Spotkajmy się jutro – zaproponował wreszcie. – Nie, nie jutro – zmienił zdanie. – Za dwa dni. Może być?

– U Grzegorzewskiego w poniedziałek o szesnastej – podchwycił ochoczo Małecki, chytrze mrużąc oczy. – Będę czekał na obiecane pieniądze. Niczego oczywiście w owej sprawie nie obiecując... – zaśmiał się.

Gdy tamten odszedł w stronę Hotelu Słupskiego i dworca, Krzysztof splunął z pogardą. Po czym nie zwlekając dłużej, pobiegł do Hanki.

– Zrobił to? – zapytała przestraszona, lecz jednak rzeczowo, dowiedziawszy się, w czym rzecz.

– Nie – odparł Krzysztof. W pierwszej chwili zawahał się co prawda, lecz zaraz stanęło mu przed oczyma wyraźne zdenerwowanie w postawie i głosie przyjaciela. – Nie – powtórzył. – Kostek nie jest mordercą. Idź do niego, pójdziesz? Pójść z tobą?

– Z ojcem pójdę, ciebie lepiej żeby nie widzieli w towarzystwie rodziny nieznanej ci osoby, prawda?

Prawda.

Łyknął gorącej herbaty, Stara zawodziła, Stary kłął, by przestała:

– Słuchaj Krzysztofa, gdy mówi, że Kostek niewinny!

Sęk w tym, że pobił wcześniej tych chłopaków i o tym musiała dowiedzieć się policja. Czego Krzysztof przy Starej wolał nie mówić, ale Staremu i Hance powiedział, gdy schodzili ku miastu. Obiecali dać mu znać – przez któregoś z chłopaków – gdy tylko czegokolwiek się dowiedzą. Wtedy przyspieszył i komisariat minął znacznie przed nimi.

Masz ci los! Na śmierć zapomniał! Bo oto sto kroków za budynkiem policji świeciła neonem Czarodziejka. Przed nią dostrzegł Łucję. Z nim umówioną. Szlag by to...

– Dobry wieczór, panno Łucjo! – postarał się, by jego głos zabrzmiał możliwie lekko.

– Pan się spóźnił – zauważyła filuternie. – Czy coś się stało? – mimo wszystko w lot dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło.

– Zdenerwowałem się, będąc okrutnie spóźniony – skłamał. – Chodźmy, seans zapewne zdążył się rozpocząć.

I wtedy dostrzegł Polę i Lolę. Tuż przy witrynie z afiszami. Skulone, przytulone do siebie, z szeroko otwartymi oczyma. Odwróciły się, gdy tylko spojrzał w ich kierunku.

„Masz ci los – westchnął. – Kot w areszcie, ja na *rendez-vous*, w dodatku

z komplikacjami...”

Filmu nie zauważył, myśląc gorączkowo.

Kot na pewno był w niebezpieczeństwie. Nawet jeżeli tamtych zabił kto inny. Bo komu też będzie się chciało tego kogoś szukać, skoro pod rękę napatoczył się sprawca niedawnego pobicia? Dadzą mu wycisk, nie może być inaczej – nie miał złudzeń Wilczyński. – Konieczny będzie adwokat i mnóstwo pieniędzy...

Z kolei Małecki: sam szantażowany, chciałby odpłacić pięknym za nadobne. Nie! – uspokoił się po krótkim zastanowieniu. – Tym chłystkiem nie należy się przejmować.

„Ale Kot... ale Kot... Co mogę zrobić?” – zaciskał palce na drewnianej poręczy fotela. Gdy Łucja zerknęła, na jego twarzy pojawiał się grymas, mający być uśmiechem. I wciąż nie wychodził z kina. „Dziś już nic, dziś już nie zrobię nic...” – upewniał się, podczas gdy na ekranie *Władczyni miłości* Greta Garbo w roli Diany miast za prawdziwie ukochanego Neville'a wychodziła za przestępcę Davida...

Po seansie na dworze rozszalała się zadymka.

– Powinniśmy wziąć autodorożkę – zażartował ponuro.

– Pan się teraz śmieje, ale przez cały czas był pan nieobecny – Łucja znów trafiła w punkt.

– To prawda – przyznał wbrew pierwszej intuicji. – Jeżeli będę mógł, kiedyś opowiem pani dlaczego... – obiecał.

– Ja się nie gniewam, ja tylko chciałabym pomóc.

I wtedy znów, mimo zamieci, zauważył dziewczętą. Jakby na niego – z nią! – czekające.

– Nie stójmy tak, odprowadzę panią – delikatnie ujął Łucję za łokieć (a ją przeszedł dreszcz, mimo grubego płaszcza) i skierował w stronę przesłoniętego gęsto padającym śniegiem urzędu pocztowego. – A gdy chodzi o pomoc... – zawahał się. – Już w tej chwili bardzo mi pani pomaga. Proszę uwierzyć, że tak jest. Jestem pani dłużnikiem.

To, co mówił, wydawało się szczere. Podszyte niepewnością, zmęczeniem, lecz szczere. Uśmiechnęła się zatem – by poczuł się jeszcze lepiej. I rzeczywiście, co tu kryć, reszta świata choć na chwilę przestała mieć dlań znaczenie.

## ROZDZIAŁ 21

### Wola mocy

Ten wysiłek Grabski podjąć musiał sam. Marzył o nim od dawna. Zimowa pora zwiększała stopień trudności, żałował jedynie, iż z powodu nawału obowiązków nie udało mu się wziąć urlopu na początku miesiąca. Później mrozy niespodziewanie zelżały – pozornie zrobiło się więc łatwiej. Z drugiej strony rozmiękły lód i grząski grunt potraktować można było jako spiętrzenie problemów – wszak by je pokonać, konieczny był wielokrotniony wysiłek fizyczny.

Linia brzegowa polskiego wybrzeża liczyła sto sześćdziesiąt dwa kilometry. I tak właśnie wyglądało wyzwanie, któremu sprostać postanowił Grabski. Wcześniej niewiele dla ojczyzny uczynił. Powstaniu przyglądał się dzieckiem, Sowieni do Wielkopolski nie dotarli, Grabski mógł się jedynie uczyć (a przecież po maturze zdecydował się nie studiować), mógł zachwycać, podziwiać – i to akurat czynił z niezrównanym zapałem – mógł wreszcie pracować, zwiększając ogólny dobrobyt. I mógł też jako pierwszy – zimą! – przejść wzdłuż całego, dosłownie całego, polskiego wybrzeża, a swą podróż ładnie utrwalić: na fotografii i w doskonałej polszczyźnie. Wszystko dla pożytku: dziatwy szkolnej, inwalidów – którym kontuzje trwale uniemożliwiały czerpanie radości z polskości Bałtyku – a wreszcie wszelkiego typu patriotów – im w hołdzie i w darze!

Szczęście dopisało: polszczyznę wyniósł z gimnazjum, zaś aparatem fotograficznym dysponowała pani Miklaszewska. Która usłyszawszy o planach Grabskiego, zareagowała nader entuzjastycznie.

Swoją drogą, noworoczny fajf był wieczorem pysznym! Całkowicie wbrew wcześniejszym obawom. Sam Adam czuł się co prawda nieco skrępowany, zdając sobie poniewczasie sprawę, iż strój, który tak starannie kompletował, okazał się jednak nazbyt oficjalny, wieczorowy; niemniej pani Ewa robiła wszystko, by nie czuł się źle. Z kolei porucznik – pozbawiony towarzystwa szofera – okazał się człowiekiem uroczym, choć zasadniczym, a także inteligentnym, lecz swą inteligencją nieepatującym. W dodatku niemal wcale Grabskiego nie zauważał, a przez to i nie wpędzał w zakłopotanie.

Łucja wyglądała uroczo: w skromnej granatowej sukience, przeciętej na skos wstawką z materiału o innym odcieniu (lepiej tego opisać Adam nie potrafił), z białą różą na lewym ramieniu i drugą, mniejszą, w splocie włosów.

Pani Ewa – podobnie jak Grabski – nieco łamała zasady fajfu, skupiając na sobie spojrzenia swą długą i lejącą się suknią, zachwycającym dekoltem oraz sznurem pereł o kolorze identycznym jak barwa ułożonych żelazkiem fal włosów.

Wśród gości nie zabrakło dwóch oficerów z Dowództwa Floty, pana Krynickiego (z małżonką) z Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego SA

Polbryt, doktora Pikuta z Lecznicy Nadmorskiej (także z małżonką), a wreszcie państwa Jabłońskich – z Polskiego Handlu Zamorskiego. Wszystkim tym szacownym obywatelom Łucja i Adam przedstawieni zostali jako przyjaciele domu, reprezentacja młodzieży, a wreszcie przyszłość narodu.

Podano herbatę, do niej rum, tartinki, słone ciasteczka. Zaś wraz z upływem czasu przekąski na zimno, ryby w galarecie – do nich chablis – a po północy strogonowa (i wtedy też kieliszek wódki). Wszystko w formie bufetu i przy niewielu zapalonych lampach, pokoje okrywał zatem ciepły półmrok, goście nachylali się ku sobie z foteli, kanap i rozmawiali, rozmawiali. O sprawach handlowych i finansowych, o gdyńskim rozmachu państwa, ale i o trudnościach, na jakie się tu napotykało (winny kłodom rzuconym pod nogi przedsiębiorców okazywał się, niestety, rząd!). A także o kryzysie – a kysz, zmoro, przepadnij w Nowym Roku! – i o planach towarzystwa na karnawał oraz letnią kanikułę. Warszawa? – dyskutowano – Zakopane? Triest? Karlowe Wary!

– Ja zaś wybiorę się do Juraty – podkreślił z dumą pan Krynicki. – Bywałem nad Adriatykiem i zaręczam państwu, że kamienistość tamtych plaż nijak się ma do naszych szerokich piasków.

– Lecz zimno! – protestowały panie. – Czego by też nie powiedzieć, lazur wody w kolebce śródziemnomorskiej cywilizacji jest wprost niezrównany!

Wtedy to Grabski opowiedział o swym planie. Z początku Łucja strasznie się zaczerwieniła. Plan, owszem, znała i oczywiście nie miała nic przeciw niemu. Lecz czy Adam w takim gronie koniecznie musiał...

Musiał, wiadomo, młodość! Wyrwana, spragniona uwagi. I teraz najważniejsze: gdyż otrzymał był gromkie brawa!

– Dziękuję państwu – płonął, podniecony i zawstydzony zarazem – jednak na oklaski przyjdzie czas, gdy swą podróż ukończę.

Prawda, opamiętali się. Wracając do handlu i finansów, do narzekań. Marząc o Karlowych Warach.

Rozpocząć wyprawę należało od okolic Jeziora Żarnowieckiego, a konkretnie od ujścia granicznej rzeki Piaśnicy. By nie wzbudzać podejrzeń niezapowiedzianym pojawieniem się w kontrolowanej strefie, Adam telefonował do odpowiednich dowództw, pisał podania, życiorysy i, koniec końców, otrzymał niezbędne pozwolenia. Ostatnią noc przed samotną wędrówką spędził w pobliskiej wiosce, nad granicę docierając w asyście żołnierzy.

Równy ze wschodem słońca stanęli na brzegu. Spojrzał na rzeczkę, ot, struga, nic więcej. Lecz właśnie od niej zaczynała się Polska! Przeszedł go chłód. Obrócił się w stronę słońca, z jednej z wielu kieszeni wyjął ciemne okulary. Był znakomicie przygotowany: miał odpowiednią odzież, krótkie narty, mocne kijki, rozsądnie spakowany plecak (niczego w nim za dużo, niczego za mało).

Do przylądka Rozewie było stąd nie więcej jak dwadzieścia kilometrów. Do

Wielkiej Wsi–Hallerowa kilka kolejnych. A musiał przed zmierzchem dotrzeć do miejsc zamieszkałych, musiał znaleźć ciepły kątek. Na nocleg pod gołym niebem, mimo wcześniejszych rojeń, nie był gotowy.

Dużo wcześniej czytał: o tragicznej wyprawie z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego, gdy w trakcie ataku szczytowego na Mount Everest zaginęli panowie Mallory oraz Irvine. Lub o wyścigu na biegun południowy Amundsena i Scotta, który to wyścig tylko dla Norwega zakończył się pomyślnie; nieszczęsny Robert Falcon Scott zamarznął był w drodze powrotnej.

„Nie, nie, mnie to nie grozi” – uspokajał się podróżnik.

Szło się ciężko, choć niby szeroką aleją plaży. Była niczym pas startowy dla aeroplanów, równo pokryta śnieżną skorupą, bez końca. Gruchotane falami kry piętrzyły się za to przy brzegu. Niestety, nie wiało tak, jak sobie to wymarzył.

Idąc, rozmyślał o Fryderyku Nietzsche. „Azaliż, ile jest we mnie owego pierwiastka dionizyjskiego? – pytał manierycznie. – Ile dzikiej chaotyczności, ile nieokiełznania?”

Odpowiedzi nie przychodziły łatwo...

Szło – *nomen omen* – o odkrycie w sobie woli mocy: woli zwyciężania, pokonywania przeszkód, sięgania po laur zwycięzcy, by odczuć ekstazę, by stawać się twórcą samego siebie; samego zmieniającego świat siebie! Gdyż jest on – ów świat – ścieraniem się sił... I oto on, Adam Grabski, kroczył mu dziarsko naprzeciw, w tym tkwiła jego moc, w tym realizowało się jego ujarzmianie rzeczywistości – gdy stawał wobec przyrody, roztopów, grząskiego gruntu (jakże to symboliczne!). „Żal tylko, że nie wieje – powtarzał uparcie, a może nawet zrzędlawie – że nie siecze z ukosa, nie zapiera tchu, nie spowalnia kroków...” O ile jednak nad Gdynią ostatnimi czasy wciąż wisiły ołowiane chmury, tak tu, nad otwartym morzem, najjaśniejsze słońce odbijało się bez przerwy od śnieżnej pokrywy i fal. Tak oto polska linia brzegowa witała swego zdobywcę.

Powoli, z mozołem, zbliżał się do Rozewia. Minął Karwień, potem długo nic, zjadł gotowane jajka, wreszcie równoległe do plaży poczęła rosnać skarpa. Wspaniała, potężna, ponad sześćdziesięciometrowa – jak przeczytał w przewodniku – o, choćby dla jej widoku warto było wyruszyć (zapominając oczywiście, iż pociąg z Gdyni do Jastrzębiej Góry kursował wcale nierzadko i toczył się niewiele dłużej niż godzinę).

Doszedłszy do Rozewia, padał z wyczerpania. Majaczył o wspięciu się ku wieży latarnika, o błaganiu go, by ten ratował życie strudzonego wędrowca... Na uspokojenie łyknął zimnej herbaty. Resztkami sił doczłapał do Wielkiej Wsi.

I wciąż pozostawało mu, ho, ho, jakieś czterdzieści kilometrów do końca półwyspu, drugie tyle z powrotem oraz kolejne kilkadziesiąt – przez Puck do Gdyni.

Na szczęście z dnia na dzień szło mu się coraz lepiej, radośniej, mógł

oddychać pełną piersią, mimo że w towarzystwie – jedynie – rozkrzyczanych i zadziwionych jego obecnością mew. Po dwóch kolejnych etapach dotarł do Helu.

Strasznie był ciekaw owych zniemczonych Holendrów, jak mieszkańców wioski przedstawiał przewodnik. Wieczorem ochoczo zapłacił za piwo w przestronnej sali Lwiej Jamy. Niestety, ni w ząb nie rozumiał języka, którym się wokół posługiwano. Bo też i Holendrów widział pierwszy raz w życiu.

Tego wieczoru w wynajętym pokoju zasypiał rozanielony. Oto idąc, przy okazji, gdy dłużyły się kilometry, wszystko dokładnie zaplanował. Na miejsce uroczystości wybrał Czarodziejkę (osobiście wolałby Morskie Oko z kawiarnią i restauracją tuż obok sali kinowej; miał jednak ochotę uszanować preferencje Łucji). Reszta zaś miałyby wyglądać tak: po kronice taper przestaje grać, zaprasza Łucję na niewielki podest i wtedy, ziewnął... i wtedy... Ech, to holenderskie piwo!

Dalsza wędrówka, wzdłuż zatoki, nie była już tak przyjemna. Brzegiem często nie dało się iść, trzeba było kroczyć szosą, widoki nie upajały, w dodatku wściekle sypał śnieg.

Nadludzkim wysiłkiem woli minął Swarzewo, Puck, Rzucewo. Fotografii robiąc coraz mniej, coraz bardziej za to odczuwając obecność upiórów: zniechęcenia i przecucia, że trud okaże się daremny. Ot, los sportowca!

W Gdyni nie witano go kwiatami, ba, powrotu podróżnika nikt nie zauważył. A on uparcie szedł: od Oksywia wokół portu do kapitanatu, potem w lewo – wzdłuż nabrzeży (o ile się dało; a że właściwie się nie dawało, to już nie wina Grabskiego), obok Casina, Riwieri, dalej trasą, którą kilka miesięcy wcześniej pokonywali z Łucją. Przez Redłowo, Orłowo do Kolibek. Wreszcie: po siedmiu dniach wędrówki dotarł był do celu. Z bagażem fotografii, przemyśleń i z pomysłem na wspaniały album. Oraz z coraz bardziej niepokojącym pytaniem: jakiej odpowiedzi udzieli mu Łucja? Jak wszystkie kobiety była wszak sfinksem, tajemnicą – i cóż z tego, że poeci tak bardzo ową tajemniczość wychwalali? Niepewność, mówiąc szczerze, targała nim mocniej niż nadmorski wiatr.

Tak czy inaczej: wóz albo przewóz! Bo niby dlaczego miałyby odmówić?

## ROZDZIAŁ 22

### Nieszczęście

Tamtej nocy nie mogąc spać, grubo przed świtem zaczął rozpalać pod kożą. I z codziennie nawracającym poczuciem zdziwienia, że drewniany barak – i nie on jeden w okolicy – nie spłonął żadnego z jesiennych czy zimowych dni, albo, co gorsza, nocy. Miał też poczucie, że robi to na próżno. Ot, dla zajęcia myśli i rąk, bo zaraz i tak trzeba będzie wyjść, działać, a zanim zdąży wrócić, ciepło ulotni się przez nader liczne szpary. I rzeczywiście: gdy tylko na rozżarzone szczapki wrzucił pierwsze bryłki węgla, przyfrunął Włodek, starszy z chłopaków Kota.

– Wujek, wujek! – krzyczał na podwórku i w progu baraku. Aż wyjrzała od siebie Gierszewska. Na jej widok malec przypomniał sobie, że krzyczeć, zwracać na siebie uwagę stanowczo zakazał mu dziadek. Tyle że nazbyt przejęty był swą rolą sześćioletni posłaniec. Po chwili Krzysztof czytał:

„Ratuj, Krzysztt! (tak go niekiedy nazywała Hanka). ~~Ci zabiei~~ – domyślił się przekreślonych, zamazanych słów, a ona zaczęła od nowa: To się przecież porobiło, jak nas w Gdyni nie było. My przedwczoraj na noc wrócili z Jastarni. Poświadczom stamtąd gospodarze. Wtedy tamtych zabili (i tym razem słowo z jakiegoś powodu nie wymagało przekreślenia), dlatego ratuj, Krzysztt, bo Kostję posądzają i nam nie wierzą. Jego biją!”

Zaklął. Spojrzał na chłopaka.

– Pojeździlibyśmy autem, co?

Władkowi zaświeciły się oczy.

– Obiecuję ci, słowo honoru; rozumiesz, co to znaczy? – malec pokiwał głową. – Teraz odwiozę cię do domu, innego dnia pojeździmy dłużej. Nie bałeś się sam tu przybiec?.

Spod desek podłogi wyjął pieniądze. Domknął dolne drzwiczki pieca. Niech się chociaż wypali to, co się palić zaczęło.

Wysadził chłopaka u podnóża Budapesztu. Potem zamyślił się nad kierownicą.

To, że Kostek miał alibi, niekoniecznie wiele zmieniał. (Ale, ale: w Jastarni byli? Na przełomie lutego i marca? Cóż, cokolwiek ich tam zagnało – szczęśliwy to traf!). Bo jednak Kot pobił tamtych chłopaków. Bo nadawał się do gazet – jako przykład rozprawy władz z rozzuchwaloną bandyterką. Bo nie musiał zabijać sam – mogli uznać śledczy – dokończenie dzieła zlecając innym. Tak, tak, w komisariatach nie od dziś pracują lenie, którzy z radością chwytają nadarżające się okazje, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, mamy cię ptaszku, bez zbędnego wysiłku, a teraz pora już spijać słodką śmietankę sukcesu. Inaczej mówiąc: Kota mieli w rękę, Kotem wyjaśnić można było wszystko! Byle się tylko przyznał...

Inna rzecz – doskonale zdawał sobie sprawę Krzysztof – iż mając zeznania w sprawie pobicia, chłopcy w mundurach mogli się też dowiedzieć o nocnych wyprawach – tych z udziałem zamordowanych, ale i Kota, Wilczyńskiego oraz wielu innych. Na to również należało się przygotować.

Pojechał do Bączkowskiego. Ucałował ledwo obudzone Polę i Lolę. Widziały, że jest zdenerwowany. Dobrze mu tak, skoro i one smutne! W kuchni, czekając na przedsiębiorcę, zamówił szklanę mleka. Czyżby chory był?

– Panie Bączkowski – czekał długo, bo w niedzielę restaurator nie miał zwyczaju zrywać się o świcie – skieruj mnie pan do jakiegoś znajomego adwokata; a może masz pan kogoś w komisariacie policji?

Bączkowski niby nie znał, niby nikogo nie miał... Ale od słowa do słowa, ważąc wymierne zyski (proponował je Wilczyński) i potencjalne straty (tych bał się Bączkowski, w razie gdyby afera przybrała niespodziewany obrót), porozumieli się. Nie zwlekając, Krzysztof ruszył pod wskazany adres. Znów: powiedzieć trzeba było wiele, lecz przecież nie wszystko; i zapłacić – ale tak, by już na początku nie dać się ograbić. Wielka to był improwizacja. W imię przyjaźni.

Późnym popołudniem odnalazł w porcie Starego. Przekazał, gdzie i kiedy mają się z Hanką spotkać z prawnikiem.

Pozostawało czekać. A na głowie jeszcze Małecki! Zwyczajny Małecki, któremu nie wiedzieć co zaczęło się wydawać. Z początku Wilczyński zdecydował co prawda, że na spotkanie z nim nie pójdzie. Po cóż niby? Tamtego z pewnością poniosło, gdy podjął próbę szantażu. Lecz po namyśle Krzysztof zmienił zdanie. Tyle że i do spotkania u Grzegorzewskiego należało się przygotować.

W tym celu w poniedziałek po raz pierwszy pojawił się w restauracji tuż po jej otwarciu. Z miejsca biorąc na bok kelnera.

– Panie Jasiu – znali się, bo jak mogliby się nie znać, we wciąż niewielkiej Gdyni, kelnerzy z szoferami autodorożek. – Panie Jasiu, uważaj pan dokładnie. Będę tu po południu z jednym takim. Będziemy zamawiać to i owo. Sęk w tym, że jak zawołam pana i powiem: haberbusch, skup się pan, haberbusch, to pan dokładnie w minutę później, choćby się paliło albo się mieli wściec goście przy innych stolikach, pan przyniesiesz to piwo dokładnie...

– Jak dowiozą, panie Krzysztof – przerwał ku kelner. – Bo jeszcze na dziś nie dowieźli.

– Jak nie dowiozą – opanował się Wilczyński, choć przez chwilę pomyślał, że plan może i ma doskonały, lecz jego najślabszym ogniwem, jak zwykle, okazać się może człowiek – jak haberbuscha nie będzie, to też dokładnie po minucie przyjdiesz pan i powiesz, że nie ma. Zrozumiano? I wtedy, panie Jasiu...

Prościej przebiegu planowanych zdarzeń wytłumaczyć się nie dało. Ale i wykluczyć owego nieszczęsnego błędu czynnika ludzkiego. Dlatego znaczenie słów wzmocnił piątką. Dołożoną do dziesiątki, którą pierwotnie przeznaczył na



zapłatę dla kelnera.

Po południu, już w mroku i z deszczem za oknem – wyraźnie nadciągało ocieplenie – usiedli z Małeckim przy tym samym stoliku co przedwczoraj. Kelner pojawił się od razu, a więc nie zawiódł. Przynajmniej na razie.

– Może haberbusch? – zastanowił się Małecki.

Jasiu spanikował. Gdy spojrzął na Krzysztofa, miał w oczach bezradną pustkę i otchłań.

– Dla mnie nie, panie Jasiu – spróbował uspokoić go Krzysztof. Mówił powoli, bardzo powoli: – Dla mnie ha-ber-busch pó-źniej – zaakcentował na koniec.

Jasiu, zdaje się, zrozumiał. Przyjął zamówienie i oddalił się.

Przez chwilę Wilczyński z Małeckim mierzyli się spojrzeniami niczym wytrawni pokerzyści. Urzędnik jako pierwszy nie wytrzymał napięcia.

– Szanowny panie – zaczął. – Ja przemyślałem rzecz. Sądzę, że jesteśmy kwita. Nie mówmy więcej o pieniądzech.

– Nie może być! – zaprotestował Krzysztof, który i na taki obrót spraw był przygotowany.

– Ależ uważam – upierał się Małecki – iż nie jest mi pan nic winien, tak jak i ja nie jestem od tej pory niczego winien panu.

Wilczyński odczekał chwilę, by zacząć mówić tonem doskonale matowym:

– Świetnie, dziękuję panu! Nawet nie wiesz pan, jak bardzo! Mimo iż mój znajomy jutro już powinien zostać zwolniony – blefował. – Uważasz pan, pomyłka organów ścigania. Takie rzeczy się niestety zdarzają, nawet w kraju tak doskonałym, jak nasz. Chodzi jednak o sprawę pana Bączkowskiego, panie Małecki. I tylko o nią. Dla niego to istotne i dlatego chętnie przystał na propozycję...

Nie dokończył. Oto znów przyplłynął Jasiu.

– Haberbusch dla pana. A dla pana? – zapytał, stawiając przed Krzysztofem befszyk tatarski i wódkę.

– Panie Jasiu, gdy tylko mnie najdzie ochota, będziesz pan wiedział pierwszy. Rozumiemy się?

Rozumieli. Chyba.

– Wracając: Bączkowskiemu bardzo zależy.

Małecki krygował się jeszcze, miny robił.

– To wszak bardzo zasobny człowiek – drążył Wilczyński.

– Cóż więc mogę zrobić? – wreszcie zainteresował się Małecki. – I co będę z tego miał? – ściszył głos, rozglądając się po sali.

– Panie Jasiu – natychmiast zawołał Krzysztof. – Przekonał mnie pan. Haberbusch raz! Minutę poczekam, nie dłużej!

W myślach zaczął odliczać sekundy: jedna, druga, trzecia... Prócz tego zaś

tłumaczył:

– Nie musi pan robić wiele. Chodzi tylko o sprawdzone informacje: by pan Bączkowski zawsze zdążył się przygotować na podejmowane przez urzędy działania... – Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć... – Smacznie podają – wskazał na swój befsztyk. – Pan się nie skusisz, panie Małecki? – Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... Dryblas odmówił bez słowa. Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć... Dłużej nie trzeba było czekać: z wewnętrznej kieszeni kurtki Wilczyński wyjął kopertę. Obrócił ją w dłoniach, a na stół położył otwartą, tak by dobrze było widać krawędzie upchniętych banknotów. Małecki zrazu ciekawie rzucił okiem, lecz zaraz wyprostował się i cały zeszywniał.

– Co to, wypłata? – wyrecytował kelner. I zrobił to nawet lepiej niż mistrzowie scen: Jaracz czy Osterwa. Przynajmniej w oczach oddychającego z ulgą Krzysztofa.

– Przecież lubisz pan, panie Jasiu, zabawić się czasem u Bączkowskiego... Zaś pan szanowny z magistratu...

Małecki zerwał się, wkładając kapelusz.

– Zaczekaj pan! – podniósł się także Wilczyński. Znad pozostałych stolików zwróciło się w ich stronę kilkadziesiąt par oczu. („W to mi graj! – ucieszył się Krzysztof). – Panie Jasiu, nic pan nie widziałeś, daj pan słowo honoru!

– Co widziałem? Ja? – tej kwestii co prawda nie było w przygotowanym przez Krzysztofa scenariuszu, lecz Jasiu, okazało się, doskonale potrafił improwizować. – Niczego nie widziałem, mnie tu w ogóle nie było!

– Niech pan zaczeka, panie Małecki – uspokajał z kolei urzędnika Wilczyński. Nawet wyjął kapelusz z dłoni tamtego i położył na powrót na stole. – Coś pan taki nerwowy?

A koperta wciąż leżała.

Małecki przełykał ślinę. Krzysztof uniósł w górę kufel.

– Niech pan się uśmiechnie, bo pomyśli kto, że pokłóciliśmy się przy okazji jakichś nielegalnych interesów – przekonywał. Małecki, choć z ociąganiem, jednak chwycił szklane ucho. Tręcili się.

– Umowa stoi? – *pro forma* upewniał się Wilczyński, gdy rozmówca wreszcie sięgnął po kopertę, by schować ją do kieszeni. – Zgodnie zaś z wcześniejszą przypominam: dzisiaj to pan płaci!

Żegnali się niezbyt wylewnie. Małecki wyglądał na przestraszonego; albo inaczej: na kogoś, kogo dręczy wstyd. Krzysztof przeciwnie. Oto na oczach świadka wręczył urzędnikowi pieniądze. A to się przecież może, olaboga, pamiętaj pan, panie Małecki, to się może wydać w przyszłości...

Wtorki, jak i piątki, były w Gdyni dniami targowymi. Wilczyński od rana szukał w tłumie Starej. Dostrzegłszy, obserwował ją pewien czas z dystansu. Chciał wiedzieć, czy ktoś aby za nią nie podąży, nie śledzi jej. Wreszcie

zdecydował się zagaić. Aż straganiarka zrobiła wielkie oczy:

– Niech szanowna pani na mnie aby nie patrzy; czy wszystko w porządku? Stara oczywiście nie potrafiła się opanować. Spojrzała. Zaskoczona.

– Co się wydarzyło, co mówiła Hanka? – powtórzył łagodnie.

Chwilę przebierała w wymęczonych długą zimą warzywach.

– Pojechali z Hanką, policja, ma się rozumieć, i adwokat, do tej, jak jej, Jastarni. Mają puścić, jak się potwierdzi, że tam razem byli. Wypuszczą go, Krzysztof, wypuszczą? – obejrzała się. Wilczyński zdążył już odejść.

Na kolejny list nie czekał długo. Wręczyła mu go Pola, gdy autem stał na Portowej.

– Konstanty pobity – relacjonowała przejęta. Lecz i dręczyła ją inna sprawa. – Krzysztof, czy tam w kinie... to twoja narzeczona?

Nie potwierdził, nie zaprzeczył, niemniej uświadomił sobie niespodziewanie, że przeróżne figle, słowa, śmiechy i wspólne czytanie „Dziwów Życia – Kuryera Metapsychicznego” bliźniaczki traktowały nader serio.

„Co one sobie wyobrażają? – zaniepokoił się. – Że z obiema miałbym się żenić?”

Nieważne.

Żeby przeczytać list, odjechał. Sprawdzając i teraz, czy nikt nie ruszył jego śladem...

„Ostrożności nigdy za wiele...” – myślał.

Kot kaligrafował pismem gimnazjalisty:

„Primo: tamtych – nie ja. Owszem, dałem wycisk, ale nie więcej. Ktoś zadunecjował. Muszę wiedzieć, kto i o czym jeszcze wie... Może Tobie się uda – jeździsz, da los, a samo się nawinie. Bądź ostrożny, lecz jeśli się uda – sprawdź...”

W tym miejscu następowała rzeczowa i dokładna lista nazwisk i adresów: tych zabitych, ale i innych biorących udział w nocnych przemytniczych wyprawach; nad jej przygotowaniem Kot solidnie się musiał napracować.

„Secundo: dali w kość, ale wypuścili. Nie wierzą mi, ale nie mają innego tropu. Będą węszyć, grożą wysiedleniem. Do roboty muszę iść. Nie widzimy się czas jakiś.

Tertio: jeżeli tych dwóch to nie przypadek, bo dostali za to, że lubili dochodowe nocne wycieczki, to może i nam co grozi. Bądź czujny!

Post scriptum: bez mecenasa nie wyszedłbym, dziękuję; a list zniszcz czym prędzej”.

Konstanty pojawił się w Gdyni na długo przed Krzysztofem. Jeszcze w dwudziestym piątym, a może nawet dwudziestym czwartym. Pochodził z Odessy, jego ojciec był inżynierem. Rewolucja, której doświadczył jako nastolatek, zmieniła wszystko. Próbowali przedostać się do Polski. Siostra zaginęła, rodzice pomordowani. Więcej mówić nie chciał. Trafił wtedy do ciotki do Wilna,

lecz i tam dopędzili go Sowieci, więc znów uciekał: do Rygi i Rewala (z trudem ucząc się jego nowej nazwy: Tallin). U wylotu Zatoki Fińskiej zaczął pływać. Najpierw na kutrach, potem na frachtowcach. Aż pewnego razu, trafiając na dłuższy czas do Gdańska, wybrał się zobaczyć miejsce swego przeznaczenia. Słyszało się o nim co nieco wzdłuż i wszerz Bałtyku i nie były to głosy pełne zachwytów. Rzeczywiście: zobaczył wielkie nic. Parterowy budynek stacji kolejowej – dobrze, że murowany! Dalej wioskę jakich wiele, po lewej rozległe torfowiska, po prawej obsiane zbożem pola, dalej drogę – wzdłuż brzegu – na Oksywie. Całym portem było wtedy jedno jedyne drewniane molo wybiegające w morze zakrzywionym ramieniem. Zaś portowym zapleczem kilka budynków i zasypywane przez piaski wąskie tory kolejki. Niby tuż obok świeżo wykopane doły, niby nieustanny ruch furmanek zwożących szalunkowe drewno. Lecz o czym tu mówić? Zanim z tej piaskownicy zdąży coś wyrosnąć, minąć muszą lata, ba, dziesiątki lat – uznał. Obejrzał jeszcze Kurhaus, Casino właśnie powstawało, wdrapywać się na Kamienną – a przecież łąsą! – Górę zupełnie nie miał ochoty. Na pociąg wracał rozczarowany.

I może właśnie z tego powodu, zły na stracony czas, gdy w budyneczku stacyjki podchmielony gbur zaczepiał wulgarnie pewną nieśmiałą panienkę, Kot bez wahania wkroczył do akcji, żołnierskim słowem i czynem ucząc tamtego dobrych manier. Do wdzięcznej panienki – lecz dość szpetnawej, niestety – wkrótce dołączyła będąca jej przeciwieństwem kuzynka. Wspólnie jechali do Gdańska. Ta kuzynka wracała od tatusia, co to do Gdyni uciekł przed biedą (wielki mi tatuś – zdarzało się Kotu myśleć wiele lat później, gdy pił ze Starym gorzałę), i tak się na końcu złożyło, iż Kot obiecał, że napisze. Do tej kuzynki, rzecz jasna.

– Choćby do samego piekła napiszę – śmiał się tym głośniejszy, gdy wyszło na jaw, że panienki pochodzą właśnie z Piekła. Tego za Tczewem, gdzie Nogat odchodzi od Wisły. A potem rzeczywiście pisał. Pisał i pisał, co jakiś czas wracając na Pomorze, i tak się całym sobą rozpiął, że aż się z tego zrodził dzieciak, a potem pomysł, by osiaść na zboczach Budapesztu.

Niedługo potem poznali się z Wilczyńskim, a później musieli uciekać. Lecz to już zupełnie inna historia...

W sobotę wypogodziło się. Dzień wciąż pozostawał krótki, a wieczory wczesne i chłodne. Już po zmierzchu Wilczyński jechał właśnie z Orłowa w stronę dworca, kiedy zobaczył Łucję.

Biegła. W niedopiętym płaszczu, rozchełstana, roztrzęsiona. Gdy pęd i podmuch wiatru strąciły jej z głowy kapelusz, cofnęła się, kucnęła, a gdy na powrót obróciła głowę, w świetle reflektorów dostrzegł jej wykrzywioną w bólu twarz. Wyskoczył na ulicę, obiegł auto.

– Łucjo! – krzyknął. Znów rzuciła się do ucieczki. Dogonił ją, chwycił od tyłu za ramiona, wrywała się, łkając. – Łucjo, co się stało? Łucjo?!

Dłuższą chwilę nie potrafiła złapać oddechu.

– Nieszczęście! Nieszczęście!

– Powiedz spokojnie: co się stało? Jakie nieszczęście?

Spojrzała w górę ulicy. Siłą rzeczy podążył za jej wzrokiem. Pusto. W oddali neon Czarodziejki.

– Ze mną jesteś bezpieczna. Powiedz, co się stało!

– Nieszczęście – powtórzyła już bez hysterii w głosie, z rezygnacją i bólem.

Przytulił ją.

– Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc? Czy ktoś się skrzywdził? – pytał możliwie spokojnie, choć w środku na samą myśl, że coś złego mogło się jej przydarzyć w tym w dzikim, nieprzyjaznym mieście, poczuł w sobie zwierzę.

– Nie. To ja... – zawahała się. – To ja kogoś skrzywdziłam, o Boże, o Boże!

– Chodź, zawiozę cię do domu – zaproponował, niczego nie rozumiejąc.

– Nie, nie do domu! – krzyknęła błagalnie.

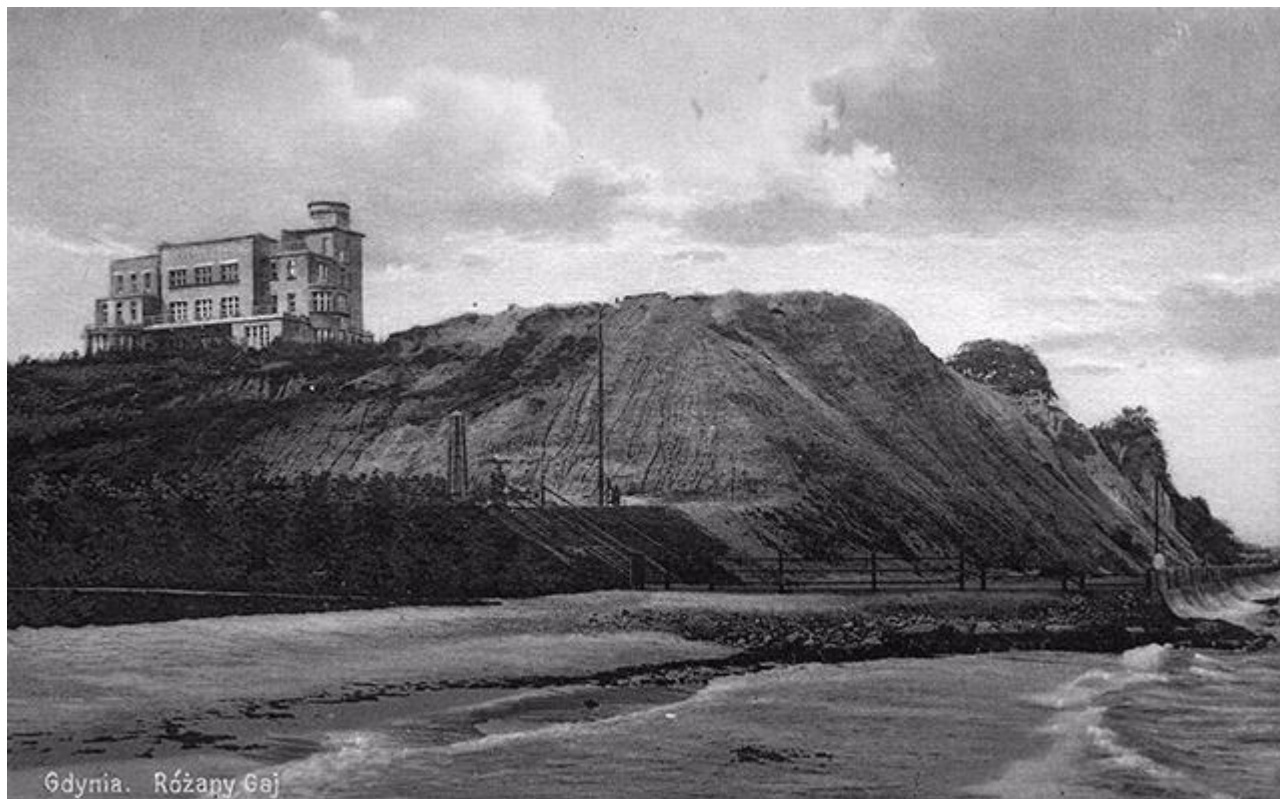
Lecz pozwoliła się prowadzić, wsiadła do auta, ruszył powoli. Kątem oka zarejestrował ruch przy zbiegu ulic, a gdy skręcali w prawo, w Chrobrego, zauważył, że i Łucja spogląda w stronę kina. Z szeroko otwartymi oczyma, z zastygłą w przerażeniu twarzą. Nie spieszył się, pojechał Starowiejską w stronę Rynku, potem Święto Jańską. Nie bardzo wiedząc, jaki stąd obrać kierunek, zatrzymał wóz naprzeciw kościoła.

– Łucjo, musisz wyjaśnić mi, co się stało, inaczej nie pomogę. A... chciałbym, jeżeli to możliwe.

Kręciła głową, przecząco. Otarła łzy.

– Zrobiłam coś strasznego – wyznała.

– Ty, Łucjo? – nie mógł uwierzyć.



*Hotel Różany Gaj w południowej części Kamiennej Góry.*

Rozejrzała się. A zaparkował akurat u bramy, gdzie mieściła się redakcja i drukarnia „Dziennika”.

– Nie stójmy tu! – zawołała. – Wszędzie, byle nie tu!

Chwilę wahał się, wreszcie energicznie zawrócił. Na tyle starczyło mu pomysłów. Nagle Gdynia wydała się mała, nieprzyjemna, nieprzyjazna, pełna, owszem, ale spelun, domów schadzek, roz hulana w tę ostatnią sobotę karnawału, lecz niczego niemająca do zaoferowania tym, którzy potrzebują wyciszenia, spokoju.

– Proszę, odwieź mnie na Kamienną Górę... Jeżeli można... – poprosiła w końcu, łagodnie i bezbrinnie.

– Wcześniej tu mieszkałam – wskazała willę, gdy pieli się wąską uliczką w górę. – Może pozwolą mi spędzić noc.

Ale kiedy zatrzymał się, nie wysiadała.

– Łucjo... – prosił jeszcze raz – Powiedz: co się stało?

Otarła oczy chusteczką, wzięła głęboki oddech. I nawet się uśmiechnęła.

A było tak:

Grabski nalegał na wyjście do kina. Tego dnia akurat nie miała ochoty, próbowała się wymówić. Jednak on wręcz błagał z nieznanym jej wcześniej szaleństwem w oczach; tym większym, im dłużej stawiała opór. Uległa. Usiedli pośrodku pierwszego rzędu. A miejsca obok były wolne i cały rząd za nimi – również. Speszyło to Łucję niezwykle, na co Grabski szeptał bez składu i ładu:

– To nic, to nic.

Kiedy kronika miała się ku końcowi – a była w niej mowa między innymi o otwarciu fabryki nawozów w Mościcach oraz o zatrzymaniu kasiarza Szpicbródki („dziwne, że to zapamiętałam, prawda?”), Grabski przeprosił łamiącym się głosem i znikł. Po chwili rozbłysły światła. Pianista zaczął grać (o Boże, nie wiedzieć czemu *Kiedy znów zakwitną białe bzy!*). Wtedy pod ekranem stanął Grabski. Z wielkim bukietem róż i w równie czerwonym krawacie („ale brzydki – pomyślałam – o tym krawacie!”). I jeszcze się zastanawiałam, gdzie go wcześniej chował: w kieszeni?).

– Kochana Łucjo... – zaczął bąkać, zaczął dukać. Tu i ówdzie za plecami Łucji ktoś się zaśmiał, inny odezwał plugawo, kobiety uciszały durniów.

– Kochana Łucjo, wielkim, niezrozumiałym wręcz zrzędzeniem losu było dla mnie...

Wstała – na sztywnym nogach – czuła, że czerwienieje, czuła, jak trzepoce jej serce. A Grabski kontynuował – patetycznie, retorycznie:

– Czyż był to jedynie przypadek?

Niewiele słyszała, niewiele rozumiała. Tyle że w jego oczach zapamiętała strach, bo chyba już wtedy zrozumiał, że nic nie potoczy się tak, jak to sobie wymarzył.

– Łucjo, w tej uroczystej chwili...

I jeszcze dyrektor kinoteatru przyglądał się wszystkiemu z boku: ach, jakże rozanielony, z jakże wielką ochotą każde słowo Grabskiego wspierając zachęcającymi gestami.

Aż wreszcie padło, co musiało paść:

– Łucjo, czy zostaniesz moją żoną?

Zapadła cisza. Absolutna cisza.

– Nie – szepnęła.

Co proszę?

Głośniej!

Lecz choć nikt nie dosłyszał, co dokładnie powiedziała, salą targnął dreszcz.

– O Boże! – krzyknęła wtedy, wznosząc dłoń ku czole.

Zaś Grabski zmałał w jednej chwili, skulił się, a bukiet w jego rękach momentalnie oklapł i zwiądł.

Buchnął rechot.

Tubalny!

O ja cię, człowieku, nie mogę!

Co robić?

Uciekła.

I gonił ją ten śmiech – szyderczy i okrutny.

– Ale jeszcze – tłumaczyła teraz, patrząc na Krzysztofa – jeszcze, głupia, miałam czas, żeby z szatni zabrać płaszcz! Prawda, że to niemądre?

Drgnął. Do tej pory słuchał bez ruchu, bał się odetchnąć, by Łucji nie spłoszyć. Lecz wreszcie nie mógł się powstrzymać, drgnął, nawet nie cały, drgnęły mu kąciki ust, wargi, błysnęły radośnie oczy.

I wtedy ona też roześmiała się: dźwięcznie, lekko, perliście.

– Co ja najlepszego zrobiłam?

– Bardzo dobrze, uważam, zrobiłaś. To dopiero byłoby niemądre: wybiec bez płaszcza w taką pogodę!

– Nie żartuj, proszę!

Najdelikatniej jak mógł położył palce na jej palcach.

– Przestraszyłaś mnie, Łucjo. Bardzo mnie przestraszyłaś... Mówiąc o nieszczęściu.

– Bo to jest nieszczęście: Zwłaszcza dla... niego!

– Tak. Dla niego z pewnością.

– Pójdę już.

– A jeśli cię nie przyjmą? Poczekam kilka minut, dobrze?

Otworzyła furtkę, wbiegła po schodach. Jemu chciało się śpiewać.

Zaś gdy już zjeżdżał, rozpędzony, ku owej namiastce miasta, na którą narzekał jeszcze pół godziny wcześniej, wydała mu się owa Gdynia naraz zachwycająca. Kraina cudów, istna czarodziejka!





MAJ

1930

## ROZDZIAŁ 23

### Prosty człowiek

Prawą nogę przerzucił przez żeliwną burtę wanny. Dłoń trzymał na obolałym czole, kciuk na pulsującej skroni. Żałował, iż przed wejściem do wanny nie zgasił był światła; jaskrawy blask niczym ręczny świder przewiercał mózg do głębi. Ależ było wczoraj upojnie, jakże huczne obchody 3 maja!

Wcześniej, bo w czwartek, był świadkiem pierwszomajowej demonstracji robotniczej. Ponury tłum przemaszerował wtedy ulicami miasta, by dotrzeć do kolonii rybackiej przy ulicy Nadbrzeżnej. Czyli tam, gdzie mieszkali ci wszyscy Konkelowie, Detlaffowie, Pokrywkwowie. Rybacy. Sól tej ziemi, choć bez pól – inaczej niż ich sąsiedzi nieco z głębi łądu. Co więcej, wielka budowa nie dość, że tylko tamtym dała się wzbogacić, to jeszcze przeorała brzeg, z którego od dziesięcioleci wypływali po dorsze, śledzie czy węgorze. Więc znikły dawne osiedla niskich chałup. Szczęście, że powstała rzeczona kolonia. Długi, szeregowy dwukondygnacyjny budynek dla kilkunastu rodzin.

Ale i dziś to nie do nich zwracali się mówcy. Znow nie do nich, oni jak zwykle stanowili jedynie tło.

– W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym zjazd delegatów robotników z różnych krajów uchwalił na znak jedności międzynarodowej mas pracujących święto 1 maja! – przypominał pierwszy z agitatorów. Drugi dodawał: – Polska jest krajem kapitalistycznym o najsłabszych podstawach. Płace robotników stoją na ostatnim miejscu w Europie. Zarobki młodzieży stanowią trzydzieści procent zarobków starych. Wzrasta bezrobocie młodzieży. Stabilizacja jest czyniona kosztem silniejszego wyzysku mas pracujących. Trzydzieści tysięcy włókniarzy zwolniono ostatnio w Łodzi!

– Korzystając z nędzy i politycznego rozbicia nas, robotników – znow zmienił się mówca, lecz nie zmienił się ton przemowy – burżuazja, poprzez rządy marszałka Piłsudskiego, podjęła skoncentrowaną ofensywę przeciwko nikłym zdobyczom socjalnym proletariatu. Chce rządzić bez kontroli, chce oddać kraj na łup klikii awanturniczo-pułkownikowskiej, na łup zwyrodniałego obszarnictwa. Polska faszystowska, Polska pułkowników nie ma innego wyjścia prócz oddania się pod kontrolę i komendę kapitału zagranicznego. Żądamy politycznej wolności dla ludzi pracy! Rozpuszczenia sejmu i rozpisania nowych wyborów. Prawa samostanowienia dla wszystkich mniejszości narodowych! Bezpłatnych uniwersytetów! Świeckiego szkolnictwa! Rozbudowy ustawodawstwa społecznego!

Brawa. Po każdym z wykrzykników brawa. Jednak niezbyt burzliwe. Jakby podszyte strachem lub pozbawione wiary.

– Dobrze mówią! – poszukał tymczasem wspólnoty młodzieniec stojący w sąsiedztwie Krzysztofa.

– Ogólniki – sucho skomentował inny, na oko pięćdziesięcioletni.

– Trzeba mobilizować! – nie dawał za wygraną młodzian.

– Z zewnątrz ich przysyłają – skinął w stronę mównicy kolejny ze stojących. – O Gdyni powinni mówić, a nie o pułkownikach.

– Masz pan pracę?

– Nie mam. Inaczej by mnie tu nie było.

– Cały problem w tym, że nie dołączają ci, co pracę mają. Każdy sobie... – gorączkował się młodzieniec.

Aż wreszcie znienacka wtrącił ktoś z tyłu:

– Panowie, uwaga na komunistycznych prowokatorów!

Słusznie, prowokatorzy zawsze niebezpieczni.

Ogień wiecu tlił się jeszcze przez chwilę. Po czym zgasł. Grupa zadowolonych z bezczynności policjantów przyglądała się wszystkiemu z oddali.

Odchodząc, nie potrafił odpędzić wspomnień. Wróciły z przemożną siłą.

Oto listopad roku dwudziestego trzeciego. Gdy za dolara płacić trzeba było nie dwadzieścia kilka tysięcy – jak jeszcze pół roku wcześniej – lecz nagle aż dwa miliony marek polskich. Gdy aby ratować budżet, zlikwidowano dopłaty zimowe dla najbardziej potrzebujących. Gdy rosło bezrobocie. Rządził Chjenopiast: endecja, chadecja i PSL Witosa. Strajkowano od dawna, w całym kraju w ponad tysiąc dwustu miejscach, aż w końcu partia socjalistyczna i związki zawodowe zapowiedziały protest generalny. Bo oto rząd zmobilizował kolejarzy – chcących dołączyć do strajkujących – a w razie dezercji groził im sądami doraźnymi. Miarka się przebrała – od tej pory wydarzenia nabrały tempa.

Kraków, poniedziałek 5 listopada. Wojewoda zakazuje zgromadzeń. Mimo to odbywa się wielki wiec. W odpowiedzi na ulice wychodzi wojsko: kawaleria i samochody pancerne. Szarżują, bijąc płazem (ale przecież szablami!). Robotnicy odpierają atak – zwłaszcza że rezerwiści, często będący zwolennikami protestujących, odmawiają wzięcia udziału w walkach; dwudziestu policjantów zostaje rannych. I rzecz, jeszcze, rozchodzi się po kościach.

Wtorek. Kolejne zgromadzenie zwołane na ulicę Dunajewskiego. Tę blokują policyjne kordony. W odwodzie czai się ściągnięta z Bochni piechota. Na szczęście znów nie wszyscy żołnierze wykonują rozkaz, nie wszyscy na karabiny nakładają bagnety.

Wtem! Rozpędzony wóz z kapustą rozbija policyjny pierścień. Demonstranci rzucają się rozbijać żołnierzy. Wokół nie brakuje gapiów, kibiców, ciekawskich. Padają strzały. Chaotyczne. I padają pierwsze ofiary. Zaczyna się bitwa, regularna

i krwawa. Policja musi się bronić, barykaduje w pobliskich kamienicach. W sukurs przychodzi jej konnica – tyle że ostrzeliwana ze zdobycznej broni i przewracająca się na specjalnie w tym celu polanym wodą bruku. Tłum bierze jeńców, zamyka ich w piwnicach i przechodzi do kontrataku. Ha, do tego wszystkiego gapie, spragnieni emocji widzowie – a jest ich wciąż multum, stoją, patrzą, komentują, jak na zawodach hippicznych! – biorą kamienie w ręce. Walki przenoszą się w stronę rynku.

Dopiero noc przynosi rozejm. Lecz wciąż część miasta pozostaje w rękach rewolucjonistów. Gorączkowe rozmowy, telefony, negocjacje. Bo już zginęło czternastu żołnierzy, piętnastu robotników i co najmniej trzy osoby przypadkowe. Nie licząc setek rannych.

Nazajutrz rząd idzie na ustępstwa. W odpowiedzi – rozbrojenie (więc nawet wzięty przez tłum z wielkim entuzjazmem wóz pancerny zostaje oddany w ręce pokonanych).

I wnet rozpoczyna się rządowa nagonka: na tych, co się ponoć w tej sytuacji wysługiwali Sowietaom. Na tych, co ręce podnieśli na mundur!

Dwudziestosześcioletni Wilczyński jeździł wtedy ambulansem. I krwi zobaczył równie wiele co w niejednej wojennej potyczce. Rozerwane uda, przestrzelone policzki, podziurawione plecy. Co gorsza, zobaczył, jak strzela się do tłumu. Jak się go boi i nienawidzi, gdy w grę wchodzi władza.

W roku wybuchu Wielkiej Wojny nie został zmobilizowany. Lecz wiedział, czego się spodziewać najpóźniej za kilkanaście miesięcy. Dlatego z entuzjazmem zaczerpniętym od ojca (aczkolwiek wbrew jego woli) i na wieść o rosyjskiej kontrofensywie wyruszył do Krakowa. Stamtąd zaś na Węgry – z 3. Pułkiem Legionów – i na wschód – gdzie pod Mołotkowem zderzyli się z piętnastoma tysiącami Rosjan.

„Hej, Mołotków zaszczytny  
I pamiętny, i miły,  
Tam to Legion nasz bitny  
Na tysięczne szedł siły”.

To była rzeź, dwustu kolegów zostało zabitych, trzystu rannych, kilkuset wziętych do niewoli. Krzysztof przetrwał. Niestety tylko po to, by w kilka tygodni później w jednej z potyczek, pod Rafajłową, poczuć ogień w prawym barku i paść. Kula na szczęście nie przebiła płuca. Niemniej długo dochodził do siebie. Ostatecznie znów w Krakowie.

Lecz przecież walczył, choć krótko, w Legionach! Pod generałem Trzaską-Durskim, pod kapitanem Rojem, pod Hallerem!

I nigdy później – głupi! – nie próbował tego faktu wykorzystać. Nie chwycił historii jak żebrak poły płaszcz, nie uczeplił się jej, co czyniło wielu innych. Poszedł własną drogą.

Mniejsza zresztą o wojnę, nie było w końcu tak źle. Ale to właśnie w Krakowie roku dwudziestego trzeciego stracił resztki entuzjazmu (zaś złudzenia po zamachu majowym – gdy znów strzelał swój do swego, tym razem Marszałek do obalanego rządu; w słusznej niby wierze, ale wciąż: swój do swego!).

I właśnie dlatego – dlatego, że wróciły wspomnienia – gdy wieczorem pierwszego maja spotkał się z Łucją, czuł się przygnębiony. Zaproponował niedzielną wycieczkę – gdzieś na Kaszuby, do lasów, może do coraz bardziej popularnych Charzykowych?

– Nie byłeś tam nigdy, Łucjo? – dziwił się.

Nie była.

– Mnie również się nie zdarzyło. Tym lepiej: wybierzmy się wspólnie!

– W tę niedzielę powinnam odwiedzić panią Marię – wyjaśniła cichutko.

– W Orłowie? – domyślił się. I natychmiast zainteresował: – Kim jest dla ciebie ta kobieta?

– Jej syn bardzo mi mógł. Pan Jan... – zawahała się.

Z jakiegoś powodu i pan Jan, i pani Maria zwykli byli prosić, by o nich nie mówić. „Nie chciałbym, aby ktoś, komu może nie w smak moje rozległe interesy, wiedział, gdzie mieszka matka – naciskał pan Jan. – Będiesz pamiętać, Łucjo?”

No i masz ci los, wymusnęło się jej. Lecz z drugiej strony: cóż to mogła być za tajemnica?

– Opowiesz mi o tym pewnego dnia?

– O panu Janie? – przestraszyła się.

– O sobie – roześmiał się Krzysztof. – O sobie!

Swoją drogą, nigdy wcześniej nie pytał jej o przeszłość. A i o swojej mówił niechętnie.

– Opowiem. Ale wybacz, że nie w tę niedzielę... – Tym bardziej narastało w nim to niewypowiedziane „coś”, głęboki smutek, duszona wściekłość.

Mimo to jeździł do późna, bo tak umówili się z Kotem. Podobnie w piątek. I nawet, gdy odstawił już automobil, nie dał się skusić głosowi wewnętrznemu: choćby na jednego, na maleńką pięćdziesiątkę... Nie!

Aż nadszedł 3 maja. Tym razem obchodom przyglądał się wspólnie z Łucją: mundurom, odświętnym strojom kaszubskim, zwisającym smętnie sztandarom i usztywnionym feretronom. Pochodowi organizacji. Między innymi Sokołom i Legionistom Mocarstwowej Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Skądś przyplątała się fraza:

„Gdy zaczną na tysięczną modłę

Ojczyznę szarpać deklinacją...”

Ach tak! To poeta Tuwim z wiersza *Do prostego człowieka*. Którym zrodził wielką dyskusję: o naiwnym pacyfizmie i tchórzliwym defetyzmie. Zwłaszcza gdy za sąsiada ma się Sowiety.

A szło to między innymi tak:  
„Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin  
Pobłogosławić twój karabin,  
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,  
Że za ojczyznę – bić się trzeba;  
Wiedz, że to bujda, granda zwykła...”  
I jak, jak dalej szło?  
„Że im gdzieś nafta z ziemi sikła...”  
O, tak! Tak to się właśnie rymowało!

Tymczasem zaczęły się i modły. Oraz towarzyszące im pienia chóru Bałtyk z Oksywia.

- Pięknie śpiewasz – zauważył, gdy dołączyła swym głosem do innych.
- Nieprawda... – zawstydziła się.

Obiad zjedli w hotelu Skwiercza. Zdążyła polubić te chwile: gdy zamawiał z wielkim znanstwem i z równie wielką przyjemnością smakował. Gdy się żegnali, powiedziała:

- Miłej niedzieli, choć wiem, że będziesz jeździć.
- Może zawieźć cię i przyjechać znów, gdy będziesz wracać? – zaproponował.
- Naprawdę nie trzeba.
- Skoro tak mówisz...

Co tu kryć, odmawiając, była pewna, że jednak będzie czekał. Taki już jest – uważała.

A gdy wreszcie znikła za zamkniętymi drzwiami klatki schodowej, Krzysztof obrócił się na pięcie i prędko poszedł przed siebie. Było niedługo po południu.

Gdy obudził się ponad dwadzieścia cztery godziny później, z początku nie wiedział, gdzie jest. Pamiętał za to, iż z jakiegoś powodu odwiedził Różany Gaj.

Powoli zwlekł się z łóżka, podszedł do okna. Na wprost – zadbane skwer, za nim plaża i niespokojne morze. Różany Gaj, owszem, w zasięgu wzroku: królował, gdy spojrzeć w lewo, nad stromym, południowym stokiem Kamiennej Góry. „Dom Zdrojowy – domyślił się. – Jestem w Domu Zdrojowym”. Omiótł spojrzeniem pokój. W kieszeni porzuconej na dywanie kurtki znalazł kwit. Na całe sześć złotych – za wzięcie łóżka na noc.

- Fiu, fiu – zagwizdał. W skroniach pulsowała nicość.

Dom Zdrojowy mieścił się u wylotu alei Kasyna. Aleja ta nie prowadziła zatem do Casina – gdyż to leżało w centrum miasta, po północnej stronie Góry. Z kolei niedawno otwartego Domu Zdrojowego nie należało mylić z Domem Kuracyjnym; i to ani tym Bączkowskiego, leżącym w sąsiedztwie Casina, ani tym drugim – Domem Kuracyjnym w Orłowie.

Ha, ileż to kłopotów sprawiali sobie pasażerowie autodorożek niepotrafiący zorientować się w owym galimatiasie nazw, a tym samym nie podając jednoznacznie celu swej podróży! Gdy myśląc o Zdrojowym, mówili o Kuracyjnym, lecz zapominali o słowie kluczu – Orłowo – przez co, nim wreszcie trafiali we właściwe miejsce, zwiedzać musieli bez mała całe miasto. Nie za darmo, rzecz prosta, brak precyzji potrafił słono kosztować.

Otworzył okno. Dzień był słoneczny, rozświetlony i wietrzny. Dom rzucał długi cień.

– Już dawno po południu – zdziwił się.

– Panie kochany, to co ja mam zrobić? – usłyszał znienacka. Głos dochodzić musiał z numeru obok. – Panie kochany, on do mnie mówi, co ja mam zrobić. Kiedy kupowałem, kryzysu nie było. Kredyt daliście od razu. Tu będzie główna ulica, mówiliście, on mówi, pan zobaczy, ile to będzie warte...

Telefon! Ten ktoś rozmawia przez telefon!

– Niech pan odsprzeda, ja mu mówię, i szlus! Jest niedziela, a pan mnie nachodzi w wolnej chwili. To się obraził, wyobraź sobie. Odsprzeda, pyta, chętnie odsprzedam, lecz za ile? Mnie interes bankrutuje, ja w tej sytuacji nie dam rady się wybudować...

Nagle: cisza. Poprzedzona cichym, tępym klaśnięciem.

– Zamknął okno – zrozumiał Krzysztof. I pojął też, że chodziło o parcelę – być może przy Święto Jańskiej – zakupioną jeszcze przed wybuchem kryzysu.

– Kryzys, spekulacje... Może i to dałoby się wykorzystać? – zastanowił się. Lecz próżny trud, we łbie waliło. Postanowił nie spieszyć się, wziąć kąpiel.

W wannie przypomniał sobie więcej. Twarze, między innymi Kota, rozmowę o Poli, Małeckiego... Ależ tak, Małeckiego! „Piłem z nim? Niemożliwe!” A jednak – nie mogło być inaczej. „Ależ blamaż, cóż za błąd! O czym mogliśmy rozmawiać? Jak głośno? Przy kim?”

– Pola... Pola... – zajęczało coś nagle w głębi duszy. Poczul strach. Lecz nie pamiętał, z jakiego powodu.

Przydusił palcami nozdrza i cały zanurzył się w ciepłej, słodkiej wodzie. Jakkolwiek w Domu Zdrojowym były też łazienki z dwudziestoma sześcioma wannami, gdzie kąpiel brało się w podgrzewanej wodzie morskiej, gościom pokoiów hotelowych oszczędzono tej nowoczesnej przyjemności.

Poczul się naraz jak w mydlanej bańce: gdzieś, skądś dochodziły rurami zniekształcone odgłosy. Grała muzyka. Wynurzył się.

Powinien był dziś jeździć. Bez dwóch zdań. Jego nieregularne przerwy w pracy coraz mniej podobały się Szemiotom. „Inna rzecz – pomyślał – że powinny zostać wprowadzone przepisy zabraniające jazdy po alkoholu. Nawet na drugi dzień” – uznał, gdyż wciąż czuł się pijany.

„Jestem burżujem – skonstatował. – Jeszcze wczoraj gotów byłem przejąć



się losem robotników, a przecież jestem burżujem. I mniejsza o Szemiotów, ich nerwy i auto. Mówiąc precyzyjnie: jestem parweniuszem próbującym dołączyć do burżujstwa na skróty...”

Pieniądzy nigdy nie miał dużo mniej, niż do życia potrzebował – a i wtedy sobie radził, nie wymagając od losu luksusów. A o kamienicy w Gdyni mówili z Kotem dla śmiechu! Inna rzecz, że z czasem polubił je – pieniądze – mieć. Na co dzień, na zwykłe wydatki, proste przyjemności. To się zaczęło wtedy, gdy wespół z Kotkowskim wylawiali na przybrzeżnych wodach Helsinek zatopione beczki ze spirytusem. Te beczki obciążane były workami z solą i tak wyrzucane za burtę przez statki nawet z odległego Gdańska, Gdyni, Stettina czy Rostoku. Gdy zaś sól rozpuszczała się, po czasie wystarczającym owym statkom na odpłynięcie, pojawiali się oni – niby to kutrem rybackim. Piękne to były i nader emocjonujące czasy.

– Swoją drogą – filozofował – mit pucybuta ciężką pracą dochodzącego do milionów jest z gruntu fałszywy. Pucybut potrzebuje szczęścia! Tego, by przy jego szczotkach i paście zatrzymał się ciężko chory i umierający bez spadkobierców milioner – o, wtedy proszę bardzo! Wtedy i kamienicę postawić łatwo.

Ciepła woda i rozkołysane myśli sprawiły, iż nagle poczuł się z siebie zadowolony. Gdyby aż tak nie bolała go głowa.

„Napić się – to jest myśl!”

Tylko co z tą Polą? Jej zbolałą twarz widział niczym przez mgłę.

– Piłem z Małeckim. To blamaż! – skrzywił się i znów schował pod wodę. Tym razem już na siebie zły.

I wtedy otworzyły się drzwi i ktoś wpadł z impetem do łazienki. Krzysztof nie zdążył mu się przyjrzeć, gdy poczuł cios w skroń. I zaraz silne ręce przytrzymały mu głowę pod wodą. Szarpał się, próbował wyrwać, zakrztusił. Wreszcie wyskoczył na powierzchnię! Lecz znów cios i znów to samo – topienie. Tym razem z głową pomiędzy kolanami, z wykręconymi na plecy rękoma i lufą – wyczuł ją bez cienia wątpliwości – na potylicy.

– Łi goć ju, mister Wilczyński. Mamy cię! Nie krzycz, nie trzeba krzyczeć. Promis, że nie będziesz. Obiecujesz? Teraz wstawaj end rimemba: ju mast bi klewer!

Gdy posłuchał, raz-dwa powalili go na podłogę i zakneblowali jego własną koszulą. Potem zawlekli za włosy do pokoju. Usadzili i przywiązali do krzesła. Ociekał wodą i rozrzedzoną w niej krwią z rozbitego łuku brwiowego. Jeden z napastników stanął przy drzwiach. Drugi rozwalił się na łóżku i w milczeniu obserwował oddychającego z trudem Wilczyńskiego.

## ROZDZIAŁ 24

### Lilith

Przeżywał katusze dla innych nie do pojęcia. Tak przynajmniej uważał.

Najpierw nie potrafił ochłonać. Wyprowadzony z sali kinowej zamarł na krześle w pokoju właściciela i dyrektora przybytku. Miał oczy szeroko otwarte i rozdziawione usta. Nie słyszał komentarzy:

- Wzięło go!
- Kogo by nie wzięło?!
- A to dopiero dziewczynisko!
- Halo, panie Grabski! Halo, słyszy mnie pan?

Zerwał się, wybiegł. Dyrektor pogonił za nim, w locie chwytając płaszcz Grabskiego i wymachując nim niczym sztandarem.

– Należą się dodatkowe dwa złote, panie Grabski, gdyż zamówiłem fotografa.

Zapłacił odruchowo. Mimo iż o robieniu zdjęć nie było wcale mowy, że była to samowolna inicjatywa właściciela kinoteatru (liczącego na to, iż odpowiednio nagłośnione publiczne oświadczyzny staną się kolejnym elementem nieustannej kampanii reklamowej, z jakich słynęła Czarodziejka). Mniejsza z tym, mniejsza o pieniądze.

Ulicą przejechała autodorożka, skręcając w Chrobrego. Poza tym cisza, pusto.

- Panie Zieliński, widział pan, co się stało? – zapytał półprzytomnie.
- Widziałem, widziałem, a to dziewczynisko!
- Muszę iść, muszę biec, pan wybacz...

I dopiero teraz, maszerując i wdychając suche, mroźne powietrze, zdołał nieco ochłonać. Dopiero teraz zaczął myśleć: wspominając każdą z chwil, obraz po obrazie, niczym w trakcie przeglądania albumu z fotografiami.

– Ależ głupi byłem, ależ naiwny! W jakże niezręcznej sytuacji postawiłem Łucję! Jakąż niedorzecznością było myśleć, iż uszczęśliwię ją, zmieniając tak intymną chwilę w cyrk na oczach gawiedzi! Na szczęście wszystko da się naprawić. Wszystko! Nie może być inaczej... Owszem, uciekła... zawstydzona. Tak jest: zawstydzona! I stąd owe: nie. Bo z czego innego?

Nie wiedzieć kiedy, stanął pod jej drzwiami. Pukał. Nasłuchiwał. Nacisnął dzwonek. Jeszcze raz: dłużej. Po czym niezrażony brakiem reakcji, szeptał:

– Łucjo, wybacz. Łucjo, słyszysz mnie? Łucjo, ja się zgadzam, że to wszystko nie wyglądało tak, jak powinno, lecz... Ja myślałem... Ja chciałem...

Usiadł na schodach.

I znów się zerwał, znów do dzwonka. Tym razem elektryczny jazgot trwał nieprzerwanie przez kilkadziesiąt sekund. Aż zaszumiało za sąsiedzkimi drzwiami.

Aż otworzyły się inne – piętro wyżej.

– Łucjo! – krzyknął w rozpacz. – Ja ciebie przepraszam!

Wreszcie zbiegł, dudniąc po stopniach.

– Kto widział takie rzeczy! – nie dogonił go komentarz.

– Po nocy, pani sobie wyobraża?

Na ulicy, gdy uniósł głowę, by spojrzeć w okna mieszkania Łucji, wydało mu się, iż właśnie zgasło w nim światło.

– A więc to tak? A więc jest tam, bidulka, przerażona... – ponownie ruszył ku bramie.

Lecz oto stanął mu na drodze postawny mężczyzna. I nijak nie chciał wpuścić na schody.

– Pan szanowny, przepraszam, do kogo?

– Do... – zawahał się Grabski – narzeczonej! Puszczaj pan!

– Ej, młodzieńcze! Byłeś, pukaleś, dzwoniłeś! Coś narzeczonej nie bardzo chce cię widzieć... A po prawdzie: nie sądzę, aby panna Łucja była w tej chwili w domu.

– Nie puści mnie pan?

– Nie puszczę. I policję zawołałem – co mówiąc, mężczyzna zaczął rozglądać się wokół, poszukując wzrokiem czy to policjantów pieszych, czy też jadących samochodem.

Grabski odsunął się od ściany budynku, zadarł głowę:

– Łucjo, przepraszam! Łucjo!

– Robi pan z siebie błazna, młody człowieku. A dziewczynie przynosi wstyd. Na jej miejscu już bym na pana nie spojrział.

Prawda. Sama prawda. Opamiętał się.

– Przepraszam – bąknął. I jeszcze chwilę stał, a w oknach kamienicy, jak wysoka i szeroka, pojawiały się głowy. Nie było na co czekać. Pobiegł. Nie wiedzieć dokąd.

Na rogu Starowiejskiej dopadła go bezradność.

– Może by na wódkę? – zastanowił się. – Upić się? Czy warto?

Jakiś czas wałęsał się bez celu, wreszcie wstąpił do Piątka. Tłok niemożliwy, stanął więc przy szynkwasiu. Wódki zamówił od razu dwie. I śledzia w oliwie (bo wcześniej przez cały dzień – przejęty tym, co miało się wydarzyć – nie przełknął dosłownie niczego).

Pierwsza pięćdziesiątka wykrzywiła mu twarz, przepaliła przełyk, skręciła kiszki. Łapczywie rzucił się na rybę.

– Jeszcze befsztyk! – poprosił.

Zjadł, wypił, zapłacił, wyszedł.

– Nie takie to straszne – podsumował – gdy umie się wyjść w porę.

A był to jego pierwszy raz: gdy sam z siebie, bez towarzystwa, wstąpił na

kielicha. – Nie takie to straszne! – powtórzył.

Poza wszystkim jego umysł ogarnęła jasność. Jeszcze raz przemaszerował pod oknami Łucji. Obszedł też pocztę – i tam zadzierał głowę, by szukać w oknach światła. Wreszcie ruszył pod Kamienną Górę.

Było grubo po jedenastej, kiedy dotarł pod dom Miklaszewskich. Ciągące stadami chmury co rusz przykrywały błyszczący niemal w pełni księżyc. Wiatr nagiął cisy w ogrodzie. Prócz tego bezruch i cisza. Objął palcami poskręcane w spirale pręty ogrodzenia.

„Przeskoczyć...?” – do tak sformułowanej myśli niemal się uśmiechnął. Lecz nie, tego byłoby za wiele. A jednak: poczuł pewność, że Łucja tam jest – w bezpiecznie uspiętej willi. – Nic tu o tej porze po mnie – uznał uspokojony.

Szumiąc i klekocząc, w dół ulicy potoczyła się autodorożka. Żałował, że nie zdążył jej zatrzymać.

Plan na kolejne dni miał prosty: dać, owszem, Łucji ochłonąć, ale też porozmawiać z nią czym prędzej. Wyjaśnić, przeprosić, usłyszeć słodkie: tak!

Sęk w tym, że ona rozmawiać nie chciała.

Czekał przed urzędem. Z kwiatami – jak wtedy, na scenie. Ów widok dziewczynę aż zmroził.

– Łucjo... – podbiegł.

– Przepraszam – odwróciła głowę – spieszę się.

– Ale Łucjo, dlaczego?!

Nie gonił jej nawet.

Ponownie spróbował – choć już bez kwiatów – dnia następnego:

– Łucjo!

– Adam... – jęknęła.

– Ja wiem, że wszystko zrobiłem źle, ja wiem...

A ona czuła się winna.

– Porozmawiajmy, błagam!

– Może w Casinie? – zaproponował, dostrzegłszy bezradne przyzwolenie.

Gdy szli, powiedziała:

– Niepotrzebnie, Adam, krzyczałeś na schodach.

– Tak, niepotrzebnie – przyznał skwapliwie. I poczuł, przez chwilę, że oto wszystko zostało już wyjaśnione, ba, nic więcej się nie stało, niepotrzebnie krzyczał na schodach. Ot co!

Usiedli. Wokół zakręcił się kelner. Nieważne.

– Łucjo, ja wiem, że to wszystko było niepotrzebnie: ludzie, miejsce, wszystko... – mówił gorączkowo, nachylając się ku niej.

– Adam, nie tylko o to chodzi.

Jakby jej nie słyszał, jakby usłyszeć nie chciał.

– Puśćmy zatem w niepamięć ów incydent, ja ciebie o to proszę, przecież

musisz mieć w sobie choć tyle wyrozumiałości...

– Ja naprawdę nie mam ochoty pamiętać!

– Tak? – aż się poderwał z krzesła.

– Tak, ale...

– Ale? – teraz z kolei zamarł, wsparty na wyprostowanych rękach.

– Odpowiedź na twoje pytanie tak czy inaczej brzmi: nie!

Z początku zdawał się nie rozumieć: Na jakie pytanie? Jaka odpowiedź?

Lecz wreszcie do niego dotarło:

– Dlaczego? – jęknął.

Ona zaś zupełnie nie wiedziała, skąd wzięła siłę, by tak jednoznacznie i stanowczo zakończyć trudną i niepotrzebną rozmowę.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Adam. Nie i już! – wstała. – Przepraszam. Za wszystko! Za może niepotrzebne, źle przez ciebie rozumiane gesty i słowa... Przepraszam!

Nie potrafiła wytrzymać jego spojrzenia.

Po czym biegnąc do domu, płakała całą drogę.

– Cóż mi zrobił...? – aż zanosiła się łkaniem. – Co złego uczynił, że tak pięknie mu odpłaciłam?

Kolejne dni stały się koszmarem. Zamknięty w biurze zniecierpliwiał całą tę poetykę zadowolenia, z jaką musiał obcować co dzień jako autor ogłoszeń: wspaniale, uroczo, solidnie, z uśmiechem... Bo nic nie było uroczo, nic nie było wspaniale, wszystko źle, do cholery, wszystko nie tak! – z wściekłości zgrzytał zębami albo zaciskał do bólu szczękę. I wyzywał nieobecnych interlokutorów i wyzywał się na składaczach czcionek. Prócz tego planował zemstę.

O, tak – już się widział w wianuszkach pięknych kobiet, w otoczeniu luksusowych przedmiotów, darzony szacunkiem, uznaniem... On – wielki pisarz–podróżnik! A ona... – zastanawiał się. Samotna, zdecydowanie samotna! I wtedy on się nad nią zlituje...

Chyba że pójdzie do zakonu? Nie, nie ona. On! By ślubować czystość i ubóstwo... – upajał się słodko-gorzką wizją – by to ona cierpiała, wiedząc, iż jedynie przez nią podjął swą dramatyczną decyzję...

I tak minął tydzień, może nawet dwa. Wtem! Pukanie do drzwi. I zaraz filuterne:

– Można?

– Lusi, to właśnie pan Adam Grabski – oznajmiła jeszcze w progu pani Ewa Miklaszewska. – O którym tak wiele opowiadałam. Panie Adamie, oto kuzynka mojego męża, panna Lucyna Wieczorkiewicz.

Z trudem opanował odruch niechęci, ukradkiem otarł łzy, uklonił się, ucałował podane dłonie. I przyjrzał się też panie owej Lucynie – odzianej

w różowawy kombinezon i z charakterystycznymi dla kierowców okularami na czole.

– Lucyna, proszę sobie wyobrazić, jest mistrzynią automobilizmu!

– Ach tak...

– Motocyklizmu, droga Ewuś, motocyklizmu! Pan, mam nadzieję, doskonale pojmuje różnicę?

„Wariatka” – pomyślał. Nad zadaniem pytaniem wcale nie mając ochoty się zastanawiać.

– Oczywiście, droga pani... – powiedział mimo to. – Czym mogę paniom służyć? Co je do mnie sprowadza?

– Panie Adamie kochany, potrzebujemy dać ogłoszenie. By zorganizować, proszę uważać, gdyński Klub Automobilowy.

– Wariatki w rzeczy samej! – aż stęknął w duchu.

– To wstyd, że klubu nie ma do tej pory! – trajkotała tymczasem panna Lucyna swym niskim, matowym, a jednocześnie aksamitnym głosem. – A jakąż okaże się pyszną ironią losu, gdy założą go kobiety!

– Panna Lucyna właśnie do nas przybyła... z Warszawy.

– Panie... chcą założyć Klub Automobilowy? – nie dowierzał Grabski.

– Co w tym dziwnego? – zdenerwowała się panna Lucyna, siadając na rogu biurka i bezceremonialnie machając ponętnie łydką (a że nogawki kombinezonu niewiele ponad kostką spięte miała gumkami, to owa kostka była w ten sposób doskonale widoczna i, co tu kryć, apetyczna...).

– Wszak wydawało mi się, pani Ewo – odwrócił wzrok – iż nie przepada pani za prędkością...

– Ach – zaśmiała się w odpowiedzi. – Mąż chcąc nie chcąc zaraził mnie owym bakcylem...

– Ewuś, ty masz wspaniałe predyspozycje! Niedługo czekać, aż w rajdach zaczniesz wyprzedzać tych... tych... – zaperzyła się panna Lucyna.

– Zdaje się, jednakowoż, iż panowie nie startują razem z paniami? – prędko przerwał jej Grabski.

– Ha! Gdyż boją się! – krzyknęła.

– Lucyna, panie Adamie, jeździ jak szalona, z nią wielu z panów nie miałyby szans! Lecz wróćmy do rzeczy: oto pragniemy zorganizować rajd. A że musimy obwieścić o nim światu, stąd nasza wizyta... u mistrza, jak wieść niesie, ogłoszeniowego słowa!

Mistrz? Brzmiało to niby-dumnie („Jednak marność – przypomniał sobie i siebie samego pouczył – wszystko marność!”)

– Proszę opowiedzieć dokładnie, w czym rzecz, a ja w ciągu kilku dni sformułuję tekst i przedstawię paniom do oceny – mimo wszystko rozpoczął standardową procedurę.

– Jak to w ciągu kilku dni? Napiszmy ogłoszenie dziś, bez zbędnych ceregieli!

I na nic nieśmiałe próby oporu! Co gorsza, gdy przyszło co do czego, jego domniemane mistrzostwo zupełnie przestało mieć znaczenie! Zapalone automobilistki wprost nie dawały mu dojść do słowa:

– Kto prędkości się nie boi... cierpi, kiedy auto stoi... Albo nie! Inaczej! – panna Lucyna co rusz zrywała się z miejsca. – Kto prędkości się nie boi, niech swe lęki wnet ukoi...

– Lucuś, a może tak: kto się nie boi... – wspierała kuzynkę pani Ewa – kto się nie boi... niech ideą się upoi!

– Tak jest! Wspaniale! Niech ideą się upoi... I na miejsce wnet przybywa... Rajdu... który się odbywa...

Poczuł, że tonie. Ostatecznie i definitywnie. W morzu przygnębienia. W oceanie beznadziei.

– Szanowne panie, tego typu rymowanie... – utknął już w trakcie pierwszej próby nieśmiałego protestu (wszak rymowaniu chciał się sprzeciwić!). – Rymowanie ogłoszeń to metoda dość naiwna, by nie powiedzieć...

Obraziły się. Jeszcze do tego się obraziły! Musiał tłumaczyć się i przeproszać (wszystko marność!).

– Panie Adamie! Sam napisał pan, dobrze pamiętam: Czytając ogłoszenia, zapamiętujemy ich treść!

– To prawda – bąknął Grabski.

– Nic zaś tak nie trafia do serc, jak zręcznie ułożony rym!

(„Las – pomyślał zniecka. – Znaleźć się w lesie... Odludnym, szumiącym z cicha... w towarzystwie jedynie ptaków!”)

– Nie strzępmy języków po próżnicy! – zdecydowała wreszcie zniecierpliwiona panna Lucyna. – Kto prędkości się nie boi, niech ideą się upoi... Pierwszego w dziejach Gdyni *touru* automobilowego! Dla odważnych niespodzianka: piknik na plażach Juraty!

Cóż... Do każdego niemal słowa można się było przyczepić: jakież to „dzieje” miała niby Gdynia, by tak mocno je akcentować? I jakaż to „niespodzianka”, gdy mówi się o niej zawczasu?

Mimo to, wzdychając ciężko, zapisał w kajecie słowo po słowie. Prócz tego zaś kwietniową datę *touru* – w tydzień po Niedzieli Wielkanocnej – oraz numer telefonu, pod który należało zgłaszać chęć uczestnictwa.

– Zaś na zakończenie... – zamyśliła się jeszcze panna Lucyna, ponownie siadając na rogu biurka i dla lepszego skupienia ujmując drobną twarz w również drobniutkie dłonie. – Na koniec należy powiedzieć: Automobilizm i motocyklizm szansą na... Lub: nadzieją na...

– Albo – podpowiedziała pani Ewa – albo: automobilizm wyzwaniem

przyszłości... Panie Adamie, co pan o tym sądzi?

– Wyzwaniem nadchodzącej przyszłości! – aż wyskoczyła w górę wrywna motocyklistka. – Może być?

Milczał.

– Lusu – zaproponowała pani Ewa – zostawmy tę kwestię panu Adamowi. Pan na pewno coś pięknego wymyśli, prawda?

– Byle nie zapomnieć o motocyklizmie! – zaznaczyła panna Lucyna, po raz kolejny to siadając, to zrywając się, podskakując niczym fryga.

Aż wreszcie sobie poszły – szpalerem olśnionych ich zwiewną, pachnącą obecnością drukarzy. Nie zważając na cmoknięcia i zachwyty robotników, Grabski z ulgą zamknął się w swej samotni.

„Rajdy – począł ironizować – wyścigi, szalony cyklizm, wszechobecne kajakowe spływy: Niemnem, Prypecią, Prutem czy Dniestrem (by zobaczyć porohy, Zaleszczyki, a nawet Okopy Świętej Trójcy – ów najdalej położony skrawek Polski), dalej narty – w Worochcie, Krynicy czy Zakopanem (kolejny absurd: wspinać się godzinami, dajmy na to na Howerlę w Czarnohorze, by szusować potem ledwie chwilę!), a wreszcie górskie wycieczki *per pedes*. Cóż to za moda raptowna: ta turystyka, ten sport?! Cóż za szaleństwo ogarnęło ostatnimi czasy ludzi: wszędzie relacje, opowieści, niezrozumiałe podniecenie. I czym? – ja się pytam! Owszem, ten balią dotarł do Konstantynopola, ów rowerem planuje przebyć Afrykę, innych, gdy zapuścili się poniżej Okopów, ostrzelali Sowietów. Albo weźmy wielkiego niby to pisarza Kleszczyńskiego, co to samochodem przemierzył Polesie (*Benzynowa eskapada* – trudno o tytuł bardziej pretensjonalny!) – zresztą nie sam, gdyż mając szofera – a opisał ową podróż tak, jakby istotnie przejechał Czarny Łąk (dziwując się zatem błotom, dzikim tubylcom i drogom pamiętającym swych budowniczych z epoki pierwszych Jagiellonów)”

„Cały ów sport... – nie miał złudzeń Grabski – to nic innego jak błazenada panusiów hrabiów i prezesuniów, a niczym jest więcej jak tylko zagłuszeniem głęboko egzystencjalnego smutku! Tragedii dotkliwej samotności, tragedii zimnej obojętności nieruchomego wszechświata! Dramatu istoty myślącej wobec niezrozumiałej współobecności, a w zasadzie obcości drugiego człowieka... Który to dramat koniecznie trzeba zagadać, zagłuszyć i nie dać mu dojść do słowa... Sport. To właśnie on zagłusza, owo głupie kibicowanie cudzemu męstwu, gdy nie sposób zdobyć się na własne...”

„Tak jest – przyznawał po chwili zastanowienia, w tym pełnym wściekłości i wrzasku dialogu z samym sobą – tak jest, sam jeszcze niedawno przeszedłem byłem Wybrzeże. Do czego jednakże ów czyn doprowadził, czym zaowocował – prócz rojeń, prócz klęski?”

– Cha, cha – zaśmiał się zaraz, goniąc rozszalałą myśl. Oto największe w Rzeczpospolitej, położone na wschód od Wilna, jezioro Narocz szczególnie



upodobali sobie żeglarze. Schronisko i przystań budując w miejscowości... Kupa!

– Cha, cha – jeszcze raz wykrzywił usta zgorzkniały filozof. – Jestem w Kupie, czuję się świetnie!

Trudno o trafniejsze podsumowanie owego sportowego szaleństwa!

„Taki już jestem, taki już będę – postanawiał na koniec. – Na zawsze nieufny, cyniczny, pozbawiony złudzeń. Proszę, do tego właśnie doprowadziły. One: pani Ewa, demoniczna motocyklistka Lucyna, oraz – dalece przed innymi – Łucja!”

I znów mijały dni. Jego postanowienia niby to tężały, gniew przybierał coraz bardziej pomnikową formę. Lecz prócz tego wszystkiego postanowił Łucję śledzić (kryjąc twarz za szerokim rondem kapelusza borsalino). Przez jakiś czas bez efektu. Aż wreszcie... Aż wreszcie zatrzęsł się z oburzenia!

– Szoferak? – nie dowierzał.

– Szoferzyna! – jęczał.

Bo oto zobaczył ją z nim – idących do Morskiego Oka. I to w dodatku na *Gwiaździstą eskadrę* – najdroższą w dziejach polskiej kinematografii produkcję filmową opowiadającą o amerykańskich pilotach walczących w wojnie z bolszewikami.

– Co to? – ironizował. – Czyżby nagle polubiła Morskie Oko? Czyżby zniecka pokochała filmy o lotnikach?

I znów, by zebrać siły po kolejnym ciosie, potrzebował mijających powoli dni. Potem poszedł do Bonka.

Wódkę zamówił dziarsko, do niej – z rozmachem, chcąc się wkupić w łaski gospodarza – maczankę; koniecznie z sosem z prawdziwków.

– Flaki mogą być? – apatycznie zareagował Bonk. I nie czekając na odpowiedź, postawił przed gościem talerz niezbyt gęstej potrawy.

– Panie, kryzys jest, w dodatku wyrzucać nas będą, wyburzać. Kto by tu miał przyjść na borowiki? Nic się nie chce, panie... O... – wskazał na wyraźnie jaśniejsze, odcinające się od tła miejsce na ścianie. – Marszałek był w ramce, z „Kuriera” wycięty. Wisiał, wisiał, aż spadł. Drugi raz nie wiem. Bo i na co?

Grabski jadł bez wielkiego smaku. Za to ponownie wskazał na kieliszek.

– Pan się ze mną nie napije?

– E... – Bonkowi naprawdę nic nie mogło poprawić humoru.

– Pusto... – mimo wszystko ciągnął go za język jedyny o tej porze klient.

– Zwietrzyli, panie, trupa.

Cóż było robić... Gdy rozmowa wyraźnie nie kleiła się, Grabski postanowił podążyć wprost do celu:

– Panie gospodarzu, bywał u pana taki mężczyzna... Kierowca autodorożki.

Bonk drgnął. Przerwał przecieranie sztuców. Jeszcze mu było trzeba na koniec afery o nielegalne flaszki.

– U mnie? U mnie nie bywał! Zresztą bardzo rzadko! A bo to mało jest kierowców?

– Potrzebuję się z nim spotkać – łagodnie naciskał Grabski.

– Ale ja nic nie wiem, nie znam człowieka – upierał się z kolei Bonk.

– To gdzie by można zapytać?

– W Kurhausie – może...? Tak ludzie mówią, bo ja, przysięgam, nie wiem. Nie znam wręcz człowieka. Ale bo to do Kurhausu różni chadzają, więc może i by...

– W Kurhausie? – zamyślił się Grabski.

– W Kurhausie! Zdecydowanie!

Wcześniej Grabskiemu przez myśl nawet nie przeszło, by odwiedzić ów podejrzany przybytek.

– W Kurhausie, pan mówi... – powtórzył.

– Ja nic nie mówię, powtarzam ino, co ludzie!

Dobre i tyle. Zapłacił, napiwku nie pożałował, pożegnał się i wyszedł. Osamotniony Bonk zabębnił palcami po blacie szynkwasu. „A niech zamykają, niech burzą – po raz pierwszy z aprobatą pomyślał o zbliżającym się końcu Pekinu. – Już i nerwów formalnie człowiekowi brak!”

W Domu Kuracyjnym Wielki Post wyraźnie nie obowiązywał. Grabski i tu zamówił wódkę, do tego – wzorując się na pozostałych gościach – kufel pianistego piwa, po czym zaczął rozglądać się ciekawie, w międzynarodowym tłumie wypatrując nienawistnego autodorożkarza. A że swą elegancją wyróżniał się mimo wszystko w marynarskim gronie smakoszy, nic dziwnego, że wkrótce zakręciła się wokół niego uroczą – co od razu stwierdził – blondyneczka.

– Samotny wieczór? – chciała wiedzieć.

Najpierw przestraszył się (wiedząc, jakiego pokroju może to być kobieta!), lecz za moment głośno westchnął. Samotny – żeby wiedziała!

Od słowa do słowa, przy kieliszeczku likieru miętowego dla niej (a nazywała się Pola i miała piękne oczy), poczuł, jak powoli mija mu gniew. Jak się roztapia w gorącej – dosłownie – atmosferze Kurhausu. W zamian kołysać nim zaczął narastający ocean liryzmu.

„Twych lic, oczu i włosów słodki cud potrójny...”

– wyrecytował wreszcie, wspierając się słowami poety Staffa. I patrząc na Polę, lecz myśląc, zdaje się, o Łucji.

Ale to Pola – nie Łucja – szeroko otworzyła zdziwione oczy, by odpowiedzieć po chwili wahania:

„Nie widziałam cię już od miesiąca.

I nic. Jestem może bledsza,

trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,

lecz można żyć bez powietrza!”

Zdumiał ją ów młodzieniec. Poeta. Zwłaszcza gdy bez trudu odgadł autorkę strofy: poetkę Pawlikowską, z domu Kossak, *primo voto* Bzowską. Jej inne wiersze również znał, a jakże:

„Gdy pochyłisz nade mną twe usta pocałunkami nabrzmiałe,  
usta moje ulecą jak dwa skrzydełka ze strachu białe,  
krew moja się zerwie, aby uciekać daleko, daleko  
i o twarz mi uderzy płonąca czerwona rzeka.  
Oczy moje, które pod wzrokiem twym słodkim się niebią...  
...się niebią, się niebią...”

– zaciął się wreszcie, a Pola oparła się łokciem o blat i brodę złożyła na piąstce.

– Piwo! – krzyknął, gdyż poczuł potrzebę ochłodzenia.

A wtedy znienacka pojawiła się jakby siostra – pomyślał – owej wrażliwej Poli. Bliźniaczo wręcz podobna („Bliźniaczo podobna – sam siebie rozbawił sekretną, w duchu wypowiedzianą myślą – do bliźniaczej mej duszy...”). Ukłonił się zatem owej siostrze, nos niemal zanurzając w kieliszku. Ona zaśmiała się złośliwie, patrząc to na niego, to na Polę:

„W malinowym chruśniaku”

– zaczęła.

„Bąk złośnik huczał basem...”

– co mówiąc, wskazała na siebie, niby na tego złośnika, przeszkadzającego kochankom. Grabski zaprotestował bełkotliwie:

– Nie tak, nie po kolei! Lola nie zważała na jego pijackie krzyki.

„Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,  
I stały się maliny narzędziem pieśczęoty”

– Nie po kolei! – upierał się.

„Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie  
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,  
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty!”

– Tak jest? – skończywszy, zapytała Grabskiego.

Zupełnie nie zrozumiał: o cóż chodzi owej nieziemskiej istocie?

– Pan sobie życzy poważnego damskiego towarzystwa czy tylko przyszedł deklamować, roztkliwiać się i mącić w głowach? To nie ten adres, szanowny panie.

– Ja bo... Bo ja... – bełkotał.

– Chodź, siostrze – położyła dłoń na ramieniu Poli. – Daruj sobie poezje, nie tego ci trzeba.

Lecz Pola nie chciała słuchać.

– Pan przeżywa okropne męczarnie – zwróciła się w stronę kiwającego się na krześle Adama. – Zgadłam?

– W rzeczy samej, droga pani!

- Rozumiem pana doskonale.
- Pani nie może rozumieć! – uniósł się zaperzony. – Nikt nie może!
- Powie mi pan, co się stało?

Stojąca wciąż przy nich Lola westchnęła zniecierpliwiona.

– Oświadczyłem się i nie zostałem przyjęty – powiedział nader składnie i dobitnie. – Teraz zaś ma niedoszła wybranka spaceruje po Gdyni z pewnym kierowcą autodorożki!

– Brunetem? O pociągłej twarzy? – zaniepokoiła się Pola.

– Widocznie wobec niego ma poważniejsze plany! – Grabski jakby nie dosłyszał pytania.

– W skórzanej kurtce? Brunetem?

– Po co w takim razie te wszystkie kawiarnie, kina i wigilie? Po co spacer, na co desery? Proszę bardzo, żeńcie się... – uniósł się wreszcie, poderwał do lotu. Lecz wnet opadł, spoglądając z żalem w równie rozżalone oczy dziewczyny.

– Chodźże! – szarpnęła nią siostra. – Pan też niech sobie idzie!

Nie protestował, gdy odeszły. Bo cóż w tym dziwnego?

– Mnie wszystkie zostawiają! Piwo! Zapewne dla szoferzyny... Dla szosze... fy... szy...

A jednak: wciąż potrafił wiedzieć, kiedy wyjść. I dobrze, że biuro miał blisko i nie musiał toczyć się aż na Grabówek.

Po drodze przypomniał sobie jeszcze jeden wiersz:

„O serce moje zgłodniałe, cyt!

To płatków kwietnych opada rój,

To kadzidlany ściele się zwój,

Idzie Lilith... idzie Lilith...”

– Strofę tę napisał w swym debiucie mój ukochany poeta Iwaszkiewicz – tłumaczył rozbawionym jego widokiem drukarzom. – Lilith była zaś pierwszą, proszę szanownych zecerów, żoną Adama. Adama. Przed Ewą. Przed Ewą była Lilith. Ale uciekła, niechaj mnie słuchają introligatorzy, niech się nie śmieją, uciekła mianowicie z raju i została kochanką Belzebuba! Takie to... – wciąż gestykulował, nawet wtedy, gdy już położyli go na leżance, obok, przezornie, stawiając miednicę. – Takie to, panowie, legendarne dyrdymałki. Dobranoc!

Nazajutrz pamiętał niewiele. Lało jak z cebra. W deszczówce przemył solidnie zabrudzoną miskę. I znów przez cały dzień nie napisał ani słowa. Za to po południu wspiął się na Kamienną Górę. A że wiatr zerwał się tego dnia taki, że aż wyginał druty parasola, to idąc i zmókł, i zmarzł. Szczekając zębami, nacisnął dzwonek przy furtce. Stanąwszy w progu domu, pani Ewa dała mu znak, by wszedł do ogrodu.

– Przepraszam za najście, lecz szukam panny Lucyny.

– Ależ Luska mieszka na Oksywiu – wyjaśniła zdziwiona pani Ewa. –

Zresztą i stamtąd jak raz wyjechała. Razem z moim mężem i dziećmi. Na wycieczkę na Kaszuby. Mnie zatrzymała migrena. Lecz o co chodzi, jeżeli można wiedzieć?

– Nie mam co prawda auta – odpowiedział miękko i nie wiadomo, czy po policzku spływał mu deszcz czy też łzy – lecz stanowczo chciałbym wziąć udział w pań rajdzie.

– Proszę w takim razie do środka! – zreflektowała się pani Ewa. – Strasznie pan przemókł.

A później, już w salonie, zapytała:

– Pan chce zapomnieć, prawda?

Wiedziała. Już wcześniej domyślił się, że musi wiedzieć. O jego strasznym nieszczęściu.

– Tak – przyznał.

Usiadła blisko. Pachniała.

Został. Na dłużej. Niż kiedykolwiek byłby się spodziewał.

## ROZDZIAŁ 25

### Stan

Było ich dwóch. Zwalisty goryl z nalaną, czerwoną i niestarannie ogoloną twarzą; do tego w przykrótkich spodniach, przytrzymywanych na opasłym brzuchu czarnymi szelkami. Oraz kędzierzawy blondynek, dosyć drobny i noszący się zdecydowanie elegancko: miał otóż na sobie garnitur w żółtawe prążki, z równie żółtawą chusteczką w butonierce.

Goryl, jako się rzekło, długo milcząc i nie wstając z łóżka, wpatrywał się w Krzysztofa. Ten zaś rozumiał: popełnił błąd, zbyt prędko rozwożąc zdobyte przez Kota trunki. Za łatwo to szło, ot co!

– Teraz to ty będziesz naszym dostawcą – raczej konstatowali, niż pytali właściciele kolejnych lokali, portierzy i kelnerzy. Nie dziwili się, bo znali Wilczyńskiego jeszcze z jesieni. Albo co najmniej od grudnia – gdy to przez jego ręce przeszły pieniądze za dobra zdobyte pod Grosse Stern.

Tymczasem najpierw – a więc przed upłynnieniem towaru – trzeba było odnaleźć rewizora. Wszak wiedzieli o jego obecności! Wiedzieli, że robi w mieście porządek, a skoro tak, to nie mogła ujść jego uwadze kolejna prowokacyjna akcja Konstantego.

Tymczasem to on ich znalazł – ów rewizor o wyglądzie małomiasteczkowego, tyle że odświętnie ubranego rzeźnika.

„Zaraz, zaraz, czy Kota też?” – dał się ożywić nadziei Wilczyński. A może ów pojawi się *deus ex machina* i przyniesie przyjacielowi cudowne ocalenie? Marzenia ściętej głowy.

Rzeźnik wreszcie sapnął, rozkaszał się astmatycznie, długo uspokajał. A potem zaczął mówić. Najpierw powoli, jak żółw ociężałe, by stopniowo się rozpędzać. „Niczym parowóz” – pomyślał Wilczyński.

– Ja myślał, że inni zrozumieli. Że wzięli nauczkę do serca. Ty ich znał, a? Znał, znał... Ty wiesz, jak oni skończyli? Smutno skończyli, ty byś nie chciał skończyć jak oni, aj promis. Skąd ty miał, aj ripit, to, co wywiózł do hotels, a? Kto ciebie dopuścił? Wzięli z lasu jak swoje, my mieli przyjechać nekst dej, patrzymy, nie ma! Już tam jeden z drugim ma porachowane kości, nie bój się. Bo nie upilnowali! Łot a szejm! Nic. Bo lejter my czekali: gdzie się pokaże, gdzie wypłynie, dej sej, ten mesedź ine botel. Jak ty mogłeś, ja się pytam, jak ty mogłeś być sacze-stjupid, że ty myślałeś, że my was nie znajdziem? Co, mister Wilczyński, ty tak myślałeś, powiedz?! Enylej, pan Jan się wściekł, pan Jan powiedział, że ja go disapojnted! Ja, rozumiesz, Stan Kopecky, którego dobrze dej rimember w Wilnie i w Szikago! A wy nas okradli w lesie. I my musieli szukać w hostels en bars, pytać o tę wódkę, musieli przypominać, co znaczy pan Jan! En fajnęli, przycisnąć, press, tego i owego i oni nam powiedzieli: jest taki jeden, on drajws e kab. To my szukali

ten kab. Tylko ciebie w nim nie znaleźli. Jesterdej. My nawet pomyśleli, że ty o nas już wiesz, że ty poszedł po rozum do głowy i uciekł z miasta. To by było mądre, klewer. Ale my poszli do twojej buda, nora... I co my zrozumieli? Tejk a luk! Twoje mani, dużo mani! (I rzeczywiście: pomagier rzeźnika wygrzebał z kieszeni spodni gruby zwitek ciężko przez Krzysztofa zarobionych pieniędzy; co widząc, Wilczyński zaklął w duchu). No to my już wiedzieli, że ty still jesteś w tańie. A jak my już wzięli twoje mani i pytali ludzie, to już musieli cię szukać do końca, til di end. Łel, ju si, widzisz, mani otwierają usta. Twoje mani, i to jest fani, zabawne, ajronik, dej sej, ju anderstend? Tamte źle skończyli, mister Wilczyński, bardzo źle. Ty chcesz tak? Ja nie wierzę...

Mógł tak marudzić, zdaje się, bez końca. Lecz Krzysztof nie uronił z owej przemowy ni przecinka. Ba, śmiertelnie – dobre słowo! – ciekaw był, co dalej. Czy usłyszy konkretną propozycję? Bo przecież go nie zaszlachtują, uznał, w jednym z najlepszych hoteli w mieście?

Tymczasem niespodziewanie zniecierpliwił się blondynek, towarzysz goryla:  
– Stan, prędziej! – jęknął. – Jak Boga kocham, zbierajmy się!

Goryl uniósł się na łokciu, udając wielce zdziwionego i szukając u Krzysztofa zrozumienia dla swego zdumienia. Po czym warknął:

– Siarap, Bubek! Siarap!

Niestety, elegancik zamknął się nie zamierzał. Przeciwnie, podniósł piskliwy głos:

– Stan, tyle razy mówiłem ci, iż noszę nazwisko Bubula! – wykrzyknął.

– Bubek! – rzeźnik w odpowiedzi aż zazgrzytał zębami. – Ty mnie nie ucz, nie ucz fader mejkin czildren, rajt? Ty, Bu-bek – zaakcentował tak mocno, jak tylko się dało – mnie nie pospieszaj, ty pozwól panu Wilczyńskiemu poczuć strach... Rajt, mister Wilczyński? Rijal fijer... Prawdziwy strach!

Co mówiąc, począł się podnosić i znów powoli, ociążale, jak taplająca się w bajorze świnia, co rusz na powrót opadać w miękką, rozkołysaną pościel. Wreszcie udało mu się wstać. I wtedy niemal natychmiast, niezauważalnym, błyskawicznym ruchem otworzył wyjętą nie wiadomo skąd i kiedy brzytwę.

Blondyn westchnął.

A Wilczyński powtarzał sobie: „Nie zaszlachtuje mnie. Nie zrobi tego w biały dzień”.

– Będiesz mówić? – spojrzał mu w oczy goryl.

Krzysztof odwrócił głowę.

I wtedy Kopecky drasnął jego ramię. Delikatnie, płytko, fachowo, ledwie przecinając skórę. Krzysztof szarpnął się, omal nie upadł. Ból był palący, przeszywający jak smagnięcie biczem, jak polanie wrzątkiem. Po nagiej piersi spłynęła krew.

– Powiesz, kto z tobą był? Kto płacił? Kto organizował?

Krzysztof pokiwał wreszcie głową. Tak, zdecydował się rozmawiać. Goryl skinął na pomocnika, by ten poluzował knebel.

Wreszcie! Wreszcie mógł odetchnąć, zaczerpnąć z całych sił powietrza...

Lecz wtedy goryl uderzył! Znienacka, jakby ruch płuc Wilczyńskiego wziął był za zwiastun krzyku.

Uderzył nieco poniżej i ciut w prawo od nosa. Wilczyński ujrzał gwiazdy, poczuł, że dziąsła ma rozbite, zachłusnął się krwią. Przed upadkiem uchronił go blondynek przytrzymujący od tyłu oparcie krzesła.

– Mów... Kto tobie płacił?

Szczęką poruszyć mógł z trudem, kosztem bólu. Językiem dotykał zębów – i tym razem stracił jednego czy dwa.

– Do... Doga... – bełkotał. – Dogadajmy się!

Kopecky wytrzeszczył oczy:

– Kto z kim, mister Wilczyński, czy ty szaleju się najadł, a?

– Was już nie ma... – wycharczał Krzysztof, wypluwając zęba i krew.

– Nie wiem, kto was tu przysłał, lecz wasz czas się skończył. Zwłaszcza po moim trupie.

Kopecky wyprostował się, odsunął się, odszedł w stronę okna.

– Dobry ty jesteś! Oł, ryli! Ja bym się z takim jak ty dogadał. Ale nie mogę, ptaszku, bo co by powiedział pan Jan?! Hi told mi, ja mam przykazanie: Ten... jak się mówi...?

– Wrzód – odpowiedział pomagier.

– Wrzód zniszczyć...

– Wypalić, Stan.

– Wrzód wypalić! Mów: kto z tobą był, a?

– Zastanów się Kopecky: czy warto?

– Ty mi grozisz? – niczym wytrawny pięściarz, dwoma skokami, lekkimi jak u baletnicy, rzeźnik z powrotem zbliżył się do Krzysztofa.

– Stan... – zaniepokoił się pomagier.

– Przemysł... – zaczął Wilczyński.

I nie dokończył: cios jak młot, jak uderzenie starodawną armatnią kulą, tym razem zwałił go wraz z krzesłem na podłogę. Jeszcze się zdziwił, w ostatnim przebłysku świadomości, że słońce potrafi zgasnąć. Jeszcze pomyślał: „umieram!” A potem już go nie było: tylko ciemność i cisza.

Cisza.

Wszystko zaś przez Kota. Bo nie potrafił się powstrzymać! Wiadomo, groźby wysiedlenia nie można było zlekceważyć, dlatego do portu pójść musiał. Przyszło to zresztą bez wielkiego trudu: oto procentowały częste wędrowki przez place budów i zawierane tam znajomości. Dla innych pracy może i nie było, ale dla pana Kotkowskiego zawsze się znalazła! Co więcej: widząc jego zapal



i niezrównaną fachowość – tak przynajmniej relacjonował Konstanty – koledzy i zwierzchnicy już wkrótce zaproponowali mu objęcie stanowisk wyższego szczebla. Obiecał się zastanowić. Zaś by łatwiej było mu rozmyślać i podjąć właściwą decyzję, wymógł z kolei nader częste zwolnienia z dokerskich obowiązków – w efekcie znów do woli mógł szwendać się po mieście.

Inaczej mówiąc: robił niewiele i nie było nikogo, kto by się temu dziwił lub sprzeciwiał. Pensję, rzecz jasna, też brał. I miał zaświadczenie o zatrudnieniu – by zatkać gęby policji.

Pewnego dnia, już w kwietniu, Krzysztof zobaczył go zmierzającego ku postojowi autodorożek na Rynku Kaszubskim. A nie widzieli się od owych pamiętnych wydarzeń z końca karnawału.

Wtem! Grubawy jegomość zaczął ładować się do wozu Wilczyńskiego.

– Ależ ja byłem pierwszy! – wrzeszcząc, doskoczył Kot.

Grubas zdębiał.

– Jakim sposobem? Jakim prawem?

– Ten pan rzeczywiście był pierwszy – leniwie potwierdził Krzysztof.

– Jakim sposobem? – uparcie nie potrafił zrozumieć mieszczanin.

– Weź pan inną, dorożek nie brakuje – łagodnie zwrócił mu uwagę Kot. –

Panie szoferze, do Chyloni, dalej jazda!

Przez Starowiejską jechali w milczeniu.

– Nikogo za nami? – zapytał wreszcie Krzysztof.

W odpowiedzi Kot obrócił się w jego stronę, wcześniej obserwując uciekającą w tył ulicę.

– Nikogo – potwierdził.

– Miło cię widzieć. Co porabiasz?

– Formalnie przy przeładunkach. Ciekawe rzeczy się widzi. Nieważne. Jest wakat, Krzysztof, bałagan się zrobił. Bo tamci pilnowali paru spraw: dziupli w lesie, leśniczówek, sprzedaży w mieście i dostępu do kolejowych ramp. A teraz ich zabrakło. Gardła mieli poderżnięte, a golenie połamane. Komuś się chciało, cholera!

– Na własną rękę zaczęli chodzić – kontynuował po chwili. – Komuś się to nie spodobało.

– A my, niestety, chodziliśmy z nimi – zauważył Krzysztof.

– Dziwne, prawda, że na tamtych dwóch się jak na razie skończyło... – roześmiał się Kot. – Wygląda na to, że ktoś próbuje zrobić porządek. I nie liczy się z chłopakami. Jest strach. Słuchaj – wrócił do słów Wilczyńskiego. – Słuchaj, gdyby chcieli, już by nas znaleźli. A tak dostaliśmy czas.

– Czas? Na co?

– Firma przestała działać. Niepewność jest i strach – powtórzył ponuro Konstanty.

Zamilkli. Auto toczyło się wolno.

– Trzeba ich znaleźć – podjął wątek Kotkowski. – Tych, co to się nam tutaj szarogęszą. Trzeba im wytłumaczyć, że robią źle.

– Żartujesz, prawda?

– Zatrzymaj się, wysiądę.

Stanęli pod nowo wybudowanym gmachem Szkoły Morskiej.

– Dowiem się, kto to, Krzysztof, i coś z tym będziemy musieli zrobić.

– To właśnie chciałeś mi powiedzieć: że będziesz szukał tych zbirów?

– Myślałem, że mi przykłaśniesz – wyszczerzył zęby Kot. – Zorganizuję chłopaków, na których będziemy mogli polegać, nie brakuje ich wokół; ale wiesz, że bez ciebie sobie nie poradzę!

Zawsze to samo! Kot miał pomysł, a od Krzysztofa oczekiwał planu. Kot rzucał się na głęboką wodę, a Krzysztof zadbać miał o to, by udało się wrócić do brzegu. Bo jak to niby było w Zatoce Fińskiej? Kotkowski wziął zaliczkę, a Wilczyński musiał organizować łódź. Kotkowski spirytus pił, zaś Wilczyński go sprzedawał.

Mimo wszystko – zwłaszcza gdy wspominał tę rozmowę po latach – dziwił się samemu sobie: że aż tak bardzo zabrakło mu wyobraźni. Że dał się Kotu namówić.

Bo kilkanaście dni później Konstanty ponownie odnalazł autodorożkę Krzysztofa. Ten czytał właśnie w „Dzienniku” o samobójstwie Majakowskiego. „Towarzysze, nie strzelajcie” – miały brzmieć ostatnie słowa poety.

– Dobrze! – ucieszył się Kot. I zaraz spochmurniał.

– Wiem, Krzysztof, kto to jest. Zatrzymał się w Kasino Hotel w Zoppotach. Z pomocnikiem jest. Tylko. Co znaczy, że bezpiecznie, że bardzo pewnie się czują! Objeżdżają leśniczówki, leśne kryjówki, ten pomocnik ma tu ponoć zostać. Nadzorować. Typ księgowego. Znakiem tego ten, co naprawdę rządzi, jest jeszcze gdzie indziej. Daleko. A po co nam księgowy, Krzysztof, ty przecież dobrze potrafisz liczyć.

– Do Zoppot sam się wybiorę – ciągnął Kot, nim Krzysztof zdążył cokolwiek powiedzieć. – Albo spotkam panów cieciców, bo to ciecie są, skoro przybyli tu zamiatać... spotkam gdzieś w lesie. Ty myśl, co dalej! Zwłaszcza że... – zaśmiał się złośliwie, wiedząc, że Krzysztofa zaskoczy – zwłaszcza że przejęliśmy już trochę towaru. Niech się święci majowa jutrzienka! Pomyśl, jak go sprzedać, byle prędko, bo trzeba opłacić chłopaków!

Otóż to! Cholerna metoda faktów dokonanych!

Szło o to samo, co zwykle. O papierosy, tytoń i cygara – bo te z Polskiego Monopolu, na którym zarabiać chciało wyłącznie państwo – zwyczajnie śmierdziały. O zapalniczki – które w Polsce kosztowały kilkanaście złotych, a w Prusach czy na Litwie złotych ledwie kilka. Wreszcie o flaszki. Zawsze

o flaszki! To zadziwiające, że alkohol opłacało się i z Polski wywozić (zwłaszcza do objętej prohibicją Skandynawii) i do niej przywozić – na przykład z gdańskich składów wolnocłowych. Tak czy siak, wte czy wewte – interes jak złoto!

Byle tylko zachować ostrożność, byle uniknąć...

Ciosu! Jak uderzenia młotem! Potem ciemności i ciszy...

...do przytomności wracał powoli. W uszach dzwoniło. W ustach – smak krwi. Świat wirował. Lecz znów – zauważył – siedział. Wciąż przywiązany do postawionego na powrót do pionu krzesła.

Tamci kłócili się w łazience:

– Stan, mieliśmy rozmawiać...

– Siarap!

– Z tamtymi mieliśmy rozmawiać, z tym mieliśmy rozmawiać...

– Lisyn, Bubek: kiedy pan Jan prosi o pomoc swojego przyjaciela Stana Kopecky... to nie potrzeba już, żeby kto inny miał co do powiedzenia...

– Mieliśmy rozmawiać! – bez mała płaczliwie upierał się blondyn.

– Siarap, Bubek, ja mówię! Oni muszą wiedzieć, co to jest terror, anderstend? Oni muszą wiedzieć, że ja wyjadę, ale ja mogę wrócić tutaj bek. Ty mnie nie ucz, Bubek. I nie ucz pana Jana...

Wrócili do pokoju. Spojrzeli na jeńca.

– Co z nim zrobimy, Stan? Zarżniemy? Tutaj? Mieliśmy zabrać, pojechać z dala od ludzi...

– Zabierzemy!

– Jak, Stan? Ze złamaną szczęką? Czy powiemy, że tak go ucieszył nasz widok, iż z radości nieszczęśliwie się przewrócił? I że go właśnie bierzemy do szpitala?

Kopecky zaśmiał się. Potem się rozkaszał i zasapał.

– Żyje, a? – zapytał Krzysztofa. – A pomyślał ja, że zabił... Co ty na dole mówił, Bubula? Że my negocju... hew important negosjejszyn...

– Powiedziałem, że przyjechaliśmy porozmawiać, i byłem zdziwiony, że pan Wilczyński pił, ponoć, całą noc.

– Rajt... – zastanowił się Kopecky. – Ty idź i powiedz im...

Nie dokończył. Zmarszczył czoło. Że myśli, było teraz widać.

Krzysztof rozumiał dlaczego: oni naprawdę nie wiedzieli, co z nim zrobić. Zamordować niełatwo – skoro w hotelu znaleźli się otwarcie i oficjalnie.

„Jest nadzieja” – pomyślał.

– Pójdę i powiem – zaproponował tymczasem blondyn, czyli, jak domyślił się Wilczyński, ów domniemany księgowy z opowieści Kota – że wciąż rozmawiacie, że ciężko wam idzie...

– Rajt!

– ...bo pan Wilczyński nie zdążył wytrzeźwieć. Zamówię kolację i dużo

wódki...

– Bourbon!

– Może być bourbon. Spoimy go w każdym razie i wyprowadzimy pijanego. To nikogo nie zdziwi, bo dobrze go tu, widać, znają.

– Rajt, Bubek – ucieszył się goryl. – Ty jesteś klewer, jak chcesz!

– Sam zjem na dole, Stan, w restauracji.

– Hej! – to już nie spodobało się Kopecky’emu.

– I będę opowiadał wszem i wobec – ciągnął flegmatycznie blondyn – że rozmawiacie w cztery oczy, że to poważne interesy, a ja jestem tylko szoferem. Zamknij za mną drzwi, Stan.

Wreszcie wyszedł. Zły. Wręcz wściekły. Na owe metody gościa z Szikago. Owszem, ponoć członka legendarnej Bruderferajn – której niemal tysiąc członków pod przywództwem Saszki Liechsteina przez ponad dekadę trzęsło wielkim Wilnem. I ponoć, owszem, szofera – tak się przynajmniej chwalił po wódce – gangsterów, którzy dokonali słynnej za oceanem masakry w dzień świętego Walentego. („Wy nie wiecie tego? – pytał, gdy wzruszali ramionami. – Wy nie wiecie, jak posłańcy pana Al Kaponi załatwili bandę Morgana?”; a oni rzeczywiście nie wiedzieli, prowincjusze zasmarkani!) Lecz z drugiej strony – w tej kwestii Bubula nie miał już cienia wątpliwości – osobnika narwanego, szalonego, niebezpiecznego nawet dla sojuszników, a przez to jeszcze bardziej komplikującego sprawy, które zadanie miał rozwikłać.



*Dom Zdrojowy przy dawnej alei Kasyna. Za nim Wzgórze Focha.*

Zszedłszy po schodach, elegancik nacisnął guzik stojącego na ladzie dzwonka. Późno, dwudziesta – zauważył. Wnet pojawił się portier. U jego boku – boy.

– Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią przedłużymy pokój – oznajmił Bubula, opierając dłonie na wysokim kontuarze.

– Pan Wilczyński zachował się wprost horrendalnie! Nieodpowiedzialnie! Żeby tak się...

Wtem: dostrzegł krew na mankietach swej koszuli.

Spokojnie. Spokojnie!

– Żeby tak się, niestety, horrendalnie, powtarzam, spić – powoli, niby niedbale zsunął ręce z blatu i wbił nadgarstki w kieszenie spodni. Portier zawodowo nie dostrzegł niczego. Wyglądający na niezbyt rozgarniętego boy gapił się w stronę drzwi wejściowych.

– Zamówię kolację i coś, co choć na chwilę postawi go na nogi – kontynuował uspokojony Bubula. – Hotel opuścimy jeszcze tego wieczoru.

– Dom – poprawił portier. – Dom Zdrojowy.

– Ach, tak, is habe vergessen! – zaśmiał się.

Po kilku ledwie krokach zawrócił.

– Czy auto mogę ustawić bliżej schodów? Pana Wilczyńskiego, obawiam się, trzeba będzie wyprowadzić...

– Oczywiście.

– Doskonale. Pan rozumie, horrendalnie wręcz upity! – mrugnął porozumiewawczo.

W restauracji wziął stek.

– Krwisty! A jakże! – zaśmiał się w odpowiedzi na pytanie kelnera. Po czym długo, pieczołowicie wciskał za kołnierzyk krawędź zmiętej serwety.

Piętro wyżej Kopecky niecierpliwił się. Sięgnąwszy po krzesło, usiadł na nim okrakiem na wyciągnięcie ręki od Krzysztofa.

– Napijesz się z nami, a? Ja tobie powiem, bo ty długo nie pożyjesz: ja w Polsce miał mieć e holidej, tejk e rest... A tu co? Problems... Z takimi jak ty, Wilczyński. Będiesz mówić? Suner o lejtej, ja tobie mówię, będziesz!

I nic. Cisza, bezruch. Prócz tego, że udo podskakiwało mu niczym kauczukowa piłeczka.

– Żre tam na dole kurwi syn i pije – poderwał się wreszcie. – Znam ja takich dobrze!

Sięgnął po rewolwer, zajrzał w czeluść lufy, zakręcił bębenkiem. I znów podszedł do okna, wyjrzał, zagwizdał, wrócił.

– Kurwi syn... – powtórzył.

A potem obszedł Wilczyńskiego, sprawdził moc więzów i docisnął knebel. Jeszcze zawahał się, zastanowił. Po czym położył jeńca na boku i wsunął wraz z krzesłem w wąski kąt między łóżkiem a ścianą.

– Żeby ty nie skakał, Wilczyński...

Teraz wyprostował się, odszedł na trzy kroki, jak malarz od obrazu, by spojrzeć na swe dzieło z dystansu. Wreszcie obrócił się na pięcie i zniknął jeńcowi z oczu. W zamku zazgrzytał klucz. Wilczyński w pokoju został sam.

## ROZDZIAŁ 26

### Fatalne skutki motocyklizmu

„Spędziłem noc w ramionach pani Ewy – tak o tym myślał, nieszczęsny. – Nie ona w moich – chłostał się boleśnie jasnym postawieniem sprawy – lecz ja w jej! Dałem się uwieść! Mężatce! Jakby mało mi było bólu i wstydu!”

Cierpiał. Ach, jakże cierpiał! Na samą myśl o zapachu skóry kochanki, o giętkości, ale i sile jej szczupłych ramion, o szaleństwie ud! O sznurze pereł na piersiach i o piersiach – perłach w koronie!

Lecz przecież była mężatką!

Najpierw zaszył się na Grabówku. Dumny, owszem, również dumny z siebie, ze swych dokonań owej nocy, nią odurzony. Ale i przestraszony: co dalej?

Gdy po dwóch dniach wyszedł na ulice miasta, zdawało mu się, że wszyscy – ale to wszyscy! – wiedzą, co wydarzyło się na Kamiennej Górze. Że patrzą oskarżycielsko! Więc szedł zrazu prędko, z rzadka podnosząc wzrok, lecz wreszcie coraz wolniej i bardziej beztrosko – gdy nikt nie szukał wzrokiem jego wzroku. Co za ulga!

W biurze: cisza i spokój. Raz-dwa ciachnął kilka tekstów i z ogromnym darem przekonywania umówił się na niemożliwe wcześniej do zorganizowania spotkania. Owszem, wciąż czując, iż cierpi, lecz jakże inaczej niż wcześniej (te uda! ta szyja!... a!). Tylko: co dalej?

Z trwogą oczekiwał nieuchronnej wizyty rozpalonej kochanki. Ale, co dziwne, nie jej gniewnego męża (człowieka, wszak, noszącego broń!). W tej sprawie domyślał się, iż w Ewie... – tak, po prostu: w Ewie! – ma dozgonną współniczkę. Nie mogło być inaczej, zważywszy na szal, który ją tamtej nocy ogarnął, na słowa, które szeptała, gryząc go tu i ówdzie. Nie mogło być inaczej!

Wcześniej omijał był burdele, nie porwał się na żadną ze służących, zaś koleżanki z żeńskiego gimnazjum traktował na sposób rycerski. I oto do czego doszło!

Lecz co dalej – nie wiedział.

Musiało minąć kilka dni, nim ochłonął na tyle, by ponownie udać się do Kurhausu (w Wielki, o zgrozo, Czwartek). Tam zaś brunetki, blondynki, do wyboru, do koloru, i cóż z tego, że żadna nie dorównywała pani – nie, nie pani, wciąż musiał się poprawiać – zwyczajnie: Ewie. I tylko z Polą – oraz jej surową siostrą – jedynie rozmawiał, popijając miętowy likier. A wszystko dlatego, iż nie chciał – tłumaczył sobie – brukać owej poetyckiej relacji, która go z dziewczyną połączyła.

– Pan tu, u nas, szuka zapomnienia? – zapytała któregoś dnia.

Potwierdził (przypomniawszy sobie jednocześnie w krótkiej chwili trwogi, że o zapomnieniu mówiła również Ewa, zanim wszystko wymknęło się spod

kontroli).

Posmutniała.

– Czy pan je znajduje?

Wzruszył ramionami.

I znów upił się tego wieczoru, i znów w mało poetycki sposób.

A dzień później w biurze odwiedziła go panna Lucyna.

– Czołem! – dziarsko rzuciła od progu. – Pan zamierzał wziąć udział w rajdzie, o czym wiem, gdyż poinformowała mnie kuzynka. Lecz następnie nie pojawił się pan na spotkaniu...

– Gdyż... – stropił się Grabski, szukając właściwych słów. Bo może i owszem, może powinien był się pojawić w domu Miklaszewskich jak gdyby nigdy nic, może powinien?! Niestety, odwagi starczyło mu na tyle, bo ową wizytę jedynie sobie wyobrazić.

– Tak czy inaczej, wszystko zostało ustalone. Pan pojedzie ze mną. W motocyklu z przyczepką.

– A pani... E... Miklaszewska? – to interesowało go bardziej.

– Kuzynostwo pełnić będzie funkcje sędziowskie. W swojej limuzynie.

Zacisnął zęby. Ewa z mężem... Czy będzie potrafił znieść ich wspólną obecność?

– Jak powinienem się przygotować? – zapytał, opanowawszy nerwy.

– Pan pojedzie ze mną – powtórzyła dobitnie. – Będzie pan pasażerem pod moją opieką. Wszystko, czego panu potrzeba, to okulary. Które sama panu dostarczę.

„Nie ma o czym dyskutować – zauważył w duchu, gdy już sobie poszła. – Wszystko zostało u s t a l o n e...”

I wnet aż chwycił się za głowę: przecież w ten właśnie sposób, wypowiadając każdą z liter niejako z osobna, zwykła była mówić Łucja... – Więc jednak nie zapomniałem o niej, nie potrafię...

W bezsenne noce bez końca zonglował imionami: Ewa, Lucyna, Łucja, zwinne kotki z Kurhausu: Pola, Lola... Doprawdy, ciężko było usnąć. I ciężko zrozumieć siebie: niczym Słońce okrążane przez jakże różne kobiece planety!

Polę spotkał również w wigilię rajdu, przy końcu krótkiego moła na przedłużeniu ogrodu Kurhausu. Bo choć wreszcie postanowił omijać ów dom z daleka, to i ciągnęło go w tę stronę.

– Pani tutaj? – ucieszył się szczerze.

Oczy miała zaczerwienione.

– Pani płakała? Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Ach, to na pewno z miłości! – wyrwało mu się lekko, zanadto beztrosko. Kąciki jej ust natychmiast powędrowały w dół i zadrgała broda.



– Przepraszam panią bardzo! – stropił się. – Proszę nie płakać... – dotknął palcami jej palców. Spojrzała pytająco. W Kurhausie dotykało je wielu, lecz nikt nigdy w ten sposób.

– Pan wie, co to nieszczęśliwa miłość, prawda?

Spuścił wzrok.

– Wiem.

– Lecz pan potrafi znaleźć zapomnienie...

– To... to... – poczuł, że musi wytłumaczyć się z tak częstych nagle wizyt w pokojach na górcie. – Nie powinienem był tego robić. Nie w ten sposób... – dukał czerwony na twarzy.



*Molo w Gdyni. W tle park Domu Kuracyjnego.*

– A jeżeli miłość jest wieczna? – pozornie zmieniła temat.

– Otóż boję się, iż tak właśnie jest... – wyznał po dłuższej chwili.

– A pan myśli, że ja... będąc w Domu Kuracyjnym...

– Ależ nie! – zaprotestował gorąco.

– Czy pan widuje swą ukochaną? – ponownie niby to zmieniła kierunek

rozmowy. – Czy pan jest pewien, że ona nie pana kocha, lecz tamtego... Krzysztofa...

– Pani go zna? – zdziwił się.

– Znam – szepnęła.

Teraz to on zadał wzrokiem pytanie. I nie potrzebował odpowiedzi. Zrozumiał, zaśmiał się – wystawiając twarz na wiatr. Po czym gorzko podsumował:

– Zatem mamy ze sobą tak wiele wspólnego!

– Wiele, prawda? – podniosła wzrok.

I nagle przypomniał sobie: o swych palcach na jej dłoni. Natychmiast cofnął rękę, schował ją za siebie. Odsunął się też o krok, przełykając ślinę.

Pola zamarła.

– Przepraszam panią bardzo – wykrztusił z siebie.

I odwrócił się, odszedł, fale uderzały chłodno o słupy pomostu, ona spojrzała w mroczną toń. I drgały jej ramiona.

Nazajutrz z jeszcze cięższym sercem stawiał się pod kościołem. To stąd rozpoczął się rajd.

– Jest pan! Proszę wsiadać! – komenderowała panna Lucyna. – Bałam się, że pan skrewi.

Z daleka uklonił się pani... Ewie. Jak gdyby nigdy nic pomachała mu dłonią. Stojąc u boku porucznika!

Grabski poczuł, że się czerwieni.

Zawarczał motor.

– Pojedziemy na próbę – Święto Jańską i Szosą Gdańską. Zanim się wszyscy stawiają...

Ledwie zdążył wcisnąć na głowę pilotkę i zsunąć poniżej czoła wielgachne okulary. Wystartowali, gnali, pędzili. O ile jednak koła motocykla twardo trzymały się podłoża, to rowerowe kółko przyczepki szalało, skakało niczym kauczukowa piłeczka.

– Pro-szę-zwol-nić – skandował mimowolnie, w rytm podskoków wehikułu.

Panna Lucyna spojrzała na niego z góry.

– Słucham?! Nie słyszę!

– Bo-ję-się-że-to-to-nie-wy-trzy...

Nie dokończył. Nie wjechali jeszcze na szosę, cóż mówić o minięciu figurki, gdy, widząc, zdarzył się większy kamień – i myk, fik, przyczepka najpierw wyskoczyła w górę (niebezpiecznie przechylając i motocykl), by zaraz opaść, lecz z tak wielkim impetem, iż wiotkie koło oderwało się od osi, odskoczyło niczym zając kilkoma susami w bok, a blaszana łódeczka, mydelniczka, zaryła ze zgrzytem w piach. I teraz to ona się oderwała, fiknęła kozła, „już nie żyję” – pomyślał Grabski, ponad ziemią przelatując głową w dół – zaś motocykl odpłynął

z warkotem w drugą stronę. Rozległ się huk, a zaraz po nim cisza. Rzec by można – śmiertelna!

– Panie Adamie... – usłyszał po chwili głos pełen lęku i niestety (tak pomyślał!) absolutnie nieanielski. Zamknął oczy. Wciąż w przyczepce, w pogiętą blachę zakuty jak dawni rycerze w zbroje. – Panie Adamie...

Bólu nie czuł nic a nic. Lecz mimo to zemdłał.

Zawieziono go do Lecznicy Nadmorskiej, do pani Słowikowskiej przy Bandurskiego. Bo było najbliżej i był tam rentgen, w przeciwieństwie do szpitala wincentynek.

Gips na szyję, na bark. I kolano. Cud, że nie stało się nic więcej.

Gdy już uświadomił sobie, gdzie jest i dlaczego, po pierwsze, zaczął się modlić.

„To kara – myślał – Aniele Boży, stróżu mój, ale i szansa. Słuszna kara, zdrowaś Mario, kara za grzechy i ostatni moment, by zboczyć ze ścieżki występku...”

Wtem!

– Siostró, siostrzyczko, niech siostra mnie pozwoli karmić chorego! Ja siostrę chętnie wyręczę!

Zamarł. Bo to był znów jej głos – Lucyny.

– Nie odstępę od swej decyzji, nie ma mowy! Nie odstępę od łoża... bóleści! Panie Adamie, czy pan mnie słyszy?

Otworzył oko. Z ostrożności (uznał, że tak będzie lepiej) – jedno.

Ach, jakże miała zboląłą twarz, jakże pięknie smutne spojrzenie. I jeszcze wielkie jak grochy łzy zakwitły jej na powiekach.

– Panie Adamie, kochany, to moja wina, tak bardzo pragnęłam panu zaimponować... Niech pan nic nie mówi, panu nie wolno, niech pan mruga okiem! O tak, o tak! W tej sytuacji mruganie to jedynie wyjście... Panie Adamie kochany, mnie tak jest przykro...

Następne dni ciągnęły się bez końca. Zaś panna Lucyna, deklarując nieustanną opiekę nad chorym, nie rzuciła, okazało się, słów na wiatr. W lecznicy zjawiała się rano, przed południem, po południu i wieczorem. Przynosiła kwiaty i owoce. Domowy kisiel z żurawiny. I pieczone udka przepiórki.

– Panie Adamie, przywieźli taką, co to się truła – plotkowała wkrótce, zaprzyjaźniona z doktorami i siostrami. – Truła się z miłości. A pan? Czy pan wierzy w tak silną miłość?

Westchnął.

– Mówią... aż nieprzyjemnie powtarzać... że to dziewczyna z Kurhausu. Zastanawialiśmy się z papą w związku z tym, czy aby stąd pana nie zabrać...

Nie zauważyła, że aż poderwał się na poduszce. Na tyle, na ile mógł.

– Z Kurhausu? – wyszeptał.

– Panie Adamie, niechże pan leży!  
– Z Kurhausu? – powtórzył rozgorączkowany. – Truła się?  
– Pan ma rację, oburzając się. Jednak w obecnym stanie nie możemy pana transportować... Absolutnie nie może być o tym mowy! Panie Adamie, pan ma pot na czole! Panie Adamie!

Zaalarmowana głośnym lamentem, przybiegła siostrzyczka. Za nią doktor – stanowczo zalecając choremu spokój.

Wieczorem wypytał o wszystko pielęgniarkę. Nie mogło być wątpliwości – chodziło o Polę.

Nie mógł zasnąć. Chciał nie-być. Nie-istnieć. Nie-myśleć.

Wydarzenia ostatnich tygodni naraz wydały mu się śmieszne. Lecz i straszne zarazem.

Zaś nazajutrz, szukając pani Słowikowskiej, do sali, w której leżał, zajrzała Lola.

– Pan tutaj? – zdziwiła się.  
– Czy z pani siostrą lepiej? – wyszeptał.  
– Lepiej.  
– Dlaczego? – zapytał.

Odwróciła się bez słowa, wyszła.

– Adamie, ty znasz te panie? – panna Lucyna nie kryła zdumienia.

Zamknął oczy, po policzkach spłynęły mu łzy.

Wieczorkiewicz zrazu obraziała się. Lecz tylko do wieczora, gdy wrócił jej dobry humor.

– Adamie, przyjeżdża twoja mama. Telegrafowałam do niej. Wyobraź sobie, lecz się nie denerwuj, jak strasznie się z papą cieszymy, że będziemy mogli poznać panią Grabską!

Masz babo placek! S t r a s z n i e t o o n s o b i e w y o b r a ż a ł (popijając nader pyszny kompot z miękkich gruszek): że oto panna Lucyna zagięła na niego parol.

Sęk w tym, że poza nią nikt inny go nie odwiedzał (ani Ewa! ani Łucja!). Tylko Lucyna, i wciąż Lucyna. Aż wreszcie się przyzwyczaił. Nie miał wyjścia – musiał.

## ROZDZIAŁ 27

### Uwolniony!

Nie minęły dwie minuty, gdy ponownie usłyszał chrobot klucza w zamku. Jęknął z całych sił.

I wnet dostrzegł nad sobą twarz: Witolda, listopadowego uciekiniera w stroju hotelowego boya!

Chłopakowi wystarczyło jedno spojrzenie. Chwyciwszy brzytwę pozostawioną na łóżku przez Kopecky'ego, zaczął przecinać sznur: wokół nóg Krzysztofa, wokół torsu. Mocując się z węzłem na dłoniach, ciachnął Wilczyńskiego w nadgarstek.

– Prędko! – ponaglał.

Krzysztof wstał i pociemniało mu w oczach. Z trudem poruszał zdrętwiałymi palcami. Przez uda przebiegały tysiące mrówek.

– Dalej, jazda! – Witold wciskał mu w ręce buty, spodnie i kurtkę. – Prędko!

Na korytarzu chłopak pobiegł w prawo. Krzysztof, kuśtykając, za nim. Minęli schody, skręcili za winkel. Kolejnymi schodami zbiegli pół piętra niżej, a potem do końca korytarza. Znaleźli się na niewielkim balkonie.

– Niech się pan ubiera i skacze! – rozkazał boy.

Krzysztof ocenił wysokość: trzy, może cztery metry.

– A ty?

– Ja sobie poradzę.

Wiele pytań cisnęło się na usta: skąd chłopak się wziął, gdzie tamci? Wybrał najmniej rozsądne:

– Przysłał cię Konstanty?

– Niech pan już skacze!

Przekroczył barierkę, objął palcami pręty, zsunął się, wreszcie otworzył dłonie. Gdy upadł, kolana ugięły się pod nim i przewrócił się na plecy. Zerwał się natychmiast i rozejrzał: by wbiec na Wzgórze Focha, musiałby minąć wszystkie okna zachodniej ściany Domu. Także te z holu i restauracji. Spojrzał w stronę Góry: porośniętej trawą i pojedynczymi krzakami.

Schować nie było się gdzie; a jednak musiał biec. Byłe pokonać te sto, sto pięćdziesiąt metrów po niewielkiej pochyłości, a potem skręcić w prawo – między wille, w kierunku Lipowej.

Biegł! Ile sił w nogach, ile tchu w piersi. Już połowa drogi, już tylko kilkadziesiąt kroków... Potknął się i padł na twarz. Rzucił okiem wstecz – i na szczęście nie zamienił się w słup soli.

Byłe do przodu, tam, gdzie zachodziło słońce!

Jeszcze kilka kroków, jeszcze!

Lecz, co potem: iść do siebie nie wchodziło w grę, do garaży Szemiotów –

podobnie; do Kota? Niby tak, ale tamci i na trop Konstantego mogli już zdążyć wpaść.

Dotknął nadgarstka: oblepionego krwią. Na szczęście nie wyczuł jej na twarzy. Kurtkę zapiął na ostatni guzik – by nie straszyć rozciętym ramieniem. Robiło się szaro, na Górze śpiewały ptaki, w oddali zabuczała syrena okrętowa, a od strony miasta doszedł zduszony jęk klaksonu.

„Gdyby tak natknąć się na swoich” – pomyślał o autodorożce.

Szedł pewnym krokiem.

Byle nie rzucać się w oczy!

I byle nie dać się dopaść tamtym.

## ROZDZIAŁ 28

Gość w dom...

Poczuła chłód, zamknęła okno.

Wieczory były najgorsze. Wcześniej, wiadomo, praca, po niej spacer – czy to w towarzystwie Krzysztofa, czy w gronie koleżanek (niekiedy nawet flirtując z pięknie się prezentującymi w mundurach, pewnymi siebie i zawsze skorymi do zaczepek marynarzami z wojskowych trałowców czy kanonierek). Później, od czasu do czasu, przedłużające się do nocy posiedzenia z sąsiadkami – zwłaszcza z Tolcią Wencel. Lecz najczęściej samotność. Gdy nie było do kogo się odezwać.

Radio mieć! To byłoby coś. Móc słuchać koncertów, pogadanek, porad czy odczytów. „Cała Polska słucha radia!” – przekonywały ogłoszenia z ogólnopolskich gazet. A przecież nieprawda, niecała, w Gdyni na przykład można było słuchać jedynie audycji z Wolnego Miasta. Polskie Radio rozpoczęło już wprawdzie budowę najmocniejszej radiostacji świata – w Raszynie pod Warszawą – lecz była to wciąż melodia przyszłości; w związku z czym wydatek ponad dwustu złotych (nie licząc kompletu lamp) na razie wydawał się nie mieć sensu.

Pozostawało czytać. Ach, jakże piękna była Greta Garbo na okładce jednego z ostatnich numerów „Światowida”! Albo jakaż dziwna informacja w „Dzienniku”: o duńskim malarzu Einarze Wegenerze, który jako pierwszy w świecie przeszedł chirurgiczną operację zmiany płci i teraz nazywał się Lili Elbe!

Kolejna wiadomość wręcz Łucję zmroziła: oto znajdowali się głupcy, bo doprawdy inaczej nazwać ich nie sposób, którzy na automobilowej drodze przysypywali warstwą piasku nic innego jak granat! „Straszne!” – myślała. Martwiąc się, rzecz jasna, o Krzysztofa.

Sporo ostatnio wypożyczała – odkąd Marian Niemierkiewicz przy swej księgarni przy skwerze Kościuszki (drugiej po sklepie braci Winnickich) otworzył i bibliotekę. Od samych tytułów kręciło się w głowie: *Panicz*, *Pustelnik*, *Sfinks*,

*Jawnogrzesznicza, Ślubne pantofelki*. Polecany przez Grabskiego z wypiekami na twarzy *General Barcz* strasznie Łucję znudził. Nie zachwyciła też *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza* (bo o defraudacjach i oszustwach – a Łucja tego typu ponurych historii nie lubiła). Dziś sięgnęła po starość: *Komediantkę*:

„Janka leżała chora. Zdawało się jej, że jest coraz dalej nie tylko od życia, ale i od marzeń, bo ilekroć razy chciała coś myśleć, kombinować, tworzyć w myśli jakiś obraz lub pojęcie, wymykało się jej wszystko z mózgu jakby przez jakieś olbrzymie szczeliny i czuła tylko pustkę i ból samotności...”

Ziewnęła.

„I pomyśleć – zastanowiła się – że mogłabym właśnie przygotowywać się do ślubu! Zapewne nie latem, może nie jesienią, może dopiero na Boże Narodzenie; choć kto wie, co tamtemu chodziło po głowie? I na pewno nie w Gdyni – lecz w Wyszkanie, u świętego Idziego”.

Nieważne.

– Może kiedyś?

Swoją drogą żał, że nie spotkała dziś zbója... (Krzysztofa – poprawiła się prędko). Mniejsza o rzeźki poranek, gdy aż chciało się biec rozświetlonymi ulicami, a potem wystawić twarz ku słońcu w oczekiwaniu na przyjazd autobusu. Lecz nie było go i po południu – gdy wracać miała z Orłowa.

Wydawał jej się taki... niezdecydowany! Pozornie śmiały i pewny siebie, owszem, w gestach wobec obcych niemal władczy, w tonie stanowczy, gdy czegoś chciał, i momentalnie ironiczny, kiedy rozmówca nie potrafił w lot odczytać, w czym rzecz („Szanownemu panu trzeba aby powtórzyć, wyjaśnić?”). Z kolei wobec niej, Łucji, był czuły, cierpliwy; tak, przede wszystkim czuły! Ale i w mig rozwiewał wątpliwości w chwilach jej wahania („Czy wypada mi aby włożyć...”). Żartowała: że rozkazuje, że strach mieć przy nim własne zdanie – a on się wtedy mieszał i łagodnie wykladał zawsze rozsądnie brzmiące racje.

Więc i polubiła to jego asystowanie. Zaś wspierana jego ocenami sama, czuła to wyraźnie, sama stawiała się bardziej pewna siebie.

– A jednak jest niezdecydowany – zwierzała się Tolci. – Ma w sobie bariery nie do pokonania, budzi dystans nie do przebycia. Zaś w kwestiach uczuć niczego nie ośmiela się deklarować.

Podjeżdżała, że niedobrze czuje się w skórze szofera. Że stąd owa niepewność – w mieście, gdzie co rusz to i przybywało szacownych urzędników i cieszących się prestiżem przedsiębiorców.

Może? Może powinien poszukać innego zajęcia? Ale jakiego? Restauratorem z pewnością byłby znakomitym! Tylko skąd wziąć fundusze? Może korzystna byłaby spółka?

Inna sprawa, że był przystojny. O, tak! Choć na swój niedbały sposób (co nie znaczy, że nieelegancki! Po prostu zdawać się mogło, że do wyglądu nie przykładają

najmniejszej wagi; a jednak zawsze prezentował się bez zarzutu; drapieźnie – uważała).

Tylko czy widziałyby się u jego boku już na zawsze? „Co na to – uśmiechnęła się, sięgając po odłożony tom – co na to powiedziałby tatko?”

Wtem!

Aż podskoczyła!

Już wcześniej miała wrażenie, że słyszy pukanie do drzwi. Dobrze sobie, o tej porze!

A jednak: ktoś wyraźnie się dobijał. Nerwowo, prędko.

Delikatnie, na palcach podeszła do drzwi. Spojrzała przez wizjer.

I aż odskoczyła!

Krzysztof!

Który wyczuł lub usłyszał jej obecność.

– Łucjo, otwórz, jeżeli tam jesteś. Potrzebuję twojej pomocy.

Drżącą ręką nie potrafiła przekręcić klucza w zamku. Szarpnęła za klamkę, spanikowana.

– Spokojnie – podpowiadał.

Wreszcie udało się. Wystarczyła szpara, by wślizgnął się do środka. Z krwią w kąciku ust i na dłoni – zauważyła. Oparł się o ścianę, wyciągnął rękę, by położyć ją na jej palcach i zamknąć na powrót drzwi.

– Boże – szepnęła. – Co się stało?

– Przepraszam cię, Łucjo. Nie miałem dokąd pójść.

Milczała. Coraz bardziej przestraszona.

– Łucjo, mam kłopoty. Tylko u ciebie mnie nie znajdują... – rozejrzał się. – Czy mogę napić się wody?

Drgnęła. Niemal niewidocznym ruchem wskazała w stronę kuchni.

Pił łapczywie, nachylony do kranu. „Jestem idiotą” – myślał.

– Co się stało? Pobili cię?

– Tak.

– Usiądź!

Posłuchał. I powtórzył:

– Tylko u ciebie z pewnością mnie nie znajdują.

Ona także usiadła. Z wciąż szeroko otwartymi oczyma.

– Czy masz jodynę? Wodę utlenioną? Czy umiałabyś zaszyć ranę? – dotknął dłonią lewego ramienia i skrzywił się. – Łucjo, muszę przemyć ranę!

– W łazience...

Zamknął się. Stojąc u drzwi, słyszała lejący się strumień. Przerazona. Zapukała.

– Krzysztof, pójdę do sąsiadki. Poczekaj na mnie...

A co: może miałby nie czekać? Mimo wszystko wyjść, zniknąć, by całe



zdarzenie przestało mieć miejsce – jak to bywa ze złymi snami?

Po schodach biegła, pokonując po trzy stopnie naraz. Czy ktoś go widział? Słyszał? Co powiedzieć? Że skaleczył się... Lecz kto?! Kto się niby skaleczył?

– Tolciu... – szeptała, pukając. Sąsiadka otworzyła rozespana. – Tolciu, czy ty masz jodynę, wodę utlenioną... Spirytus?

– Ależ Łucjo, co się stało?

– Nie mogę... Nie mogę powiedzieć. Proszę, pomóż...

– Łucjo...

– Proszę, pomóż i o nic nie pytaj!

Wróciła ze świadomością, że oto świat wali się jej na głowę.

Krzysztofa zastała w kuchni. Rozebranego do pasa, z błyszczącymi oczami.

Na jej widok wstał.

– Nie bój się, Łucjo. Wszystko będzie dobrze. Znajdź igłę i nić – wyjął jej z dłoni butlę. – Zrobisz to, co ci powiem. Wszystko będzie dobrze.

– Delikatnie – pouczał po chwili – lecz odważnie.

Syknął. Raz, drugi. Drżały jej dłonie. A jemu udo.

– Wspaniale, śmiało!

– Boli?

– Nie bardzo. Super! Ciaśniej! Sssss!

– Krzysztof, to trzeba inaczej.

– Nie mogę dzisiaj szukać lekarza. Jutro.

– Chcesz tu zostać? – A przecież wiedziała, że chce. Od początku chciał, po to przyszedł. Tylko, że wciąż liczyła na cud.

– Proszę cię o to Łucjo. Jeszcze raz. Świetnie ci idzie!

– Nie masz nawet koszuli.

– Nie mam. A tym bardziej nocnej koszuli – zaśmiał się. I natychmiast spoważniał, napotykając jej wzrok. – Łucjo, jeżeli tak postanowisz, więcej mnie nie zobaczysz. Lecz proszę cię o tę jedną rzecz: pozwól mi tu zostać. Będę spał... w wannie, albo na podłodze. Zaufaj mi. Muszę tylko zebrać myśli, przetrwać noc. Zyskać nieco czasu.

– Co się stało? Żądam wyjaśnień! – jeszcze nikt nigdy nie słyszał takiego jej tonu.

Spuścił wzrok. Westchnął.

– Czy popełniłeś, Krzysztof... – zadrżał jej głos, a zaraz i ramiona. – Czy popełniłeś przestępstwo? – Rozpłakała się.

– Nie, Łucjo – pochylił się ku niej, przyklęknął u boku stołka. – Nie popełniłem – powiedział łagodnie, ale i stanowczo.

Po czym opowiedział. O wszystkim.

No, prawie, ma się rozumieć, o wszystkim!



PAŹDZIERNIK

1930

## ROZDZIAŁ 29

### W blasku

Choć trudno w to uwierzyć, dopiero w sierpniu, po czterech niemal latach mieszkania w Gdyni, po raz pierwszy wstępowała na rozkołysany pokład. Łodzią wiosłową, owszem, pływała – w dawnych czasach i w pogodne dni. To wszystko!

A przecież Żegluga od lat działała z rozmachem: pływając na Hel, do Wolnego Miasta, do Sztokholmu, Kopenhagi, Helsinek czy Rygi. Najbliżej, bo do Orłowa, za ledwie pięćdziesiąt groszy! Zaś do Jastarni za złotych trzy.

Kołysanie. Poczwała je od razu. Krótki trap niby sztywno łączył burtę kutra z nabrzeżem, lecz wystarczyło dotknąć relingu i postawić stopy na pokład, by poczuć się inaczej. Niepewnie odwróciła głowę. Krzysztof uśmiechał się zachęcająco.

– Śmiało, Łucjo!

Nieco bawił się jej lękiem. Z jeszcze większym rozczeniem obserwując, jak stara się nadrabiać miną, jak niby wysoko podnosi podbródek, patrząc na braci, właścicieli kutra, a jednocześnie jak wciąż czujnie rozgląda się na boki.

Był ciepły, bezwietrzny wieczór. Większość spacerowych łodzi kołysała się wzdłuż mola, ukończywszy codzienną serię rejsów. I właśnie dlatego Krzysztof chciał, by płynęli teraz – inaczej niż wszyscy.

Bracia Wilke byli rybakami, zaś ich kuter niezbyt dużą, jednomasztową jednostką z długim bomem, szeroką i głęboką ładownią oraz z niewielką budką sternika. Wedle Krzysztofa wszystko to – łącznie z unoszącym się w powietrzu zapachem soli i rybich łusek – miało przesądzać o atrakcyjności łodzi. Sam przecież łowił przez jakiś czas – o czym zdążył Łucji opowiedzieć – a bracia, choćby prawdziwie morskim wyglądem, przewyższali fircyków pływających na statkach Żeglugi.

– Jak się czujesz? – szepnął.

– Bardzo dobrze – oczy jej błyszczały. – Proszę, nie przesadzaj z troską, ja jestem odważna, zaręczam!

– Panie Krzysztof, wypływamy? – zapytał znudzony nieco Franciszek.

– Flaga na maszt i cała naprzód! – odpowiedział Wilczyński. Zaterkotał silnik, Robert zwolnił cumy, wrzucił liny na pokład i wskoczył na odbijającą od pomostu burtę. Łucja całym ciałem poczuła przechodzące ją wibracje. Woda zakotłowała się, lekki podmuch rozwiały włosy. Zarzuciła Krzysztofowi rękę na szyję i pocałowała go w policzek.

– Chcesz sterować? – zaproponował.

– A mogłabym?

– To nic trudnego. Chodźmy – ruszył ku rufie.

– Czy możemy zobaczyć, jak to wszystko działa? – zapytał starszego z braci.

Młodszy, Robert, usiadł na skrzynkach, zapalił papierosa. Krzysztof z Łucją w jego miejsce wsunęli się do budki. Trzymał dłonie na jej biodrach, brodę składając na ramieniu dziewczyny.

– Może być?

– Może. Być. Wszystko.

Mijali falochrony awanportu.

– Naprawdę popłyniemy do Zoppot? I do Gdańska?

– Jeżeli to cię nie znudzi, popłyniemy. Franek, nauczmy pannę Łucję sterować!

Szyper uśmiechnął się, odsunął. Wilczyński chwycił dziewczynę za nadgarstki i poprowadził jej dłonie ku drewnianej obręczy.

– Chwyć za rumby – powiedział. – Wspaniale. Teraz obróć, przechyl... Widzisz, zmieniamy kurs!

Rzeczywiście: bardzo to było proste.

Tymczasem z oddali sunął ku nim brunatny węglowiec. Przez chwilę mogło się nawet wydawać, że znajdują się na jego kursie. Krzysztof, wciąż ujmując nadgarstki Łucji, łagodnie zmienił kierunek. Bracia palili już wspólnie.

– Nie jestem dzieckiem – uznała, że powinna to powiedzieć – i doskonale rozumiem, że żeglowanie to znacznie trudniejsza rzecz. Ale dziękuję i za tę lekcję!

Płynęli. W szumie fal przecinanych przez dziób łodzi, przy wtórce pracującego silnika.

Pojawiła się mewa, druga, trzecia. Wkrótce odfrunęły. Półwysep ciemniał w oddali, a zielone wzgórza po prawej.

Płynęli. Po toni spokojnej jak byłe jakie jezioro, wtuleni w siebie. Łucja oblizywała wargi.

Wtem! Z oddali dogonił ich długi dźwięk syreny. Robert zerwał się i wychylił za burtę. Franciszek zaklął.

– Coś się stało? – przestraszyła się Łucja, myśląc, że to efekt jej sterowania.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze – odparł Krzysztof. – Straż graniczna czy celna? – zapytał braci.

– Celna. Ledwo płyną.

Rzeczywiście, przerobiony na pościgową łódź kuter starej daty pruł fale z trudem, choć wprost ku nim. Franciszek wyłączył silnik. Zbliżającym się celnikom przyglądali się bez emocji.

– Nowe już zamówili – wykorzystał chwilę Franciszek. – Dwunastowęzłowe. W stoczni w Modlinie mają budować.

Owszem, w przyszłości.

– Hej, panowie, dzień dobry! A dokąd to o tej porze?

Powoli obija się burta o burtę.

– Na wycieczkę.

– Na wycieczkę?  
– Ten pan zamówił – Franciszek wskazał Wilczyńskiego. – Dla narzeczonej.  
– Taki romantyk? – zdziwił się celnik (zaś Łucja zapłonęła rumieńcem).  
– Panowie nas zapewne podejrzewają o przemyt alkoholu? – domyślił się Wilczyński. – Prawda, panowie? Przydałby się sukces w oczach zwierzchników?  
Celnik zasapał, pokonując szczepione na moment burty.  
– A jednak zajrzemy do ładowni... – uśmiechał się złośliwie.  
– Szkoda pana trudu – Franciszek wzruszył ramionami.  
– A może nam pan opowie – zaproponował Krzysztof – bo i pani chętnie posłucha... Niech pan opowie nam o tych złych szmuglerach. Co robią i w jaki sposób?

Zawiedziony zawartością ładowni celnik burknął tylko niegrzecznie. I jeszcze się rozglądał: gdzie by tu zajrzeć, gdzie poszperać?

– W kieszeni mam flaszeczkę – odezwał się niedbale milczący dotąd Robert. – Wypiję za zdrowie panów celników!

Urzędnik machnął ręką. Zły.

– Żartownisie!

– Do widzenia panu!

W trójkę – z Wilczyńskim – odepchnęli tamtą łódź.

– Przepraszam – Krzysztof zwrócił się ku Łucji.

– Ależ za co?

– Miało być romantycznie...

– Przecież jest – spojrzała w stronę miasta. Słońce zachodziło za wzgórze. I ledwo dotknęło linii lasów, za chwilę była go tylko połowa, rozżarzona obrączka, a i po niej wkrótce wspomnienie.

– Widzę ją jakby pierwszy raz – szepnęła olśniona.

– Gdynię? – domyślił się. – Piękna? – dodał.

– Niewielka... – zawahała się, spojrzała pytająco. – I mroczna...

– Łucjo, jaki ty masz właściwie kolor oczu? Wciąż tego nie wiem! Czy są piwne czy orzechowe? Może miodowe?

Obróciła się w stronę burty. Zadowolona. Czy już na zawsze szczęśliwa?

– Zdecyduj się wreszcie – pomyślała. – Zdecyduj!

Płynęli. W oddali majaczył Zoppot.



*Plaża miejska, hotel Polska Riwiera, a w tle Kamienna Góra.*

## ROZDZIAŁ 30

### Bez tajemnic

Wtedy, w maju, bardzo długo klęczał, trzymając głowę na jej udzie. Siedziała sztywno wyprostowana, bezwiednie gładząc jego włosy.

Opowiadał nie po kolei. Chaotycznie. Ale i niespiesznie – przez co opowieść snuła się melancholijnie, co jeszcze wzmagał ciepły tembr jego głosu.

Mówił najpierw o matce, której nigdy nie poznał; umarła wkrótce po porodzie. A była ponoć piękna, wesoła, dużo śpiewała. Wszyscy lubili ją za to – tak mu mówiono, o tym słuchał łapczywie przez długie lata dzieciństwa. Ojciec był z kolei człowiekiem wiecznie zajęтым, wciąż przemierzającym wielkimi krokami a to suche na pył, a to rozmokłe po kolana drogi i pola. Był też surowy dla syna i wciąż zmieniał mu piastunki. Podszczypywał je, tak po latach uznał Krzysztof, a przynajmniej próbował podszczypywać, więc to nie brak matczynych, opiekuńczych zalet decydował o przebiegu karier co rusz po sobie następujących pań-niań.

Z domu pamiętał masywny zegar, głucho wybijający godziny, kolorowe, pachnące kurzem narzuty, portret matki (niestety, tego, że była piękna, trzeba się było jedynie domyślać), dalej: konia na biegunach, zielony piec, bryczkę przed gankiem.

Z Pława zapamiętał głównie bielone ściany, strzechy na dachach i pokrzywione płoty. Oraz ogrody pachnące pomidorami, agrestem, porzeczkami. Wielkie grusze i równie wielkie, rozmiękłe, przebarwione późnym latem owoce.

Dalej zaczynał się świat: pałac w Nisku, wielki rynek w Rozwadowie (gdzie niektóre domy miały – uwaga! – aż dwie kondygnacje!). No i mosty, wąwozy, a wreszcie kościoły Sandomierza (o którym ojciec tak pięknie i z dumą potrafił opowiadać – że to jeden z mateczników polskości). Inne obrazy zatarły się przez lata. Nic dziwnego w przypadku kogoś, kto później zobaczył wielkie w porównaniu z prowincjonalnym miasteczkiem dzieciństwa: Kraków, Lwów, Budapeszt, a wreszcie miasta północy.

O tym też opowiadał: o pierwszej wojnie i postrzale pod Rafajłową. O chaosie ck wojsk, gdy go rannego przewożono w te i wewte, aż trafił nad Dunaj, a potem do Krakowa. Tam zdążył się zżyć: ze szpitalnymi portierami, z siostrzyczkami, z lekarzami. Na rok przed końcem wojny w tamtejszym pogotowiu pojawiły się pierwsze auta (tylko że paliwa najczęściej brakowało!). Niezdolny do służby, zdolny był prowadzić. Prócz tego postanowił studiować.

„Medycynę czy filozofię?” – zastanawiał się. Wpierw należało jednak uzupełnić wykształcenie, zdać egzamin dojrzałości. Ech, ileż godzin spędził nad książkami – zwłaszcza nad łaciną!

Studiować nie zdążył jeszcze zacząć, gdy znów trzeba było ruszać. Na



Kijów! Na Kijów! Z racji umiejętności prowadzenia aut przypadło mu miejsce w taborze, na zapleczu. Ileż to trwało? Ruszyli pod koniec kwietnia, by już 9 maja móc przypatrywać się defiladzie w Kijowie!

Lecz wkrótce Armia Konna Budionnego przebiła się na polskie tyły i przestało być wesoło. Z rzezi Żytomierza nie uratował się bodaj nikt. W Berdyczowie spłonął szpital – z kilkuset rannymi, personelu nie licząc.

Wycofywali się, by nie powiedzieć: uciekali, w te pędy, z górki na pazurki. Stanęli dopiero we Lwowie. I bronili go równocześnie z wydarzeniami pod Warszawą. Cudu nie było. Była krew i poświęcenie. Trzystu osiemnastu spośród trzystu trzydziestu obrońców–ochotników Zadwórza zginęło. Krzysztof był później wśród tych, co przeszukiwali pola w nadziei na wydobyć spod stosu ciał choćby jednego wciąż oddychającego. Nic z tego.

Mimo oswojenia z widokiem ran i krwi na medycynę go nie przyjęto, a na filozofię nie miał już ochoty. Kilka miesięcy spędził u ojca, lecz wreszcie wrócił do Krakowa. By wozic jęczących ulicami starodawnego miasta.

– Ktoś na ciebie w nim czekał? – zapytała przytomnie Łucja.

Podniósł głowę. Mrugnął zawadiacko okiem.

– W Krakowie, musisz Łucjo wiedzieć, jest inaczej. Przybyszowi niełatwo...

I dawaj, mimo bólu pokazywać, jak się należy w Krakowie kłaniać profesorom, jak wszechobecnym prałatom, a jak – dla odmiany – kanonikom, wreszcie – jak prezesom wszelkiego rodzaju towarzystw. I dalej: jak trzymać ucho filiżanki, jak nosić popowstańczą czerń (tę jeszcze z roku osiemset sześćdziesiątego czwartego) i jak patrzeć z góry na mieszkańców położonego na drugim brzegu rzeki Podgórze.

– To nie dla mnie... – mówił, krzywiąc się. Bo też od tego sztubackiego pokazywania, popisywania się na powrót rozboleła go rana.

– Musisz leżeć! – zdecydowała Łucja („Boże, co na to wszystko sąsiedzi?” – wciąż powracała trwoźna myśl).

Stół wsunęła głęboko w kąt, rozłożyła połowe łóżko. Przyniosła koc i poduszkę.

Położył się posłusznie. Śledząc każdy jej krok. Usiadła. Ręce położyła na kolanach.

I teraz to ona mówiła: o niewielkim miasteczku nad rozlanym szeroko, leniwym Bugiem. Gdzie także zapamiętała ogrody, i także zapach pomidorów! O wyprawach do Gdyni – jeszcze przed wojną, gdy tatko uparł się jeździć nad morze, lecz nie przez Kowno – nie opuszczając państwa carów – do Połagi lub Lipawy, a przez granicę – z początku do Zoppot, a potem do pobliskiej wsi. Opowiadała też o siostrach: zwłaszcza o starszej, Anieli, która to najpierw wprawiła rodzinę w popłoch, upierając się przy myśli o pójściu do zakonu – i zaczął się wtedy pachnący kadzidłem wielki post domowych nabożeństw

i modlitw – ale i to się jej wnet odwidziało i wyszła za męża za syna kościelnego. Kochana jest, kochana – mówiła teraz Łucja, lecz dało się poznać, że dominacja siostry, jej zamieszkanie wraz z mężem w rodzinnym domu Sobierajów, a wkrótce raz po raz nadchodzące narodziny siostrzeńców, położyły cię na beztróskim, wesołym dzieciństwie.

Młodsza, Józia, była z kolei zamknięta w sobie, nerwowa i sentymentalna. „Ale to dziecko jeszcze” – tłumaczyła Łucja Krzysztofowi, a ten rozczulał się wraz z nią i marzył o poznaniu uroczych – nie mogło być inaczej – siostrzynek swej wybawicielki.

W każdym razie jej, Łucji, chciało się czegoś innego. Nie powtarzających się i trwających w nieskończoność rodzinnych obiadów, biadoleń na niewystarczająco domyślną służbę i nawracające choroby dzieci; i nie wąskiego kręgu wciąż tych samych twarzy, ich nudnych marzeń i skromnych aspiracji.

W pewnej chwili znajomy tatki, pan Ignacy Jacewicz, oznajmił był, że przenosi się do Gdyni, gdyż tam otrzymał posadę. W sercu Łucji coś drgnęło. Latem, gdy po zdanej przez Łucję maturze po raz kolejny całą rodziną wyruszyli nad Bałtyk, pan Jacewicz witał ich na dworcu niczym szczęśliwy, z dawna osiadły tu gospodarz. W Łucji coraz mocniej dojrzewiała myśl... Aż wreszcie... uciekła – po kolejnych kilku miesiącach. Tak jest, uciekła, skoro o niczym innym nie mogło być mowy. Uciekła do zdziwionej najpierw jej obecnością, a potem przerażonej pani Miklaszewskiej i pod skrzydła oniemiałego z wrażenia pana Jacewicza. Wnet zaczęła się wymiana stanowczych telegramów i oblanych łzami listów. Lecz Łucja uparła się i postawiła na swoim.

– Na początku strasznie było mi ciężko – powiedziała.

Krzysztof zaś dziwił się:

– Łucjo, musiałaś być niezwykle odważna!

Wzruszyła ramionami. Bardzo nie chciała się rozplakać.

– Leż – poprosiła, gdy próbował się unieść.

Rzeczywiście, czuł się słabo. Myśli wirowały.

I znów to on mówił: o tym, jak i jemu niełatwo było znaleźć sobie miejsce w Krakowie, jak uciekał przed samym sobą (i tu – skłamał; wszak nie przed sobą uciekał), jak w Gdyni spotkał Konstantego (dziw, że nie spotkałem ciebie – zauważył z cieniem uśmiechu, to był rok dwudziesty siódmy, kiedyśmy się tu musieli minąć, prawda?), jak nie wiodło im się najlepiej, aż wreszcie znaleźli miejsce na statku (i znów – skłamał – lecz nie miał odwagi, by opowiedzieć o wszystkim). Byli jak bracia, nierozłączni, w portowych miastach i na bałtyckich redach. To wtedy zaczęli zarabiać. Dogadywać się z kapitanami okrętów, z celnikami, ze strażnikami. Alkohol. Prawie zawsze chodziło o alkohol. Pożądany w objętych prohibicją portach północnego i północno-wschodniego Bałtyku.

– To było wbrew prawu, dobrze rozumiem?

Potwierdził, choć niechętnie. „Swoją drogą – pomyślał – nigdy wcześniej go przemyt nie zawstydział.”

Ale i ona wiele widziała. Już tu, w Gdyni, gdy poznała pana Jana... (Z tym że – uświadomiła sobie – nigdy jeszcze żaden przestępca – przeraziła się tego słowa, więc prędko je z myśli wymazała – nie prosił jej o tak wiele!)

Westchnęła.

– Teraz to wraca, prawda?

On również westchnął.

– To dlatego cię dziś pobili?

Zamknął oczy. Nie odpowiedział.

– Krzysztof, to muszą być szalenie niebezpieczni ludzie. Czy bardzo cię boli? Czy mogę coś więcej dla ciebie zrobić?

– Dziękuję ci, Łucjo, za wszystko.

I chciał jeszcze powtórzyć, gnębiony wyrzutami sumienia: jeżeli zechcesz, już nigdy nie stanę na twojej drodze... Lecz i na to nie miał sił.

– Pójdę się położyć, późno już – zdecydowała. – Jutro muszę iść do pracy.

Zerwał się, aż zakręciło mu się w głowie. Łucja przeraziła się zrazu, lecz tylko chwycił jej rękę i całował. Nic więcej się nie wydarzyło.

Dopiero rankiem, po nieprzespanej nocy, oznajmiła stanowczo:

– Krzysztof, chciałabym móc ci wierzyć. Chciałabym, żebyś uniknął kłopotów; abyś na nie w ogóle nie zasługiwał! Inaczej będę żałowała, że tu, u mnie, zostałeś.

Zdawała się zboląa. Z opuszczonymi ramionami, z dłońmi nerwowo ściskającymi skórzane paski torebki. Powinien był wstać, objąć ją, przytulić. Lecz nie dał rady – znów!



*Skrzyżowanie Świętojańskiej i 10 lutego w latach trzydziestych.*

## ROZDZIAŁ 31

### Najsłabsze ogniwo

Tamtej nocy wszystko przemyślał. Poukładał. Ramię bolało, rwało, nim szarpała złość. Nienawiść.

Zasnął dopiero po wyjściu Łucji. Wkrótce obudził się i po raz kolejny obejrzał ranę. Nie wyglądała najgorzej. Mimo to potrzebował pomocy. Kota. O ile on sam nie popadł tymczasem w tarapaty.

Po południu wyznał Łucji to, o czym nie wspomniał nocą: tak, owszem, i tu w Gdyni wplątał się nielegalne interesy. Nadepnął na odcisk komuś ważnemu... Mówił o tym spokojnie, godząc się na spodziewaną reakcję dziewczyny. Ta wyglądała na załamana.

Poprosił o jeszcze jedną, ostatnią przysługę. By poszła do Budapesztu i odnalazła Kotkowskiego.

Zrobiła to z duszą na ramieniu. Nie chciała mieć takich znajomości. Pan Jan – z dawnych czasów – wystarczył.

Konstanty zareagował spokojnie. Wtedy zaczęła płakać, opowiadając o ranie Krzysztofa i o tym, jak ów okazał się człowiekiem zupełnie innym, niż do tej pory myślała.

Wspólnie zeszli ku miastu. Kot odprowadził Łucję pod dom, a potem wyruszył, by znaleźć zaufany środek transportu.

Gdy wrócił i zadzwonił do drzwi, jedli kolację, milcząc. Przyjaciół przyniósł i koszulę.

– Pięknie pani mieszka – zauważył Kotkowski, gdy Krzysztof zamknął się w łazience.

„Zbytek łaski” – skwitowała w myślach niepotrzebny jej w tej chwili komplement. Choć głos Konstantego, musiała przyznać, brzmiał przyjaźnie i łagodnie.

Kiedy wychodzili, Krzysztof zatrzymał się.

– Przepraszam cię, Łucjo.

– Idź z Bogiem – odpowiedziała. I poczuła żal. Wielki, potworny żal.

Patrzyła przez okno, gdy odjeżdżali.

W tym czasie Kopecky z Bubulą szperali. Węszyli po mieście. Trzeba się było spodziewać, że trafią w końcu na ślad Konstantego. Dlatego ten rodzinę wywiózł tam, gdzie ulokować udało się i Krzysztofa.

A sam działał.

Najpierw, wespół z chłopakami, spróbowali zasadzić się gdzieś po drodze – pomiędzy Kolibkami a Zoppot. Lecz to wiązać musiało się z niebezpieczną w skutkach strzelaniną, z niechybnym rozgłosem. Myśleli więc także o rozprawie w Gdyni. Lecz gdzie – na ulicy? Wtedy mogliby jedynie ranić, a potrzebowali

pewności.

Wreszcie, posługując się fałszywym paszportem, wynajął pokój w Kasino Hotel. W ostatniej chwili! Bo gdy tak się złożyło, iż spotkali się przy recepcji, Kopecky zapowiadał zwolnienie numeru nazajutrz.

– Pan w interesach? – zapytał niedbale Kotkowski.

Kopecky zmierzył go wzrokiem. Nie odpowiedział.

Po raz kolejny spojrzeli na siebie o świcie. I był to ostatni widok, jaki dane było ujrzeć kierowcy gangsterów z Chicago.

Nóż wszedł w szyć bezszelestnie – tak jak i Kot do nie swojego pokoju. Czujny Kopecky zdążył co prawda otworzyć oczy, a dłonią poszukać rewolweru. Ale to wszystko. Prócz śladu zębisk na dłoni Kota. Wszystko. Koniec! Ze śpiącym jak dziecko w sąsiednim pokoju Bubulą poszło jeszcze łatwiej.

Do Bydgoszczy pojechali we dwóch.

– Czy pan Król? – zapytał Wilczyński, gdy tamten wychodził z bankietu w rzešką majową noc.

Doskoczył Krzepicki:

– O co chodzi, panowie?

– Przywozimy pozdrowienia od pana Kopecky’ego – odrzucił go spokojnie Krzysztof.

Pan Jan dosłyszał, zainteresował się.

– Nie rozmawiajmy na ulicy – zaproponował Krzysztof. – I nie w tak wielkim gronie.

– O co chodzi? – Król zaniepokoił się, władcym skinięciem odsuwając jednakże gorliwych drągali z obstawy.

– Przywozimy pozdrowienia od mister Kopecky’ego. Niestety z za grobu, o czym informuje prasa...

– Kim jesteście, ja was każę aresztować!

– ...natomiast pana matka – Krzysztof nie stracił rezonu, aż tamten w okamgnieniu zdrętwiał – pana matka cieszy się zdrowiem bez mała doskonałym. Jak na swój wiek, ma się rozumieć, oraz wcale nie za ciekawy – podkreślił – klimat Orłowa.

– Czego chcecie? – pan Jan w lot zrozumiał, że warto, że trzeba rozmawiać. – Czego chcecie?

– Spokoju. Na rozsądnych zasadach.

Wcześniej zastanawiali się, czy aby w ogóle konieczna jest owa podróż do Bydgoszczy. Skoro nie mógł już im zagrozić Kopecky. A jednak: woleli uniknąć niespodzianek w przyszłości. Dogadać się.

I któż by pomyślał, że tak wiele złego – lub dobrego, to zależało od punktu widzenia – uczynić może upór staruszki! Pan Jan od miesięcy chciał ją sprowadzić do siebie. Oponowała stanowczo. „Niewielu o jej istnieniu wie – pocieszał się

wtedy – a ci, którzy wiedzą, wiedzą równocześnie, że mnie trzeba się bać...” Tak było, byli tacy, co się bali. Do czasu, jak widać, do czasu...

– Nie chcielibyśmy dowiedzieć się, że pana mamusia podjęła zamiar wyjazdu. Bo przecież dobrze jej w Gdyni? – rozpoczął nazajutrz pertraktacje Wilczyński. – Zresztą, chcielibyśmy zapewnić jej opiekę, za pozwoleniem pana prezesa...

Król poczerwieniał.

– Skurwysyny!

– Panie Król, bądźmy rozsądni. Nie chcemy wojny, chcemy współpracy. Dostyc ofiar, nie uważa pan?

Porozumieli się, mimo wzajemnej nieufności. Wilczyński z Kotkowskim zapewnić mieli dochody. Pan Jan kontakty i wiedzę. Owszem, obie strony zdawały sobie sprawę, na jakże kruchych fundamentach opiera się owa zgoda, lecz cóż było robić?

Po powrocie mógł wreszcie odwiedzić stare kąty.

– Panie Wilczyński – załamywała ręce Gierszewska, gdy wszedł do splądrowanego pokoju. – Draby jakieś przyszły, deski w podłodze wyłamywali, ja myślała z początku, że to rozbiórka się zaczyna... – Resztek pieniędzy nie znalazł. Zresztą nie spodziewał się niczego innego. Mniejsza z nimi. Mniejsza z barakiem – i tak musiałby wkrótce szukać nowego lokum.

Do Szemiota poszedł z kolei z dobrą wódką.

– Co pan będziesz robić, panie Wilczyński? – zapytał ten, gdy już zrozumiał, że Krzysztof nie błaga go o powrót do pracy, wręcz przeciwnie. Zapytany, wzruszył tylko ramionami.

A Łucji wysłał wielki kosz – z kwiatami, kakao, bakaliami. Napisał: „Dozgonnie wdzięczny K.” Na więcej zdobyć się nie potrafił.

Zarumieniała się na widok posłańca.

– Czy coś przekazać? – dopytywał się wystrojony na życzenie przyjaciela Kot.

– Gdzie on... teraz...? Czy nic mu nie jest?

– Wszystko w porządku, łaskawa pani. Po ranie ani śladu. Czy coś przekazać? – powtórzył.

– Nie. Nie wiem... – poprawiła się.

Chciałaby go zobaczyć. Porozmawiać. Choćby ten jeden, ostatni raz.

## ROZDZIAŁ 32

Jeszcze jedno!

Przez długi czas nie dawał znaku życia. Czowała się źle. Zagubiona. I samotna.

Pewnego dnia u Anflinkowej – lecz po co tam poszła? przebierać w bieliźnie? szukać kostiumu kąpielowego na nadchodzący sezon? – natknęła się na Adama.

– Panna Lucyna Wieczorkiewicz – wyraźnie zakłopotany Grabski przedstawiał sobie panie – panna Łucja Sobieraj...

Tamta spojrzała na Łucję z góry. Łucja zaś na temblak na rękę Adama.

– Miałem wypadek – ściszył głos.

– Wypadek?

– Podczas rajdu motocyklowego – pospieszyła z głośnym, niemal radosnym wyjaśnieniem panna Lucyna.

– Czy poważny? – zaniepokoiła się Łucja, czując, iż poważnych wypadków wydarzyło się wokół niej stanowczo zbyt wiele ostatnimi czasy.

– A skąd! Tak to jedynie wyglądało, prawda, Adasiu? Lecz Adaś był taki dzielny, proszę sobie wyobrazić...

Nie była w stanie słuchać uważnie.

Po jakimś czasie otrzymała list.

„Łucjo, dni bez Ciebie są nie do zniesienia! Chciałbym Ci wszystko wyjaśnić i prosić o wybaczenie. Jest zresztą jeszcze jedno, o czym powinnaś wiedzieć, lecz... boję się i Ciebie – Twojego słusznego gniewu – i żyć bez Ciebie... Czy potrafisz uwierzyć, że nawet najpodlejszy człowiek – a takim się czuję po tym, jak bardzo Cię przestraszyłem – potrafi się zmienić? Błagam o szansę. Kocham. K.”

I znów: milczenie. Milczenie z owym głuchym k o c h a m w tle.

Aż wreszcie czekał na nią pod urzędem, to była już połowa czerwca, i choć nie powinno, to jednak mocniej zabiło jej serce. A on stał – nieśmiały, niepewny. Podmuch wiatru niemal zerwał mu z głowy kapelusz i wygiął trzymany w rękach bukiet (bukiet! jak ten od Grabskiego ledwie kilka tygodni wcześniej!). Niemniej zrobiła niepewny krok w jego stronę. Wtedy i on ruszył naprzód.

– Łucjo, przy tobie tracę rezon... – zaczął, jakby tego typu wyjaśnienie było w tej chwili najważniejsze.

Oddychała płytko, czuła jak krew uderza jej do głowy.

– Zmieniłem mieszkanie, zmieniłem zajęcie. To dla ciebie! – wręczył różę.

Potem, gdy spacerowali, nieco usztywnieni, nieco sobą onieśmieleni, nie chciała pytać o zbyt wiele. On także nie wracał do tego, co zaszło.

– Będę dostarczał towary na statki – powiedział na którymś z kolejnych spacerów. – Być może otworzę sklep. Zobaczysz, jaki będzie piękny, przestronny.



Zobaczysz!

I mówił to z taką radością, z takim przekonaniem, że chciała dać się uwieść.

– Sklep?

– Artykuły kolonialne. Może konfekcja? Jak sądzisz, co odniesie większy sukces?

Właściwie wciąż się bała. Jego i o niego. Na szczęście nie powtarzał owego kocham – z listu. Na szczęście. Bo chciała mieć czas.

– Momentami czuję się stara – wymusnęło się jej niespodziewanie.

Przestraszył się. I zrozumiał. Że zbyt wiele i zbyt poważnych zdążył dostarczyć jej wrażeń. Wiele czasu musiało upłynąć... Powoli!

No a teraz jarzył się przed nimi Zoppot. Kasino Hotel. I lśniły kadłuby jachtów przy oświetlonym moło.

– Nie wiedziałam, że takie to przyjemne – powiedziała.

– Mianowicie?

– Pływanie. Nocą.

– Słyszysz, Franciszku! Mówiłem: rzućcie ryby w cholere i zaczynajcie pływać z letnikami. Zwłaszcza nocą!

Franciszek skrzywił się.

– Bo ja wiem...

– Łucjo, a może wybralibyśmy się do Opery? Na *Parsifala* albo *Zmierzch bogów*? Tutejsza opera w lesie – mówią – niepowtarzalna...

– Nigdy nie byłam w operze...

– Nigdy też nie płynęłaś...

To prawda.

– To co, panie Wilczyński – wtrącił Franciszek. – Kurs nach Danzig?

Krzysztof spojrział na Łucję.

– Moglibyśmy?

– Pewnie, czemu nie! Mógłbym tak pływać przez całe życie!

Doceniła to.

– Robi się chłodno, mimo wszystko wracajmy...

– Ty jesteś dzisiaj kapitanem – zgodził się bez wahania.

Znow zaterkotał silnik. Ruszyli powoli, dziobem zataczając szerokie koło. Niewiele było świateł po wschodniej stronie, od morza i półwyspu. Ot, jeden czy dwa frachtowce uśpione na redzie.

– A ty bywałeś w operze? – przypomniało jej się.

– Tobie naprawdę jest zimno – zauważył. I otulił jej ramiona swoją kurtką. – Bywałem w Teatrze Miejskim imienia Słowackiego – tam również wystawiano opery.

– W Krakowie?

– Tak.

Zamyślił się. Zapalił papierosa. Płynęli teraz szybko.

– Krzysztof – przemogła się wreszcie – wtedy napisałeś, że jeszcze jedno muszę o tobie wiedzieć.

Wyprostował się.

– Tak, tak właśnie napisałem.

– Ale ja... nie jestem pewna, czy tego chcę... – wyszeptała ostrożnie.

– Niestety, musisz, Łucjo, musisz.

Już wtedy poczuła, że miękną jej nogi.

– Czy pamiętasz, jak przed rokiem słałem pieniądze – i spotkaliśmy się przy pocztowym okienku?

Pamiętała, oczywiście.

– Zatem posyłam. Do Krakowa. Tam mieszka mój syn – zawiesił głos, odchrząknął. – Oraz, że tak powiem, moja...

I wtedy pokład na dobre usunął się jej spod stóp.

## ROZDZIAŁ 33

### Osaczony

– Chciałbym – dukał i przelykał ślinę. – To znaczy... chcielibyśmy... z Lucyną... – chwycił dłoń narzeczonej. – Chcielibyśmy zaprosić panią... – wytrzymał figlarne błyski w spojrzeniu pani Ewy, ale mimo to zawahał się. – Panią i pana... – przypomniał sobie o obecności porucznika (a Lucyna cały czas trącała go łokciem) – zaprosić, jednym słowem, państwa... na nasz ślub.

I co? Powiedział, co miał powiedzieć, świat się nie zawalił!

Za to Lucyna zapiszczała długo, przeciągle, a potem wyskoczyła z wiklinowego fotela i popędziła w ramiona kuzynki. Z kolei porucznik pospieszył gratulować Adamowi – nieskładnie i niewyraźnie.

– Tak prędko? – dziwiła się jeszcze pani Ewa, odsuwając Lucynę na długość ramion i spoglądając z półuśmiechem na Grabskiego.

– Ależ, Ewuś, na co czekać! Po co zwlekać? – gorączkowała się dumna narzeczona. I wnet skoczyła ku porucznikowi, by i jemu pozwolić całować policzki i dłonie. Za to Adam chwycił podawane mu ręce Miklaszewskiej. Zaczerwieniony, zapominając języka w gębie.

– Panie Adamie, gratuluję! – mówiła zmysłowym, obniżonym głosem. – Będziemy się, myślę, częściej widywać – gdyż słuch o panu zaginął!

A przecież wiedziała: czas jakiś przeleżał był w szpitalu, a i potem musiał wypoczywać. Zresztą: czego się spodziewała? Że będzie u nich bywał? Tak jednak właśnie musiała myśleć – sądząc po powłóczyстым spojrzeniu, ciut przedłużonym dotyku dłoni, otarciu biodra o biodro, gdy go mijała.

– Gratuluję i tobie jeszcze raz, Lucynko, bo pan Adam to prawdziwy skarb!

– Prawda! – ucieszyła się Lusja. – Taki mądry i taki wrażliwy!

Wkrótce, po chwili pełnego egzaltacji uniesienia, opadli na powrót w wygodne muszle ogrodowych foteli. Wokół upojnie pachniały malwy, mieczyki i dale (pani Ewa wielką wagę przykładając do wyglądu ogrodu), gospościa dolewała kawy, donosiła lemoniady, dbała, by nie zabrakło ciast. Przemknął, bucząc basem, bąk. Czarny kot wynurzył się z krzaków i zaraz w nie wrócił. Zaś Grabski... Tak jest, czuł się zagłaskiwany na śmierć. Czuł się kochany aż do przesady. Wprost osaczony miłością!

– Ale że w październiku? – trącił go porucznik, wrywając z zamyślenia.

– Liczymy – twardo rozwiewała pogodowe wątpliwości świeżo upieczona narzeczona – na wspaniałą polską jesień.

– Do grudnia nie lepiej poczekać? Na niepowtarzalną scenerię świąteczną?

– Ależ Stefan, nie szukaj dziury w całym. Pozwól młodemu decydować.

„I zadecydowali... śmy!” – z przekąsem myślał Adam, sięgając po szklanekę z zimną lemoniadą. Czy on w rzeczy samej decydował, czy tylko i wyłącznie

Lucyna, stanęło na początku października. Na Oksywiu i w Komendzie Portu Wojennego (bo jak by się mogła inaczej wydawać pułkownikówna?). Przy gościach ponad stu. I na balu na dwadzieścia cztery fajerki. A im bardziej realnych kształtów nabierało to, co z początku zdawało się jedynie mglistym jakby oparem, tym częściej zadawał sobie dokładnie to samo pytanie, które właśnie zadała Miklaszewska: dlaczego tak prędko?

– Spójrz, Stefciu, jaki pan Adam przejęty! – żartobliwie skomentowała jego zamyślenie pani Ewa.

– Bo też i decyzję podjął ważką! – krzyknął dyszkantem porucznik. – Hi-hi, hi- hi! Hi-hi!

– Swoją drogą – Miklaszewska podniosła do ust filiżankę – skoro Lucyna jest naszą kuzynką, a pan Adam będzie jej mężem...

– ...wręcz nie wypada, byśmy sobie dłużej panowali! – domyślił się porucznik. – Prawda to, hi-hi, hi-hi! Bruderszaft! Pora na bruderszaft!

– Stefan, ja cię proszę: zrezygnujcie, jako mężczyźni, z barbarzyńskich ceremonii! Mówmy sobie po imieniu – i już!

– Dziękuję ci, Ewuś – ucieszyła się panna Lucyna.

– Panie Adamie... To znaczy: Adamie! – prędko poprawiła się Miklaszewska. – Czy pozwolisz sobie dołożyć ptifurków?

Porucznik z Lucyną buchnęli piskliwym śmiechem.

Co tu kryć: Grabski czuł, że wpadł jak śliwka w kompot. Ale czy nie pokochał zarazem panny Lucyny? Czy nie zakochał się w niej? W rzeczy samej: tak!

Była pełna energii, wiecznie uśmiechnięta, praca nieustannie przed siebie. Gdy panikował w szpitalu, iż nie odzyska pełni zdrowia (a skończyło się wszak szczęśliwie na wstrząśnieniu mózgu, wywichnięciu barku i bolesnych potłuczeniach), ona zawsze była przy nim i zawsze umiała go przekonać, że nie ma się czego bać: że jego ręka (pisarza!) będzie sprawna jak dawniej.

Wnet uporządkowała mu życie: gdy zjawiała się na Grabówku, miotły aż furczały, a nieprzyzwyczajeni i niezbyt skłonni do porządku koledzy do późnej nocy szorowali deski podłóg. Z tym, że „kochany Adam” nie mógł tam oczywiście dłużej mieszkać. Prędko udała się więc do redakcji i tak długo molestowała Kiełbratowskiego, aż zgodził się dać Grabskiemu wcześniej nieosiągalną podwyżkę. Na mieszkanie z puli Zakładów Ubezpieczeń trzeba było czekać. Dlatego korzystając z kontaktów ojca, znalazła Adamowi tymczasowy pokój w pensjonacie Różany Gaj, dziwiąc się jedynie temu, że pod żadnym warunkiem nie chciał zamieszkać u Miklaszewskich.

Tam mieszkała panna... – zaczął, zawahał się.

– Ach tak, rozumiem – domyśliła się. – Panienska z pocztowego okienka?

„Co ona we mnie widzi?” – zastanawiał się mimo wszystko nie raz,

oszołomiony. A widziała (co też i wykrzyczała ojcu, któremu niezbyt uśmiechał się kawaler): romantyczną duszę, cierpki dowcip, opanowanie (czym wykazywał się wielokrotnie, a zwłaszcza po wypadku) i wreszcie niedający się ukryć potencjał na znakomitego sportowca (czy to motocyklistę, czy pisarza–rajdownca). Kogoś zatem, kogo inni będą musieli zasłużenie podziwiać.

Zresztą długo by mówić: podobał się jej i już. Ze swymi zielonymi oczyma, pieprzykiem nad wargą, blond grzywką i w ogóle – proporcjonalną figurą.

– A za wojskowego – powiedziała ojcu, gdy już minęła jej pierwsza fala furii – za wojskowego nie pójdę. Nie ma mowy i niech to sobie ojciec raczy zapamiętać!

– Wojskowy dobry, bardzo dobry – jeszcze próbowała wtrącić trzy grosze matka. Cóż, w odpowiedzi usłyszeli tylko donośne trzaśnięcie drzwiami i tyle swą Lucuś widzieli. Córnię z wiatrem we włosach i z ogniem w spojrzeniu. Hardą motocyklistkę.

Wkrótce wymogła na Adamie, by pokazał jej swe próby literackie (tego, że pisze, domyśliła się niezawodnie, „w przypadku tego typu konstrukcji psychicznej nie mogło być inaczej!” – uważała).

– Wymagają oczywiście poprawek – zawyrokowała już na drugi dzień po otrzymaniu rękopisów. – Lecz nie bój się, znajdziemy wydawcę. To się nie może zmarnować – wykrzykiwała z tak wielką wiarą, że i on już prawie od nowa w siebie uwierzył.

– Pojedziemy w Karpaty – tam będziesz pisać. Wśród gór, przy wtórze wichrów i w towarzystwie podchodzących pod szalas niedźwiedzi. O ile nie wolisz, kochany, wyprawy zagranicznej? Szlakiem malarzy włoskiego renesansu? Tudzież trasą kolarskiego wyścigu Tour de France, gdzie przyglądać się będziesz nadludzkim wysiłkom herosów nowej ery? Zresztą sam pomyśl, najdroższy: w jakiejże dziedzinie czuć się będziesz najlepiej?

Łechtany komplementami i porywany entuzjazmem dziewczyny Grabski, owszem, chętnie by się zastanowił. Lecz absolutnie nie było kiedy. Oto już przeprowadzka: kilka książek, garderoba. I zapierający dech widok z okna – na zatokę. Potrafił siedzieć i patrzeć – długimi godzinami. O ile rzecz jasna zdarzało się, nie za często, że mógł sobie na to pozwolić – będąc sam.

Pewnego dnia Lucyna zasiedziała się. Motocykl czekał przy furtce, dzień był długi, jeden z najdłuższych w roku.

Zaczęło się od pocałunków, krótkich i nerwowych, następujących po sobie raz za razem. Bo przynajmniej panna Luscia uważała, że tak to powinno wyglądać, i nic a nic nie dawała się, wytrenowanemu w Kurhausie Grabskiemu, rozsmakować.

Wkrótce krążyć poczęły dłonie. Po udach, brzuchach, piersiach, po szyjach, po policzkach, po łopatkach, co miało stwardnieć, stwardniało, kto myślał, że

powinien omdleć, ten niemal omdlewał (i nie był to oczywiście Adam), było gorąco, mlaskająco i cmokająco, wzdychająco, aż do napadu strachu:

– Ależ Adamie!

Oprzytomniał, stracił werwę.

– Tak?

– A gdybym zaszła w ciążę? – wydukała przerażona własną odwagą.

Wzruszył ramionami. Nie było o czym mówić – na razie.

– Ja mam nadzieję, że ożeniłbyś się ze mną w takiej sytuacji...

Zachnął się. Spojrzał w okno.

– Tak – odparł wreszcie, myśląc, że to tylko słowa. – W takiej sytuacji bym się z tobą ożenił.

I to wystarczyło. Bo od tej pory nic, tylko ślub! Ślub, a po nim dzieciątko, dzieciaczek, wózeczek... – Oświadczyzny zorganizujemy w sposób prosty, bez zbędnych ceregieli, uprzedzę papę, przyjedziesz, pójdzie jak z płatka. Z weselem – trudniej. Ale czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham?

– Pytam, czy mnie słuchasz!

Nie słuchał, musiał przyznać. Coraz częściej, zauważył, zdarzało mu się popadać w nieznanne wcześniej odrętwienie.

– Halo, panie Adamie, halo! – tym razem nawoływał porucznik, poszturchując zaczepnie. I mrugając porozumiewawczo. – Skoro panie zdecydowały się omawiać detale – wskazał na żonę i Lucynę – my udajmy się do salonu...

Rzeczywiście: tematem po drugiej stronie stolika stały się suknia i welon. Lista potraw i szczegóły dekoracji. Cała ta feeria, kalejdoskop słów dla Grabskiego zupełnie bez znaczenia, a przecież wciąż powracających i wciąż domagających się decyzji: tak czy smak, bulion czy flaki, girlandy czy kwiaty w wazonach? Czy to nie wszystko jedno?

Wstając, chciał uśmiechnąć się do Ewy, a mrugnąć do Lusi. Z jakiegoś powodu wyszło odwrotnie. Miklaszewska przygryzła wargę.

– Adaś, daj spokój z tymi babami! – mówił wkrótce porucznik. – Ożenisz się, będziesz wiedział, co mam na myśli. Napijmy się, bo jak to – bez bruderszaftu, hi-hi, hi-hi! No, zdrowie, najlepszego! U was dają pyska przy bruderszafcie? U nas nie dawali...

Jeszcze tego brakowało: by całował się z porucznikiem! Z porucznikiem – po tym, jak całował Ewę!

– Słyszałem: planowałaś Szkołę Morską? Czy to wciąż aktualne?

Czy planował? Zamarzył o niej – to i owszem! O rejsach, o ucieczce!

Szkołę właśnie przeniesiono z Tczewa. Przy okazji wycofano szkolny okręt „Lwów”, w zamian święcąc „Dar Pomorza”. Najpierw niemiecki, później

francuski, teraz stał się polski i wyruszyć miał w pierwszy rejs pod biało-czerwoną banderą: przez Antwerpię, Hawr, wokół Wielkiej Brytanii, do Bergen i Oslo. A na nim przyszli oficerowie – póki co zwykle, śmigające po zawieszonych pod niebem rejach, majtki. To wszystko działało na wyobraźnię: zwłaszcza kogoś, komu w zamian oferowano żeglowanie wśród weselnych gości, a niedługo zacumowanie przy kołysce.

– Nic z tego nie będzie – westchnął w odpowiedzi porucznikowi.

– W takim razie jeszcze się napijmy!

– Ależ Stefan, ja ciebie prosiłam!

Oto bowiem przyłapały ich panie.

– Chłodno – wyjaśniła ich pojawienie się w salonie Lucyna.

– Usiądźmy – zaproponowała Ewa.

– Ewuś, czas na nas, niestety, czas biegnie nieubłaganie, a przed nami tak wiele spraw...

Na pożegnanie całowali się. Przy czym Miklaszewska niby to potknęła się, dość, że straciła równowagę, wpadając piersią w pierś Grabskiego. Na chwilę opłotła też palce wokół jego nadgarstka. Zarumienił się, czuł to.

– Przepraszam!

– Nic się nie stało – wydukał (i aż się oblał zimnym potem).

Porucznik na szczęście niczego nie widział, trajkotał, zaśmiewał się:

– Hi-hi, hi-hi!

– Lucuś – powiedział Grabski, gdy już znaleźli się na uciekającej w dół uliczce. – Wybacz, dzisiaj nie będę ci dłużej towarzyszył. Chcę się przejść w samotności, pojedź proszę do domu.

Zaniepokoiła się nie na żarty:

– Ale jak to?

W rzeczy samej: wszystko mieli dokładnie zaplanowane – odwiedzić mecenasostwo Trybałów, a następnie – już w mieszkaniu Adama – omówić kwestię deserów.

– Nalegam – upierał się Grabski.

Jego życie wewnętrzne było dla niej, owszem, interesujące. Wspaniałe, podniecające (tak być powinno w przypadku pisarzy i podróżników). Lecz takie zarazem nieokielznane! Proszę bardzo: oto on nalega i do mecenasostwa nie pojedzie! Więcej: chce zostać sam! By o czym – chciałoby się wiedzieć – rozmyślać? Czy nie aby o czymś niebezpiecznym? Owego niebezpieczeństwa nie potrafiła co prawda precyzyjnie rozpoznać i nazwać – lecz obawiała się rozmemłania. Słabości. Melancholijnych westchnień do ostatnich dni kawalerstwa.

– Proszę, idź! – podniosła jednakże wysoko podbródek. – Idź, proszę!

– Wybacz – uklonił się, uchylił kapelusza.

Postanowiła w te pędy okrążyć Górę, przemknąć Święto Jańską i skrócić

w Lipową. By jak najprędzej, pod nieznanym jeszcze pretekstem, znaleźć się pod Różanym Gajem.

A jednak: narzeczony do pensjonatu nie dotarł. Czekala dłuższą chwilę, upewniwszy się wpierw, iż nie ma go w pokoju. Czekala – i nic! Powoli, ledwie się tocząc, dotarła znów pod furtkę Miklaszewskich. Napadnięto go? Nie, tego nie brała pod uwagę. Co zatem? Uciechy miasta? Aż się zdrygnęła na samą myśl. Ale i to było w sposób oczywisty niemożliwe. Alkoholu nie lubił, papierosów nie palił, w karty ponoć nie grał. Czyżby więc w grę wchodziła kochanka?

– Lucuś, to znowu ty? – wychylając się z tarasu, zapytała kuzynka. – Czy coś się stało?

– Nie... – zawahała się panna Lucyna. Bo mimo wszystko przez chwilę miała ochotę podzielić się z Ewą swymi wątpliwościami. – Zamyśliłam się i najzupełniej przypadkiem zatrzymałam w tym miejscu – zamiast tego pomachała wesoło ręką. – Do zobaczenia! – ponownie zapaliła motor.

Tymczasem Adam, niczym w gorączce, przemierzył ścieżki Kamiennej Góry i stromym zboczem zszedł ku miastu.

„Wóz albo przewóz” – myślał.

Przekroczył Święto Jańską, poszedł polami na skos, skrótem.

„Niech zostanie, jak jest – postanawiał – u boku dzikiej, narwanej, ale i troskliwej motocyklistki... Lub... – i w tym tkwiła istota jego prędkiego marszu – lub niech wszystko będzie jak dawniej. Oto ostatnia chwila, by tak mogło się stać. Ostatnia!”

Doszedłszy, uniósł głowę. W otwartym oknie mieszkania Łucji powiewała firanka.

Jeszcze zatrzymał się – w progu klatki schodowej. Odetchnął głęboko raz, drugi. Pchnął ciężkie drzwi. Po schodach wbiegł. Nacisnął guzik dzwonka. Jego krótki, nerwowy dźwięk poderwał Łucję z tapczanu.

– Cóż to? – przestraszyła się. Niezapowiedziane wizyty były czymś, czego nauczyła się obawiać.

– Kto tam? – zapytała niepewnie, stanąwszy przy drzwiach z ręką na łańcuchu.

– Łucjo, to ja, Adam Grabski! Wybacz, lecz naprawdę musimy porozmawiać!



## ROZDZIAŁ 34

### Dzień jak co dzień

Pokój udało mu się znaleźć niczego sobie. Słoneczny. Z widokiem z drugiego piętra na wylot ulicy Mickiewicza, na Rynek Kaszubski i niby planowaną aleję Wolności, choć dziś jeszcze na biegnące, hen, ku dworcowi, pola.

Niedawno po raz ostatni odwiedził dzielnicę chińską.

– Co tam, pani Gierszewska? Wraca pani do siebie?

– Do Świecia? – zdziwiła się. – Po co?

– A tu – co? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Na Witomino się wysiedlamy.

Słyszał o tym, prawda, o wytyczeniu dwustu parcel, by zatkać gęby tym, których wyrzucano z okolic portu, byle im tylko nie przyszło do głowy organizować się i protestować.

– A tam? – pomyślał o owym skrytym za górami i lasami Witominie.

– Stary masarzem przecież jest. Wybudujemy się, dopiero się zacznie eldorado!

– Odłożyliście?

– A tak, a jak!

– Na gołodupcach takich jak ja... – zaśmiał się.

Wtórowała mu, choć niepewnie.

– Powodzenia życzę w takim razie...

Przeszedł się – może ostatni raz? – po tej zabawnie – myślał teraz – rozchwianej okolicy. Gdzie chyliły się ku sobie z byle czego sklecone chałupy, gdzie królowało błoto.

Ci od parcel mieli szczęście. To znaczy: mieli je, o ile mieli kapitał – by móc się na podarowanych działeczkach wybudować. Inni, domyślał się, ruszyć będą musieli do Meksyku lub na Demptowo, do Kacka lub na Obłuże – do kolejnych w życiu bud i baraków. Albo wracać tam, skąd przybyli.

Ba, tylko po co – gdy na wsiach się już ponoć niczego nie opłacało zbierać – czytał o tym – bo ceny leciały na pysk, bo nie miał kto kupować, bo w miastach nie było pracy, bo się kapitał wycofywał, bo krach w Ameryce. Kryzys – od roku odmieniano owo drapieżne słowo, choć skończyć się miał ów drapieżnik prędko.

Nic z tego: likwidacje, licytacje, coraz trudniejsze do przeżycia wizyty inkasentów, ba, komorników... Wreszcie przytułki, bród, smród, a w wielu przypadkach samobójstwa.

„Za to w Gdyni – uśmiechnął się zjadliwie – bezrobotnych ledwie kilkuset na niemal czterdzieści tysięcy mieszkańców. Kto to wyliczył? – zastanawiał się. – Ślepiec jakowyś, nikt inny!”

Bo z czego niby brała się coraz to większa popularność ślepego śledzika? –

jak mówiono. Czyli plastrów cebuli w occie i ziemniaków w mundurkach – bez choćby kawałka rzeczonyj najtańszej ryby. No z czego? Z zamięłowania do tego typu potraw? Albo skąd regularne codzienne bitwy o nadpsute kartofle wyrzucane z portu?

Podszedł do okna. Mimo wszystko huczały, niosły się echem z oddali, miarowe uderzenia młotków. To powstawały między innymi szalunki i rusztowania przy budowie magazynów Cukroportu. „Cukier potęgą jest i basta – znów ironizował, zadowolony, iż udało mu się ukuć świetne doprawdy hasło. – Nic dziwnego – przy tak wielkiej akcyzie”. Zaś ten sam cukier, który w Polsce kosztował groszy niemal sto pięćdziesiąt, do Wielkiej Brytanii sprzedawano – jak czytał – za groszy kilkanaście. Tak państwo zarabiało na burakach: z jednej strony eksportując na potęgę, choćby po dumpingowych cenach, z drugiej utrzymując wysoką akcyzę.

Inna sprawa, że gdy ludziom mimo wszystko potrzeba było słodkości, to i utrzymywał się nieprzerwanie popyt na słodziki i sacharynę przemycane upartą pracą mrówek. „Kropla w morzu potrzeb – pomyślał o kolejnej swojej i Kota aktywności. – Więc może i tym się zainteresować? – zastanowił się. – Pozyskiwaniem – i było to w tym momencie słowo kluczowe – w jakiś sposób cukru eksportowego, by później sprzedawać go z powrotem w kraju z własną, sprawiedliwszą, prospołeczną – zaśmiał się – akcyzą?”

Rozmyślenia przerwał Witold, stojący na ulicy i machający zamasyżycie ku Krzysztofowi. Ach, Witold, uciekinier i wybawca. Może rzeczywiście miał te czternaście czy szesnaście lat? Łebski chłopak, w każdym razie.

– Nie pracujesz dzisiaj? – zawołał Krzysztof.

– Wolne mam!

– To czekaj, zabiorę cię ze sobą. Nie pożałujesz!

Prędko narzucił kurtkę, sięgnął po kapelusz.

Dzieciak wtedy, zeszłej zimy, rzeczywiście uciekł. Zamelinował się na statku, lecz pech chciał, że statek ów zawrócono spod Stettin. Jednocześnie załoga odkryła blindziarza. Nastraszonego najpierw wyrzuceniem wprost do morza, a potem bosman – człek niby twardy, lecz skłonny do wzruszeń – zaciągnął chłopaka do Domu Zdrojowego, gdzie jego szwagier był kelnerem.

– Do mnie nie mogłeś przyjść? – zapytał Wilczyński, gdy już mógł dzieciaka odnaleźć i podziękować mu za uratowanie z rąk Kopecky’ego.

– I co bym z tego miał? – prychnął chłopak. – Poza tym myślałem, że jesteś... że wolisz...

– Że co? – obruszył się Krzysztof.

– Chłopców...

– Do matki powinieneś wrócić. Ty jesteś zupełnie zdziczały!

– Nie wrócę, mowy nie ma.

Krzysztof, patrząc na niego, myślał rzecz jasna o swoim Stasiu. O Joannie. Jak najkrócej. Ale i z nadzieją: że kiedyś i z synem będzie mógł rozmawiać, że się z nim zobaczy. Choć ten z pewnością ojca nie rozpozna.

Zszedł po schodach, kłaniając się jednemu z sąsiadów. Marczewskiemu z Urzędu Morskiego. Dyrektorowi.

– Czego chciałeś? – opryskliwie zapytał Witold.

– Przejedź się ze mną na Witomino, a potem obejrzymy mecz.

– Mecz?

– No co, widziałeś kiedyś?

– Głupie to, widziałem.

Mimo wszystko pojechali. Drogą witomińską, wzdłuż cmentarza. Obejrzeć rzeczony działki, o których tyle było mowy.

Zatoczyli wielkie koło. Wracali przez Mały Kack. Krzysztof rozmyślał: o ziemi właśnie, jej cenach, o budowach. Zatrzymywał się tu i ówdzie, wypytywał.

Dokładnie o tym lubił też rozmawiać ze swoim dobrym znajomym, Małeckim. O planach rozwoju miasta.

Kot śmiał się:

– Młodości, ty nad poziomy wylatuj! Widzę, że plany masz ambitne, tylko co chciałbyś budować?

Miał rację: na razie należało uporządkować sytuację, utrwalić rządy nad przemysłnikami. A mimo to Krzysztofowi zdarzało się uciekać w przyszłość. Wielu innych zajęć nie miał. Musiał tylko dobrze liczyć. I potrafić rozmawiać.

– I jak? – po długim milczeniu zapytał Witolda.

– Co jak?

– Do starszych mówi się: słucham, proszę pana!

Okrażali port – uliczką o nazwie Zakręt do Oksywia.

– Słuchaj, a kim tym właściwie chcesz być? W dalszym ciągu marynarzem?

– Nie mogę.

– Nie możesz?

– Rzygałem.

– Ach, to dlatego...

– I co z tego?

– Nic. Kim chcesz być?

– Pijakiem! – zachichotał chłopak.

– Takie to śmieszne? – poważnym tonem zapytał Krzysztof.

– Pamiętam, że dobrze się bawiłeś – wtedy, w Domu Zdrojowym.

Niełatwo było z nim rozmawiać. Wyszczekany był. I wciąż sprawdzał granice wytrzymałości Krzysztofa.

– Od kiedy to my jesteśmy na ty?

Chłopak bezczelnie wydał wargi. Szczęście, że dojechali już do boiska na

Oksywiu.

Od morza ciągnęło chłodem. Nisko zawieszony chmury przeganiały jedna drugą, nakładały się na siebie, kotłowały. Tak jak zakotłowało się po kornierze bitym przez czerwonych na bramkę niebieskich. Wnet ruszyła kontra, futbolówka skakała na nierównościach, nie słuchała mało wprawnych nóg, niemniej przesuwała się w stronę bronioną przez niedawnych napastników. Wreszcie drybling na skrzydle, płaska centra, znów odbicie na wyraźnie nierównym terenie, rozpacz padającego na pierś bramkarza – gdy piłka przelatowała mu nad głową – i sprint atakującego niebieskich, by wepchnąć niekształtny balon między pozbawione siatek słupki.

– Cztery jeden – podsumował ktoś zza linii bocznej. Wśród stojących wzdłuż niej Wilczyński dostrzegł Kota.

Nie widywali się często. Uznali, że tak będzie lepiej. W Bydgoszczy Konstanty znakomicie odegrał niemotę, nie odzywał się wiele. Dobrze. Niech tak zostanie. Niech Król zbyt wiele o nim nie wie.

– Zajmij się sobą – rozkazał Witoldowi Krzysztof. Sam podszedł do Kota i stanął przy nim, milcząc.

– Przerwa! – po kilku minutach zadyrygował stentorowy głos.

– Co słyszeć? – zapytał Wilczyński.

– W więzieniu w Brześciu tłok coraz to większy... – Konstanty rozpoczął mocowanie się z niesforną płachtą gazety. – Wszystkich pozamykają, zostanie blok rządowy. Wtedy na kogo będziesz głosować?

Krzysztof skrzywił się. Wiadomo: gdy opozycja jednoczyła się i zyskiwała poparcie, Marszałek i pułkownicy nie mogli być pewni utrzymania władzy. Stąd trwające od kilkunastu dni aresztowania – a to pod zarzutem organizowania demonstracji (w trakcie kampanii wyborczej!), a to współdziałania z Ukraińcami (których część – pod hasłem Lachy za San – rzeczywiście mocno szumiała, atakując urzędy państwowe i ziemiańskie dwory), a to po prostu za domniemane fałszowanie weksli. W ten sposób przybywało osadzonych w twierdzy w Brześciu nad Bugiem; i bito ich – ponoć.

Ale nie o tym Wilczyński chciał rozmawiać. Doszły go bowiem pogłoski o innym pobiciu – gdzieś w Chyloni.

– Musieliśmy uspokoić tego i owego – leniwie wyjaśniał Kotkowski. – Wydawało im się, że bezkrólewie trwa mać – zaśmiał się – wiecznie!

– Kot, uspokój sytuację i nie wychylaj się – przypominał mu Krzysztof. – Nie daj się ponieść emocjom. Jak niesławnej pamięci Kopecky...

– Rozumiem – tym razem poważnie odpowiedział Kot.

– Nie potrzebujemy wrogów.

– Rozumiem.

– A łapy Króla nie sięgają tak daleko, jak mogliśmy się spodziewać.

– Jasna sprawa.

Rzeczywiście: prócz kontaktów pana Jana w służbach celnych czy leśnych mieli też nadzieję na jego wpływy w policji, w starostwie albo magistracie. Aż tak różowo nie było. Nie mogli liczyć na bezkarność.

Chwilę rozmawiali o interesach. O tym, czy warto zainwestować w gdańskie szprotki – tyle że znów trzeba by je było podejmować nocą na granicy. Kot, rzecz jasna, było gotów.

– *Nec temere, nec timide*. Nie za bojaźliwie, nie za odważnie. W myśl tej zasady, mówią, budowano Gdańsk – z uporem przypominał Krzysztof.

Mówili z kolei o setkach – którymi opłacać trzeba było s w o i c h ludzi w zamian za możliwość obracania tysiącami.

Rozmowę przerwali, gdy zaczęła się druga połowa gry. Przy coraz to bardziej porywistym wietrze.

– Na tego zwróć uwagę... – wskazał ramieniem Kot.

– Czyje to drużyny? – z grzeczności zainteresował się Wilczyński.

– Robotnicza z Grabówka znaczy nasza. I niebieska warsztatów marynarki. Zresztą będziemy się łączyć. Do toruńskiego związku polskiej piłki nożnej chcemy wstąpić.

– My? Nie wiedziałem, że angażujesz się w futbol.

– Człowieku!

Krzysztof w przeszłości bywał na meczach rozgrywanych z dawien dawna na krakowskich Błoniach. I wiedział, że odbyły się niedawno pierwsze mistrzostwa międzynarodowe. Lecz widocznego entuzjazmu przyjaciele nie podzielał.

– Patrz! Hej! Sędzia! Jedenastka! – wrzeszczał tymczasem Kot. I co ciekawe: dopiero to słysząc, człowiek pełniący funkcję arbitra nie dał się długo prosić i dmuchnął w gwizdek z całych sił. Na nic protesty niebieskich.

– Pipka – już spokojnie powiedział Kotkowski.

– Słucham?

– Pipka będzie wykonywał. Nasz, zrozum mnie dobrze, egzekutor.

Skupienie, wyczekiwanie, rozbieg, strzał! I efektowna parada golkipera... Kot zaklął, Krzysztof roześmiał się.

– Nasz egzekutor, powiadasz?

Konstanty nachylił mu się do ucha, szepcząc przez chwilę.

– Żartujesz?

– Byczy chłopak – potwierdził Kotkowski. – Będziemy mogli na niego liczyć.

– Swoją drogą – kontynuował po chwili – czy wiesz, że takich jak on, Kaszubów, Marszałek miał ponoć zamiar wysiedlać? Jako element potencjalnie niebezpieczny dla odradzającego się państwa polskiego? Część z nich przynajmniej o tym mówi... i pamięta!

Krzysztof, owszem, słyszał co nieco na ten temat. Wracało to niekiedy w rozmowach: jak opowieści o Napoleonie, który pod Dębem na Rynku Kaszubskim wypić miał sznapsa z miejscowymi gburami. Legendy.

Wtem coś zgrzytnęło, chrupnęło na boisku! To zderzyli się niebieski drągał z filigranowym skrzydłowym czerwonych. Ten ostatni zawył. I wił się, klnąc wniebogłoso. Zrobiło się nieprzyjemnie.

Kot nie czekał – wpadł na plac, lecz, o dziwo, nie by wymierzać bolesną sprawiedliwość, lecz by rozdzielać rwących się ku sobie z pięściami sportsmenów.

Sfaulowanego zniesiono – na szeroko rozpostartym płaszczu (a taki był malutki, że się bez trudu zmieścił) – i wrócono do gry.

– Zagrałbym w zamian – doskoczył do Krzysztofa i Kota Witold.

– Ty? – zdziwił się Wilczyński. – Potrafisz?

– W przepisach co prawda nie pozwolono na zmiany... – zastanowił się Kotkowski... Lecz natychmiast zdecydował: – Zmiana!

Jakiś czas zawzięcie dyskutowano – czy to aby uczciwe – wreszcie Witold przekroczył linię. W podwiniętych nogawkach – jak u wielu innych graczy – w ciężkich, niekształtnych butach (czym również się nie wyróżniał).

Prędko dało się poznać, że niewiele potrafi. Lecz biegał prędzej od innych – i wcale nie dlatego, że tamci byli już zmęczeni.

– Co o nim sądzisz? – zapytał Kot.

– Odważny, lojalny, bystry.

– Na lewej by mógł grać...

– Ja nie o piłce, Kostek!

– A szkoda, bo założę się, że w przyszłości na tej grze będzie się dało zarobić!

## ROZDZIAŁ 35

### Pies gończy

*Podwójne morderstwo w Kasino Hotel!* – z początku ekscytowało tylko gdańską prasę. Bzdury pisano: o przegranych dolarach (w grę wchodziła wszak śmierć obywatela Stanów Zjednoczonych – tyle że żaden z krupierów nie widział owego obywatela ani przez moment przy stole) czy o konflikcie na tle „zakazanej formy miłości. Dlaczego – pytali dodatkowo dziennikarze konserwatywni – o świcie wiadomego dnia hotel zdążyło opuścić kilka osób, a większość z nich, jak się później okazało, posługiwała się sfałszowanymi dokumentami? Jakimże siedliskiem zła jest Kasino Hotel, skoro tak łatwo można się w nim zatrzymać pod nieprawdziwym nazwiskiem i tak łatwo dopuścić się zbrodni?”

Policja Wolnego Miasta bardzo prędko, nie potrafiąc znaleźć znaczących śladów, utknęła w martwym punkcie. „Danziger Neueste Nachrichten” zagrział: „Typowe zbrodnicze porachunki Polaków!” (na co odpowiedź polskich gazet brzmiała: „Dość szkalowania! Dość przykrywania oszczerczymi epitetami nieudolności organów ścigania!”). Prócz tego zaś opublikowano fotografie denatów.

I te wpadły wreszcie w oko temu i owemu po polskiej stronie, aż w końcu szemrani informatorzy donieśli gdyńskiej już policji o tym, że zamordowanych widywano w mrokach tutejszych zaułków i knajp.

Przodownik Jan Kowalski, któremu zlecono zbadanie sprawy, wziął się za nią ochoczo; i to nawet mimo tego, że widział, iż prasowa wojenka wyraźnie studziła zapał polskich organów („Niech się tamci popiszą, skoro tacy mądrzy!”). Marzył jednak o awansie. Sukces, godzien najlepszych detektywów, z pewnością by ów awans znacząco przyspieszył.

Sprawę spróbował połączyć z poprzednimi: a więc także i tą straszliwą zbrodnią sprzed kilku tygodni, gdy w Chyloni znaleziono zmasakrowane ciała innej dwójki. Zatrzymano wtedy owego Kotkowskiego – sprawdził, przypomniał sobie Kowalski – lecz ten udowodnił niezbitcie, iż nie mógł dokonać czynu, o który go podejrzewano („A przynajmniej własnymi rękoma” – uznał podejrzliwy przodownik). Policjant zatelefonował też, rzecz jasna, do Bydgoszczy, skąd pochodził jeden z zamordowanych – Bubula – by zapewnić sobie współpracę z tamtejszym wydziałem. Pomoc obiecano.

Aż wreszcie traf chciał, że wpadło Kowalskiemu w oko nazwisko **W i l c z y**  
**ń s k i** – takiego oto bowiem jegomością poszukiwali w Gdyni Kopecky z kompanem. „Ha, to jest trop!” – myślał, idąc w upalny dzień w stronę Domu Zdrojowego, który to kierunek podpowiedzieli mu informatorzy.

Zblazowanemu portierowi pokazał wiadome fotografie.

– Nie pamiętam – usłyszał w odpowiedzi.

- Nic?
- Absolutnie...
- To może Wilczyńskiego pan zna?

Portier drgnął.

– Kopecy, Bubula, Wilczyński – powtarzał z naciskiem Kowalski.

– Może... i byli... jedli i pili... Mało to mamy gości?

– Nie zawadziłoby sprawdzić – przodownik wskazał na księgi meldunkowe, rozłożone na dzielącym ich blacie.

Portier prychnął lekceważąco.

– Ach tak – domyślił się aspirant. – I tu w księgach próżno szukać...

Dlatego dodał:

– Chce mnie pan zmusić, bym przyjrzał się im dokładnie?

Portier milczał, zawiesiwszy na Kowalskim zmęczone spojrzenie.

– Byli tacy czy nie byli: Kopecy, Bubula, Wilczyński? – przycisnął przodownik.

– Czy razem, tego nie wiem. Nie pamiętam, jak pragnę zdrowia. Chłopak może by coś wiedział...

– Chłopak? Jaki chłopak?

– A... – portier wyraźnie miał ochotę kluczyć – był taki jeden. Ale znikł.

– Znikł?

– Pracował chwilę, potem już go nie było.

– Jaki chłopak, panie...

– Machaj Józef – niepewnie i z niezadowoleniem dokończył portier.

– ...panie Machaj od podejrzanych ksiąg! – w głosie przodownika wybrzmiała groźba.

– Witek na niego mówili. Nie moja sprawa.

Kowalski uderzył dłonią w kontuar.

– Pan będzie oficjalnie wezwany, panie Machaj.

Portier skrzywił się.

– W sprawie ksiąg prawdopodobnie również... – dodał złośliwie policjant.

I poszedł. By jeszcze tego samego dnia ponownie telefonować do Bydgoszczy.

– Nic nie wiemy – usłyszał.

– Jak to: nic? – zdziwił się.

– To sprawa Króla... Nie warto... Naprawdę nie warto...

Doprawdy oniemiał! Brzmiało to jak próba ukręcenia sprawie łba.

A że niczego więcej istotnie wyciągnąć się mu nie udało, prędko zapukał do drzwi piętro wyżej – do Jarzabka, komisarza. By w trudnym do ukrycia podnieceniu zrelacjonować stan śledztwa.

– Ciekawe. Czeka! – zabrzmiał lakoniczny wyrok.



Zatem czekał. Odnajdując jednakże Wilczyńskiego. Jak okazało się: jeszcze do niedawna szofera, obecnie bez zajęcia.

– Niebieski ptak – upewnił się i ucieszył Kowalski.

Jarząbek wezwał go po kilku, nadmiernie przeciągających się dniach.

– Tak długo u nas... Dwa lata niemal. Marzysz o awansie, chłopaku?

Kowalski przytaknął gorliwie i nabrał powietrza w płuca, by pochwalić się swymi najnowszymi ustaleniami oraz zaproponować skrupulatnie naszkicowany w myślach plan dalszych działań (a więc przyciśnięcie portiera, eks-szofera, a może i nawet podejrzanych kolegów z Bydgoszczy).

– Zasługujesz – kontynuował tymczasem komisarz. – Nic, tylko się wykazać...

– Tak, otóż w rzeczonyj sprawie...

– Będzie lepiej, gdy poszukasz innego sposobu.

– Innego?

– Sprawę zabójstw w Kasino Hotel uznano za zamkniętą.

Z trudem przełykał ślinę. Czy miało sens pytać: z jakiego powodu tak właśnie uznano?

„Bubula, Król, Wilczyński, tajemniczy chłopak...” – miał od tej pory rozmyślać przez lata. I wierzyć, że zagadkę kiedyś uda się rozwikłać.

## ROZDZIAŁ 36

### Aż do śmierci

Oksywie od wieków spoglądało na Gdynię z góry. Aż wreszcie ze zdziwieniem (bo czyż to nie lepsza nazwa dla portu i miasta: Oksywie?), a potem – oddzielone od Zoppot wrzynającymi się w ląd wykopami – z nieukrywaną zazdrością.

Lecz miało się też czym chwalić. Kościołem. Prawdziwym, wiekowym, jak Pan Bóg przykazał stojącym na wzniesieniu, o średniowiecznej konstrukcji i z barokową wieżą. Oraz pod nader poważnym wezwaniem: świętego Michała Archanioła.

I miało też Oksywie – być może właśnie dzięki wstawiennictwu walecznego patrona – marynarkę. To tu mieściło się Dowództwo Floty i Komenda Portu Wojennego, tu stały koszary i tu mieszkali oficerowie. Nic dziwnego, że nie gdzie indziej za mąż wychodziły ich córki.

Niestety, wiejący od tygodnia zachodni wiatr tylko do pewnego czasu przeganiał po niebie zwałiste chmury. Bo wreszcie je naniósł: ciężkie i nabrzmiałe. Od tej pory siąpiło bez ustanku.

„Pogrzeb, nie ślub” – uznała Łucja. A przyszła nań mimo wszystko: mimo tego, co ledwie kilka tygodni wcześniej usłyszała – a czego w dużej części musiała się domyślić – od chwytającego się resztek nadziei Adama. Przyszła.

Ślub. Ślubowanie. Nerozerwalne. Owszem, niby mówiono ostatnio coraz częściej o możliwości wprowadzenia rozwodów orzekanych przez sądy powszechne. Lecz nie podobało się to prawicy, nie podobało wszelkiego wyznania duchownym. Zatem Krzysztof miał być tamtej – na wieki!

„Zresztą i cóż... – prychała gniewnie – niech sobie będzie, oszust i kłamca!” Problem w tym, że w głębi duszy czuła, iż owo prychanie jest tylko pustym gestem, niczym więcej.

Pozostawało czekać na śmierć tamtej – co myśląc, wzdrygała się szczerze. Lub zmienić wyznanie (jak czyniło wielu w Warszawie). Albo starać się o stwierdzenie nieważności małżeństwa przez Watykan. Sprawa tak czy inaczej beznadziejna.

No, chyba że żyć jak żyła z Marszałkiem pani Aleksandra Szczerbińska – przez piętnaście długich lat, rodząc mu córki – gdy ten wciąż pozostawał małżonkiem Marii Juszkiewicz.

„Niestety, to, co ująć mogło Marszałkowi – doskonale zdawała sobie sprawę Łucja – to nie ujdzie w Gdyni, nie mówiąc o Wyszkuwie”.

Wtedy, gdy doszła do siebie na kutrze, nie odezwała się do Krzysztofa niemal ani słowem. Siedział na skrzynkach, palił, spoglądał. W końcu podszedł, spróbował rozmawiać.

– Milcz! – odpowiedziała. – Nie chcę cię znać!

Poprosił Roberta, by ten ją odprowadził.

Potem: samotność, cisza, pustka. W zamknięciu w czterech ścianach. W uśpionym mieście, gdy ona zasnąć nie mogła.

„Dość tego! – obiecywała. – Niech się tylko ośmielą koledzy z Urzędu, czy Jaźwiński, czy Kotula, czy Kurylewicz, a już nie będę odmawiać udziału w fajfach czy bridżu! Dość romantyków i dość szubrawców. Czas sobie znaleźć kogoś statecznego!”

Bo inaczej... staropanieństwo! A miała już wszak dwadzieścia trzy lata!

Sęk w tym, że Jaźwiński... nudziarz! Że Kurylewicz – niechluj! A Kotula... Kotula jeszcze by może mógł i być – ale... Jakże to tak: bez porywu, na chłodno? Jakby nie patrzeć, Kotula porywu nie wzbudzał.

Wiało. Mżawka cięła po twarzy. Czekano – na przyjazd młodych. Dumny ojciec panny młodej, jej przejęta matka. Orszak korpus oficerski w galowych mundurach i białych czapkach. W tym gronie – Miklaszewski. I pani Ewa – która prędko zauważyła Łucję.

– Kochana moja, jakże dawno cię nie widziałam!

Bo też i Łucja unikała spotkań.

Pani Ewa promieniała:

– Cudowne wydarzenie, wspaniale! Choć wiem, że łączyło was... – zreflektowała się poniewczasie. – Mam nadzieję, że nie czujesz dziś żalu?

Łucja przecząco pokręciła głową.

– Cieszę się w takim razie, że przyszałaś. Czy wybierasz się także na bal?

O nie, o tym nie mogło być mowy.

Pani Ewa trajkotała. I pięknie też wyglądała w zgrabnym kapelusiku. Łucji zawsze podobała się jej przycięta ukośnie blond grzywka, prosty nos, wąskie, lecz jaskrawo malowane usta. A dziś, dodatkowo, jej oczy lśniły jak rzadko kiedy. I rumieniły się policzki.

Przez mżawkę przepłynął porucznik.

– Hi-hi, hi-hi, hi-hi – tyle miał do powiedzenia.

Wreszcie przybyli młodzi. Wspinając się na wzgórze potężnym mercedesem-benzem.

Przyglądała się im z zaciekawieniem (a może i z zazdrością?). Adamowi w czarnym, pozbawionym ekstrawagancji garniturze i jej: z delikatnym wianuszkim na kasztanowych włosach, wielkim bukietem w ręku, w sukni prostej u góry, z niewielkim dekoltem, ale lejącej się w dół licznymi atłasowymi kolumnami.

Uśmiechali się. Adam ciut zakłopotany, ona promieniście, błyskając radośnie zębami.

Łucji się podobał. A Poli?

W ciemnym płaszczu i z wysoko postawionym kołnierzem zdawała się żywym znakiem zapytania – stojąc na uboczu, przy cmentarnym murze. Przyglądano się jej z zaciekawieniem. Cóż to za osobka?! (Choć byli i tacy, co oczywiście dobrze ją znali! Ci zagłębiali się w ponurych myślach, „niezłe ziółko” – myśleli o Grabskim – i spodziewali się „być może nawet skandalu”). A Pola stała – skulona, przemarznięta. Z zaciśniętymi zębami.

Co sobie mogła ubzdurać? Że Krzyś nie będzie mierzyć wyżej: w wystrojone paniusie urzędniczki, w kawiarnie z żurnali zamiast cuchnącej piwskiem sali, w bale, na których tańczono walce zamiast popijaw do świtu przy dźwiękach nienastrojonego pianina?

Albo ów poeta: proszę, oto usidliła go panna pułkownikówna, czy z nią nie będzie mu lepiej? Czy jej nie może recytować erotycznych strof? Ależ może, jak najbardziej! Prócz tego obracając się w najwyższych w Gdyni sferach, ą-ę, księżę prałacie, li, li, silwuple, panie prezesie, parekselans, panie admirale.

To dlatego nie chciało jej się żyć. Pewnego dnia zrozumiała, że oni wszyscy, mężczyźni, zabawę traktują niepoważnie. Jako zabawę właśnie: w czułe słówka, w dwuznaczne toasty, wbiegnięcia na górkę, w szampany i słodkie wina, w powolne zdejmowanie pończoch i gorsetów... Jako zabawę – nic więcej! Z zabawką w postaci jej, Poli, w postaci Loli oraz innych dziewcząt.

Wcześniej wyobrażała sobie, że tak można całe życie – wesoło, ale i lojalnie, na swój sposób dochowując sobie wierności. A więc że oni zawsze będą przychodzić, zawsze wracać, tak samo chętni, by żartować i pieścić, by mówić rzeczy poważne lub recytować wiersze, a potem tańczyć do utraty tchu.

A jednak: oni woleli obiecywać, woleli ślubować. Ale innym – nie takim jak ona, porzucona towarzyszka zabaw.

Więc otworzyła sobie żyły – przerażona. Pamiętając, że to śmiertelny grzech, lecz wierząc w miłosierdzie. I licząc na niezawodną Lolę.

Nie przeliczyła się. Lola wszystkiego czy to się domyśliła, czy też podpowiedziała jej intuicja – dość, że znalazła towarzyszkę, przyjaciółkę, ba, niech będzie, że i siostrę, w każdym razie że znalazła ją w ostatniej chwili, tracącą już świadomość.

No a teraz Pola stała – przy cmentarnym murze – i nie myślała bynajmniej o poezji. Myślała o tym, by wrócić – do Kołomyi. Do rodziców i braci. Z niewielką, ale zawsze, zaoszczędzoną sumką. Jak ją przyjmą: z drwiną, pogardą, ze śmiechem? A może wypędzą?

Może zatem nie wracać? Może od nowa szukać szczęścia w Krynicy czy w Zakopanem?

Drgnęła, przeszedł ją chłód. Wbiła ręce w kieszenie i ruszyła szybkim krokiem, mijając ostatnich wlewających się do wnętrza kościoła uczestników uroczystości. Przed siebie, przed siebie – nie oglądając się na to, co było.

– Ale też szczęście ma ta nasza Lusja – szeptał już w ławce porucznik Miklaszewski. – Ma szczęście, mianowicie, że przysięgę zmieniono, hi-hi, hi-hi, hi-hi! Że to nie musi już przysięgą posłuszeństwa Adasiowi!

Rzeczywiście: treść przysięgi zmodyfikowano nie dalej niż dwa lata wcześniej.

– Stefan, ja ciebie proszę! Nie przeszkadzaj!

Tak jest, oto zaczynała się ceremonia: ojciec prowadził pannę młodą do ołtarza. Grabski obrócił się – i na ułamek chwili spotkały się ich, jego i Łucji, spojrzenia.

Wtedy, gdy przybiegł do niej, w parny sierpniowy wieczór, i oznajmił, iż żeni się, przyjęła to z obojętnością. A on siedział z rękoma na kolanach i jakby na coś czekał. Zrozumiała: tego ślubu może nie być, wystarczy jedno jej słowo. I nie dość, że polubiła tę myśl, że spodobała jej się moc, jaką została obdarowana – ot, wypowiedzenia jednego tylko słowa – to jeszcze i Adam urósł w jej oczach: wierny do bólu, gotów na skandal. Rozpaczliwie zakochany.

– Idź już, Adaś – wyszeptała jednak. – Zastanowię się – dodając nie wiedzieć czemu.

Więc wrócił, bo musiał. Po kilku dniach spotkali się na ulicy. I wystarczyło jedno jej spojrzenie, by wszystko stało się jasne. By zrozumiał, że znów dał się ponieść złudnej nadziei. Czuł się jak zbity pies. A i Łucja wcale nie lepiej.

A jednak przysłał – przez gońca – zaproszenie. Które zdecydowała się przyjąć.

I teraz znów napotkał jej wzrok – i było w tym coś okrutnego. Postanowił więcej nie odwracać się; ona zaś na długo wbiła wzrok w poręcz ławki przed sobą.

Wreszcie: „...ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci” – powiedziało jedno i powtórzyło drugie. Grabski głosem mocnym, pewnym. Lucyna – nieco drżącym.

– Do widzenia – szepnęła Łucja, opuszczając ławkę, przepychając się, budząc zdumienie i niesmak. Pani Ewa teatralnym gestem ocierała niewidoczne łzy.



*Oksywie i jego kościół.*

KWIECIEŃ

1934

## **ROZDZIAŁ 37**

### **Przyjęcie**

Kochała te radosne poranne i przedpołudniowe godziny, gdy idące znad morza i zza Kamiennej Góry słońce falą swych promieni zalewało zwrócone na wschód mieszkanie. Ach, jak przyjemnie było się wtedy wychylić i spoglądać z wysoka na pulsującą codziennym rytmem Świętojańską: na auta i wozy, na stukoty kopyt i wyładowywanych skrzynek, na okrzyki sprzedawców gazet. A była to już zupełnie inna ulica. Hen, od zwanego wcześniej Rynkiem, a dziś placu Kaszubskiego aż po Komisariat Rządu (i dalej nawet, do stoków Wzgórza Focha) przeżyły się w dumnych szeregach coraz piękniejsze i coraz gęściej przy sobie stojące kamienice. I nawet jeśli wciąż zdarzały się między nimi przerwy, to łatwo było sobie wyobrazić, w jak bogaty sposób puste parcele zostaną wkrótce zabudowane. Tak mianowicie, tłumaczył Łucji pan Waław Niesiołowski, sąsiad i architekt, by co najmniej dorównać nowoczesnemu pięknu domu choćby Sudziłowskich przy placu Kaszubskim (z nadzwyczajnym rytmem lekkich balkonów), dalej: kamienicy Józefy Wieczorkowskiej pod siedemdziesiątym ósmym (gdzie znów balkony, z piętra na piętro obejmujące mury coraz krótszymi ramionami, oraz narożna wieża nadawały całości porywającej dynamiki), jeszcze dalej: monumentalnej bryle wzniesionej przez Leona Stankiewicza (z trzema pionami charakterystycznych trapezowych wykuszy, ale i z pierwszą w mieście windą), a wreszcie kamienicy „Grażyna” – tu mury fasady cofnięto z kolei względem ulicy, co pozwoliło stworzyć głębokie i nasłonecznione przedproże. Wszystko to Łucja rzecz jasna widziała. Lecz dobrze było posłuchać eleganckiego, a zarazem elokwentnego pana Waława. Dzięki jego słowom nie dość, iż sama czuła się wrażliwsza, to i miasto rosło w oczach. Już nie wzwyż – bo i po co? – lecz w czwarty jakiś, niepojęty dla ubogich duchem wymiar.

– Pani Łucjo – mówił zatem Niesiołowski – niepodległość witaliśmy stylem szlacheckim. Gdzie ganek i kolumny, gdzie spadziste dachy... Wystarczy spojrzeć, na ten przykład, na wille na Górze, tudzież na kolejowy dworzec, prawda? Istne dworki, niczym z Kresów lub okolic Sandomierza. Teraz zaś, gdy z wolnością zdążyliśmy się niejako oswoić, potrzeba nowej, śmiałej estetyki. Zgodnej z dynamiką czasów – stąd tak wiele linii prostych, stąd szkło i żelazo – a zwłaszcza z duchem młodego miasta. No i wygodnej, zgodzi się pani, zarówno w budowie, jak i użytkowaniu...

– Wszystko zaś, uważam – głos architekta brzmiał od tej pory zaczepnie, spodziewał się bowiem nieśmiałego, uroczego oporu rozmówczyni – wszystko, uważam, zasługą rządu komisarycznego. Odpowiednią decyzję podjęła władza, mianując komisarza – w tak zwłaszcza zacnej osobie Franciszka Sokoła – i składając w jego ręce i starostwo grodzkie, i przewodniczenie radzie,



i zarządzanie magistratem. Rzecz w twardej ręce, powtarzam, samorządy zaś to niekończące się dyskusje, brak decyzji i korupcja. Chyba że jednak mylę się, szanowna pani?

– Mąż jest odmiennego zdania – odpowiadała, z pozoru uparcie, lecz i czując się pod wpływem wnikliwego spojrzenia starszego pana niczym uczennica.

– Ach, ten mąż... – wzdychał pan Waław. – Zapiekły demokrata, czyż nie?

Mniejsza z tym, mniejsza z polityką. Nie znała się na niej i znać nie potrzebowała.

– Proszę koniecznie męża pozdrowić. Dawno go nie widziałem...

– Mąż dużo pracuje.

– Ach tak... Oczywiście. To zrozumiałe. Moje uszanowanie...

Widziała go teraz z góry: szedł, jak zwykle o tej porze, przez rozświetlony plac przed kościołem w stronę kawiarni Fangrata.

„To mój czwarty widok – pomyślała. – Po pełnym kwiatów ogrodzie w Wyszkanie, po skłaniającej ku marzeniom bezkresnej dali morza oglądanej z pokoju u Miklaszewskich, po tak bardzo swego czasu ukochanej perspektywie z okna mieszkania przy poczcie. Ech, gdyby to jeszcze było nasze... – westchnęła, obracając się w stronę mieszkania.

W samą porę!

– Proszę pani, proszę szanownej pani! – niby to szeptem wołała Michasia, pędząc przez pokój z zaaferowaną miną. A przecież chłopcy spali – co wcale nieczęsto zdarzało się przed południem – a ów niby-szept gosposi, syczący, świdrujący, zbudzić mógł umarłego.

Nie można powiedzieć: była Michasia dobrą dziewczyną. Czystą i sumienną. Pracowitą. W kuchni potrafiącą dosłownie czarować (będąc spod Regulewa, niewiele mogła umieć sama z siebie; dopiero cierpliwe nauki Krzysztofa przynosić zaczęły niewiarygodne wręcz efekty: by wspomnieć tylko o doskonałym strogonowie czy niezrównanych kotletach baranich w sosie cebulowym). A i dziećmi potrafiła się zająć. Lecz przy tym wszystkim było w niej coś...

– Coś... niepokojącego! – uważała Łucja i za każdym razem, gdy temat ów powracał, spoglądała mimochodem w stronę sejfu.

– Ależ kochanie, nie ulegaj obsesjom! Ot, gada dziewczynisko byle co, powtarza, co wyczytała w gazetach, nie sposób brać tego poważnie! O ile twoje podejrzenia nie mają solidniejszych podstaw?

Nie! Tego nie mogła powiedzieć. Z domu nie ginęły sztuce, nie znikwały obrusy, a i z zakupów Michasia rozliczała się co do grosza (poza tym zarabiała niemało – całe dwadzieścia pięć złotych!). Nie byłoby więc żadnych powodów do obaw, gdyby nie wciąż powracające opowieści! Na przykład o tych nieszczęsnych, co to źle traktowane przez swoich państwo truły się morderczą esencją octową! Albo – dla odmiany – o innej gosposi, która przez pomyłkę („Ale naprawdę

niechący!” – Michasia zdawała się nie wątpić w słowa oskarżonej) do mąki przed wypiekiem dosypała arszeniku... Wreszcie – i tu oczy Michaliny błyskały złowrogo – o niejkiej Aleksandrze Królowej, która przez lata na służbie dorobiła się – a słowa „służba” i „dorobiła” akcentowała Michasia nad wyraz starannie – na samej tylko podebranej państwu biżuterii ponad pięćdziesięciu tysięcy. „A może nawet i stu!”

– Michalina chce nam coś przez to przekazać? – Krzysztof podnosił wzrok znad wybornej, doprawdy, leguminy.

– Przez co? Co?

– Może my... źle Michalinę traktujemy? Może i Michalina tylko czyha, by poznać szyfr i opróżnić kasę z kosztowności?

– A skąd! Broń mnie Boże! Co też pan sobie myśli?! – obruszała się służąca, zwięzając usta i poruszając nerwowo ich kącikami. A później w kuchni i przez dwa albo trzy dni nie dawała się udobruchać.

– Sama widzisz – mówił Krzysztof.

– Ja jej przecież nie posądzam...

– No tak, no tak...

Lecz z drugiej strony: jak się tu nie czuć niepewnie, gdy człowiek wciąż słyszy o zbrodniach?

Więc i teraz Łucja zamarła, bo ów bieg i dramatyczny szept – aż szkło drżało w bufecie – nie wróżył niczego dobrego.

– Proszę pani: lodówka!

(„A więc nie morderstwo!”)

– Co się stało?

– Lodówka! Jak raz! A ja mówiłam... Prędko! Prędko!

Ruszyły zatem – bez zwłoki. Dopiero w drzwiach Michasia – w ten swój znaczący i właściwie irytujący Łucję sposób – uprzejmie przepuściła panią przodem.

– Co się stało? – powtórzyła Wilczyńska.

– Nie mrozi. Nic a nic.

Rzeczywiście: mięso ciepłe, woda na palcach.

– I co teraz?

– Ja mówiłam!

– Co Michasia mówiła? – zdenerwowała się Łucja. W odpowiedzi dziewczyna prychnęła.

– No niechże Michasia powie, co mówiła!

– Niepotrzebny wynalazek. Tak się pan cieszył! A ja mówiłam!

To prawda: Krzysztof bardzo był z siebie dumny – najpierw kiedy zamówił niespotykany wciąż w innych domach sprzęt, a potem gdy tragarze wnosili wielgachną skrzynię na piętro.

– Od tej pory – mówił – będziesz Łucjo jedną z najbardziej nowoczesnych pań w mieście! To jest Electrolux, to jest niezawodne!

Dopóki mleko się nie rozlało.

– I co teraz? – powtórzyła zachmurzona Łucja.

– Ja mówiłam: nie na zapas, tylko świeże co dzień kupować! Co to: na targ daleko? Wątróbkę dzisiaj pan kazał – na jutro! Majonez ukręcić – ja utarłam! Tak to jest, ja mówię, jak ktoś chce mieć w domu nie wiadomo co!

Chwilę nie mówiły nic, kręcąc głowami i załamując ręce.

– Paszтет upiekę – zlitowała się wreszcie gosposia. – Zylcu narobię. Ale i pan, choć lubi, wszystkiemu nie da rady! A może by gości...?

– Niech Michasia piecze – zgodziła się z Łucją. – I niech rosółu ugotuje. A goście... – zawahała się. – Owszem, będziemy mieć gości. Jak tylko naprawimy lodówkę!

I już miała wyjść, by sprawdzić, czy nie przebudzili się synowie (a i zastanović: bo może to i dobry pomysł – urządzić przyjęcie?), gdy wzrok jej padł na kuszącego z krzesła „Tajnego Detektywa”.

– Michasiu, ile razy prosiłam, żeby tego tu nie było?

– Gdzie?

– W kuchni, na oczach dzieci!

– Franusia, Antosia? Toż nie umieją czytać – zarechotała szczerze ubawiona gosposia.

– O Stanisława idzie! – syknęła Łucja. – Oraz o Witolda.

– Witolda? – Michasia zrobiła wielkie oczy. – A co on, Witold, świata nie zna? Swoje wie, niech pani się nie martwi!

W jednej chwili Łucja poczuła się zmęczona. Na pewno nie chciała się martwić, ani tym bardziej wiedzieć tego, co niby Witold wie. Lecz ostatnie zdanie – to jasne – musiało należeć do niej:

– Co też Michasia widzi w tym szmatławcu?

Że popełniła błąd, zrozumiała od razu.

– Szmatławiec? Samej prawdy nie pisze? Jak raz: zwyrodnialec Cybulski otruł swą kochankę, a zwłoki tak poćwiartował – szkoda czytać – że w dwu teczkach nie całkiem się zmieściły! A żonie już wcześniej groził, że zrobi z niej gulasz!

– Ja Michasię proszę!

– A co, nie mówiłam! Aż pani cała zbladła!

Łucji rzeczywiście pociemniało w oczach.

– Pójdę się położyć. A Michasia niech gotuje. Pan z pewnością będzie szczęśliwy...

Ostatkiem sił zajrzała do sypialni chłopców: na szczęście nie zbudzili się. Wróciwszy do salonu, opadła na fotel.

„Napiałabym się kawy” – pomyślała. Lecz nie, nie miała sił, by znów słuchać Michasi. „Przyjście, prawda, przyjęcie!” – przypomniała sobie.

Wnet z nową energią omiotła wzrokiem pokój: masywny bufet ze szkłem i porcelaną, przeszkloną etażerkę z kryształami, okrągły rozkładany stół i krzesła. I jeszcze stoliczek z radiem, i wysoką lampę – u wyjścia na balkon. Iluż by się w takiej scenografii dało pomieścić gości? Nie tak znowu wielu, niestety. A wypadałoby zaprosić tego i owego. Pana Wacława z żoną – by pięknie dyskutować. Miklaszewskich? O, tak! Panią Ewę wciąż kochała. Dyrygenta? A więc może i proboszcza – gdyby tylko zgodził się przyjść? Z drugiej strony Krzysztof będzie nalegał na uwzględnienie swoich kontrahentów – choćby z towarzystw okrętowych. Czy również urzędników? Tego, jak mu tam, Mariana Małeckiego? Kot przyjdzie tak czy siak – bez zaproszenia, ale i bez Hanki. Dalej... *A propos* urzędników... *A propos* urzędników... Adam? Czy i jego chciałaby zaprosić?

Spojrzała na zegar: dochodziło południe. Warszawa powinna właśnie była kończyć przerwę w nadawaniu.

Z czułością dotknęła ciepłej, drewnianej obudowy telefunkena i zaraz przekręciła włącznik, profilaktycznie zmniejszając moc głośnika. Czekala, aż nagrzej się lampy. Ach, jak wspaniale było móc kręcić potencjometrem, odwiedzać odległe miasta: Pragę, Sztokholm, Berlin... I dawać się zaskakiwać – a to fragmentem wiedeńskiej symfonii, a to pieśnią ludową, hen, z Polesia, a to wreszcie rozdygotaną w głosie relacjonującego transmisją z właściwie nieinteresującego Łucji wydarzenia sportowego.

„Swoją drogą, czego to ludzie nie wymyślą!” – pomyślała o owym zapowiadany w „Kuryerze” kieszonkowym telefonie bez drutu (dobre sobie: zamiast dzwonić, miałyby toto wibrować w kieszeni; a co w przypadku nienoszącej spodni damy, hę?!). Czytała również w innym miejscu o gramofonie rozmiaru zegarka...

Wreszcie cichutko zaszumiała audycja. Podawano repertuar teatrów warszawskich: *Zbrodnia i kara* w Polskim, *Płaszcz Tuwima* – według Gogola – w Nowej Komедii, *Wesołe jajko* w Cyganerii... Nie słuchała zbyt uważnie. W Gdyni teatru nie było. Nawet amatorskie Pro Arte – przez chwilę wspomniała tremę prób sprzed lat – dawno już zakończyło działalność.

„Dobrze, że mam swoją Symfonię” – ucieszyła się na myśl o nadchodzącej próbie chóru. Śpiewać – kochała. Tak jak i Kiepurę – o czym myśląc, zarumieniła się – niezrównanego mistrza. Pierwszy raz słuchała go uważnie w ów wieczór, gdy przed debiutanckim w mieście pokazem filmu dźwiękowego dla wypróbowania aparatury wprzódy zaprezentowano w Morskim Oku *Rigoletto* w wykonaniu geniusza z Sosnowca. Zakochała się... Tak, zakochała!

„Albo Bodo – pomyślała. – Jakże zabawny!” *Już taki jestem zimny drań* – od

kilku tygodni nucili wszyscy wkoło. Najlepiej, o dziwo, wychodziło to Konstantemu.

Tymczasem podano sygnał czasu i zastukały obcasy. Mimowolnie nadstawiła ucha.

„Tuuuu, tu-tu-tu!”

„Kraków – pomyślała. – A jak Kraków, to Stanisław. Oraz owa niezrozumiała Joanna, przez którą tak wiele przepłakała nocy. Czasy to były wcale nie tak dawne... Ech...” – westchnęła.

Stanisław przyjechał na Wielkanoc. Owszem, wspaniale, Łucja nie miała nic przeciwko temu. Starła się chłopca polubić, doskonale rozumiejąc powody, dla których spoglądał na nią spod czoła. I chyba się udało – w dodatku z wzajemnością. Lecz oto gdy Staś miał już w ręku bilet powrotny, niespodziewanie nadszedł telegram. „Joanna. Stop. Atak nerwowy. Stop. Proszę zaopiekować się Stanisławem. Stop. Do czasu ustania komplikacji. Rostowski”.

– A nie mówiłem? – zdążył rozłożyć ręce Krzysztof, nim pobiegł na pocztę zamówić telefoniczną rozmowę z Krakowem. – Czy nie mówiłem, że bez komplikacji z pewnością się nie obejdzie?

Staś płakał. Lecz został. Co innego miałoby się zdarzyć? Trzeba było czekać.

„Krew z krwi, ciało z ciała – zwykła była myśleć Łucja o swoich synach. – Krew z krwi z Krzysztofa.” – O Stanisławie nie sposób było myśleć inaczej.

Wstała, wyłączywszy odbiornik. I znów zastygła, tym razem u drzwi sypialni. Jak na żądanie stęknął Antoni i jakby wyczuwając obecność matki, pisnął Franciszek.

– Mama! – Krew z krwi – uśmiechnęła się. Jej krwi.

Wnet porwała w ramiona starszego synka, wnet i Antoś otworzył oczy. I się śmiał – całym sobą, jak to on! Kochała te ciała, były dla niej wszystkim!

Lecz oto skończyła się nagle – acz trudno powiedzieć, że niespodziewanie – krótka spokojna część dnia. W zamian: mleko – Michasiu! – czy podgrzane (i czy aby nie za mocno?), jarzyny – czy dobrze przetarte? herbatka, smród, pielucha, jedna, druga, marsz do łazienki, tam płacz, mycie, nacieranie do czerwoności, aaaaa... (wrzask!), więc tulenie starszego i czujne oglądanie się za młodszym (który chętnie zanurzyłby dłoń – a potem ją oblizał – w klozetowej muszli) i dalej: kolorowy bąk – by choć na chwilę przykuć uwagę – jej śmiech, Antosia agugu, bęc – to się przewraca odtrącana butelka – mama, nie chcę! Nieeeee... (i te agresywnie wykrzywione usta!), gorące? daj, podmucha, tylko nie krzycz... mój ty, mój ty... I znów chwila spokoju, cisza przed burzą. Piłeczka, kaczuszka, miś. Aż wreszcie: Tam! Co, tam? Tam! Po co, na co? Koniecznie: tam – daj! Daj i już! I jeden idzie, zabawnie się chwiejąc, drugi posuwa się w ślad brata na brzuchu, daj, tam, mama, nieeeee! tu nie możesz, będzie ała, chcę! tam, daj, picciu? nie! Gugugu... Widzisz jaki Antoś grzeczny? Łubudu – upadek – płacz, krzyk, aż

przybiega Michasia. Dobrze, że jesteś, Michasiu, posprzątaj, patrz: ściągnęli wazon. Mój ty Boże, ma pani z nimi prawdziwy dom wariatów... Ja proszę: niech Michasia w ten sposób nie mówi! Ale taka prawda! Rzeczywiście, zgadzała się Łucja, taka prawda. Od rana do wieczora, w koło Macieju, codziennie.

Aż czasem – lecz tylko w te dni, gdy zajęty interesami Krzysztof nie siadał do stołu – sama nie miała kiedy zjeść. Zawisała wtedy w kuchni, jedynie na chwilę, nad talerzem zupy, Michasia prędko próbowała powiedzieć, co wedle niej dzieje się w mieście – śledzie sprzedawali sprzed dwóch dni, ale że niby dzisiejsze – olaboga! gdzie policja!? – zaś Łucja słuchała jej jednym uchem, drugie nastawiając czujnie na wszelkie podejrzone dźwięki. Na kolejne bęc, łubudu, na płacz. A wtedy – bach! – łyżka cofnięta w pół drogi do ust na dobre lądowała w zupie – a Łucja zrywała się, biegła, podnosiła, całowała i uspokajała.

Dopiero pod wieczór, ponownie położywszy chłopców (który to już raz – tego dnia i w ogóle), ponownie wyjrzała na balkon. „Na łodzię – poprawiła się. Oparta o balustradę spojrzała wpierw w dół, potem w głąb ulicy.

„Powinni już wrócić” – zaniepokoiła się. Omiotła wzrokiem skrzynki i doniczki. To już trzeci rok, odkąd Komisarjat nagradzać miał najpiękniejsze balkony i okna. I nic to, że w zeszłym roku nie udało się zdobyć nagrody. Nie w nagrodach rzecz. W tym sezonie po długich naradach postawiły z Michasią na podwieszane u sufitu łodzi biało-czerwone fuksje oraz – w donicach przymocowanych do balustrady – na lilaróż niecierpek. Efektu, już wkrótce, spodziewała się piorunującego.

„Lecz kogo zaprosić? – powrócił natrętnie trudny do rozstrzygnięcia dylemat. – Pana Waława (co też się tak przy nim uparła?), pana dyrygenta, Miklaszewskich na pewno. Ale czy Grabskich?”

Rozbłysły latarnie, jeszcze niepotrzebnie. Pod ich rozmytym światłem sprężystym krokiem parła przed siebie grupa marynarzy, a zaraz przetoczyła się, grzechocząc, furgonetka. I wóz konny, choć przyznać trzeba, że od pewnego czasu coraz mniej się ich tutaj, przy głównej ulicy, widywało. W oddali zachwiał się pijak, niespiesznie spacerowały pary zakochanych. Swoją drogą, na co uwagę Łucji zwrócił architekt Niesiołowski, na tym właśnie polega miejska zabudowa: na ciągu zwartych szeregów, na tworzeniu tuneli i wąwozów ulic w przeciwieństwie do zabudowy wiejskiej – gdzie każdy osobno i za osobnym płotem.

Z oddali toczyło się auto. Wychyliła się, przyjrzała. Oni!

„Wszystkich zaproszę – postanowiła, wychylając się przez balustradę i machając na powitanie. – Krzysztof nie powinien mieć nic przeciwko temu”.

## ROZDZIAŁ 38

### O wychowaniu młodzieży

Nad tym, jak dzień mija Łucji i chłopcom, zamyślił się już wtedy, gdy mijali Sopoty. Ba, mógł o nich myśleć nieustannie! A przecież powinien był – upominał się – rozważyć kilka innych, niecierpiących zwłoki zagadnień.

Po pierwsze: dotychczasowe magazyny firmie Wilczyński – shipchandler – i synowie – sp. z ogr.odp. przestawały już wystarczać. A i sąsiedztwo basenu węglowego oraz siedzib i składów śmierdzących firm rybackich nie odpowiadało Krzysztofowi tak bardzo, jakby tego chciał. Elegancki handel, handel zamorski, rozkładał się powoli, lecz coraz to większym ciężarem wokół basenu marszałka i nad basenem ministra Kwiatkowskiego. To tam swe siedziby i wielopiętrowe magazyny miały Cukroport, Pantarei, American Scantic Line, by wymienić tylko największych. Firma Wilczyński nie potrzebowała wielkiej powierzchni. Ot, przytulić się do kogoś, mieć dostęp do rampy, skąd wyładowuje się wagony i ciężarówki, oraz miejsce na powieszenie szyldu. Było to kwestią ceny.

Po drugie: otrzymał był niedawno ciekawą propozycję rozszerzenia swej oferty. A zatem dostarczania na statki przed czekającymi je długimi oceanicznymi podróżami nie tylko, jak dotąd, mięsa i kiełbas, warzyw i owoców, tłuszczów i cukrów, kasz i makaronów... I nie tylko tytoniu (najlepiej w ekstra, gwarantowanej przez Kota, cenie), nie tylko skrzyń z piwem, nie tylko koniaków i brandy (po części i o to dbał głównie Konstanty) i nie tylko lin, farb, klejów i rozpuszczalników, map, mydeł, ołówków i atramentu. Teraz albowiem w grę wejść miała porcelana i szkło, czyli statki – mówiąc po poznańsku – kuchenne. Sztućce, garnki, rondle. Do tego pościel (trzeba by i o własnej pralni pomyśleć – zrozumiał od razu), a może nawet mundury? Słowem, przedmioty i dobra niezbędne na statkach handlowych, ale również – i w tym tkwiło sedno pomysłu – na transatlantykach. Na Kościszce, Pułaskim i Polonii. Pomysł przyniósł Małeck:

– Ów jegomość zwie się Zawistowski – relacjonował – niezbyt bystry, dość, że napalony. Z Warszawy niby, a zasadniczo z Grójca. Zależy mu, handluje kuchennym towarem i chciałby się włączyć w jakże drogi krajowi, powiada, rozwój zamorskiej floty.

Miało to sens: dobrej jakości produkt plus wyrobione ostatnimi laty kontakty Wilczyńskiego.

Umówili się.

– Transatlantyki, panie... – zachwycił się Zawistowski.

– Transatlantyki... – powątpiewał Krzysztof.

Na co dzień z trudem – choć i z sukcesami – walczył o możliwość zaopatrywania węglowców, drobnicowców czy rybaków. Aż tak grubą rybą, by myśleć o transatlantykach, nie był. Zresztą te, mimo pięknej legendy o łączeniu

młodej Gdyni z wielkim Nowym Jorkiem, wielkie liniowce służyły przede wszystkim wywózce emigrantów – do Brazylii, Ameryki czy Izraela.

– Panie, kolejne są zamówione: prócz Kościuszki, Polonii i Pułaskiego jeszcze dwa: Batory oraz Piłsudski. Pan Małecki mnie mówił – przekonywał tymczasem mazowiecki przedsiębiorca. – Pan nie wierzysz w sukces? Niech pan sobie wyobrazi: kolejne okręty potrzebujące setek zastaw stołowych, wyposażenia kuchni... Ja tylko pytam, bo pan Małecki mnie przekonywał, że pan możesz wiedzieć, z kim rozmawiać i w jaki sposób.

– Czy ma to sens? – zastanawiał się zatem mimo oporów Krzysztof. – A jeżeli tak... Do czego mi niby potrzebny ów Zawistowski?

Wreszcie, kontynuując listę spraw wymagających namysłu: kredyty, kredyty, wciąż kredyty! Swego czasu, gdy Łucja zwróciła jego uwagę na zamknięcie Grand Cafe – na rogu Świętojańskiej i skweru Kościuszki – zupełnie go to nie obeszło (prócz może poczucia, że miasto wciąż jeszcze było młode, a już powstawały w nim archeologiczne warstwy – gdy poszczególne miejsca przeobrażały się, przepoczwarzały, obrastały własną historią). Za to gdy dodała, iż w miejsce popularnej kawiarni działalność otworzy Komunalna Kasa Oszczędności – o, to była wiadomość istotna! W tych czasach bywało, że jego dzień polegał wyłącznie na odwiedzaniu kolejnych gmachów i biur: Banku Cukrownictwa przy nabrzeżu Rotterdamskim, Rolnego przy placu Dworcowym, Gospodarstwa Krajowego i Polskiego SA – po obu stronach obok poczty, wreszcie Zachodniego – przy Świętojańskiej 23. I bywało, że czuł się jak piłeczka, odbijana, odsyłana w te i wewte, uparcie, agresywnie, jak czynili to tenisiści z kortów przy Riwierze czy z tych w sąsiedztwie dworca (a lubił niekiedy zatrzymać się przy nich na czas jakiś i przyglądać: zwłaszcza sportsmenkom; kobiecych ciał nie uważał co prawda za stworzone przede wszystkim do sportu, lecz z emocjami przez grę wywoływanymi było paniom, stwierdzał, szczególnie do twarzy). Na szczęście bywało i tak, że wychodził z owych bankowych gmachów rozpromieniony: z promesą – obietnicą – czy wreszcie z zaakceptowanym wnioskiem. Mimo kryzysu, panie dzieju... Mimo kryzysu Gdynia się rozbudowuje!

Magazyny, transatlantyki, kredyty – bezwiednie wyglądał palcami rondo kapelusza. Aż w końcu poczuł, że nie ma dziś głowy, by podejmować wiążące decyzje. Zaraz minęli granicę w Kolibkach, wkrótce Sopoty, rozkwitający z wolna park w Oliwie. Spojrzał na Stasia. Chłopak bez emocji śledził zmieniający się krajobraz.

Poznali się ledwie trzy lata temu. Gdy Krzysztof odwiedził Kraków. Odwiedził to złe słowo. Nie pojechał wszak na sentymentalną wycieczkę. Pojechał, by móc związać się z Łucją – rozwikławszy życiowe zaszłości. Ale i zobaczyć Stasia!

Już wtedy syn wydawał mu się zanadto przestraszony, zahukany. Nader



powoli przekonywali się do siebie – spacerując Plantami. Chłopak nie pytał, a Krzysztof mimo to tłumaczył:

– Musiałem, musiałem wyjechać, chciałem, abys kiedyś zrozumiał to, Stasiu.

– A może przyjechałbyś do Gdyni? – zapytał wreszcie któregoś dnia.

– Jeżeli mama się zgodzi. I dziadkowie.

Oczywiście: to ich, zwłaszcza dziadków, trzeba było pytać. Co rozumiejąc, Krzysztof zgrzytał zębami.

Lecz jednak: czy to czar zięcia sprawił, czy też jego namolność (a może magia Gdyni, której, choć z oddali, musieli się poddać?), dość, że wsadzili Stasia do pociągu, pod czujną opieką wagonowego, chłopak sporo musiał przeżyć – święci pańscy, jedenastolatek! – a Krzysztof odbierał go nazajutrz po dwunastu godzinach podróży z entuzjazmem, którego sam się po sobie nie spodziewał.

Stąd też potem wycieczki wśród dźwięgów, rejs z braćmi Wilke, patrz, Stasiu, przyglądaj się, Stasiu, rozchmurz się, Stasiu, podoba ci się? powiedz! Marynarze salutowali, podwładni basowali: „panie prezesie to, panie prezesie tamto...”, aż, spoglądając ukradkiem na syna, doznawał olśnienia – oto wszystko, do czego doszedł – owe saluty i basy – zyskiwało sens. Jakby wcześniej nie miało go wcale.

Wszystko jak krew w piach – Staś wciąż zdawał się wystraszony, jakby niepewny miłości, jaką go obdarzono. Zwłaszcza po telegramie od Rostowskich, gdy okazało się, że musi u ojca zostać dłużej, niżli było to planowane. Zamknął się wtedy w sobie jeszcze bardziej, jeszcze mniej mówił.

– Nie jego wina – litował się Wilczyński, tłumacząc Łucji i, mimochodem, Michasi – nie jego wina, że matkę ma wariatkę, niespełna rozumu. (Po czym reflektował się: pewnie, że nie wina chłopaka, lecz jego samego, jako ojca, jak najbardziej – od tego rodzaju odpowiedzialności nie sposób było się wyłgać).

Joanna. Śpiewaczka kabaretowa. Z początku zupełnie nie zwrócił uwagi na jej skłonność do egzaltacji, nerwowość, okresy pełnego ekscytacji ożywienia przeplatane studziennymi depresjami. Pokochali się, dlaczego nie? Ona – czarnobrewa, czarnooka, o regularnych rysach, których nie sposób było nie wielbić, zwłaszcza ze względu na opadający na policzek kosmyk. Pokochali się – wbrew państwu profesorstwu, wbrew dulszczyźnie, wbrew odwracanym na rynku spojrzeniom. Ona – artystka, on – rozgorączkowany niedoszły student, figura artystce odpowiadająca, bo głęboka, bo bliska postaciom z Dostojewskiego, co to w przeczuciu moralnej trwogi obcuja ze śmiercią (był jednak kierowcą ratowniczego ambulansu), a w chwilach uniesienia wadzą się z nieistniejącym Bogiem, prócz tego zaś piją. Wzięli ślub – i niepotrzebnie! – potem narodził się Staś. Nerwowy od początku. Męczony kolkami, roztrzęsiony płaczem. Czego nie mogąc znieść – i siebie samej przede wszystkim – Joanna z tym większą beznadzieją nurzała się w kabarecie, w morfinie, w peyotlu. Tego było z kolei za

wiele humanistycznie wykształconej rodzinie, profesorom od wieków, spadkobiercom powstańców styczniowych, musieli zatem wespół w zespół, siłami rodziny, religijnych ciotek i wujów z katedry medycyny, przedsięwziąć odpowiednie środki, musieli perswadować, starać się przekabacić córuchnę, przekonać ją do zamknięcia w klatce mieszkania przy Sławkowskiej 4 i do tego, by Krzysztofa doń – owego mieszkania – za jej wymuszoną zgodą nie wpuszczano. I wygoniono go wreszcie – nie tylko spode drzwi, ale i z miasta. Po latach myślał, że z utratą syna pogodził się za wcześnie, bez walki. O dawnej miłości myśląc jedynie, iż wybuchła, owszem, fajerwerkiem, lecz prędko się wypaliła – rozedrganym, targanym, a wreszcie zduszonym przez wiatry płomieniem. Taka to była historia.

– Nic pan nie mówi, szefie. I Staś? – długo trwające milczenie przerwał zza kierownicy Witold. – Stasiu, podoba ci się jazda? Pierwszy raz za granicą?

Chłopak zmarszczył nos w niewiele wyrażającym geście, Krzysztof niepewnie pogłaskał go po włosach.

– Dlaczego mówisz do mnie: szefie? – zapytał Witolda.

– A jak, źle mówię, Stasiu?

Ci dwaj polubili się. O ile Witold dawał się lubić komukolwiek. Krzysztof i jego z czasem nauczył się traktować niczym syna, nie licząc przy tym wielce na odwzajemnienie uczuć. Bo Witold kroczył własnymi ścieżkami.

„Dorosły człowiek, wkrótce dwudziestolatek” – rozumiał doskonale Wilczyński, który w jego wieku miał już za sobą wojnę. Witold nie mniej – choćby ucieczkę z domu, o którym nigdy nie wspominał. Teraz pracował dla Krzysztofa – jako kierowca, pomagier w wielu coraz to poważniejszych sprawach.

„Mógłbym być jego ojcem” – przekonywał się Wilczyński. Ale i patrząc na Witolda, obawiał się nadchodzących lat: dorosłego Stasia, dojrzewania Franusia i Antosia. Tak bardzo Witold bywał dla niego niezrozumiały. „Rzecz nie w krwi – nie miał złudzeń – rzecz w różnicy wieku”.

Gdańska nie odwiedzał od dawna. Gdynia doskonale radziła sobie sama. Wbrew wściekle bezradnym staraniom gdańszczan była portem, który na kontynencie dystansowały jedynie Hamburg, Rotterdam, Londyn i Marsylia. Takie były fakty, tak mówiły liczby! Znając je i Krzysztof pęczniał z rzadkiej u siebie patriotycznej dumy. Wszystko stało się wszak w ledwie kilkanaście lat od najwcześniejszych planów zbudowania portu, w dekadę od powstania pierwszego nabrzeża i – co nie bez znaczenia – w czasach światowego kryzysu. W dodatku Krzysztof, wiadoma rzecz, mógł się czuć tego wszystkiego świadkiem; o ile nie współtwórcą!

A jednak potężnego historią sąsiada bardzo był dziś ciekaw: sporo mówiło się ostatnimi czasy o bezczelnie brutalnej propagandzie, o paleniu książek i zwalnianiu profesorów. A z drugiej strony o małym ponoć owym paleniem

zainteresowaniu tłumów oraz o wciąż działających w Berlinie żydowskich kawiarniach i bankach. Wiedział też, owszem, o cenzurze, zastraszaniu, o nader łatwym oskarżaniu, a nawet mordowaniu przeciwników politycznych. Ale czy i w Polsce nie miały miejsca procesy brzeskie i czy nie planowano utworzenia tak zwanego miejsca odosobnienia dla więźniów politycznych? Z reszty można się było śmiać: z bombastycznej, germańskiej muzyki Wagnera i ze swastyki, z mesjanizmu i kultu złocistych, czystych rasowo warkoczy (tak niby różnych od warkoczy słowiańskich?). Ot, uniesienia niedoroslých dusz. Jak owego Hitlera (pisanego wcześniej przez dwa „tt”, co ostatnio z jakiegoś powodu się zmieniło).

„Doprawdy tej postaci nie sposób traktować poważnie. Fakt, w wyborach poparcie zdobył gigantyczne, lecz przecież władzę przejął *de facto* przed nimi” – zaś w głosowania przeprowadzane przez zwycięzców Krzysztof nauczył się nie wierzyć.

Nie był też zwolennikiem musztry na masową skalę. A jednak interesował go jej wpływ na masy. Nie on jeden w Polsce nader często miewał ochotę chwycić się za głowę! Od słuchania i czytania o bezhołowni, sprzeniewierzeniu publicznych funduszy, o bezkarności oszustów na wysokich szczeblach, ale i wiecznym rajem dla doliniarzy, szopenfeldziarzy, wszelkiej maści naciągaczy, sprzedawców pornografii z udziałem dzieci, stręczycieli i szantażystów. Wzięcie takich pod but – o, to mogło się ludziom podobać. O czym to Michasia niedawno? A, o klubie zwyrodnialców, pod przewodnictwem Piekuckiego mianowicie, oficera rezerwy, endeka, samozwańczego moralisty i wielce cenionego w Poznaniu organizatora widowiskowej Męki Pańskiej. Aż wreszcie – gdy wyszło szydło z worka – organizatora dokładnie fotografowanych orgii z udziałem siedmio- czy dziewięcioletnich dzieci.

„Inna rzecz – myślał, nie potrafiąc przepędzić ponurych myśli – weźmy i owe dzieci: czy może trwać społeczeństwo z tak wielką ilością podrzutek? Z tabunami nieletnich żebraków, ze stadami ledwo odrośniętych od ziemi złodziejasków, z dziewczynkami po równi pochyłej staczającymi się ku prostytutce?”

„Witold miał szczęście – konstatawał, spoglądając na kierowcę. – Inna sprawa, czy chłopak potrafi owo szczęście docenić”.

„Zaś Staś...” – posmutniał. Nie po raz pierwszy obiecując sobie solennie zajmować się wychowaniem chłopca – choćby na odległość.

„Tak czy inaczej – może i owa musztra ma sens? Może tylko tak nauczyć można masy tego, co nigdy nie udało się klechom? Może tylko tak da się zorganizować sprawnie działającą maszynę, gdzie dla każdego znajdzie się praca i godziwa płaca?”

A jednak nie wierzył w to w głębi duszy. Nie w dydaktykę krzyków i uderzeń pałką, nie w wychowanie przez szczucie i terror.

Tymczasem minęli Langfuhr, park wzdłuż Hindenburg Allee, dalej Olivaer Tor i Hansaplatz, wreszcie Hauptbahnhof. Stanęli na Kohlenmarkt. Niemal w cieniu Hohe Tor.

– To Brama Wyżynna, Stasiu, którą do miasta wjeżdżali polscy królowie.

W pierwszej chwili nie uwierzył: czy to aby na pewno powiedział Witold? Bo namówić go do powrotu do szkoły nikomu się dotąd nie udało!

– Gdańsk, Stasiu, przez całe wieki był polski – kontynuował tymczasem chłopak. – Był częścią i Królestwa Polskiego, i Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Był i jest... To znaczy: będzie – jeszcze kiedyś będzie – nasz!

Wkrótce minęli Złotą Bramę i wkroczyli w Długą – obdzwaniani nerwowo przez goniące za sobą tramwaje. Pod fontanną, ku narastającemu zdziwieniu Krzysztofa, Witold podjął wątek.

– Spójrz, Dwór Artusa. W nim świętowano zdobycie krzyżackiego Malborga oraz zwycięskie bitwy morskie ze Szwedami... Co jest, szefie, dlaczego szef tak na mnie patrzy?

– Nie wiedziałem, że interesujesz się historią.

– To nie jest wiedza tajemna, szefie. Poziom, w rzeczy samej, gimnazjalny!

– Ja wiem... Ja rozumiem, ale...

Witold obruszył się, obrócił i ruszył ku Zielonej Bramie.

Motławą, gdy do niej doszli, przepłynęła terkocząca, dymiąca okrutnie i śmierdząca ropą barka. Dalej na rzece cumowały szkunery, których wiotkie maszty, w asyście naprężonych i podzwaniających na wietrze lin, były niczym brzozy lasek na tle szachulcowych spichlerzy.

– Ładnie tu, Stasiu? – zapytał cichym głosem.

– Bardzo!

Ot, niespodzianka. Ale i Krzysztofowi rozkrzyczany port zaczął się podobać.

– Pójdźmy pod Żuraw, a wrócimy Mariacką – zaproponował samozwańczy przewodnik.

– Znasz Gdańsk? Nie wiedziałem, że w nim bywałeś. Kiedy?

I znów – bez odpowiedzi.



*Hansestadt Danzig, Langgasse*

*Złota Brama - widok od ulicy Długiej.*

– A może pójdziemy coś zjeść? – zeżlił się wreszcie Wilczyński (bo czy tylko zdawało mu się, czy też w rzeczy samej żaden z kompanów wycieczki nie miał ochoty z nim rozmawiać?).

– Ech, szefie, szef by tylko jadł, prawda Stasiu?

Co było robić: przeszli Mariacką, w szpalerze przedproży, po czym po części okrążywszy wąskim zaułkiem wielką ceglana bryłę, bocznym wejściem wkroczyli do świątyni. Spędzili w niej dłuższą chwilę, a Staś dziwił się surowym, pustym nawom oraz temu, co na górze – w niczym nieprzypominającym błyszczących złotymi gwiazdami sklepień kościołów Krakowa.

– Protestanci, Krzyżacy – cedził Witold, niemal zgrzytając zębami.

Gdy wreszcie wyszli przez portal główny, uderzył w nich pomruk tłumu i rozpaczliwy krzyk:

– Panowie, co robicie?

Tamtych było kilkunastu. W podkutych butach, bryczesach i brunatnych koszulach. Kilku rzucało na bruk zeszyty i rulony wynoszone z sąsiadującego z kościołem antykwariatu, dwóch dyskutowało z – jak można się było domyślić –

przerażonym właścicielem przybytku. Wokół zebrała się gawiedź.

– Panowie, to tylko nuty i ryciny. Ja rozumiem zakaz sprzedawania określonych książek – tłumaczył bezradnie bukinista – doskonale rozumiem. Lecz to muzyka, szkice, litografie...

– Żyda Mendelssohna! – wrzasnął w odpowiedzi jeden z napastników. Drugi zaś schylił się, by unieść w górę oderwaną, w półprzedartą kartę:

– Co my tu mamy, panie Truffke: Prokofiew, zapewne komunista. A jakże: *Uwertura żydowska!*

Księgarz złapał się za głowę.

– Mahler! Jeszcze Mahler!

– Ależ to tylko muzyka! – jęcząc, powtarzał sprzedawca. – Ja będę musiał interweniować! – uniósł się nagle, urósł w oczach, chwycił rozmówcę za poły kurtki.

Szarpięcie, policzek, upadek. Gdy księgarz podnosił się, rechotali i przeklinali.

– Chodźmy – nieswoim głosem zakomenderował Krzysztof. A jednak ani drgnęli, jakby wryci w ziemię.

– Tu lepiej nie mówić po polsku – szepnął po niemiecku, obracając głowę w stronę Wilczyńskiego, stojący przed nim mężczyzna.

– Chodźmy – mocniej powtórzył Krzysztof.

– Niech będzie to nauczka – przywódca napastników ryczał tymczasem w stronę gapiów – niech będzie to nauczka dla wszystkich! Wytyczne partii mają być realizowane. Jak inaczej duch narodu miały się otrząsnąć z moralnej zgnilizny? Zrozumiano?!

Spojrzenia jego i Krzysztofa spotkały się na chwilę. Nie odwracając wzroku, Wilczyński położył dłoń na ramieniu Stasia i skierował go w stronę Jopengasse.

Ten, który ostrzegał przed mówieniem po polsku, ruszył za nimi.

– Tak to już tehas tutaj jest – powiedział, grasejując.

– Pan również Polak?

– Tutejszy.

– A księgarz? Żyd? Nasz?

– Niemiec.

– Czytałem w gazetach... Czytałem, że ludzie przyglądają się... Ale nie przyłączają...

– Gówniarze się garną. I ci, co zwietrzyli konfitury. Dla mas autostrady, dla co bardziej rozgarniętych prymitywów stanowiska w partyjnym aparacie.

– Tak jest tutaj... co dzień?

– Z tygodnia na tydzień nabierają odwagi. Sprawdzają, dokąd da się przesunąć granice.

– A Żydzi?

– Wciąż są. I starają się udawać, że ich to nie dotyczy. Nie dotyczy konkretnego Zimmermanna czy Kirschbauma, jego żony i dzieci. Choć powoli do każdego dociera – że skoro przychodzą do sąsiada, to przyjdą i do niego... A później, proszę pana, wezmą się i za nas. Pan przyjezdny?

– Z Gdyni.

– Ach tak. Myślcie tam niekiedy o nas. Kto wie, czy nie przyjdzie nam szukać u was kąta... Oraz kawałka chleba... Myślcie, nie zapomnijcie. Do widzenia!

– Do widzenia.

Czas jakiś jakby zastanawiali się, w którą stronę pójść. Witold wbił ręce w kieszenie, uniósł hardo głowę i gwizdał nerwowo – spoglądając w stronę Mariackiego.

– Co to znaczy, że wezmą się za nas? – zapytał Staś.

– Są wściekli, że przegrali wojnę. Ale to minie, nie martw się.

– Z Polską przecież nie przegrali... – zdziwił się chłopak.

– Ani z Żydami – zapalczywie dorzucił Witold.

– To minie – powtórzył Krzysztof. – Przejdzie kryzys, ludzie będą mieć pracę...

Zjeść poszli do Ratskeller. Bo choć Witold namawiał, by znaleźć polskiego restauratora, Wilczyński odpowiedział: – Wokół szaleństwo, lecz my nie traćmy zmysłów. A konkretnie zmysłu smaku. Ponoć w Ratskeller dają doskonale!

Sobie zamówił Edelpils, Stasiowi Caramel, Witold wybrał Artus-Gold. Z DAB, Danziger Aktien Bierbrauerei, oczywiście. Kartę czytał Wilczyński długo i dokładnie, by ostatecznie wziąć talerz kielbas (z lubecką, cebulową, wątrobianką i serwolatką) oraz najzwyczajszą golonkę z kapustą. Witold wybrał klops wołowy z kluskami pszennymi i na to samo zdecydował się Staś.

W nisko sklepionej i z początku jakby uśpionej niespiesznym południem gotyckiej piwnicy wkrótce zrobiło się głośno. To kelnerzy z łoskotem przestawiali stoły, ustawiając je w kształt głębokiej podkowy. I wnet po schodach tłumnie spływać zaczęli nowi goście. W większości mężczyźni. A wśród nich – Krzysztof nieomal ugryzł się z język, przeżuwając – ci, którzy jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej z tak wielkim zapałem porządkowali gdański rynek antykwaryczny.

I znów spotkali się wzrokiem z gorliwym bojówkarzem.

Ryknęły toasty, zadźwięczały kufle. Wśród śmiechów i pokrzykiwań na uwijających się kelnerów.

Na swoje dania czekali długo. W sam raz, by doświadczyć żywiołowego entuzjazmu kreatorów nowej epoki.

– Kraft durch freude, kameraden – wybijał się ponad inne gromki głos wąsatego brzuchacza („Że też spośród wszystkich restauracji w mieście musieli wybrać właśnie tę – zżymał się Krzysztof nie wiedzieć, czy na siebie, czy na

rozkrzyczanych piwoszy). – Siła przez radość! Oto najnowsza idea wodza! Koncerty, ćwiczenia fizyczne, darmowy wypoczynek dla robotników oraz ich rodzin, by mieli siłę w pocie czoła wykuwać stalową przyszłość narodu. By mieli siłę dla Rzeszy! I by nie mieli zarazem, myślę, że w zaufanym gronie nie muszę tego mówić, by nie mieli czasu ani ochoty ulegać agitatorom i prowokatorom. Wypijmy!

Wilczyński z chłopcami jedli w milczeniu. Krzysztof bez wielkiego smaku. A gdy już wychodzili, zapłaciwszy roztargnionemu, przestraszonemu starszemu, na schodach natknęli się na owego podchmielonego już watażkę. Prowadził w dół roześmiane koleżanki.

– Heil Hitler! – krzyknął, mijając Krzysztofa. Ten siłą rzeczy stanął, schody były wąskie.

– Heil! – powtórzył młodzian. – Zgodnie z zarządzeniem ministra Fricka dotyczącym całego niemieckiego społeczeństwa.

– W takim razie mnie ono nie dotyczy – po niemiecku odpowiedział Wilczyński.

– W Gdańsku – każdego!

– Nie sędzę.

– Nie sędzisz?

– Jesteśmy gośćmi.

– Gośćmi? Z Polski?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Na szczęście – niby żartując, wtrącił Krzysztof – na szczęście od kilku miesięcy łączy nas – podkreślił – pakt o nieagresji.

Niemiec zaśmiał się.

– Pakt o nieagresji, powiadasz? Może i tak. Choć chciałbym, przyznam, zobaczyć twoją agresję (co mówiąc, zerknął jeszcze dla pewności w dół schodów, skąd dobiegał stugębny gwar).

– Nie chciałbyś – rzucił Witold po polsku.

– Co? Co on powiedział?

– Nic takiego – wkroczył między nich Krzysztof. I czy tylko zdawało mu się, czy też kątem oka dostrzegł w ręku Witolda podłużny, ciemny i nie wiadomo skąd się pojawiający kształt. („Nóż?!” – przemknęła przez głowę myśl).

– Życzę panu i paniom – skinął głową, zachowując zimną krew – twórczych obrad. Przy chłodnym i niezwiertzałym – starał się zaznaczyć – piwie.

Po czym zagarnął swoją gromadkę, mocno ściskając ramię Witolda, i odwróciwszy się od bojówkarza, wstępował powoli po schodach. „Znów odwracam się plecami” – przypomniał sobie ów dawny, listopadowy wieczór, gdy po raz pierwszy wyciągał Witolda z opresji.

– My szanujemy gości – gonił ich tymczasem głos. – Szanujemy, o ile oni



szanują nas! O ile szanują niemieckiego ducha!

– Żebyś się nie zesrał! – wykrzyknął Witold już na ulicy.

– Co masz w ręku? – napadł na niego Krzysztof.

– Puściły mi nerwy, szefie.

– Nie jesteśmy sami, Witold, pamiętaj, że nie jesteśmy sami! I co to: nosisz nóż w rękawie? Straciłeś rozum, szaleju się najadłeś?

Jeszcze szwendali się przez jakiś czas. Wstąpili nawet do Konditorei przy Englisches Haus, gdzie, jak głosiła wieść, zamówić można było najlepsze w Wolnym Mieście s ł o d k i e (dla Łucji, ma się rozumieć!).

– Ładne mi wolne miasto – zżymał się głośno, prowokacyjnie Witold. – Wyłącznie dla rasy panów!

A potem opowiadał Stasiowi, zapalczywie i chaotycznie, o głupocie Konrada Mazowieckiego, który na Mazowsze sprowadził Krzyżaków, i o tym, jak ci zajęli miasto, wyzynając jego mieszkańców.

– Nie zawracaj chłopakowi głowy – upomniał go Krzysztof.

– Nie mam racji, nie tak było?

– Było.

– To jest wojna, wciąż trwająca wojna!

– Wracajmy już do siebie.

– Ach tak, wsi spokojna, wsi wesoła, tak?! Szefie, nie możemy sobie pozwolić pluć w kaszę!

– Co zatem proponujesz? – warknął wreszcie Wilczyński, wyprowadzony z równowagi. – Jeżeli nic rozsądnego, proszę cię, zamilcz. Żebym nie musiał powtarzać!

I na tym stanęło – na pytaniu bez odpowiedzi.

– Przestraszyłeś się, tato? – zapytał już w aucie Staś.

– Tylko trochę. Bo ich było więcej, a bałem się o ciebie.

– Czego on chciał?

– Kto? Ten w mundurze? Po prostu szukał zaczepki. A ty: czy się bałeś?

– Z Witoldem... I z tobą – dodał, zająknąwszy się chłopak – to nie...

– A wiesz – podchwycił po dłuższej chwili Witold – wiesz, że twój ojciec już kiedyś mnie w podobnej sytuacji uratował? Opowiadał ci? W takim razie ja opowiem. Mogę, szefie...?

Gdy stanęli przy Świętojańskiej (a Łucja machała im z balkonu, zaś Staś popędził po schodach), Wilczyński powiedział:

– Nie musiałeś, Witold. Nie musiałeś robić ze mnie bohatera.

– Ech, szefie, tak jakoś...

– Ale dziękuję. Wstąpisz na kolację?

– Ledwieśmy jedli, szefie!

– Małe co nieco nikomu nie zaszkodzi.

- Dziękuję szefie, ale pójdę już.
- Co będziesz robił? Dzień jeszcze długi.
- A, upiję się! Niemcom na pohybel.
- W takim razie lepiej poczytaj. O historii. Pożytek będzie z tego większy.
- Zobaczą, szefie, miłej nocy!
- Nie chciałbym się o ciebie martwić.
- I nie będzie szef, obiecuję!



*Ulica Świętojańska w 1934 roku.*

## ROZDZIAŁ 39

### Drań

Szydł jak ten zobowiązywał: „Ł & K Wilczyńscy, Towary Luksusowe & Kolonialne”. Błyszczący niby czarne lustro i z pięknie wystylizowanymi złotymi literami. Dwie podobne tablice zawisły pionowo po obu stronach drzwi – informując skośnie ułożonymi literami o dostępnych w sklepie artykułach (piwo, wody zdrojowe, kakao, kawa, czekolada). Dalej – i po prawej, i po lewej stronie od wejścia – otwierały się przepastne witryny. Ich wystrój zmieniano co kilka tygodni, by chwalić się specjalami odpowiednimi dla danej pory roku i wciąż od nowa nęcić przechodniów. Przy tego typu okazjach, omówiwszy zagadnienie dzień wcześniej, Łucja spotykała się z panną Lolą na godzinę przed otwarciem sklepu.

Poprzedni pomysł narzucił się dekoratorkom sam – w związku z grudniowym otwarciem Dworca Morskiego. Ciąg skojarzeń biegł wtedy prędko i potoczyć: wystawa, witryna, okno... Okno na świat! A skoro Polonia, Kościuszko i Pułaski pływały do Ameryki – będąc wszak transatlantykami – ale i na Morza Czarne i Śródziemne – by łączyć rumuńską Konstancę z palestyńską Hajfą – wystarczyło połączyć owe aromatyczne światy z bogactwem wybranych dóbr Rzeczypospolitej. I tak w lewym oknie stanął wycięty z tektury kontur dworca, któremu towarzyszyły wiśniówki i rummy od Lubomirskiego z Przeworska, cukierki, draże, herbatniki i pierniki warszawskiego Fuchsa, znakomite powidła z Owidza, sosy pomidorowe z Pudliszek, a wreszcie doskonałe kawy zbożowe oraz proszki do pieczenia i cukier waniliowy z wrocławskich Zjednoczonych Fabryk Cykorii Ferdinand Bohm i Gleba. Drugą wystawę zajmowały analogicznie: symboliczna mapa z trasami podróży polskich okrętów, a dalej brazylijskie kawy w jutowych workach (upalone jak należy specjalnie dla Ł&K Wilczyński przez palarnię przy Portowej), kakao od Nestlé, kandyzowane owoce i czekolady Meinla (Łucja uwielbiała zwłaszcza tę o nadzieniu pomarańczowym), rodzynki, cynamon, kardamon. Krótko mówiąc: była to wystawa w sam raz na długie zimowe dni i na przygotowania do Wielkanocy.

Ale co dalej – gdy wiosna za pasem? Co dziś?

Dziś się prawie nie słyszały!

Aż tak huczały młotki, uderzało o siebie żelazo i stukało drewno, skrzypiały kołowroty, klęli robotnicy. To rosły rusztowania wzdłuż pnących się w górę – i w najbliższym sąsiedztwie sklepu Ł&K Wilczyńscy – murów biurowca PAGED-u. Czyli Polskiej Agencji Eksportu Drewna, firmy, twierdził Krzysztof, o niebywałym dla Gdyni i kraju znaczeniu, prawdziwej potędze opartej o masywne pnie z Polesia czy z Borów Tucholskich. Zresztą wystarczyło udać się na Obłuże, gdzie ruszyła budowa portu drzewnego, by przekonać się, jak wiele będzie się tam składowało. Krzysztof sporo sobie po sąsiedzkich znajomościach z pracownikami

agencji obiecywał, na razie jednak budowa była sąsiadem przede wszystkim uciążliwym.

– Jest pani pewna, pani Łucjo? – przekrzykiwała hałas panna Lola.

– Co proszę?!

– Czy upiera się pani przy swoim pomysle?!

– Nie słyszę!

Zdążyły już rozebrać kunsztowną piramidę puszek i pudełek, odstawić na ladę flasze i przenieść nabrzmiałe ziarnem worki – pozostałości po wystroju zimowym.

– Krzysztof nalegał, by wyeksponować oliwy! – wciąż krzyczała sprzedawczyni. – Krzysztof nalegał, aby wyeksponować oliwy. Z Aix, z Korsyki, sardyńską i genueńską!

– Kto nalegał?!

– Krzysztof! – jak raz na budowie zaległa niespodziewana, zgodna i absolutna cisza, przez co krzyk Loli aż przeszył i Łucję, i – zdawać się mogło – całą, jak długa, ulicę.

– Pan Krzysztof – już miała na końcu języka, choć przecież tych dwoje znało się z dawien dawna.

– O oliwie pomyślimy później... A mąż – podkreśliła – zaakceptował mój pomysł. – Zresztą: czy powinna się była tłumaczyć?

Do rzeczy: o drewnianą skrzyneczkę oparła arkusz nut (na których napisano: „Już taki jestem”, a poniżej, większymi literami: „zimny drań”; u dołu zaś: „fox-trot, słowa J. Nela i L. Starskiego, muzyka H. Warsa”). Obok ustawiła przedziurawioną i ozdobioną specjalnie zerwaną struną gitarę (ale dlaczego i dlaczego przedziurawioną – nie umiałyby chyba wytłumaczyć), zaś wokół niej – w dwóch półokręgach – rzędy butelek (okocimskiego, żywieckiego, śmietanki pomorskiej oraz tak lubianych przez Krzysztofa piw z Gdańska). I jeszcze wieżyczki puszek: z sardynkami, anchois oraz kawiozem, a także... Nie! Dość, wystarczy. By nie przedobrzyć, by nie szeptano, iż witryna Ł&K Wilczyńscy to popis bezguścia i nuworyszostwa.

„Lola – zamyśliła się. – Panna Lola”. Gdy otwierali sklep, Krzysztof uparł się: za kontuarem nie może stać nikt inny! Życzliwi, oczywiście, wkrótce Łucji donieśli, cóż to za panna z owej Loli. Przez chwilę nie wiedziała, jak na owe wieści zareagować.

– Znacie się... dobrze? Dobrze... się znacie? – pytała.

– Tak, oczywiście. Panna Lola wielokrotnie mi pomagała, ja wielokrotnie pomagałem jej. Kochana Łucjo, to, że wkrótce wstąpić mam w szeregi Towarzystwa Kupców Samodzielnych, to, że otwieram sklep przy wielce światowej Świętojańskiej, z pewnością nie sprawi, że odwrócę się od starych przyjaciół. Zapewniam cię zresztą, że wielu naszych sąsiadów i klientów skrywa

tajemnice znajomości i uczynków znacznie bardziej godnych potępienia niż moje wizyty w Kurhausie. Zapytaj proboszcza, wikarych – spowiedników! Oni wiedzą! – zaśmiał się.

Niespecjalnie lubiła podobne chwile jego cynizmu. No i bała się, rzecz jasna, o reputację sklepu.

– Zobaczysz, będą walić drzwiami i oknami!

– Kto?

– Ci, którzy pannę Lolę znają. I to znają dobrze!

Zrobiła wielkie oczy. Trudno jej było zrozumieć aż tak wielką bez troskę męża.

– Och, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, Łucjo. Opowieści dotyczące lokalu Bączkowskiego są w ogromnej części przesadzone.

Przez chwilę zastanawiała się.

– Myślisz, że będzie im wolno?

– Komu?

– Owym mającym do nas walić, przychodzić – poprawiła się – klientom!

– Ach... Zapewniam cię, że również ich żony wkrótce będą się u nas pojawiać. Prawdziwa cnota krytyk się nie boi. Wszak ich mężowie z całą pewnością Kurhaus omijali z daleka i panny Loli nie znają; dlaczego więc miałyby nas unikać? Przeciwnie: to właśnie ostentacyjne przechodzenie na drugą stronę ulicy mogłoby zasiać niepotrzebne podejrzenia...

Stało się tak, jak zapowiadał Krzysztof. Zwłaszcza że panna Lola świetnie czesała swoje długie blond loki, niby agresywnie, ale i z wyczuciem malowała oczy i usta, a do sukienki zawsze potrafiła dołączyć jakiś kunsztowny drobiazg; słowem, patrzyło się na nią świetnie. Ale miała i coś więcej, a mianowicie wcale nieczęsto spotykaną umiejętność prędkiego nawiązywania kontaktów, sprawiania, iż rozmówca – ba, przede wszystkim rozmówczyni! – najpóźniej przy trzeciej czy czwartej wizycie witała się z nią niczym z najdawniejszą i najbardziej zaufaną przyjaciółką (przy zachowaniu, rzecz jasna, powściągliwej dyskrecji, gdzie nie wchodziło w grę nadmierne spoufalenie, zbyt ekspresyjne gesty czy dwuznaczne słowa). Taką, z którą naprawdę miło pomówić o tym, co w kolorowych magazynach („Doprawdy, ów kremowy atlas sukni Pogorzelskiej...”), co na roztańczonych deskach Morskiego Oka („Pani sobie wyobrazi: na ramiączkach, z szyfonu... – tunika, o taka tu, dotąd, taka!”), co wreszcie w dostojnych biurach („W spodniach i w garniturze! Kobieta?!”).

Słowem: świetnie było Lolę w sklepie mieć – nawet jeżeli firma Ł&K Wilczyńscy nie była magazynem mody! Ba, próbowano Lolę podkupić! Lecz wtedy Krzysztof zwiększał jej apanaże, a i ona nieskłonna była uciekać.

– Bardzo przyjemna osoba – zawyrokowała pewnego razu pani Maria. Wątpliwości zostały rozwiane.

Nieważne. Czas na drugą z wystaw. Umieścić w niej, w wymoszczonej sianem skrzyneczce, zaplanowała Łucja tylko jeden jedyny przedmiot. Długo zastanawiała się jaki... Czym miał kusić, co obiecywać? I jak korespondować – piękne słowo, usłyszała je z ust architekta Niesiołowskiego, a jakże! – z fotografią Marleny Dietrich oraz tak bardzo odważnym i mrocznym napisem *femme fatale*?!

Gdy ze swej idei zwierzyła się Krzysztofowi, uniósł lekko brwi. – Świetny pomysł – stwierdził po chwili. I przypomniał *Lolę Lolę z Błękitnego Anioła* (dla której to, artystki kabaretowej, kostium klauna przywdział szacowny profesor Rath), i wspomniał o ich Loli, a wreszcie o swojej byłej żonie, artystce wszak kabaretowej. Słyszając to wszystko, Łucja postanowiła oczywiście stanowczo odrzucić niewczesny pomysł, lecz teraz to Krzysztof nalegał: – Ależ to naprawdę zabawne i odważne! – cieszył się. – Inna sprawa, iż niewielu odczyta cały zawity splot aluzji. Za to my będziemy bawić się świetnie, prawda? Proponuję butelkę Château d’Yquem, i cenę, powiedzmy, stu złotych. Ach nie! Lepiej: dziewięćdziesięciu dziewięciu!

Na tym stanęło. A Łucja dopiero teraz – kiedy wraz z Lolą układały flaszkę w przeznaczonym dla niej łożu, obok stawiając niewielką karteczkę z wyraźnie podkreślonymi cyframi – dopiero zatem w tej chwili przestraszyła się: co ludzie powiedzą?

– Myśli pani, że znajdzie się odważny kupiec? – zastanawiała się Lola.

Podenerwowana, przejęta Łucja nerwowo wstrząsnęła ramionami.

– A to się Krzysztof szarpnął... – kiwała głową, wciąż nie do końca przekonana sprzedawczyni.

– Sami państwo wypijecie, jeżeli nikt nie kupi. Warto!

Spojrzały na całość z oddali, z perspektywy krawędzi chodnika.

– Naprawdę warto... – powtórzyła Lola, zamyślona, przekrzywiając głowę.

– Wcale mi to do szczęścia niepotrzebne, żeby smakować! – zdenerwowała się Łucja.

Wtem! Panna Lola kocim ruchem doskoczyła do witryny i przełożyła gitarę z lewej flanki nut na prawą.

– Lepiej?

– Chyba...

– Ależ lepiej! Znacznie lepiej! Ha, takiej wystawy jeszcze w mieście nie było! – Lola aż klasnęła w dłonie z uciechy.

I w tym sęk! Że nie było!

– Ciekawe, co powiedziałyby na to pani Maria?

– O tym samym pomyślałam – przyznała cichutkim głosem Łucja.

Ceniły wizyty staruszki, która chętnie opowiadała o sklepach Lwowa – a zwłaszcza tych z pasażu Mikolascha – o smaku tamtejszych kupców oraz ironii Żydów. „Rzecz w wyważeniu proporcji. Tak by wystawa olśniewała, a przy tym

nie zniechęcała potencjalnych kupców. Panie mnie, mam nadzieję, dobrze rozumieją?” Przynajmniej próbowały.

Ostatnimi czasy pani Maria niestety chorowała. Zaczęło się niewinnie, od pokasływania, co trwało i trwało, wreszcie okrutny doktor zdiagnozował zapalenie płuc.

– Kiedy się do niej wybierasz?

– Jak zwykle w niedzielę, pani Łucjo.

– W takim razie w kolejną chętnie do ciebie dołączę, zgoda?

Bo od pewnego czasu to Lola regularnie odwiedzała dom w Orłowie. Wiadomo, dzieci!

– Myślę, że pani Marii będzie bardzo miło.

Gdy tylko zaczął bić, spojrzwały na zegar. Pora otwierać. Usiadły zatem za ladą, czujnie śledząc spojrzenia przechodniów.

Wreszcie: pierwszy zwrócił głowę... Kolejny wręcz zwolnił... A jeszcze następny – cofnął się dwa kroki. I uśmiechy błąkały się im pod nosami, gdy znad wystawy spoglądali ku wnętrzu.

– Bomba! To działa! – cieszyła się Lola.

Zaś Łucja to rumieniła się, to wzdychała. Niczym malarka, lub rzeźbiarka, której na oczy widzów przyszło wystawić śmiałe, bo intymne dzieło. Tak się przynajmniej czuła. Prawie naga.

Na szczęście już po chwili, co za niespodzianka, zjawili się Miklaszewscy. Ileż było krzyków, ileż pocałunków. Antoś – już niemal osiemnastoletni – długim spojrzeniem zmierzył pannę Lolę (aż Łucja pomyślała, że przesadził, że tak nie wypada). Za to Wandzia z piskiem zawisła na jej szyi. Z kolei pani Ewa, wśród powitań, wykrzykiwała zamówienie:

– Kawy z Brazylii czterdzieści deko proszę! Bo kawę, Łucjo, biorę tylko od was! Ł&K Wilczyńscy, wciąż każdemu powtarzam, to gwarancja jakości! Jestem, Łucjo, taka z ciebie dumna!

I tylko porucznik przebierał w miejscu nogami, uśmiechał się do własnych myśli i mruczał coś pod nosem.

– Co tam mamrociesz, Stefan? A podziękuj Łucji za zaproszenie! Na pewno, Łucjo, przyjdziemy, wspaniały pomysł z tym przyjęciem! Jak kochane dzieciaczki? Ucałuj je od cioci już dziś!

– Stefan – surowo spojrzała na męża – czy tobie odebrało głos?

– A bo...

– Co bo?

– Mówią, że Gdynia droga – wyartykułował wreszcie porucznik, płacąc. – Ceny większe niżli w Warszawie, za to przyrost naturalny, hi-hi, hi-hi, też największy w kraju! Także tego... Co to ja...

– Armata, droga Łucjo – pospieszyła z wyjaśnieniem pani Ewa – armata

wypaliła w trakcie, wyobraź sobie, ćwiczeń...

– Skarbie, nie armata, lecz działo! Dzia-ło! Tyle razy powtarzam.

– No więc działo...

– I nic dziwnego, duszko, że wypaliło – wszak w trakcie ćwiczeń!

– No więc działo...

– Stało się coś? – przestraszyła się Łucja.

– Skąd! Hi-hi, hi-hi, moją Ewuś wprawia w drżenie to, co dla oficera warte jest wzruszenia ramion. Co to ja... A, no, że siódmy syn, jak wiadomo, stając się automatycznie chrześniakiem samego prezydenta, otrzymuje, hi-hi, hi-hi, książeczkę z pięćdziesięcioma złotymi – na sześć procent! Także tego...

Łucja zarumieniała się. Czy to do niej pił porucznik? Gdzież jej jednak do siódmego syna?

Tak czy inaczej, zapadła cisza. Dość niezręczna.

Aż przerwał ją kolejny dzwonek u drzwi.

– Ewuś, Stefan! – to krzyczała z kolei panna Lucyna. – Góra z górą się nie zejdzie!

I znów: cmoknięcia, powitania.

Grabski schylił się nisko, całując dłoń pani Ewy. Ta zaś natychmiast poczęła się spieszyć: – Jakże szkoda, Lucuś, że nie mamy więcej czasu... Koniecznie się spotkajmy, koniecznie!

I tyle, już ich nie było, Miklaszewskich, na wzór stadka kurcząt wygarniętych przez nerwową kwokę, panią Ewę. Za to Grabska, ukłoniwszy się wyniośle Łucji, zaczęła przebierać wśród podawanych przez Lolę pudełek pralin i czekoladek.

– Zaprosić czy nie zaprosić...? – zastanawiała się Łucja. Zdawało się, że wcześniej rozstrzygnęła ów dylemat, lecz...

– Zimny drań i *femme fatale* – zauważył tymczasem Adam. – Odważny pomysł – dodał z niejednoznacznym uśmiechem („Nie zaproszę!” – zadecydowała ostatecznie).

– Co mówisz, kochanie?

– Spójrz na wystawę, żabko! Do tego sklepu zapraszają nas: zimny drań i *femme fatale*!

Łucja – zamarła! Rzeczywiście – tak to brzmiało! Nie: że produkty oferowane są wesołym, zabawnym panom i uwodzicielskim (a która nie chce taka być?) paniom, ale...

Grabska nie od razu zrozumiała, w czym rzecz. Musiała opuścić sklep i spojrzeć na witrynę z zewnątrz.

– Ach tak, rzeczywiście! – krzyczała, ubawiona, wróciwszy („Nie zaproszę!”). – Mimo wszystko weźmiemy dwa deka rodzyneków. A czy kawa u państwa dobra?



– Pani Miklaszewska – bardzo spokojnie odezwała się panna Lola, gdy Łucji brakowało tchu – pani Miklaszewska wychodzi z naszego sklepu tylko i wyłącznie zachwycona.

– Ach tak...

I znów – dzwonek! To Michasia, zostawiwszy przed sklepem pilnowany przez Stasia wózek z chłopcami, wstąpiła, by oznajmić bez ceregieli:

– Będę spacerować.

– Dobrze, Michasiu. A co poza tym? – zapytała Łucja, obecność gosposi traktując niczym koło ratunkowe rzucone na wzburzone morze szyderstw nieznośnych, bezczelnych Grabskich.

Michasia zrobiła wielkie oczy. Lecz skoro pytają...

– Proces się zaczął – zaczęła, wyraźnie zadowolona – tego Olejniczaka, co kolegę studenta zamordował, bo miał dwie kochanki; jednej dziecko zrobił, a z drugą się zaręczył...

– Michasiu!

Na szczęście ów jeden krótki krzyk wystarczył – gosposia zamilkła (a jak bardzo, och, jakże bardzo chciałaby móc powiedzieć więcej: bo ów przyjaciel Olejniczaka, student teologii, powziął postanowienie, by kobiety owe zorientować w nieciekawej sytuacji, lecz zanim do tego doszło, lojalnie się przed kolegą ze swych zamiarów wypowiedział – i właśnie dlatego ten zabił go tak okrutnie! W tym Krakowie to dopiero... W życiu by tam Michasia nie pojechała!). Grabska mimo to zaśmiała się głośno.

– Chodźmy, kochanie – chwyciła podane przez Lolę torebki, ciągnąc męża za ramię. – Swoją drogą, powinniście w ramach Wydziału Propagandy nakłaniać tutejszych kupców do bardziej związanego z Gdynią projektowania witryn... Do widzenia paniom, kłaniam się. Inaczej widzisz, skarbeńku, każdy sobie... Każdy...

Więcej nie usłyszały. Łucja niepewnie spojrzała na Lolę. Ta prychnęła:

– Wielka mi pani! Kierownikowa z Wydziału Propagandy!

Tym razem to Łucja się śmiała („Nie zaproszę!!!” – upewniając się po raz trzeci). Po czym na powrót zwróciła się ku gosposi:

– Michasiu! Michasia zawsze jak już coś... Tak jakoś... Że też...

– Ale co ja?! Pani znów!

– Co: znów?!

– Tak na mnie! Najpierw co słyhać, a gdy już zaczynam mówić...

– Dość! Niech Michasia spaceruje! Chłopcy aby ciepło ubrani?

Żeby to sprawdzić, wyszły przed sklep.

Poprawiła czapeczki, naciągnęła kocyk.

– Bardzo pięknie się Michasia sprawiła.

Cisza.

– Co to, obraziła się Michasia? Nic nie będzie mówić?

– Chodzić będę.

– Byle nie za daleko: od rogu do rogu, tam i z powrotem, tak?

W odpowiedzi tylko zadarty w górę nos.

Lecz akurat po drugiej stronie ulicy zatrzymał się samochód. Wskoczył z niego Witold.

– Wody – krzyknął. – Ostromeckiej!

„Masz! – pomyślała Łucja. – Nie z kranu, tylko najdroższą, ostromecką musi pić!”

– Krzysztof gdzie? – zapytała.

– Najpewniej w biurze.

– A ty z nim nie byłeś?

– Nie byłem.

Pił. A grdyka, zdawało się, zaraz rozerwie chudą skórę i wyskoczy, potoczy się z łoskotem po sklepie.

– W niedzielę pojedziesz z nami?

Pokręcił głową.

– Mam swoje sprawy – wyszczerzył kły. – Teraz właśnie jadę do szefa. Przekazać mu coś?

– Niech spieszy się do domu – będzie lin i purée z pietruszki.

– Powtórzę, na pewno się ucieszy.

Zawahała się: czy tak się jej tylko zdawało, czy też w oczach chłopaka dostrzegła cień drwiny?

– Co ja poradzę, że Krzysztof uwielbia dobrze zjeść – westchnęła, wracając do sklepu.

– Zawsze taki był – skomentowała Lola.

Zawsze?! Skąd to Lola niby wie?!

## ROZDZIAŁ 40

### Nowe horyzonty

Gdy silnik zawarczał im nad samymi głowami, musieli przytrzymać kapelusze. Kilkadziesiąt metrów dalej ciężkie cielsko opadło na trawę i toczyło się po niej jeszcze parę chwil. Odprowadziwszy samolot wzrokiem, wrócili do przerwanej rozmowy:

– Byłem, proszę państwa, i w Berlinie – mówił instruktor Maciejewski o zawodach Challenge 1932, kiedy to Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura po locie okrężnym nad Europą pokonali plejadę lotników niemieckich – byłem, mówię, na owym lotnisku Tempelhof. Porucznik nadleciał z południa, zawirował nad metą, wzbił się jeszcze w górę, po czym wylądował. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi fetowało jego oraz inżyniera. Wkrótce odegrano hymny, a na pierwszym miejscu nasz!

– Byłem i w Warszawie dwa dni później – kontynuował po chwili, z miną poważną i spojrzeniem uciekającym w dal, hen, za lasy na wzgórzu. – Tłumy, powiadam państwu, nieprzebrane. Wreszcie ukazali się na niebie, lecąc od zachodu, wnet zaczęły się wiwaty, a gdy aeroplany osiadły, to na nic policyjne kordony, ludzkie morze się wylało, oblało niewielką konstrukcję RWD 6 i dawaj: bohaterów w górę; a że ci nosili białe kombinacje i granatowe czapeczki, to wkrótce tylko te czapeczki było widać ponad lasem wznoszonych w górę biało-czerwonych goździków. Niech żyją, niech żyją – krzyczeliśmy – aż odezwały się syreny samochodowe, a nawet gwizd lokomotywy! Płuca od krzyków – powiadam – mieliśmy rozdęte, a serca ze wzruszenia ściśnięte! Długo to trwało, nim porucznik pojawił się na balkonie: przemawiał, lecz nie słychać było nic, wciąż głównie wiwaty. Za to widzieliśmy: jak porucznik bierze synka w ramiona, unosi go, ów synek zaś klaszcze małymi rączkami... Płakaliśmy, proszę państwa, jak jeden mąż. Wszyscy, nie było takiego, co nie płakał. Ech, brak słów, drodzy państwo, brak słów...

– Ale bo też było to zwycięstwo niespotykane: czy znajdziecie państwo w pamięci większej klasy sportsmenów? Konopacka, Walasiewicz, Kusociński... może? Lecz wątpię. Gdyż lotnictwo ma w sobie to coś, co porywa... I obyśmy jeszcze kiedyś doczekali...

– Bo byłem również – Maciejewski przetarł oczy i wysmarkał nos – byłem ponownie w stolicy ledwie kilkanaście dni później, kiedyśmy w trzystutysięcznym tłumie odprowadzali bohaterów od Świętego Krzyża na Powązki. Gdy się rozbili w Cierniku Dolnym...

– Sztandary, poczty, wieńce, przemowy... Lecz jak to możliwe, ja się pytam, jak możliwe: w ledwie dwa tygodnie po największym tryumfie?

– A jednak powiedzieć można – instruktor podniósł głos i podniósł też

w górę palec – że coś się, owszem, wtedy skończyło, ale i coś zaczęło...

– Szaleństwo – wtrąciła pani Grabska.

– Tak jest, droga pani, lotnicze szaleństwo. Mimo śmierci bohaterów zawody gonią zawody, złoty gwiazdziste jeden za drugim, rajd za rajdem, ledwie silniki nadążają stygnąć!

– Staliśmy się narodem lotników – spróbował podsumować Grabski.

– W rzeczy samej, łaskawy panie. Nic dziwnego, że w tym roku Challenge odbędzie się w Warszawie. Będą tłumy, oczekiwania, będzie feta; wszak zwyciężymy, nie może być inaczej! Lecz oto i kierownik Studziń. Panie inżynierze, państwo ze Związku Propagandy do pana.

– A witam, witam serdecznie! Ręki nie podaję, gdyż umorusana olejami. Przejdźmy do biura, marzę o kawie i koniaczku!

Skłoniwszy się Maciejewskiemu, ruszyli posłusznie za inżynierem-lotnikiem. Tęgie łydki opinały mu kraciaste pończochy, okazałe brzuszysko zielonkawa kurta, a nad srebrnym wąsem i stalowymi w kolorze oczyma świeciły dumnie, odbijając słoneczne promienie, wielkie szkła ochronnych okularów.

– Państwo w sprawie portu?

– Mąż. Mąż pracuje w Wydziale Propagandy.

– W sprawie portu – uzupełnił Grabski – lecz nie tylko, że tak powiem.

– Zatem wszystko sobie wyjaśnimy, zapraszam, czym chata bogata – zadudnił śmiechem Studziń.

Port lotniczy Gdynia w Rumi-Zagórze otworzyć planowano za rok. Nieco to trwało, nieco się wlekło, lecz od podjętej decyzji nie mogło być odwrotu – na rozległej łące, w sąsiedztwie drewnianego hangaru oraz budynku warsztatów, od dawna nie ćwiczyli już jedynie polscy studenci gdańskiej politechniki, ale i lądowały liczne delegacje – czy to krajowe, czy wręcz zagraniczne.

– Jest gdzie kołować, startować, lądować – szerokim gestem omiatał pole inżynier – a gdy tylko znajdą się fundusze, wystawimy elegancki dworzec. Na razie zaś, cóż, warunki spartańskie, kawę mam w termosie... Za to od Fangrata przy skwerze Kościuszki, więc najlepszą, o ile się nie mylę, w mieście...

W niewielkim biurze, którego ściany obwieszane były nieczytelnymi dla laików mapami, dyplomami i fotografiami uśmiechniętych lotników, usiedli na wskazanych przez inżyniera i najprostszych w świecie krzesłach.

– Więc pan... z propagandy?

– Ze Związku Propagandy Turystycznej oraz Wydziału Turystycznego Komisariatu Rządu – wyjaśniła Lusja.

– Ach tak – Studziń przechylił filuternie głowę. – Poważna figura.

Grabski głośno przełknął ślinę. Który to już raz żona, nie odstępując go ani na krok (zwłaszcza przy okazji licznych wyjazdów służbowych), tak jakoś

rozpocząła rozmowę, iż on – przedstawiciel urzędu – czuł się skrępowany, postawiony w niezręcznej sytuacji?

– Jako urząd jesteśmy zainteresowani pozyskaniem zdjęć lotniczych: miasta i portu – spieszył teraz z wyjaśnieniami – na potrzeby folderów reklamowych. Lecz ja... – zawahał się – ja chciałbym także zapisać się na kurs.

– Pilotażu! – skwapliwie dorzuciła małżonka.

– Pan? – krytycznie przyjrzał się Grabskiemu Studziłło. By znów spojrzeć na Grabską: – A pani? Czy pani również?

– Mąż... jedynie... – rumieniła się.

Inżynier złożył ręce na brzuszysku.

– Owszem, prowadzimy kursy. Zasadniczo dla przedpoborowych lub absolwentów kursów szybowcowych...

– Ależ mąż jest oddanym pasjonatem sportu! Z wieloma osiągnięciami. Zwłaszcza na polu rajdów automobilowych, w których to...

– Pomówmy o fotografiach – uciał pospiesznie Grabski.

Zamilkła w pół zdania, nerwowo odrzucając jasną grzywkę.

– Czy możliwe jest wykonanie lotów w celu spojrzenia na Gdynię z góry? – zapytał.

Możliwie było. Po spełnieniu szeregu warunków. Gdy omawiali je, Grabska wierciła się na krześle.

– Pan osobiście pragnie fotografować? – upewniał się gospodarz.

– Niech stanie się to testem przed ostateczną decyzją względem kursu – zażartował Grabski.

– Tak, tak... Oczywiście. Bo to się trzeba nie bać – zaznaczył Studziłło.

– Nie boję się, zapewniam.

– A więc jesteśmy umówieni. Całuję rączki łaskawej pani!

W drodze ku autu rzuciła cierpko:

– Chyba pozwolisz, że ja poprowadzę?

– Dlaczegoż to? – zdziwił się.

– Gdyż taką mam ochotę.

Zgodził się. Zawsze się zgadzał. Otworzył drzwiczki, poczekał, aż wsiadła, obszedł wóz dokoła. Obrażona – zauważył.

– Dlaczego nie ruszamy?

– Adamie, jak sam widzisz, staram się pomagać ci na wszelkie sposoby. Dlaczego więc tak bardzo się upierasz?

Nie zrozumiał.

– Próbowałem, kochanie, wyłuszczyć potrzeby urzędu...

– Nie udawaj, Adamie, proszę! Zgadzam się na kurs lotniczy, zgadzam się na przeróżne twoje śmiałe pomysły (jakie niby – nie wiedział!), lecz na samotne twoje rejsy zgodzić się nie mogę.

A więc do tego piła! Drażniło go to coraz bardziej: wszędzie z nią, wszędzie razem. A nie planował wszak samotniczego rejsu dokoła świata! Dlatego odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

– Kochanie, mówiliśmy o tym wiele razy. Planując wysłanie mnie w letni rejs, Komisarjat Rządu nie urządza mi tym samym wakacji! Ja mam popłynąć służbowo!

– Beze mnie!

– Dobrze, innym razem popłyniemy wspólnie. Opłacimy bilety i popłyniemy.

– Pięknie! Więc najpierw popłyniesz sam, a potem łaskawie ze mną?

– Może być odwrotnie: najpierw wsp...

– Nie ironizuj, ja ciebie proszę!

– Skarbie – położył palce na jej wczepionej drapieżnie w kierownicę dłoni. – Czy ty mi aby nie ufasz? Zupełnie nie rozumiem twojego oporu. Jedźmy, proszę, czekają na mnie w biurze.

Szarpnęła grzywką (w tym geście była piękna, uwielbiał go).

– Jednak nie popłyniesz!

– Ależ popłynę.

– Pożałujesz!

– Wyobrażam sobie – westchnął. – A teraz: jedź, proszę, ostrożnie.

– Wypraszam sobie takie uwagi! – krzyknęła i ruszyła ostro, z kopyta, aż silnik zawył, a w powietrze wzbiła się chmura spalin i kurzu.

W odpowiedzi i on postanowił być złośliwy:

– Dostaliśmy, wiesz, zaproszenie. Na przyjęcie u Wilczyńskich...

Drgnął jej policzek – zauważył. I zaraz zaczęła też trąbić na toczący się leniwie w stronę Chyloni wóz z rozsypującą się na boki kapustą.

– W następną środę – dodał.

– Ja ciebie proszę, nie bądź bezczelny!

Był, dobrze o tym wiedział.

– Nie pójdziesz na to przyjęcie – syknęła. – I nie popłyniesz. I dość, stop, więcej, żądam, ani słowa!

## ROZDZIAŁ 41

### W cztery oczy

Czuła się szczęśliwa, dlatego pocałowała go, wróciwszy z łazienki. Teraz on wyszedł.

Położyła się na wznak, koszycek palców opierając na brzuchu. Przymknęła oczy. Chwilę to trwało, nim na powrót ułożył się u jej boku.

– I jeszcze ono jest piękne... – powiedział.

– Co?

– Uszko. Twoje uszko. Czy o nim aby nie zapomniałem?

Nie, nie zapomniał. Całował, gryzł, wychwalał. O niczym nie zapomniał.

Obróciła się na bok, rękę przełożyła mu przez pierś, policzek przytknęła do ramienia. Pachniało echem użytej rano wody kolońskiej, z nutą – zastanawiała się – mleka – z odrobiną octu... Jego ciało. Ciało ojca jej dzieci.

Pocałowała, polizała to ramię – instynktownie. Mruknął – zadowolony.

I znów się ku niej nachylił.

A wciąż się go jeszcze niekiedy bała. Jego tajemnic. Nie, nie na co dzień, w ten sposób nie dałoby się żyć. Lecz weźmy owo ciało: o ranie barku potrafił mówić zwięźle i przekonująco. A przede wszystkim zawsze tak samo: wojna, nasz atak szedł pod górę, szaruga, błoto, ledwieśmy przebiegli... bo ja wiem... dwadzieścia kroków... Strzał, szarpnięcie, rozżarzony ból, cóż, stało się. Potem, wiadomo: Budapeszt, Kraków i tak dalej... W dobrym humorze potrafił długo i zabawnie mówić o swych szpitalnych przygodach, zwłaszcza nad Dunajem. – Przypadki wojaka Szwejka to przy tym nic – wykrzywił usta, co bardzo lubiła – w rzeczy samej nic! – Po czym powtarzał długie słowa węgierskie i przeplatał je zabawnymi sformułowaniami czeskimi.

Problem był z tą drugą raną (swoją drogą: odkrywanie ich obu w noc... hm, przedślubną, zapamiętała na zawsze: mieszankę fascynacji i przerażenia, podróż przez kolejne doświadczenia ciała jego i swego własnego, podróż w drzeniu – niczym dylizanssem – i jak w gęstym, lepkiem śnie; i było to piękne!), problem był zatem z tą drugą raną: na biodrze. Nie, jak pierwsza, ciemnym plackiem, ciut więcej niż znamieniem, z wyblakłymi węzłami pączkujących zrostów porozcinanej brutalnie skóry; do niej potrafiła się przyzwyczaić. Ale ta druga była dziurą! Dziurą w ciele, okrągłą, wgłębioną niczym krater wyschłego wulkanu. Lub drugi, nienaturalny i obcy (a może nawet wstrętny? – zastanawiała się) pępek.

Raz powiedział, że to pamiątka spod Lwowa. Innym razem, że z Krakowa. Potem jednak wrócił do wersji o bolszewikach.

– Przypadek – mówił – rykoszet, gdy ostrzelali nasz ambulans.

– Bolało? – chciała wiedzieć.

– E... – krzywił się.

– A kto, powiedz, kto cię wtedy opatrywał?  
– Po co ci to wiedzieć? – zachmurzył się, zmarszczył czoło (a leżeli jak teraz – prawie nadzy i ramię w ramię – czy w takich okolicznościach można nie mówić prawdy?). – Kostek – dorzucił po dłuższej chwili.

– Kot? – zrobiła wielkie oczy.  
– Przepraszam – zmieszał się – zamyśliłem się. – Oczywiście, że Kostka wtedy jeszcze nie znałem, więc nie mógł to być on. Był z nami lekarz. Nieważne.

Pytać więcej (a zatem jakby wpychać paluch znaku zapytania w ową ziejącą tajemnicą dziurę) nie miała śmiałości. O, nie bała się bynajmniej opryskliwego tonu czy piorunów rzucanych spod powiek (od ślubu jadł jej z ręki; żadnego na niej nie robiły wrażenia jego krótkotrwałe gniewy); bała się tego, że on mógłby wyznać jej coś jeszcze, coś, czego jakimś trafem (ironizować w ten sposób nauczyła się od niego) zapomniał zrobić wcześniej. Bała się zatem tajemnic – gdyż dotąd miał ich zbyt wiele.

Nieważne, łączyły ich dzieci. On kochał ją, ona kochała jego. Była wojna... – najlepiej na tym skończyć i nie drażnić (nie szukać dziury w całym!).

Znów opadli na plecy. I długo uspokajali oddechy.

Zegar w stołowym wybił drugą.

Rano, ubierając się, powiedział:

– Dzwoniłem do Rostowskich. Chcą powrotu Stasia. Szkoła.

– Zgodzisz się?

– Nie mogę inaczej.

– A ona?

– Wciąż w szpitalu – pieczołowicie zapinał szelki. Lubiała go takiego: ni to maklera któregoś z portowych przedsiębiorstw, ni to robotnika. Zwłaszcza gdy dodatkowo, wychodząc z domu, na ramiona narzucał wciąż tę samą od lat skórzaną kurtkę, a na głowę wciskał kapelusz („Pan to mi się wcale nie widzi na dyrektora...” – szeptała wtedy przerażona Michasia).

– Mama pisała...

– Mama? Naprawdę? Co u niej... Co u nich? – poprawił się prędko.

(Ależ to było przed laty, gdy wybrali się do Wyszkowa z radosną niby nowiną. Mamuniu, tatko, jestem w ciąży, a oto mój wybranek, ojciec nieślubnego dzieciątka... Prócz tego rozwodnik – mogłaby dodać, lecz darowała sobie i im – notoryczny kłamca i najprawdopodobniej przestępca... Zresztą i sama wieść o dzieciątku wystarczyła, by matka załamała ręce, Sobieraj chwycił się za serce (dobrze, że nie za strzelbę! – choć przygotowani byli i na to i zawczasu kazali dorożkarzowi czekać). Kocham państwa córkę – próbował jeszcze przekonywać przyszły zięć, lecz wszystko na nic, na próżno; oto zostali – wśród spazmów i krzyku – wygnani i od tamtej pory jedyne, co mogły z mamunią, to pisywać do siebie w tajemnicy... Ach, jakże by chciała pokazać im wnuki! Niestety, tatko



pozostawał śmiertelnie nieprzejednany!)

– Kryzys...

(A jego, Krzysztofa, unieważnienie małżeństwa? Kolejna opowieść rodem z taniego kina. Niby się śmiali na jej wspomnienie, lecz nie był to śmiech bez troski. Po kolei: wiadomo, żeniąc się w Galicji (ech, gdyby to było w Prusach!), Wilczyński nie miał prawa do rozwodu. Małżeństwo można było jedynie unieważnić. Pod pozorem? Wiadomo: przyczyn natury psychicznej (rozległego fiksum-dyr dum: schizofrenii, paranoi, zespołu nadmiernego umiłowania opium i kabaretowych piwnic), co jednak nie bardzo było w smak krakowskiej rodzinie. Spróbowali zatem inaczej: Krzysztof odwiedził był Kraków w pokutnej misji, zaginiona owieczka, baranek – i, ach, gdzie to nie bywał w czasie, gdy go nie było! (oczywiście w opowieściach ułożonych na rzecz skwapliwie nadstawiających uszu mieszczan-sąsiadów) – mianowicie z tajną misją rządową w Ameryce, z ekspedycją badawczą w Afryce i jeszcze na Antarktyce, by polować na pocieszne pingwiny – teraz zaś wrócił, by wyznać w skrusze, że już w dniu ślubu miał kochankę (ależ zaprawdę, powiadasz nam? – upewniali się prałaci ze specjalnej komisji; w końcu musieli jednak uwierzyć, by oto stała przed nimi owa sownie opłacona kochanka), poza tym będąc impotentem... (ależ zaprawdę? skąd zatem dzieciątko? – znów dziwili się purpuraci, którym odpowiadali z kolei solidnie ubogaceni lekarze: przedtem nie był, teraz jest, wszystko przez bolszewickie gazy). Koniec końców, faktom oprzeć się nie dało, komisja wydała więc wyrok: on winny, a ona niczym lelija... Z Krakowa wrócił wściekły – „więcej moja noga w tym siedlisku żmij nie postanie!” – cedził – ale i szczęśliwy, mogąc wreszcie zapytać: „Wyjdiesz za mnie, Łucjo?”)

– Kryzys, rozumiem. Co konkretnie piszą?

– Ledwie wiążą koniec z końcem, apteka zamknięta...

– Powinniśmy pomóc?

(Tamtego roku z Wyszkowa pojechali też do Pława. Pan Wilczyński okazał się zimny, obojętny, niezainteresowany losem syna. Przy stole zwykle milczeli, a Łucję oblewały poty nieustannego napięcia).

– W jaki sposób: pomóc?

– Pieniędzy nie przyjmą – stwierdził raczej, niż zapytał.

A ślub wzięli w urzędzie, czego proboszcz do tej pory nie chciał Łucji wybaczyć, następnie po raz pierwszy od dawna odwiedzili Czarodziejkę (ależ się śmiali, gdy Chaplin w *Cyrku* wstępował na zawieszoną wysoko ponad areną linę, choć gdy się nad tym zastanowić, nie była to wcale sytuacja do śmiechu!) by wreszcie – wciąż w towarzystwie Hanki i Kota – zjeść u Skwiercza i mimo ochoty zrezygnować z tańców w Adrii (wszak już w kwietniu rodzić się miał Franciszek).

– Pomyślę nad tym – obiecał.

– Dziękuję.

Znów usiadł na brzegu łóżka.

– Kocham cię.

W odpowiedzi cmoknęła go w policzek.

– Czy musimy jechać... do Konstantego? – zapytała jeszcze.

– Nie chcesz?

– Przecież wkrótce nasze przyjęcie.

– Pamiętam. Lecz od tak dawna nie spędziliśmy ze sobą całego dnia poza domem. Pozwolę ci kierować.

Zmrużyła oczy.

– Draniu!

– A więc cię przekonałem?

– A chłopcy?

– Weźmiemy tylko Stasia, dla nich to za duży trud...

Nie dokończył. O wilku mowa! O wilkach!

Stópki zadudniły o parkiet.

– Mama, tata!

– Proszę pana, omlet! – teatralnym szeptem zza drzwi dodała swoje Michasia. – Z niespodzianką!

– Mam nadzieję, że mnie nie otruje – szepnął Krzysztof i mrugnął. Łucja zachichotała.

– Ja ciebie też! – zatrzymała go jeszcze w drzwiach.

– Ach, tak! – zrozumiał. – Ja ciebie też – zagwizdał, zaśpiewał – ja ciebie też, ja ciebie też!

## ROZDZIAŁ 42

### Adam i Ewa

Zapukała cichutko, ledwie muskając opuszkami palców drzwi. Otworzył błyskawicznie.

– A więc czekał... – chciała wierzyć.

Po pierwszych, goniących jeden za drugim pocałunkach, rozbierali się niemalże leniwie, niemal sobą niezainteresowani, każde z innej strony łóżka.

– Skąd wiedziałas?

– Pułkownik zwierzył się Stefanowi.

A to ciotunia Wieczorkowska zesłała była w stolicy, Lusia z pułkownikiem musieli pojechali na pogrzeb, zaś Adam – cóż za nieszczęście! – w żaden sposób nie mógł zmienić uzgodnionego z inżynierem Studziłło terminu lotu.

Słońce zawisło nad zasłaniającymi Witomino wzgórzami. Wślizgnęła się pod kołdrę. On także wsunął się, przysuwał. Aż zarzuciła z werwą biodrem, długą, kościstą nogą, przekręciła się, wkręciła, przydusiła go do materaca...

Ileż razy udało im się doprowadzić do tego typu schadzki w ciągu tych... czterech już lat! Od pamiętnej nocy na Górze? Sześć? Osiem? U niego – jeszcze w starym biurze. W wynajętym pokoju w Sopotach. Ponownie w willi na Górze. I tu – naprzeciw figurki – w mieszkaniu państwa Grabskich (swoją drogą starała się unikać myślenia w ten sposób, starała się – będąc w łóżku z Adamem – nie pamiętać o istnieniu Lusi).

A przy tym nie kochali się bynajmniej miłością nieszczęśliwą, nie usychali, rozdzieleni, z tęsknoty, nie cierpieli na co dzień, widując się od czasu do czasu i nie mogąc dotknąć. „Jest jak Boże Narodzenie – myślał Adam o Ewie – po prostu się zdarza, choć z roku na rok podnieca coraz mniej...” „Jest jak łyk anyżówki – myślała ona o nim – od święta przyjemny, lecz nie na tyle, by zbyt często smakowanie powtarzać (przy czym po obu, i po likierze, i po spotkaniu z kochankiem, warto dodać, miewała ochotę pojechać do Rygi).

Wychodząc, choć rozglądała się uważnie, nie zauważyła młodzieńca wyłaniającego się z klatki schodowej w głębi podwórka. Za to on zauważył ją.

– Mamo! – miał krzyknąć, lecz ugryzł się w język. Za to cofnął pół kroku, skrył za przymkniętymi drzwiami. Uniósł też głowę i czujnie spoglądał w okna. Sam w blokach Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych spotykał się z pewną starszą od siebie urzędniczką, a do tego uczennicą popołudniowej Szkoły Sztuk Pięknych Szczeblewskiego i z tego powodu wołał nie zostać zauważonym. A mama? Co ją w to miejsce sprowadzało?

## ROZDZIAŁ 43

### Odludzie

Doszedłszy po ciężach do ładu z figurą, sprawiła sobie małą czarną. Dokładnie taką, jak te od pani Chanel – z długimi rękawami.

Michasia przyglądała się krytycznie:

– Nie tak się kiedyś wychodziło...

Jakby to ona wychodziła. Ciekawe niby gdzie?

– A jak?

– Bo pani Łucja wygląda, nie powiem... Ale tak jakoś... W czarnym na letnisko?

– Sama Michasia mówiła, że Jastarnia to nie letnisko, a wioska!

– Bo jest. Tym bardziej pani Łucja powinna się pokazać.

– Michasia sądzi, że wyglądam źle?

– Toć mówię, że wprost wybornie!

(„Skąd u niej takie określenie?”)

– Ale...?

Nic, niepokojące wzruszenie ramionami.

Mała czarna nie była już nowością i gdzie jej do coraz śmieiej zakładanych pyjam, spodni, garniturów! Gdzie do sięgających ledwie kolan sukienek sprzed kryzysu („Bieda, a sukienki coraz dłuższe. Gdzie tu logika?” – trafnie podsumowywał nieoczekiwaną zmianę trendu Krzysztof). A jednak: Łucja nie czuła się w owej małej czarnej zupełnie komfortowo. Nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Och, świetnie wyglądasz! – w samą porę z łazienki wypłynął Krzysztof. – Jedźmy, jedźmy, to wcale nie tak blisko. Staś, gotowy?

Chłopak potwierdził.

– Michasiu, pamiętaj: we wszystkim masz słuchać panny Karoliny!

Gospośia naburmuszyła się.

– Źle powiedziałam? Nie będzie Michasia słuchać?

– A bo to ja...

– Ja wiem: Michasia sobie poradzi, lecz nie chciałam, by została Michasia sama! Rozumie Michasia?

Mimo powtarzanych zapewnień Łucja spojrzała niepewnie na męża.

– Chodźmy! – ponaglał. – I niech Michasia nie zanudza panny Karoliny...

– Ja?

– Już tam Michasia dobrze wie, co mam na myśli!

– Nie martw się, Krzysztof, zanudzić się nie dam. Odpoczywajcie, spacerujcie, oddychajcie...

(„Też mi atrakcja!” – pomyślała Michasia).

– ...my z pewnością damy sobie radę.

– Mam nadzieję – westchnęła Łucja.  
– „Kuryer”! – usłyszeli już na dole. Krzysztof chwycił podawaną płachtę, Łucja kiwała na pożegnanie synom.  
– Mam nadzieję, że spodoba ci się... – mówił Wilczyński do Stasia, gdy wsiedli. – A może i ty zechcesz kierować? O ile sięgniesz nogami do pedałów.  
Ruszyli. Łucja przeglądała gazetę.  
– Co piszą?  
Wróciła na pierwszą stronę: „To cacane bobo, o wschodnich, skośnych oczach, jest owym wymodlonym japońskim następcą tronu”... Fotografie pokazują, spójrzcie... A dalej o przemytnikach.  
– Tak? – zainteresował się Krzysztof.  
– Granicę, wyobraź sobie, próbowali przekroczyć przebrani... Za drzewa, za krzaki... Wyobrazasz sobie?  
– Złapano ich?  
Potwierdziła. Roześmiał się na głos.  
– A o Gdyni znów nic – poskarżyła się, przeglądając „Wiadomości z kraju”. – Olejniczak, wciaż Olejniczak...  
– O co chodzi?  
– Ach, przepraszam, ten człowiek zamordował kolegę, Michasia nieustannie o tym mówi, my nie musimy.  
– „Dziesięciu solidnych mężczyzn – czytała wreszcie na głos – starało się o rękę pięknej panny X... Na wywiadzie, jaki z nią uczyniono, powiedziała: Jestem sprzedawczynią...” Czy to ogłoszenie? – przerwała, spoglądając na Krzysztofa. – Tak, ogłoszenie: „Używam pudru Tokalon” itepe, itede... Ależ to piszą! Że niby dziesięciu się oświadczyło, i jeszcze fotografię dają!  
– Na ogłoszenia trzeba uważać – skomentował, by po chwili, gdy złożyła gazetę, zacząć pogwizdywać.  
– Pani Maria czuje się lepiej. Wręcz świetnie! Po chorobie ani śladu.  
– Dobra wiadomość – obrócił głowę. – Naprawdę bardzo się cieszę.  
– A może nie przeszkadza ci, może potrzebujesz skupienia?  
Nie potrzebował. Prowadził śpiewająco, co zaraz też spróbował udowodnić. I wnet śmiali się, żartowali, bo śpiewać stanowczo nie potrafił.  
– Cała aż lśniesz – zauważył. – Czernią sukienki, sznurem perełek, lecz przede wszystkim urodą!  
Na wysokości lotniska przyspieszył. I ścigał przez chwilę z zawieszonymi wzdłuż szosy szybowcami.  
Jechali do Jastarni – jako się rzekło. Do Kotkowskich.  
– Ba, do rezydencji państwa Kotkowskich – podkreślał wszem i wobec. I choć nieco go to śmieszyło, to w większym stopniu napawało radością. Że tak się Kot pobudował! I to gdzie!

– Cisza, spokój, z dala od miasta – mówił przyjaciel. – Starym Gdynia nie do końca w smak, pod Tczew wracać nie chcieli... A i Hanka lubi wyjść przed dom, odetchnąć.

Lecz była i druga strona medalu. W Juracie, wiadomo, staraniem założonej przez kupców, przemysłowców, inżynierów i doktorów z Warszawy spółki uzdrowiskowej jak grzyby po deszczu powstawać zaczęły pensjonaty i rezydencje. I wnet, w rytm dansingów i przy dźwiękach orkiestr, cicha dawniej okolica roiła się w sezonie od aktoreczek i śpiewaków, malował w niej Wojciech Kossak, odpoczywał prezydent Mościcki, hrabiowie Potoccy, Tyszkiewiczowie oraz księżęta Czetwertyńscy.

– I ty, Kostek, międzzy nimi? Wysoko mierzysz!

– A w dupie ich mam! Przecież wiesz!

Rzeczywiście: ziemię kupił nie w kurorcie, lecz wśród z dawien dawna ceglanych chałup rybaków z Jastarni.

– Starego na złotą rączkę dam, choćby do Lido w Juracie, rowerem będzie dojeżdżał. A Hanka ze Starą poprowadzą domeczek...

Ładny mi domeczek! W części parterowy – dla rodziny, w części – wzniesiony piętro wyżej, z nowocześnie przeszkloną klatką schodową, z tarasami – szerszym na dole, przy stołówce, i węższym na drugiej kondygnacji – oraz z kilkoma pokojami dla przyjezdnych.

Budował niemal rok, Hanka w tym czasie powiła urocze (i niespodziewane!) bliźniaczki, wreszcie wynieśli się. I tylko Kot wciąż wynajmował w mieście pokój, zmuszały go do tego interesy.

A wszystko dzięki Ameryce. Gdy prohibicję zniosła Finlandia, pomyśleli z żalem, że oto koniec ich spirytusowych przygód. I wtedy Małecki dał znać o jakimś mister Clarke’u, szwendającym się po porcie, po urzędach i poszukującym kontrahenta. Gadatliwy był, więc chętnych do spółki wnet znalazł wielu. Tym przystąpienie do jawiącej się niczym eldorado spółki wyperswadować musiał Kot. Linie kredytową uruchomił z kolei pan Jan. Zaś Wilczyński założył swe pierwsze przedsiębiorstwo. Na wynajętego pod czeską banderą Żolika (co po polsku oznacza karcianego dzokera i co Kotkowskiemu spodobało się szczególnie – zważywszy, że w grze brał udział Król) spirytus bunkrowali oficjalnie. Na wypadek, gdyby coś złego miało się przytrafić podróżnikom, mister Clarke pozostał w Gdyni. Za pierwszym razem ich celem były Wyspy Bahama. Udało się – choć w niespokojnych nocnych rojeniach w gorącym karaibskim klimacie, na pograniczu snu i jawy, zdarzyło im się myśleć, że z owej szalonej eskapady nie wrócą – wyrzuceni za burtę przez aż zanadto spragnionych dolarowych kokosów odbiorców. A jednak... Więc jeszcze raz Bahama (zataczając pętlę raptem w sześć tygodni). I jeszcze... Wreszcie: Nowy Jork – zadecydował mister Clarke. Na rzekę Hudson wpłynęli niby dla pobrania zapasów słodkiej

wody. Wnet, niemal w cieniu Statuy Wolności, przystępując do wypompowania tysięcy litrów spirytusu. Wtedy postanowili: to już ostatnia taka wyprawa, kolejny raz ryzykować nie chcieli. Bo jakże potężni musieli być owi amerykańscy partnerzy, skoro całe przedsięwzięcie powiodło się bez najmniejszego problemu, mimo że na nabrzeżach aż roilo się od wszelkiej maści mundurowych? Na szczęście (by nie kusił los) i w Ameryce wkrótce zniesiono zakazy i obietnicy udało się dotrzymać.

O takiej okazji marzyli od lat – by w jednej chwili spadł deszcz banknotów, dolarów, by wreszcie żyć można było spokojniej. Statecznie, w codziennej nudzie, niczym z dawien dawna mieszczanie.

Jeszcze pojawili się w Gdyni amerykańscy urzędnicy celni (o czym znów doniósł Małecki), by wypytywać dokładnie o ładunek i marszrutę Żolika. Musztarda po obiedzie! Z punktu widzenia polskiego prawa działaniom przyjaciół niczego nie można było zarzucić.

Odtąd Wilczyński skrył się w oficjalnym cieniu detalicznego sklepu, spróbował też szpiczenderki – a więc dostarczania na statki konserw, kaszy i makaronu, rzeczy niewinnych i flocie niezbędnych – na dobre porzucając morza alkoholowe. I Kotu polecał to samo – miast myśli o przemycanej sacharynie, tytoniu czy koniakach.

– Przedsiębiorstwo budowlane – po długim namyśle zdecydował Kotkowski.  
– Koniec z dziuplami, mrówkami, koniec z utrzymywaniem chłopaków?  
– Powoli – mruczał Kot. – Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy, nie tak?

Dojechali tymczasem do Pucka.

– Widzę, że jednak nie pozwolisz? – zauważyła Łucja.  
– Przepraszam, kochanie, zamyśliłem się.  
– Miałeś pozwolić mi prowadzić.  
– Prawda. Lecz spójrz, zanoszą się na burzę!  
– Rzeczywiście.  
– Wracając – obiecuję!

Przyspieszył. Gnali. Na półwysep wjeżdżając wśród siekących już blachę strug i przy wtórze wałących raz za razem piorunów. Podjeżdżając pod Majami – bo tak swą budowlę nazwał Kot – trąbili długo i radośnie.

– Nie jesteś w mieście, człowieku, ciszej!  
– Łucjo! – cieszyła się Hanka. – A chłopcy nie z wami?  
– Jest za to Staś...  
– Włodek, Włodek, poznajcie kolegę!  
– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Elunię i Urszulkę.  
– Chodź, śpią.  
– Witam państwa – kłaniał się Krzysztof.

- A witamy, witamy – wykrzywił usta Stary.
- Gdzie Witold? – zapytał Kot.
- Gra. Jutro, zdaje się, mecz?
- Mecz? On już nie kopie.
- Nie?
- Od dawna.
- Dziwne, wydawało mi się... Tylko po co miałby kłamać?

Kot wydał wargi, wrzucił ramionami.

Stara prosiła na rosół. Ale gdzie tam – rosół – gdy wpieryw trzeba było wszystko dokładnie obejrzeć.

- Potęga! – szczerze chwalił Krzysztof.
- Ba! – czerwieniał z dumy Stary.
- Jeszcze wiele potrzeba... Firan, zasłon, krzesel...
- Wszystko w swoim czasie – uspokajał Konstanty.
- A ty wiesz, kto bywa w Lido? – krzyknęła Hanka.
- Kto?
- Wyobraź sobie: Eugeniusz Bodo...
- Naprawdę?
- A, o taki jest! – pokazał Stary (że niby aktor wcale niewysoki).
- Nie wierzę – śmiała się Łucja. By wciąż rozglądać się i chwalić. – Ależ

piękne macie widoki, piękny taras...

- Latem przyjedziecie na dłużej. Na wywczas – z chłopcami!
- Zależy, ile pan Konstanty za takie luksusy policzy...
- Nie martw się, Krzysztof, kogo jak kogo, ale ciebie na pewno będzie stać.
- No dobrze, już dobrze, bo stygnie!

Zasiedli. Lecz nie w chłodnej jadalni pensjonatu, a w stołowym w rodzinnej części domu.

- Bardzo tu u was uroczo – nie mogła przestać chwalić Łucja.
- Cieszę się, że tak mówisz...

O interesach tego dnia miało nie być ni słowa (omawiali je regularnie w czwartki przy Starowiejskiej, w Barze – *nota bene* – Amerykańskim). Lecz gdy wieczorem zmęczeni buszowaniem po wsi i plażach chłopcy kładli się spać, a panie, szepcząc, zamknęły się w kuchni, Kot chwycił w dłoń butelkę whisky.

- Chodźmy się przejść.

Stary, przysypiający dotąd w fotelu, czujnie odemknął oko.

- Ojciec chce się napić?
- Swoje wypilem, nie te lata, Krzyszt.
- Wilczyński ze zrozumieniem pokiwał głową.
- Za to wypoczywa pan u wód... Pięknie się pan urządził!
- A gdzie, jak mnie wciąż goni, łachudra, rowerem do aktorek!



– No tak, no tak...

– Niech ojciec nie narzeka! Co się ojciec napatrzy, to jego!

Stary zaśmiał się. I obrócił na bok, zwinął w kłębek.

– Niech się ojciec u siebie położy!

– Idźcie, ja poczekam!

Wyszędłszy, okrążyli dom i ledwie minawszy furtkę w ogrodzie, zagłębili się w las. Po chwili przekroczyli tory i wnet głośniejsz zaczął brzmieć jednostajnie mroczny szum fal. Wkrótce, z trudem dostrzegana w ciemnościach, a i w dzień ledwie widoczną ścieżką, wspinali się na wydmę, grzęznąc w sypkim piasku. Na szczycie wiatr uderzył z całą mocą i ujrzeli pulsującą czerń – była ciemniejsza od zasnutego chmurami nieba i blade spieniona przy granicy z lądem.

Kot podsunął flaszkę. Krzysztof pociągnął ze smakiem, oddał. Przyjaciel ledwie zmoczył usta.

– Węszą! – przekrzyczał szum sosen.

– Kto?

– Mundurowi. Najpierw na granicy wpadło kilka płotek, drobnostka, więc nie mówiłem... Teraz odkryli dziuplę.

Nie była to dobra wiadomość.

– Ponosimy straty, Krzysztof.

– Straty? – zdenerwował się Wilczyński. – Mniejsza o pieniądze. Kiedy to się stało? Co wiedzą?

– Kto?

– Ci złapani i ci z dziupli.

– Nie bój się. Wiedzą przede wszystkim, by nie mówić wiele. Bo tylko za to wypłacimy im sowite odszkodowanie. Co, zresztą, dodatkowo nasze straty powiększy!

Po pierwsze: z punktu widzenia Krzysztofa pieniądze w tej sytuacji naprawdę nie były najważniejsze. Po drugie: dość miał tego typu emocji. Co kilka miesięcy zdarzała się podobna wpadka i choć zwykle wszystko rozchodziło się po kościach, to nie mogli mieć gwarancji, że zawsze tak będzie. No i wreszcie: irytowało go owo my! My wypłacimy, my ponosimy!

– Tyle razy powtarzałem: skończmy z tym!

– Butle bierzesz.

– Biorę, skoro przynosisz, pomagam ci się ich pozbyć. Nie możesz poprzestać na budowach? Budujesz!

Zniecierpliwiony Kotkowski machnął ręką.

– Jak to sobie wyobrażasz, Krzysztof? Chłopaki pracują, starają się. W zamian dbamy o nich, sam przecież wszystko zaplanowałeś. By mieli oficjalne miejsca pracy, by mogli liczyć na zapomogi w trudnych chwilach. Żeby byli lojalni... co i nas zobowiązuje.

- To było dawno. I po Ameryce winno się skończyć.
- Słuchaj – stanęli twarzą w twarz i oczy Kota jaśniały. – Trzymam ich w ryzach. Jest spokój. Organizacja. Co mam powiedzieć? Odchodzę? To nie posada w urzędzie, żeby odejść!
- Bo?
- Bo skoczą sobie do gardeł. Narobią bigosu. Poleje się krew, rzuca się w oczy władzom... i dopiero wtedy staną się dla nas groźni.
- Dla ciebie – wyrwało się Krzysztofowi.
- Dla mnie? – Kot zrobił wielkie oczy, a potem zgrzytnął zębami i splunął w bok. – Jeżeli wpadnę ja, którego znają, owszem, tak jak nie znają, owszem, ciebie... Myślisz, że ja z kolei nie wspomnę o tobie?
- A potrafiłbyś? Potrafił?
- Chwiali się, targani silnymi podmuchami i po kostki w piasku. Lecz trwali – pierś w pierś, nos w nos. Wilczyński swym słowom starał się nadać ton możliwie ironiczny, Kotkowski przymrużył oczy.
- Nie o to chodzi, Krzysztof. – Jako pierwszy krok w tył wykonał Konstanty. Napili się, milcząc.
- Dobrze, co więc z tą wpadką? – rzeczowo zapytał Krzysztof.
- Powiedziałem: musimy opłacić rodziny aresztowanych.
- Wilczyński wzruszył ramionami.
- Opłacić. Mnie nie ubędzie.
- Ale to nie wszystko: tam z nimi wpadł pewien chłopak od nas... Nie chciałem go stracić.
- Ten napastnik?
- Dlaczego? – zdziwił się Kotkowski.
- Pokazałeś mi kiedyś pewnego chłopaka, jeszcze na boisku.
- Ach, tak. Pipka, napastnik. I trzeba za niego, bo ja wiem, poręczyć...
- Kto ma to zrobić?
- Ty, twoi urzędnicy. Cholewki, cholera, musiał smalić akurat tam, gdzie składaliśmy skrzynie. No i go przez przypadek przyskrzynili.
- Krzysztof zamyślił się.
- Nie chciałem, Kostek, w tego typu sytuacji wykorzystywać ważnych kontaktów...
- Co to znaczy: nie chciałbyś? – zachnął się Kotkowski. I aż rozłożył ręce, kołysząc butelką i rozlewając trunek.
- Dobrze, wymyślę coś. Wracajmy, bo zimno. Daj!
- Wypili jeszcze po łyku.
- Nagle Krzysztof roześmiał się:
- Słuchaj, czytałem, nie dalej jak kilka dni temu, o tym, jak gdzieś na Śląsku czy na Mazowszu rozbita została pewna szajka. Napadali z bronią w rękę.

I wyobraź sobie, wyobraź, że w akcji, po której wpadli, udało im się zrabować płaszcz męski i kawał, solidny, bo solidny, ale jedynie słoniny. Chcesz, żebyśmy też tak skończyli?

Ale Kot sapał tylko, gdy wspinali się na wydnię. Zatem i Krzysztof spoważniał.

– Pani Maria wyzdrowiała – powiedział, gdy już trafili pod baldachim pokręconych nadmorskim reumatyzmem gałęzi sosen.

– Królowa? – odburknął niechętnie Kot.

– Tak jest, matka pana Jana.

– A co mnie ona obchodzi?!

– Jak to: co?

– Król od dawna obłaskawiony – uparł się Konstanty, patrząc trzeźwym wzrokiem. – Zresztą on już niewiele w Gdyni zna, a i jego mało kto pamięta. Tych, którzy pamiętać mogli, pozbyłem się, wymieniłem. Nie myśl więc o nim, bo jak długo można?

## ROZDZIAŁ 44

### Dwie wiadomości: niedobra i zła

Czuł, jak oblepia go maź. Jak zalewa powoli czoło, zakleja oczy, jak wpływa powolną, gęstą strużką do uszu. To dlatego głosy, które do niego docierały, słyszał zniekształcone, pogrubiałe, jak z celowo spowalnianej gramofonowej płyty. Podobnie widział: kształty rozmazane niczym przez smaganą deszczem szybę, niewyraźne, przekształcające się amorficznie i z jakiegoś powodu groźne. Wkrótce domyślił się, że to Król, że Małecki, że chłopcy Kota i on sam, a wreszcie – i była to najbardziej przykra niespodzianka – że Witold. Tak, Witold, jego głos rozpoznawał wyraźnie i widział jego twarz, wydłużoną głowę, przykrytą czapką z daszkiem, rozpoznawał ów daszek... I był też z nimi ktoś jeszcze. Ktoś na uboczu, nic niemówiący... A maź spływała. Czy to olej – zastanawiał się, czy miód? Absurdalna sytuacja, lecz odechciewało się śmiać (w głębi duszy wiedział, że powinien, że to nie dzieje się naprawdę, że już taką noc przeżywał), gdy miało się okazać, że rękoma nie jest w stanie ruszać wcale, zaś nogami o tyle o ile – bo grzęzły, coś je trzymało, były ciężkie jak z waty, wtem!

Otrząsnął się, otworzył oczy. Wokół – noc.

– Krzyknąłeś – szepnęła zaspana Łucja.

Owszem, mogło tak być. Bo znów ten sen: powtarzający się co jakiś czas.

„Co się ze mną dzieje?” – zastanowił się. Od pewnego czasu niepokoiły go owe senne napady trwogi, martwiła skłonność do lenistwa, obżarstwa i świętego spokoju, męczyła zdarzająca się coraz częściej skłonność dzielenia włosa na czworo. Jeszcze nie mówił o tym wszystkim Łucji, jakby bojąc się przyznać – lecz do czego i dlaczego? „Mam trzydzieści siedem lat” – pomyślał zupełnie bez powodu, szeroko otwartymi oczyma próbując przebić się przez osaczającą zewsząd ciemność.

Nazajutrz, choć nie zdarzało się to w Gdyni, udali się do kościoła.

– Tu się chodzi – mrugnął porozumiewawczo Konstanty, a Hanka cieszyła się, że swoją małą czarną Łucja zada szyku. Dzień był piękny, słoneczny, ciepły. – Czy powinnam wziąć też płaszczyk? – asekurowała się panusia z wielkiego miasta. Wzięła. Na miejscu, w cieniu wysokiej, lecz i przysadzistej wieży, Kot kłaniał się na prawo i lewo, a i jego rozpoznawano. – Na prowincji żyć nie umierać – nachylił się ku Krzysztofowi. – Ty, z Kijowa, tak mówisz? – zdziwił się Wilczyński. – Kto by pomyślał – zgodził się Kotkowski.

Po późnym obiedzie ruszyli w drogę powrotną. Z początku towarzyszył im Kot na swoim błyszczącym, ale i warczącym potwornie, sprowadzonym z Anglii arielu, motocyklu. Aż do chwili, gdy Krzysztof zatrzymał się, by miejsca za kierownicą ustąpić Łucji.

Radziła sobie świetnie, a i Staś niczego sobie. Chwalili go głośno, zwłaszcza

Łucja.

Do Gdyni dotarli wieczorem. I od razu, jeszcze w drzwiach usłyszeli:

– Nieszczęście!

Łucja zbladła i niemal osunęła się w ramiona męża.

– Chłopcy? – zachrypiał ten, bo w jednej chwili wyszło mu gardło (trzeba przyznać, że oznajmiając złe wieści, Michasia potrafiła być przekonująca).

– Co też Michasia! – z tłącym się papierosem w rękę z kuchni wybiegła

Lola. – Z chłopcami wszystko w porządku. Śpią. A ty, Stasiu, nie jesteś zmęczony?

Dopiero po chwili, gdy zostali sami, Krzysztof surowo zaatakował gospozię:

– Co się stało, niech Michasia mówi!

– Mam dwie wiadomości... – zaczęła, mnąc ścierkę w dłoniach.

– Najpierw zła!

– Kiedy obie złe!

– Prędzej!

– Pani Maria...

– O Boże! – jęknęła Łucja.

– ...w szpitalu. Bo jej syn... aresztowany!

– Jak to?

– A tak: aresztowany! Ogrodnik od pani Marii, biedaczki, zadzwonił...

– Apopleksja? – domyśliła się Łucja.

– Serce – wyjaśniła Lola, zostawiwszy Stasia w łazience.

– Boże... Boże...

– Ale to nie wszystko!

– Jak to nie wszystko? – wściekł się Krzysztof. – Mówiła Michasia o dwóch wiadomościach!

– A to dopiero jedna... O pani Marii!

– Prędzej: co jeszcze się stało?!

– Witold.

– Witold?

– Narozrabiał.

– Co zrobił, Lolu, bo mnie krew zaleje, do jasnej cholery!

– Pił całą noc przy kartach, potem nożem wywijał, trafił...

– Zabił?

– Na szczęście nie zabił. Ale wzięli go na dołek. Siedzi. Byłam, nie wpuszczają.

Krzysztof zabębnił palcami o blat kuchennego stołu.

– Ja muszę natychmiast do szpitala – zdecydowała Łucja.

– Tam również o tej porze nie wpuszczają.

– A więc: co robić?

– Czekać. Do rana.

Łatwo powiedzieć. Nijak zaś przestać myśleć, o zaśnięciu nie wspominając.

Nazajutrz już o świcie Łucja w towarzystwie Loli pobiegła do szpitala. Krzysztof w drodze do komisariatu chwycił wszystkie możliwe gazety. O Królu pisano, a jakże: „Skandal murowany, powodem: drewno!”. Albo: „Miliony sprzeniewierzone, zatrzymanych wielu, kto jeszcze za tym stoi? Afera dotyka biskupstwa!”. Oraz (w sposób najbardziej rzeczowy): „Zatrzymany znany przedsiębiorca i ceniony darczyńca. Czy afera wokół podkładów kolejowych zatrzęsie miastem i krajem?”.

Mówiąc w skrócie: poszło o łapówki i drogie prezenty, o protekcję i kupowanie stanowisk, o niezrozumiałe jeszcze dla śledczych zamiłowanie do nabywania drożej, niż miało to sens, i sprzedawanie poniżej kosztów – czym zabawiali się, w wąskim gronie Król, urzędnicy ministerstw, bankierzy i właściciele lasów. „Swym tupetem przewyższał Król niesławnego inżyniera Ruszczewskiego” – donosili pismacy, wciąż pamiętając głośny przed rokiem proces budowniczych gdyńskiej poczty (przy okazji: „niesławny inżynier” dostał był sześć lat). „Wiele tajemnic pozostaje wciąż do wyjaśnienia” – zapowiadali jeszcze ponuro i surowo, i aż dziw, że potrafili tak mocno się na działalność pana Jana oburzać, podczas gdy jeszcze tydzień czy dwa wcześniej pod niebiosą wychwalali jego troskę o nieszczęsne sieroty, pozbawione środków matki, a nade wszystko o, w nieustający sposób cierpiących – z winy masonów i liberałów – przewielebnych prałatów.

O Gdyni – na szczęście – ani słowa. Na razie. Choć należało czujnie śledzić przebieg sprawy (wszak „wyjaśniając” owe „tajemnice”, czy to śledczy, czy nadgorliwi dziennikarze mogliby wrócić do gdyńskich czasów Króla i kto wie, jakie demony w ten sposób obudzić). A przede wszystkim pomyśleć o tym, co może się stać, gdy dojdzie do Króla wiadomość o matce. Czy nie przestraszy się wizji jej rychłej śmierci, czy nie uzna, że w ten sposób wszystko stracone i nie mając ochoty żyć dalej, nie zacznie bronić się, śpiewać – pogrążając wielu, wielu innych, a między innymi Krzysztofa i Kota? Zresztą co z nią? Czy się wykaraska? – całą długą noc, nie odszukawszy ani w mieszkaniu, ani w knajpach Kotkowskiego, zastanawiał się samarytanin Wilczyński.

Prócz tego na głowie miał Witolda. Na policji, siedzibę mającej obecnie w budynku Komisariatu Rządu, z trudem udało się mu przekonać oficerów, że jest opiekunem chłopaka. Z początku zdziwili się, a później pozwalali sobie na złośliwe uwagi. Na szczęście potwierdziło się: że choć pobił, to nie zabił; że choć użył noża, to jedynie drasnął.

– Niemca? – wyrwało się chwili Wilczyńskiemu.

– Dlaczego Niemca? – podnieśli głowy.

– Wściekał się ostatnimi czasy na Niemców i pomstował, że gdy któryś mu się nawinie... – w lot domyślił się, co chcieli usłyszeć i rzeczywiście: spojrzeli na

niego z odrobiną sympatii.

– Co z nim będzie? Skarga jest?

Była.

– Nie dawajcie chłopakowi w kość – poprosił na koniec. W drzwiach zatrzymał się, zawrócił:

– A Wacka Pipkę... też tu trzymacie?

– Bo co?

– Za niego również chciałbym poręczyć.

– Panie, co pan?! Kim pan w ogóle jesteś?

Krzysztof zmrużył oczy.

– Przedsiębiorcą. Dostarczam towary na statek i prowadzę sklep kolonialny.

– A... – spojrzeli pochmurnie jeden za drugim. To może aby zimny drań, z butlą wina za stówkę?

– Tak, to ja.

– Na interesach szanowny pan prawdopodobnie się rozeznaje. Ale towarzystwem otacza się nie za ciekawym.

– Co wam do tego?! – bezczelność pałkarzy stawała się niesłychana.

– Może i nic... – roześmieli się szyderczo, widząc jego zdenerwowanie. –

Czym jeszcze możemy służyć?

– Niech no tylko się dowiem, że źle któregoś z nich potraktowaliście, zapłacicie mi za to! – zagroził.

I wtedy z sąsiedniego pokoju wyszedł kolejny policjant.

– Co się stało, posterunkowi, skąd te śmiechy?

– Obrońca uciśnionych, panie aspirancie – wskazał Krzysztofa jeden z nich.

– Jak godność pana? – zapytał aspirant po chwili, zapoznawszy się ze sprawą.

Wilczyński przedstawił się niechętnie, czując, że wzbiera w nim złość. („Jak w starych, dobrych czasach” – przemknęła prędka myśl).

– O... – zdziwił się tymczasem szczipły okularnik, z wyglądu studencina.

Dodając, jakby do siebie: – Jak raz kilka dni po tym, gdy aresztowano Króla.

– Co za: o! – wybuchnął Wilczyński. – Z kim właściwie mam przyjemność?

– Kowalski. Jan Kowalski. Aspirant. Choć długo byłem tylko przodownikiem.

Nic to Krzysztofa nie obchodziło. Chciał za to wiedzieć:

– Dlaczego wspomniał pan o Królu?

Kowalski spoglądał pozornie w jego oczy, lecz przecież unosząc wzrok ciut w górę i lewo.

– Nie rozumiem?

– Wspomniał pan o jakimś aresztowanym Królu.

– Czy to także pana znajomy? – zaciekawił się aspirant.

– Tego nie powiedziałem.

– W takim razie o czym my w ogóle mówimy?

To oczywiście: nie było sensu przerzucać się podobnymi zdaniami. Warknął więc krótko na pożegnanie i wybiegł, trzaskając drzwiami.

– No, no – pokręcił głową Kowalski, siadając za biurkiem. „Czy to ruszyły się klocki domina?” – pomyślał.

Małeckiego, piętro wyżej, Wilczyńskiemu również udało się zastać. Rozmawiali długo. Szkoda, że niezbyt owocnie.

– To sprawa kryminalna, a skoro wpłynęła skarga...

– Przecież znasz w tym mieście wszystkich, Marian!

– I właśnie dlatego...

– Marian, zastanów się, wymyśl coś! – zażądał Krzysztof na odchodnym.

W południe w Barze Amerykańskim spotkał z kolei Kota. Prędko zrelacjonował mu, co zaszło.

– Fiu, fiu – zagwizdał Kot. – Porobiło się.

– To stało się przy kartach – sprawa Witolda była dla Krzysztofa najważniejsza. – Nie masz z tym nic wspólnego? To nie twoi zajmują się kartami?

– Może i moi, może i mam – odpowiedział Kotkowski, uśmiechając się złośliwie i mrużąc oczy.

– Witold drasnął właściciela speluny. Sprawę trzeba załagodzić.

– A co z moim – nacisnął Konstanty – co z moim napastnikiem?

– Próbowałem, lecz nie wiem, czy mogę pomóc. Znasz tego od kart?

– Mógłbym powiedzieć tak: nie chciałbym w tego typu sytuacji wykorzystywać pewnych kontaktów...

– Stąpasz – wycodził Krzysztof – stąpasz, Kostek, po kruchym lodzie...

– Tak powiadasz?

Znów ten ton – niby grzeczny, można by rzec: pełen pozornej, acz zdawkowej ciekawości, a przecież ironiczny – nie rozmawiali wszak o pogodzie. W rzeczy samej, choć nie wprost, mówili o przyjaźni. Wieloletniej!

I dlatego Wilczyński wstał, obrócił się i wyszedł. („Znów odwracam się plecami” – pomyślał).

Lecz nie, Kot nie zawołał go, by wracał.

– Jeszcze się policzymy – obiecał mu w duchu Krzysztof.

Lolę zastał w sklepie.

– Łucja w domu?

Była. A pani Maria, choć bez świadomości, to przeżyła noc. Co wydarzy się w przyszłości – lekarze nie potrafili przewidzieć.

– Tego mi jeszcze trzeba, by opłakiwać staruchę – rzucił z niechęcią. Zapalił.

– Nie jej zdrowiem martwisz się, Krzysztof, najbardziej, prawda?

– Znasz mnie.



– Co z Witoldem?

Znów opowiadał. Po raz trzeci tego dnia. Przy okazji wspominając o „napastniku”.

– Nie miała baba kłopotu... – westchnął na koniec, przysiadając za ladą. – Do diabła! – zerwał się już po chwili. – Za pół godziny umówiony jestem w sprawie fajansu...

– Z fajansem poradzić musisz sobie sam – Lola położyła mu dłoń na ramieniu. – Przychylność sędziów spróbuję zdobyć ja.

Uniósł głowę, wydmuchał dym.

– O tym nie pomyślałem.

– Nie wierzę ci, Krzysztof.

– Przysięgam, Lolu! Lecz jeżeli dasz radę, będę twoim dozgonnym dłużnikiem!

– Będziemy kwita, ot, tyle...

– Przysięgam – powtórzył z zapalem – że nie przyszedłem tu, by cokolwiek na tobie wymusić...!

– Niech tak będzie – uśmiechnęła się i był w tym uśmiechu cień smutku. – Idź już, idź. A o Witolda zupełnie się nie martw.

## ROZDZIAŁ 45

### Lepszy gość

Przyjęcia odwołać nie było sposób, choć Łucja straciła doń zapal. Uległa jednak perswazji, zwłaszcza ze strony Loli, która przekonywała ją z wielką wiarą, że stan pani Marii z pewnością ulegnie poprawie – czego oznaki rzeczywiście pojawiły się już po kilku dniach. Staruszka przebudziła się i choć z początku nie rozpoznawała twarzy, to najgorsze bez wątpienia minęło.

W tej sytuacji w domu inicjatywę przejęła Michasia. Na porcelanowych półmiskach, a jakże, z Ćmielowa („To Wendorf” – nazwisko cenionego projektanta docenił wkrótce, ku zadowoleniu Łucji, pan Niesiołowski) – wyprężyły się więc galarety i pasztety, węgorsze, sielawy, śledzie, drób na zimno – ale nadziewany! – a dalej wszelkiego typu marynata (z rydzami na pierwszym planie). Wszystko zaś w oczekiwaniu na wyborny bulion i comber w maderze. Deserów i trunków nie licząc.

Pierwszy przyszedł Kot – z wielkim koszem smakołyków. Łucję nieco to zmieszało, lecz Kot udobruchał ją prędko, mówiąc, iż słodkości i likiery to prezent wyłącznie dla niej, którego – wiedząc, iż tego wieczoru spodziewać się może o wiele większych smakołyków – absolutnie nie ośmieliłby się proponować na stół.

Na widok zaś Krzysztofa powiedział:

– Dziękuję za chłopaka.

Wilczyński w odpowiedzi skinął tylko lekceważąco dłonią, ni to uśmiechnął się, ni skrzywił, i ani słowem nie wspomniął o kluczowej roli Loli. Więcej powiedzieć sobie nie zdążyli, bo oto nadchodzić zaczęli jedni po drugich: Miklaszewscy, Niesiołowscy, Wojniczowie (on był ważną figurą w Wydziale Ekonomicznym Komisariatu Rządu, ona śpiewała z Łucją w chórze), Jedlinowie (z Towarzystwa Kupców), a wreszcie Krupscy z zarządzającego węglowcami Polsko-Skandynawskiego Towarzystwa Okrętowego. Przedstawiany im wszystkim jako przyjaciel rodziny i „właściciel pensjonatu Majami na półwyspie”, Kot uśmiechał się czarująco i całował dłonie dam. Na boku szepnąwszy Łucji:

– Aleście urośli!

Przy stole doszło do swoistych zapasów. Oto panie mówić próbowały o zbliżających się obchodach majowego święta (gdzie oczywiście śpiewać miała Symfonia), o nieodpartym uroku dyrygenta Kirsteina (niestety nie mógł zaszczyścić wieczoru swoją obecnością) czy o wspaniale się zapowiadającym rozwoju przeniesionej z Grudziądza Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych Wacława Szczeblewskiego; lecz na próżno! Zwyciężyły, jak zwykle, polemiczne temperamenty oraz mocne głosy panów – podniecane regularnie smakowanymi trunkami:

– Wizyta francuskiego ministra i podpisany sojusz – perorował zatem

Teodor Wojnicz, powtarzając okrągłe zdania prasowych nagłówków – w rzeczy samej stać się powinny podstawowym czynnikiem równowagi europejskiej.

– Podobnych wzorców należałoby się trzymać – przekonywał z kolei Czesław Jedlina, wspominając dawną, zakończoną zbrojnym zajęciem Wilna (wbrew chrapce bezczelnych Litwinów) awanturę Żeligowskiego i czyniąc tym samym aluzję do wciąż tłącego się konfliktu na granicy z Czechosłowacją. („Terror czeski w 15-lecie najazdu na Śląsk Cieszyński” – lamentowały gazety. „Czeski Kulturkampf szaleje!”). – A co, a nie nasz Tryniec, Karwina i Jabłonków, o całości Cieszyna nie wspominając? Nie naszych to sto tysięcy braci i sióstr, których usuwa się z pracy i nie pozwala uczyć w ojczystym języku? – dopytywał jeszcze, tocząc wzrokiem po twarzach biesiadników i groźnie marszcząc brwi.

– Jednakowoż mocarstwowe plany w naszych ustach, gdy tak wiele spraw wewnętrznych pozostaje do załatwienia... Otóż nie brzmią one, zdaje mi się, owe plany... wiarygodnie... – próbował wtrącić nieskładnie i nieśmiało, mocno się przy tym czerwieniąc, Bohdan Krupski. (Krzysztof miał zresztą podobne z nim zdanie, lecz przezornie milczał).

– Ależ panie drogi! A cóż to obśmiewać: że mocarstwowe plany? Jeżeli chcą na ten przykład Portugalczycy pozbyć się Angoli, to bierzmy, bierzmy bez wahania!

– Choćby zbrojnie, wysyłając flotę – mruknął Kot, niby cichaczem, mrugając teatralnie w stronę porucznika Mikłaszewskiego. Odpowiedział mu gromki śmiech (i tylko porucznik się o dziwo nie zaśmiał – gdyż sprawy wojskowe traktował zawsze nad wyraz poważnie).

– A czemuż by nie? – zapędził się czerwony od wódki i emocji pan Jedlina.

Kot tylko na to czekał:

– Nie Sławoja-Składkowskiego i nie Śmigłego-Rydza, ale pana Jedlinę bym widział u boku Naczelnika! – wykrzyknął z podziwem (i znów wszyscy w śmiech – aż się nazajutrz dziwiła Łucja: cóż w tym takiego było śmiesznego?). By dodać od razu (i sięgając ku salaterce): – No to co, po rydzyku?

Śmiali się, ach, jak się śmiali. Zaś nieznające go wcześniej panie spoglądały na Kota z zachwytem („No, no...” – na swój sposób przyjaciela podziwiać zaczął i Wilczyński).

– Żarty żartami, drodzy państwo – podjął przerwany wątek pan Wojnicz – a w Niemczech łamią postanowienia Wersalu, remilitaryzacja im w głowach, polski korytarz ku morzu im nie w smak...

– A najechać ich, wspólnie z Francuzami, rach-ciach-ciach, z obu stron!

– Kiedy Francuzi, mówią, pacyfiści...

– Najechać, powtarzam, dopóty jeszcze czas!

– No istny generał, istny wódz! – zapaiał, zaśmiewając się, Kot.

– A co, źle mówię? Hitler słaby, Sowietci słabi... No to lu! Na nich!

– No to lu!  
– Zdrowie Marszałka!  
– I pięknych pań!  
– Jedno Niemcom trzeba przyznać – odezwał się po chwili milczący od dawna pan Niesiołowski. – A i nas tu w Gdyni problem ten dotyczy.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Mam mianowicie na uwadze narastającą kwestię żydowską. Tak potężny ich napływ – do Gdyni, miasta zrazu wolnego – nie może nie zdumiewać, nie może nie przerażać!

(„A niby czemuż to?” – pomyślał Krzysztof, choć wcale nie był ciekaw odpowiedzi: znał ją dobrze, wciąż tę samą śpiewkę).

– ...do portu, do handlu, do usług...

– O to to!

– Wielu zaś ochrzczonych, więc po nazwiskach nie poznasz. A jednak...

Spojrzeni po sobie – dobrze rzecz ujął? Tak czy nie?

– Mówią – kontynuował tymczasem architekt, zagryzając – że w Gdańsku i w Rzeszy szykany. Cóż to za szykany, ja pytam, kto przeżył wojny, temu dzisiejsze szykany... Ichniejszy zaś, niemiecki minister Ley słusznie, mniemam, rzecz przedstawił: istnieją dwa rodzaje obywateli, czy to w Niemczech, czy w Polsce: uczciwi obywatele oraz nieuczciwi... Znakiem tego, wobec tych drugich (a pasztet wyborczy!) jakoweś środki muszą zostawać przedsięwzięte... Inaczej zagłada... że tak to ujmę... rzymskiego dziedzictwa, kres cywilizacji!

(„A żeby cię pokręciło, Katonie! – pomyślał Krzysztof).

– Lecz jak znaleźć sposób: jak odróżnić owych uczciwych od nieuczciwych? – bąknął pan Krupski.

– Ależ drogi panie! Odróżnić i basta! Kosmopolitów, ciała rasowo lub ideologicznie obce. A komu nie w smak nasze – podkreślił stanowczo architekt – nasze porządki, temu droga wolna!

– Dokąd?

– A to już nie nasza rzecz, prawda?

Rozmawiano w ten deseń jeszcze dłuższą chwilę. I również o poprawie nastrojów w przemyśle i o zaproponowanym przez rząd programie robót publicznych. Oraz o wciąż nieuchronnie i ostatecznie wieszczonym końcu kryzysu – ten ostatni temat powracał w rozmowach od lat.

Kot w pewnej chwili wstał, przeprosił, wyszedł. A że nie było go jakiś czas, zaś politykowanie nudziło i Krzysztofa, także on, pod pretekstem doniesienia ogóreczków, ruszył w stronę kuchni.

– Naprawdę? – usłyszał aż do przesady zdziwiony głos przyjaciela, zatrzymując się przed niedomkniętymi drzwiami.

– Jakże inaczej? Nożem Lechowicza zarznął, Olejniczak jeden, w krzakach

takich. A ta Korczyńska, co to jej ślub obiecał, to płakała cała, gdy ten oskarżyciel mówił... A on, Olejniczak, jak już wyrok ogłosili, to go przyjął, o, niech pan Konstanty posłucha: „z załamaniem psychicznym”! Dobrze sobie, ja mówię!

– Ale dwanaście lat dostał? – upewniał się Kot, choć wiedział.

– Powiesiłabym! – Michasia w odpowiedzi zazgrzytała zębami, aż Krzysztofa przeszedł dreszcz.

– Swoją drogą, mówi już o nich pani Michalina – bo Kot zawsze tylko w ten sposób zwracał się do Michasi – jak o najbliższej rodzinie. Wszystko o nich, o mordercy i jego kochankach, pani Michalina wie...

– No co też pan Konstanty, tfu!

– A pasztet rzeczywiście wyborny, prawda, Krzyszto?

– A jakże – zgodził się gospodarz, który przekroczył w końcu próg.

– Bulion postawiłam, piec rozgrzałam...

– Niech Łucja zdecyduje: co kiedy podawać. Słuchaj – zwrócił się do Konstantego – trzeba będzie pojechać uspokoić Króla.

– Wylizala się, słyszałem?

– Myślę, że... – zastanowił się Krzysztof, nie chcąc mimo wszystko mówić o pani Marii w ten sposób – myślę, że tak. Że jej stan się poprawi.

– Za inne sprawy go zatrzymali, nie za nasze.

– Ale kiedy dowie się o matce, może się przestraszyć. Oczywiście nie ty pojedziesz, nie ja.

– Jak uważasz, choć według mnie to zupełnie niepotrzebne...

– Ależ panowie, co wy tu robicie, co sobie goście pomyślą?!

– Przepraszamy, Łucjo.

– Już nas nie ma. My tylko bulionu pilnowaliśmy – mrugnął Kot.

Znienacka zaterkotał dzwonek. Gospodarze spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Adam – szepnęła.

– Ach tak... Myślisz, że to on?

To był on. Z rozwianym włosom i nieco przekrzywionym węzłem krawata.

W sportowej marynarce, pumpach i kaszkiecie.

– Czy nie spóźniłem się? – zabełkotał, wręczając pani domu bukiet.

– Ależ nie... Prosimy... – niepewnym głosem odpowiedziała Łucja.

– Wzniosłem się... Wzniosłem się byłem... Ech!

Na widok nowego gościa siedzący u boku ojca Antoni Miklaszewski uniósł wzrok.

„Prawda!” – olśniło go w jednej chwili. To od ciotki Lusi – nigdy co prawda u niej nie był, lecz przypomniał sobie adres – wychodzić musiała matka te kilka dni temu, gdy on sam, Antoni, opuszczał mieszkanie kochanki. To znaczy: z mieszkania ciotki Lusi, lecz nie od niej – chłopakowi zrobiło się gorąco – gdyż jej, jak wiadomo, wtedy w mieście nie było!

Przedstawiony zebrany i usadzony za stołem Grabski – czemu towarzyszyły speszona mina Łucji i rozsyłane zebrany znaczące spojrzenia Konstantego – wpierv chwiał się odrobinę, potem przyjrzał dokładnie mieszkaniu, a wreszcie, zauważając chwilową konsternację pozostałych gości, powiedział:

– Ja państwu przerwałem... Przerwałem... Lecz... wzbilem się mianowicie dzisiaj, po raz już drugi, wzbilem ponad... Piękna jest nasza Gdynia, gdy spojrzeć na nią z góry, a mianowicie z aeroplanu!

– Pan latał? – domyślił się któryś z biesiadników (aż – hi-hi, hi-hi, hi-hi – w ten właśnie sposób pierwszy raz tego wieczoru głos w dyskusji zabrał porucznik Miklaszewski).

– A jakże! – odpowiadał ochoczo Grabski. – Z inżynierem, proszę szanownego państwa, Studziło... Który ma to do siebie, słabostka takowa, iż po odbyciu lotu wzbudzone emocje studzi zwykle koniakiem... Niemniej polecam, polecam serdecznie wzbic się! Nawet jeżeli potem nie obejdzie się bez koniaku. Mnóstwa koniaku! – roześmiał się.

– Zatem dla szanownego pana: koniak? – zaproponował Krzysztof.

– Może być... – czknął zapytany w odpowiedzi.

– Ależ kawy, najpierw kawy! – z przerażeniem w głosie zawołała pani Ewa.

– Michasiu, kawy! – podchwyciła prędko Łucja, myśląc zarazem, że zaraz spali się ze wstydu.

Michasia podała bulion. W samą porę – z sympatią pomyślała o gosposi Łucja. Powstało przy okazji małe zamieszanie, po nim zaś nastąpiło zgodne siorbanie. I posypały się komplementy, znów komplementy („Czy aby szczerze – nie dowierzała gospodyni – wszak to jedynie bulion!”).

Wrócono też na ziemię: do gigantycznie się zapowiadającej budowy molo Południowego, do przebudowy drewnianego molo w Orłowie, do kolejnego etapu wzmacniania nadmorskiej ścieżki Staniszewskiego. I od razu, niejako naturalnie, do zbliżającego się Święta Morza – którego sukces sprzed dwóch lat przerósł najśmielsze oczekiwania: sto tysięcy gości przybyłych z głębi kraju stanowiło dla każdego z gdynian ogromny powód do dumy.

Panie mówiły też o nadchodzącym wielkimi krokami poświęceniu oddziału położniczego szpitala wincentynek, panowie o zesłotygodniowym otwarciu Dworu Kaszubskiego, którym Grzegorzewski zastąpił dawną Starogdyńską. A że Krzysztof cierpliwie uzupełniał zawartość kieliszków, twarze gorzały, a dłonie wirowały.

– Adamie, czy dobrze się czujesz? – dyskretnie wykorzystwała okazję pani Miklaszewska. Jej syn nadstawił ucha.

Grabski wykrzywił usta:

– Wybornie!

I jakby zbudził się, postanowił o sobie przypomnieć:

– Tam właśnie z początku miałem mieszkać – krzyknął – w sąsiedztwie Komisariatu Rządu!

Lecz choć rzeczywiście mówiono w tej chwili o Towarzystwie Budowy Osiedli i o rozrastających się koloniach domków robotniczych, to ciężko było zrozumieć, co miał na myśli – tak się unosząc.

– Kiedy budowano bloki, tam miałem mieszkać, gdzie wybuchł gaz.

Ach tak, przypomniano sobie ów wielki wybuch sprzed trzech lat, ten, co to w całości wyrwał narożnik czterokondygnacyjnego domostwa i zabił, co za tragedia, kilkanaście osób, w tym rodzinę architekta Berezowskiego (a to właśnie on, jak na ironię, zaprojektował wcześniej willę dyrektora gazowni).

Tylko po cóż do tego wracać – bez składu i ładu – i czy to miałoby niby usprawiedliwiać dzisiejsze, coraz bardziej uciążliwe zachowanie spóźnionego gościa?

Tak czy inaczej, zapadła cisza, a Grabski mrugał oczyma.

– Ewuś, kochana – mogło mnie: pyk i nie być!

Miklaszewska zdrętwiała, syn poczuł to wyraźnie, ocierając się łokciem o jej łokieć.

– Lecz przeżyłem i latam. Transatlantykiem też się wybieram!

– Panie Grabski, pan powinien odpocząć – zawyrokował Wilczyński.

– ...a to nie łatwo, transatlantykiem, urzędnikowi. Ile tego, pensji, niecałe czterysta złotych...

– Panie Grabski, proszę ze mną odetchnąć na balkonie – Konstanty chwycił go za ramiona.

– Czterysta złotych – miesięcznie! Za to innym, jak widzę, się powodzi...

Wyprowadzili go, specjalnie się nawet nie opierał.

– Ja bardzo przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam, zupełnie nie rozumiem, co się panu Grabskiemu stało – rozpaczliwie tłumaczyła Łucja, gdy już zniknęli za firanką. – Taki przykładowy mąż, urzędnik...

– Już mu żona szkołę da! – huknął porucznik, prawdziwie oburzony.

– Ależ Stefan, ja ciebie proszę!

Tymczasem na świeżym powietrzu Grabskiemu się ułało. Kot zaklął, patrząc na obryzgane nogawki, a Krzysztof westchnął ciężko. I wychylił się przez balustradę, szukając wzrokiem autodorożki.

– Odwieź go, proszę, odwieziesz?

Kostek skinął głową.

Nie musieli iść przez stołowy, przeszli przez sypialnię. W korytarzu czuwała Michasia.

– Rzygał?

– Wymiotował. Niech Michasia oczyści spodnie Konstantemu, a następnie zajmie się balkonem.

– A taki wielki pan! – z jakiegoś powodu widok zmęczonego Grabskiego strasznie się Michasiu podobał.

Na schodach nieoczekiwanie zderzyli się z Witoldem.

– Jesteś? – wycedził Krzysztof. – Pomóż Konstantemu. I natychmiast wracaj z powrotem!

Czekał. Wcześniej planował delektować się chwilą powrotu syna marnotrawnego i przeżyć ją na zimno. Teraz czuł przede wszystkim gniew.

– Jesteś – powtórzył na widok chłopaka. – Powiedz, czego się nauczyłeś?

Witold spuścił głowę.

– Stało się, szefie...

– Co się stało? Co się takiego stało, że machałeś nożem?

– Wygrałem, chciałem odejść. Nie chcieli wydać pieniędzy.

– Mało ci? Nie zarabiasz? Nie więcej niż inni? Musisz w karty grywać po piwnicach?

Witold przestępował z nogi na nogę i nie śmiał podnieść wzroku.

– Do poniedziałku nie chcę cię widzieć. Masz nie ruszać się z domu i przemyśleć wszystko. To się zdarzyło po raz pierwszy i po raz ostatni, rozumiesz? Następnym razem wyleję!

– Idź, nie stój tak, zejdz mi z oczu! – krzyknął wreszcie Wilczyński. – Przepraszam – usłyszał na koniec.

– Karciarz – prychnął. – Blotki w ręku, a się rwie...

W kuchni przemył twarz. Poprawił krawat.

– Dobrze, Michasiu?

– Dobrze.

– Co robią chłopcy?

– Bawią się z panną Lolą.

– Zatem i ja wracam... się bawić!

Zachichotała. Ależ ten p a n bywał zabawny! Niby nic nie mówił, ale jak już spojrzał – boki zrywać!

Wkrótce wrócił i Kot.

– Ululałem nieboraka – oznajmił, stając w drzwiach.

– Dał się aby?

– Czy bardzo z nim źle?

– Źle, pani Ewo, to będzie z nim jutro. W życiu do samolotu nie wsiądę! Sami państwo rozumiecie...

Ach! Jakże wesoło znów się mogli śmiać! Co czarujący wodzirej natychmiast wykorzystał, proponując:

– Proszę państwa, a może byśmy tak, zamiast politykować, pośpiewali?

Brawo, świetny pomysł! I tylko Łucja się zaniepokoiła.

– W zielonym gaju – zaintonował, wychyliwszy kielicha.



– Co za wstyd – zadrżała, spoglądając niepewnie na twarze dostojnego towarzystwa. Lecz zupełnie niepotrzebnie.

– ...ptaszki śpiewają... – oto dyrygował panami Kot.

– ...pod jaworem... – posłusznie na jego gesty reagowały rozanielone panie.

I tak do późna:

– Panno Walerciu, powiedz mi...

– Pierwszy znak, gdy serce drgnie...

– Już taki jestem...

– Że to właśnie ten, tylko ten...

Aż i Michasia podśpiewywała w kuchni, Lola nuciła usypiającym chłopcom, a i Łucja nie poskapiła głosu.

„Co by to było... – myślała później, nocą, poprawiając poduszkę na łóżku – co by to było, gdyby nie Kot... Najlepszy gość, bez dwóch zdań, i kto by się tego spodziewał?”

SIERPPIEŃ

1934

## ROZDZIAŁ 46

Ahoj, przygodo!

Do budynku Dworca Morskiego wbiegli spóźnieni. I dalej: schodami w górę – ona prawym, on lewym skrzydłem, ku stanowiskom odpraw: celnej i granicznej. Potem bagaże bagażowym, a samemu kierunek trap. Ach! Jeszcze pożegnanie!

– Będę tęsknić, kochanie – powiedziała Lusia.

Przytulił ją, głaskał po włosach, pocałował w czoło.

– To ledwie kilkanaście dni.

– Rozumiem, wytrzymam – uśmiechnęła się przez łzy, by dać mężowi znak, żeby się nie martwił, a przynajmniej nie zamęczał jej zmartwieniem. Jeszcze wczoraj kłócili się, krzyczeli, stłukli wazon i dwa talerze, dziś pogodziła się z biegiem wydarzeń, z silniejszą od miłości mocą wzywających męża obowiązków.

– Pogoda zapowiada się doskonała – po raz ostatni spróbowała uspokoić nerwy, stłumić niedobre przeczucia.

– Pisz, dużo pisz, będę chciała przeczytać jak najwięcej.

Wiadomo, takie otrzymał zadania: opisać podróż w każdym jej wymiarze.

– Idź, czekać nie będą...

Na trap, a właściwie w korytarz pomostu prowadzącego na pokład wbiegł, lecz zaraz zwolnił. Owszem, by obrócić się i pomachać żonie, lecz przede wszystkim, by już w tej chwili – wstępowania na statek – rozpocząć obserwacje. „Co widzę? – przyglądał się marynarzom pełniącym służbę przy trapie. – Twarze przyjazne, ale i nieobecne. Zbliżająca się morska podróż zdaje się nie wywierać na nich silnego, ba! jakiegokolwiek, wrażenia. Są to rutyniarze wysmagani tysiącami wiatrów, kołysani dziesiątkami sztormów. To dobrze. Bo oddawać się w ich ręce znaczy...” No właśnie, co znaczy?

Od tej pory na wszystko zwracał uwagę, nic dziwnego, prawdziwy żółtodziób: na wyjąłowane deski pokładu, ciężkie żelazne drzwi zamykane, miast klamką, przekręcaniem olbrzymiego koła, na wysokie stalowe progi (mające zatrzymywać wlewające się przez burty fale, domyślał się) i na strome schody opadające w głębokie czeluście studni kolejnych, niższych pokładów. Wreszcie na długie, wąskie, klaustrofobiczne korytarze, oświetlane niemiłym żółtym światłem, i na poręcze – wzdłuż całej długości owych korytarzy – wszędzie lśniące polerowaną stalą poręcze.

Prowadzony przez stewarda prędko dotarł do kajuty. Dwuosobowej – i za dwie osoby opłaconej, choć nikt nie miał Grabskiemu towarzyszyć. Walizeczkę ze starą wysłużoną maszyną do pisania położył na dolnej koi, spać postanawiając na górnej (duży, ucieszony taką możliwością chłopiec). Spojrzał przez okno:

wychodziło na długi, ciągnący się wzdłuż całej długości burty, pokład spacerowy. Notował w myślach: „Przestrzeni niewiele, szafa, stolik, dwa krzesła. Umywalnia względem drzwi. Ale czy trzeba owej przestrzeni więcej? Luksusem jest tu sama podróż – możliwość odkrywania lądów, owszem, dawno odkrytych, lecz przez innych; tymczasem każdy może być Kolumbem, gdy starczy mu wyobraźni oraz wrażliwości...”. Nie łudził się, rzecz jasna, że tego typu uwagi trafią do przewodnika. Lecz i nie mógł się im oprzeć.

Wtem okręt zadrzał, rozszumiał się wychodzącym z trzewi i tłumionym na wyższych piętrach warkotem, lekko zakołysał. – Odpływamy – domyślił się Grabski i niczym niesiony na skrzydłach na powrót pobiegł ku pokładowi. Nie on jeden – oto wszyscy próbowali dopchać się do burty. Od pożegnalnych okrzyków zrobiło się głośno, spieniła się woda wokół rufy, Kościuszko powoli, leniwie, ociężale odbijał od przystani.

Wywijał ramieniem długo i wytrwale. I dopiero, gdy figurki na nabrzeżu stały się zupełnie nie do rozróżnienia, poczuł się zwolniony z tego obowiązku. Odetchnął pełną piersią, obrócił się: ku tylnym nadbudówkom, wielkim łodziom ratowniczym, masztom oblepionym linami (będę się musiał nauczyć ich nazw – postanowił), a wreszcie dwóm wielkim, buchającym czernią kominom.



*Dworzec Morski. Przy kei MS Pilsudski.*

Mijali falochrony awanportu, skręcali – przy buńczucznym, zaczepnym wyciu syren – najpierw ku Gdańskowi, by potem, okrążywszy półwysep, płynąć ku duńskim cieśninom.

Przebiegł pokłady swojego piętra, by wejść potem wyżej... i jeszcze wyżej... Przynajmniej spróbował! Lecz wtedy poproszono go – łagodnie, ale i stanowczo – by zrezygnował z dalszej wspinaczki. „Ach tak – zgadzał się z zakazem – to jedna z wielu tu stref niedostępnych profanom, jedno z miejsc dla wtajemniczonych; współzycie załogi i pasażerów to w istocie fikcja, bo podczas gdy jedni snują się, jakby zaczarowani okolicznościami morskiej przygody, inni pozostawać muszą czujni, by... – Nie dokończył, myśl uciekła. W rzeczy samej: czuł się zaczarowany. – Gdynia tak prędko staje się odległa... Sopot, interesujący z oddali, zarys Gdańska, ot, i Hel! Wbrew temu, czego można się było spodziewać, trudno stać się tu świadkiem teatru sterowania... Okręt posuwa się wprzód niby sam, prowadzony w sposób niewidoczny. Załogi zaś, zdawać się może, nie ma...”

Nie wiedzieć kiedy zadźwięczały dzwonki: obiad! Płetwy rekinów – wyobrażał sobie – w sosie z kałamarnic, do tego rum, mnóstwo rumu... Podano jednak, gdy dotarł do mesy, banalny barszcz. Oraz zraz zawijany i buraczki.

Miejsca przy stołach nie było wiele,omalże tręcili się z towarzyszami łokciami. A byli to przemysłowcy lub handlowcy, bankierzy, albo – jak on – urzędnicy. Z Warszawy, Krakowa, Wilna, Poznania; długo by wymieniać, wszak było ich na pokładzie ponad siedemset osób, a to nie licząc załogi. Dodatkowo przy każdym z sześćo- czy ośmioosobowych stołów zasiadł oficer w galowym mundurze.

Rozmawiano o milach morskich, o wiatrach i prądach, o węzłach prędkości, które rozwijał Kościuszko, i o portach, które miał odwiedzić; wreszcie o dawnych rejsach, przygodach, górach lodowych, albatrosach i wielorybach.

– KochAAAny mój – niosło się raz za razem od stołu kapitańskiego, gdzie Eustazy Borkowski podejmował korzystające z kanikuły ambasadorostwo zaprzyjaźnionej Rumunii. – KochAAAny mój...

Było ich, słynnych kapitanów, trzech: pochodzący z Wiednia i pływający na „Polonii” Zdenko Knoetgen, dowodzący „Pułaskim” Mamert „Znaczy Kapitan” Stankiewicz oraz właśnie Eustazy Borkowski. Postaci już legendarne, w opowiadanych na lądzie anegdotach mieniące się odblaskami chwały, jak mieniły się złote otoki na ich czapkach i błyszczące guziki mundurów. Aż prosiło się, by zebrać je, owe anegdoty, i nadać im artystyczną formę. Figury tej skali nie rodzą się wszak na kamieniu.

Inna sprawa, że to właśnie na rejs „Polonią” liczył swego czasu Grabski. Z czarnomorskiej Konstancy do Hajfy, przez Sambuł, Dardanele i Jaffę (zaś w drodze powrotnej przez Ateny). Jednak ubiegł go w staraniach kolega Siwiec, podróż do Nowego Jorku planował z kolei – wraz z małżonką – sam dyrektor Myśliński. W ten sposób Grabskiemu w mającym ukazać się za rok przewodniku Wydziału Propagandy do opisanego pozostało Morze Północne, porty Anglii i Belgii.

Po obiedzie położył się. Ot, by sprawdzić, czy słynne bujanie to czasem nie wyolbrzymiana bujda. Lecz rzeczywiście: wnet dał się ukołysać. Obudził się – śpiąc jednakowoż na dolnej koi, a maszynę ułożywszy wyżej – zły i z poczuciem winy: wszak tracił drogocenny czas! Przebrawszy się w garnitur sportowy, postanowił wrócić na pokład.

A jednak: steward spotkany w korytarzu polecał salonik. Gdzie dym z papierosów i cygar, gdzie bursztynowe błyski w odbijających blask przytłumionych świateł koniakówkach. Grabski od wiadomego czasu (co za wstyd!) alkoholu znów nie pił. Prosił za to o kawę, o prawdziwie angielską herbatę, konwersował. Między innymi o mających wkrótce dołączyć do floty Batorym i Piłsudskim. I o tym, że będą to prawdziwe wizytówki polskiej kultury: w każdym calu zaaprobowane przez komisję artystyczną cieszących się najwyższym uznaniem profesorów, a projektowane – chodziło o wszelkiego rodzaju detale wystroju wnętrza, o meble, baterie łazienkowe, zabudowę kuchni, barów, saloników i kabin, a w końcu zastawę czy bibeloty – przez blisko osiemdziesięciu wyselekcjonowanych artystów. I tak powinno być – zgadzali się sprzedawcy bydła spod Łucka, pośrednicy w handlu węglem z Katowic czy wydawcy prasy z Torunia. Tak powinno być!

Po kolacji do późna, opatulony grubym swetrem, który wbrew protestom męża uparła się zmieścić w walizce Lusia, błakał się po pokładzie i myślał o wyznaczonym sobie zadaniu.

Napisać miał hymn pochwalny podróży jako takiej, jako formy spędzania kanikuły – by odwrócić nieco uwagę od roli, jaką transatlantyki pełniły przez większą część sezonu. „Polonia”, mianowicie, przez Rumunię wywoziła do Palestyny Żydów (lecz obywateli polskich!). „Kościeszko” zaś i „Pułaski” pływały na Ellis Island – tę bramę, a może raczej furtkę olbrzymiej Ameryki (bo nikt, kto pragnął w Stanach Zjednoczonych osiąść, nie mógł wizyty na owej nowojorskiej wyspie uniknąć). Tak czy inaczej, trwała wciąż nieustanna, nieprzerwana emigracja. Dla której usprawnienia wybudowano (proszę, jakże pomocne dla swych obywateli potrafiło być państwo polskie!) na Grabówku tak zwany etap emigracyjny; solidne bloki, wręcz osiedle, połączone bezpośrednią linią kolejową z nabrzeżem przy Dworcu Morskim. Ów etap pomieścić mógł nawet dwa tysiące osób, które w oczekiwaniu na załadowanie na statek kąpano, dezynfekowano, badano i szczepiono – by nam za granicą wstydu nie przyniosły.

Nie lubił o tym myśleć. Sięgnął po papierosa.

– Panu nie zimno? – zapytała, zatrzymując się, drobniutka kobietka. (Śliczne pysio! – zauważył).

Zapalił, wydmuchując wkrótce siną chmurę.

– Przechodzę tędy trzeci raz, okrążając pokłady, a pan wciąż wpatrzony w bezkres.

Miał odpowiedzieć prędko i błyskotliwie, zawahał się. A gdy zachichotała, zmieszał się jeszcze mocniej.

– Wyruszając w drogę, przekonana byłam, iż znajdę na pokładzie wielu romantyków...

– Ja wcale nie myślałem o sprawach romantycznych czy sentymentalnych.

– W takim razie przepraszam.

– Nie musi pani przepraszać. Piękna noc – zmienił temat.

Stali chwilę, ramię w ramię, milcząc. Aż zza narożnika nadbudówki wyłonili się postawny, wręcz olbrzymi brodacz oraz tyczkowaty wąsacz („Na ulicy wziąłbym go za dorożkarza” – pomyślał o nim wcześniej Grabski).

– Mój papa – szepnęła kobietka.

– Szanowny panie kapitanie – mówił wkrótce ów papa – pozwolę sobie przedstawić. Córka moja: Liliana Meyer. Oraz... – spojrzał na Grabskiego niekoniecznie przychylnym okiem.

– Adam Grabski z Wydziału Propagandy Komisariatu Rządu w Gdyni.

Kapitan zmarszczył brwi.

– A więc to panu będę udzielał wywiadu? – mówił, śpiewnie przeciągając głoski.

– Jeżeli będzie pan tak łaskaw, panie kapitanie.

– Och, widzę, że pan korzysta na okręcie ze specjalnych przywilejów – zaczepną szpilkę wbiła pani (choć może raczej panna – zastanawiał się) Liliana.

– Rozmawialiśmy właśnie z panem kapitanem – to z kolei odezwał się papa – o wynalazku pewnego francuskiego mechanika, mającego przetwarzać wodę na benzynę. Za co wynalazca ów żąda dwóch milionów franków!

Kapitan zaśmiał się tubalnie.

– Mrzonki, kochAAAny mój... Mrzonki. Umówi nas pierwszy oficer – zwrócił się z kolei w stronę Grabskiego. – A teraz, pozwolą państwo, że pożegnam się...

Wkrótce ponownie został sam, wpatrując się w gwiazdy błyszczące na wzór oczu pani (lub panny) Liliany. I wciąż trwał nieustanny szum, ciągle drżenie pokładu, nieprzerwana praca maszyny. „Spotkać tu można – układał słowa – przedstawicieli wszystkich znaczących klas społecznych. Dla których morska wycieczka jest nie tylko nagrodą za włożone w codzienne życie trudy, ale i... No właśnie: czym? Jak traktują wyprawę, w której uczestniczą – niczym zwyczajną

przejażdżkę ciuchcią tudzież bryką?” Bardzo chciał się tego wszystkiego dowiedzieć, lecz nie miał śmiałości pytać.

– Rozpocznę od Liliany – postanowił – wszak przełamane zostały już lody.

Zastanawiając się nad owymi producentami, agentami, rzemieślnikami codzienności – bo tak ich nazwał, z lekką nutą wyższości – pomyślał znieńacka o Łucji. To znaczy najpierw o jej mężu: sklepikarzu, handlarzu; lecz zaraz po tym o niej.

– Czy jest szczęśliwa? – martwił się, i nie po raz pierwszy. – A Lusia? Czy ona jest szczęśliwa? – zapytał sam siebie znieńacka.

Wróćmy do Łucji: chciałby, bez dwóch zdań, móc stanąć tu z nią ramię w ramię – tak jak kilka minut wcześniej stał z zaczepną kruszyną – i spoglądać bez słowa w dal, cieszyć się chwilą. Czy byłoby to w ogóle możliwe? Po tym, co się między nimi wydarzyło? Niewypowiedziane, bo niepotrzebujące słów porozumienie?

Przeszedł go dreszcz, zrobiło się zimno.

„Mimo to piękna noc – podsumował. – A ty, Łucjo, po jakich to morzach żeglujesz?”



## ROZDZIAŁ 47

### Nic wielkiego

– Coś niedobrego dzieje się z Franusiem – powtórzyła, gdy Krzysztof gotów był do wyjścia. – Jest taki rozpalony. No i biegunka.

– To chwilowe, miejmy nadzieję, nic wielkiego – uspokajał. – A bo to pierwszy raz?

– Krzysztof! – nie dawała się przekonać. – To wspaniałe, że tak bardzo zaangażowałeś się w pomoc pani Marii, ale proszę cię, nie jedź!

A jednak: pojechał. Niepokoił się, owszem, ale i starał, mimo wszystko, niedomaganie syna bagatelizować.

Pani Maria z Lolą zajęły swój przedział, Krzysztof ulokował się w sąsiednim. Rankiem znaleźć się mieli w Warszawie, udać do aresztu, a kolejnej nocy wracać. „Ostatni raz – postanawiał – dosyć tego niańczenia Króla i jego matki”.

Pana Jana aresztowano po mszy, a jakże, w katedrze i początkowo trzymano w Bydgoszczy. Z informacjami o zdrowiu pani Marii jeździła doń wtedy Lola – w towarzystwie Witolda – której na szczęście udało się przełamać nieufność Króla (z tego wszystkiego, ku niezadowoleniu Łucji, w sklepie zatrudnić trzeba było dodatkową dziewczynę). Wkrótce jednak, gdy okazało się, iż zarzuty defraudacji dotyczą w większości urzędników ze stolicy (zresztą i śledztwo zaczęło się od tego, że jeden z nich, niespecjalnie wcześniej bogaty, kupił znieacka stajnię wyścigową na Służewcu), także i Króla przewieziono do Warszawy. Groziło mu – wbrew bezczelnemu optymizmowi adwokatów („Niczego nie udowodnią! Niczego!”) – kilka lat więzienia, w związku z czym bez dzielenia włosa na czworo zdawał się przyjmować niewyrażoną wprost (w tym była głowa Loli – by w scenerii aresztu i pod okiem strażników powiedzieć wszystko, nie mówiąc nic) propozycję Wilczyńskiego: zabezpieczenia dochodów pani Marii na czas perypetii syna, a nawet i renty dla niego samego – na wypadek gdyby wydarzenia przyjęły najgorszy obrót. Żądał jednak widzenia z matką i od tego uzależniał ostateczne porozumienie. A że do spotkania długo dojść nie mogło – to i sprawa przeciągała się w nieskończoność.

Lecz wreszcie jechali, kołysani jednostajnym stukotem, przez szarzejące pola. W restauracyjnym Krzysztof zamówił pieczeń rzymską.

Tymczasem stan Franusia pogarszał się. Wymiotował, z początku płakał, później z braku sił ledwie jęczał, rozwolnienie wręcz się z niego łało, Łucja nie mogła uwierzyć we wskazania termometru: ponad czterdzieści stopni! Tuliła synka, szeptała: Krzysztof, Krzysztof... A i Antoni nie mógł zasnąć, a więc i on wkrótce głośno płakał.

Przez cały długi dzień Michasia z trudem powstrzymywała się, by nie

opowiedzieć Łucji o próbie szantażowania „Gwiazdora” – jak napisali sami przestępcy – Kiepury („Jeżeli do tygodnia JWP nie wręczy patentowi 5000 złotych, zemsta Pana nie minie i może Pan się spodziewać śmierci w Polsce czy za granicą”) lub też o niezwykłym przypadku uduszenia dziecka pudrem („Lekkomyślność matki przyczyną strasznej śmierci!”). Lecz wreszcie i ona zrozumiała, że sytuacja stała się poważna.

– Gorący kompres przygotuję – proponowała. – Mięty zaparzę...

Franuś pić nie chciał, wykrzywił tylko usta, zupełnie pozbawiony sił. A po kompresie w kale pojawiła się krew!

– Krzysztof, Krzysztof... – jęczała błagalnie Łucja, tuląc synka i ocierając pot z jego czoła. Przez długą, nieskończenie długą noc.

– Modlić się trzeba – zawyrokowała nad ranem Michasia. Głosem niby to zbolełym, drżącym, a jednak, uznała Łucja, zimnym i okrutnym. – Dość! – krzyknęła wtedy. – Czy Witold zostawił auto w podwórku? Niech Michasia ubiera chłopców! Pojedziemy do szpitala!

Pojechały – z Łucją, bez prawa do jazdy, za kierownicą. U zbiegu Świętojańskiej z 10 Lutego, gdy nieomal zderzyła się z przecinającym skrzyżowanie fiatem, tylko zaklęła, dodając gazu.

– Zatrucie – cedziła. – Lodówka – zgrzytała zębami.

Do szpitala na szczęście nie było daleko.

## ROZDZIAŁ 48

### Dziobem do fal!

Tak głębokie nize przesuujące się znad Atlantyku na wschód latem nie zdarzają się ponoć często. A jednak już po wyjściu z cieśnin poczuł, iż kołysanie wzrasta. Ba, staje się nieprzyjemne, zaczyna przeszkadzać: początkowo w stawianiu pewnych kroków, a wkrótce w utrzymaniu równowagi. Trzeciego dnia rejsu śniadanie, na stole przykrytym zmoczonym obrusem – by się płótno, i wszystko, co na nim, nie ślizgało – ledwie tknął. Prosić też musiał o przełożenie spotkania z kapitanem.

A marynarze tylko się śmiali. Nie, nie z coraz to bardziej umęczonych pasażerów – ale z podmuchów, fal i przechyłów; Morze Północne nawet w takim rozkołysanym kształcie wciąż nie było im straszne.

U wejścia na Tamizę, kilkanaście godzin później, im także zrzędył miny. Ile już było: jedenaście stopni w skali Beauforta? Może nawet dwanaście, by wkrótce przekroczyć i ten, ostateczny ponoć, poziom? Dość, że huczało, trzeszczało, dzwoniło, stukało – demonicznie i przeraźliwie. Wpłynąć w głąb rzeki nie zdążyli. Ale i zawrócić, by uniknąć dryfowania w jej wąskim ujściu, gdzie rozszalałe fale nie dość, że pędziły – jak zwykły to robić na pełnym morzu – to jeszcze zderzały się ze sobą, piętrzyły i – w ograniczonej przestrzeni – wściekle potęgowały.

Przed wejściem w kanał La Manche zmęczony chorobą i uspokajany przez załogę Grabski niespodziewanie dla samego siebie zasnął; lecz wkrótce zerwał się, gdy z górnej koi spadła z łoskotem maszyna, uczeplił kurczowo bulaju i spoglądał w ciemną, rozmazaną dal z coraz większym przestraczem. Kolejne wstrząsy niemal zwałały go z nóg, czuł, co rusz, jak wznosi się w górę – i równolegle pod sam przełyk wędruje mu żołądek – by zaraz opadać w przerażającą przepaść, skłębioną czeluść, do piekła. Śnił o tym – o spadaniu właśnie – nie raz przed dziewiczym wzbiciem się w powietrze z gdyńskiego lotniska i działo się teraz dokładnie jak w owych snach. Tyle że wtedy zawsze udawało się obudzić!

Tymczasem statek, pchany przez sztormowy wiatr, ustawiał się niebezpiecznie bokiem do fal – a wtedy najłatwiej było mu nabrać wody, położyć się pod wpływem jej ciężaru, a wreszcie zatonać – i spychany był w stronę mielizn. Z łoskotem, dającym się słyszeć w kabinach mimo szaleńczych świstów i tumultu, rzucono kotwicę. Wkrótce drugą. A brzmiało to jak trąby Apokalipsy, jak zwiastuny gnienienia, rwania, miażdżenia blach, jak ostatni sygnał do ucieczki. Wybiegł zatem – a właściwie próbował biec, zataczając się raczej i obijając o ściany jeszcze bardziej niż zwykle wąskiego korytarza – na pokład. Takich jak on było wielu. Przerażonych, w nerwowo wiązanych kamizelkach ratunkowych, z trudem trzymających się na nogach. Niektórzy modlili się głośno. Bryzgi rozrywanych na wietrze czubków fal odczuwali niczym smagnięcia biczem;

podmuchy wiatru – jak uderzenia, pięściarskie ciosy.

Nagle: wstrząs! To pękł kotwiczny łańcuch!

W odpowiedzi zawyły motory – by przemoc przemoc fal.

I znów wstrząs, identyczny – zerwała się druga z kotwic. Grabski zachwiał się i cofnął w migoczący przerywanym światłem korytarz. („Migoczący na wzór sygnału SOS – zauważył w trwodze – tyle że nadawanego niepotrafiącą utrzymać właściwego rytmu – ti-ti-ti, ta-ta-ta, ti-ti-ti – a bezradną wobec żywiołu dłonią”).

„Koniec? – pomyślał. – Więc to tak?”

Marynarze spędzali pasażerów z pokładu.

– Dlaczego? – protestowano. „Czy to oznacza, że toniemy?”

– Nie toniemy! – wykrzykiwali w odpowiedzi weterani zimowego Atlantyku, swym głosem starając się nadać barwę znudzenia, lekceważenia dla podrygów żywiołu. – Nie toniemy, walczymy, zmagamy się z sytuacją.

– Lecz szanse, proszę wyznać, proszę to przyznać, na miłość boską: szanse są znikome?

– Lub też nie ma żadnych?

– O Boże!

– O Jezu!

– Ja nie chcę... – wśród pełnych przerażenia okrzyków gdzieniegdzie słychać było i szloch.

– Kiedy będziecie opuszczać szalupy?

– Czy do brzegu daleko?

– Ależ co pan, panie, jakiego brzegu, wpław pan chcesz dopłynąć? – otrzeźwiał na krótką chwilę, śmiejąc się sarkastycznie, jeden z przemysłowców.

– Ja żądam! Żądam widzenia z kapitanem!

– Tak jest, niech kapitan się nami zajmie!

Borkowski tymczasem manewrował. Motorem i sterem. Cierpliwie, spokojnie. „KochAAAny mój... oceanie... Ja tobie mówię: zamilknij!”

Nie przypadkiem nazywano go Szamanem.

Trwało to. Musiało trwać. Gdy najpierw niestrudzenie wspinali się na czubki fal, „Kościeszko” niemal dźgał wzniesionym pionowo dziobem nisko zawieszony niebo, a potem lecieli w dół, niczym skoczek z trampoliny, tyle że nie w lustrzaną, spokojną toń, lecz tuż przed kolejne strome wzniesienie.

Panikarze na szczęście byli wciąż w mniejszości. I choć powszechnie przeklinano już pomysł morskiej wycieczki, choć obiecywano sobie – nigdy więcej! – a i zejście z pokładu w Londynie oraz powrót do kraju koleją, to najgorsze zdawało się mijać.

Zaczęło świtać. I cichnąć. Wreszcie można było ustać na rozedrganych nogach. Można się było próbować uśmiechać.

– Holowniki! – wołał ktoś, biegnąc z pokładu. – Podano nam hol, nie

jesteśmy skazani sami na siebie!

Patrzyli po sobie z maltretowani: uratowani!

Stewardzi wnet proponowali kawę. Tudzież alkohole. Lecz tylko Grabski podszedł do błyszczącej lady.

– Wódeczki?

– Skąd! – aż go skrzywiło.

– Za zdrowie i na koszt kapitana – kusił barman, z wielką ciekawością oczekując reakcji rozmówcy. („Jest jeszcze żywy duch w narodzie, azali umiera?”)

– Proszę pana... Czy naprawdę było z nami źle?

Zapytany poprawił przekrzywioną muchę i westchnął. Po czym rozejrzał się dyskretnie na boki i nachylił ku Grabskiemu.

– Drogi panie... W życiu, ale to w życiu tak się nie bałem!

– Pan?

– A bo to ja jeden?

– Oficerowie pokładowi, uważa pan, również?

– Tak uważam.

– A zatem był to naprawdę wielki sztorm?

– Czy naprawdę? Ogromny! To co, wódeczki, koniaku? Herbaty?

Lecz Grabski ponownie odmówił, zdumiony tym, co usłyszał.

– W takim razie ja się napiję – ściszył głos barman.

– Uprzejmie proszę: na mój rachunek!

Tamten podziękował, dyskretnie napełnił kieliszek, wychylił go błyskawicznym, niemal niezauważalnym ruchem i na koniec aż się oblizał.

– Normalnie nie wolno mi tego robić... – podkreślił.

– Rozumiem, to wyjątkowy moment.

– ...zwłaszcza przed śniadaniem!

– Oczywiście

– Lecz wie pan...

– Mianowicie? – nachylił ucha Grabski.

– Myślałem, że się zesram!

## ROZDZIAŁ 49

### Wypogodzenie

– Jak to w szpitalu? W jakim szpitalu? – wydierał się Krzysztof do słuchawki telefonu.

– A bo to mamy dwa? – zdziwiła się Michasia.

(„Zabiję ją!” – pomyślał).

– W naszym, u sióstr. Franuś chory, bardzo chory...

– Na co chory, co się stało?

– Pani Łucja uważa, że to przez tę lodówkę...

Zaklął. Lecz nie o lodówce chciał mówić (wiosną okazało się, że winne były poluzowane połączenia gniazdka elektrycznego; sam je wtedy naprawił, czyżby niezbyt starannie?).

– Niech się Michasia uspokoi i opowie wszystko po kolei...

– Ależ ja jestem spokojna! To pan...

Choć z trudem, to wreszcie dowiedział się, czego chciał – A Michasię zwalniam, niech się Michasia pakuje – zdążył rzucić na koniec). Że wciąż gorączka, że wciąż biegunka i wymioty. Odwodnienie, wyczerpanie.

– Prędko! – gnał towarzyszące mu panie na warszawski dworzec. Co z tego: odjazdu pociągu nijak nie dało się przyspieszyć.

– Proszę się uspokoić – mówiła pani Maria.

– Zobaczysz, Krzysztof, wszystko dobrze się skończy.

A on się bał. Całą noc. I przeklinał samego siebie i obiecywał, iż firmę Electrolux puści z torbami! A tak, bo co to nie on – i jego prawnicy!

W szpitalu Łucja pozwoliła się przytulić, ucałować.

– Dobrze, że jesteś wreszcie – powiedziała nawet. Lecz wiedział, usłyszał to wyraźnie, iż ma do niego żal.

Opowiadała. Chaotycznie. A on przerywał: czego trzeba? Lekarstw? Specjalistów? Pieniędzy?

– To minie, Krzysztof, już mija. W tej chwili niewiele można zrobić. Wkrótce wrócimy do domu.

Rzeczywiście: choć żal było patrzeć na osłabionego chłopca, to lekarzom nie pozostawało nic więcej, niż zbijanie gorączki i troska by pił, jak najwięcej pił.

– Pójdź do domu, zajmij się Antosiem – poprosiła.

Michasię spotkał w drzwiach.

– Jestem – minął ją. – Jak czuje się Antoś?

– Z nim dobrze – burknęła. – Śpi.

– Ależ się porobiło – westchnął, próbując się uśmiechnąć. Wtem jego wzrok padł na stojącą u drzwi do kuchni walizkę. Podniósł wzrok.

– Jak pan sobie życzył.

– Co życzył? – nie miał ochoty na zgadywanki.

– Opuszczam ten dom!

Dopiero teraz przypomniał sobie wczorajsze słowa.

– Ależ co też... Michasia! – spróbował wziąć ją w ramiona, dość niezgrabnie, zwłaszcza że cała usztywniona nie chciała się owej niewczesnej czułości poddać.

– Przepraszam Michasię, dałem się ponieść emocjom. Przepraszam i dziękuję, bardzo dziękuję.

Chlipnęła, pociągnęła nosem.

– Już dobrze, niech się Michasia nie gniewa.

– A Franuś jak?

– Mówią lekarze, że to nic groźnego. Bakteria. Salmonella...

– Słodki Jezu!

– Cokolwiek to znaczy – dokończył. – No, dość o tym, głodny jestem jak wilk!

– Mam ledwie rosół. Ale cielęcy.

– Ba, o niczym innym nie mógłbym marzyć.

Kiedy już usiadł przy stole, a Michasia przydreptała z wazą, zażartował:

– Jakbym to zresztą mógł Michasię odprawić. Jeszcze by mi Michasia, na wzór swoich heroin z „Detektywa”... bo ja wiem... na odchodnym esencji octowej do kompotu dodała, albo i...

Aż huknęła chochlą o stół!

– Smacznego! – wycedziła, trzaskając drzwiami.

– Mądry to ja nie jestem – przyznał, gdy już wyszedł z osłupienia.

Jadł w ciszy.

„Czarodziejka” – myślał o Łucji.

Wieczorem, gdy już odebrał obydwoje ze szpitala, zapytała o pana Jana.

– Niewiele wiem więcej – zawahał się. – Lecz raczej się nie wykaraska.

Posiedzi.

– Czy pani Maria to rozumie?

– Że sprawa zakończy się wyrokiem? Myślę, że rozumie. Choć milczała całą drogę i nie wiem, co właściwie czuje.

– A ty... Dlaczego tak bardzo jej pomagasz?

– Pomagam?

– Nie musiałeś z nią jechać. A wcześniej wysłać Loli.

– To prawda... – zamyślił się. – Przecież wiesz, że prowadziliśmy wspólnie pewne interesy.

Przestraszyła się.

– Krzysztof, czy ty masz coś wspólnego z jego aresztowaniem?

– Absolutnie! – zaprzeczył gwałtownie, a wcześniej przez ułamek sekundy

przestraszył się, iż pytanie żony dotyczyć będzie wydarzeń sprzed lat; że Łucja domyśliła się lub dowiedziała...

– Miałaś nie mieć przede mną tajemnic! – podniosła głos.

– Nie mam – zapewnił. Dodając niepotrzebnie: – To stare dzieje...

Lecz nim zdążyła zareagować, uprzedził jej pytania swoim:

– To ty Króla znasz dłużej ode mnie, prawda? Nigdy o tym nie mówiłaś.

– Nie pytałaś.

– Zapytać?

– Nie ma, Krzysztof, o czym mówić – uśmiechnęła się wyniośle i z nutą satysfakcji powtórzyła mążowskie słowa sprzed chwili: – Stare dzieje.

Zatem nie pytał, obiecawszy sobie odtąd mniej myśleć o interesach, a więcej o synach, o domu.

Franuś biednieńki był – jak, załamując ręce, powtarzała Michasia – jeszcze przez tydzień. Niezawodne sposoby, by przekonać go do jedzenia, na szczęście okazała się znać Lola – wygłupiając się niemożebnie, przez co śmiał się i gestykułował, łyżki zup połykając bezwiednie – tym samym rozkochując w sobie wreszcie Łucję. A i gdy Michasi minął gniew, do domu po burzy wrócił spokój.

Pewnego dnia listonosz pojawił się z kartką.

– Z Londynu? – zdziwił się Krzysztof.

Spojrzała – na zwodzony most i przepływający pod nim statek.

– Od Adama – przeczytała, obróciwszy kartonik.

– Może i nam trzeba by się gdzieś wybrać? – zaproponował.

– Z chłopcami? – odparła sceptycznie. – Poczekajmy, niech podrosną.



## ROZDZIAŁ 50

### City

„Moloch” – myślał. Potwór. Olbrzymi, dynamiczny, agresywny. I napędzany z trzewi: gdzie żyłami tuneli toczą się niczym krew wagony podziemnej kolei. Jeszcze zasypiając, czuł na czole podmuchy zwiastujące przyjazdy pociągów. Ale po kolei:

Doki Tilbury nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Owszem, zgrabnie połączone z rozlanym szeroko korytem Tamizy, owszem, elegancko uporządkowane w rytmie równoległe położonych i zabudowanych szeregami jednakowych składów nabrzeży. Lecz i Gdynia nie miała się czego wstydić.

Do miasta, nieznanym mu autem standard 12, zawiózł go zapoznany w efekcie krótkiej i oficjalnej wymiany listów Matthew Poole, urzędnik londyńskiego ratusza. Jechali ponad godzinę, nie mówiąc wiele. Brytyjczyk po niemiecku ledwie dukał, Grabski angielskiego nie znał w ogóle.

Dalej most, The Tower, kruki i czerwone uniformy.

– Nie specjalnego – uznał. Kolejnym punktem na trasie wycieczki miało być opactwo Westminster. – Czy moglibyśmy... – zawahał się wtedy Grabski, patrząc na trzymaną w dłoniach mapę miasta. – Czy moglibyśmy skorzystać z kolei? – Z undergroundu? – zdziwił się grzecznie mister Poole. – Why not, to doskonała idea...

Do piekieł wstąpili przy Byward Street. Ot, zagłębiając się w bramę zwykłej z pozoru kamienicy, by zaraz, schodami, wnikać pod powierzchnię miasta. W krainę wyłożonych mozaiką kafli korytarzy, półokrągłych tuneli, wąskich peronów, w dziedzinę kabli, szumów, powiewów. Jazda trwała krótko – co wystarczyło, by nabrał ochoty na więcej. Zatem na Big Bena, parlament i klasztor ledwo spojrział (zauważając wszak wśród upamiętnionych w nawach nagrobki i epitafia Haendla, Newtona, Dickensa, Livingstone’a czy Darwina), po czym znów skierowali się ku podziemiom.

Zieloną linią wrócili na Charing Cross i przesiedli się na czerwoną – aby zobaczyć Trafalgar Square. Stąd mister Poole zaproponował, by iść ku Buckingham Palace.

– Dobrze – niby zgodził się Grabski, gorączkowo studiując mapę – lecz czy nie lepiej pojechać?

Zatem pojechali: najpierw na Picadilly (ledwie jeden przystanek, by wyjść na górę, rozejrzeć się i wrócić), a potem na Dover Street – znów jeden przystanek – by stamtąd dotrzeć do pałacu (trasę, którą w ten sposób ułożył Grabski, trudno uznać za logiczną, lecz towarzyszący mu londyńczyk niczemu się nie dziwił).

– Ech, ile czasu musi minąć – wykrzykiwał Grabski, gdy szli wzdłuż Green Parku – by taki underground powstał także i w Gdyni. Lecz proszę uwierzyć, iż tak

się stanie, bo Gdynia rozwija się w tempie zawrotnym!

Siedzibie królowej poświęcił rzut oka. Niewiele więcej mijanemu (niestety piechotą) parkowi Świętego Jakuba oraz rządowej ulicy Whitehall. Po czym znów, ku zadowoleniu Grabskiego (a z drugiej strony bardzo go gnębiło, iż nie starczy im czasu, by wyruszyć ku krańcom każdej z kolorowych linii), zeszli do podziemia.

Dopiero w City – gdy od stacji Blackfairs szli ku katedrze, a potem zakosami ku Mansion House i Bank of England – również to, co na powierzchni, zaczęło wywierać na Grabskim wrażenie. Ulice – istny labirynt, niekończąca się sieć rozgałęzień i wciąż nowych, choć niezbyt głębokich wąwozów. Wsiedli nawet do jednego z owych piętrowych autobusów (zdawać się mogło, że nie może toto jechać, niezgrabne i chybotliwe), by bez wyraźnego powodu przebyć kilkadziesiąt metrów, lecz tym razem Grabski nie uległ aż tak wielkiej fascynacji (na co liczył, zdaje się, grzeczny pan Poole). Wreszcie zgłodnieli. Ba, naprawdę zrobiło się późno.

W restauracji, nieprzypadkowo chyba wybranej przez gospodarza, gdyż kierując się do niej, musieli wrócić ku rzece, zaczepił ich, krygując się i przepraszając, pewien znajomy pana Poole'a. Ów niezwłocznie dokonał prezentacji:

– Pan pozwoli, mister Grabski, oto colonel Kirgby z Foreign Office. A to pan Grabski – z Wydziału Propagandy miasta Gdyni.

– Ach, pan z Gdyni? Tej słynnej Gdyni? Z pewnością nie powinienem panom przeszkadzać, lecz chcę powiedzieć, że do Gdyni, oraz do Danzig, wkrótce się wybieram...

Od słowa do słowa zachwycony Grabski zaproponował pomoc:

– Chętnie i ja zostanę przewodnikiem, w rewanżu za wspaniałe przyjęcie mnie przez pana Poole'a!

– Och, doprawdy, bardzo pan uprzejmy...

– Proszę mnie tylko uprzedzić, pisząc do Wydziału Propagandy, a z pewnością znajdę czas, by pokazać panu – lub obu panom – polskie wybrzeże.

– Oraz Danzig.

– Tak, Gdańsk – zaakcentował Grabski i powtórzył dobitnie: polski Gdańsk również.

– Dajsk... Dajsk... – powtórzyli uprzejmie Brytyjczycy, widząc, że gościowi sprawia to przyjemność.

Gdy kelner podał piwo – bursztynowy *ale* – pan Kirgby definitywnie uznał, iż czas się pożegnać. – W takim razie do zobaczenia, o ile powiedzie się realizacja moich planów.

– Zachęcam do skorzystania z usług polskiej floty! – skwapliwie dorzucił Grabski.

– Z pewnością. Zatem: do zobaczenia. Miło było pana poznać.

Grabskiemu również było miło. Zwłaszcza że zdążył wspomnieć o zaletach „Kościuszki” czy „Pułaskiego”.

Podsumowując: był to długi, pełen wrażeń dzień. Z tego wszystkiego omal nie zapomniał o kartkach! Szczęśliwie w drodze ku metru udało się znaleźć niewielki urząd pocztowy.

Pisał nieco patetycznie: „Z najbardziej monumentalnego miasta świata pozdrowienia zasyła Adam Grabski. PS: Nam gdynianom trudno z pewnością uwierzyć w istnienie piękniejszego świata. Lecz po odświeżającej wyobraźnię morskiej podróży i w miejscu takim, jak stolica imperium, łatwo jest marzyć – o jeszcze bardziej upojnej, świetlanej przyszłości. Tak więc marzę – gotów opowiadać o wszystkim, co mnie tutaj spotkało”.

Tak właśnie napisał, długo się namyślając.

Do żony, z braku czasu, śląc jedynie: „Całuski!”.

STYCZEŃ

1938

## ROZDZIAŁ 51

### Inwestor

Ależ miało się dziać! Jeżeli już kupione z dużym wyprzedzeniem, tajemniczo opisane bilety wzbudziły w chłopcach podniecenie, cóż mówić o widoku wagonów kuriera podpiętych do smukłej niczym pocisk lokomotywy, czy wreszcie o kompaktowej samowystarczalności jego przedziałów. Nimi zachwycili się szczególnie: szerokimi oknami, piętrowymi łózkami, szafami i umywalkami. Jak w domu – choć inaczej, bo gęściej, w zbliżeniu; brakowało tylko lilipuciej kuchni.

Lecz i prędko, mimo późnej pory, chcieli więcej: wizyty w wagonie restauracyjnym, możliwości zagładnięcia – na co udało się zyskać zgodę dostojnego konduktora – do wagonu pocztowego i centrali telefonicznej, a wreszcie do przedziału z wanną i prysznicem, gdzie znów: jak w domu! – powtarzali.

Zaś wcześniej: „para – buch, koła – w ruch! Ruszyła maszyna po torach ospale...”.

Pięknie to pan Tuwim usłyszał: jak „koła turkocą, i puka, i stuka to: tak to to, tak to to, tak to to, tak...!”.

Kołysani w ten sposób i wymęczeni natłokiem wrażeń, wreszcie usnęli. Łucja sięgnęła po gazetę.

Swoją drogą, Krzysztof – przypomniawszy sobie, przeglądając „Ilustrowany Kurier Codzienny” – choć słuchając po raz pierwszy owej *Lokomotywy*, nie negował jej uwodzicielskiego charakteru, to z ostatnich dzieł pana Tuwima wolał pełne furii strofy w rodzaju:

„I ty, co mieszkasz dziś w pałacu,  
a srać chodziłeś pod chałupę,  
Ty, wypasiony na Ikacu...  
całujcie mnie wszyscy w dupę!”

Zaśmiała się cichutko, zaraz zakrywając dłonią usta. Krzysztof zachrapał w odpowiedzi.

Starając się nie szeleścić, przewracała strony.

W górach wreszcie zima – dowiedziała się. I bardzo ją to ucieszyło.

Dalej: *Tryumfalny powrót Mistrza!* To jeszcze lepsza wiadomość! Oto bowiem Mistrz (pisano: „najgłośniejszy śpiewak światowy”) rzeczywiście wrócił do Wiednia – gdzie swego czasu rozpoczęła się jego wielka międzynarodowa kariera – a w dodatku w tej samej, co wówczas roli (mianowicie Kalafa w *Turandocie*). I cóż, czemuż to się dziwić – wiedeńscy recenzenci oszaleli!

Ha, jakżeby chciała móc zobaczyć Jana Kiepurę z bliska, może nawet poznać – w jego Patrii, czy choćby na krynickim deptaku...

Przewróciła kolejną stronę: „Rozsądne matki! Nie żałujcie dzieciom cukru!

Jest najtańszym i najzdrowszym pokarmem”. „Muszę zapamiętać” – postanowiła.

Prócz tego, zauważyła z pewnym niepokojem, w gazecie jak raz strasznie narzekano: na fatalnie utrzymane torowiska, na wciąż odwlekane budowy nowych, a koniec końców na nowy rozkład jazdy pociągów i wciąż nieubłagane rosnące ich opóźnienia. (A kiedyś, panie, kolej... Panie, zegarki można było regulować! – słyszało się zawsze i wszędzie, bo niby to za zaborów sprawy miały się lepiej). Bo też i zdarzyła się kilka dni wcześniej owa katastrofa pod Łaskarzewem, wynikająca ze złego stanu zwrotnic, gdy skład towarowy najechał na osobowy i nie obyło się bez ofiar.

– Nic to, teraz martwić się za późno – westchnęła – jakoś dojedziemy...

I jechali – przez noc.

O świcie przywitała ich Warszawa, wyziębiona i rozmazana we mgle, niewiele zobaczyli. Ale i nie bardzo widoków byli stęsknieni – wciąż odurzeni snem i jednak, mimo komfortu „Strzały Bałtyku”, zmęczeni.

Michasia na szczęście sprawowała się doskonale, nie pozwalając w trakcie przesiadki zgubić się chłopcom. Lecz oczywiście Druga, bo prawdziwa Michasia odeszła (z dawien dawna czekał na nią w rodzinnej wsi zakochany, cierpliwy i jak widać przekonujący gbur).

– Cóż to za zrządzenie losu – dziwiła się wkrótce Łucja, gdy okazało się, że najlepsza spośród kandydatek na zastępczynię Michasi nosiła dumne imię poprzedniczki! – Cóż za przedziwny przypadek!

– Między sobą mówmy: Druga – zaproponował Krzysztof.

– I nigdy nie zapomnijmy o Pierwszej!

Do Wyszkowa jechali po raz pierwszy od lat. A zatem z drżeniem serc. I z mnóstwem świątecznych prezentów, a na powitanie z koszem kwiatów – dostarczonych Krzysztofowi na warszawski peron – i wielkim pudłem *Marmeladek E. Wedel*.

Zażegnania dawnych sporów pragnęła rzecz jasna Łucja (oraz mamunia i siostry). Lecz starać musiał się Krzysztof: współfinansując, w wyniku dyskretnej intrygi pań i wraz z poznanymi któregoś lata w Gdyni szwagrami, odbudowę zniszczonego przez kryzys sklepu.

– Bądźcie grzeczni – pouczała synów Łucja, gdy już zbliżali się ku stacji docelowej. Krzysztof śmiał się: – A co to? Do książąt Czartoryskich jedziemy czy też do rodziny? Skąd te nerwy i mobilizacja?

– Przecież wiesz... – łagodnie odpowiadała Łucja.

Wiedział. I również mocno był przejęty. Jak i chłopcy, a nawet Michasia.

Na peronie – euforia! Okrzyki, piski, śmiechy. Panie wpadały sobie w ramiona, przytulały dzieci, gwaru i harmidru robiąc takiego, że aż wychylały się głowy: z poczekalni i z biura zawiadowcy.

Panowie witali się dość chłodno. W przypadku Krzysztofa i szwagrów miało

to charakter gry, by nie zdradzić wcześniejszych konszachtów. Za to spotkanie zięcia z teściem sprawiło, że czas jakby stanął, jakby przestała się kręcić ziemia – tak przynajmniej po raz nie wiadomo który swe wrażenia relacjonowała wieczorem siostrą Łucją – a to one przecież stanęły, one zamarły, mamunia i owe siostry też, a wszystkie wpatrzone w jeden punkt – w ten oto, w którym łączyły się podawane sobie przez panów dłonie.

– Witam w Wyszku – wydeklamował Sobieraj.

– Dzień dobry – odparł Krzysztof, uśmiechając się grzecznie i nie unikając swym bladoniebieskim spojrzeniem intensywnie piwnego wzroku teścia.

I żaden z nich nie wspomniał awantury sprzed laty, choć obaj o niej pomyśleli:

„...rację miałem... chłystek... co za kapelusz!”

„...a nie bądź już pan taki srogi, drogi teściu...”

„...tyle że wnuków nieszczęsny ojciec!”

„...pomyślałby kto: car-imperator!”

– Piękny dzień – Krzysztof pierwszy obrócił się ku paniom. – Mamo – ośmielił się wyszeptać, nachylając ku ręką teściowej. A potem mrugnął znacząco do Anieli i mrugnął – drugim okiem – do Józki; wspaniale je z mężami ugościli swego czasu w Gdyni, a letnie bale na tarasach Riwiery czy Casina sprawiły, że polubili się bardzo. Zwłaszcza Krzysztof z Józką – ponoć nieśmiałą i zahukaną, a on swoje wiedział: cicha woda...

I już można było próbować odzyskać utracony czas. Mamunia, wypytując o wszystko i na wszystko pozwalając w jednej chwili ukochanym wnukom. Siostry – plotkując zawzięcie i pospiesznie znad ugniatanych ciast, zaś ich mężowie przepijając co rusz do Krzysztofa. No i Łucja – wiele spacerując. Po rynku i odchodzących od niego uliczkach, z coraz to bardziej zapadającymi się w błocie domkami przedmieść. Wokół kościoła i po cmentarzu. Po zwisającej nad Bugiem skarpie. A wreszcie po Rybeńku Leśnym, osiedlu na drugim brzegu rzeki.

Nie było jej tu – ciężko uwierzyć! – całych osiem lat (nie licząc epizodu oświadczeń). Ale i nie zmieniło się wiele. Ot, głównie w owym Rybeńku, gdzie wśród drzew, prawdziwego lasu, rozrosły się piękne drewniane wille.

– Jak Majami, prawda? – zapytała Krzysztofa. – Może i my moglibyśmy kiedyś się tu wybudować?

Uśmiechnął się, objął ją, pocałował w czoło.

– Boże, jak tu pięknie – dziwiła się, spoglądając z oddali na miasteczko. – Rzadko wcześniej w ten sposób myślałam...

Krzysztof z kolei przyglądał się Żydom. Jakież było ich tu mrowie! Ich chałatom, pejsom i wełnianym kapeluszom. Przypominali mu Galicję, a był już niemal o niej zapomniany – ową prowincję koegzystujących narodów (dodając mnogość Rusinów). W Gdyni chałaty były rzadkością.

– Lecz co też mnie wzięło na sentymenty... I też jakiego typu! – zachnął się, krocząc wśród kałuż i błota.

Wczesnomrocznymi za oknem popołudniami Łucja zadziwiała wszystkich swą znajomością zawilgoci nowoczesnego handlu: tym, jak rozmawiać z dostawcami, jak traktować pracowników, jak prowadzić księgi i jak poruszać się po gabinetach bankierów.

Zwłaszcza tatko spoglądał na nią czujnym wzrokiem (a ona zauważyła, jak bardzo się postarzał).

– Ha, nie jestem gąską, jak zawsze myślałeś, prawda? – pytała go z tryumfującym, pałającym wzrokiem.

Pęczniał wtedy z dumy: sam z dawien dawna będąc sklepikarzem, i patrzcie państwo, słuchajcie sąsiedzi – zwłaszcza wy – córka moja prowadzi sklep w samej, dacie wiarę, Gdyni!

– Dlaczego jednakowoż – zastanawiał się – dlaczegoż to Łucja prowadzi interes, nie zięć? Czy aby nie pijak? Czy aby nie obibok-nieudacznik?

Lecz oto wymknęło się pewnego razu Leopoldowi, mężowi Józki, iż już wkrótce wspólnie z Tadeuszem, mężem Anieli, spróbują spłacić Krzysztofową pożyczkę.

Sobieraj uniósł krzaczaste brwi.

Reszta zamarła, ot, wyrwało się nieszczęśliwie, zdradzając skrywaną przed nestorem rodu tajemnicę.

Zrozumiał. Przeniósł spojrzenie z Leosia na Krzysztofa, potem z kolei na Łucję. Odpowiadała hardo. I z tego rodzaju pewnością siebie, jaką zapamiętał z czasów, gdy była dzieckiem, tak wtedy, jak i dziś, zdając się mówić:

– Zrobiłam po swojemu i zawsze będę tak robić. Ugnij się, ojczy, ugnij!

Zaś Krzysztof odparł jak gdyby nigdy nic:

– Lepiej pomyślmy, co zrobić, by pieniądze pracowały. Łucji podobają się wille za rzeką...

Dość, że może jeszcze nie tego samego wieczoru – gdyż tatko potrzebował chwili, by oswoić się ze świadomością, iż odrodzenie zgnębnego kryzysem sklepu zawdzięcza Krzysztofowi – lecz z pewnością następnego – i przez kolejne – pochyłali się ku sobie z foteli, by w ciepłe bijącym od pieca rozmawiać o chłopcach, o giełdzie i o tym, co, panie, w polityce...

– Franco u wrót Madrytu – mówili zatem o trwającej od lat hiszpańskiej wojnie domowej.

– Jednakowoż, czy jest w stanie zadać decydujący cios?

(I choć jednemu bliski był ów Franco, zaś drugiemu siły republiki, to unikali – oto zalety dyplomacji – mówienia o tym wprost i uniknęli tym samym konieczności zajęcia miejsca po przeciwnych stronach frontu).

Albo:



– Nankin, stolica, wzięty... – ich myśli wędrowały na wschód, gdzie z inwazją mierzyły się Chiny.

– Piszą, że okrucieństwo Japończyków nie zna w historii precedensu.

– Z taką opinią uważałbym, młody człowieku!

– Ależ tak, pan ma oczywiście rację. Nam zawsze wydaje się, iż żyjemy w czasach wyjątkowych.

– Pan wojował?

Wilczyński opowiedział – pokrótce. By zaraz zrewanżować się grzeczną ciekawością:

– Pan zaś gościł tu u siebie Sowietów...

– Dzicz to była okropna!

I mówił, jak niegdyś w Gdyni owemu zaproszonemu na kolację wigilijną młodzieńcowi (co sobie teraz przypominał): o Dzierżyńskim i pozostałych zdrajcach. A panie, mimo nader poważnego tematu, stojąc w drzwiach salonu, trącały się łokciami i uśmiechały do siebie porozumiewawczo.

– Sowietci, jako się rzekło, potworni – kontynuował tymczasem Sobieraj. – Rzesza niebezpieczna, Japonia okrutna, Hiszpania zakrwawiona. A Włosi? Weźmy Włochów – co to bohaterstwo podbili abisyńskich murzynów z dzidami...

– Prawda, było to groteskowe – zgodził się Krzysztof.

– Bardzo źle dzieje się na świecie – zamyślił się Sobieraj. – Co by o tym nie myśleć, wojna zburzyła dawny porządek... A dla nowego gruntu brak!

– Strach myśleć...

– Ależ trzeba, drogi panie, trzeba! Być może z wybrzeża inaczej widać naszą sytuację gospodarczą, przemysłową?

– Proszę przyjechać, przekonać się osobiście.

– Tak... – zawahał się Sobieraj, jakby zbity z pantałyku, jakby nigdy przez ostatnie długie lata o wizycie w Gdyni nie myślał i był jej możliwością zaskoczony. – Tak... O czym to my...

Lecz dość wreszcie polityki! Bo zaraz *Przybieżeli, Wśród nocnej ciszy, Lulajże Jezuniu...*

Już z opłatkiem w ręku Łucja rozplakała się. I to tak, że można się było przestraszyć.

– To nic – łkała – to zupełnie nic. Ja tylko tak... Bez powodu...

Więc i mamunia szlochała, i siostry.

A potem wspólnie utonęli: w zupie rybnej i białym barszczu, w kluskach z makiem, rwakach, panierowanych rybach i kapuście z grzybami.

– Znakomite – co rusz zachwalał Krzysztof. – Poczekaj na jutro, na piecyste – zalecał teść, zniecka przestając zięciowi p a n o w a ć. Zatem ten znów się uśmiechnął „Zwyciężyłem!” – pomyślał i – Poczekam! – powiedział. Kolędownali do północy, przed pasterką wypili kusztyczek. I jakoś tak prędko

zleciały dni i nagle, ojej, trzeba było wyjeżdżać. Tym razem, choć z trudem, Łucja powstrzymała się od łez.

– Taka jestem szczęśliwa! – krzyczała za to przez okno ruszającego pociągu. – Taka jestem... – powtórzyła, siadając na miękkiej kanapie wagonu pierwszej klasy.

– Cieszę się, kochanie – powiedział łagodnie Krzysztof.

– I ja ciebie też! – zaśmiała się, aż błysnęły zęby.

## ROZDZIAŁ 52

### Śladami

Gdy w kilka dni po Nowym Roku wyjeżdżali z Pława, tym razem to chłopcy krzyczeli:

– Dziadek, dziadek!

Aż Łucję ścisnęło pod żebrami. Bo stary Wilczyński wszystko im pokazał: stodoły, chlewy, obory, zanurzone w błocie świnię, tęsknie odwracające ciężkie głowy krowy i buchające ciepłem konie. Był to świat, którego nie znali, wychowani na Świętojańskiej, a po którym ów przerażający z początku dziadek okazał się znakomitym przewodnikiem. Zresztą i Krzysztof świetnie sobie radził – jak wtedy, gdy pokazywany chłopcom siwy ogier wyrwał się ojcu, a syn podskoczył do niego i chwytając za uzdę, a potem zbliżając twarz ku chrapom, uspokoił bestię. Chłopcy byli wniebowzięci!

Na Łucji wielkie wrażenie wywarli z kolei dziadkowie Krzysztofa: niczym z obrazka, być może nawet świętego, poorani bruzdami zmarszczek, z zastygłymi jakby uśmiechami, pełni dostojnej słodyczy. Krzysztof wcześniej nigdy o nich nie mówił, a oni, choć nieruchomo, to jakby na niego czekali – by całować mógł ich starcze, zasuszone dłonie.

– Krew z krwi – wzruszała się.

Stary Wilczyński niespodziewanie tryskał jowialnym humorem; gdy zdawało mu się, że nikogo nie ma w pobliżu, śpiewał nawet pełnym gardłem sprośne piosenki, a chłopcami tak się zajął, że a to sadzał ich na piec – by na wszystkich spoglądali z góry – a to strzelbę chciał im dać i wziąć na polowanie (– Niechże ojciec nie przesadza – perswadował Krzysztof), a to wreszcie częstował czekoladkami z masą nasączoną spirytusem (tu z kolei interweniowała Łucja; skutecznie, ale i z trwogą, iż kiedy indziej interweniować nie zdąży!).

– Zawsze mówiłem, że to wariat! – mruczał Krzysztof ciemną nocą, niemal tonąc w morzu miękkich pierzyn.

– Lata temu taki był oschły, milczący, wręcz antypatyczny...

– Co się dziwisz, teraz zakochany... – ziewnął.

– Jak to?

– Co: jak to? Zakochany musi być, nie może być inaczej! No, rzecz niekoniecznie w romantycznym związku skazanych na siebie dusz, lecz w związku ciał – jak najbardziej!

– Tak uważasz? – Łucji z jakiegoś powodu nie mieściło się to w głowie.

– Może to nauczycielka? A może pokojówka w pałacu właściciela dóbr... Śpijmy, zobaczysz, wyjdzie szydło z worka, he, he!

I wyszło, Krzysztof ojca świetnie znał.

Oto przybyła nazajutrz konno pani Zofia Hubner, zajmująca się

u Maksymiliana Francke zarządzaniem stajniami (o dziwo: kobieta w tak bardzo męskim świecie). Jeźdźcem była świetnym, ciało miała sprężyste, uśmiech od ucha do ucha i burzę jasnych włosów.

Obiadowali jak gdyby nigdy nic, mówiąc o pogodzie czy zeszłorocznym urodzaju, zaś po południu Krzysztof zaprzął skrzypiącą bryczkę i dyskretnie, zabierając całą swoją gromadkę, wybrał się na wycieczkę. Za co ojciec bardzo był mu wdzięczny.

Włoczyli się po polach, spojrzeli na San, zahaczyli o Rozwadów. I o tereny budowanych już Zakładów Południowych, które w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego miały działać właśnie tu: w zabitym dechami Pławie.

Bo tak jak niegdyś elektryzowała ją każda wiadomość z Gdyni, tak dziś Polska żyła owym COP-em, zakładami w Dębicy, Mielcu czy Starachowicach, Porąbką, Rożnowem, Czorsztynem i Soliną. Zresztą i w tym wypadku pomysłodawcą i motorem przedsięwzięcia był niezastąpiony i niewiarygodnie skuteczny minister Kwiatkowski.

Wieczorem mówili o tym z ojcem:

– Nie wrócisz? Nie zainteresujesz się?

– Nie mam, ojciec, sił.

A przecież zdarzyło mu się pomyśleć: gdyby i z tej szansy spróbować skorzystać...?

Lecz nie, nie miał już ochoty na powtórny wyprawę do Eldorado, krainy, która tylko najbardziej wytrwałym i odważnym może dać bogactwo. Bo czego się tu spodziewać: najazdu dezorientowanej biedoty, ziemianek, bud, baraków, nędzy zimowej roślinności i zawodu, gdy pracy nie będzie tak wiele, jak chciało się wydawać przywianym zdradliwą nadzieją desperatom; a z drugiej strony rychłego uformowania się samozwańczej elity, która w chmurze dymu z cygar i papierosów ustalać będzie szlaki przepływu materiałów i pieniędzy, a w efekcie ludzkich mas, przepływu, który niekoniecznie znaleźć musi odzwierciedlenie w rejestrach księgowych czy w raportach do ministerialnych zwierzchników? Te niech będą piękne i przejrzyste, żeby i owca była cała, skoro wilk tak bardzo syty, wielka budowa to wielkie pole do popisu – o ile potrafi się je obrabiać.

– Sił nie masz? – nie dowierzał stary. – Ty?

– Swoje zrobiłem. No i dom stawiam, mówiłem przecież ojcu, kamienicę.

A tu się trzeba będzie rozpychać, walczyć, czasem aż do krwi... Umiar, ojciec, trzeba go znać. Nie można mieć w życiu wszystkiego. Lecz co z tobą, powiedz, co z tobą będzie?

Stary wzruszył ramionami.

– Nie chcesz się wreszcie gdzieś wynieść? Choćby do nas...

– Toć i się przenoszę – przerwał mu energicznie ojciec. – Całe życie w Pławie, a starość w Stalowej Woli, ha, ha!

– ...w emanacji stalowej woli narodu wybicia się na nowoczesność... – wyrecytował Krzysztof.

– No nie oczadziali? Nie mogło się toto po staremu nazywać? Stalowa Wola... – prychnął po raz kolejny. – Inna rzecz, że mam na oku pewną miedzianowłosą wdówkę z samego, zrozum mnie dobrze, Sandomierza!

Krzysztof chrząknął... Z kuchni dobiegały ich krzyki. To Łucja z Michasią w wielkiej cynowej balii kąpały chłopców. Jak i jego tutaj, Krzysztofa, kąpały przed laty – lecz nie matka, a kolejne gospodynie.

– Czy ty ją w ogóle kochałeś? – zapytał cicho i wierzył, że nie musi dodawać kogo. – A może była takim samym epizodem, jak inne: brunetka, po rudej, a przed blondynką?

W odpowiedzi ojciec wbił w syna ciężki spojrzenie.

– Twoją matkę kochałem.

Krzysztof zawahał się.

– Mógłbyś powiedzieć po imieniu: Janinę... Janinę kochałem. A nie zabiły jej aby twoje harce? – dodał prędko, by uprzedzić otwierającego usta ojca.

Stary głośno przełknął ślinę.

– Mam nadzieję, że nie...

– A ja? Rodząc się?

– Nie mów tak, chłopcze, nigdy w ten sposób nie mów! – zażądał surowo ojciec.

I znów – tu cisza, tam – w kuchni – krzyki.

– Jaka on była?

– Pytałeś...

– Trzydzieści lat temu! Chyba możesz spróbować odpowiedzieć jeszcze raz?

– Była... – zaczął ojciec – była dobra, Krzysiu. Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Nie gniewaj się, lecz ja nie potrafię mówić. Była radosna – jak twoja Łucja, lubiła się śmiać, lubiła rozmawiać z ludźmi, bardzo się cieszyła, że będzie ciebie mieć... Była dobra, to powinieneś wiedzieć... Lecz co z tą twoją kamienicą, mów!

Weszła Łucja. Krzysztof sięgnął po papierosa.

– Przerwałam? – zapytała.

– Kamienica... – wyjaśnił, mrugając porozumiewawczo.

Niewielką działkę kupił na zapleczu Świętojańskiej, bliżej Kamiennej Góry, z oknami na wschód. Nie obyło się bez wiadomości od Małeckiego i nie obeszło bez pewnego nacisku, na będącego w wielkiej finansowej potrzebie poprzedniego właściciela parceli. I odtąd pięć się miały w górę parter, trzy piętra i poddasze. A wszystko zdobione przeszklonymi wykuszami, lekkimi balkonami i przykryte radosnymi świetlikami na najwyższej kondygnacji. Pięknie miało być, lecz na razie kredyty, kredyty, wizja, owszem, wynajęcia czterech lub pięciu mieszkań

inżynierom czy prezesom, ale i zmagani z długami, które spłacać trzeba będzie przez lata.

Przy tym to nie przyszłość była zmartwieniem – lecz teraźniejszość. Konieczność użerania się z majstrami, robotnikami, z dostawcami. Naprawdę – szkoda słów – na ich tępotę i złą wolę!

– Dość mam, jak widzisz, atrakcji – kończył lakoniczną relację, wracając do punktu, w którym zaczęli z ojcem tę rozmowę. – Bogactwa COP-u nie dla mnie.

Nowy Rok przywitali bez fajerwerków. A wręcz w zaskakującej mieszcuchów ciszy tej wsi osiadłej na piaskach; ale też wsi, która wsią wkrótce miała przestać być, więc dobrze może było ową ostatnią chwilę spokoju uszanować.

I zaraz znów trzeba było jechać. Krynica, w nagrodę za podróżnicze trudy, przywitała ich piękną, malowniczą zimą. Czapami śniegu na gałęziach drzew, dzwonieniem sań. I widokami łagodnych garbów, wyrastających tuż zza linii dachów hoteli i pensjonatów.

Stanęli wysoko – nad drogą i parkiem zdrojowym, oddzieleni od niego szmerzącym wśród lodu strumieniem. W siwej mgle ledwie majaczyły bryły starego i nowego Domu Zdrojowego, między nimi szeroko rozłożył się deptak.

A wszystko wnet im się spodobało: stare wille i modernistyczne bryły (także poczty – co zauważyła Łucja – swym złożeniem prostopadłościanów przypominającej gmach w Gdyni), leniwa atmosfera spacerów, a dalej skocznia narciarska i tor saneczkowy – każące domyślać się i doceniać śmiałość tych, którzy gotowi byli korzystać z tego typu atrakcji. Wreszcie: kolej górską. Dopiero co oddana, poświęcona, świeżo naoliwiona – by wspinać się na strome zbocze, po którym, wśród drzew, przemykały płochliwe, ale i zaciekawione sarny.

– Że będzie aż tak, nie spodziewałam się! – mówiła olśniona górkim krajobrazem Łucja. Zaś chłopcy z niepewnością, ale i z zazdrością spoglądali na sposobiących się tu i ówdzie do szusowania rówieśników. Ale i sami po to tu przyjechali – by się narciarstwa nauczyć, by nieco go zasmakować!

Lecz najpierw, jeszcze pierwszego dnia: Patria!

Niestety, Mistrza u siebie nie było.

– A państwo skąd przybyli, jeżeli można wiedzieć? – pytaniem na pytanie odpowiedział recepcjonista.

– Z Gdyni – pochwaliła się Łucja. – Gdzie bardzo Mistrza cenimy...

Tamten zapisał coś w kajecie.

– Bardzo... – powtórzyła Łucja.

Lecz na nic się zdał jej entuzjazm – funkcjonariusz stracił dlań wszelkie zainteresowanie.

Wtedy wtrącił się Krzysztof – pytając o możliwość zwiedzenia słynnych sal, pokoiów, miejsc, w których bywał Mistrz.

– Tu się zwiedzać nie pozwala – z dużym dystansem spojrzął na niego recepcjonista. – Mamy tu znacznych i ceniących sobie dyskrecję gości – dodał wyniośle. I aż zasyczał z niesmakiem, gdy Krzysztof przesunął po blacie rdzawy banknot.

– A żeby cię – prychnął Wilczyński, odwracając się na pięcie. Po czym wrócił do lady:

– W Majami byłeś, człowieku? Tudzież w Lido, w Juracie?

Fagas nie był, widać było, że nie. Lecz zamiast przyznać się do tego pokornie, jeszcze wyżej zadarł brodę i wbił wzrok, ponad Krzysztofem, w szklane, szerokie tafle okien.

Krzysztof zgasił wtedy papierosa w srebrnej popielnicy tuż przed nosem tamtego, a wydmuchując dym, zmełł niewyraźne (na szczęście!) przekleństwo. – No i po co tak? – uspokajała go Łucja już w drzwiach. – A bo tak, właśnie tak! – odpowiedział ponuro. Lecz wkrótce się z owego nieprzyjemnego zdarzenia śmiali, aż zataczając się w trakcie marszu w dół stromej uliczki, odurzeni, jak uznali, nieznanym gdzie indziej górskim powietrzem.

Przed wyjściem na stok musieli długo, żartując aż do przesady, okiełznywać debiutanckie lęki. Śmieszyło ich zatem wszystko: ich własne figury w wełnianych spodniach, specjalnie na tę okazję zakupione ciężkie buty (a co w nich niby było zabawnego?), wąskość desek, które wkrótce w jakiś niewiarygodny sposób miały trzymać ich na nogach, a wreszcie stromizna wzniesienia, do której krok po kroku, jakże dziarsko wyglądając, się zbliżali. Wynajęty instruktor ich chichrani przyglądał się bez komentarza, dostojnie (– Widać taka natura miejscowych – szepnęła Łucja, trącąc męża w bok – że na nas z nizin wszyscy tutaj patrzą z góry!).

Ale: gdy doszło co do czego, radzili sobie – niemal bez wyjątku – doskonale. Najpierw długo namawiana Druga – zdawać się mogło, że w górach urodzona – silna, stanowcza i zarumieniona (aż się Krzysztof zaczął zastanawiać, jak zachowywałyby się w tak pięknych okolicznościach pierwsza Michasia: czy dałaby się na narty namówić, czy tylko przypomniałaby niezliczoną ilość zbrodni związanych z Krynica, zimą lub sportem?). Dalej chłopcy – z początku szalenie nieporadni, już-już skłonni wybuchać pełnym goryczy i wściekłości płaczem, lecz zaraz – czy to pod koniec pierwszego dnia prób, czy nazajutrz z samego rana – rywalizując między sobą w zawodach prędkości, szczerze chwaleni przez instruktora. No i Łucja: zwinna, gibka, która, owszem, raz czy drugi przewróciła się, lecz prędko stawała na nogi, by z nieodpartym zapalem uczyć się skręcać i hamować możliwie najbardziej płynnym i eleganckim pługiem.

I tylko Krzysztof prędko poczuł się zmęczony. Zwłaszcza wspinaczką, która następować musiała po każdej, krótkiej, ulotnej chwili satysfakcji.

Winne były golonki, bekony, foie gras i winne pożerane gęsi – co do tego nie

miął wątpliwości. Ociężałość dopadała go i w Gdyni, gdy biegał pomiędzy biurami, cóż mówić o zmaganiach na śniegu!

„Inna rzecz – rozmyślał – to uczyć się tego typu nowości w jego sytuacji! W ledwie kilka miesięcy po czterdziestych urodzinach! W tym wieku – konstatawał z przekąsem – wszystko, co powinienem potrafić, to trzymać się dziarsko w fotelu prezesa jakiejś dostojnej rady nadzorczej, nie zaś szusować wśród młodzieży...”

Z wielu innych powodów coraz częściej zdarzało mu się słyszeć od żony: „jesteś taki staroświecki, dziewiętnastowieczny!”. I choć był to tylko żart, żarcik – ich własny, prywatny, intymny – to nie wiedzieć kiedy datę w metryce uznawać zaczął za alibi – by unikać szaleństw, czy to tańców, czy wszelkiego sportu.

Więc teraz też: wołał oprzeć ciężkie ciało o wbite w śnieg u podnóża stoku kije, chciał odpoczywać – jeszcze zanim na dobre zdarzyło mu się zmęczyć.

„Czarodziejka” – pomyślał w pewnej chwili, patrząc na ciemną, odcinającą się od śnieżnego tła, figurkę żony w oddali. Niegdyś bojaźliwa i krucha. Dziś zaś, gdy tylko było trzeba, nad wyraz mocna i stanowcza (wystarczyło widzieć, jak radzi sobie ze sklepem, z następującymi po odejściu Loli czasem niezbyt lotnymi pracownikami, z chytrymi dostawcami i zręcznymi klientami!). I wciąż przy tym pełna wdzięku – co działało także na handlowych partnerów Krzysztofa i co ten nauczył się skrzętnie wykorzystywać.

Ostatnimi laty wiele przeżyła, wrażliwa i pełna współczucia. Najpierw opuścił nas Marszałek. I jakby w trwodze stanął czas. Byliśmy niczym dzieci, osamotnieni w trudnych czasach, bez tego, który zawsze był, który wszystko potrafił przewidzieć, wszystkiemu stawić czoła i przed wszystkim uchronić. Nic dziwnego, iż tak rozdzierająco lamentowano – wieszcząc katastrofy i klęski! Nie będzie, mogło się wydawać, nie będzie nigdy w dziejach narodu śmierci o podobnej wadze, odejścia tak znaczącego i tak wielką po sobie zostawiającego wyrwę.

A rok później? Dzień był piękny, słoneczny, lecz i bardzo wietrzny. Mimo to na molo i plażach w Orłowie bawiły, jak zwykle latem, tłumy. Z oddali, bo od półwyspu, a w zasadzie aż z Ameryki, do macierzystego portu zbliżał się „Piłsudski” – z żoną wielce zasłużonego generała Gustawa Orlicz-Dreszera na pokładzie. Ten zaś kochał szczerze i tęsknił tak bardzo, iż z powitania małżonki uczynić chciał piękny symbol wiecznie trwałej miłości. Więc wzbił się – w towarzystwie pilotów – z lotniska w Grudziądzu i leciał żonie naprzeciw, by dokładnie o 14.14 – to jedno udało ustalić się z całą pewnością – zniecka runąć w iskrzącą w słońcu toń! Sto metrów od rzeczonoego molo, na oczach setek letników...

Mówiono o zamachu, mówiono o błędzie pilota – którym ostatecznie miał być ponoć sam generał. Nieważne.



Bo cios był to potężny – dla miasta i kraju. Grzebano bohatera w Gdyni – a żegnały go setki delegacji, tysiące żałobników na miejscu i miliony przed radioodbiornikami.

No i jeszcze jakby owych śmierci było za mało, wkrótce odeszła pani Maria. Ot, znienacka, bez powodu, o ile za powód nie uznać do końca przeżytego życia. Oczywiście, wielką rolę odegrać musiał w tym głośny upadek syna, jego moralna, towarzyska i finansowa degradacja; a jednak z początku staruszka umiała się z tym pogodzić – tyle że znieruchomiała, rysy jej stężyły, a podbródek uniósł się w górę – i to tym wyżej, im bardziej dawny Król okazywał się oszustem, bankrutem, zwykłym Królikiem, nawet nie z Lwowa, lecz z zapadłej galicyjskiej wsi. W Orłowie otoczyło ją wtedy milczenie i ostracyzm. W odpowiedzi klęła sąsiadów najgorszymi słowami, jakby i z jej barków spadł ciężar udawania nobliwej matrony, a wyszła natura prowincjonalnej kuchty, którą w istocie była. Lecz Łucja pozostała jej wierna, podobnie jak Lola. Przez jakiś czas zdawało im się, że pani Maria trwać będzie wiecznie – na przekór światu, który ją zdradził. A jednak – serce pękło, koniec, szlus.

– No czy nie czarodziejka? – powtórzył, wspominając ówczesne łzy żony, jej szloch, zrazu niebezpiecznie puste, wybiegające w nieskończoność spojrzenie, a zaraz stanowcze decyzje dotyczące pogrzebu Królowej...

Zaś sam – jako się rzekło – czuł się taki zmęczony... I wręcz się tym upajał!

Wyjazd, co z dnia na dzień uświadamiał sobie coraz bardziej, kosztować miał fortunę. Niełatwe było też, mimo zaufania, jakim darzył Lolę czy Małeckiego, prowadzenie interesów z oddali. Telefony, wciąż telefony, telegramy. Notatki czynione ołówkiem w niewielkim notesie – by podczas kolejnej rozmowy móc wydać dobrze przemyślane polecenia...

Brakowało mu entuzjazmu – tego był pewien, to sobie, patrząc na gdyńskie przedsięwzięcia z dystansu, uświadomił. Entuzjazmu z pierwszych lat krakowskich, z pierwszych miesięcy w Gdyni, pierwszych przemytniczych przedsięwzięć z Kotem, czy wreszcie żeglugi po niebezpiecznych wodach rzeki Hudson.

Żona, synowie – wszystko dla nich.

„Ale jak długo...?”

Nie dokończył.

– Będziesz tak stał? – krzyknęła Łucja, hamując w ostatniej chwili, lecz pewnie.

– Myślę... – odpowiedział ponurym głosem.

– Czym się martwisz, kochanie?

– Gdynią, sobą.

– Krzysztof, zapomnij o wszystkim na parę dni, ja wiem, że tobie trudno, lecz inaczej...

Miała rację, wiedział.

– Zastanawiam się, czy byłbym tutaj teraz, gdyby nie wiele decyzji, które podjąłem... Lub gdyby nie wiele zdarzeń, na które w zasadzie nie miałem wpływu...

– Krzysztof, ty jesteś przemęczony! Dalej, jazda! Do góry! Daj piękny przykład chłopcom!

Cóż z tego, że synowie przykładowi nie potrzebowali – rozbrykani na całego. Niemniej ruszył pod górę przepisowo rytmiczną jodełką.

– Oddychaj, śmieję się, baw!

– A dajcie wy mi wszyscy spokój! – krzyknął, siląc się na wesołość.

## ROZDZIAŁ 53

### Szantaż

Nim sprawy zdążyły przyjąć najgorszy obrót, Wilczyński pytał go wielokrotnie: – Możesz mieć wiele, dlaczego nie chcesz? Potrafisz to wytłumaczyć?

A Witold, gdy służył w wojsku w Bydgoszczy, zakochał się. Nieszczęśliwie. Wrócił wściekły.

– A co to, ona jedna? – śmiał się z początku Krzysztof.

– Lala. Panna Lala. Pielęgniarka, córka lekarza.

– No i trudno: poczęstowano cię czarną polewką, śmieję się z tego, żyj...

– To i żyję...

– Ale jak?! – denerwował się Wilczyński.

Ano tak, że pił, hulał po szulerniach i bił się. I była w tym jakaś desperacja, dla Krzysztofa niezrozumiała.

– A bo mi szef nie ufa – burknął chłopak – zaś wiecznie szoferować nie będę.

– To czego chcesz? Jak mam ci ufać? Idź gdzie indziej, droga wolna!

– Znajdę miejsce, to pójdę, ale...

– Ale co?

– Ale miejsc mało, swojego mi szef przecież nie zwolni?

– Witold, posłuchaj: życie trzeba powoli, łyżeczką, a nie od razu wszystko!

Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Lecz chłopak tylko się śmiał.

– Pomału? Pomyślałby kto!

– Do kogo pijesz?

– Szkoda gadać, lepiej pójdę.

– To idź.

– Idę.

I szedł. A w Krzysztofie wzbierało rozgoryczenie.

„Niańcz takiego, chłopaka po wojsku!”

Łucję Witold także złościł. Tym, że pojawiał się w sklepie – najlepiej w chwilach, gdy jej w nim nie było – by wyłudzać od ekspedientek piwo lub czekoladki, nie mając przy tym zamiaru płacić, mówił, że później, na koniec miesiąca, że Krzysztof o wszystkim wie i na wszystko się zgadza.

– Kłamie – wzdychał Wilczyński, kiedy Łucja się skarżyła. – Już ja mu przemówię! – obiecywał; aż przestała w owe obietnice wierzyć.

Raz przyłapała Witolda, gdy dobierał się do Krysi. To było już po zamknięciu sklepu – gdy weszła, zdziwiona, przez niezaryglowane drzwi, dzwonek, o dziwo, też nie reagował, i zbliżyła się ku zapleczu, usłyszała:

– A co to, Krysia taka cnotliwa? Krysia mi się podoba, ja Krysi również... Niby nie widzę? Gdy Krysia tak spogląda...

– Ja?

– Niechże Krysia nie udaje, Krysia ma ochotę na miłość! Taką jak z książek, ma się rozumieć, na wieczność, na zabój... Nie dasz, dziewczyno, buzi, weteranowi? Daj...

– Witold! – ryknęła, wkraczając, dostawszy prawdziwej furii. – Wynos się natychmiast, nie chcę cię tu widzieć! Zostaw dziewczynę w spokoju!

Gdy ją mijał, poczuła, a jakże, zapach spirytualiów.

– Ja... To nie ja, proszę pani... – tłumaczyła tymczasem ze łzami w oczach dziewczyna.

– Znam ja takich! Często przychodzi? Nagabuje?

– Drugi... Lub trzeci raz.

– Masz mi o tym mówić, Krysiu, gdy tylko się powtórzy – objęła nastolatkę, przytuliła.

– Co on o mnie myśli? – bezradnie pytała tamta.

Miarka przebrała się jakiś czas później. Na Lipową, pod gabinet doktora Podsiadły, przyjechał spóźniony, musiała długo czekać z chłopcami. I burczał, zamiast się usprawiedliwić, i ruszył dynamicznie – jednym skokiem przekraczając oś jezdni, i aż uderzając kołami o przeciwległy krawężnik.

– Ty jesteś pijany? – zdumiała ją jego bezczelność. – Zatrzymaj się!

– Bogać tam... – odparował.

– Stań! Natychmiast!

Tylko warknął – niezrozumiale.

– Stań, powtarzam!

Lecz pruł – na szczęście do domu nie było daleko. Jeszcze najechał na wysepkę, rozdzielając kierunki ruchu – aż auto podskoczyło, Łucji spadł kapelusz, a Antoś krzyknął: – Boję się! – I omal nie uderzył w tył furgonetki wiozącej bańki z mlekiem.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – z surową miną zapytała Krzysztofa wieczorem. Nie zrozumiał, w czym rzecz.

– Witold jeździł pijany, nie mów, że nie zauważyłeś?

– Ach, rzeczywiście – odpowiedział z cieniem niewyraźnego uśmiechu, nie wiedząc, czego się spodziewać. – Kazałem mu iść się przespać.

– To koniec, Krzysztof – zaczęła krzyczeć – to nie zdarzyło się pierwszy raz, mnie jego hulaszczy tryb życia nie interesuje, dopóty nie dotyczy naszych dzieci!

– Nigdy więcej, Krzysztof – dodała już spokojniej – nie usiądę z nim w aucie. I nie chcę go widzieć w moim sklepie, rozumiesz?!

I wtedy niespodziewanie Witold dał się namówić: wypłynął. Skorzystał z rozlicznych kontaktów Wilczyńskiego i wypłynął. Jak przed laty, uciekając, choć

tym razem z zupełnie innym, zdawało się, nastawieniem.

– Naucz się fachu, rozejrzyj po świecie – namawiał go Wilczyński – a i na siebie spojrz z oddali; co, Witold, popłyniesz?

Na kilka miesięcy zapanował spokój. Ba, po powrocie z pierwszego rejsu chłopak pojawił się nawet na Świętojańskiej z wielkim bukietem kwiatów, padł Łucji do nóg, przeproszał i opowiadał o tym, co zobaczył – a zobaczył wiele, bo dotarł aż do Brazylii – i obiecywał od kolejnego roku wstąpić do szkoły morskiej, zostać nawigatorem. Najwyższa pora – wielce się ucieszyli.

Lecz po następnym powrocie okrętu, na co czekali, już się nie pokazał. Nie pachniało to niczym dobrym. Wreszcie dowiedzieli się: Witolda z GAL wylano, za pijackie awantury, których dopuszczał się na przeznaczonych dla pasażerów pokładach.

Zaszył się gdzieś wtedy, znikł. Krzysztof szukał go, lecz nie potrafił znaleźć.

Aż całkiem niedawno, jesienią, gdy grał z Małeckim w bilard – w Europie, *vis-à-vis* Banku Gospodarstwa Krajowego – niespodziewanie znalazła się zguba... I parła przed siebie wbrew protestom odźwiernych niczym burza – a przy tym tak rozchwiana jak drzewa na wietrze – i wyraźnie kierująca się wprost ku Wilczyńskiemu.

Ten wyprostował się, gestem uspokoił chcących interweniować kelnerów, i uniósł głowę w oczekiwaniu.

– Jestem! – rzucił Witold, jak gdyby go tu oczekiwano.

– Co to ma znaczyć?

– Potrzebuję forsy!

– Tak po prostu? Potrzebujesz forsy? Co mnie to może obchodzić? Gdzie byłeś? Gdzie bywasz? Gdzie śpisz?

Witold zawahał się.

– Nieważne, szefie... – jakby spokorniał na moment.

– Jesteś pijany. Słyszałem ja o tobie, nie bój się!

– Nieważne! – chłopak znów zhardział, zrobił krok naprzód, ale i zatoczył się. – Potrzebuję forsy!

– Wiesz, gdzie mnie szukać, przyjdź, gdy wytrzeźwiejesz. Choć nie wiem, co znów – zaakcentował Krzysztof – miałbym dla ciebie zrobić...

– Nie wiesz? – zaśmiał się głośno Witold, wziął pod boki i już wszyscy zebrani zwrócili ku nim głowy. – A pamiętasz może Dom Zdrojowy...

I wtedy Krzysztof chwycił go prawą ręką za gardło, niemal uniósł w górę i niczym z taranem trzymanym w wyciągniętej dłoni popędził w stronę korytarza, a potem do toalet. Tam huknął ofiarą o ścianę, a lewą pięścią uderzył mocno w brzuch. Gdy Witold się zgiął, Krzysztof poprawił: w kark, z góry.

– Uważaj! – cedził, gdy chłopak zbierał się z kolan.

– To tak? – jęczał tamten zdziwiony.

– Masz pieniądze, weź. Pięćdziesiąt złotych, więcej nie mam. Przyjdź porozmawiać. Lecz nie waż się niczego domagać! Możesz prosić – ot, co!

– Panie Wilczyński, czy potrzebuje pan pomocy? – zajrzał do środka zaniepokojony ober.

– Dziękuję, rzecz wyjaśniona. Prawda? – spojrzał na Witolda.

– Będziesz tego żałować – zagroził ten, lecz brzmiało to płacźliwie.

– Nie strasz! Nie strasz! Chłopaku, co się z tobą dzieje?

I na tym chwilowo stanęło.

Dopóki nie dostali anonimu. Z żądaniem pieniędzy, a w przypadku niespełnienia wymagań z groźbą wobec dzieci.

– Bałwan – ryknął Wilczyński, przeczytawszy podaną przez Łucję drżącymi dłońmi wycinankę gazetowych liter.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Toż to Witold!

– Tak sądzisz?

– To ten łobuz, któż inny? – powtórzył, po czym opowiedział o zajściu w Europie.

– Nie ma na co czekać – przeraziła się. – Pójdę na policję!

– Nie, Łucjo – zaprotestował. – Policji nie trzeba...

Umówił się za to z Kotem. A nie widzieli się wieki.

– Jak trwoga to do Boga? – nie omieszkał skomentować Kotkowski, gdy już usłyszał, w czym rzecz. – Ba, przeszłość... Nieciekawa przeszłość...

Krzysztof nie miał ochoty filozofować:

– Trzeba mu... – zawahał się.

– Łeb ukręcić? – zaśmiał się Kot.

– Tego nie powiedziałem. Coś znaleźć...

– Podrzucasz mi więc kukułcze jajo?

– Nie chodzi tylko o mnie, przypominam.

– Ale o załatwienie sprawy moimi rękoma, prawda? Swoją drogą, myślisz, że tamta... sprawa... jeszcze kogokolwiek interesuje?

– A chciałbyś się o tym przekonać?

– Dobrze, rozmawiam z nim. Będziemy jeść?

– Wybacz, naprawdę, śpieszę się.

– Ach tak, wiecznie interesy... Nie zatrzymuję w takim razie... Panie starszy, dla mnie sznycel z sardelami!

Niestety, Łucja tego jednego razu nie posłuchała męża.

– Prosiłem! – aż złapał się za głowę, wróciwszy w miłe progi i myślami będąc przy obiedzie. A tu taki klops! – Musisz wycofać skargę, Łucjo, musisz.

– Dlaczego go bronisz?

Usiadł, z chmurnym czołem.

– Nie wiem... – powiedział.

Lecz skargę wycofali.

– Dlaczegoż to? – zdziwił się z kolei podkomisarz Kowalski. – Pani podejrzewa kogo innego? – zwrócił się w stronę Łucji.

– Niemądry żart, wyjaśniliśmy sobie wszystko – wtrącił Wilczyński.

– Ach tak... Ja będę musiał sprawdzić, czy osoba ta nie ma nic wspólnego z innymi, podobnymi anonimami.

– Nie sądzę – mocnym głosem powiedział Krzysztof.

– Sprawdzić nie zaszkodzi, a wręcz obowiązek. Wiele jest w tym mieście szantażowanych. Wielkie pieniądze, tajemnicze powiązania... Cóż, dziękuję państwu.

Wracali do domu szybkim, nerwowym krokiem.

– Krzysztof, co tobie?

– Zmęczony jestem – nawet nie zwolnił. – Masz rację, potrzebujemy wytchnienia. Pojedziemy.

– Do Wyszkowa? – ucieszyła się.

– I do Pława, i Krynicy... A nawet jeszcze dalej!



*Dawny budynek dworca kolejowego.*



## ROZDZIAŁ 54

### Księżniczka

Orkiestra U Trzaski grała to, co najlepsze: „Jadzia, po prostu Jadzia, ale jak to brzmi!”. Albo: „Był zakochany złodziej, okradał niebo z gwiazd...”. Lub: „Jak pani może w nocy spać, gdy cały świat się pragnie śmiać, chcesz tracić szczęście, no to trać...”. Śmiali się więc i tańczyli.

W przerwach toczyli zaś rozmowy ze współbiesiadnikami, malarzem z Krakowa, nazwiskiem Ostrowski, przemysłowcem z Lwowa Kotlarskim i z urzędnikiem z Katowic – Pałką. Poznali się, ot, gdy zaczynał się wieczór, teraz byli już za pan brat, rozbawieni.

Mówili o urokach Zakopanego, o jego niezliczonych twarzach: choćby ludowej, narciarskiej i dżezowej, mówili o tym, kto bywał U Trzaski właśnie, a kto w Morskim Oku (Żeromski, Szymanowski, Makuszyński, Gold, Petersburski, Wars, Ordonówna, Dymśa, Bodo – by wymienić kilka nazwisk), mówili o nieco spokojniejszym ostatnio Demonie Zakopanego, artyście Witkacym (– Jak? – upewniała się Łucja, prosząc o powtórzeniu nazwiska). A wraz z upływem wieczoru i wraz z ilością wypijanego jarzębiaku tudzież czystej okowity także o powstaniu nowego państwa Eire (i o tym, że Londyn zajmuje wobec tego faktu zadziwiający spokój) oraz o niemających, a wręcz rozrastających się kolonialnych planach Rzeczypospolitej (fanatycznym propagatorem owej idei był zresztą właśnie tak mocno oplakiwany przed laty w Gdyni generał Orlicz-Dreszer). Bo to i narodu robiło się coraz więcej, i rozwój przemysłu domagał się surowców. „W tych żądaniach nie kieruje Polską interes polityczny, prestiżowy – ogłosił niedawno wicemarszałek sejmu. – Polska powinna mieć kolonie w tym celu, ażeby z własnej produkcji kolonialnej swoje potrzeby kolonialne zaspokajać” (i była to myśl jak dzwon – spiżowa i dźwięczna). „Tytułów moralnych uzasadniających nasze żądania Polska posiada wiele” (oczywiście – zwłaszcza moralnych!). „Jako przedmurze chrześcijaństwa i cywilizacji. A ileż to było setek tysięcy Polaków: odkrywców, badaczy, misjonarzy, podróżników, ba, nawet zdobywców... Ostatnio wiele mówi się i pisze o Madagaskarze. Istotnie wyspa ta, zwłaszcza w niektórych jej częściach, nadaje się do osadnictwa. Należy jednak pamiętać, że sprawa masowej emigracji jest dzisiaj przede wszystkim sprawą finansowo-dewizową...”

Ha! I tu leżał pies pogrzebany, o to się wszelkie plany rozbijały...

Łucja ziewnęła dyskretnie, politykowanie zupełnie ją nie bawiło. Na szczęście, gdy orkiestra zagrała: „Po co, po co tak się męczę dniem i nocą – na co, na co, nadaremna praco...”, przystojny malarz wnet poprosił ją do tańca.

Wypadało teraz, aby i Krzysztof prosił żonę, córkę lub kochankę – niełatwo było ocenić – artysty, lecz że zawczasu nabrał pełen talerz wędlin, to zajął się w pierwszej kolejności nimi – bo jakże to, miały schnąć?

„Wyjdę na gburą” – wiedział. Lecz swoje już odtańczył, tak uważał, dancing powoli zaczął go nudzić.

Gryząc, rozglądał się po sali. Co rusz jedni goście znikali, kierując się czy to do Morskiego Oka, czy do Jaszczurówek, a ich miejsca, gdy tylko kończył się zwiewny balet kelnerów, zaraz zajmowali kolejni. Wtem! Zamarł, przestając przeżuwać.

Co to? Kto to? Czyżby? – zdumiał się niepomrotnie. Zdawało mu się, że dostrzegł znajomą twarz. I to jak bardzo znajomą!

Lecz nie, to nie było możliwe. Absolutnie!

Zobaczył jej profil jedynie przez moment, usiadła zaś tyłem do Krzysztofa. Towarzyszył jej mężczyzna – i jego Wilczyński widział całkiem wyraźnie, gdy tylko przerzedzała się poruszana przez wir tańczących chmura tytoniowego dymu. Był to wysoki, szczupły brunet, z gniewnym błyskiem w oku, drapieżnie przyciętym wąsikiem i nader zaciętą miną. Kelnerzy wokół owej pary uwijali się ze zdwojoną energią.

„Niemożliwe! – powtarzał w myślach. – Choć właściwie: czemu nie?”

Skończywszy wesołą pieśń, orkiestra ruszyła z *Nocą w Casablance* („wonna jak kwiat, cichą jak baśń, co czai się i drży”). Muza malarza szczęśliwie nie miała ochoty się boczyć i zapomniała o doznanym afrońcie. Tańczyli, Krzysztofowi szło nieźle i starał się przy tym tak lawirować, by raz czy drugi przepłynąć obok interesującego go stolika.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek chwili i to wystarczyło: twarz tamtej drgnęła, oczy powiększyły się, widelec omal nie wypadł z dłoni.

Zrobiło mu się gorąco. Lecz nie przerwał tańca, nie skoczył z natychmiastowym, radosnym powitaniem. Spłoszyło go przerażone spojrzenie kobiety.

Gdy usiadł, oglądała się przez ramię raz i drugi.

Przy najbliższej okazji o tożsamość pary dyskretnie wypytał kelnera.

– Książę czerkieski, albo i gruziński... Ważna persona ze Wschodu – usłyszał. – Uciekinier z Sowietów. Oraz jego, ma się rozumieć, małżonka.

Z parkietu tymczasem wróciła i Łucja. Wyraźnie emablowana przez malarza.

– Atanazy Bazakbal, Gyubal Wahazar, Świntusia Makabrescu – Witkacy, proszę sobie wyobrazić, wyłącznie tak nazywa swoich bohaterów!

Łucja chichotała.

– Pani koniecznie poznać musi jego portrety, są wprost absurdalnie nieźrównane. A co pisze... Hadko powtarzać!

– Ależ prosimy! – zachęcił rozkojarzony Wilczyński.

Artysta tylko na to czekał:

– Otóż na wizytówkach, proszę ja państwa, pisuje on, za przeproszeniem, D.U.P.A. ...

Zamarli.

– Co mianowicie znaczy... – malarz zawiesił głos, by zaraz parsknąć śmiechem: – ...dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie!

O-cho-cho, ależ się ubawili!

– A to pan pamięta? – zaproponował rozeźlony czemuś Krzysztof. – Urodzić się garbatym Polakiem to wielki pech... Ale urodzić się do tego jeszcze artystą w Polsce, to już pech najwyższy.

Cisza zapadła jak makiem zasiał.

– Ależ Krzysztof, skąd ty to wiesz?! – wybuchnęła śmiechem Łucja.

– Albo takie słowa – rozochocił się: – Ta pseudoartystyczna hołota, która stanowi jeden z głównych składników wielkowiejskich mętów inteligencji, to jest jedna z plag dzisiejszej ludzkości... Tak to pan Witkiewicz pisywał o artystach – dodał po krótkiej pauzie.

– Brutalne – zauważyła muza (a może córka?) z nagłą spąsowiałego malarza.

– Szalony duch Zakopanego – dodała z wahaniem inna z pań.

– Tak, tak, drodzy państwo, trzeba uważać, by i nas nie dopadły demony katastroficznego cynizmu – podsumował flegmatycznie Wilczyński, uśmiechając się przymilnie do zachmurzonego artysty.

A do Poli jednak podszedł: gdy po niedługim czasie, w sam raz na wypicie paru łyków szampana, wraz ze swoim księciem z bajki sposobila się do wyjścia.

Dostrzegł wyraźnie: nie chciała tego spotkania, nie chciała rozmawiać. W związku z czym przyjął ton możliwie obojętny:

– Przepraszam uprzejmie, czy pani aby... Czy my...?

– Niet – odpowiedziała.

(„Co za niet?” – teraz był już pewien, rozpoznał jej głos).

– Pani przypomina mi pewną osobę...

– Izwienicie, ja was nie znaju... – szepnęła, spuściła oczy, nerwowo upychając dłonie w mufkę ze srebrnego lisa.

– Szto? – obcesowo zainteresował się tymczasem książę.

– Bardzo przepraszam – skłonił się Krzysztof. – Uderzające podobieństwo...

Przepraszam jeszcze raz.

– Fiu, fiu – gwizdał z niedowierzaniem, wracając do stolika.

Dwa dni później, gdy za oknem szalała zadymka, a oni szykowali się już do wyjazdu, zapukano do drzwi.

– W kawiarni czeka na pana pewna pani – hotelowy chłopak wręczył Krzysztofowi delikatny, kremowy bilecik.

– Pani? – zdziwiła się Łucja.

– Kochanie, wszystko wyjaśnię, nie uwierzysz, kogo spotkałem!

Schodami popędził, hamując dopiero na półpiętrze.

Stanąwszy w progu kawiarni, jakiś czas szukał jej wzrokiem, po czym

skierował kroki ku najdalszemu kątowni sali. Wreszcie i ona go dostrzegła.

– Polu, księżniczko! – powiedział czule.

Milczała, wpatrując się łapczywie w jego oczy.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę... – powtórzył raz i drugi.

– Ja również – odparła. – Czy mieszkasz w Gdyni? – zapytała. – Czy widzisz Lolę?

– Ależ tak! Oczywiście! Pracowała... u mnie, dla mnie, ze mną... – nie wiedział, której formy się trzymać. – Polu, opowiem o wszystkim, lecz najpierw ty: kim ty jesteś, powiedz, prócz tego, że księżniczką?

Zatem mówiła, a on przerywał jej pytaniami. Chaotyczna była to rozmowa, rwana, nazbyt pospieszna. Wyczuł też, że nie do końca szczerą, omijającą część nie najprzyjemniejszych szczegółów. W każdym razie: z braćmi i w biedzie Kołomyi nie wytrzymała długo, nieważne, dość że w Worochcie zakochał się w niej młody, zapalczywy poeta, redaktor, i z nim trafiła do Lwowa, dalej... nieważne, nie takie ważne, dość, że wkroczywszy na salony – gdyż dzieciuch miał bogatych rodziców – w tamtejszej operze wpadła w oko księciu...

– Czy to prawdziwy książę? – wyrwało się Krzysztofowi.

Tylko się uśmiechnęła.

– A więc bogacz – z mnóstwem carskich rubli?

– Tak. Ale kocham go szczerze.

– Co z dzieciuchem?

– Ach, Krzysztof, nie musimy o tym mówić.

– Oczywiście – zgodził się.

– Mieszkamy w Truskawcu, marzymy o Kijowie, bywamy za granicą, lub tu – w Zakopanem.

(„Pięknie – myślał. – O ile z tą miłością to nie bujda”).

– Lecz teraz ty – poprosiła – mów jak najwięcej o Gdyni. Zupełnie jej sobie nie wyobrażam.

Więc mówił: o ulicach i porcie, o stu tysiącach mieszkańców i przyłączaniu kolejnych dzielnic, o nowych kinach, kawiarniach i restauracjach, o budowie moła Południowego i wspaniałej hali targowej... Aż wreszcie zrozumiał, że nie potrafi w tak krótkiej rozmowie powiedzieć o wszystkim; i że to także n i e w a ż n e.

– Ależ mnie to bardzo ciekawi – chciała, by kontynuował.

– Polu – olśniło go – posłuchaj zatem o zamknięciu Kurhausu, o zamknięciu Bączkowskiego! Chcesz?

– Otóż skoro budować miano owo moła Południowe – w przedłużeniu skweru Kościuszki – czyli jak raz od frontu Kurhausu, to wiadomo było, że ten długo nie wytrwa. Zresztą, pamiętasz, od dawna burzyły się świątobliwe matrony. Szczęście, że Bączkowski oparcie miał w księdzu senatorze Bolcie. Lecz do czasu. Miasto wreszcie wysupłało, uważaj, prawie czterysta tysięcy złotych, by

Bączkowskiego wykupić. I wtedy się zaczęło... A właściwie skończyło. Ale z hukiem, z przytupem! Ostatniej nocy wydał bal, taki wiesz, jak to u niego... Mnie nie było, potrafisz zrozumieć, nie te czasy... Zresztą i was nie było... Za to Konstanty był – i wspominał rzecz całą długo i kwieście.

– Nad ranem, uważaj, Bączkowski zebrał całe towarzystwo, doprowadził jako tako do ładu, i hajda, sformułował marsz protestacyjny. Cóż to była za parada! Jakby z piekła rodem, jakby żywych trupów – bladych, acz roześmianych, pokrzykujących buńczucznie, ale z twarzami wielce umęczonymi...

– Szli Świętojańską, wzdłuż najlepszych sklepów, pod oknami najznacniejszych mieszczan, prezesów, członków licznych stowarzyszeń parafialnych i obrońców moralności. No i wyobraź sobie, nasza Lola nie wytrzymała! Przyłączyła się do tańców, do śpiewów, do korowodu...

– Piękne to było, jak powrót do młodzięcych lat, Bączkowski, trzeba przyznać, fason miał. Niestety, w tym samym czasie, gdy on dziarsko maszerował, już zaczęła się rozbiórka... I nasz Kurhaus, szkoda gadać, legł w gruzach...

– Ach, no i jeszcze nie obyło się bez scen, bo to w tym marszu nadzwyczaj gromadnie udział wzięli uczniowie... To sobie wyobraź: miny matek, przeświadczonych, że młodzięcy noc spędzili na nauce z kolegami... Zresztą spędzili, prawda, na nauce – choć nie z patriotycznych czytanek...

– Aż wreszcie jeden z nich, wyobraź sobie, spoliczkował spieszącego do pracy urzędnika, Grabskiego. Ja go znam jeszcze z dawnych czasów...

Pola, zasłuchana od dłuższego czasu, drgnęła.

– Czy możesz powtórzyć to nazwisko?

– Grabski, Adam Grabski. Znajomy?

Zmarszczyła czoło.

– Nie – pokręciła wreszcie głową. – Nie sędzę, nie przypominam sobie.

– Zresztą, co to ja... Plotkuję, są ważniejsze sprawy. Naprawdę cieszę się na twój widok. Opowiem Loli, będzie szczęśliwa, mogę, prawda? Powinnaś do niej napisać, albo nas odwiedzić.

Odstawiła filiżankę.

– Wybacz, Krzysztof, muszę już iść. Nie chcę, by książę się denerwował.

– A wygląda na groźnego! – odpowiedział tym samym na wyraźną ironię w jej głosie.

Uśmiechnęła się.

– Dusza człowiek. Lecz bywa, prawda, zazdrosny.

– Czy spotkamy się jeszcze?

– Niewykluczone...

Odprowadził ją ledwie do drzwi – dalej nie pozwoliła – i wnet rozplynęła się za zasłoną z wirujących płatków.

– To ci dopiero – westchnął. Po czym pospieszył, by przebieg spotkania

zrelacjonować Łucji.

Co tu dużo mówić, górami dali się oczarować. Dotarli pod Tatry szczęśliwie – specjalnym pociągiem turystycznym, zwanym „narty–dancing–bridż”, który to pociąg we dnie zatrzymywał się w kolejnych górskich miejscowościach wzdłuż całej południowej granicy, a nocami pokonywał dzielące kurorty odległości. I dopiero tutaj, w Zakopanem, odczuli majestatyczną potęgę gór. Nieco szusowali, głównie ze względu na chłopców, prócz tego zaś zapuszczali się dźwięczną sanna w długie, wijące się doliny, by tam stawać niemal u podnóża wyrazistych szczytów, przyglądać się ich granitowym obliczom, oddychać powietrzem innym niż wszędzie. Dotarli też, wybudowaną wielkim wysiłkiem, lecz jakże nowoczesną kolejką, na sam Kasprowy Wierch. Cóż to było za przeżycie: wisieć na cieniutkiej nici stalowej liny dziesiątki metrów nad przepaściami! Chłopcy mogliby tak jeździć tam i z powrotem – krzyczeli jeden przez drugiego – Łucja, niestety, poczuła się słabo.

– To nic – uspokajała Krzysztofa – to nic. Jestem ceperką, nie góralką. Kochanie, zaręczam, nie musisz się przejmować.

## ROZDZIAŁ 55

### Skandal i o tym, co z niego wynikło

Spoliczkowany przy okazji efektownego zamknięcia Kurhausu Grabski nieledwie się oblizał. Tyle widzieli, Łucja i Krzysztof, z wysokości swej łodzi. I że stanął jak wryty, ani drgnął, czerwony na twarzy, mrugając oczyma, podczas gdy roztańczony Antoni odchodził otoczony równie zaskoczonymi i domagającymi się wyjaśnień kolegami.

Już po dwu dniach wiadomość o zdarzeniu dotarła do matki chłopaka. I poraziła ją, oszołomiła. Pierwszy raz w życiu poczuła się staro. Ochłonawszy nieco, wysondowała męża – lecz ten na razie o zajściu zdawał się nie wiedzieć. Wtedy, przybrawszy surową minę, wezwała syna.

Antoni wyglądał na zdenerwowanego. Splatał palce, wyginał je, spoglądał w okno – podczas gdy matka, długim milczeniem, chciała tym bardziej zbić go z tropu. I rzeczywiście, nie wytrzymał:

– A więc wiesz! Cóż, nie wymagasz, mam nadzieję, tłumaczeń. Com uczynił, tom uczynił... Spoliczkowałem pana Grabskiego, mając poważne podejrzenia, iż nie jest wierny swojej żonie!

Miklaszewska z trudem przełknęła ślinę. Dotąd miała nadzieję, iż chodziło jedynie o głupi, zupełnie głupi, przypadkowy wybryk. Nie dopuszczała wręcz myśli, by mogło być inaczej. Choć nie – niestety dopuszczała... Tym większą mając nadzieję, że syn przedstawi inne wyjaśnienie.

– O czym mówisz? – z trudem dobywała głosu.

Chłopak nie odpowiadał.

– Nie możesz rzucać oskarżeń... wbrew... – zastanowiła się – gdy nie masz...

– Ależ mam – zdenerwował się młodzieniec.

– Mam kochankę – słowa te wymówił mocno, z dumą – w blokach ubezpieczeń.

– Antoni! – krzyknęła.

– Tak jest – kontynuował. – W związku z czym odniosłem wrażenie, iż pana Grabskiego w dniach, gdy ciocia Lusja bywa nieobecna, odwiedzają kobiety.

Ruszyła ku niemu, lecz zatrzymała się w pół kroku.

– Ależ Antoni, to niczego nie znaczy, niczego!

Czy uwierzył? W każdym razie zmieszał się.

– Nie możesz wyciągać pochopnych wniosków i posądzać niewinnych ludzi!

Teraz to on się zdziwił się, iż mówiła o l u d z i a c h! O jakich, do cholery, ludziach?!

A po pierwsze – poniosło go. Pijany był, w euforii – po całonocnej i nawet na studenckie standardy wyczerpującej hulance. Po drugie... nie miał nic prócz

podejrzeń; i prócz strachu – że oto rozprysnie się, niczym lustro, na tysiąc kawałków sielski obraz rodzinnego szczęścia.

– Czy powinienem... – spojrzął matce w oczy, nagle strapiony wątpliwościami – czy powinienem pana Grabskiego przeprosić?

Odwróciła się w stronę okna.

– Och, nie jestem tego pewna.

Po chwili dodała:

– Proszę, nie rób nic w tej sprawie. Gdy plotki dotrą do ojca, wymyśl coś... I obiecaj nie rzucać bezpodstawnych podejrzeń... Na kogokolwiek, obiecujesz?

Chwilę trwało, nim skinął głową.

Lecz obietnicę prędko złamał: by ledwie kilka dni później zapukać do biura Grabskiego w budynku Komisariatu Rządu.

Na jego widok urzędnik zmieszał się, a jednak poprosił gościa, by usiadł, samemu starannie domykając drzwi.

– Czym mogę służyć? – zapytał, usiadłszy na swoim miejscu. Od razu łapiąc się na tym, iż słowa te musiały zabrzmieć groteskowo. Antoni z miejsca przeszedł do rzeczy:

– Albo jestem winien panu przeprosiny za swój karygodny uczynek, albo też chcę zdobyć potwierdzenie, iż rozumie pan, do czego w rzeczy samej doszło, co mną dyktowało...

– Absolutnie! – zaryzykował Grabski.

– Nie rozumie pan? – uniósł się młody człowiek. – A jednak przyjął pan całe zdarzenie bez najmniejszego oporu, bez reakcji, ani w tamtej chwili, ani później, aż do dziś! Rzecz w honorze mojej matki, rzecz w trwałości rodziny, rzecz w tym – uśmiechnął się złośliwie – iż ojciec mój dysponuje bronią i w tego typu sytuacji nie zawaha się jej użyć!

Grabski poczuł, jak poci się.

– Proszę nie krzyczeć, panie Antoni!

– Nie krzyczeć?! A więc nie wyrzuca mnie pan za drzwi, nie kwituje mych podejrzeń zapewnieniem o swej, a nade wszystko mojej matki niewinności, prosząc mnie tylko, bym nie krzyczał?

– W rzeczy samej – Grabski ochłonął i zmienił ton na lodowaty.

– W rzeczy samej nie rozumiem, co cię, chłopcze, do mnie sprowadza. Histryzujesz, konfabulujesz...

– Chciałbym – przerwał mu z kolei Miklaszewski – chciałbym, aby pani Eugenia Puszczuk znalazła pracę w Wydziale Propagandy.

Grabski skrzywił się, zdziwił i w przeblysku paniki pomyślał, iż w ogóle nie powinien rozpoczynać z młokosem tego typu negocjacji.

– Któż to taki?

– Przyjaciółka ma, pracująca obecnie w Betoniarni Miejskiej.



- Znakomita posada – skwitował Grabski.
- Jak kto lubi, proszę pana...
- Co potrafi... owa pani?
- Jest maszynistką.
- I upierasz się, by pracowała u mnie, w turystyce?

Miklaszewski potwierdził, kiwając głową powoli. A przecież wcale się nie upierał – przychodząc tu, chciał przede wszystkim dać się wyrzucić za drzwi. O, bardzo tego chciał!

- Kiedy powinna się stawić?
- Spokojnie, nie tak prędko... – zastanowił się Grabski. – To będzie wymagało podjęcia pewnych zabiegów...
- Rozumiem – rzucił drwiąco chłopak.
- Zresztą: niczego nie obiecuję.
- Nalegam.
- Zatem niech przyjdzie, powiedzmy za tydzień... Postaram się wiedzieć coś więcej.

Antoniemu tymczasem wiedzy wystarczyło. Gieni do Grabskiego nie posłał, za to matce oznajmił stanowczo, że pragnie się żenić. Więc znów wybuchła awantura: – Kim jest ta dziewczyna, Antoni? – rozdzierała szaty Miklaszewska. – Starsza od ciebie, niewykształcona, nie znamy jej rodziców, przybłęda! Stefan, ja ciebie proszę, powiedz coś, zrób! Z czego będziecie żyli? – kontynuowała, gdy porucznik bezskutecznie szukał słów. – Ty się uczysz, Antoni, błagam cię!

Bawiło go to. – Ależ mam, ja kocham, na zabój, na całe życie, musisz mnie zrozumieć, kto jak nie ty?! – perswadował błazeńsko, spoglądając jednocześnie na zdeorientowanego ojca, szukając w nim wsparcia i znajdując je – aż matka wybuchła szlochem i wybiegła z salonu, trzaskając drzwiami na piętrze.

- A jednak zastanów się – prosił porucznik.
- Och, na pewno. – Zdziwiła go z kolei niespodziewanie dwuznaczna odpowiedź syna. – Na pewno się zastanowię, po stokroć... Kochankę mieć, czyż to nie wystarczy? Byle się w oczy nie rzucać, żyć nie umierać!

Na szczęście Eugenia znudziła mu się. I dopiero później, na boku rozmyślał o tym, czy i gdzie studiować – na gdańskiej politechnice, mianowicie, tudzież w Poznaniu lub w Warszawie – z pewną dyrektorówną, słodką Łodzią, posunęli się za daleko. Czy to była już ta wymarzona, ta jedyna? No, w każdym razie piękna była i gibka, a papa jej, jako się rzekło, dyrektorował, o mezaliansie nie mogło już być mowy. Matka ledwie wspomniała o z a b i e g u, Antoni się wściekł, tym razem żenić chciał się na pewno (– Do ideału mego, wbrew wszystkiemu, należy szczęśliwa rodzina – wrzeszczał histerycznie. – I nikomu nie pozwolę go zbrukać!).

Uroczystość odbyła się skromna, a niedługo po niej młody Miklaszewski ponownie odwiedził Grabskiego. Ten z początku struchlał, potem przewracał

zniecierpliwiony oczyma, lecz wreszcie nie trzeba go było straszyć, szantażować – wystarczyło błagać – i w ten sposób chłopak (jedyne żywiciel rodziny) otrzymał posiadłość. Co nader było cenne – w urzędniczym kraju.

Od tamtej pory widywali się codziennie, by do wiadomego tematu nigdy nie wracać. Choć czasem, jak i dziś, zdarzało się Grabskiemu podejrzewać Antoniego o bezczelność.

Złapała go, Grabskiego, mianowicie czkawka.

– Panie kierowniku, ktoś o panu myśli, ktoś mówi – zażartował Miklaszewski. – Oby wystarczyła szklanka chłodnej wody, hi-hi, hi-hi!

I co o takich słowach myśleć?

– Proszę przyspieszyć pracę nad raportem! – zarządził.

Sam czas jakiś nie potrafi się skupić.

Zaś trwały właśnie spontaniczne akcje pikietowania sklepów żydowskich i co rusz któryś z ich właścicieli nie wytrzymał napięcia i przy aplauzie prawicowej propagandy zamykał przedsięwzięcie. Jaki to mogło mieć skutek dla wizerunku, dla turystyki Gdyni? – nad tym wydział dostał zadanie się zastanowić.

Spojrzał na jedną z ulotek, wręczanych na dworcu przyjezdnym: „Uwaga na Żydówki sprzedające za drogi pieniąż pornograficzne fotosy sprowadzane z Niemiec. Jest to propaganda masturbacji wycieńczającej siły nas, Lechitów. Podczas gdy młode żydłaki rzucają się w sporty i w kulturę mięśni, młode Lechity mają oddawać się samogwałtowi i wycieńczającej rozpuście!”.

Westchnął. Inny tekst głosił: „Co tylko nam się rzuca w oczy, to wszystko żydowskie, albo w żydowskiej dyspozycji. Olejarnia – wyłącznie żydowski kapitał. Stocznia gdyńska – główny dyrektor pochodzi z lwowskich Żydów, chociaż, jak powiadają, ochrzczony. Owoce południowe – wyłącznie żydowskie. Towary kolonialne – sami Żydzi i to przeważnie najgorszego typu międzynarodowego...”.

Westchnął ponownie.

Gdzieś ginęła, czuł to, beztroska dawnych lat. Teraz polityka, wszędzie polityka. A on w niej – choć przecież tylko w referacie propagandy...

Zerknął na Miklaszewskiego – dłużycego ołówkiem w uchu. – A to ci rzeźbiarz, niedorobiony!

Inna sprawa, że z Ewą od tamtej pory nic. Aż żał było patrzeć, jak kobiecina schnie!

## ROZDZIAŁ 56

### Wyznanie

Krakowa nie sposób było ominąć.

„Miasto mej klęski” – myślał o nim Krzysztof.

– Miasto Stasia – życzliwie uspokajała Łucja.

Z dworca wzięło ich hotelowe auto. Przy ulicy Lubicz Łucja, dumna jak każdy z podróżników, który na obcej ziemi odkrywa ambasady tej, z której przybywa, trąciła Krzysztofa łokciem. Spojrzał: ach tak, biuro Gdynia-America-Lines.

– Teatr Słowackiego, Brama Floriańska, gmach akademii, w głębi koleje, Barbakan – wskazywał tymczasem szofer. – Mąż mieszkał w Krakowie – ostudziła jego zapał.

Stanęli we Francuskim, w narożnym numerze trzeciego piętra, z widokiem na Planty i kościół Pijarów, a z drugiej strony na ledwie zarysowane w dali ulicy Świętego Jana Sukiennice.

– Pięknie! – ucieszyła się.

– Poczekaj – zaśmiał się w odpowiedzi – poczekaj, aż zaczniesz dostrzegać ruiny i rudery! Zabiorę się na Kazimierz!

Lecz przyznać musiał, że i jemu spodobały się dynamiczne rytmy wielopiętrowych czynszówek Feniksa na rogu Basztowej i Kleparza oraz Komunalnej Kasy Oszczędności Powiatu Krakowskiego przy placu Szczepańskim. Wzięli też kurs alejami, lata temu biegł nimi jedynie nasyp kolejowych torów, a dziś, proszę, wciąż poszerzana arteria obrastała kamienicami (zwłaszcza przy placu Inwalidów) czy całymi dzielnicami (jak ta skryta za parkiem Krakowskim czy inna – przy Oleandrach). Krzysztof przyglądał się im z ciekawością.

– Żałujesz? – zapytała.

– Skąd! – obruszył się.

Ale nie zwiedzać zmieniający się Kraków przyjechał. Stare kąty, owszem, odwiedził. Lecz głównie dlatego, że musiał, bo wyrażoną telefonicznie prośbę o wizytę Stasia w hotelu profesorstwo przyjęło niechętnie, prędko szukając innego rozwiązania.

– Ty przyjdź.

– Jestem tu z żoną, rodziną.

Milczenie.

– Przyjdź sam.

Ich zachowania, zawsze pełnego niedomówień, przemilczeń, cichych, pokątnych strategii i intryg nigdy nie potrafił – i nie chciał – zrozumieć. A jednak poszedł, innego wyjścia nie było.

– Proszę poczekać – usłyszał od służącej.

Nie posłuchał, ruszając jej śladem w mroczną głębię korytarza.

– Ach, to ty? – zdziwił się profesor. Jakby zupełnie się Krzysztofa nie spodziewał. – A ja właśnie wychodzę – na zebranie komitetu.

(„Droga wolna” – pomyślał Wilczyński).

– Marian, jakże to? Chcesz zostawić mnie samą?

– Niech się pani profesorowa nie lęka. Nie zabawię długo. Gdzie Staś? Stanisław?

– O Joannę nie zapytasz?

Posłuchał:

– Jak się czuje?

– Wyśmienicie!

Obrócił się na dźwięki uwielbianego niegdyś głosu – oto i ona.

– Doskonale – dodała. Błada, lecz uśmiechnięta, w długiej, czarnej koronkowej sukni, z włosami spiętymi w wysoki kok.

„Doprawdy – pomyślał – popowstaniowa wdowa”.

– Nosisz żałobę?

– Po naszej miłości, Krzysztof, po naszej nieszczęśliwej miłości. Powiedz, czemu nie przychodzisz z żoną?

Ha, dopiero teraz ucieszył się, iż nie doszło do spotkania rodzinnego – z udziałem Łucji, chłopców, profesorstwa i Joanny. A jednak zaproponował:

– Pozwól zaprosić się na kolację. Do Hotelu Francuskiego.

– Och, nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

– Dlaczego? – niemal warknął, spodziewając się afrontu. Tymczasem przyszło mu Joannę docenić.

– Wszyscy czulibyśmy się niezręcznie – powiedziała łagodnie. – A mam mimo wszystko nadzieję, że jesteś szczęśliwy. Tak jak ja jestem. Znakomicie wyglądasz.

– Miałaś kłopoty... – zawahał się.

– Morfina, peyotl? Nie wierz we wszystko, co mówi moja matka... (– Ależ Joanno!). Zdarzyło się raz czy drugi, wynikły z tego chwile pewnej słabości. Próbowali mnie wręcz odesłać do Kobierzyna (– Ależ Joanno, doprawdy!), rozumiesz, do owych ogrodów pełnych szaleńców... Lecz miłość, o czym być może przekonałeś się... Taką mam nadzieję... Miłość, prawdziwa, zaznaczam, miłość ma wielką moc. I nie kłamię ci, co tak mówią. Ma moc przenoszenia gór, kruszenia skał, cóż wspominać o przezwyciężaniu ludzkich słabości. Kocham, Krzysztof, ja prawdziwie kocham! Twojego syna. I dlatego nigdy, zapamiętaj sobie, przenigdy nie pozwolę, abyś mi go odebrał!

Zdziwił się, bo krzyczała, kończąc swą przemowę. Wpatrując się w jej pełne ekspresji rysy, starał się odnaleźć przyczyny, dla których niegdyś ją pokochał.

– Chciałbym, lecz nawet nie próbuję – odpowiedział po chwili

zastanowienia.

– Nie próbuj, powtarzam.

– Mam jednakowoż nadzieję – przystąpił do pertraktacji – że pozwolisz nam spędzić wspólne popołudnie? A może i kolejne...?

– Pozwolę – zgodziła się. Nader wyniośle. Ale przełknął to. Usiadł, nieproszony, lecz zaraz zerwał się, bo oto pojawił się i Staś. Z drwiącą nieco miną.

Poszli do Europejskiej. Krzysztof wypytywał: o szkołę, o panny. Stanisław odpowiadał niechętnie, jakby obrażony. Nie znosił łaciny i greki, lubił – co Krzysztof musiał z niego wycisnąć – powieść *Ferdydurke*, poleconą w „Skamandrze” przez genialnego Schulza (Krzysztofowi nazwiska te niczego nie mówiły, lecz postanowił wstąpić do księgarni jeszcze tego samego dnia, by przeczytać rzecz przez noc).

Po wyjściu z kawiarni zaproponował pójście Plantami. Milczeli, więc opowiadać zaczął o zamieszkach, których świadkiem był przed laty.

– Potem wyjechałeś? – przerwał mu Stanisław.

– Wyjechałem.

– Matki już nie kochałeś?

Krzysztof zawahał się.

– Kochałem. Jeszcze, gdy wyjeżdżałem, to kochałem, choć starałem się przestać.

– Zostawiłeś mnie.

Milczał, nie wiedział, co powiedzieć. I tylko śnieg chrzęścił pod nogami, a w koronach drzew skrzeczały nieprzyjemnie szpaki.

– Byłbyś szczęśliwszy, dorastając w domu, w którym my, już na zawsze, szczerze byśmy się nienawidzili?

– Byłbym szczęśliwy, mając ciebie.

Gdzieś wybrzmiała sygnaturka. U kapucynów, a może franciszkanów. Prócz tego śnieg, tylko śnieg, jego skrzypienie. Wilczyńskiemu zaschło w gardle.

– Polubiłem Łucję, opowiedz mi o niej. I o moich braciach! Oraz o Witoldzie. Opowiesz?

Opowiadał. Z największą przyjemnością. O tym, jak bawiły ich sanny, jak męczyły podróże.

– Koniecznie ich pozdrów! – usłyszał wreszcie, gdy już stali na blankach wawelskich murów, wpatrując się w mroczną Wisłę i chaotyczne zabudowania Dębników.

– Lecz przecież odwiedzisz nas w hotelu? – nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej. – Zabronili ci?

Staś roześmiał się.

– Nieraz zabraniają tego czy owego. Ale o to nie musisz się martwić.

– Buntujesz się? – skwapliwie podchwycił Krzysztof.

– Jak ty? – w oczach chłopca znów błysnęło szyderstwo. – Ucieszyłbyś się, prawda?

– Teraz wybac, muszę iść. Choć ani słowa nie powiedziałeś o Witoldzie. A ja, wyobraź sobie, protestowałem na rynku w obronie polskości Gdańska. Całkiem się udała manifestacyjka. Zatem do jutra, wtedy o Witoldzie opowiesz. Przyjdę na obiad, bo we Francuskim podają znakomite mule. Czy może towarzyszyć mi kolega? Inaczej ciężko by mu było znaleźć okazję, by tak wybornie się nażreć...

Krzysztof zgodził się chcąc nie chcąc.

– A teraz: dokąd idziesz? – zapytał pokornie. – Może mógłbym cię odprowadzić?

– Niech się papa o mnie nie martwi! – aż nadspodziewanie mocno zadrwił Stanisław. – Radziłem sobie i radzę... – jego wzrok był zimny, usta wydęte.

– Marzniesz! Czapki nie nosisz? – wykrzyknął Krzysztof, gdy syn już odchodził. Lecz tamten ani się obejrzał.

Iść? Iść za nim? Lecz jakże to? Jak by to wyglądało?

„Przegrałem – pomyślał naraz z wielką trwogą. – On oddała się, odchodzi... Przegrałem!”

– A jednak o chłopcach mówił: bracia! I mimo wszystko spotkamy się jutro!

Schodził ku Plantom zrazu szybko, lecz wkrótce zwolnił, zatopiony w myślach.

Tak wiele udało mu się osiągnąć: miał zdrowych synów, czułą, piękną, wrażliwą Łucję. Miał też pieniądze, całkiem sporo pieniędzy – a ich wagę poczuł zwłaszcza w trakcie ostatnich tygodni, gdy co rusz wystawiał czeki, pozbywał się banknotów i z samych tylko drobniaków na napiwki zebrało się z kilkaset złotych.

Jednak mierzyły go owe pieniądze. Wtedy choćby, gdy czytał o gdyńskich przedsięwzięciach: „Niech skończy się wreszcie atmosfera hodowania pasożytów. Drożdże były potrzebne, nadmiar jest szkodliwy! A wszystko kosztem szans i kosztem warunków potrzebujących”.

Szło o koneksje i układy, o to, że każdy chyba, kto w Gdyni dorobił się fortuny, musiał mieć swojego Małeckiego (a najlepiej kilku). I poić go, karmić, zatrudniać w radzie nadzorczej, Polska, mówiono, była krajem pułkowników i urzędników. W Gdyni przede wszystkim tych drugich, to oni pomagali w grze o monopolizm, to oni pozwalali wykorzystywać protekcjonizm, to oni informowali o możliwościach pasożytnictwa, to oni ułatwiali spekulacje. Co kupić, by potem odsprzedać to państwu (na przykład magazyny), w co się angażować, wiedząc, że wkrótce będzie to działalność chroniona – bez tej wiedzy nie sposób było żyć, być, trwać.

On sam, Krzysztof Wilczyński, nie mógł się oczywiście równać z tymi, których działalność w głównej mierze piętnowano w podobnego typu artykułach.

Niewiele znaczył i niewielki w sumie obrabiał splachetek. Cóż miał w porównaniu z majątkami tych wszystkich synków bogatych tatusiów? Po prostu wykorzystał pojawiające się okazje, ryzykował.

Ale mierzyły go pieniądze również wtedy, gdy myślał o sobie samym z przeszłości: walczącym o wielkie idee w Bukowinie, zbierającym rannych z krakowskiej ulicy.

Wszystko dla żony i synów, jasna rzecz! – przysiadł przygnębiony na ławce pod murem seminarium.

A państwo? Czyż nie zawiódł się na nim po wielokroć, czyż nie miał ochoty lać w mordy tych wszystkich chamów, nierobów, politykierów? Mniejsza z abstrakcyjnym państwem... Co z rzeczą wspólną? Tym zatem, co ani moje, ani twoje i fizycznie nawet nie nasze (bo nie można tego sprzedać i podzielić uzyskanej kwoty) – lecz nasze na sposób metafizyczny, na mocy współtworzonej wraz z przeszłymi i przyszłymi pokoleniami wspólnoty?

Wszystko dla synów i żony! – poderwał się i ruszył ku nim, rozdrażniony własnymi myślami.

„Potem zaś ciągną się za człowiekiem: taki Małecki, szuja nienażarta, Król – złodziej i morderca, Witold (Co żem mu uczynił? Czego ode mnie wymaga?) i wielu innych. Przekupionych, przestraszonych...”

Zaś wszystko dla niej – dla rodziny!

„Zgniłe fundamenty, Łucjo, budowałem na zgniłych fundamentach” – postanowił wyznać wszystko. I śmiał się od razu z owej myśli, aż schylił się ku zaspie po zmrożony śnieg i przemywał nim twarz, budząc zdziwienie nielicznych przechodniów. „Jeszcze by tego brakowało, abym się skarżył, wyznawał wydumane winy!”

„A byłoby co wyznawać... Gdyby starczyło odwagi...” Wojna to pies! Nikogo na niej nie zabił („Pan Bóg kule nosił! Ha! Ha! Strzelajcie, żołnierze do woli, w imię Pana, niech ma rozrywkę, okrutny starzec!”).

Lecz tamtej nocy: w kwietniu dwudziestego siódmego... Zostawiwszy w Krakowie Stasia i Joannę, zapomnienia szukał w Gdyni. Z początku ładował węgiel na statki, ślizgając się na stromych pochylniach, potem budował – choćby Urząd Celny. Miał szczęście oraz silne ręce, najpierw zdarte do krwi, potem twarde, zrogowaciałe. I miał też mnóstwo dumy – by unikać niegodziwości. Nie kraść, choć okazji nie brakowało. W budach Pekinu poznał Konstantego.

– I pomyśleć, że chciałem być księdzem – brzmiały pierwsze skierowane do Krzysztofa słowa tamtego, gdy więźci za bary, w łańcuchu innych samotników, wykonywali dziki taniec o nieznanym, być może indiańskim rodowodzie. – A wczoraj urodził mi się syn, drugi syn! Zasadniczo nienawidzę Sowietów – wykrzykiwał – ale to dzięki nim nie zostałem klechą!

Gadali do świtu – siedząc na plaży.

A w kwietniu... To było tak: szli do Orłowa pytać o pracę. Świtało i lało. U wylotu leśnego duktu wiodącego na Witomino natknęli się na wywrócony wóz. Obeszli go ostrożnie – trącając nogami porozrzucane owoce i puszki – by wreszcie dostrzec ciało. I cienką strużkę krwi, wypływającą z czoła. Kotkowski wbrew wszelkiej nadziei przyklęknął i nachylił się ku ustom zastrzelonego. Krzysztof cofnął dwa kroki i już prawie schylił po rewolwer, który dostrzegł na boku...

– Stój, stój, bo strzelam! – usłyszeli nagle. – Stój, widzę cię!

Instynktownie rzucił się w bok, na ziemię, w miękką breję.

– A, mam cię, rozbójniku!

– To nie ja, panie posterunkowy. Jak Boga kocham, to nie ja! – krzyczał Kot.

– Nie ruszaj się, milcz!

„Mnie nie widzi – zrozumiał Wilczyński. – Nie zauważył mnie, zasłoniętego budą wozu”.

– Zatrzymałem się, idąc do Orłowa – powoli, rozumiejąc powagę sytuacji, próbował tłumaczyć Kotkowski.

– Maryś – tamten nie słuchał. – Bywaj! – darł się.

Ktoś biegł, mlaskały kałuże.

– Jakby na nas czekał, skurwysyn.

– Zastrzeliłbym takiego... przy próbie ucieczki. Co się będziemy cackać?!

– Spokojnie, Maryś, zaobrączkujemy... Pójdźże, idźże...

– Dlaczego, Zygmunt, ja?

– No to ja pójdę, nie spuszczaaj go ino z oka...

Krzysztof leżał, przyczajony. Serce waliło mu.

„Co robić?”

Nagle:

– Stój!

I Kot gnający w stronę drzew. I strzał!

Chybiony.

Kot potknął się, upadł i zerwał na powrót.

Tamci ruszyli za nim.

Aż wreszcie jeden stanął i zdecydował się przymierzyć z mannlichera. Miał Kota jak na dłoni.

– Hej! – wrzasnął Krzysztof. Obrócili się. I natychmiast odruchowo w jego stronę skierowali lufy.

Rzucił się tygrysim skokiem w bok, sięgnął rewolweru (jednak gdy już opadał w swym ryzykownym susie, na powrót poderwało go w górę i poczuł ogień w biodrze). Błagał, by rewolwer okazał się naładowany – inaczej śmierć, bo tamci, choć rozdygotanymi rękoma, to repetowali karabiny. Nie myślał – nie miał czasu – wypalił! I drugi raz – równolegle ze strzałem jednego z policjantów. Tamten nie trafił. Krzysztof nie spudłował.



Opadł twarzą w maź.

– Jezu!

Już nadbiegał Kot.

– Trafiłeś, trafiłeś dwa razy!

– Oni mnie...

– Uratowałeś mi życie, Krzysztof.

Wilczyński stęknął.

– Możesz iść?

– Muszę...

Kostek obrócił ciała tamtych.

– Masz oko, bracie!

Deszcz padał i rozmazywał ślady, szum zagłuszył strzelaninę.

Mimo to już dwa dni później zamustrowali się w Gdańsku.

– Uratowałeś mi życie – powtarzał odtąd Konstanty. Do Gdyni wrócili po dwóch latach.

I zdarzało się, że słyszał owe strzały – jak dziś, gdy dodatkowo zlewały się z innymi, tu, w tym miejscu, gdy biegł wzdłuż Dunajewskiego.

– Zabiłem, Łucjo – tak powiem...

– Rozumiem, na wojnie – powie z kolei ona.

– Ależ nie, nie na wojnie! Ja po prostu zastrzeliłem...

Niczym w amoku minął tytanów wiszących na fasadzie kamienicy, przeciął wylot Sławkowskiej, zaraz wbiegając w hol. I już miał wspiąć się schodami w górę, gdy kątem oka dostrzegł Łucję – przy restauracyjnym stoliku.

– Jakaś ty blada! – zawołał, przeraził się.

– Właśnie prosiłam o herbatę.

– Stało się coś?

– Ach... nie wiem... Za to ty... rozpalony. Czy dobrze się czujesz?

Usiadł, nabrał powietrza w płuca.

– Myślę, że mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia – zabrzmiało to uroczyście. Wyprostował się, wyciągnął rękę. Lecz nie sięgnął jej palców.

– Myślę, że jestem w ciąży – dokończyła, znajdując jego dłoń.

LISTOPAD

1938

## ROZDZIAŁ 57

### Z dystansu

„Zaiste, bezczelność niezwykła” – pomyślał, z ulgą zamykając drzwi gabinetu. Oto dostał był ofertę kupienia tytułu hrabiowskiego. Tak jest, kupienia!

Zaczęło się od tego, iż do biura wtargnął pewien osobnik i pod pozorem rozmowy o turystyce, przedstawiając się jako przedstawiciel towarzystwa wioślarskiego z Pińska, zniecka zaproponował gospodarzowi nabycie najprawdziwszych w świecie całym – co wyraźnie zazaczył – brylantów. Grabski, owszem, domniemanym brylantom przyjrzał się, lecz prędko też wrzasnął:

– Won!

A wtedy tamten obejrzał się przez ramię, czujnie, jak na targu bydłecym gdzieś pod Drohiczyńnem, i zaproponował, szeptem, poufale, ni mniej, ni więcej tylko tytuł – tanio i sprawdzony.

Grabski wyrzucił go bez zbędnych ceregieli, dziwiąc się sam sobie, że nie wzywa policji, a jeszcze bardziej temu, iż tego rodzaju śmiałkowie nie lękają się pukać, ba, wręcz wkraczają do urzędu jak po swoje. Przechodziło to ludzkie pojęcie.

Urząd lubił. Te długie, przeciągające się godziny przeglądania papierów, snucia planów. Minęły już co prawda lata, w których przybywający do miasta włościanie (jak myślał o nich, z przekąsem, dziś) rozdziawiali szeroko gęby, wszystkiemu się dziwili, wszystkim zachwycali. Gdynia świata spowszedniała, owszem, mimo to Wydział Turystyki wciąż wydawał się niezbędny (inna rzecz, że swoją niezbędność nauczył się wykazywać – w tonach papierowych raportów – by nikomu na myśl nie przyszła idea jego likwidacji).

Lusia, co Adamowi zupełnie nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, lubiła z kolei kawiarnie. Czy to w południe, czy – w drugiej turze – pod wieczór, przesiadywać u Fangrata, w Europie albo w Cafe Bałtyk było naprawdę miło, milusio, trwała w nich nieustanna rewia mody i nigdy niezamierająca giełda ploteczek. Pani inżynierowo to, pani kapitanowo tamto, oto żona mecenas, a to przyjaciółka prezesa, pyszniusi ten mus cytrynowy, kawa, kawusia, wyśmienita, a w Casinie, powiem pani, już nie to, oj, nie to, kawa, kawusia, ślicznie pani wygląda, pani Grabska, a jak miewa się mąż, kiedyż to go ponownie ujrzymy?

– Praca... – przepraszał. – Ależ mnie, wyobraź sobie, serce moje, ciśnie pan komisarz! – żalił się, a wszystko po to, by z biura możliwie najdłużej nie wychodzić.

Zastanawiać się, swoją drogą, naprawdę było nad czym. Miasto, owszem, rozbudowywało się, chciało się wierzyć, że i kraj cały, lecz w porównaniu z rozpędzoną gospodarką Niemiec zdarzało się myśleć, iż ten ogromny w istocie wysiłek nie przynosi żadnych niemal skutków. Ich przemysł: autostrady,

samochody, benzyna i tworzywa syntetyczne, wydobywanie rud, produkcja aluminium i stali – to robiło wrażenie. A przede wszystkim zbrojenia.

Zaczęło się od remilitaryzacji Nadrenii, stare dzieje, potem Anschluss – zajęcie Austrii, wreszcie wzięcie Sudetów. „Prastary i polski jest Śląsk Zaolziański” – przypomniały gazety, gdy upadał upokorzony przez Hitlera i Zachód rząd w Pradze. „Czy odbierzemy Śląsk Zaolziański?” – jeszcze nie nawoływały, a jedynie pytały kilka dni później. „Czechosłowacja skłonna do ustępstw!” – cieszyły się wreszcie. „Nie jutro, lecz dziś!” – żądały na koniec – „Bo Polska nie zadowolili się żadnymi półśrodkami!”

„Wyszło na to – myślał w ledwie kilka tygodni po owych hałasach – że gdy tamci, Rzesza, maszerowali w stronę Pragi w zwartych kolumnach i podkutych butach, myśmy stanęli z boku i groźnie tupali bosą stopą... Zaolzie, jednakowoż, ostatecznie biorąc...”

Jakże jednak teraz hamować ekspansję nienależnego sąsiada, gdy ramię w ramię z nią rozdrapało się słabszego? Zwłaszcza że kierunku, w którym miałyby owa ekspansja nastąpić, nietrudno było się domyślić. Już w miesiąc po zaolziańskim tryumfie Ribbentrop po raz kolejny w ostatnim dwudziestolecu zaproponował włączenie Gdańska do Niemiec, budowę korytarza łączącego miasto z Rzeszą, a dodatkowo – znaj szwabski gest! – przedłużenie paktu o nieagresji o dalsze dwadzieścia pięć lat.

Zaś z drugiej strony Sowiety – westchnął, popijając wystygłą herbatę – gdzie huta za hutą, zakład za zakładem; i na cóż to, jeżeli nie na wojnę? A jeśli na wojnę, to z kim?”

Wieloma wstrząsnęła niedawno wiadomość o tym, że Stalin wymordował – skrytobójczo albo w wyniku sfingowanych procesów – czy też wciąż mordował – w odległych, północnych łagrach – starą gwardię polskich komunistów. Oto bowiem czym kończyło się uwiedzenie, ile kosztował ów flirt z dziką Azją; jedyna pociecha, że nie można było mieć co do Sowietów złudzeń. Prędzej z Hitlerem niżli ze Stalinem – twierdzili niektórzy; wersji odwrotnej serio nie brał niemal nikt.

Pięknie mówił minister Kwiatkowski, przemawiając w październiku w Katowicach: o tych dawnych trzech prawie wrogich sobie Polakach, obcych sobie gospodarczo, rozbitych i wykrwawionych, a które udało się stopić w jeden prężny organizm... Jeszcze piętnastu lat – twierdzili natchnieni optymizmem komentatorzy – jeszcze piętnastu lat pokoju i rozwoju brakuje nam, by stać się państwem silnym, zaspokajającym potrzeby każdego z mieszkańców, poważanym w świecie.

Tylko czy starczy czasu?

Miał szczęście, tak to dziś oceniał, poznawszy w Londynie pana Kirgby. Bo tamten rzeczywiście przyplął do Gdyni, w dodatku, co bardzo przypadło Grabskiemu do gustu, na pokładzie Kościuszki, i od razu zakochał się w polskiej

chlubie, wielce będąc przy tym ciekawym Gdańska. Pęczniejący z dumy Grabski z wielkim zaangażowaniem pełnił rolę przewodnika, a i Lusia dała się colonelowi oczarować. Tamten wracał po wielokroć. W interesach, jak mówił, a w pewnej chwili upraszając miłych gdynian o rewizytę – tak bardzo był im wdzięczny za okazywane serce.

O, zielone pola Wiltshire, jakże byłyście zachwycające! Ze swymi kamiennymi kręgami, opuszczonymi opactwami, wiktoriańskimi pałacami, ale też ze zwykłymi omszałymi, wiejskimi zagrodami. Polubili, ba, pokochali ów porządek pól, niecierpiącą na przerost ambicji architekturę, powściągliwość barw – dotyczącą zarówno przyrody, jak i dzieł rąk ludzkich; słowem: wieczny, czy nawet odwieczny – jak mogło się zdawać – spokój, harmonię i nienarzucające się piękno.

Wiele godzin spędzali w aucie, lecz warto było, mimo zmęczenia. Zwłaszcza mając świadomość, iż po powrocie z wycieczki zanurzyć się przyjdzie z naturalną swobodą w leniwy, nieśpieszny nurt codziennie tych samych rytuałów: z filiżanką herbaty w salonie czy cygarem i szklaneczką sherry w pachnącej Indiami bibliotece.

To właśnie w niej, gdy znaleźli się w cztery oczy, Kirgby poprosił Grabskiego, o ile to, rzecz jasna, możliwe... o ile nie sprawi wielkiego kłopotu... o pewnego rodzaju informacje, których sam zdobyć nie mógł.

– Rzecz na przykład w nastrojach społecznych – przypominał sobie wieczorem słowa gospodarza, wierząc się w wielkim i wygodnym dotąd łożu – o których informacje przekazywane na szczeblu rządowym niekoniecznie odzwierciedlają we właściwy sposób...

– Chodziłoby także o subtelne rozpoznanie tonu, w jakim wypowiadają się, zwłaszcza w rozmowach nieoficjalnych, prywatnych, oficerowie wojska, zawiadowcy floty handlowej, lokalni przedstawiciele państwa...

– Bylibyśmy również zainteresowani...

– Z dużą wdzięcznością przyjęlibyśmy...

– Kolejne zagadnienie to...

Angielskiego uczył się z zapalem od lat, lecz wciąż mnóstwo energii poświęcać musiał zrozumieniu tego, co słyszy na poziomie podstawowym – rozpoznawaniu, o czym w danej chwili mowa i czy jest się pytanym czy też tylko (co za ulga!) informowanym. I może właśnie dlatego sens prośby colonela dotarł do niego z opóźnieniem.

– Brzmiało to wszak niczym propozycja... Hm, współpracy? Myśmy... Byśmy... Kto proponował? Brytyjski wywiad?

Gospodarz do tematu nie wracał. Dopiero na odjeźdźnym, tuż przed wstąpieniem gości na pokład, powiedział:

– My, sojusznicy, musimy sobie ufać. Czy pan mnie rozumie, panie Grabski? Myślał później o tych słowach często. I o tym, że połknięcie Austrii,

Sudetów przyszło Rzeszy tak łatwo, niemal naturalnie, niczym wzięcie oddechu... I że w związku z tym bez wsparcia Polska nie może się obejść. Propaganda to jedno – jak ta w wykonaniu ministrów Becka czy Kwiatkowskiego: że jesteśmy w stanie stawić czoła stalowej germańskiej potędze – co innego zaś codzienna praca dla kraju: choćby w dziele przekonywania sojusznika, że za Gdynię – i jej świątłych mieszkańców – naprawdę warto umierać!

Ileż to się ostatnio słyszało o szpiegach: Szmidcie, Hirszfeldzie, o firmie Amada – tej od oleju i margaryny – której ciężarówka długo przekraczały granicę niemal bez kontroli, aż wreszcie okazało się, że przewożą broń; albo o przedstawicielu Opla, Kannenbergu, złapanym właśnie na szpiegostwie. Niemców interesowało wszystko: port, lotniska, umocnienia... Jak wiele wiedzieli? Czy aby nie czyniło to Gdyni bezbronną?

– Sojusznicy – konkludował. – W nich nadzieja. Umowy, owszem, zostały podpisane, zawarte pakt i ogłoszone porozumienia. Tym bardziej pożądana zdawała się współpraca.

Tymczasem pułkownik Kirgby ponownie zapowiedział swą wizytę na polskim wybrzeżu.

– Zawiadomić kontrwywiad? – I taka myśl przyszła Grabskiemu do głowy. Bo cóż to niby za interesy sprowadzały Anglika? Nigdy o nich nie mówił, nigdy nie przeżywał radości czy złości, które zwykle towarzyszą rozmowom, kontraktom, sukcesom lub porażkom.

– Chodzi o Polskę – spojrzał na rozwieszoną na ścianie dumnie rozległą mapę. – O polskie bezpieczeństwo i przyszłość.

– Oraz o spokój sumienia – dodawał – iż zrobiło się wszystko.

Dla kraju.

Ale i dla siebie...



*Gotenhafen, Markthalle*

*Hala targowa. Zdjęcie z 1941 roku.*

## ROZDZIAŁ 58

Niósł wilk razy kilka...

Gdy wiosną roku trzydziestego czwartego przypomniały mu się pewne nazwiska – jakby same, naprawdę same z siebie! – a więc Króla, a więc Wilczyńskiego – pochylił się nad nimi tylko przez chwilę. Aspirant Jan Kowalski – brzmiało już wtedy dumnie. Gdyż koniec końców awansował, rozwikławszy skomplikowaną sprawę zabójstwa pewnego przedsiębiorcy, poćwiartowanego przez zazdrosną kochankę – a z początku wszystkie tropy wskazywały na niepoczytalnego kuzyna ofiary.

Z marzeń o byciu Arsène’em Lupin, czy innym Szerlokiem, już i wtedy nie zostało wiele. Ot, zacumował w bezpiecznej zatoce – z żoną i dziećmi na karku – w otoczeniu morza drobnych czy większych złodziejasków, mniej czy bardziej krewkich bandziorów, oślizłych szantażystów i głupawych często naciągaczy. I było mu dobrze – zwłaszcza gdy rozprawiwszy się z szajką kominiarzy-akrobatów, okradających górne piętra najbardziej okazałych kamienic, znów poszedł w górę – dochrapawszy się tym razem dwóch gwiazdek na czapce podkomisarza.

Lecz pamięć miał dobrą, a tamci – i znów powiedzieć można, że sami z siebie – nie pozwalali o sobie zapomnieć. Jak wtedy, gdy mityczny już we wspomnieniach podkomisarza Wilczyński po raz kolejny upomniał się o domniemanego szantażystę Witolda Czekaja.

„A był taki chłopak – przypomniawszy sobie wtedy Kowalski dawne słowa portiera z Domu Zdrojowego: – Witek... Ale znikł.”

Dlatego, choć minęły lata, polecił przyjrzeć się owemu Czekajowi.

„Płotka, drobnica – zrozumiał wkrótce. – Lecz pracował dla Wilczyńskiego”. Sprawdził też losy Królika – zdemaskowanego, dawnego, *nomen omen*, Króla dostawców podkładów kolejowych, pozbawionego majątku oraz czci, ale i mającego niebawem wrócić do grona ludzi wolnych. – To sprawa Króla, nie warto... – usłyszał wszak przed laty. Tymczasem Król, okazało się, nim spadła mu z głowy korona, przez lata brylował w ledwie wyrastającej ponad błota Gdyni. I tu budował, i tu handlował, co mogło mieć dla śledztwa nie lada znaczenie.

Wreszcie – pod lupę wziął Wilczyńskiego: o, ta postać wciąż jawiła się nader ciekawie!

Nienawidził takich: łapiących wiele intratnych srok za ogon, niby szczęśliwców i pracusiów, ale wszak chronionych koncesjami, monopolami, towarzyską siecią zależności. Oto nażerali się w mieście pełnym biedy, nażerali do niestrawności, pilnie przy tym bacząc, by blokować rozwój innym. To dlatego mogli patrzeć na nich z góry – z wysokich pięter kamienic czy zza szyb błyszczących limuzyn.



Niestety: w sprawach skarbowych Wilczyńskiemu niczego nie można było zarzucić. Nawet gdy szmuglował spirytus do Ameryki, łamał tamtejsze, a nie polskie prawo.

A jednak: morderstwo w Kasino – Wilczyński – Dom Zdrojowy – Witold... To się łączyło jak dwa razy dwa!

Bo też i żona Wilczyńskiego – o czym donieśli Kowalskiemu należycie cierpliwi i dociekliwi podwładni – wyprawiła pogrzeb nieboszczce matce Królika!

Więc znów postanowił zanurzyć się w aktach – skrupulatnie, z szeroko zakrojonym spektrum zainteresowań (gdyż może powiedzą coś wpisany do ksiąg wieczystych, a może uchwały dawnych rad miasta, zadziwiająco przyjazne tej czy innej spółce?). Grunt, by złapać najmniejszy choćby ślad dawnej obecności Króla w mieście. Lecz co to – i mógł się tylko śmiać, przepełniony goryczą – akta poginęły! Owszem, na przestrzeni dynamicznie zmieniających się lat władze przeprowadzały się raz i drugi, ale że w wirze kolejnych przeprowadzek akurat Królowi przydarzyć się musiał pech wymazania z kart miejskiej historii? Ciężko było uwierzyć w przypadek; a z kolei weń nie wierząc – ciężko nie nabrać tym większych podejrzeń.

Zginął tymczasem i ów portier ze Zdrojowego, co to Wilczyńskiego niby nie pamiętał, wspominając za to chłopaka, Witka. I niby rzecz miała charakter kryminalny, rabunkowy – właściwie nie można było mieć w tej sprawie żadnych wątpliwości, ślady jednoznacznie wskazywały na syna sąsiada. Lecz kto ich tam wie, do czego są zdolni wielcy panowie prezesi?

A *propos* przeprowadzek: tę ostatnią – gdy komenda przeniosła się z budynku Komisariatu Rządu na ulicę Mościckich – docenił. Polubił zwłaszcza stawać w oknie drugiego piętra i przyglądać się z oddali, w prześwitach pomiędzy zwalistymi klockami portowych magazynów, leniwym ruchom dźwigów. Lub temu, co bliżej: wpierw pnącej się mozolnie w górę konstrukcji stalowych łuków, a potem tętniącej życiem i błyszczącej w słońcu hali targowej.

„Co ich związało, co wiąże Króla *vel* Królika i Wilczyńskiego? – zastanawiał się na mocy nawracającego natręctwa i dziś, w ponure listopadowe popołudnie. – Czy Królik po wyjściu z więzienia nie przyjedzie aby do Gdyni? Bo gdzieżby indziej? Tu ma dom, po matce. Tu jej grób...

Druga rzecz: Witold Czekał. Lata temu, zapytany przy okazji, zaprzeczył, iż był pikolakiem w Domu Zdrojowym – lecz może trzeba go było przycisnąć?”

Naraz krzyknęła mewa – tuż za szybą. Inne to opadały ku śmietnikom hali rybnej, to zrywały się chaotycznie w górę. Kowalski skrzywił się, cmoknął zniechęcony.

„Stare dzieje... Jakby mało było spraw aktualnych...”

Wrócił do biurka i do akt Bodegi. Swoje nowe kino, tuż przy plaży, pomiędzy Morskim Okiem a Riwierą, otworzył w wielkim pawilonie ów

Zieliński – dawny właściciel Czarodziejki. Lecz oto splanęło, nader widowiskowo. I nie dawało się wykluczyć działania celowego.

„Wiele tych podpaleń ostatnimi czasy – zamyślił się – rzecz w ubezpieczeniach – podejrzewał, sięgając po bułkę z salcesonem. Jak zawsze pachniała świeżym masłem; dbała o swego podkomisarza małżonka! – Wilczyński obiadał zapewne w Picadilly” – skrzywił się naraz z niesmakiem.

„Czekają przycisnąć, a Królika pilnować – postanowił. – Niósł wilk razy kilka, pora dobrać się do wilka!”

## ROZDZIAŁ 59

### Przyjaciele

– Zdrowie! – wzniesli w górę szczypiące palce, oszronione kieliszki. Upojny wieczór, czyż nie tak powinno się spędzać wigilię Dnia Niepodległości?!

Zaczęli w Bałtyku, przy Portowej, od zwykłych kotletów wieprzowych i kapusty. Potem trafili na Świętego Piotra – już tylko na wódkę; wreszcie, zgłodniawszy ponownie, do Picadilly.

Była to restauracja w podwórzu hotelu Skwierczów. Koszerna i wyborna. Oferująca między innymi śledzie w oliwie z kromką żytniego chleba, gęsie szyjki nadziewane cielęcina i jajkami czy też pekelflajsz – peklowany ponad tydzień, a potem gotowany i podawany z chrzanem mostek wołowy.

– Zdrowie! – zatem.

Dobrze im było – wspólnie pohulać. Jak za dawnych, pełnych przygód lat.

Inna rzecz, że i lato mieli za sobą gorące. Najpierw Kot pasjonował się mistrzostwami we Francji („Fascynujące widowisko, drużyna polska dzielnie stawiała czoła wirtuozom futbolu z Brazylii” – pisano o przegranym w stosunku pięć do sześciu spotkaniu), a dwa dni później jego mercedes ostrzelany został w trakcie rutynowej podróży z Majami do miasta. To było za Rekowem, tam gdzie droga wchodzi w gęsty las i prędko opada ku Redzie. Napastnicy śmiertelnie ugodzili kierowcę, trafili też Kota, lecz nie potrafili dokończyć dzieła. Przepłoszył ich, mozolnie pnąc się w górę, pełen ludzi kursowy autobus do Władysławowa.

– Amatorzy – podsumował później, ochłoniwszy, Kot.

Najpierw, gdy zawieziono go do wejherowskiego szpitala, koniecznie telefonować chciał do Wilczyńskiego. Ten, w lot rozumiejąc powagę chwili, rzucił w kąt czekające już tylko na podpis umowy z GAL i przybył niezwłocznie.

– Oto jest dzień... – stęknął Kotkowski na powitanie, z trudem unosząc się na wezglowiu. Krzysztof nie zrozumiał. – Oto jest dzień, który musiał kiedyś nastać – powtórzył Konstanty. – Młodym zaczęło brakować miejsca. Potrzebują się rozepchać, strącić z piedestału truchła starych, jak my!

Nie mylił się. Jeszcze nocą poprzedzającą zamach – o czym dowiedzieli się później – doszło do kilku pobić w nielegalnych pokojach gier oraz spłonęła jedna z przemytniczych dziupli.

Lecz i tego Kot spodziewał się, więc od razu, nie znając nawet faktów, długo, bo z trudem, wymieniał Krzysztofowi nazwiska, wskazywał miejsca i wytyczał plan działań.

Przede wszystkim trzeba go było – Kota – wyciągnąć ze szpitala i ulokować w bezpiecznym miejscu. To się udało – w jednym z niewielkich i wkrótce odpowiednio obstawionym domku na Witominie (– Panie Krzysztof, a długo to tak ma być?; – Nie będzie pani żałować, droga pani Gierszewska...).

– Teraz najważniejsze, Krzysztof, słuchaj uważnie: musimy wiedzieć, kto przeszedł na stronę zdrajców, a kto gotów jest zostać ze mną, z nami. Krzysztof, musisz być dyskretny i mądry, musisz potrafić rozpoznać od razu i bezbłędnie.

Wśród c h ł o p a k ó w panował chaos. Część dyszała zemstą – na wiadomość o zastrzelonym i innych, ciężko pobitych – i tych można było być pewnym, byle nie pozwolić, aby poniosły ich niekontrolowane emocje. Inni znikli, rozplłynęli się – i tu także sprawa była jasna. Ostatnia z kolei grupa wbiła ręce w kieszenie, w ustach międlila zapałki i czekała na rozwój sytuacji. Dlatego działać trzeba było szybko i uderzyć raz i drugi.

– Młodzi muszą być brutalni, jak świat światem tak było. Tylko kto to widział, by od razu strzelać? – niby wszystko wiedział, ale i dziwił się Kot, zdania, z dnia na dzień, wypowiadając coraz wolniej i bardziej manierycznie (co zauważał Krzysztof) – niczym ojciec, tudzież dziad, co to wszystko już przeżył i w odpowiedzi na swawole młodzieży nie potrafi ustrzec się mentorskiego tonu. – Jedyne wyjście to na gwałt odpowiedzieć jeszcze większym gwałtem...

– Na szczęście to my mamy więcej: pieniędzy, doświadczenia... Musimy ich zniszczyć, Krzysztof, wykrwawić.

Wilczyński, rzecz jasna, wzdragał się przed przystąpieniem do wojny – choćby *incognito*. Lecz w tych okolicznościach nie pomóc przyjacielowi nie mógł.

Więc popłynęły owe pieniądze: na informatorów i zabijaków. Pierwsi dowiedzieli się – i tego się Krzysztof w głębi duszy obawiał – że po knajpach, obwieszczając nowe porządki i anonsując nowych dostawców nielegalnie pożądanых butelek, przeszedł się Witold. Drudzy sprawili, że spłonął domek Pipki – owego piłkarskiego napastnika sprzed lat (bo to jemu nie starczyło cierpliwości, by stać wiernie u boku Kota) – a zaraz i pewne warsztaty samochodowe na Grabówku. Ach, jakże płakali niedawni jeszcze rewolucjoniści, gdy taka krzywda stała się ich ukochanym, wychuchanym fiatom i fordom.

Wtedy tamci spróbowali dostać się do Majami. Lecz i tu spotkała ich niespodzianka – w przydrożnych szuwarach tuż nad zatoką – dość powiedzieć, że na półwysep nie dotarli.

Pożary, ofiary, szum. Tak jest, zrobił się szum, nie mogło być inaczej. „Tajemnicze rozrachunki, krwawa dintojra” – ekscytowało się jakiś czas miasto. Krzysztof w tym czasie starał się nie wychodzić z biura i zawsze otaczać świadkami. Kot z kolei po wyjściu z ukrycia tłumaczyć się musiał namolnym policjantom:

– Tak, słyszeliście panowie dokładnie: napastników nie rozpoznałem, a w czym rzecz, nie mam pojęcia.

Na szczęście szynkarzom w smak był powrót do sytuacji sprzed wybuchu wojenki. Młodość w swej żarłoczności bywa nierozumna – nic dziwnego, że woleli współpracować z dobrze sobie znanym, przewidywalnym Kotem.

Poza wszystkim letnie wydarzenia przyniosły jeszcze jeden skutek: odnawiając dawną przyjaźń.

– Znakomity ten czulent – z zapalem chwalił zatem Kot.

– Nie mówiłem? Pękne, bracie, zaraz pękne!

– *A propos* kiedyś ty się pozbył tej wiecznie przykrótkiej kurteczki, kiedy kapelusza?

Krzysztof zaśmiał się.

– Masz słuszność. Wzięło mnie i wzruszyło: poczułem się starszym panem, postanowiłem zmienić *emploi*!

– Zatem zdrowie starszych panów! – zaproponował z emfazą Kotkowski.

– Na pohybel młodym! – dokończył Wilczyński.

O ile jednak Pipka poległ na polu niedoszej chwały, o tyle Witold wyparował. Szukali go wytrwale i ze świadomością – dotyczyło to zwłaszcza Krzysztofa – iż tym razem nie może im zdrzeć karzące ramię sprawiedliwości, lecz koniec końców nie znaleźli – ni w barakach Kacka, ni Chyloni, ani w lasach, ani na listach marynarzy ze statków, które ostatnimi czasy opuściły port. To jedno mogło dręczyć... Chyba że poszedł chłopak po rozum do głowy i pogodził się z myślą, że w Gdyni nie ma już dla niego miejsca? O, to byłoby najrozsądniejsze!

Z kolei pod koniec lipca urodziła się Anusia. Przyszła na świat z okropnym krzykiem, dawne skomlenia chłopców – relacjonowała Krzysztofowi Łucja – były przy owym wrzasku ledwie popiskiwaniami piskląt. – Będzie dziewczynisko miało charakterek – uznał dumny ojciec.

– Jak możesz tak mówić: dziewczynisko?!

– Księżniczka – zaproponował.

– Och, proszę, nie, nie nazywaj jej tak, nigdy!

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze.

– Miałam... – Łucja zmarszczyła czoło – miałam... przyjaciółkę, na którą tak mówiono... Nie chcę o tym mówić!

Jasne, oczywiście, zgodził się: nie to w tej chwili było najważniejsze! Ważne było dziecko – więc znów przyglądał się z niedowierzaniem kruchości i pozornej bezmyślności tego oto organizmu, który za lat kilkanaście wodzić będzie za nos niezbyt bystrych kawalerów... Lecz dziwna rzecz: na samą myśl o owych potencjalnych absztyfikantach poczuł się wściekły, zły.

Wreszcie: z początkiem jesieni przeprowadzili się. Skończyła się gehenna zmagania z hydraulikami, stolarzami, elektrykami, fachowcami od siedmiu boleści, co to wszystko, co zastali po poprzednikach, krytykują, a gdy sami z kolei opuszczają pole bitwy, nie sposób ich nie przeklinać, na nich nie pomstować...

Dla siebie wzięli pierwsze piętro, wyżej wynajmując pewnemu wyniosłemu dość wenerologowi, jeszcze wyżej państwu z Urzędu Morskiego, na ostatniej zaś kondygnacji mieszcząc młodą nauczycielkę – prędko zresztą przypadły sobie

z Łucją do gustu – oraz gdyńskiego korespondenta Polskiej Agencji Telegraficznej. Ten z kolei, choć tak bardzo zabiegany, zdążył nawet jeszcze bardziej polubić ową Joannę, nauczycielkę.

Przeprowadzka łatwa nie była: chłopcy szaleli wśród skrzyń, Anusia darła się, Druga traciła głowę. Trochę to trwało, dość że w końcu Łucja mogła się ucieszyć kolejnym swoim widokiem (tym razem na uliczkę należycie spokojną, zaciszną, już nie trzeba jej było gwaru Świętojańskiej – tłumaczyła każdemu, kto tylko zechciał słuchać). A i Krzysztof, inaczej niż ledwie kilka miesięcy wcześniej, z dumą oceniał wartość tego, co udało mu się osiągnąć.

– Kamienica co się zowie – stawał każdego dnia naprzeciw drzwi wejściowych i taksował wzrokiem otynkowane na kremowy kolor kondygnacje.

Po narodzinach Anusi popili z Konstantym po raz pierwszy. I spodobało im się to.

– Zdrowie – kieliszki raz po raz wędrowały w górę.

Majami okazało się pomysłem doskonałym – lecz do czasu. Chłopcy do gimnazjum powinni byli pójść w mieście – uważała Hanka – i tak też się stało: poszli do Zegarskiego w Orłowie. W bliźniaczkach z kolei Kot był rozkochany: najpiękniej malowały, mówił, najpiękniej recytowały – nie miał wątpliwości – o śpiewie cieniutkich, wdzięcznych głosików nawet nie wspominając.

– I obyśmy już tylko tym mogli się ekscytować – podsumowywał rozkrochmalony Krzysztof.

– Zdrowie!

– Chodźmy jednak dalej...

– Dokąd?

– Co powiesz na Dworcową?

Konstanty zdziwił się. Lecz właściwie, czemu nie?

Chłód listopadowej nocy otrzeźwił ich nieco. Przechodniów o tej porze nie było wielu, choć skądś dobiegł ich dziki śmiech, gdzieś głośnym echem odbijały się kroki, raz czy drugi minęło ich auto. Przed barem Setka, na końcu ulicy, żołnierze w zielonych mundurach Morskiego Pułku Strzelców kłócili się zawzięcie ze skrytym w mrocznym wnętrzu wielkiego buicka personatem.

– Chamstwo, gdzie honor!?! – pokrzykiwał tamten.

– A srał cię pies!

– Ja was... szeregowy... Ja was...

Strzelcy śmiali się. Głośno, bezczelnie, lekceważąco.

– A jeśli wybuchnie wojna? – zapytał zniechęca Krzysztof.

– Z kim?

– Z kimże innym? Z Rzeszą.

Kot zamyślił się.

– Wojny nie będzie, być nie może – postanowił stanowczo po chwili. – Stoją

za nami sojusznicy... Potęga Wielkiej Brytanii, niezłomność Francji – roześmiał się.

Żartował? Niby dlaczego?

W restauracji opasły kelner przypomniał Wilczyńskiemu Bonka.

„Gdzież on teraz?” – pomyślał nostalgicznie.

– Panowie do wódeczki życzą coś zjeść?

– Flaki? – zastanowił się Krzysztof.

– Masz, bracie, spust! – krzyknął wesoło Konstanty.

I wtedy, zanim jeszcze na dobre zdążyli się rozsiaść, przy stoliku pojawił się ktoś jeszcze. W zbyt obszernym płaszczu na wychudzonej sylwetce („Schudło biedactwo na więziennym wikcie!” – Wilczyński z trudem powstrzymał się od głośnego śmiechu).

Kelner spojrzał niepewnie na zaskoczone miny siedzących. Krzysztof uspokoił go nieznacznym ruchem dłoni.

– Pan tutaj? – zapytał.

– Co mi zostało? Willa po matce...

– Dzisiaj pan...? – domyślił się Kot.

– Dzisiaj. Bez grosza, ot, na bilet. Mogę usiąść?

– Siadaj pan, panie... Królik.

– Pan głodny?

Królik potwierdził.

– Ot, przyszło zaczynać od nowa – westchnął po chwili.

– Koniecznie w Gdyni?

– A gdzie mi będzie lepiej, jeżeli mam was, z którymi tak wiele mnie łączy...?

LUTY

1939



## ROZDZIAŁ 60

### Upadek pierwszy

– Zatem: do widzenia, panie Zawistowski, jesteśmy umówieni – odprawił partnera, nie wstając. Wstał za to tamten, wielce zadowolony. Sztormy, jak należało, tłukły wściekle statki, należało się więc liczyć ze zwiększonym wczesną wiosną popytem na fajans. – Łebski facet ten Wilczyński – cieszył się, po raz nie wiadomo który Zawistowski, zapinając w szatni płaszcz. Od lat ich współpraca układała się doskonale.

Cafe Bałtyk przez szerokie, wysoko przeszklone witryny zalewało słońce.

„Połowa lutego, a jakby wiosna za rogiem” – rozpromienił się Wilczyński. Prędko przejrzał gazety: wciąż żegnano w nich zmarłego Piusa XI, w Gdańsku napadano na Polaków, a w Zakopanem trwały zawody FIS. Dłuższy czas przyglądał się zdjęciom narciarzy. „Będziemy czarno-biali – olśniło go, gdy przypomniał sobie własne fotografie z zeszłorocznej wycieczki. – Dla potomnych będziemy czarno-biali”. Omiótł wzrokiem salę: kremowe lub zielonkawe garsonki pań (– A, dzień dobry – ukłonił się przy okazji Lusi Grabskiej, której nie zauważył wcześniej), brązowe lub granatowe garnitury panów, dalej twarze: jedne zaczerwienione, inne blade. Wreszcie kolorowe galaretki ciast za szkłem, mieniące się zielono butelki za barem, miedzianostalowy blask maszyny do kawy. Czarno-biali byli tu jedynie kelnerzy. „Cóż, i po naszych odcieniach nie zostanie więcej...”

Dopił, odstawił filiżankę.

„O wesołym jest obliczu, kto się kąpał w Iwoniczu” – przypomniało mu się ulubione hasło reklamowe. Kołatało mu się po głowie od pewnego czasu, a wszystko dlatego, że czuł się ostatnio wielce z życia zadowolony. Owszem, chmurzyło się tu i ówdzie, lecz przecież napisał doń Stanisław, napisał długo i nadspodziewanie wylewnie: o lekturach, o niejakej Jadzi (pytając, czy mógłby z nią latem odwiedzić Gdynię – i jak sprawić, by przełamać opór jej rodziców; a Krzysztof pomyślał: „Ślicznotka, jak nic, musi to być prawdziwa ślicznotka!”) oraz o swych planach na przyszłość: pragnął mianowicie studiować na uniwersytecie i zostać prawnikiem. Krzysztof nie odpisał, dzwonił, na wszystko się zgadzał i od tej pory nie mógł doczekać się lata.

Sami także planowali wyjazd. W lipcu lub sierpniu, do Truskawca chociażby, trzeba to było dokładnie zaplanować, przy okazji jak zwykle zahaczając o Wyszków i Pławo... a niech to... Stalową Wolę... Tu zmarszczył nieco czoło: III Rzesza ponowiła wszak żądanie korytarza. Z drugiej strony trwał cykl wizyt i rewizyt ministrów Becka i Ribbentropa, a na cóż one, jeżeli nie po to, aby uniknąć konfliktu? Niemniej nad Bug czy San Niemcy z pewnością dotrzeć nie dadzą rady.

„Pośle się Łucję i dzieci – postanowił. – Trzeba to będzie latem omówić,

przygotować”.

I jeszcze Królik. Kot od początku proponował, by się dziada pozbyć. Krzysztof wahał się. I to mimo że tamten robił się bezczelny: wpraszał do biura, a wręcz do mieszkania (wprawiając w zdziwienie, w popłoch, a w końcu w zażenowanie Łucję) i wciąż domagał się od Wilczyńskiego więcej; już nie pożyczki czy byle jakiej posady, a wręcz włączenia do interesów.

Ba, nie dalej jak kilka dni temu oznajmił, iż przepytywany był przez niejakiego Malinowskiego, w którym domyślić się można było policmajstra, na okoliczność zamordowanych przed laty.

– Milczałem niczym grób – zaklinał się Królik, a Wilczyński bezskutecznie próbował się dowiedzieć, kto zacytował ów Malinowski. – Niczego nie pamiętałem – chełpił się Królik. – Lecz jest widać ktoś, kto pamięta, łączy fakty, zadaje niebezpiecznie celne pytania. I co ja mam o tym myśleć, panie Wilczyński?

„Trzeba naradzić się z Kotem” – postanowił w końcu Krzysztof i wstając od stolika, nie zapomniał zostawić na blacie kilku monet.

Na ulicy wystawił twarz ku słońcu.



*Budynek Funduszu Emerytalnego Pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego (największy kubaturowo gmach mieszkalny międzywojennej Gdyni). Pod tym adresem wcześniej działała Czarodziejka.*

Choć wciąż dyskutowano o budowie Forum Morskiego, a więc monumentalnej dzielnicy reprezentacyjnej – zamkniętej w kwadracie pomiędzy moło Południowym a kościołem i Świętojańską, zaś patrząc z północy na południe skwerem Kościuszki i Kamienną Górą – to zgodzić trzeba się było, iż nowoczesny salon miasta zaczął się tworzyć właśnie tu: u zbiegu 10 Lutego i 3 Maja. Wystarczyło spojrzeć na ZUS-Palast i BGK Building – jak nazwano je z cudzoziemska.

W miejscu pierwszego, ha, lata temu, istniała Czarodziejka. To tu umawiał się na pierwsze randki z Łucją. Ba, to tu oświadczył się jej nieporadny Grabski i to wtedy wybiegła w mroźną noc, a on, Krzysztof, miał szczęście dostrzec ją mimo zadymki, by wkrótce usłyszeć o n i e s z c z ę ś c i u...

Uśmiechnął się, rozczulił. I ruszył przed siebie, przecinając skrzyżowanie na skos.

Ruszyło też auto – czego nie musiał zauważyć. Silnik zawył, zapiszczały opony.

Wilczyński dochodził już do chodnika, gdy narastający dźwięk zaniepokoił go. Obrócił głowę. W ostatniej chwili.

I choć zdążył skoczyć – w przód, co sił – to i tamten szarpnął kierownicą.

Padł na chodnik, podbity na krawężniku dziób auta wyskoczył w górę, Krzysztof dostrzegł jego żeliwne trzewia i w przebłysku świadomości zarejestrował wirujące czernią i bielą koła...

Szczęśliwie nie zawiódł go instynkt: podkulił nogi i przeturlał się przez ramię. Wóz z łoskotem opadł na chodnik i rozpędzony huknął w przeszklony narożnik domu.

A stała tam jeszcze – niczym sparaliżowana – kobieta.

Rozległ się żaloszny śpiew tłuczonego szkła, rozległ się skowyt. I cisza. Krzysztof poczuł, jak każdy jego mięsień – karku, ud, ramion – pali go w gwałtownym skurczu.

Ktoś biegł.

– Nic się panu...? – w locie pytając Krzysztofa, inni krzyczeli. – O Boże, o Bo...

Krew zalała chodnik, matowa wśród błyszczących drobin szkła, silnik dymił, prawe drzwi auta otworzyły się – jakby zachęcając, by zajrzeć do środka.

Chłopak padł piersią na kierownicę i również krwawił, rzeził, przygnieciony od góry zakrzywioną blachą dachu samochodu.

Zawodzano, krzyczano, z oddali przeszywały powietrze najwyższe tony policyjnych gwizdków.

Krzysztofem nie zainteresował się nikt. Podniósł się, opanował drżenie kolan

i odszedł – pierwsze kroki stawiając tyłem.

Spojrzał za siebie, minawszy kino Lido. Zbiegowisko narastało. Bo też mijali go zaaferowani gapie, biegnąc zewsząd ku miejscu wypadku.

Skreślił w Batorego.

– Witold! – zdołał dostrzec. – Witold! – zaciskał zęby z wściekłości. –  
Witold!

Lecz dlaczego – mimo wszystko zrozumieć nie potrafił.

## ROZDZIAŁ 61

### Hobby

Świeży śnieg chrząścił pod stopami, gdy idąc w stronę granicy, minął majątek Kukowskiego. Kierował się ku bryle kościoła, w wianuszkach przyprószonych dębów, gdzie spodziewał się zastać Królika.

W niewielkiej nawie panował chłodny półmrok. Zgarbiona postać klęczała w jednej z ławek.

Usiadł tuż obok. Królik obrócił zdziwioną twarz. I za nic mając przyjazny uśmiech Kowalskiego, zaszurał kolanami i z niezadowoloną miną odsunął się w głąb ławki.

– Panie Królik – powiedział cicho Kowalski po chwili milczenia – musimy porozmawiać.

Królik błysnął złowrogim spojrzeniem.

– Interesuje mnie mianowicie – ciągnął Kowalski, nie mając w zasadzie żadnego planu i dlatego od razu przechodząc do rzeczy – interesuje mnie, co łączy pana z Wilczyńskim?

Królik na dłużej obrócił badawcze spojrzenie w stronę rozmówcy.

– Interesy – odparł.

Kowalski uśmiechnął się z wyższością.

– Interesy – powtórzył. – Teraz interesy? W pana sytuacji? Wiem, że spotykacie się... Ale wcześniej? W jakich okolicznościach wy się właściwie poznaliście?

Królik na powrót spojrzął w stronę ołtarza. Po czym uniósł się z kolan, przycupnął na ławie. I wnet w sposób nie do opanowania zaczęła mu drgać dłoń.

– Pan się denerwuje, panie Królik?

– Chodzi o rękę? – twarz Królika wykrzywił grymas. – Mam z nią tak po Mokotowie. I Bielsku.

– Ciężko było... wypoczywać?

– Panie! – prychnął Królik. – Czego pan chcesz?

– Powiedziałem: interesuje mnie zażyłość łącząca pana z Wilczyńskim. I może coś jeszcze... – zawahał się. – Zna pan, pamięta niejakiego Wojciecha Bubulę z Bydgoszczy, zamordowanego w Sopocie w roku trzydziestym? Albo Stanisława Kopecky'ego – obywatela amerykańskiego – zaszlachtowanego w tym samym miejscu i czasie?

– Nie pamiętam – prędko odpowiedział Królik i równie prędko zerwał się. – Kapicki ze mną wypoczywał, fałszerz... to ten?

Kowalski zaśmiał się, ruszając za nim.

Na dworze wirowały rozświetlone porannym słońcem mięsiste płatki. Królik szedł w stronę cmentarza. Kowalski dogonił go wśród grobów.

– Panie Królik, kiedy Bubula został zamordowany i próbowałem dowiedzieć się, kto ów, skąd i dlaczego mógł zginąć, powiedziano mi w Bydgoszczy, że to sprawa związana z Królem...

– Z Królem, z Królem! – wykrzyknął naraz Królik i zdawało się Kowalskiemu, że z nazbyt wielkim afektem. – Wszystko sprawa Króla! A Król swoje odsiedział, tak czy nie?!

Kowalski sięgnął po papierosa. Poczęstował też Królika.

– Na pana mówili: król kostki brukowej – zaczął jeszcze raz. – Król spirytusu. Pan byłeś tu w Gdyni ważną figurą.

Królik uniósł w górę podbródek. Po twarzy przemknął mu ledwie dostrzegalny grymas dumy.

– Wokół tego bruku węszyli już tacy jak pan... Pana godność?

– Malinowski.

– Niczego nie wywęszyli. A lepsi byli, jak sędzę. Czy jestem o coś oskarżony? – wydał kpiąco wargi.

– A spirytus? Przemyt?

I nagle go olśniło:

– Panie Królik – krzyknął, pewny siebie. Tak jest, to musiało być tak, że też wcześniej o tym nie pomyślał! – Pan wyjechałeś, mając jednakowoż oko na gdyńskie sprawy, lecz pojawili się młodzi. Chcieli pana usunąć z interesu, więc pan wysłałeś swoich pomagierów... i to wtedy zginął ten i ów w barakach Chyloni czy Grabówka. Ale i Bubulę, i Kopecky'ego spotkało nieszczęście. I wtedy dogadaliście się z Wilczyńskim, nie tak to przypadkiem było?

„Tak było, musiało” – podniecił się. Obliznął wargi.

– A może i matkę pana mieli na oku, co? Grozili jej? Tak czy nie? – przycisnął, a potem roześmiał się.

Rysy Królika stężały.

– Bajki... – wycedził.

– Ja panu... Ja panu... – zastanowił się Kowalski i w jednej chwili stracił rezon, nie wiedząc, co mianowicie mógłby tamtemu obiecać, zaoferować w zamian za potwierdzenie swej hipotezy. Królik wyczuł to bezbłędnie.

– Ja, panie Malinowski, za swoje dostałem. A za nie swoje niczego nie chcę. Przyszedłem na grób matki, jak co dzień. Jeżeli pan łaskawie pozwoli, chciałbym zostać sam...

Kowalski niespodziewanie posłuchał. Musiał przemyśleć wszystko, w tej chwili od Królika nie spodziewał się usłyszeć wiele więcej. A gdy gderliwa żona zapytała go, gdzie to był tak długo mimo niedzieli, odparował opryskliwie:

– Jedni zbierają znaczki, inni upijają się. A ja tropię pewnego mordercę sprzed lat, rozumiesz?

Westchnęła.

– I prawie go mam – zagwizdał. – Przepraszam, kochanie. Podawaj do stołu, zjem.

Niestety, sprawę Wilczyńskiego znów musiał odłożyć. Oto w Domu Bawełny, kolejnej chlubie miasta, gdzie przeszklony dach ostatniego piętra fachowo zbudowano pod takim kątem, by promienie słoneczne pomagały w bezbłędnej ocenie surowca, otóż doszło tam do tajemniczego samobójstwa. W grę wchodziły wielkie pieniądze, wszak werdykty, jakie w domu zapadały, ważyły na losach dostawców nici, długich rzędów pośredników, a wreszcie łódzkich najczęściej fabrykantów.

Ofiarę znaleziono z przestrzeloną głową na jednej z owych pokrytych czarnym zamszem palet, na których oceniano barwę i jakość równych rzędów nici. Teraz owe włókna obryzgała krew i galaretowate strzępki mózgu.

Wiele było w tej sprawie niejasności: bo trudno byłoby denatowi strzelić do siebie niejako od tyłu, ale i z wysoka, poza tym nie miał on prawa znaleźć się w pilnie strzeżonym miejscu... Tymczasem portiera uspio, a z sekretariatu zniknęły i ostatnia wydana, i dopiero przygotowywane opinie.

Nic dziwnego, że w Zrzeszeniu Interesantów Handlu Bawełną zawrzało – sprawa Wilczyńskiego musiała poczekać.

I byłaby czekała dłużej, gdyby przypadkiem nie wpadło w ucho Kowalskiemu nazwisko zatrzymanego w związku z tragicznym wypadkiem – a wręcz morderem – na rogu 3 Maja i 10 Lutego.

– Czekaj? – pnąc się po stopniach klatki schodowej, zastygł w pół kroku. Stanęli również koledzy, których wcześniej minął i z których ust padło z dawna interesujące go nazwisko.

– Czekaj – potwierdzili jeden przez drugiego.

Choć wypadek tego typu nie powinien go interesować, poprosił o możliwość przesłuchania zatrzymanego.

Doprowadzony na wysokie piętro, usadzony na krześle, a przede wszystkim obolały Witold – bo gdy okazało się, że w wyniku wypadku nie doznał zbyt wielkich obrażeń, to sprawiedliwy łomot sprawili mu rozwścieczeni posterunkowi – spoglądał na podkomisarza obojętnie. Kowalski przyglądał mu się długo i bez słowa. Wreszcie zaczął:

– Moim zdaniem powinni cię sądzić, chłopaku, za morderstwo. Zrobiłeś to z premedytacją, prawda...? Czym zawiniła ci ta kobieta...?

Czekaj skulił się, ugiął kark, splótł dłonie.

– Prawda, nie moja sprawa. Ale czy mnie pamiętasz? Przypominasz sobie?

Witold uniósł głowę.

– Pobicie, użycie noża – bodaj w trzydziestym czwartym. Szantażowanie rodziny pewnego przedsiębiorcy w trzydziestym siódmym... Jak widzisz, ja pamiętam. A wiesz dlaczego?

Chłopak pokręcił głową.

– Groziłaby ci kara... – nie dopowiedział zrazu Kowalski, a za to zamieszał łyżeczką w szklance z herbatą. – Kara śmierci – przynajmniej gdybym to ja miał decydować... Chyba że sobie pomożesz? – powoli zapalał papierosa. I zaraz dmuchnął z mocą przed siebie, tak by dym owiał przesłuchiwanego.

– Pracowałeś wiosną trzydziestego w Domu Zdrojowym?

Czekaj uniósł głowę.

– A więc pracowałeś. Tam się niejacy Bubula i Kopecki spotkali z Wilczyńskim. Tym samym, dla którego później robiłeś i który ręczył za ciebie raz i drugi. Spotkali się, znali, odpowiadaj! – krzyknął, aż zadrżały w oknach szyby.

A nie miał w zanadrzu wiele – bo i cóż niby, że się spotkali? Zresztą: tamten Witek i ten Witold – to nie musiała być ta sama osoba.

Tymczasem Czekaj niespodziewanie wyszeptał coś cicho i niezrozumiale.

– Tak? – Kowalski wstał. Obszedł biurko.

– Zapalisz? Spotkali się, widziałeś?

Witold podziękował, drżącymi rękoma przytknął papierosa do warg i spojrzał w przestrzeń za oknem przed sobą. Coś błysnęło w jego spojrzeniu.

– Kalkulujesz? – domyślił się podkomisarz. – Kara śmierci... Wyobraź ją sobie.

– Ja nie chciałem... – zacharzał Witold.

– Nikogo nie będzie to obchodzić. Mów o Wilczyńskim!

– Spotkali się.

– A więc znali... – ucieszył się Kowalski. – I?...

Chłopak wzruszył ramionami.

– Dobrze – mimo wszystko podchwycił wątek śledczy. – Znikłeś wkrótce, nikt tam o tobie więcej nie słyszał. Dlaczego? I dlaczego zacząłeś pracować dla Wilczyńskiego? Co łączyło go z Królem?

– Czy to na pewno może mi pomóc? – wyjąkał Witold.

– Człowieku! – podkomisarz wrócił za biurko. – Mów, co wiesz, bo Wilczyńskiego i tak już mamy na widelcu – a jeśli on i ciebie wplącze w tamtą sprawę, to choćbyś się z jednej wywinął... – Blefował, oczywiście, że blefował. Lecz trzeba było kuć żelazo póki gorące:

– Wilczyński zabił tamtych dwóch?

– Wilczyński zlecił komuś zabicie?

– Wilczyński kontaktował się z Królem?

– Wilczyński więził jego matkę?

– A może to on ją zabił?

– Odpowiadaj!

Witold wreszcie pękł. Zeznawał, dukając o tym, jak Krzysztof uratował go z rąk portowych rzezimieszków, o tym, jak on z kolei ocalił Krzysztofa... I jak



uczył się u niego jeździć, jak był raz czy drugi w Bydgoszczy i Warszawie po tym, jak aresztowano Króla. Wcześniej Wilczyński jeździł z Lolą – to na pewno – a potem Lola z nim, Witoldem... I pani Król również z nimi jeździła...

– Czy zamordował ją?

– Nie! – przestraszył się młodzieniec. – W to nie uwierzę – dodał cicho.

– A tamtych?

– Ja naprawdę nie wiem, panie komisarzu; nie wiem, czy on by potrafił...

– Na dzisiaj koniec – zdecydował wreszcie nieco zawiedziony Kowalski, gdy Czeka zaczął plątać się i powtarzać po wielokroć to, co zdążył już wyśpiewać. – Ale myśl, myśl! Być może potrafisz sobie pomóc, choć jeszcze o tym nie wiesz...

Wciąż nie miał wiele: owszem, tamci znali się, kontaktowali, ale choć każdy z osobna powinien wisieć, to sama znajomość, niestety, nie była zakazana.

Przesłuchać ową Lolę – postanowił – a może i Wilczyńską przycisnąć? Swego czasu widział ją na ulicy z dziećmi... Dzieci żal. A ona? Co to, niby nie wie, z kim się związała?

Nazajutrz to Witold domagał się spotkania. Kowalski przywołał protokolanta.

– Bo ja... – zaczął przesłuchiwany. – Bo ja...

– Bo ty co? – podkomisarz aż poderwał się z krzesła. – To ty ich zabiłeś? Albo matkę Króla? – Trudno mu było we własne, *ad hoc* sformułowane przypuszczenia uwierzyć, lecz z drugiej strony chciał tego typu wyznania, chciał, po latach, sukcesu. – Zamordowałaś kogo? – naciskał.

Witold szeroko otworzył przerażone oczy:

– Ależ skąd, panie komisarzu!

– To co ty? – wściekł się Kowalski. Zrozumiał, że zbyt naiwnie dał się łachudrze podjąć.

– Ja właśnie jego chciałem trzasnąć, lecz uskokzył – dokończył Witold.

– Jego? Wilczyńskiego? Autem? – Kowalski najpierw zaniemówił, a potem jego zawód spotęgował się. Ot, młody wilczek spróbował skoczyć do gardła staremu... Lecz wnet, intuicyjnie, chwycił i tę nitkę: – Dlaczego? Przecież on cię chronił, niejeden raz ratował skórę?

Witold opuścił głowę. Cóż miał powiedzieć: że jak ojciec pił, jeszcze w Łodzi, to można go było nienawidzić – bo bił, i matkę, i braci – a jak Krzysztof pił, to nic, bo ze smakiem i bez konsekwencji? A czego się nie dotknął, to dopisywało mu szczęście i wszyscy kłaniali się mu, podziwiali... Zaś on, Witold, miał poczucie, że wiecznie będzie tylko na posyłki? Albo że tamten cieszyć się mógł kochającą go Łucją, a dziwka z Bydgoszczy posłuchała ojca?

Miałkie to. Niewystarczające. Wiedział. Nie chciał się ośmieszyć.

– Uratowałaś mu życie... – przedłużające się milczenie Witolda

zniecierpliwiło Kowalskiego. – Może niejeden raz? Z kim on się przyjaźnił, spotykał? Mów, człowieku, mów!

Lecz naraz Witold rozplakał się. I obcierał policzki paluchami, drżała mu broda, ślinił się niemal, bełkotał.

– Wyprowadzić – zakomenderował Kowalski, odczekawszy czas jakiś i nie widząc, by przesłuchiwany miał się uspokoić.

– Kara śmierci! – rzucił jeszcze bezwzględnie, gdy tamten przekraczał próg.

„Jedni mają znaczki, inni się upijają... – pomyślał niechętnie, otwierając okno. – Ja zaś tropię Wilczyńskiego. Który wciąż mi się wymyka. Może zatem pora – przyszło mu znenacka na myśl zdobywające coraz większą popularność słowo – może pora zmienić *hobby*?”

## ROZDZIAŁ 62

### Drugi upadek

Tego dnia zauważyła, że powłóczył nogą. Tak przynajmniej uważała po czasie. Z tym że on od razu zamknął się w łazience.

– Krzysztof? – zapytała zza drzwi.

– Tak?

– Stało się coś? – dziwiło ją, że się zarygłował.

– Slalomowałem, wyobraź sobie – oznajmił. – Niczym na nartach w Krynicy.

– Co proszę?

– Slalomowałem. Jakiś – podkreślił – szaleniec za kierownicą wpadł rozpędzony na chodnik i omal mnie nie rozjechał.

– Jak to? – krzyknęła.

– Tak jak mówię – upierał się. – Wariat chciał mnie przejechać.

Nadbiegli chłopcy.

– Co robisz?

– Myję ręce – odpowiedział.

– Widzicie – zdenerwowana pouczyła malców. – Tata myje ręce.

– Przyjdź jeść – odprowadzała chłopców. – Czekamy.

Drugiej rosół nie wychodził tak jak Michasi: był mniej przejrzysty i bladej raczej niż żółty. A tu, patrzcie: dziś jak złoto! W dodatku na życzenie Krzysztofa zrobiła go z jajem, tak by ścięło się białko, a żółtko kąpało w ciepłym gotowe do rozdarcia łyżką. Krzysztof bardzo lubił ów powłóczysty smak na łyżce zwilżonej bulionem.

Usadziwszy dzieci, zaniepokojona wróciła do drzwi łazienki.

– Krzysztof?

– Myję ręce – powtórzył.

Wiedziała, że jest zdenerwowany, zdarzało mu się to, niegdyś częściej, ostatnio mniej, wszystko przez interesy.

– Powiedziałeś: chciał cię przejechać.

– Wpadł na chodnik i uderzył w kamienicę, ledwo zdążyłem uskoczyć.

Opluskał wodą twarz.

– Spokojnie – powtarzał sobie, wściekły jak nigdy. – Usiądź, idę.

Posłuchała. Myśląc jednakowoż z niedowierzaniem: wariat? w aucie? w kamienicę?

Po chwili pojawił się. W progu się uśmiechnął, bulion zauważył, wreszcie wkroczył w rozświetloną przestrzeń jadalni, zrobił krok, drugi – odtwarzała to później dokładnie w pełnych przerażenia wspomnieniach – aż zachwiał się – tak było – poszukał lewą ręką krawędzi stołu, ugięły mu się nogi, chwycił się

kurczowo obrusu, pociągnął go – już się przechylając – ona krzyknęła – chłopcy stężeli w jednej chwili.

Padł.

– Krzysztof, kochanie!

Padł.

Ona przy nim: na kolana.

– Krzysztof, co tobie?

Widziała z bliska: wzrok wbił w sufit, w nieskończoność, ruszał językiem, ruszał prawą dłońią...

Zamarł.

Chłopcy uciekli do okna, objęli się, przestraszeni jak małe zwierzątka.

Łucja szeptała:

– Krzysztof, Krzysztof...

A on zamarł.

– Co tobie?

Bo jak tak można: być i nagle przestać?

LIPIEC

1939

## ROZDZIAŁ 63

### Ciało

Gdy Kiepura, wysiadając z limuzyny, stanął na szerokiej burcie podwozia, tłum popadł w ekstazę. Wiwatowano, cieszą się chwilą, jakby na przekór codziennym, ponurym doniesieniom, na przekór myślom o przyszłości. Prezentował się doskonale – w jasnym, letnim garniturze, z tą swoją posagową, rzymską głową. Uniósł rękę, machał nią zamazyście. Po czym otarł łzę, wzruszony, mimo, wydawać się mogło, rutyny, w jaką popaść mógł, objeżdżając kraj z koncertami na lokalne fundusze obrony.

I być może jeden tylko Kowalski nie patrzył w kierunku śpiewaka. Gnębiła go ostatnimi czasy depresja, dlatego wśród widzów zobaczyć chciał, wielce na to liczył, pułkownika Stanisława Dąbka, mianowanego dopiero co dowódcą Lądowej Obrony Wybrzeża. Czy z twarzy oficera – zastanawiał się Kowalski – uda się cokolwiek wyczytać? Jakie otrzymał rozkazy, ile było w nim wiary?

Pułkownika niestety nie dostrzegł. Zobaczył za to Łucję – ot, kilka kroków od siebie. I wpatrywał się w jej profil, w prosty nos i włosy opadające na ramiona spod gustownego, jasnoniebieskiego kapelusika. W pewnej chwili obróciła głowę w jego stronę i wtedy odruchowo uklonił się. Zmrużyła oczy, jakby starając się przypomnieć sobie, skąd zna tego człowieka, po czym niepewnie odpowiedziała delikatnym skinieniem. Mistrz kroczył tymczasem w stronę sceny wśród rozentuzjasmowanego szpaleru.

– Piękna kobieta – uznał Kowalski. – Piękna, choć nieszczęśliwa.

Wilczyński wymknął mu się, bo wymknął się Witold Czekał. Z początku odebrał to podkomisarz niczym dotkliwą porażkę i z tego zrazu wziął się ów ponury nastrój, który nie opuszczał go od wielu tygodni. Lecz z czasem zrozumiał, że tamta sprawa nie była już ważna. Aż dziw brał – zważywszy na podniecenie, w które wprawiała go jeszcze pół roku wcześniej.

– Piękna kobieta – powtórzył. I ciekaw był: o czym myślała?

Wtedy, w lutym: trzęsła się cała. Krzysztof na szczęście oddychał. Dzieci płakały, nie potrafiła się nimi zająć. Łapiduchy z pogotowia rozkładały ręce.

– Musi apopleksja, a?

Szpital.

Tam to samo: rozkładanie rąk.

– Niewiele możemy, niewiele wciąż wiemy...

Bo wylew krwi do mózgu.

Ale oddychał. Prawą dłońią ruszał. I palcami stóp.

– Niewiele możemy – powtarzali. – Lecz żyje. Musi mieć silny organizm.

Chciała krzyknąć, chciała żądać, chciało jej się wyć.

Na szczęście pojawiła się Lola.

– Łucjo – mówiła, biorąc ją w ramiona – on żyje!

Żył.

Minął tydzień, drugi, trzeci. Żył. Ruszał palcami i powieką. Patrzył. Gdzieś.

– Krzysztof, słyszysz nas? – pytała Lola.

Lekarze wzruszali ramionami.

A on wpatrywał się: wciąż w tę samą nieskończoność.

I trwał.

– Zabierzmy go do domu – zdecydowała wreszcie Lola po kolejnym tygodniu.

– Czy tu leży, czy w swoim łóżku...

Więc zabrali. Leżał.

Można go było karmić, przełykał, to cud – mówili lekarze.

Popłakiwały odtąd we czwórkę – bo i Michasia się pojawiła, i Druga, która niczym wierny pies reagowała na każdy krok, gest i słowo pozostałych pań.

Myjąc mu głowę, Łucja tuliła ją, szeptała czułe zaklęcia, głaskała. Zmieniając pieluchy, tłumaczyła jak dziecku: co robi i dlaczego, i że powinien obudzić się, przebudzić, nieco jej pomóc, wyręczyć ją.

Niekiedy w czynnościach tych pomagała Łucji Lola. Która pewnego dnia wyznała:

– Kochałam go, Łucjo, wciąż kocham!

Łucja w żaden sposób nie skomentowała.

– Pomóż mi go obrócić – poprosiła tylko cicho głosem, chcąc przemyć plecy i pośladki męża. Wielce się przy tym obie męczyły – mimo że chudł w oczach.

– Kochałaś – przypomniawszy sobie wieczorem. – Kochasz...

– Lecz nie myśl, Łucjo, że...

Nie chciała myśleć. Nie myślała.

Z czasem, choć prawą część jego twarzy wykrzywił ów straszny grymas, który niczym na fotografii utrwalił się owego nieszczęsnego dnia, to część lewa zdawała się uwalniać z morderczego uścisku sparaliżowanych mięśni. Zaczął bełkotać, ucieszyła się, Krzysztof, Krzysztof – powtarzała w podnieceniu – widzisz, jest z tobą lepiej, widzisz, musisz tylko chcieć! Jednak zrozumieć było go nie sposób. Wciąż pytała: czy ci smakują – kaszki, buliony, kisiele – a on wydawał z siebie jęki, mrugał bez składu i ładu.

– Jeszcze cię nie rozumiem – tłumaczyła się bezradnie – lecz musisz się starać... Ja też będę się starać, zobaczysz, wyzdrowiejesz.

Pojechała do Gdańska, do Medizinische Akademie. Lecz nie dowiedziała się wiele – mimo iż udało jej się rozmawiać z jednym z profesorów. Wysłuchał.

– Pani jest Polką? – zapytał, mimochodem głaszcząc kciukiem wpiętą w fartuch partyjną odznakę. – To zadziwiające, co pani mówi – skomentował wreszcie – pani mąż naprawdę musi mieć stalowy organizm. Skąd pochodzi, czy

można wiedzieć? Może z Danzig, może z Posen?

Drżała jak liście w parku za oknem, z wielkiego portretu spoglądał na nią Hitler, na wietrze łopotały flagi.

– Być może wyjdzie z tego, być może nie. Zdarzają się takie przypadki, choć rzadko. Lecz nie da się tego operować. Bardzo pani współczuję – wstał.

Zdarzały się dni, kiedy dostrzegała poprawę. W inne – by nie poddawać się rozpacz – po prostu czytała mu, czytała – na przykład *Ogniem i mieczem* – unikając złowieszczo rozgadanych gazet – prosząc jednocześnie chłopców, by siedzieli przy niej, by nie uciekali, by ich widok, ich głosy, pytania i komentarze, tchnęły w Krzysztofa chęć życia.

„Potrzebujemy czasu” – uczepliła się myśli. I gotowa była trwać – choćby w stanie męża nie zmieniało się nic.

Tymczasem skończyły się przemówienia. Drgnęła. Zapadła cisza – doprawdy przejmująca. Spojrzenia zawisły na Mistrzu. Wreszcie mógł rozpocząć popis.

Łucji oczy zaszczyły łzami.



## ROZDZIAŁ 64

### Do piekła!

Konstanty w szpitalu bywał codziennie. On również powtarzał: wyjdzie z tego, wyjdiesz, Krzysztof. Łucja, na boku, pytała go, czy rzeczywiście wierzy w to, co mówi. Stanowczo potwierdzał i nie odwracał wzroku.

Pewnego dnia powiedział głośno, tak by i Krzysztof go słyszał.

– Tamten się powiesił.

Łucja przeraziła się. I poprosiła, by wyszli na korytarz.

– Co też ty?! – zaatakowała. – Jaki tamten?

– Witold – syknął z nienawiścią.

– Jaki Witold? O Boże! – domyśliła się wreszcie.

– Ty nic nie wiesz? – zapytał.

– Co mam wiedzieć?

– W gazetach pisano...

– Nie miałam czasu czytać gazet! O czym pisano? Mów!

– To ten skurwiel chciał przejechać Krzysztofa. Co ponoć przyznał w śledztwie.

Zrobiło jej się słabo, opadła na krzesło.

– Siostró, pomocy, wody! – krzyknął.

– Wolałabym nie wiedzieć – powiedziała później, zboląta. – Ale dlaczego, powiedz, dlaczego?

Zacisnął zęby, zmarszczył brwi.

– Idź, Konstanty, proszę, nie chcę o tym myśleć, idź... Lecz przyjdź znów: jutro, pojutrze, gdy tylko będziesz mógł.

– Tak będzie – zapewnił. W związku z tym, co powiedział, nie miał cienia wyrzutów sumienia, uznał, że Krzysztofa wiadomość powinna była ucieszyć.

Kilka dni później, wróciwszy ze szpitala, usłyszała pukanie do drzwi.

– Jan Król – oznajmiła Druga, paradując po mieszkaniu w okrwawionym fartuchu. Właśnie z Michasią królika opracowały, bo z królika bulion najdelikatniejszy.

Łucja już wcześniej z niechęcią patrzyła na jego wizyty. Czego mógł chcieć teraz?

W rękach gniótł rondo wyświechtanego kapelusza.

– Czy mogę zobaczyć się z twoim mężem?

Głupie, bezczelne pytanie.

– Mąż pozostaje w ciężkim stanie – odparła przez zaciśnięte zęby.

– Ach tak – usiadł nieproszony. – Moja biedna, mała Łucjo, wiesz, jak zawsze byłem ci życzliwy – zamyślił się. – Tamtej dziewczyny nie mogłem uratować, było w niej coś takiego...

– Pamiętam – przerwała stanowczo. – Nie mówmy o tym, co wydarzyło się ponad dziesięć lat temu.

– Tak – zgodził się. – Ale i mnie spotkały nieszczęścia – kontynuował po chwili, idąc tropem nieznanym jej myśli. – Ograbili mnie, oszukali!

Irytował ją. I wydawał się jakiś śliski, obleśny w z nagła niby na nowo przeżywanym bólu, z kropelkami śliny na wargach; w niczym nieprzypominający samego siebie sprzed lat – władczy i elegancki.

– Mamusię zostawiłem... Nie doczekała... – niby skomlał, lecz naraz w jego oczach błysnęło coś chytrego.

– Na szczęście miała nas – skwitowała bezlitośnie Łucja.

– Na szczęście? – uniósł głowę, spojrzawszy hardo. – Jak to: na szczęście?

Nie miała ochoty, ani siły, by się denerwować. Zaciśnęła usta, milczała, wytrzymując jego wzrok.

– Szantażował mnie... – jęknął.

– Tak, rozumiem – wymknęło jej się mimowolnie zdanie, choć nie zastanawiała się wcale, co lub kogo miał na myśli; chciała już tylko, aby sobie poszedł.

– Nie pytasz kto, Łucjo? Twój mąż!

– Krzysztof?

– A jakże! Groził śmiercią mamusi, gdybym nie zgodził się...

– Precz! – zerwała się. – Precz!

Najpierw zrobił wielkie oczy, potem, widząc jej stanowczą postawę, podniósł się z ociąganiem z krzesła.

– Zmieniłaś się, Łucjo – syknął z podziwem. – Jednak musimy się porozumieć, w przeciwnym razie udam się na policję.

– Precz! – krzyknęła po raz trzeci.

Zwabiona hałasem z kuchni wybiegła Michasia z wielkim nożem w ręku. Za nią, krok w krok, Druga.

– A więc dobrze – Królik skierował się ku drzwiom. Przyszedł właściwie tylko po to, by znów wyżebrać parę złotych, obiecanych zresztą przez Krzysztofa. Lecz gdy tamte dwie napały niemalże na niego, a Łucja zamarła w pozie zbolalej heroiny, zrozumiał, że w tych okolicznościach wiele nie wskóra.

– Ja tu jeszcze wrócę – zapowiedział z dumą.

Na swoje nieszczęście poszedł szukać Kota. Gdy zaś ten nazajutrz pojawił się, jak zwykle był czynić często, by posiedzieć u boku przyjaciela, Łucja na koniec dnia poprosiła go, by został.

Usiedli w kuchni przy wielkim stole.

– Konstanty, czy wy byliście przestępcami? – zapytała wprost. I wróciła jej przed oczy scena z klęczącym Krzysztofem i jego głową na jej kolanach.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – wyprostował się, odsunął od blatu.

– Ach, Konstanty, nie mówię o latach ostatnich, mówię o tym, co dawniej.  
– Ktoś nagadał ci? – zmarszczył brwi.  
– A mógł? – zdumiała ją jego pytanie. – Pan Jan tu był, Kró... lik. Mówił o pani Marii... Że Krzysztof groził jej... i jemu samemu...

– Głupiec – warknął Kot. By dodać zapalczywie: – Przecież to on nasłał na Krzysztofa zbirów!

Uniosła brwi. Wstała, obróciła się, wyszła chwiejnie. Wróciła z butelką i dwiema kryształowymi koniakówkami, pilnując, by zamknąć za sobą drzwi.

Nalewał powoli.

– Nasłał zbirów, powiadasz? Wtedy, prawda, gdy wywiozłeś go rannego z mojego mieszkania?

Potwierdził, choć niechętnie.

– Opowiedz, chciałabym...

– Łucjo! – poprosił.

– Nalegam!

Dłuższą chwilę zbierał myśli.

– Czasy były ciężkie, o każdy grosz trzeba było walczyć, zajmowaliśmy się niewielkim przemytem. A to Królik chciał trzymać na wszystkim łapę. Więc nasłał zbirów, musieliśmy się bronić, a koniec końców pojechać do niego, żeby się dogadać. Może – zastanowił się – może i rzeczywiście mowa była o staruszce...

– Co ze zbirami? – zapytała przytomnie.

Skrzywił się. Podniósł w górę kieliszek i pod światło przyglądał się oleistemu płynowi.

– Mordowaliście?

– Skąd!

Wypiła jednym haustem, nie mając sił na ceregiele.

– Skończycie w piekle – uznała. – A ja z wami.

– Ty? Niby dlaczego?

– Jestem jego żoną – uniosła w górę podbródek.

Pokiwał głową.

– Nie mordowaliście? – zapytała po raz wtóry.

– Przysięgam – spojrzał jej w oczy. I żałował, że wcześniej nie ugryzł się w język. Powinien był milczeć od początku, o niczym nie mówić. Tak z pewnością byłoby lepiej.

– Konstanty – było jeszcze coś, co bardzo chciała wiedzieć. – Czy ty wiesz cokolwiek o tej jego ranie?

– Wojennej?

– A któraś nie była wojenna? – zdziwiła się.

– Nie wiem niczego, Łucjo, uwierz. Krzysztof nie z tych, którzy obnoszą się z ranami. Ot, zdarzyło się. Zresztą nie mówmy w ten sposób o nim... gdy śpi za

ściana.

Prawda, zreflektowała się

– A kiedy pływaliście... – mimo wszystko nie potrafiła się oprzeć.

– Wtedy również nikogo... – uśmiechnął się ironicznie.

– Nie o to pytam – opowiedz mi o nim. Jaki był?

Spojrzał zrazu czujnie.

Lecz potem mówił: o Krzysztofie, który nie bał się nawet największych sztormów, który był duszą towarzystwa, który i gotować lubił, i potrafił, rugając wcześniej kwiecicie kucharza za monotonię okrętowej kuchni, który zachwycał się widocznymi z oddali wielorybami i baraszkującymi wzdłuż burt delfinami, który – wreszcie – często podkreślał, że tęskni i że wszystko, co robi, to dla nich – dla chłopców i Łucji.

Długo tak siedzieli – i nigdy wcześniej nie byli tak blisko.

Dopiero gdy świtało, przeprosił:

– Łucjo, tak wiele trudów masz co dzień...

– Wytrzymam, prześpię się ot, godzinkę – ziewnęła. – Myślisz – zmieniała temat – myślisz, że dojdzie do wojny?

Nakładał płaszcz, powoli zapinając guziki.

– Myślę, że nie. Inna rzecz, Łucjo, że my na zachodzie, bijemy się inaczej. Widziałem rewolucję – i to było straszne. A tu, wojna... cóż, a bo to pierwsza?

Jeszcze w drzwiach obrócił się, zawahał. Lecz nie – zrezygnował. Listu nie mógł jej dać. Źle by ów gest zrozumiała. Wszak cokolwiek w nim zostało powiedziane, był to list na wszelki wypadek.

## ROZDZIAŁ 65

### List

Krzysztof napisał:

„Jak sędzę: nie ma mnie.

Nie myśl, że tym samym skończyło się wszystko.

Życie bywa przerażające.

Życie bywa trudne.

Bywa i nudne – bo ileż zdarza się w nim momentów zachwytu i szczęścia?

Zawsze będę pamiętał, Łucjo, blask Twoich oczu i Twój radosny śmiech.

Mnie nie ma – lecz jest wiele innego.

Żyj.

Odkrywaj to, czego nie odkryłaś ze mną.

Żyj.

Wszystko inne – żale, bóle – marność.

Więc żyj!”

Na drugiej kartce dodając:

„Pytając, skąd na świecie tyle zła, można wierzyć we współistnienie dobrego i złego demiurga. Którzy walczą ze sobą – jeden tworząc dobro, drugi przyczyniając się do tragedii i nieszczęść – o świat, o nasze dusze. To tłumaczy ponoć wiele, może nawet wszystko... Lecz, przyznaj: jakież to naiwne!

Inną odpowiedź zaproponował filozof Leibniz, twierdząc, że świat, który znamy, jest światem najlepszym z możliwych. Czy rozumiesz? Spójrz na zegarek, zajrzyj pod kopertę: oto mechanizm z mnóstwem trybów. Usunąć jeden, zastąpić go innym – i już nic nie będzie działać. Tak i niby jest ze światem – owszem, chciałoby się odjąć zeń cierpienie niewinnych dzieci, lecz to w jakiś sposób (doprawdy, ja nie rozumiem w jaki!) miałoby zepsuć ów idealny mechanizm... Zatem nieszczęścia według Leibniza zdaje się być dokładnie tyle, by zmieścić jednocześnie w świecie największą możliwą ilość dobra.

Nie wierzę w to.

Tak jak nie wierzę w miłość Chrystusa, który to kocha nas tak bardzo, że musimy umierać w cierpieniu, bo Ewa zjadła zakazany owoc.

Owszem, to metafora. Lecz inaczej mówiąc: On, który kocha nas tak bardzo, jest gotów skazać nas – ha! uczynił to, w rzeczy samej – na cierpienia, gdy tylko nie odwzajemniamy Jego miłości!

Na to również nie mogę się zgodzić!

Tymczasem świat, uważam, jest poza dobrem i złem. Jest doskonale obojętny, lodowaty. Jest materią, która tak, jak żywiołowo się rozwija, tak i obumiera, gdy nadchodzi jej czas.

Ale i w tym wypadku pretensję wnoszę do Boga: że go nie ma! Że go

okrutnie nie ma!”

Pisał te słowa w półpijanym zwidzie w przenikającą chłodem noc na północnym Atlantyku, gdy byli pełni obaw. A jednak wręczył je Kotu zamknięte w niebieskiej kopercie i na jakiś czas zapomniał. Kiedy wróciły, we wspomnieniu, akurat mu z Konstantym było nie po drodze, więc mimo iż wstydziłby się, gdyby list dotarł w ręce Łucji, to nie podjął starań, by kopertę odzyskać.

I znów o nim zapomniał – bo wciągnęło go życie. List zatem czekał – w sejfie w Majami. Na wszelki wypadek – jak zwykle się mówić, gdy nie chce się powiedzieć więcej.

## ROZDZIAŁ 66

### Uciekaj, uciekaj!

Krzysztof, chłopcy, Anusia. Sklep, interesy męża. Do tego trwające od wiosny ćwiczenia przeciwlotnicze i obowiązek przystosowania piwnic na schrony. Dobrze, że zawsze u boku była Lola.

Pod koniec czerwca ponad sto tysięcy osób zjechało do Gdyni na doroczne Święto Morza. Na redzie stanęła flota wojenna, a na lądzie ślubowano ze wzniesionymi w górę prawicami: Przysięgamy, że Polska od Bałtyku odeprzeć się nie da!

Poza tym mówiono wiele o wojnie nerwów, o białej wojnie, o wojnie bez wojny. Pisano o tym, jak wiele ryzykuje Rzesza i jak głodują, dezserterują niemieccy żołnierze. Prócz tego grzmieli francuscy i angielscy ministrowie: Nie ustąpimy przed groźbą ani przemocą, o Gdańsk będziemy się bić!

Na początku lipca Andrzej z góry, korespondent, poślubił Joannę, nauczycielkę.

– Jednakowoż, droga, kochana pani Łucjo – tłumaczyła Joanna – z uwagi na stan zdrowia pana Krzysztofa zrezygnowaliśmy z hucznego ślubu.

Łucja doceniła ów gest, sprawiając jednakże młodym prezent w postaci wspaniałej ćmielowskiej zastawy.

Przyjechał też Staś. Poważny, choć z brodą rzadszą, niżby chciał, rzeczowy. Wiele godzin przesiedział u boku ojca i obiecał wrócić. Jego wizyta wspaniale podziałała na Krzysztofa.

– Kocham cię – wybełkotał pewnego dnia, po raz pierwszy zrozumiale, i poczuła, że dodaje jej to skrzydeł.

Na koncert Mistrza nie miała jednak iść. Uległa po namowach Loli.

I oto wybrzmiała część pierwsza. Wysłuchiwała jej ze zdziwieniem – bo całkowicie niewzruszona.

W przerwie jeszcze raz spojrzała na harcerzy, na chłopców Kota. Ileż to słyszało się ostatnio o pobiciu takich jak oni w owym bliskim, lecz coraz bardziej nienawistnym Gdańsku.

Trwały tymczasem przemówienia. Znow przemówienia. Chcąc nie chcąc, zwróciła uwagę na Grabskiego: oto wiercił się, na przemian rozglądając niespokojnie i chowając twarz we wspartych łokciami na kolanach rękach.

On również odwiedził był Łucję. Ledwie kilka dni temu. Błady, łysiejący – zauważyła – roztrzęsiony.

– Łucjo, domyślam się, że przeszkadzam, lecz przychodzę w ważnej sprawie – oznajmił.

– Zatem mów, Adam – ponagliła, gdy zamilkł.

– Być może przyjdzie nam się pożegnać.

– Pożegnać?

– Sam nie wiem – wciąż się wahał, wciąż wzbraniał przed odrzuceniem wciskanej przez los ostatniej szansy na ocalenie.

– Łucjo, to się źle skończy – dodał.

– Co się skończy? – słuchała go w roztargnieniu.

– Polska.

– Polska? – zdenerwowała się.

– Łucjo – nachylił się przez stół, szepcząc, z nagłą rozgniewany: – Łucjo, mówią: wspaniałe konstrukcje lotnicze i wspaniali piloci, mówią „Wicher”, „Burza”, „Błyskawica”, „Grom”, „Czajka”, „Sęp” i „Orzeł”, lecz Niemcy takich okrętów mają kilkadziesiąt! To jest przepaść, co oznacza... – przerwał. – Powinnaś uciekać.

– Ja? Ja mam dzieci. I męża.

– Tak, to oczywiste. Dzieci. Lecz trzeba się ratować!

– Tchórz – pomyślała z niechęcią.

– Ja mogę pomóc, to da się zrobić, z pewnością – olśniło go, choć wcześniej wcale nie planował złożenia tak bardzo konkretnej propozycji. – Popłyniecie z nami do Anglii, to oczywiste, byle przeczekać, może nie będzie tak źle, może w rzeczy samej do niczego nie dojdzie?

Poczuła się zmęczona. I bardzo stara.

– Adam... Wybacz, wzywają mnie obowiązki.

Wstała.

– Rozumiem – jęknął, choć wcale nie rozumiał.

– A więc wyjeżdżacie? – zapytała, gdy i on się podniósł.

W odpowiedzi mamrotał niezrozumiale, unikał spojrzenia prosto w oczy, wreszcie poszedł, na pożegnanie podając miękką dłoń.

„Szkoda – pomyślała teraz. – Szkoda, że tak się to kończy.”

Kiepura tymczasem śpiewał, znów śpiewał i było to piękne, z pewnością. A jednak, chwytając za rękę syna i przepraszając sąsiadów półgłosem, ruszyła ku wyjściu pomiędzy długich rzędów. Odprowadzali ją wzrokiem – pan Jan, Grabski, Kot, Kowalski.

Krzysztof śpi – miała nadzieję.

I wciąż liczyła na cud – każdego kolejnego dnia.



## ROZDZIAŁ 67

### Mobilizacja

Reszta lata minęła nie wiedzieć kiedy, w natłoku nowych obowiązków: jedni zabezpieczali szyby naklejanymi nań pasami papieru, inni tu i ówdzie kopali przeciwlotnicze rowy.

Adam odpłynął. Pan Jan również znikł – o czym doniosła odwiedzająca od czasu do czasu wille w Orłowie Lola. Zaś Kota dopadła mobilizacja. Poszedł z dumnie uniesioną głową, troszcząc się jedynie o to, by jego nastoletni już chłopcy nie dali się porwać gorączce – wszak to nie ich powinna być ta wojna.

Miała trzydzieści dwa lata, troje małych dzieci i Krzysztofa, który upierał się, by wstawać, lecz zwiotczałe mięśnie nie były w stanie utrzymać jego – już tylko – szkieletu.

Aż wreszcie nastał Wrzesień. O piątej zero pięć żołnierze Wehrmachtu z herbem Gdańska na hełmach przekroczyli granicę w Kolibkach.

Copyright © 2016, Michał Piedziewicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania

danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych

– również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN 978-83-7779-355-8

Projekt okładki oraz skład: Zuzanna Malinowska

Redakcja: Jolanta Stal

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

[kontakt@wydawnictwomg.pl](mailto:kontakt@wydawnictwomg.pl)

[handlowyMG@gmail.com](mailto:handlowyMG@gmail.com)



Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

Ul. Nad Drwiną 10, Hala nr 3

30-741 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

